

RICHARD AELLEN

ZABÓJCZE SNY

PRZEŁOŻYŁ LESZEK RYŚ

TYTUŁ ORYGINAŁU REDEYE

Rozdział 1

Kobieta, którą miał zabić we śnie, nie była jego żoną.

Lisie Beaumier była dla niego całkowicie obcą osobą. Pomimo to znał niemalże każdy szczegół w jej mieszkaniu. Wiedział, że w kuchni, ukośnie nad piecykiem, wisi rząd miedzianych rondli, że sypialnię zajmuje szerokie łóżko nakryte chińskim brokatem a w łazience, na dnie wanny, stojącej na nóżkach w kształcie łap, leży zwinięty różowy wąż prysznic. O wszystkim tym wiedział Paul Stafford, całując kobietę na przywitanie i planując w myśli jej śmierć. Był na wszystko przygotowany.

. Nie było powodów, aby Paul śnił o śmierci. Noc była ciepła i cicha. Jedyne słabe podmuchy wiatru, od czasu do czasu, zakłócały spokój zasłonom, wiszącym w otwartych oknach sypialni. Z podwórka dochodziło cykanie świerszczy i łagodny szelest liści trących o zardzewiałą rynnę. W oddali widać było monument Waszyngtona, zakończony białą iglicą wyciągniętą jak palec w kierunku księżyca, który wszedł w trzecią kwadrę i zalał całe miasto srebrną poświatą.

Leżąc w łóżku, Paul jęknął i przewrócił się niespokojnie z boku na bok, próbując odpędzić obrazy, które wciskały się przemocą do mózgu, narzucając mu rolę mimowolnego uczestnika, niebezpiecznego uwodziciela i zabójcy z zimną krwią. Dziewczyna ze snu była wyzywająco ponętna i w pełni tego świadoma. Miała miodowoblond włosy, zielone oczy i zalotnie nadąsane, wydatne usta. Zaledwie drzwi zatrzasnęły się za ich plecami, przygarnęła go do siebie, niecierpliwa i bardziej niż lekko wstawiona. Pocałował ją i pozwolił, aby jego ręce opadły przesuając się po jej plecach. Gdy przyciągnął jej biodra do swoich, wydała cichy pomruk, który świadczył, jak wiele sobie obiecywała. Jej roztańczony język znalazł się na jego wargach.

Paul zaciękawiony śnił dalej. Sen podniecał go, a równocześnie budził w nim odrzę. W przeszłości bywał już wielokrotnie w podobnej sytuacji. Był w potrzasku. Niezdolny do wyrwania się z objęć snu, zanim nastąpi potworny finał. Mógł czuć dotyk jej piersi ukrytych pod przejrzystą sukienką, zapach perfum otulających jej ciało; mógł słyszeć jej pełne zadowolenia westchnienia, gdy jego ręce ślizgały się wzdłuż jej ciała. Jej natarczywe palce rozpięły zamek od spodni i nagłym szarpnięciem uwolniły go od nich.

- El Rancho Grandę - roześmiała się, powtarzając refren piosenki z kabaretu, który razem wcześniej obejrzeli.

Miał ochotę zerwać z niej sukienkę i rzucić się na nią. Tego jednak nie wolno mu było zrobić. Jej śmierć musiała wyglądać na nieszczęśliwy wypadek. Zmusił się więc do zrobienia kroku w tył, pozbywając się jednocześnie ubrania. Koszula, krawat, spodnie, bielizna znalazły się na podłodze, ostrożnie ułożone tak, aby nic nie wysliznęło się z kieszeni. Lisie Beaumier, gotowa sprawić rozkosz, skwapliwie poszła za jego przykładem. Zdjęła przez głowę sukienkę i odrzuciła ją na bok. Następnie zrzuciła halkę i ukazały się jej pełne piersi o płaskich sutkach, zaróżowionych z podniecenia. Czarne majteczki ozdobione koronką wylądowały na podłodze i oto stanęła przed nim, pewna wrażenia, jakie wywiera jej nagość. Chwycił ją na ręce i zaniósł do łazienki. Gdy umieścił ją w wannie - wstrzymała oddech ze zdziwienia.

- Chcę zobaczyć ciebie wilgotną - powiedział, odkręcając kran.

- Już jestem. Nie widzisz?

Włożyła palec między uda, a potem podała mu rękę. Woda, która zawirowała naokoło ich stóp, była za gorąca. Wyregulował temperaturę i zapytał o sól do kąpieli, wiedząc już z góry, gdzie ją można znaleźć. Nasypał proszek bezpośrednio pod strumień wody i zajął miejsce w wannie obok Lisie, obrócony twarzą w jej kierunku. Bąbelki szybko zaczęły wypełniać przestrzeń, pograżając ich ciała w pianie. Pozwolił, aby jego palce wniknęły w nią, w jedwabne i umiejętne zakamarki jej ciała, podczas gdy ona pieściła go, szczypiąc, poklepując, głaszcząc, przybliżając go do orgazmu, który jednak nigdy nie miał być ich udziałem. Ich ciała, wijące się i splecione nogami, coraz mocniej parły do siebie. Czoło Lisie błyszczało od potu. Objęła go w pasie i kołysała się na jego palcach, w przód i w tył, z twarzą pokrytą rumieńcem, chwytając gwałtownie powietrze ustami. Przerwała nagle.

- Chodź. Chodź do łóżka.

Nie mógł do tego dopuścić, chód tak bardzo pragnął się w niej pograżyć. Nie mógł jednak powstać cień podejrzenia, że ktokolwiek towarzyszył Lisie tej nocy. Wyprostował się i ociągając wyszedł z wanny na dywanik. Zbliżał się moment zakończenia.

- Poczekaj - powiedział, gdy chciała pójść w jego ślady. - Pozwól, że cię osuszę.

- Lepiej się pospiesz.

Stała wyprostowana. Resztki piany spływały jej po brzuchu, gdy jego usta ruszyły w ślad za rącznikiem. Zaczął od szyi i posuwał się w dół. Pocałował jej pępek i dotarł wzdłuż błyszczącego podbrzusza do delikatnych różowych warg ukrytych w ciepłych włosach łona. Jednocześnie stopniowo przesuwiał stopy wycierając je tak, by były suche, gdy nadejdzie czas działania. Opadł na kolana. Lisie obserwowała go z łagodnym uśmiechem. Wciąż jeszcze czuł cierpki smak jej podniecenia na języku, gdy zaparłszy się mocno nogami, rzucił się całym ciężarem ciała do przodu. Zaczęła coś mówić, lecz kant jego dłoni uderzył ją w podbródek,

zatraskując ze zgrzytem zębów jej szczęki. Rozległ się przytłumiony odgłos łamanego karku. Upadła do tyłu osuwając się po ścianie. Jej ciało utonęło w pianie. Gdy ją wydobył na powierzchnię, głowa opadła do tyłu i można było zobaczyć język. Był nieomalże odgryziony.

Paul zerwał się i usiadł szybko na łóżku. Serce waliło mu jak młotem, oddychał głęboko i nierówno. Przesiąknięta potem pizza lepiła się do jego ciała, krępując mu ruchy. Ponieważ był sam, zajęło mu dobrą chwilę, zanim uświadomił sobie, że jest we własnym domu, a nie w podróży służbowej, gdzieś za granicą, na tropie nowej historii. Nagle przypomniał sobie kłótnię z żoną. Joanna zeszła na parter, aby oglądać telewizję; tuliła swój żal popijając alkohol i oglądając kino nocne. Do tej pory nie wróciła.

Paul wyplątał się z prześcieradeł. Wstał z łóżka i poszedł do łazienki. Skropił obficie twarz wodą, przechylił głowę do tyłu i odetchnął głęboko. Strumyczki wody spłynęły po jego szyi i piersi, nikaąc pochłonięte przez bawełnianą tkaninę. Widok ciała kobiety, którą zabił wciąż falował mu przed oczami. Wciąż czuł zapach jej perfum, a w uszach trwał odgłos krótkiego sapania, gdy jego ręka trafiła w podbródek. Takie koszmary przeżywał już w przeszłości, ale nigdy dotąd nie zabijał w nich kobiety. Zawsze byli to mężczyźni.

Paul zszedł po schodach na dół. Joanna spała na kanapie. Pokój tonął w ponurym blasku kineskopu telewizora. Naciągnęła na siebie kaszmirowy szal z Afganistanu, nakrywając się nim jak kocem. Jedyne stopy pozostały nie przykryte, widoczne spod lamówki z frędzelkami. Spała z dłonią wsuniętą między policzek i kasztanową poduszkę. Jej cienkie usta były wpółotwarte. Nabrały dzięki temu pełniejszego wyglądu, którego brakowało im na codzień, za wyjątkiem chwil gniewu lub miłości. Uśpiona nie wyglądała na swoje dwadzieścia osiem lat, lecz znacznie młodziej. Obok kanapy leżała przewrócona butelka „Remy Martin”, a u jej wylotu, na dywanie, widać było małą płamę. Paul podniósł butelkę i postawił ją na stoliku do kawy. Rozważył problem przeniesienia Joanny do łóżka, ale porzucił ten pomysł. Taka próba mogła się skończyć jej przebudzeniem i rozpętanem od nowa sprzeczki, którą prowadzili wcześniej.

Paul właśnie przeglądał kopie raportu komisji Rocklanda-Birdwella na temat komponentów do programu Wojen Gwiezdnych, kiedy do pokoju weszła Joanna. Wzięła raport do ręki i przejrzała go na chybił trafił. Miała wąskie ręce o długich palcach. Jedyne jej paznokcie były nieco zniekształcone przez nawyk ogryzania.,

- Co to za historia?

- SDI. Komisja fałszuje sprawozdanie z postępu badań. Zmieniają kryteria testów tak, aby wszystko zgadzało się z harmonogramem. - Paul zapał się mocniej o oparcie krzesła. -

Powstaje pytanie, czy robią to, aby oszukać Departament Obrony, czy na jego polecenie starają się wyolbrzymić niebezpieczeństwo grożące Rosjanom?

Miał na myśli zbliżający się Traktat o Wzajemnym Bezpieczeństwie, który miał polegać, między innymi, na wzajemnej wymianie technologii obronnych” - amerykańskiego programu Wojen Gwiezdnych i rosyjskiego tajnego projektu nadajnika fal RF, znanego powszechnie jako Projekt Newski. Nie interesowało to Joanny w najmniejszym stopniu. Położyła rękę na jego ramionach i wplotła palce we włosy opadające mu na kark.

- Idziesz do łóżka?

Miała na sobie jasnoniebieską jedwabną bluzkę, która pasowała do koloru jej oczu. Stała tak blisko, że jej biodro dotknęło jego barku.

- Chcę najpierw zobaczyć, co tutaj mam. Joanna opuściła rękę.

- Paul... ja chcę urodzić jeszcze jedno dziecko. Nie przerywał pracy. - Nie masz zamiaru mi odpowiedzieć - powiedziała po chwili.

- A zadałaś pytanie?

- Powiedziałam, że chcę urodzić jeszcze jedno dziecko.

- Raz już mieliśmy dziecko.

I umarło, pomyślał Paul.

- Dom jest taki pusty. Ja czuję się pusta... Chcę jeszcze jedno dziecko...

- Nie.

- Paul...

- Nie chcę przechodzić przez to jeszcze raz.

- Ty nie chcesz przez to jeszcze raz przechodzić?

- Nie chcę, abyśmy oboje ponownie to przeżywali. Zrobiła krok i stanęła przed nim, trzymając się za łokieć. Mówiła z wysiłkiem, starając się utrzymać spokojny ton głosu.

- Paul, to co się stało, to nieszczęśliwy wypadek. Wiesz o tym przecież, prawda?

- To właśnie czuję.

Skupił, swoją uwagę na dokumentach.

- To ty przecież chciałaś założyć rodzinę - stwierdziła. - Mnie to nawet przez myśl nie przeszło, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

- W takim razie nic się nie zmieniło.

- Wszystko się zmieniło. Założyliśmy rodzinę. Powiedziałeś, że chcesz mieć czworo dzieci.

- Już tego nie chcę.

- Kiedy to się... kiedy tak zdecydowałeś? Kosmyk długich czarnych włosów zaplątał się jej w kąciku ust. Odrzuciła go na bok.

- Myślę tak od pewnego czasu.

- Można wiedzieć, jak długo?

Chciał powiedzieć, że od czasu śmierci Jasona. Od poranka w dniu pogrzebu, kiedy zobaczyłem ciebie śpiącą spokojnie i niewinnie, tak jakby nic się nie stało.

Ale stało się. Szesnaście miesięcy wcześniej Joanna wzięła Jasona i razem pojechali w odwiedziny do jej rodziców w Charlottesville. Dziadkowie mieszkali w dużym, chaotycznie wybudowanym wiejskim domu, stojącym na wzgórzu z widokiem na miasto. Po zostawieniu chłopca pod opieką rodziców - matki, która przygotowywała wigilijną kolację i ojca kończącego układanie podłogi w piwnicy, pojechała na zakupy. Kiedy wyjeżdżała, Jason pomagał dziadkowi. W jakimś momencie poszedł na górę i od tego czasu każde z dorosłych myślało, że malec jest pod opieką drugiej osoby. Nikt nie zauważył, kiedy wyszedł na zewnątrz. Nikt nie usłyszał, gdy wpadł, poprzez cienką warstewkę lodu, do wody w basenie. Gdy go odnaleźli, było już za późno.

Joanna wiedziała, o czym myśli Paul.

- To niesprawiedliwe - powiedziała miękko. - Ja go nie zabiłam.

- Ale nie byłeś w stanie go ochronić. I ja też nie. Żadne z nas nie było w stanie tego uczynić.

- Uważasz, że to moja wina. Prawda?

Nie, pomyślał, czując nawrót zawilego i przewrotnego rozumowania. To była niczyja wina. Trzeba przebaczyć i zapomnieć. Zapomnieć, że zabrałaś go do Charlottesville. Zapomnieć, że twoi rodzice byli tak cholernie niedbali, że pozwolili mu umrzeć w odległości mniejszej niż pięćdziesiąt stóp od domu. Zapomnieć, że właśnie wtedy byłem nieobecny. Zapomnieć, że w ogóle mieliśmy syna.

Stłumił rozdrażnienie i powiedział: - Nie.

- Czy to matka i ojciec? Czy teraz ich obarczysz winą?

- Nikogo nie obarczam winą.

- A właśnie, że obarczasz.

Wtedy, patrząc na nią, powiedział ostro i napastliwie:

- Nie ma go, w porządku? Nie ma go, przestał być częścią tego, co nas otacza. Niczego, co mógłby dokonać, już nie dokona; nikt o nim nie będzie wiedział - przyjaciele, których mógłby mieć, żona, dzieci...

Joannie łzy napłynęły do oczu. Zasłoniła sobie uszy rękami i uciekła z pokoju, nie czekając na zakończenie.

Przez moment Paul poczuł chęć, by ją dogonić, ale uczucie to szybko ustąpiło w obliczu ostatnich okrucich wspomnień po Jasonie... zanoszącym zabawki do bagażnika, odjeżdżającym samochodem ze Smokiem, otrzymanym w prezencie w Dniu Dziękczynienia. Jasonie z nosem przyklejonym do szyby i machającym rączką na pożegnanie. Do tej pory nie opuściło go wspomnienie zaufania, z jakim chłopczyk patrzył na niego. Wychowując dzieci nie można szukać usprawiedliwień. Żadnych usprawiedliwień... Teraz, patrząc na śpiącą Joannę, próbował rozpalić w sobie na nowo uczucia, które kiedyś ich łączyły. Wyobrażał sobie, że kocha się z nią, a ona pogrążona jest we śnie. Wciąż jeszcze pociągała go jej uroda i podniecała obecność, ale teraz pragnął jej bez zobowiązań. Wyobrażał sobie instynktowną reakcję jej ciała w czasie snu; zaróżowioną skórę, biodra kołyszące się zgodnie z rytmem nadanym przez niego, naprężone mięśnie nóg pod jego ciężarem.

Paul ukląkł, aby ją pocałować, jego kolano dotknęło czegoś zimnego, była to plama po koniaku. Nagle scena z koszmarne snu powróciła, a z nią myśli o śmierci, o okaleczeniu. Joanna stała się dla niego obca, blada twarz kobiety o płaskich rysach na tle masy czarnych włosów rozsypanych na poduszce. Obrazy zniszczenia i śmierci tłoczyły się w jego mózgu. Z doświadczenia wiedział, że nie uwolni się od nich, zanim nie wygna koszmaru ze swej pamięci.

Poszedł po schodach na górę do swojego gabinetu, wydobyl blok papieru w żółtej oprawie i zaczął pisać. Koszmary przychodziły rzadko, ale gdy już mu się przydarzyły, to traktował je jako ośnowę swoich opowieści sensacyjnych, które następnie wysyłał do magazynu Black Cal Mystery Magazin. Nie zarabiał na nich zbyt wiele, ale widok własnego nazwiska na liście autorów fikcji literackiej sprawiał mu przyjemność. Z niewiadomych przyczyn wywierało to większe wrażenie, niż zawód reportera.

Pisał szybko na obydwóch stronach papieru i wrzucał ukończone arkusze do szuflady. Dwie godziny później, kiedy świat na zewnątrz poszarzał i nabrał trójwymiarowości, usłyszał pytanie zadane za jego plecami.

- Pracowałeś przez całą noc?

Obrócił się przestraszony. W drzwiach stała Joanna owinięta szalem jak płaszczem. Wyglądała na zmęczoną. Paul podniósł się i podszedł do niej. Pozwoliła się objąć, a on zanurzył swoją twarz w jej włosach. Przez chwilę stali w drzwiach, nie mówiąc ani słowa.

- Pracowałeś, prawda?

- Miałem koszmarne sny.

Odczekała moment. - Te, w których kogoś zabijasz?

- O mało cię nie obudziłem.

- Cieszę się, że tego nie zrobiłeś - powiedziała. Nigdy w życiu nie miała koszmarnych snów.

- Tym razem to była kobieta.

- Ja? - zapytała, po raz pierwszy okazując iskierkę zainteresowania.

- Nie, zupełnie do ciebie niepodobna. Poza tym miała na nazwisko Lisie Beaumier.

- Znasz jej nazwisko?

- Zawsze znam ich nazwiska.

- W jaki sposób ją zabiłeś?

- Złamałem jej kark. - Nic nie wspomniał o scenie uwiedzenia, która bezpośrednio poprzedzała zabójstwo.

- Złamałeś jej kark. - Joanna powtórzyła ponuro, tak jakby można było tego oczekiwać. Nie była rannym ptaszkiem. Wychodząc z pokoju Powiedziała: - Idę zrobić kawę. Potwornie się czuję.

Przy śniadaniu odnosili się do siebie z nieśmiałością wyczerpanych bokserów. Paul rzucił okiem na Washington Post i porównał to, co tam napisali, z tym, co było w jego własnej gazecie, waszyngtońskim Herald. Post był lepszą gazetą, lecz Paul nie czuł zazdrości. Herald, wciąż zabiegający o prestiż i zaufanie wśród czytelników, nagiął swoje zasady, aby i on mógł się w nim znaleźć. Był tam gwiazdą pierwszej wielkości. Pisząc w Post, byłby tylko jeszcze jednym zdobywającym nagrody dziennikarzem.

Joanna chrząknęła z zadowolenia. Właśnie przeglądała rubrykę, obejmującą sztukę i rozrywki, w gazecie rozpostartej na kuchennym stole.

- Dzięki Bogu, zamieścili to. Widzisz? Wydrukowali artykuł na temat Luisa.

Artykuł dotyczył Luisa de Cuevo, artysty z Brazylii, którego wystawa miała być otwarta dzisiejszego wieczora w Gallerie UEnfant. Joanna była asystentem komisarza w galerii i pracowała wraz z Cue vo, organizując wystawę. Paul zajrzał do tekstu i stwierdził, że zdjęciom do artykułu brak było kontrastu, co powodowało, że prace Cue-vo nie wyglądały najlepiej. Składały się głównie z płaszczyzn, kątów i innych geometrycznych figur. Sam Cuevo patrzył wyniośle w stronę kamery. Wyglądał jak jakaś imitacja konkwistadora. Był to świat, który Paula zupełnie nie interesował, a on sam szczerze wątpił, by i jego żona wytrzymała długo w swym zapale. Od kiedy byli razem, działała w organizacjach pomocy dla głodujących, ocalenia zabytków architektury, żeglowała, potem przyszło zainteresowanie teatrem a teraz sztuką.

- Przyjdiesz na wernisaż? - zapytała go.

- O której godzinie?

- Od wpół do szóstej do ósmej. Napijemy się szampana za darmo, Może uda mi się ciebie poderwać.

Czy odnosiło się to, w zakamuflowany sposób, do ich sporadycznego współżycia seksualnego, trudno było Paulowi powiedzieć. Ostatnio, kiedykolwiek kochali się, targało nim uczucie beznadziejności, którego nigdy do tej pory nie było. Z trudnością przychodziło mu czuć się blisko z nią związanym.

Ubrana wciąż w płaszcz kąpielowy, poszła razem z nim do garażu w przybudówce. Drzwi otworzyły się za naciśnięciem guzika, unosząc się ze zgrzytem i klekotem pod sufit. Wilgotne, zatechłe powietrze poruszyło się i w świetle ukazały się dwa stojące wewnątrz samochody: audi Paula i alfa romeo Joanny. Stała na palcach i pocałowała go mocno, a na koniec ugryzła go w dolną wargę. Szarpnął głową do tyłu. Poczł słaby smak krwi, jakby trzymał cynową łyżeczkę w ustach. Wpatrywała się w niego.

_. Łatwo jest ranić siebie nawzajem - powiedziała. - Trudniej jest tego nie robić.

Wróciła do kuchni, zanim znalazł odpowiedź. Lekkie drzenie w jej głosie zapobiegło jego irytacji i poczuł nagły przyływ czułości. Wciąż trudno było przewidzieć, jak ona postąpi. Agresywna i zarazem pełna czułości. Jej zachowanie powodowało, że wciąż była najbardziej pociągającą kobietą, jaką kiedykolwiek udało mu się spotkać.

W mrocznym pokoju, pół przecznicy dalej, siedział mężczyzna z wzrokiem wbitym w ekran monitora, na którym widać było front domu Paula. Obok stał inny monitor skierowany na tyły domu. W chwili, gdy audi zakreśliło na ulicę, mężczyzna zanotował czas na stronie, na której już zapisany był rozkład poprzednich przyjazdów i odjazdów. Następnie podniósł radiotelefon i wyszeptał.

- Decker sześć do Deckera jeden.

Odpowiedź, która nadeszła, wypowiedziana była równie sucho i bezdźwięcznie.

- Decker sześć, melduj.

- Alfa odjechał.

- Zrozumiałem. Alfa odjechał.

- W porządku

- Mamy szczęście.

Mężczyzna odłożył radiotelefon, podniósł się, przeciągnął, usiadł ponownie i otworzył kieszonkowe wydanie powieści.

Po drugiej stronie kuli ziemskiej gruby inspektor policji wyszedł właśnie z antycznej windy i przecisnął się wzdłuż korytarza do drzwi mieszkania, gdzie grupa gapiów wyciągała szyje starając się rzucić okiem do środka. Wyglądali jak stado gołębi czekających na okruchy chleba.

- Allez, allez.

Wewnątrz mieszkania przywitał go policjant i poprowadził do łazienki, gdzie znaleziono w wannie, z jedną ręką przewieszoną niezdarnie ponad brzegiem, zwinięte ciało młodej kobiety. Ofiara była naga. Jej skóra była mokra i lekko pomarszczona, jakby dziewczyna stała za długo pod prysznicem. Fotograf z bardzo wymyślną kamerą właśnie robił Ujęcia. ^-''-~~~\

Kran był odkręcony, kiedy ją znalazłem - powiedział policjant.

- Dzięki temu konsjerżka zorientowała się, że coś jest nie w porządku. Od rana nie było ciepłej wody.

- Nieszczęśliwy wypadek, jak sądzę?

- Skręciła sobie kark w momencie upadku. Widzi pan siniak na brodzie? - Potrząsnął smutno głową. - Co za strata. Taka piękna dziewczyna.

- Znamy jej nazwisko?

- Lisie Beaumier. Nikt szczególny.

Policjanci zostali oślepieni błyskiem elektronicznej lampy błyskowej, a dwóch sanitariuszy zabrało ze sobą ciało.

Rozdział 2

Paul Stafford nie miał w Harald imponującego pomieszczenia na biuro, ale też nie spędzał zbyt wiele czasu w redakcji. Biuro spełniało raczej rolę symbolu pozycji jaką zajmował. Odróżniało go od rzeszy reporterów siedzących razem przy biurkach w dziale miejskim, który oddzielony był od reszty ścianą ze szkła. Paulowi przysługiwało osobne pomieszczenie, ponieważ posiadał specjalny tytuł - redaktor do spraw dochodzeń. Dwa razy w tygodniu spotykał się z trzema reporterami śledczymi gazety i wspomagał ich radą oraz udzielał wskazówek. Raz w tygodniu miał spotkanie z redaktorem naczelnym, Berni Sternem, i bronił przed nim owych rad i wskazówek. Resztę czasu poświęcał na pisanie własnych tekstów.

W dniu kiedy pojawili się agenci CIA, Paul był zajęty w biurze rozmową z młodym fotoreporterem o nazwisku Dick Lazarus. Ponieważ Paul robił własnoręcznie zdjęcia do

swoich artykułów, był często poszukiwany przez tych, którzy chcieli także łączyć ze sobą te dwa światy - słowa i obrazu. Dick próbował od dłuższego czasu, bezskutecznie, zrobić zdjęcia Angelo Vespucci, rozslawionemu członkowi mafii, który właśnie składał oświadczenie przed podkomisją senatu. Dwa razy został poturbowany przez goryli Vespucciego i Paul zaproponował mu zastosowanie tak zwanego „Przerzutnika Stafforda”. Zbierali się już do wyjścia, chcieli najpierw coś zjeść, a potem fotografować Vespucciego, gdy dziewczyna z recepcji zadzwoniła z wiadomością, że dwóch mężczyzn z Centralnej Agencji Wywiadowczej jest w budynku i pragną się z nim widzieć.

Paul rzucił okiem na Dicka. Wyglądało na to, że był pod wrażeniem.

- Będziemy musieli poczekać na lunch - powiedział Paul.

- Czy to jakaś aktualna sprawa?

Dick był wystarczająco krótko w Waszyngtonie, aby wizyta agentów z CIA go podniecała, ale też i na tyle bystry, że potrafił tego nie okazać.

- Dogłębny raport na temat zachowań homoseksualnych w CIA - odpowiedział mu Paul.

- Naprawdę?

- Ci dwaj faceci dzielą apartament na łodzi mieszkalnej na rzece Potomak.

Dick gwizdnął: - Bomba.

W ciągu kilku minut w całym budynku plotkowano z ożywieniem: Paul demaskuje CIA, Paul zostaje aresztowany pod zarzutem szpiegostwa, Paul jest w rzeczywistości tajnym agentem CIA, Paul sfotografował bez pozwolenia tajną bazę wojskową. Za szybą, w dziale miejskim, pracownicy wyciągali szyję, starając się dostrzec coś ponad labiryntem przepierzeń, w miarę jak wiadomości coraz bardziej się rozprzestrzeniały.

Paul wziął z biurka dwa napędzane motorami Nikony i wręczył je Dickowi.

- Weź je - powiedział. - Zatelefonuję do ciebie, kiedy skończymy rozmowę.

- Jesteś pewny, że nie chcesz mieć świadka?

Paul potrząsnął przecząco głową. - Wyglądasz zbyt ponętnie. Mogli by się na ciebie przerzucić.

Wyraz twarzy Dicka świadczył, jak bardzo mu się nie spodobała taka myśl. Należał do młodzieży wychowanej na wschodnim wybrzeżu. Przyzwyczajony był do gwary hippisów i nosił się z lekka jak punk: szare spodnie z zakładkami, szelki w szachownice, niebieski podkoszulek i za duża sportowa kurtka, w kolorze lawendy, z rękawami zawiniętymi do łokci. Nic dziwnego, że ludzie Vespucciego cisnęli nim o ziemię, zanim zbliżył się na sto jardów do ich szefa.

Za oknem widać już było zbliżających się agentów z CIA. Jeden wyglądał na mocniej zbudowanego, ale obaj byli gładko ogoleni i starannie ubrani w sposób, który powoduje, że nawet konserwatywne ubranie wygląda jak mundur wojskowy. Podobni są do żołnierzy w cywilnych ubraniach, pomyślał Paul. Albo do ludzi z Tajnych Służb, tyle że bez okularów przeciwsłonecznych. Zastanawiał się, czy ta wizyta ma coś wspólnego z raportem Rocklanda-Birdwella o SDI.

Gdy nadeszli, Dick wymknął się drzwiami... Paul włożył rękę do kieszeni i nacisnął spust migawki aparatu Ricoh FF-90. Była to mała, całkowicie zautomatyzowana kamera, której Paul używał do szybkich zdjęć robionych na gorąco. Rozległ się cichy trzask poprzedzający cieniutkie brzęczenie, gdy lampa elektroniczna zaczęła się ładować. Przed drzwiami Dick stanął na moment, aby obrzucić agentów pełnym pogardy spojrzeniem.

- Czy pan Stafford? - odezwał się starszy mężczyzna. - Nazywam się Hugh Roark, starszy oficer śledczy, Centralna Agencja Wywiadowcza. A to jest mój asystent, Maurice Singer.

Singer zamknął drzwi do biura i potwierdził prezentację skinieniem głowy. Był szczupły, o bladej twarzy bez wyrazu, jak manekin na wystawie sklepu. Roark, przeciwnie, miał swobodny i miły sposób bycia połączony z rozbrajającym uśmiechem. Było to sprzeczne z wyrazem jego oczu - niespokojnych i wyrachowanych. Obydwaj otworzyli karty identyfikacyjne. Na moment. Po czym je równie szybko schowali.

- Proszę usiąść - zaprosił ich Paul.

Hugh Roark natychmiast zajął jedyne w biurze wyściełane krzesło, a Maurice przyciągnął dla siebie jedno z dwóch stojących pod ścianą plastikowych krzeseł.

- Co mogę dla was zrobić?

- Mamy pewien problem, który tylko...

Paul wyjął aparat z kieszeni i niedbale zrobił zdjęcie. Błysk flesza zatrzymał Hugh'a w pół słowa i spowodował, że Maurice wyskoczył z krzesła jak z katapulty.

- Bardzo sprytnie. Ale teraz oddaj aparat.

- Przepraszam, co pan powiedział?

- Aparat albo film, nie dbam o to.

- Spokojnie, Maurice - odezwał się Hugh.

- Zrobił nam zdjęcie.

- Nie opublikuję ich bez waszego pozwolenia - powiedział Paul.

- Nie opublikujesz ich wcale. Wyniosę je stąd w mojej kieszeni.

- Siadaj, Maurice - powiedział Hugh Roark cicho. Młodszy mężczyzna obrócił się w kierunku swego szefa. - A co będzie, jeśli zostaniemy wciągnięci na jego listę?

Paul stwierdził: - Profil jest dobry. - I strzelił jeszcze jedno zdjęcie.

Hugh spostrzegł, co się święci i zdołał zasłonić twarz ręką, ale Singer został całkowicie zaskoczony. Skierował w stronę Paula mordercze spojrzenie, jednak Hugh podniósł się i uspokajająco położył mu rękę na ramieniu.

- Spokojnie - powiedział, a potem zwrócił się do Paula. - Mr. Stafford, nie wiem, czy orientuje się pan, czy nie, ale czasami robienie fotografii agentom operacyjnym może być poczytane za zagrożenie bezpieczeństwa narodowego. Moglibyśmy pójść do sądu i zmusić pana do oddania kliszy.

- W czasie wojny moglibyście - zgodził się Paul - a także, jeśli prowadzilibyście tajną operację, Tylko, że teraz nie ma wojny, a waszyngtoński Herold nie jest polem bitwy. Wątpię też, czy rozmowa z dziennikarzem może być uznana za tajną operację.

- Proszę więc pozwolić mi przedstawić to w następujący sposób. Przyszliśmy tutaj w dobrej wierze. Jeśli będzie pan niepokoił nas dalej, wrócimy z nakazem sądowym i szeryfem Stanów Zjednoczonych. Wszystko zależy od pana.

- Okay. Nie będzie więcej zdjęć.

Paul wsunął aparat do kieszeni, położył dłonie płasko na biurku i czekał. Zabawił się, a teraz chciał wiedzieć, co ich sprowadza do niego. O jakiej liście wspominał Maurice?

Ludzie z CIA usiedli i Hugh wyjął metalowy prostopadłościan, minimalnie większy od kostki domina.

- Nie ma pan nic przeciwko temu, że rozmowa będzie nagrywana, prawda?

- A po co?

- Zaoszczędza to czas na robieniu ręcznych notatek. Położył instrument na brzegu biurka.

- To jest magnetofon?

- Jedno z naszych własnych opracowań. Dziewięćdziesiąt sześć minut na trwałym mikrowłóknie. Nie zgłasza pan sprzeciwu. Prawda?

Pytanie było retoryczne, o czym Paul wiedział. Jeśli chcieli umieścić rozmowę na taśmie, mogli to zrobić bez jego wiedzy i przyzwolenia.

- Proszę się nie krępować.

- Po pierwsze - zaczął Hugh - proszę pozwolić nam sprawdzić, czy mówimy z właściwą osobą. To pan jest autorem pięciu opowiadań w Black Cat Mystery Magazine. Zgadza się?

Paul wyszczerzył zęby. - Co to jest? W co wy, chłopcy, gracie?

- To było bardzo proste pytanie.

- Mam dwie nagrody Pulitzera - obie za fotografię i dziennikarstwo. Langley wysłał was na rozmowy o papce z Black Catl

- Czy pan jest ich autorem?

Paul zorientował się, że mówią poważnie.

- Napisałem te historyjki. O co chodzi?

Hugh wyjął notes i zajrzał do niego. - Pana pierwszym opowiadaniem było „Asy często przynoszą śmierć,” w którym człowiek nazwiskiem Dań Kelso został zamordowany przez utopienie, zgadza się?

- Właśnie wam powiedziałem, że napisałem te historie.

- Proszę o wyrozumiałość, panie Stafford. Mam zamiar ustalić podstawowe fakty, zanim poruszę główny temat sprawy.

- Sprawy. Jakiej sprawy?

Hugh obdarzył go łagodnym spojrzeniem dobrego wujaszka. - Proszę, jeśli tylko możemy skończyć z omówieniem treści pana historii. Resztę wyjaśnię za chwilę. Pana następnym opowiadaniem było, zobaczmy...

- „Śmiertelny sport” - wtrącił Maurice niecierpliwie. - Jilrgen Manheim.

Przez cały czas Maurice był wpatrzony w Paula. Nie mogło być pomyłki; on znał wszystkie fakty na pamięć. Uśmiech na twarzy Hugh'a przygasł nieco, ale gładko przełknął to, że mu przerwano.

- Tak, zgadza się. Zakładam, że jako autor pamięta pan, jaką śmierć pan wybrał dla Jilrgena Manheima?

- Pozorowane samobójstwo. Strzał w głowę.

- Doskonale. Po czym w rok i sześć miesięcy później przyszło „Zrządzenie losu”, w którym człowiek imieniem Maxwell Durning spadł w czasie wspinaczki górskiej i złamał kark. Dziewięć miesięcy później, w „Nieparzyste numery odpadają” ofiara została, dzięki panu, poddana egzekucji w gangsterskim stylu, a jej ciało wepchnięto do bagażnika własnego samochodu. Dwa lata po tym, człowiek nazwiskiem Frank Schrader jest otruty w „Handlarzach rozpaczą”. - Hugh podniósł wzrok znad notatnika. - Czy to dokładne streszczenie opowiadań napisanych przez pana aż do tej pory?

- To nie było streszczenie moich opowiadań. Pan przedstawił podsumowanie morderstw. - Koszmarnych snów, chciał powiedzieć. Podsumowałeś sny, których treść legła u podstaw tych opowiadań.

- Nas interesują morderstwa, panie Stafford. - Hugh spojrział na twarz Paula w poszukiwaniu najmniejszej zmiany wyrazu. - Myślę, że pan wie dlaczego.

- Nie mam pojęcia dlaczego.

- To byli prawdziwi ludzie, panie Stafford. A pan albo ich zabił osobiście, albo pan wie, kto to zrobił.

Paul roześmiał się. - Co to ma znaczyć? Czy to Wielki Brat was podpuścił?

- Nie śmiałbym się na pana miejscu - powiedział Maurice.

- A co mam zrobić - przyznać się? Dobra chłopcy, a teraz pointa. Czyj to jest pomysł? Gdzie jest lista z dialogiem? Gdzie jest Czarny Piotruś?

- To nie jest dowcip, panie Stafford. Dwóch z tych, którzy zginęli było naszymi ludźmi - pracownikami agencji. Pozostała trójka była cennym nabytkiem. Dostarczyli nam istotnych informacji o Związku Radzieckim i aktywności Układu Warszawskiego.

- Oczywiście, oczywiście.

- Próbuję być z panem uczciwy, panie Stafford. Możemy to robić inaczej, wie pan o tym.

- Na przykład zwolnić mnie?

Maurice prychnął niecierpliwie. - To prowadzi nas donikąd.

- Czy pomoże nam pan? Czy powinniśmy ujawnić, że stanowi pan zagrożenie bezpieczeństwa i badane są pana powiązania z morderstwem. Wie pan, Waszyngton jest małym miastem. Ludzie mogą czuć się skrupowani, jeśli nie będą panu ufali.

Co, do diabła, oni mu opowiadali? Że zabijał ludzi śniąc o tym? Ależ to śmieszne. Nagle jednak nasunęło mu się inne rozwiązanie. Właśnie był w trakcie pisania analitycznego tekstu demaskującego sprzeniewierzenie kontraktu obronnego. Już nadeszły pierwsze propozycje przekupienia go i nawet pośrednio grożono mu. Nie po raz pierwszy wywierano na nim presję i domyślał się, że być może jest to część umowy. W ten sposób dawano mu do zrozumienia, wplątując w sprawę morderstwa, by raczej zaprzestał swojego śledztwa. Ale wmawiać mu, że postaci z jego utworów literackich są prawdziwe? Że jest odpowiedzialny za ich śmierć? Taka metoda wywierania nacisku wydawała się zbyt daleko idąca.

Paul wstał. - Jeśli chcecie oskarżyć mnie o zabójstwo zmyślonych osób, proszę bardzo. Według mnie wyładujecie u czubków, zanim mnie postawią przed sądem. Tymczasem mam robotę do...

Hugh wyjął mały skrawek papieru z notesu i podał go Paulowi. Był to nekrolog z francuskiej gazety. Paul mówił płynnie kilkoma językami, ale nawet bez znajomości francuskiego widok nazwiska był jak policzek wymierzony w twarz:

BEAUMIER, Lisie Jeannette, wiek 27 lat, najukochańsza córka Heleny i Jakuba Beaumier

14 Rue Tilsit...

Paul usiadł szybko. Tydzień temu napisał opowiadanie o Lisie i wysłał je do magazynu Black Cat. Nie otrzymał nawet odpowiedzi, ale ci ludzie oczywiście czytali je. Czytali i co dalej? Rozpoznali imię Lisie Beaumier w nekrologu? Sprawdził datę śmierci, wiedząc z góry, czego się dowie. Dziewczyna zginęła tej samej nocy, kiedy miał sen. Istotnie, niesamowicie.

Kiedy Paul podniósł wzrok, Hugh obserwował go. - Jestem zadowolony, że nareszcie udało mi się, przykuć pańską uwagę.

- Lisie Beaumier... ona istnieje naprawdę?

- Istniała naprawdę. Miała romans z Terentim Ylasikiem, radzieckim ambasadorem we Francji. Składała raporty do naszej komórki w Paryżu. Lisie Beaumier pracowała dla nas.

- Jako szpieg?

Hugh wzruszył ramionami. - Nic pan nie wiedział o nekrologu? Paul popatrzył na wycinek ponownie. To nie miało sensu. Nic nie miało sensu. Potrząsnął głową powoli.

- To skąd pan wiedział? - zapytał Hugh.

- I dlaczego pan to opublikował? - dodał Maurice. Pochylił się do przodu, łokiec wsparł na krześle, a palcami prawej ręki nerwowo bawił się gumową opaską.

Paul czuł się tak, jak po wypadku, wtedy kiedy po raz pierwszy usłyszał wiadomość o Jasonie... to samo uczucie mdłości w żołądku, uczucie dezorientacji, utraty kontroli nad życiem, poczucie, że wszystko jest błędem.

- Wszyscy? - powiedział powoli. - Twierdzicie, że wszyscy żyli naprawdę, wszyscy ci ludzie?

- Nazwiska są prawdziwe, pan wie o tym. Musi pan o tym wiedzieć.

- Nie.

- Nie bawmy się w kotka i myszkę - powiedział Maurice. - Nazwiska i okoliczności śmierci zostały opisane dokładnie tak, jak to się odbyło. Wszystkie, oprócz jednego, zostały upozorowane na nieszczęśliwy wypadek - coś, o czym tylko morderca mógł wiedzieć. A to oznacza, że albo pan jest mordercą, albo pan go zna.

- Nikogo nie zamordowałem...

- To skąd znał pan ich nazwiska? Skąd pan wiedział, w jaki sposób zostali zabici?

- To wszystko, co wiem, usłyszałem od was. Skąd mogę wiedzieć, czy to prawda?

Paul rzucił wycinek w kierunku Mauric'a, a ten złapał go w powietrzu.

- Skąd mam wiedzieć, że wasze identyfikatory są prawdziwe? Skąd mam wiedzieć, że cokolwiek z tego, co mi powiedzieliście jest prawdą? Nic nie wiem o żadnym morderstwie i nic nie wiem o was. Wymyśliliście to wszystko - to wszystko, co wiem. A wiem to stąd, że nigdy w życiu was nie widziałem.

Hugh wyjął wizytówkę. - Zadzwoń pod ten numer.

- To niczego nie jest w stanie udowodnić. Jakiś anonimowy głos po drugiej stronie powie: „Jasne, oczywiście, tu CIA. Oczywiście, to goście od nas. Naturalnie, może pan wierzyć we wszystko, co powiedzą włącznie z banialukami na temat agentów umierających na historii kryminalne.” Sam mogę zorganizować zastrzeżony numer telefoniczny i zrobić to samo. - Paul podniósł słuchawkę telefoniczną i imitując głos sekretarki powiedział: - „Dzień dobry. Centralna Agencja Wywiadowcza”.

- Położył z trzaskiem słuchawkę na widełki. - Może pan udawać kogo pan zechce przez telefon. Sam to cały czas robię zbierając materiały.

Przestał. Paul zdał sobie sprawę, że mówi za dużo i za gwałtownie. Jego goście obserwowali go bez słowa. Paul wstał, podszedł do drzwi i je otworzył.

- Idźcie do Boba Woodwarta z Post. Zobaczcie, czy wam uwierzy.

Zanim wyszedł, Hugh położył swoją wizytówkę na blacie biurka. - Numer telefonu do mnie jest na odwrocie, w przypadku gdyby pan zmienił zdanie.

Kiedy odeszli, Paul usiadł. Wpatrywał się w drzwi tak długo, aż ukazała się w nich głowa Dicka.

- Poszli sobie?

- Co?

- No wiesz - połykacze noży.

Dick otworzył usta i włożył palec do gardła.

Nie zwracając na niego uwagi, Paul podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer do Stuarta Meekera, redaktora Black Cat Mystery Magazine. Kimkolwiek byli ci ludzie i kogokolwiek szukali, Stuart pozwolił im zobaczyć jego opowiadanie i Paul chciał wiedzieć dlaczego.

- Halo - powiedział Dick. - Idziesz czy nie?

- Poczekaj minutę.

- Będę w zecerni - wyszeptał głośno.

Black Cat był publikowany w Bostonie. Po początkowym zamieszaniu

- nie było wiadomo, czy Stuart poszedł na lunch czy nie - redaktor podszedł do telefonu i przeprosił za to, że nie zatelefonował natychmiast, jak tylko przeczytał opowiadanie Paula.

- Bardzo mi się podoba - powiedział. - Puścimy to w jednym z numerów jesiennych.

- Do tego czasu połowa ludzi na świecie już je przeczyta.

- Co to ma znaczyć? Masz na myśli, że ktoś inny ma zamiar to opublikować?

- Mam na myśli, że ktoś inny je czyta. Właśnie złożyło mi wizytę dwóch ludzi, którzy widzieli opowiadanie, a przecież jedyna kopia, oprócz tej, która leży w szufladzie mojego biurka, jest w twoim posiadaniu.

- Dwóch ludzi?

- Co się dzieje, Stuart?

- Przypuszczam, że jednym z nich był niejaki pan Johnson, huh?

- Kto to jest pan Johnson?

- On jest kolekcjonerem. Kocha wszystko, co napisałeś. Kupił wszystkie wydania z opowiadaniem Paula Stafforda i chciał mieć wgląd we wszystkie najświeższe rzeczy. Bardzo bogaty facet, Paul. Być może odrobinę ekscentryczny, ale zdecydowany zapłacić prawdziwą gotówką, żywymi dolarami. Myślałem, że mu sprawię przyjemność i w ten sposób zwrócę jego uwagę na innych autorów. Czy chciał dostać twój autograf?

- Ile ci zapłacił za możliwość przejrzenia opowiadania?

- Och, nie wiem dokładnie... dwie dychy, nie więcej niż stówę, czy coś koło tego.

- To znaczy ile? Sto?

- Musisz zrozumieć, Paul, że przez te opłaty pocztowe i wzrastające koszty druku, jesteśmy naprawdę przyciśnięci do muru. Nie widziałem nic złego...

- Stówę za rzut oka?

- Prawdę mówiąc za oryginał rękopisu. Zrobiliśmy kopię na ksero do użytku wewnętrznego. Tak jak powiedziałem, on jest kolekcjonerem. Jest w posiadaniu oryginału Skarbów Sierra Mądre, tak że znalazłeś się z dobrym towarzystwie.

Skarby Sierra Mądre, mój ty ośle, myślał Paul. Był pełen podziwu dla szczegółów. Dzięki nim oszustwo stawało się wiarygodne. Paul o tym wiedział. Sam korzystał w swojej pogoni za interesującym tematem do artykułu z mnóstwa mistyfikacji, popartych przekonującymi detalami. - Jakie jest jego pełne nazwisko?

- Bob. Bob Johnson. To prawdziwy wielbiciel. Dick Lazarus stanął w drzwiach, pokazując czas na zegarku. Paul pożegnał się i odłożył słuchawkę.

- Musimy się zbierać - powiedział Dick - jeśli mamy złapać Vespucciego.

Paul napisał nazwisko Lisie Beaumier na kawałku papieru i polecił Dickowi zanieść go do Kathy Craven, do działu badań.

- Powiedz jej, aby znalazła nekrolog w Le Malin. Tu jest data. - Zapisał wszystko na kartce.

- Paul, już prawie pierwsza godzina. Uno heura, jak to mówią w Herald w Miami. Vespuciego już nie będzie, kiedy tam dotrzemy.

- Zdążymy. Weź samochód. Spotkam się z tobą na dole. Idź już, idź.

Dick wyszedł szybko, a Paul wykonał jeszcze jeden telefon, tym razem do Rona Farquar, oficera śledczego z FBI. Po raz pierwszy spotkali się w czasach śledztwa w sprawie Tongsun Park. Paul przekazał wtedy pewne informacje przez Rona. Od tamtej pory świadczyli sobie wzajemne usługi. Wiele zawdzięczam miastu, myślał Paul, czekając na połączenie.

- Farquar.,

- Paul Stafford, Roń. Czy mógłbyś mi pomóc?

- Jeśli jestem w stanie.

- Dwa nazwiska: Hugh Roark i Maurice Singer. Z tego co wiem, są z CIA. Muszę mieć potwierdzenie.

- Grzebiesz za czymś przeciw CIA, Paul? - Pomysł zaintrygował go.

- Będziesz pierwszy o tym wiedział. Co z tymi nazwiskami?

- Nie tak łatwo. Mamy okólnik - oni trzymają się z dala od naszych spraw, my trzymamy się z dala od ich.

- Potwierdzenie o zatrudnieniu, to wszystko. Chcę wiedzieć, czy mam do czynienia z prawdziwymi tajniakami, czy może ktoś gra podrobionymi kartami identyfikacyjnymi. Czy możesz to zrobić?

- Dwadzieścia cztery godziny.

- Zadzwoń osobiście. Co słychać u dzieci?

- Zęby im się wyrzynają. Skautowa drużyna niedźwiadków. Szkoła baletowa i He-man. A jak się ma twoja żonka?

- Mecenat sztuki i szampan. Otwierają nową wystawę sztuki dziś w nocy. Wszystko w porządku.

- To nazwisko „Roark” to R-O-A-R-K i to drugie „Singer”, tak jak się mówi?

- Uhm. Roark ma około sześćdziesiątki, Singer może połowę z tego, trudno ocenić - bez ikry.

- Przezroczyły atrament płynie w jego żyłach.

- Prawdopodobnie. Chciałbym mieć potwierdzenie tak szybko, jak to możliwe.
- A ktoś by nie chciał.

W chwili, gdy odkładał słuchawkę, Paul sam siebie w połowie przekonał, że Roark i Maurice byli oszustami.

Rozdział 3

Joanna po raz pierwszy poszła do łóżka z mężczyzną, którego nie kochała. Luis de Cuevo był utalentowany, przystojny i nie ukrywał, że ją pożąda, ale Joanna nie kochała go, ani on jej nie kochał. Powiedziała sobie, że gdyby Paul nie złamał obietnicy, nigdy by do tego nie doszło.

Mieli się spotkać w galerii na otwarciu wystawy Cuevo. Przyszło na nią wielu ludzi, chociaż pomieszczenie galerii nie było zatłoczone. Na moment nawet zapanowała panika, gdy dostawca zatelefonował z informacją o zepsutej ciężarówce, ale udało im się znaleźć kogoś innego, a przystawki przybyły w samą porę. Skrzypaczka w długiej wiktoriańskiej sukni, to był pomysł Joanny, okazała się być wielkim sukcesem. Wszystko przebiegało znakomicie. Wypiła już wystarczającą ilość szampana i była gotowa zacząć wypatrywać Paula i wyzbywać się napięcia, które czuła od samego rana, kiedy zadzwonił telefon.

- Coś się stało - usłyszała od Paula. - Nie jestem w stanie przyjść dzisiaj wieczorem.

- Gdzie jesteś?

- Wciąż w redakcji. Przeglądam nekrologi w poszukiwaniu nazwisk. Nigdy nie zgadniesz czyich.

- Czy nie może to poczekać do jutra? - zapytała. Nie podobał się jej ton irytacji i prośby we własnym głosie.

- To może, ale ja nie mogę. Poza tym wykrzywianie twarzy w uśmiechach do pretensjonalnych mecenasów sztuki powoduje, że wargi mi cierpną.

- Będziemy tutaj do ósmej trzydzieści.

- Zrozum. To bardzo ważne. W porządku?

Tak, jakby to wyjaśniało wszystko. Ważne. Wszystko, co Paul robił, było ważne.

Wiedziała, że praca dobrze na niego wpływa, trzyma go z dala od rozpamiętywania tego, co się stało z Jasonem, ale wiedziała też, że praca staje między nimi. Paul często podróżował i spędzał większość wieczorów w redakcji Herolda, zostawiając ją w domu, samotną, tylko w towarzystwie kieliszka koniaku, którym mogła łagodzić ból, jaki zadawały wspomnienia. Przez większość czasu próbowała zachować ból tylko dla siebie, ukazując na

zewnątrz ciepłą, pogodną twarz. Miała nadzieję, że będzie w stanie spowodować nawrót intymnych uczuć, które sprawiały im przecież taką radość. Bez rezultatu. Miała tego świadectwo codziennie rano. Coś z jego osobowości ulotniło się. Momentami czuła, że patrzy się na nią jak na obcą osobę. Kiedy obserwował ją bez ubrania, jego spojrzeniu brakowało ciepła. Miłość fizyczna stała się sporadyczna i powierzchowna.

Telefon wydał gniewny, piskliwy świergot. Joanna wciąż trzymała słuchawkę. Odwiesiła ją i rozglądając się dookoła zobaczyła Luisa, bacznie ją obserwującego. Stał obok wazy z ponczem, otoczony przez wielbicieli. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, przeprosił otaczających i przecisnął się przez zgromadzony tłum, omijając tych, którzy mogliby stanąć mu na drodze, dopóki nie dotarł do niej.

- Twój mąż?

- Nie przyjdzie. Na to wygląda.

Luis skinął głową, tak jakby tego oczekiwał. Kiedy odezwał się znowu, mówił ciszej, tonem bardziej intymnym.

- Po zamknięciu kilkoro z nas idzie się czegoś napić. Chciałbym, abyś wybrała się z nami.

W ten sposób to się zaczęło. A raczej potoczyło dalej. Do tej pory spędzili razem dziesięć dni, pracując przy zawieszaniu obrazów na ścianach i Joanna wiedziała doskonale, że jest dla niego atrakcyjna. Był egoistą zapatrzonym tylko w siebie, ale nawet prosty fakt, że pragnął jej był... pocieszeniem, oparciem. Po telefonie Paula cała samotność, żal i poczucie winy, nagromadzone w ciągu tych kilku miesięcy, zdawały się rosnąć w niej. Dlatego opuściła ostentacyjnie galerię w towarzystwie Luisa i kilku jego przyjaciół. Na szybkiego drinka.

Przyjaciółmi okazali się przytłusta kobieta, zajmująca się historią sztuki, ze swoim mężem, oboje z Uniwersytetu George'a Waszyngtona i brazylijski poeta na wygnaniu, ze swoją przyjaciółką z Izraela. Po pół godzinie dotyków i głaskania jej po nodze, Luis oddzielił ją od towarzystwa i zabrał do pokoju hotelowego. Po raz pierwszy wymienili uściski w taksówce, a w momencie przybycia do hotelu jej włosy naokoło szyi były wilgotne od jego pocałunków.

Znalazszy się w pokoju, Luis zdjął lustro wiszące w przebieralni i postawił je na krześle przy łóżku. Objął ją w pasie i przybrał wyniosłą pozę.

- Widzisz, pasujemy do siebie.

Próbuje zgrywać mądrego, pomyślała. Luis, z wąską twarzą o wystających kościach policzkowych, z wysokim czołem i rzadkimi włosami, jakby zdmuchniętymi wiatrem do tyłu,

tak bardzo różnił się od Paula. Miał na sobie czarne ubranie wizytowe, wyglądające elegancko przy jej fioletoworóżowej, jedwabnej sukience we wzór w kolorach turkusowego błękitu, żółci, zieleni i czerni, który wyglądał jakby namalowany szerokim pędzlem.

Patrząc w lustro, Luis ściągnął płaszcz i wrzucił go do szafy. Rozwiązał muszkę i powiedział z uśmiechem: - Do ciebie należy reszta.

Nie odrywał wzroku od lustra, gdy usuwała każdą spinkę z jego koszuli. Był pewny siebie, teraz nie było miejsca na pośpiech. Prawdopodobnie zdarza mu się to nie po raz pierwszy, pomyślała Joanna. Za każdym razem, gdy otwierał wystawę szedł z nową kobietą do łóżka. Robił to z rutyną. A ona...? O niej nie można tego było powiedzieć. Nic z tego, co wynikło z tego wieczora, nie było w jej planach.

Skończyła wyciągać spinki i zawahała się. Luis zdjął koszulę i rzucił na podłogę. Nie miał na sobie podkoszulka. Miał płaską, brązową klatkę piersiową, porośniętą pasemkiem rzadkich, kręconych włosów. Oplótł ręce dookoła jej ciała i przycisnął jej twarz do siebie. Zapach jego ciała, wody kolońskiej i potu był taki obcy...

Chyba zwariowałam, przemknęło jej w myśli.

Luis podniósł jej twarz i potarł ustami o jej policzek, a potem pocałował ją w rękę. Zanim zdjął z niej suknię, usunął kolczyki z jej uszu. Zrobił to bardzo delikatnie, przekręcając pętelki tak, jakby to on sam je zaprojektował i znał każdą ich krzywiznę. Jego ręce błękały się po jej ciele, poczynając od ramion, w dół jej brzucha, do bioder. Zebrał jej sukienkę i podciągnął. Wystarczyło, że uniosła ramiona do góry i sukienka ześlizgnęła się. Kiedy schylił się, aby zdjąć z niej rajstopy, pozwoliła, aby jego ręce głaskały ją między nogami.

Przeszedł po niej dreszcz. Zamknęła oczy. W miarę jak ją rozbierał, słyszała jego szept, o tym jaka jest piękna, jak gęste są jej włosy, jak gładką ma skórę, jak doskonałe są jej piersi, jak bardzo pragnie jej. Kiedy stanęła naga, pozwoliła, aby podniecenie objęło ją jak ogień wszędzie tam, gdzie poczuła jego dotknięcie. Już tak dawno nie czuła się tak pożądana... To było potwierdzenie jej kobiecości, jej namiętności i żalu, jej prawa do zespolenia ciała i ducha, za czym tęskniła tak długo.

Paul wrócił do domu po północy. Nikogo w nim nie było, co nie stanowiło dla niego niespodzianki. Bardzo często Joanna zostawała na tego rodzaju przyjęciach dłużej, czasami do rana. Sprawiało jej przyjemność przesiadywanie w zadymionych klubach, w otoczeniu artystów i intelektualistów. Dyskusowanie na takie zawikłane tematy jak: symbol śmierci w pracach Erica Fischla albo istota neofuturyzmu. Paul nie miał do tego cierpliwości i dlatego rzadko jej towarzyszył. Mówiąc prawdę, z utęsknieniem czekał dnia, kiedy Joanna przestanie

się wreszcie interesować tym całym pozornym światem sztuki i zwróci się w kierunku czegoś mniej pretensjonalnego i pełnego samopobłażania.

Podszedł do swojego biurka, nacisnął przełącznik i podniósł słuchawkę telefoniczną. Przez cały dzień był bardzo zajęty. Opuściwszy redakcję Herolda, on i Dick Lazarus pojechali do Sumac Club i zastawili pułapkę na Vespuciego. Kiedy gangster się wyłonił, Dick schylony wdarł się między członków jego ochrony osobistej, ci zaś błyskawicznie odepchnęli go na bok, otwierając pole działania Paulowi. W chwili, gdy został pochwycony przez goryli, Paul zrobił trzy zdjęcia i zdążył zamienić aparaty. Błona, którą wydarto z kamery była nienaświetlona. Druga kamera znalazła się pod płaszczem, gnieźdząc się bezpiecznie pod pachą. Tak naprawdę to była dziecinada, tym niemniej dała mu ona poczucie zadowolenia.

Po powrocie do biura, około godziny szóstej, znalazł na blacie biurka dwie wiadomości. Jedna pochodziła od Kathy Craven, a druga od Rona Farquara. Kathy pozostawiła dwa egzemplarze nekrologu Lisie Beamier; z Le Malin i France Soir. Wiadomość od Rona była równie zwięzła: tożsamości obydwu obiektów zainteresowania - prawdziwe.

Informacje zdumiały go. Aż do teraz nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo wmówił sobie, że ludzie z CIA byli oszustami, a ich historia zmyślona. Teraz już wiedział: wszystko to prawda, śledztwo, morderstwa, ludzie byli prawdziwi - podobnie jego sny. Tylko jak to się mogło stać?

Paul przeszedł do działu poszukiwań na drugim piętrze. Pomieszczenie było przedzielone przepierzeniem zrobionym z arkuszy sklejk o wymiarach 4x8 stóp. Stan ten był przejściowy do czasu uruchomienia nowej instalacji komputera. Wszystkie kartoteki i pojedyncze informacje były skupione w rzędach pod ścianą, po jednej stronie pokoju. Pozostało niewiele miejsca na stoły. Tym razem, na szczęście, stoły były zajęte tylko przez troje pracujących ludzi. Rozpoznał Pam Markowitz, pozostała dwójka była mu obca. Mnóstwo nowych ludzi dołączyło ostatnio do personelu, przeważnie świeżych absolwentów szkół wyższych, zwanych przez weteranów: „Tani i gorliwi”.

Pam krótko przedstawiła mu przejściową organizację działu i pozwoliła skorzystać z terminalu komputera. Rozpoczął od przeszukania bazy z nekrologami. Sprawdzał okresy, odpowiadające temu, co pamiętał ze swoich snów. Trwało to bardzo długo. Daty publikacji były wiadome, natomiast sny pamiętał niewyraźnie. Inna trudność polegała na tym, że nie miał najmniejszego pojęcia, w którym kraju ofiarę mogła spotkać śmierć. Roark wspomniał, że dwoje spośród nich było agentami CIA. Odrzucił kandydaturę Jiirgena Manheima i skupił swoje poszukiwania na pozostałej czwórce: Dań Kelso, Max Durning, Jim Wilson i Frank

Schrader. Zaczął od nekrologów ze Stanów Zjednoczonych, zakładając pięcioletni przedział czasowy wokół przypuszczalnej daty snu.

Po godzinie jedyne, co osiągnął w wyniku włożonego wysiłku, to był ból głowy. Siedział, poszukując fikcyjnych postaci w prawdziwym świecie ludzi. Kelso, Durning, Wilson, Schrader - to były wytwory jego wyobraźni, ktoś ze snów i koszmarów. Nie miał pojęcia, kim byli. W jego opowiadaniach ponieśli śmierć na samym początku i szybko. Zazwyczaj były to czarne charaktery, ludzie mający wrogów, aby sprawa znalezienia zabójców była bardziej skomplikowana.

Tylko w jednym przypadku myślał, że znalazł Jima Wilsona. Nazwisko pojawiło się w Los Angeles Times, data zgadzała się mniej więcej z terminem snu. Poszukiwacz młodych talentów z Hollywood, Jim Wilson, zginął w Beverly Hills, wjeżdżając, w trakcie cofania swojego mercedesa, do basenu. Utonął. Daty prawie się zgadzały, ale okoliczności śmierci były inne. W śnie Paula Wilsonowi podcięto gardło, a ciało wepchnięto do bagażnika jego własnego samochodu. Oprócz nazwiska, jedyne podobieństwo dotyczyło samochodu. Obydwaj mężczyźni byli właścicielami mercedesa.

Wtedy właśnie Paul wyszedł do poczekalni, kupił sobie kanapkę z szynką i zadzwonił do Joanny, by ją zawiadomić, że nie przyjdzie na wernisaż. Dziesięć minut później wrócił do swoich poszukiwań. Tym razem sprawdził niemieckie gazety, szukając Jurgena Manheima. To był strzał w dziesiątkę. Nekrolog w Berliner Zeitung informował, że Manheim, pięćdziesięciodziewięcioletni obywatel Berlina Zachodniego, zginął w wyniku rany, powstałej po postrzeleniu się z broni palnej. Można było dostać zawrotu głowy, patrząc na wydrukowane nazwisko w gazecie i przypominając sobie szczegóły snu: ten sam strzał z pistoletu wymierzony w prawą skroń.

W opowiadaniu dopisał, że Manheim był mańkutem, aby dostarczyć wskazówek inspektorowi prowadzącemu śledztwo. Miał wątpliwości, czy prawdziwy Manheim był leworęczny i czy ktokolwiek podejrzewał, że to było morderstwo. Jeśli to było morderstwo.

Paulowi wydawało się, że jego mózg zamienił się w gabinet luster. Za każdym razem, gdy patrzył na określony zbiór faktów pod pewnym kątem, inne stawały się niemożliwe. Umarł Niemiec w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat, a jemu to się śniło, z detalami. Czy może to się stało w wyniku tego snu?

Przypomniał sobie absurdalne sesje na uniwersytecie poświęcone naturze rzeczywistości. Czy świat jest subiektywnym odczuciem czy obiektywnym zjawiskiem? Czy istniałby świat, gdyby nikomu nie było dane postrzegać? Albo: czy świat istnieje tylko dlatego, ponieważ go postrzegamy?

Dotarła do niego treść rozmowy prowadzonej w drugim końcu sali. Dziewczyna w dżinsach i bluzce khaki skarżyła się Pam na światło jarzeniowe w pomieszczeniu. Badania wykazały, że tego rodzaju oświetlenie wytwarza migotanie, które jest źródłem bólów głowy.

- Widzisz, co się dzieje? - dziewczyna wskazała na sufit. - To tak, jakby bombardowano cię promieniowaniem. Powinni założyć filtry zapobiegające migotaniu.

/Duszne uczucie klaustrofobii opanowało Paula słuchającego obrony jej bezmyślnych wywodów. Podniósł się i wyszedł na zewnątrz. Noc była ciepła. Chodniki zatłoczone. Szedł szybko. Potem zaczął biec. Bez celu. Ruch był mu potrzebny. Biegł coraz szybciej. Omijał przechodniów i pędził między samochodami. Z ledwością uniknął zderzenia z małżeństwem wychodzącym z restauracji, usłyszał okrzyk mężczyzny za plecami. Zboczył na ulicę i biegł sapiąc głośno. Zabrakło mu sił na wysokości parku Franklina. Padł na trawnik wpatrzony w gwiazdy. Wokoło unosił się zapach świeżej trawy.

W Wietnamie służył dwa lata jako pilot helikoptera. Pamiętał szkółkę pilotażu i dzień, w którym po raz pierwszy pozwolono mu operować wszystkimi trzema manetkami kontrolującymi lot. Maszyna wydawała się żyć własnym życiem; podskakiwała, dokonywała obrotów, to znów ślizgała się po niebie. Wydawało się, że instrumenty kontrolne zmieniły swą funkcję, tak że wszelka próba naprowadzenia na kurs kończyła się jeszcze bardziej szalonym wirowaniem maszyny. Czuł się tak samo teraz. Im więcej wiedział na temat swoich snów, tym mniej sensowny wydawał się świat.

Paul obserwował przez dłuższy czas gwiazdy, a kiedy poczuł, że wieczorna rosa na trawie daje o sobie znać, wstał i wrócił do budynku Herolda. Przy swoim biurku siedziała Pam. Czytała książkę. Pozostali ludzie już wyszli. Zostawiłeś włączony terminal - przypomniała mu.

- Jeszcze nie skończyłem.

Pam znudziła się czytaniem książki i zaproponowała mu pomoc. Wręczył jej listę nazwisk, zanim przypomniał sobie, że należy do tych niewielu osób, które czytały opowiadania w Black Cat. Wyglądała na zaintrygowaną, kiedy przeczytała nazwiska.

- Skądś znam te nazwiska... Kim są ci ludzie?

- To jest wiadomość poufna.

- Kelso... Manheim... - Nagle do niej dotarło. - Zaczekaj chwilę, to są nazwiska bohaterów opowiadań kryminalnych. Opowiadań, które napisałeś do tego magazynu. ‘ - Masz dobrą pamięć.

Zmarszczyła czoło. Paul podniósł rękę. - Nie pytaj.

- To nie jest przydzielone zadanie, prawda?

- Korzystam z terminalu na własny rachunek. Czas włączenia został określony jako prywatny.

- To są nazwiska z twoich opowiadań, nieprawdaż? A może to nazwiska prawdziwych ludzi?

Paul odpowiedział, że grożono mu pozwem o zniesławienie. Miał on być wniesiony przez krewnych ludzi, których nazwiska przypadkowo były takie same, jak te użyte przez niego. Teraz sprawdzał pozostałe, aby się dowiedzieć, jakie jest potencjalne niebezpieczeństwo podobnych skarg. Wyjaśnienie ją zadowoliło i przystąpiła do pracy, aby po piętnastu minutach wrócić z nazwiskiem innego Jima Wilsona, tym razem z Newsweek'a. Artykuł był zatytułowany „Amerykańscy obywatele w niebezpieczeństwie w obcych krajach.” Opisywał on problem zwiększonej liczby zabójstw i porwań dokonanych przez terrorystów na obywatelach amerykańskich za granicą. Pam wskazała na ustęp, w którym napisano:

„W Karamursel, zostało znalezione, w bagażniku własnego samochodu marki mercedes, ciało obywatela amerykańskiego - Jamesa S. Wilsona. Znalezione go z podciętym gardłem i listem nawołującym do wyrzucenia baz militarnych z terenu Turcji. Wilson był pracownikiem USAFSS.”

- Co to znaczy USAFSS? - zapytała Pam.

- Służba Bezpieczeństwa Amerykańskich Sił Powietrznych. Nadzorują radiostacje podsłuchowe w Karamursel.

Wywarło to na niej wrażenie. Gwizdnęła cicho i odezwała się: -{ Reporterzy Heraldka wiedzą wszystko.

A prawda była taka, że Paul był sprawozdawcą podczas inwazji tureckiej na Cyprze w 1975 roku. Owocem inwazji było embargo na dostawy broni do Turcji przez Amerykanów. Rozwścieczyło to rząd turecki do tego stopnia, że polecił zamknąć stację w Karamursel na okres nieco dłuższy niż jeden rok. Była to informacja z pierwszych stron przez dzień, może dwa i doprowadziła wielu oficerów wywiadu do szału. Nic ich nie obchodziło Cypr, jak długo ich bazy podsłuchowe pozostawały nietknięte.

- W tym przypadku nie mogą podać cię do sądu - kontynuowała Pam.

- Jim Wilson jest popularnym nazwiskiem, przecież zginął w Turcji, podczas gdy wszystkie twoje opowiadania dzieją się w Stanach, prawda? Paul zgodził się, że prawdopodobnie nie istnieje możliwość pozwu o zniesławienie. Zastanawiał się, czy Wilson był jednym z agentów, o których wspominał Roark, czy był zaledwie jednym z „wartościowych nabytków”? Powrócił do końcówki komputera. Niestety, bolały go oczy i

głowa. Pomyślał o filtrach przeciw migotaniu światła, o których mówiła dziewczyna w dzinsach.

Teraz, siedząc przy biurku w domu, dalej odczuwał ból głowy. Nie można go było złagodzić zażywając tabletkę aspiryny. Potrzebował odpowiedzi na pytania. Wyjął wizytówkę Hugh'a Roarka z kieszeni, umieścił ją obok telefonu i wybrał numer. Usłyszał w słuchawce tylko jeden sygnał, a potem bezbarwny kobiecy głos.

- Sześć siedem pięć jeden - zgłosiła się.

- Tu Paul Stafford. Chcę rozmawiać z Hugh'em Roark.

- Paul Stafford - powtórzyła. - Chwileczkę, panie Stafford. Na linii rozległ się cichy trzask. Paul wyobraził sobie obracające się rolki taśmy w pokoju wielkości studia nagrań.

- Czy to jest pilne, panie Stafford? - Jej głos brzmiał, jakby był wygenerowany przez komputer.

- Zadzwoń i zapytaj go.

- Łączymy pana z nim w tej chwili. Pod jaki numer zadzwonić w przypadku przerwania połączenia?

Paul podał jej numer i czekał. Na linii odezwała się nagrana muzyka klasyczna: Piotruś i Wilk Prokofiewa. Paul zastanawiał się, co by się stało, gdyby odwiesił słuchawkę. Prawdopodobnie przysłałoby oddział piechoty morskiej. Uśmiechnął się, gdy pomyślał, że Joanna uznałaby to za jeszcze jeden przykład jego służalczej postawy wobec biurokracji państwowej. Muzyka została raptownie przerwana i rozległ się głos Hugh'a Roarka.

- Pan Stafford?

- Powiedział pan, abym zadzwonił, jeśli będę miał ochotę na rozmowę. Dobra, chcę rozmawiać.

- Czy coś panu grozi?

- A powinno?

- Jest po północy. Ja tylko oceniam sytuację. Czy jest pan w niebezpieczeństwie?

- O ile wiem, to nie. - Ocena sytuacji... Język urzędowy zawsze raził jego ucho.

- Czy jest pan zdecydowany współpracować z nami?

- Jestem zdecydowany wymieniłem odpowiedzi. Powiem wam to, co ja wiem, a pan - to, co wy wiecie. Może w ten sposób zorientujemy się, co jest grane.

- Nic nie mogę obiecać. Nie w trakcie rozmowy przez telefon. Musimy najpierw porozmawiać osobiście.

- Jjn szybciej, tym lepiej.

Umówili się na spotkanie następnego dnia w restauracji w pobliżu DuPont Circle. Odłożywszy słuchawkę, Paul wziął prysznic i położył się do łóżka. Kiedy Joanna wróciła do domu, spał. Wiedział, kiedy weszła do łóżka, ale dopiero kiedy zaczęła drzeć, zdał sobie sprawę, że płacze.

- Jo?

Nie było odpowiedzi. Wyciągnął rękę i włączył światło. Joanna leżała na wznak i patrzyła w sufit. Jej włosy były splątane i mokre od łez.

- Co się stało?

Dotknął jej policzka, ale odwróciła głowę. Na szyi zobaczył zabarwiony półksiężyc. ‘

Świat powoli zatrzymał się w miejscu. Patrząc na ślad namiętności pozostawiony przez obcego mężczyznę, Paul czuł głęboką pustkę, uczucie, które nie opuszczało go już od dłuższego czasu.

- Kto to był? - zapytał, zaskoczony spokojnym brzmieniem swojego głosu. Joanna obróciła się do niego i objęła go. Mocno.

- Przytul mnie, Paul - wyszeptwała. - Przytul mnie, proszę, przytul mnie.

Otoczył ją ramieniem, czując zapach wody kolońskiej we włosach, na skórze.

- Kocham cię - powiedziała cicho. Powtarzała to jak refren albo zaklęcie. - Kocham cię, kocham cię, kocham cię. Paul milczał. Targały nim sprzeczne uczucia, które wirowały i zmieniały się, w miarę jak jego ocena Joanny przechylała się to w jedną, to w drugą stronę. Była kochanką i zdrajczynią, żoną i wrogiem, ofiarowywała radość i przynosiła ból, była obcym ciałem kobiety, rozkołysanym i drżącym w jego ramionach.

Poczuł podniecenie. Kiedy Joanna zdała sobie z tego sprawę, podciągnęła szlafrok i wprowadziła go w siebie. Była wciąż wilgotna. Wszedł w nią nie tracąc czasu, szybko i gniewnie. Joanna objęła go w pasie nogami, chwyciła jego pośladki i przyciągnęła go bliżej. Jej paznokcie wbiły się głęboko w jego ciało. Ból dodał mu sił. Cały czas wpatrywali się nawzajem w oczy. Jak przeciwnicy, z zaciśniętymi zębami, z ciałami posiniaczonymi od uderzeń. Powoli wyraz twarzy Joanny się zmienił. Z rozszerzonymi oczami i otwartymi ustami jęczała za każdym razem, gdy ich ciała coraz szybciej i szybciej uderzały o siebie. Wreszcie eksplodowała z krzykiem i przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

Orgazm, który przeżyła, mógł wyzwolić i jego, ale tym razem poczuł coś wręcz przeciwnego. Poczucie intymności go opuściło, namiętność odpłynęła. Pozostał naprężony. Joanna poczuła, co się stało. Utrzymując go, zmieniła pozycję, usiadła na nim okrakiem i objęła go za ramiona. Zaczęła rytmicznie się poruszać, chcąc odnaleźć jego rytm, zdecydowana mu pomóc osiągnąć orgazm. Paul zamknął oczy i zharmonizował się z nią,

szukając zagubionego tempa. Spotykali się rytmicznie, szybciej lub wolniej, aż oboje zgrzani oblali się potem, a pościel wylądowała na podłodze. W końcu Joanna osunęła się, aby wziąć go do ust.

- Nie - powiedział.

- Jeszcze nie doszedłeś.

- To nie ma znaczenia.

Popatrzyła na niego, z podbródkiem opartym na jego brzuchu. Opuściła głowę ponownie, ale on przytrzymał ją mocniej.

- Próbuj to robić z nim.

Zamarła i potoczyła się na brzeg łóżka. Usiadła obrócona plecami. Jej ramiona falowały w górę i w dół, w miarę jak odzyskiwała oddech. Kiedy się do niego odezwała, głos miała płaski, zabarwiony goryczą.

- Zatrzymujesz wszystko dla siebie. Nawet to.

Nie odpowiedział. Każde słowo mogło oznaczać koniec, koniec małżeństwa, natychmiast. A bez względu na to, co czuł, lub czego nie czuł, wiedział jedno - nie chciał tego.

Rozdział 4

Karl Alexander usiadł po japońsku obok trzech innych instruktorów Szkoły Samoobrony w Eichwalde. Byli ubrani w tradycyjne, białe karate gi. Każdy z nich miał czarny pas, podobnie zresztą jak ich przeciwnicy. Ci ludzie byli uczestnikami dorocznego Turnieju Karate Sił Zbrojnych NRD, który odbywał się w jednostce wojskowej niedaleko Poczdamu, dwadzieścia kilometrów od Berlina. Do tej pory Karl wygrał ten turniej pięciokrotnie. Był faworytem i tym razem. Jedna tylko osoba miała co do tego wątpliwości. Był nią sam Karl.

Mizu no koków, pomyślał, przypominając sobie zasadę karate - „Umysł jak lustro”. Mizu no kokoro. Powtórzył maksymę, starając się uwolnić od czarnych i złych myśli, w których był pogrążony od czasu ostatniej misji. Zabił kobietę. To właśnie wspomnienie o niej wciąż wracało, prześladowało go. Nie chodziło tu o Lisie Beaumier, ale o kogoś innego. Tłumił gorzką pamięć o niej przez trzydzieści lat. Wyrzucił nawet jej imię z pamięci. Za wszelką cenę nie chciał o niej myśleć.

Odsunął wspomnienia od siebie. Teraz najważniejszy był turniej, a do tego potrzebny był umysł jasny i niezmacony. Musiał skupić całą siłę woli. Mizu no kokoro.

Zawodnicy siedzący po obu stronach Karla należeli do różnych formacji Narodowych Sił Zbrojnych NRD. Siedzieli na zewnątrz kwadratu, o długości ośmiu metrów, zaznaczonego żółtą taśmą na podłodze sali gimnastycznej. W obszarze tym odbywały się zawody. Poza nim stał stół sędziowski, przy którym mierzono oficjalny czas i wpisywano wyniki. Czterech innych sędziów było rozstawionych po jednym w każdym rogu kwadratu. W pomieszczeniu rozsiadli się, w niewielkiej liczbie, członkowie innych oddziałów Sił Zbrojnych. Z okien, umieszczonych wysoko pod sufitem, padały na podłogę wąskie promienie słońca. Tam, gdzie dotarły, ciemna podłoga jarzyła się bursztynem.

Pierwsza część turnieju obejmowała konkurencję zwaną kata, formalne ćwiczenia składające się z szeregu ustalonych ruchów wykonywanych przez zawodnika w określonej kolejności. Właśnie ćwiczył reprezentant lotnictwa. Jego nogi i ręce poruszały się błyskawicznie. Słychać było skrzypienie drewnianych klepek podłogi pod gołymi stopami, w miarę jak zmagał się z wyimaginowanymi napastnikami. Jednak dla Karla było jasne, że zawodnik mierzył siły na zamiary. Poprawne wykonanie przerastało jego możliwości. Nie mógł zebrać zbyt wysokich ocen. Z drugiej strony, Karl wybrał dla siebie Heian Sono Shi, stosunkowo łatwe chwyt. Znał je jednak doskonale i wiedział, że może je wykonać dokładnie, nawet jeśli miał trudności z koncentracją, tak jak w tej chwili.

Pochłaniała go myśl o tym, że stracił kontrolę nad sobą w czasie ostatniej misji. Nie wtedy, gdy zabił Lisie Beaumier, ale później w przypadku tej dziewczyny z Algierii. Stracił panowanie nad sobą i to było niebezpieczne. Będąc członkiem Staatsicherheidsdienst - Stasis - wschodnioniemieckiego odpowiednika KGB, nie mógł sobie pozwolić na popełnianie błędów. Został uaktywniony w 1981 roku, kiedy to Bułgarzy sknócili zamach na papieża Jana Pawła II. Dowiódłszy swojej nieprzydatności, o mało nie wmieszali w to samego KGB, Bułgarzy zostali zastąpieni przez Stasi z NRD jako głównej agencji od „mokrej” roboty. Od tamtej pory Karl dokonał sześciu morderstw. Lisie Beaumier była wśród nich pierwszą kobietą. Jej śmierć wyzwoliła długo uśpione wspomnienia o osobie, która zdominowała lata jego dzieciństwa. Na dźwięk jej imienia jego żołądek wciąż jeszcze kurczył się ze strachu.

Tante Inge.

Zobaczył ją znowu, wylaniającą się jak upiór z pamięci, ubraną w wyszabrowane lachy, ponakładane warstwami jak spódnice cygańskie. Jej zapadnięte wargi miały wyraz gorzkiego szyderstwa. Włosy były zabarwione henną na nienaturalny czerwony kolor. W oczach odzwierciedlała się zmienność jej humorów, pod wpływem których potrafiła trząść się jak drzewo targane jesiennym wiatrem. To właśnie oczy przerażały go najbardziej. Starał się czytać w nich, mając nadzieję, że nie jest zdenerwowana i bojąc się, że nawet wyraz

zadowolenia jest wstępem do nowych okrucieństw. W oczach odbijały się wszystkie jej namiętności; raz lśniły w nich łzy rozczulenia nad samą sobą, to znów ciskały iskry w pijackiej euforii, by dla odmiany żarzyć się perwersyjnie pożądaniem, które zamieniło jego dzieciństwo w koszmar.

- Kotku, miaaaau - miała w zwyczaju przywoływać go do łóżka. - Uśpij mnie. Ukołysz mnie do snu jak małego kotka.

Karl wiedział, o co jej chodzi. Musiał wczułgać się pod kołdrę i lizać ją w najbardziej intymnych miejscach. Czasami smarowała się czekoladą. Miała to być dodatkowa zachęta.

- Mam dzisiaj dla ciebie czekoladową myszkę - zwykła była mówić. - Bądź małym kociakiem i zjedz moją małą myszkę.

Wspomnienia z dzieciństwa... Urządzone bez gustu mieszkanie było jego więzieniem, a Tante Inge jego strażnikiem. Nie pozwalała mu nigdzie wychodzić. Był karmiony, rozpieszczany i fryzowany jak piesek na wystawę. Pamiętał ją, jak przynosiła cukierki, a potem myła go i skrapiała jego czoło odrobiną wody kolońskiej. Był to wstęp do oddania go w ręce otyłych, przychodzących ukradkiem mężczyzn, którzy traktowali go jak kobietę. Wciskali go twarzą w szorstkie narzuty lub zmuszali do siedzenia na kolanach, po czym wpychali się w niego, dotykając palcami jego genitalii. Na zakończenie, kiedy jedynym jego marzeniem było wejść do łóżka i ukryć się w pościeli, Tante Inge stanowczo skrobała go do czysta i wlewała w niego nieskończone lewatywy z parzącej wody.

Czuł się bezpieczny jedynie na masowych grobach na cmentarzu Trep-tow. Wyobrażał sobie, że to tu leży pochowana jego matka. Nigdy jej nie poznał. Zginęła na ulicy, rozerwana wybuchem amerykańskiej bomby. Karl zginąłby także, gdyby Tante Inge go nie uratowała. Opowiadała mu o tym wielokrotnie, podkreślając swoją odwagę a jego niewdzięczność. I tak znosił jej towarzystwo do czasu, kiedy uciekł od niej i przystał do gangu zdziczałych wyrostków żyjących na gruzach Berlina...

Odgłos oklasków przywrócił go rzeczywistości. Lotnik właśnie skończył swoje kata. Przyszła kolej na Karla. Szybko oczyścił umysł ze wszystkich niepokojących myśli i wyobraził sobie biały, jasny ekran, czysty i bez skazy, wolny od wszelkich wspomnień.

Z głośnika dobiegła zapowiedź: - Oberstleutnant Karl Alexander, Heian Sono Shi.

Gdy Karl podniósł się ze swego miejsca, Heinrich Lammers, nowy instruktor w Eichwalde dodał mu otuchy. Dwóch kolegów Karla z drużyny, którzy znali go lepiej, nie odezwało się ani słowem. Idąc, Karl czuł sztywność w nogach. Żałował, że w czasie oczekiwania nie poświęcił więcej uwagi uelastycznieniu mięśni..

Wykonał rytualny ukłon w stronę sędziów i stanął w pozycji. Heian numer 4 składał się z dwudziestu siedmiu ruchów, na wykonanie których Karl miał czterdzieści trzy sekundy. Układ rozpoczynał się krokiem w przód z pozycji wyjściowej, następnie zawodnik musiał skrócić w lewo na ukos, aby po wykonaniu obrotu i kilku kolejnych kroków minąć punkt startowy. Wykonawszy wszystkie dwadzieścia siedem technik, musiał znaleźć się dokładnie w punkcie wyjścia. Wykonana po mistrzowsku walka z cieniem dawała złudzenie zmagania się z przeciwnikami, którzy materializowali się z powietrza.

Karl zrobił głęboki wdech i rozpoczął. Zrobił krok do przodu i w lewo, blokując nadchodzące uderzenie, kontratakując prawą ręką i zadając cios nogą do przodu. Poruszał się miękko, nie zatrzymując się nigdy za wyjątkiem tych kulminacyjnych momentów, trwających ułamek sekundy, w których wykonywał blok lub uderzenie. W takich chwilach cała fizyczna i psychiczna energia koncentrowała się w jednym punkcie, podobnie jak to się ma w przypadku bicia z końcem z niewyprawionej skóry, który eksploduje z głośnym trzaskiem.

Sala, widzowie, ubrani na białe zawodnicy - wszystko uleciało mu ze świadomości, w miarę jak pochłaniały go kata. Ciało i myśl stopiły się w jedno, mięśnie stały się przedłużeniem jego woli. Jego ruchy były młodzieńcze, choć bruzdy naokoło oczu i przyprószone siwizną włosy świadczyły, że przekroczył już czterdziestkę. Rygorystyczny trening fizyczny powodował, że zachował szczupłą i sprężystą sylwetkę. Gdy popełnił błąd, to nie ciało go zawiodło, ale jego umysł. Stracił koncentrację.

Natychmiast zdał sobie z tego sprawę. Wykonał właśnie trzynastą technikę, riken uchi, cios grzbietem pięści. Następnie musiał wykonać obrót o 225 stopni w lewo. Czując powiew powietrza na ręce zorientował się, że środek ciężkości nie jest dostatecznie nisko. Stanął w pozycji o sześć cali za szerokiej. Dla nie wtajemniczonego obserwatora było to niezauważalne, ale Karl wiedział, że sędziowie widzą to wyraźnie. Popełnił błąd w tak prostych kata jak Heian numer 4. Nawet jeśli wykona wszystko do końca poprawnie, ukończy ćwiczenie w pozycji odległej od wyjściowej o sześć cali. Jedynym ratunkiem było skorygowanie błędu „po drodze”, a to oznaczało zrezygnowanie z perfekcji.

Silą bezwładności zadał kolejno cios lewą i prawą ręką na tułów wymagowanego rywala, a potem zatrzymał się. Zapadła grobowa cisza. Obserwatorzy spostrzegli, że coś jest nie w porządku. Karl wyprostował się, stanął twarzą do stołu sędziowskiego i ukłonił się.

- Proszę o wybaczenie - zwrócił się do arbitrów. - Nie jestem w stanie brać dalszego udziału w zawodach.

Nie zwracając uwagi na gwar zaskoczonych widzów i cichy okrzyk ze strony kolegów z drużyny, obrócił się i wyszedł z sali. W szatni rozebrał się i nałożył cywilne ubranie. Będąc

już na zewnątrz usłyszał ogłoszenie: „Oberstleutnant Karl Alexander, reprezentant Szkoły Samoobrony w Eichwalde, zrezygnował z uczestnictwa w turnieju”. Na moment dźwięk stał się głośniejszy. Drzwi otworzyły się i do szatni wszedł Heinrich Lammers. Przeszedł szybko obok długiego rzędu szafek na ubrania i stanął przed Karlem z wyrazem zatroskania. Heinrich był blondynem o mocnych rysach i policzkach, które były za szerokie w stosunku do okrągłej twarzy.

- Jesteś chory?

- Jest nietaktem opuszczać salę podczas zawodów - odezwał się chłodno Karl.

- Ale... czy wszystko w porządku?

- Jak widzisz.

Karl położył na ławce bawelnianą górę od stroju sportowego, umieścił na niej spodnie i razem zrolował je ciasno w tobołek. Nie zwracał uwagi na Heinricha. Chłopak należał do nowej generacji, był za młody, zbyt gorliwy, by Karl mógł się czuć przy nim swobodnie.

- Czy to z powodu rodziny? - nie ustępował Heinrich. - Żona, dzieci są zdrowi. Karl popatrzył na niego. - A jeśli nie, to co zrobisz?

- Wszystko, co mogłoby pomóc, Herr Oberstleutnant.

Heinrich mówiąc to był czujny. Dla Karla było jasne, czego tamten chce. Słyszał plotki na temat Karla - to, że jego częste nieobecności, pod pozorem udzielania instruktażu na kursach samoobrony w innych krajach Układu Warszawskiego, były w istocie związane z wykonywaniem mokrej roboty z polecenia KGB. Heinrich bardzo chciał robić to samo. Nawet zwierzył się Karlowi ze swych planów. Ten jednak zignorował to i więcej tego tematu nie podejmowali.

- Najlepiej mi pomożesz, jeśli zostaniesz zwycięzcą turnieju ->- powiedział Karl.

- Wygram. Wygram go dla nas obu.

Odchodząc, Karl czuł pełen zapału wzrok Heinricha wbity w jego plecy. Przemknęła mu nieprzyzwoita myśl: miał nadzieję, że przeciwnik zfauluje Heinricha i trzaśnie go o ziemię jak dynię w jego okrągłą jak dynia twarz.

Nie wrócił do ośrodka treningowego w Eichwalde, ale pojechał samochodem w kierunku miasta. Droga, biegnąca wzdłuż Szprewy, wznosiła się i opadała wśród pagórków pól uprawnych i lasów sosnowych na obrzeżach Berlina. To była ulubiona trasa Karla. Z reguły pokonywał ją z dużą prędkością, delektując się ruchem i reakcją swego mercedesa 280 E. Dzisiaj jednak prowadził wolno, nie chcąc przyznać się przed samym sobą, że żądze, dla których szukał satysfakcji w zachodniej, hedonistycznej części Berlina, przestały być tylko

grą. Teraz pożądał prawdziwego okrucieństwa, a nie tylko pozorów. Dowodem tego była przygoda z algierską dziewczyną.

Na imię miała Fassi. Odwiedziła go w pokoju w hotelu Angleterre, tym samym, zgodnie ze słowami pokojówki, w którym przebywał amerykański pisarz Ernest Hemingway. Hotel był znany z dyskretnej elegancji i dobrze izolowanych pokoi, co czyniło go idealnym miejscem pobytu Karla. Wykonując zadanie, zawsze korzystał z drogich miejsc hotelowych, tam gdzie jednakowo szanowano prawdziwe pieniądze i prawo gości do prywatnego życia. On zawsze płacił prawdziwymi pieniędzmi, a legitymował się fałszywym paszportem i to stanowiło jego ochronę.

Fassi przybyła z wyborem skórzanych przyborów, gotowa wziąć udział w skrępowaniu - za dodatkową opłatą, rzecz jasna. Karl zażądał młodej kobiety, niewysokiej, o szczupłej i gibkiej budowie, kurczątko. Fassi była wyższa niż tego by sobie życzył, ale pod innymi względami pasowała znakomicie. Była kanciasta i zwinna, o małych jak pączki piersiach i wąskich biodrach. Miała pełne, brązowe usta, o opadniętych kącikach. Mocne białe zęby tkwiły w lśniących różowych dziąsłach. Jej szeroko otwarte oczy były pełne ekspresji, jednak wrażenie niewinności łagodziła pewność siebie z jaką położyła torebkę i worek, a potem omiotła spojrzeniem pokój. Aura twardości nie pasowała do niedojrzałego ciała, ale Karl był przekonany, że potrafi z niej bardzo szybko zrobić przerażone dziecko.

Pozwolił jej przez moment zachwycać się pokojem o ścianach pokrytych tapetą z roślinnym motywem w pastelowych barwach złota, zieleni i brzoskwiń, z podwójnym łóżkiem nakrytym narzutą o wzorze podobnym do tapety, ze stolikiem do kawy i stojącymi obok dwoma wyściełanymi krzesłami oraz dużą komodą. Po krótkiej pogawędce powiedziała mu, że jej „słowem bezpieczeństwa” jest „dość” - protest wyrażany inaczej mógł ignorować. Karl udał, że się zgadza, i polecił jej usunąć makijaż w łazience. Chciał, żeby wyglądała młodo i świeżo, tak jak on, gdy mieszkał u ciotki Ingi. Kiedy myła twarz, Karl dokonał przeglądu narzędzi w reklamówce. Zauważył ze znanstwem, że torba pochodziła od Cartiera. Pracodawca tej małej mewki dbał o szczegóły.

Karl rozłożył skórzane przedmioty na łóżku, czując jak zawsze mieszaninę pożądania, strachu i oczekiwania. Zauważył, że w tego rodzaju sytuacji słyszy ciche brzęczenie. Teraz ledwo rozróżnialne, miało stopniowo, o czym wiedział, przejść w crescendo w momencie największego podniecenia. Analityczna część mózgu rozpoznała i zaszeregowała te i inne symptomy. Uznał je za nienormalne, chociaż poddawał się im i je akceptował. Karl nie oszukiwał samego siebie. Swoje bezpieczeństwo upatrywał w rozpoznaniu i kontroli tego zjawiska.

Fassi przyniosła wszystko, o co prosił: bogaty wybór rzemieni, knebel w kształcie kuli, nabijaną metalowymi pierścieniami uprząż na głowę i podbródek, kajdanki i lewatywę. Karl przywiązał dwa rzemienie do pierścieni na uprzęży. W tym czasie Fassi rozebrała się. Schowała ubranie do komody, położyła bieliznę na krześle i podeszła do niego. Była ciemnowłosa i szczupła, żebra były lekko widoczne pod błyszczącą orzechową skórą, malutkie piersi zakończone wydatnymi sutkami. Miała zgolone włosy na łonie.

- Chcesz, abym się położyła na łóżku?

- Najpierw załóż to.

Karl podał jej białą bawełnianą koszulkę. Nasunęła ją na siebie bez zbędnych słów. Koszulka była za duża, ale Karl odciął ją u dołu. Dzięki temu Fassi była naga od pępka w dół.

- A teraz to.

Rzucił jej uzdę. Popatrzyła na wiszące rzemienie i uśmiechnęła się domyślnie.

- Będziemy w Auteuil dzisiejszego wieczora, mon bite? - rzuciła, mając na myśli sławny tor wyścigów konnych w Paryżu.

- Załóż to.

Fassi zapięła pas na czole i podbródku. Rzemienie wisały jak ogony wzdłuż ramion, w dół jej pleców aż do pasa. Podał jej lewatywę.

- Nalej gorącej wody i zawieś to.

Kiedy poszła do łazienki, Karl zawiesił na zewnątrz informację „Nie przeszkadzać” i zamknął drzwi na klucz. Zaciągnął zasłony, włączył światło, opróżnił komodę i odsunął ją od ściany. Wyjął rolkę różowej wstążki, którą kupił w sklepie z upominkami i uciął cztery długie kawałki. Położył je na wierzchu komody. Do czasu powrotu Fassi zdążył się rozebrać i czekał. Leżąc na komodzie Karl poinstruował Fassi, aby przywiązała jego ręce i stopy kawałkami wstążki do każdej z czterech nóg. Nucąc miękko zrobiła to, o co prosił.

- Mocniej - zażądał Karl. - Jeszcze mocniej.

- Te cieniutkie tasiemki? One nigdy nie utrzymają takiego mężczyzny jak ty.

- Nie po to są pomyślane.

- Aha, będziemy dzisiaj brutalem, n'est-ce pas?

- Nie odzywaj się, o ile ci nie powiem, co masz mówić.

Wzruszyła ramionami i kontynuowała to, o co ją prosił. Kiedy skończyła, Karl leżał na garderobie niemalże ją obejmując. Twarda powierzchnia ugniatała jego piersi i twarz, krawędzie wrzynały się w uda wywołując gwałtowne wspomnienia i zapomniane uczucie lęku.

- A teraz-przynieś lewatywę.

Bez słowa poszła do łazienki i powróciła, niosąc w jednej ręce zbiornik z wodą, a w drugiej pomarańczowy wąż z przytwierdzonym hegarem.

- Wbij to we mnie - wydał polecenie. - Powiedz, żebyłem brudnym chłopcem i ty mnie umyjesz.

Zbliżyła się do niego, dół bawełnianej koszulki ślizgał jej się po brzuchu, tam i z powrotem.

- Jesteś bardzo brudnym chłopcem - powiedziała zmysłowym głosem.

- Nie uwodzicielsko. Chcesz mnie zranić. Ty sprawisz mi ból. Wiesz o tym i chcesz, abym ja o tym wiedział. Dziewczyna przybrała surowy wyraz twarzy i zaczęła na nowo.

- Jesteś niechlujny - powiedziała. Tym razem było to powiedziane twardym głosem, jej zachowanie bardziej przypominało to, co pamiętał. Przeszedł go dreszcz w miarę jak uczucie zadawnionej nienawiści spowodowało, że poczuł smak żółci na języku. Brzęczenie w jego głowie przybrało na sile. Poczul, że twardnieje.

- Powtarzaj to. Mów, że jestem brudny, a ty spowodujesz, że będę czysty. Podejdz powoli i spróbuj to zrobić.

Zrobiła to, co jej kazał. Karl naprężył się w więzach i przycisnął policzek do blatu. Ż zamkniętymi oczami przypominał sobie paniczny lęk z dzieciństwa, krzykliwe mieszkanie w suterenie, duszne od zapachu tanich perfum, zbliżającą się do niego ciotkę Inge, tak samo jak robiła to właśnie w tej chwili Fassi.

Napiął wszystkie mięśnie ciała. - Bitte, bitte, Tante Inge. Proszę, nie rób tego.

- Naprawdę usmolony, musisz być za to ukarany. ‘ Czuł, że jest coraz bliżej i jeszcze mocniej napinał krępujące go więzy przypominając sobie, jak chciał zawsze uwolnić się i uciec, ale zawsze był zmuszany wytrzymać wszystko do samego końca. Szafka coraz głębiej wcinała się w jego uda wywierając niewygodny ucisk na wzwiedziony członek. Czuł w nozdrzach zaduch sypialni, smród perfum ciotki i woń własnego strachu.

- Niechluj musi być wyczyszczony dla własnego dobra.

- Będę dobry - wyszeptał, ale słowa utonęły w gniewnym brzęczeniu, które wypełniło jego uszy. - Proszę, proszę, Tante Inge.

- Musisz być umyty natychmiast.

Cały nagromadzony strach i wściekłość eksplodowały w momencie, gdy dotknęła go końcówka hegara. Zerwał pętające go wstążki, stoczył się z mebla i wylądował w przysiadzie. Zaskoczona Fassi, mogła się tylko temu przyglądać. Jej usta wyglądały jak okrągłe, różowe O.

Karl złapał ją za kostki u nóg i przewrócił na podłogę. Zanim zdążyła zareagować, górował nad nią. Przycisnął jej ręce kolanami i wepchnął hegar do jej ust.

- Ty spróbuj tego. No już - nalegał Karl.

Oswobodziła ręce i spróbowała odepchnąć go od siebie. W jej oczach czaiła się panika, strach i gniewna desperacja, gdy zaczęła się bronić. Podrapała go po oczach, zmuszając do porzucenia lewatywy i złapania ją za ręce. Pochylił się do przodu, zgiął ramię i wbił łokieć w jej splot słoneczny, następnie rzucił się w kierunku łóżka i porwał z niego knebel. Fassi przewróciła się na bok z nogami zgiętymi w kolanach, dusząc się z braku powietrza. Karl jednym pociągnięciem obrócił ją na brzuch, usiadł na jej wąskich łopatkach i zakneblował. Poruszał się błyskawicznie, płynnie, pchany do czynu, zniewolony, aby traktować dziewczynę tak, jakby była jego wrogiem, przedmiotem... tak jakby była ciotką Ingą.

Wykręcił jej ręce do tyłu, zakuł w kajdanki i obrócił ją jak na rożnie. Mogła teraz oddychać głęboko sapiąc. Miała przerażone, czujne oczy, jak zwierzątko złapane w sidła. Karl chciał doprowadzić do tego, aby obnażyła swoje uczucia, tak jak swoje ciało. Wcisnął głowę pod kusą koszulkę i wbił zęby w jej skórę. Skurczyła się oszalała. Zrobiła to tak gwałtownie i silnie, że zmusiła go do rozluźnienia chwytu. Wysunęła się spod niego, kopiąc i próbując odsunąć się jak najdalej. Złapał ją ponownie, ale kopnęła go piętą w skroń. Od ciosu łzy napłynęły mu do oczu. Fassi udało się wygramolić. Stała na nogach. Na moment stała nad nim, z rękami spiętymi za plecami, uzdą ciasno obwiązaną na czole, ustami wydętymi przez okrągły knebel. Popatrzyła najpierw na drzwi, potem na okno i pobiegła do drzwi.

Karl przetoczył się i stanął na równe nogi. Rzucił się w ślad za nią. Tym razem była przygotowana. Gdy dopadła drzwi, obróciła się na pięcie i zaskoczyła go kopnięciem wymierzonym w krocze. Jego obrona była instynktowna; odparował kopnięcie chwytając jej nogę w krzyżowym bloku i ostro szarpnął do góry. Upadła ze zduszonym jęknięciem plecami na podłogę.

Był rozwścieczony jej atakiem. Dość się w życiu nacierpiał. Teraz przyszła kolej na nią, aby ponieść karę. Zamiast tego próbowała zamiany ról, to ona próbowała zadać mu cierpienie.

Obejmując ją w kostkach, powłókł ją po pokoju za sobą. Bawełniana koszulka, szorując po dywanie zebrała się w fałdach pod pachami. Złapał za nią, rzucił dziewczynę na wierzch komody, twarzą w dół i wziął ją w ten sam sposób jak postępowano z nim, kiedy był chłopcem. Była to ofiara poświęcona cierpieniom dziecka, tak jakby wszystko przez co musiał przejść, mogło być przelane na nią.

Nie czuł współczucia dla dziewczyny. Była dojrzałą osobą, która sama wybrała sprzedawanie swojego ciała. Jeśli sprawił jej większy uraz, niż] na to liczyła, to była i tak drobnostka, w porównaniu z tym, co jemu się przydarzyło. Prawdopodobnie nie było to też gorsze od tego, przez co przeszła z własnym alfonsiem.

Rozszalałe emocje przeszkodziły Karlowi zauważyć, kiedy oczy Fassi zapadły się i straciła przytomność. Dopiero po osiągnięciu orgazmu, leżąc z policzkiem na jej plecach zorientował się, że leży bezwładnie i przestała oddychać. Ciągając jej głowę do tyłu spłaszczył jej tchawicę, odcinając dopływ powietrza. Przez dziesięć minut przywracał ją do życia metodą usta-usta, aż w końcu była zdolna oddychać.

Te dziesięć minut uzmysłowiły mu, w jak wielkim jest niebezpieczeństwie.

Spotkania z prostytutkami rozpoczęły się bardzo niewinnie, była to nagroda za jego pierwsze zabójstwo. Początkowo oddawał się tym rozrywkom tylko wtedy, gdy był daleko od domu. Potem zaczął wyjeżdżać do Berlina Zachodniego, poszukując gabinetów rozkoszy, które oferowałyby ten typ seksualnej rozrywki, który go pociągał. Utrzymywał to w tajemnicy, ciągle sobie powtarzając, że jego bezpieczeństwo zależy od kontroli tych impulsów, a nie od ich tłumienia.

Ale zdarzenie z Fassi dowiodło tego, co podejrzewał od pewnego czasu - kolejne epizody są coraz bardziej brutalne. Ciemne instynkty brały górę nad zdrowym rozsądkiem. Siła woli, poddana testowi, ugiwała się.

Karl opuścił szosę i jechał teraz przez okolice cmentarza Treptow. Zatrzymał się tylko, aby kupić czerwoną różę i dotarł na Cmentarz Nieznanych Ofiar Faszyzmu. Cmentarz był nieduży i stosunkowo nie znany. Składał się z małego, dobrze utrzymanego trawnika otoczonego wysokim na dwie stopy murkiem. Będąc jeszcze chłopcem pomagał przy jego budowie. Za materiał służyły gruzы ze zniszczonego wojną Berlina. Otrzymywał w nagrodę talerz kartoflanki i połowę kromki chleba dziennie - ucztę w czasach, kiedy wielu głodowało.

Nie przyszedł tutaj po to, aby snuć wspomnienia, ale aby uczcić pamięć swojej matki, nieznajomej, ^która dała mu życie, dzięki której był połączony z minionymi pokoleniami, z ciotkami, wujami, dziadkami, miliardami przodków, utraconymi dla niego, ale jak najbardziej realnymi.

Karl szedł wolno po trawniku, aż dotarł do środka. Stała tutaj statua, jedyna rzecz, która przerywała monotonię szerokiego pasa zielonej trawy. Statua, odlana z brązu, przedstawiała figurę klęczącej kobiety, z pochyloną głową i twarzą ukrytą w dłoniach. Nie można było ustalić tożsamości. Będąc dzieckiem doszedł do irracjonalnego wniosku, że to

jego matka pozowała rzeźbiarzowi. Potem, kiedykolwiek myślał o matce, zawsze wyobrażał sobie właśnie tę figurę.

Usiadł oparty plecami o piedestał, przechylił głowę do tyłu i patrzył w górę, na niewidoczną twarz, okoloną pierzastymi chmurkami, które wolno przesuwały się na niebie. Głosy dzieci, grających na pobliskiej ulicy w piłkę, ich pełen radości śmiech uświadomiły mu jak wiele stracił. Był ojcem trojga dzieci, ale one były dla niego obce. Zbyt wiele było do ukrycia - przed nimi, przed żoną, przed całym światem.

- To nie może trwać tak dalej - powiedział miękko obracając samotną różę w palcach.

Siedział tak przez kilka minut, głęboko oddychając, zatopiony w myślach. Róża znieruchomiała w jego palcach. Zobaczył, że zagrożenie tkwi w nim. Zagrożenie dla jego pracy, dla rodziny, dla jego własnej osobowości. Musiał wybierać. Albo zrezygnuje ze Stasi, albo nie będzie się więcej spotykał z prostytutkami. Nie było trzeciego wyjścia.

Zamknął oczy i pozwolił dryfować swobodnie swoim myślom. Znał dobrą odpowiedź - wiedział, jaka być musi. W końcu wstał. Stanął z przodu figury, patrząc na ręce z brązu, które znał jak swoje własne. Chmura zasłoniła słońce i zieleń trawy natychmiast zmieniła swój odcień na ciemniejszy.

- Nigdy więcej - wyszeptał. - To jest koniec.

Postanowienie poprawiło jego samopoczucie. Pojechał do domu, gdzie zastał Magdę przygotowującą ciasteczka na 1-go Maja i słuchającą telewizora. Dwie córeczki były jeszcze w szkole, a Willy, najmłodszy, bawił się na podwórku z chłopcem z sąsiedztwa.

Magda pocałowała go na przywitanie, jej zadarty nos potarł go po policzku. Trzymała ręce szeroko, aby nie poplamieć ciastem jego ubrania. Były czasy, na początku ich małżeństwa, kiedy byli zachwyceni swoimi ciałami. Jednak po urodzeniu pierwszego dziecka zrezygnowała z eksperymentów seksualnych i zadowolili się macierzyństwem. Była dla niego trudniej dostępna, ale on nie zwracał na to uwagi. Było mu z tym wygodnie. Spełniali obowiązki wobec siebie i nic ponad to.

- Wróciłeś wcześniej do domu - powiedziała Magda. - Czy wujaszek Aleks wyjeżdża razem z nami?

Karl natychmiast stał się czujny. Aleksy Ichnowski był jego mistrzem. Był pułkownikiem KGB odpowiedzialnym za edukację Karla, a potem jego karierę w Stasi.

- Wyjeżdża razem z nami, dokąd?

- Do Zinnowitz. Czy nie zadzwonił do ciebie do szkoły?

- Nie. Rozmawiałś z nim?

- Zadzwoił tutaj, tuż po twoim wyjściu. Powiedział, że zaprosiłeś go do Zinnowitz. Nie mam nic przeciwko temu, chciałabym tylko, abyś mnie wcześniej poinformował.

- Miałem to na myśli - powiedział Karl automatycznie.

Tak naprawdę to nie rozmawiał z Alekssem od miesięcy i nie zaprosił go na wspólne spędzenie 1-go Maja. Stary Rosjanin nie znosił plaży. Dla niego to wproszenie się oznaczało, że coś jest nie w porządku, coś czego nie mógł przedyskutować przez telefon, lecz musiał to zrobić osobiście.

Karl żałował, że nie wstąpił do biura w drodze powrotnej, ale po przemyśleniu zdał sobie sprawę, że wuj Aleks tam by nie zatelefonował. Wszystkie rozmowy w Eichwalde były podsłuchiwane. Znając go bardzo dobrze był pewny, że Rosjanin chciał, aby jego spotkanie wyglądało na prywatne i jak najbardziej naturalne.

Tok jego myśli został przerwany przez Magdę stukającą w kuchenne okno. Na zewnątrz, na podwórku, dwóch chłopców biło się o gałąź”. Przerwali, aby rzucić okiem w górę.

- Żadnych patyków, Willy - wykrzyknęła Magda. - Odłóż to natychmiast. Chłopcy udawali, że nie słyszą i rozpoczęli bójkę na nowo. Magda postukała w szybę przez chwilę i zwróciła się do Karla.

- Powstrzymaj ich.

- Zostaw ich w spokoju - polecił jej Karl, starając się, by ton jego głosu nie był surowy. Irytowało go to. Te dzieci miały wszystko i wciąż niezadowolone musiały sprawiać kłopoty.

Zamknął drzwi i patrzył przez moment, jak Magda ugniata ciasto i wkłada je do formy. Przyszedł do domu wcześniej, planując kochać się z nią, zanim dziewczynki wrócą ze szkoły, ale już to minęło. Był pełen obaw o wuja Aleksa i czuł się obcy we własnym domu.

Poszedł do garażu, wyjął klucze do samochodu i wymienił olej w swoim mercedesie. Nie zmarnował wieczora.

Rozdział 5

Sto mil na północ od Berlina usadowił się, na półwyspie wrzynającym się w Morze Bałtyckie, kurort Zinnowitz. Miasteczko było otoczone hotelami i budynkami pensjonatów, stojącymi frontem do omiatanych wiatrem i ciągnących się w nieskończoność wydm. Jeden z tych hoteli, nowoczesny „Apart-Hotel Nordsee”, oferował, oprócz pokoi i apartamentów, kort tenisowy, basen ze słoną wodą, saunę i solarium. To właśnie tutaj przybył Aleksander

Ichnowski, były zastępca członka Biura Politycznego i emerytowany przewodniczący KGB, na spotkanie z Kar-lem Alexandrem. Człowiekiem, którego uważał za syna i który przybrał jego rosyjskie nazwisko. Jedyńm, któremu mógł zaufać na śmierć i życie.

„I tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał...”

Słowa pojawiły się nieproszone w jego mózgu i wywołały uśmiech. Na starość okruchy religii były wymywane na brzeg świadomości, jak szczątki okrętu na brzeg morza. Ichnowski nie był w cerkwi przez z górą sześćdziesiąt lat, ale ostatnio odgłos wiatru szumiącego w gałęziach brzoź przybierał dla niego ton głosów wznoszących modły, zapach egzotycznego tytoniu fajkowego, przypominał aromat kadzidła a zadanie, którego się podjął, przywodziło na myśl złożenie przez Boga jego jedynego Syna w ofierze. Dla uratowania świata. Jedyńie życie Karla nie musiało być poświęcone. Nie, jeśli wszystko odbędzie się według planu.

Ichnowski poruszył się niespokojnie. Wynajęty samochód, trabant, był mały i ciasny, zwłaszcza dla mężczyzny jego rozmiarów. W latach młodości posiadał ogromną siłę i był pełen energii. Kiedy miał lat siedemnaście, podniósł konia, aby uwolnić rannego towarzysza. Innym razem, Pijany, zuchwale bujał się, uczepiony zębami liny, w powietrzu na wysokości stu stóp nad ziemią. W czasie buntu w Kronsztadzie został postrzelony dziewięciokrotnie, ale i tak był w pierwszej fali, która wdarła się na wały fortecy. „Ichnowski, człowiek z żelaza”, tak został nazwany. Już nim nie był. Lata spowodowały, że potężne niegdyś ramiona osłabły, a skóra na szyi obwisła. Tylko tułów zachował charakterystyczną mocną budowę, tak jakby wszystkie mięśnie przesunąwszy się skupiły się tylko w jednym miejscu. Prowadząc samochód jedną ręką, Ichnowski sięgnął do tyłu i rozmasował zesztyniały kark. Pomyślał z rozrzewnieniem o Miszy, osobistym kierowcy, wożącym go przez wiele lat państwową limuzyną do pracy i z powrotem. Po odejściu na emeryturę przestał należeć do nomenklatury. Już nie był jednym z wybrańców cieszących się zaufaniem Sekretarza Generalnego. A już na pewno nie tego Sekretarza. Człowieka, który chciał podpisać Układ o Wzajemnym Bezpieczeństwie z Amerykanami, wymieniając Projekt Newski na technologię tak zwanych Wojen Gwiezdnych. Było to tak, jakby zamieniać karabin na łuk ze strzałami - te słowa wypowiedział generał Gulst.

Myśl o koledze przypomiała mu ich ostatnie spotkanie w domku letniskowym pod Moskwą i twarze innych konspiratorów. Stawały mu przed oczyma kolejno tak, jak zbierali się pod pozorem uczczenia jego urodzin, a tak naprawdę, aby umocnić opozycję wobec Układu. Na spotkanie przybył generał Gulst, mocno zbudowany i rosy, Lichaczow ze swoim

pogardliwym uśmiechem, Polajan z obłudnym wyrazem twarzy, dodatkowo podkreślonym wysuniętym podbródkiem.

To dziwne, jak bardzo się różnili. Każdy przystał do grupy opozycyjnej powodowany swoim prywatnym interesem. Gulst starał się chronić Projekt, Lichaczow realizował swój plan wejścia w skład Biura Politycznego, Polajan - bo obawiał się Amerykanów. Dla Ichnowskiego tego rodzaju powody nic nie znaczyły. Patrzył na projekt, jak na zagrożenie kulturalne, a mniej go obchodziły inne „fizyczne” obawy.

Bogate kulturalne dziedzictwo Związku Radzieckiego i radosne granice marksizmu roztopiały się na Zachodzie. Ichnowski wiedział, jak łatwo jego kraj mógł stać się błędym odbiciem Ameryki, tak jak to się stało w przypadku Kanady czy Europy Zachodniej. Jeszcze jedna kultura podkopana przez konsumpcyjne zachcianki, ludzie powodowani przez powierzchowne pragnienia, oczy i uszy atakowane przez tanie kampanie reklamowe, a umysły zaprzątnięte przez quizy telewizyjne.

Ichnowski pamiętał dzień, w którym jego ojciec poszedł na carską wojnę, a matka zabrała ich do cerkwi. Wznosili modły i pieśni za jego szczęśliwy powrót do domu. Gospodi pomyluj - nawet teraz puste rytualne frazy kołatały się echem w jego mózgu. Gospodi pomyluj. Prośby nic nie pomogły. To nie modlitwy zmieniły bieg historii, ale zorganizowana akcja tego typu, jaka potrzebna była właśnie teraz, by ocalić jego ojczyznę.

Wprowadziwszy się do pokoju w „Apart-Hotel Nordsee”, Ichnowski zmienił ubranie, zszedł po schodach i zażądał spotkania z kierownikiem. Herr Oster, postawny, nienagannie ubrany mężczyzna, z ostrymi jak brzytwa bokobrodami i raczej płaską twarzą, pośpieszył mu na spotkanie. Zrobił to z zawodową usługowością, z manierą, która dla Ichnowskiego kojarzyła się z najgorszymi cechami charakteru Niemców. Przybierając odpowiedni ton arogancji, Ichnowski pokazał Herr Osterowi dyplomatkę i zażądał, aby została zamknięta w hotelowej skrytce.

- Umieszczę ją w sejfie osobiście, Herr Ichnowski - obiecał kierownik.

Patrząc za nim, jak sztywno odchodzi, z nogawkami od spodni napinającymi się za każdym krokiem na poślaskach, Ichnowski zastanawiał się, co by się stało, gdyby kierownik wiedział, że w dyplomatce znajdują się plany Oceanicznego Terminalu Wojsk Amerykańskich, radio Sony mieszczące w sobie, po przeróbce, odbiornik CIKOP-34F z deszyfratorem głosu i pięćdziesiąt tysięcy dolarów?

Ichnowski opuścił budynek i poszedł na plażę, gdzie odnalazł Karla z rodziną. Byli ubrani w stroje kąpielowe, pomimo że temperatura nie była za wysoka i powiewał chłodny wiatr. Piasek przyklejał mu się do stóp. Chociaż morze nie pociągało go zbyt, to jednak

ubrał się w strój, w jego mniemaniu, plażowy: sweter w kolorze marynarskiego granatu i białe, krótkie spodenki zapięte wysoko na brzuchu. Jak na człowieka takiej postury, miał zaskakująco chude nogi, jak mewy maszerujące wzdłuż plaży. Na nogach miał skórzane buty bez skarpet i czuł, jak piasek ociera mu piętę.

Karl powitał go ciepło, Magda tylko odrobinę mniej serdecznie, a trójka dzieci zachowała się z obowiązkową uprzejmością. Bridget i Katrina wykonały najprawdziwsze dygnięcie, gest, który uderzył Ichnowskiego jako niepasujący do kostiumów z lycry, w które były ubrane. Mały Willy potrząsnął jego ręką z powagą i natychmiast z powrotem popędził do wykopanej dziury w piasku. Piękna rodzina, pomyślał Ichnowski. Ten rodzaj rodziny, którą sam mógłby założyć, gdyby czas nie upływał tak szybko i gdyby próba ukształtowania nowego społeczeństwa nie wymagała całkowitego poświęcenia.

Nie proszona, Magda z własnej woli poszła przynieść jeszcze jeden stołeczek. Pora roku była wczesna i na plaży znajdowało się niewielu ludzi. Kilkoro z nich wynajęło kosze plażowe, z wysokimi na sześć stóp wiklinowymi osłonami od wiatru. Inni leżeli na ręcznikach i kocach, rozrzućeni grupkami po plaży. Między falami spacerowało, trzymając się za ręce, młode małżeństwo. Chłopiec bawił się z psem w przeciąganie ręcznika, a z odległego radia dobiegała melodia popularnej piosenki.

- Usiądź, wuju - zaprosił go Karl, wskazując na jedno z dwóch krzesełek. Kiedy Magda znalazła się poza zasięgiem głosu, popatrzył na Rosjanina pytająco.

- A więc?

- Kryzys, Karl. Porozmawiamy o tym później.

- Ale ty... z tobą wszystko w porządku?

Ichnowski wzruszył ramionami. - Młody człowiek uwięziony w ciele starca. Ze mną wszystko w porządku.

Magda właśnie powróciła i obydwaj zmienili temat rozmowy z wprawą zdobywaną przez lata. Rozmawiali o pogodzie, o szkolnych postępach dzieci, o Magdzie pracującej społecznie w Ośrodku Kobiet Owdowiałych w Czasie Wojny, o stanie zdrowia Ichnowskiego i ostatnio rozluźnionych przepisach granicznych w Berlinie.

Ichnowski zauważył swobodne zachowanie się Karla i podziwiał je. Nie rozmawiali ze sobą od czasu ostatniego telefonu. Rosjanin nie był wtedy w stanie wyjawić mu prawdziwego celu swojej wizyty, zdawał sobie więc sprawę, jak wielkie musi być zaniepokojenie Karla. Niewielu mogłoby zauważyć, że zachowując pozory swobodnej pozy, z półprzymkniętymi powiekami, rękami i nogami spoczywającymi niedbale na fotelikach, Karl jest czujny jak kot.

Magda opowiadała o humorystycznym incydencie, jaki zdarzył się poprzedniej nocy: motocyklista stracił orientację we mgle i wjechał do morza. Ichnowski przybrał uprzejmy wyraz twarzy i słuchał nie słysząc. Magda miała piegowatą twarz mleczarki, blond włosy i niebieskie oczy. Kiedyś można było określić jej pełną figurę słowem - apetyczna, ale teraz jej ciało wylewało się tu i ówdzie z dwuczęściowego kostiumu. Jej zainteresowania były typowe dla niemieckiej gospodyni: kuchnia, kościół i dzieci. Śmiała się łatwo i Ichnowski czuł, że ona nie ma pojęcia o tym, kim naprawdę jest Karl - o jego skomplikowanej osobowości, ukrytej za zwykłą twarzą.

Największym talentem Karla, myślał Ichnowski, była jego zdolność do życia, z taką samą wiarygodnością, w dwóch całkowicie odmiennych światach. Większość płatnych zabójców prowadziło życie samotne, bez rodzin i mając zaledwie kilku przyjaciół. Byli nieudacznikami, których ukryte skłonności nie znajdowały u nikogo zrozumienia i to powodowało, że potencjalnie byli podejrzani. Karl był inny. Dojrzewał w ruinach powojennego Berlina, otoczony śmiercią i umierającymi ludźmi. Pomimo tego, że nigdy nie rozmawiali na temat czasów poprzedzających ich spotkanie, Ichnowski podejrzewał, że dla Karla nie było różnicy między życiem i śmiercią. Na jakimś głębszym poziomie oba te stany były dla niego tym samym. To właśnie dlatego, mógł być ojcem, mężem czy płatnym mordercą i zawsze odnosił sukcesy.

Na plaży otyle dziewczynki przyłączyły się do swojego braciszka. Budowali razem piaskowe konstrukcje i mówili coś do siebie szeptem, spoglądając często w kierunku Ichnowskiego. Koniec końców Katrina wstała i podeszła do niego, zachęcana gestami swojej siostry. Stała, onieśmielona, pocierając policzek mokrym pasemkiem włosów.

- Przepraszam - powiedziała - przepraszam.

Magda wyciągnęła rękę i położyła ją na ramieniu córki. Właśnie kończyła opowiadać o tym, co nowego wydarzyło się w ich domu i zapytała: - Co się stało, o co chodzi?

- Chcę się o coś zapytać - powiedziała Katrina. Zwróciła się do Ichnowskiego: - Wujku Aleksie, Willy powiedział coś głupiego. On powiedział, że w Rosji jedzą niedźwiedzie. Czy to prawda?

- Kati! - skarciła ją Magda, ale Ichnowski oddalił jej zastrzeżenia machnięciem ręki.

- Nie, nie, nie, ona ma rację. Kiedyś jedliśmy niedźwiedzie. * Oczywiście małej dziewczynki rozszerzyły się ze zdziwienia. - Jedliście?

- Jedliśmy i polne myszy.

- Polne myszy!

- Wszystko, co udało nam się zdobyć. Tak było przed rewolucją, kiedy car zabrał całą żywność dla swoich żołnierzy, a ludzi skazał na śmierć głodową, tak że musieliśmy się żywić tym, co udało nam się znaleźć. Ten, kto zastrzelił niedźwiedzia, był szczęściarzem. Można nim było nakarmić całą wieś.

- Och! - Katrina zmarszczyła nosek z niesmakiem, a potem pobiegła do swojego rodzeństwa podzielić się potwornymi wiadomościami.

- Nie powinienes onieśmielać jej takimi opowieściami - powiedziała Magda.

- To wszystko prawda, tylko prawda. Zjadaliśmy myszy i gołębie w czasie rewolucji.

Magdą wstrząsnął dreszcz. - Myślę, że prędzej bym umarła, zanim zjadłabym coś takiego.

Karl odezwał się: - Mówisz tak dlatego, bo nie wiesz, co to znaczy głód, Magdo. Możesz mi wierzyć, jadłabyś wszystko.

- Gołębia. Może, jeśli...

- Wszystko.

Na chwilę Karl zmroził ją beznamiętnym spojrzeniem. A potem, jakby ktoś przekręcił wyłącznik, znów spojrzał na nią ciepłej. - Łapałem wróble w Tiergarten. Wuj Aleks wie o tym.

Magda czuła się niezręcznie. - Masz na myśli... po wojnie?

- A kiedy? - Karl podniósł się. - Idę do wody.

Szedł szybko do miejsca, gdzie spienione fale uderzały o brzeg rozplywając się w piasku. Dzieci pobiegły za nim, tańcząc i podskakując mu pod nogami, piszcząc z uciechy, gdy bez wahania dał nura do wody. Płynął, zagarniając wodę płynnymi i mocnymi uderzeniami. Jego ramiona błyszczały w słońcu, gdy ciało wznosiło się i opadało na fali. Jakże się różnił od umorusanego, na wpół zagłodzonego dzieciaka - myślał Ichnowski - jakim był, gdy się po raz pierwszy spotkali, wiele lat temu.

- Nigdy nic nie mówi o tamtych czasach - powiedziała Magda lekko.

Spojrzała na niego z ukosa, zapraszając do zwierzenia poufnych sekretów, ale Ichnowski niczego nie miał zamiaru jej wyjawić.

- Straszne to były czasy - powiedział jedynie.

Zamknął oczy i udawał drzemkę. Tam, gdzie jego twarz była osłonięta od wiatru, czuł ciepłe promienie słońca. Wspomnienia przyszły nieproszone... Zobaczył znowu stary budynek na Liebnechstrasse, który był przez wiele lat po wojnie siedzibą KGB. Wielopiętrowy, neorenesan-sowy budynek uniknął, jako jeden z nielicznych, radzieckiego ostrzału artyleryjskiego i bombowców amerykańskich. Otoczony żelaznym, kutym ogrodzeniem,

strzeżony był przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wstęp do niego był ściśle kontrolowany. Będąc rezydentem sekcji berlińskiej, Ichnowski wybrał właśnie to miejsce, z powodu łatwości, z jaką można było zapewnić w nim ściśle bezpieczeństwo. Szczególnie więc przykrą dla niego niespodzianką było odkrycie w budynku intruza.

Ichnowski właśnie wychodził, kiedy usłyszał strzały. Pobiegł na parter i zastał ogólne poruszenie. Dozorca odkrył, że w piwnicy znajduje się dziecko. Chłopak właśnie się wyrwał, wybiegł przez drzwi i przesadził ogrodzenie. Zanim nadbiegli wartownicy, był już po drugiej stronie, pędząc co sił w nogach po ziemi pokrytej śniegiem. Wartownik wystrzelił w jego stronę, ale chłopak zniknął w ruinach pobliskiej kamienicy. Sierżant był pewny, że uciekinier oberwał.

Ichnowski wybrał się razem z nim. Na śniegu odkryli plamy krwi. Podążając ich śladem, przez gruzy i zgliszcza zbombardowanego domu, znaleźli chłopca z twarzą wykrzywioną bólem, opartego plecami o ścianę. Chociaż był styczeń, miał na sobie podziurawione spodnie i wystrzępiony, o dwa numery za duży płaszcz. Jego krwawiące stopy owinięte były szmatami. Jedną nogę miał strzaskaną pociskiem. Sierżant podniósł karabin, ale Ichnowski powstrzymał go, kładąc rękę na zamku i przedarł się przez ruiny. Kiedy się do niego zbliżał, chłopiec przycisnął się do ściany, przerażony jak dzikie zwierzę. Ichnowski zatrzymał się tuż przed nim.

- Boli?

W odpowiedzi - wyzywające spojrzenie. Rosjanin ukląkł i wyciągnął rękę. Momentalnie chłopiec machnął prymitywnym nożem. Ichnowski odparował atak ubraną w rękawiczkę ręką, ale poczuł, że ostrze przecięło mu dłoń. Wyprostował się i kopnął chłopca w zranioną nogę. Bardzo mocno. Chłopak zemdlał. Ichnowski podniósł nóż w chwili, gdy nadbiegła jego ochrona osobista wraz z sierżantem.

- Mam wezwać policję, czy prywatnie zająć się tym małym faszystą, towarzyszu dowódcu?

- Zabierz go do szpitala.

- Do szpitala?

- Niech opatrzą jego nogę.

- Towarzyszu dowódcu, ale on włamał się do budynku służby bezpieczeństwa i... Dłoń Ichnowskiego wylądowała na twarzy sierżanta.

- Nigdy nie powtarzam rozkazów - powiedział i odszedł, nie rzuciwszy spojrzeniem za siebie.

Śledztwo ujawniło, że w piwnicy za bojlerem znajduje się nora, miejsce gdzie chłopiec znalazł schronienie. Podłoga była pokryta starymi gazetami i szmatami, jak w ptasim gnieździe. Wysmarowana sadzą firanka zasłaniała otwór wejściowy. Widać było, że intruz przebywał już tutaj od pewnego czasu.

Ichnowski poszedł do szpitala w odwiedziny. Zastał chłopca leżącego w żelaznym łóżku, z nogą na wyciągu. Umyli mu w szpitalu twarz i wyszczotkowali włosy, ale oczy w dalszym ciągu pozostały oczami dzikiego zwierzęcia.

- Powiedzieli, że twoja noga wydobrzeje. Chłopiec patrzył na niego uważnie, nic nie mówiąc.

- Jak dostałeś się do budynku? - Znów pauza. - Powiedz coś. Nikt nie wyrządzi ci krzywdy. Jak dostałeś się do budynku?

- Po pochylni węgla.

- Kłapa jest zamknięta na zapadkę.

- Rama przerdzewiała. Udało mi się ją obruszyć.

- Wyciągnąłeś całą kłapę razem z futryną? - Chłopiec skinął głową. Ichnowski uśmiechnął się do siebie. Futryna zostanie natychmiast | naprawiona.

- Mieszkałeś w budynku. Dlaczego?

- Było mi zimno.

- Należysz do gangu?

Ichnowski nie oczekiwał odpowiedzi i rzeczywiście jej nie otrzymał.] Kilka lat minęło” od wojny, a wciąż olbrzymie obszary miasta leżały w gruzach, zamieszkałe przez gromady bezdomnych dzieci, zwane gangami z ruin - żebracy, drobne złodziejaszki, kieszonkowcy i adeptci tej sztuki. Poczuli się jedynie do lojalności wobec członków tej samej grupy, a jedynym ich celem było przeżycie za wszelką cenę.

- Jak się nazywasz?

Chłopiec wpatrywał się w niego. Szare oczy były bez wyrazu. Jego zapadnięte policzki i napięta skóra przypominała Ichnowskiemu ofiary obozów koncentracyjnych, które widział na fotografiach.

- Odezwij się. Chcę z tobą porozmawiać. Nazywam się Aleksander Ichnowski. Jak masz na imię?

- Karl.

- Karl. A na nazwisko?

- Karl Drei.

- Drei - trzy. - Karl Trzy, trzeci członek gangu o tym imieniu.

- Jak długo mieszkałeś w tym budynku, Karl? Chłopak wzruszył ramionami.

- Dni? Przytaknął.

- Tygodnie?

Chłopiec przytaknął ponownie. Przebywał tam od tygodni. Pasażer na gapę w głównej kwaterze KGB w Berlinie. Ile mógł mieć lat? Siedem albo osiem? Dziecko przeniknęło przez ich system zabezpieczeń i było nie wykryte przez okres całych tygodni? Wiedział, co by się stało, gdyby wiadomość o tym dotarła do centrali w Moskwie. Ichnowski miał wielu wrogów którzy byliby bardzo „zadowoleni z nadwyrężenia jego reputacji.

- Czy pozwolisz mi tutaj usiąść, Karl?

Chłopiec odsunął się w najdalszy kraniec łóżka, gdy Rosjanin usiadł. Ichnowski wyjął nóż chłopca z kieszeni. Ostrze było zrobione z kawałka złomu. Klinga tkwiła między dwoma kawałkami drewna związanymi drutem elektrycznym. - Skąd to masz?

- Sam to zrobiłem.

- Jest bardzo ostry. - Ichnowski podniósł dłoń do góry. - Widzisz, co zrobiłeś? - Chłopak zeszywniał. - Tak, to jest dobry nóż. - Ichnowski wyciągnął nóż uchwytem w stronę Karla. - Śmiało. Możesz go potrzebować, kiedy już stąd wyjdiesz. Karl wziął od niego ostrze i wsunął pod pościel.

- Jesteś sprytnym chłopcem, Karl. Mógłbyś mi się przydać. Co byś powiedział na propozycję pracy?

Zaskoczenie spowodowało, że rysy chłopca złagodniały. Po raz pierwszy Ichnowski mógł dostrzec, że pod maską strachu i desperacji kryje się zwykle dziecko.

- Miałbyś wystarczającą ilość jedzenia, własny pokój, ciepłe ubranie. W zamian byłbyś moimi oczami i uszami na ulicy. Chłopak z ruin jest niezauważalny. Może poruszać się swobodnie, widzieć i słyszeć rzeczy dla innych niedostępne. Jak ci się to podoba?

- Miałbym co jeść?

- Ile tylko zdołasz.

- I buty?

- Buty i wełniane skarpety na dodatek.

- I mógłbym spać w piwnicy?

- Nie. Tam nie. Ale w moim mieszkaniu. Jest tam komórka za schodami, na środku czystości. Wydam polecenie właścicielce domu, aby ją opróżniła i mógłbyś tam zamieszkać.

Karl wpatrywał się w niego.

- Kiedy zaczynam?

- Już zacząłeś. Jednym z twoich zadań będzie sprawdzić zabezpieczenie wszystkich radzieckich budynków - tak jak to robiłeś do tej pory.

Raport - wynik ich współpracy - był zjadliwym oskarżeniem złożonym na majora Bobkova, szefa służby bezpieczeństwa. Czyż Ichnowski nie wynajął chłopaka z gruzów celem sprawdzenia stopnia zabezpieczenia budynków KGB? Czyż siły bezpieczeństwa nie straciły aż trzech tygodni, aby go odkryć? A co by się stało, gdyby to był agent wrogiego kraju, a nie jeden z własnych ludzi? Ichnowski proponował, aby przysłano nowego dowódcę, tym razem takiego, który nie da się wywieść w pole przez byle niedorosłka.

I tak to się właśnie zaczęło. Znajomość zawarta z rozsądkiem z czasem przerodziła się w stosunek ojca do syna. Obecność Karla wypełniła Ichnowskiemu pustkę, z której do tamtej pory nawet nie zdawał sobie sprawy. Początkowo czuł się skrępowany, a przecież był zahartowany. Nie poddawał się sentymentom i poświęcił swoje życie osobiste dla budowania nowego społeczeństwa. Ale od czasu, kiedy Karl zamieszkał pod schodami, Rosjanin stwierdził, że szuka wymówek, aby nie uczestniczyć w urządzanych przez kolegów pijackich burdach, chcąc spędzać ciche wieczory z chłopcem, jedząc kolację, prowadząc dyskusję lub po prostu grając w szachy.

Ze swej strony Karl podziwiał i uwielbiał swojego opiekuna do tego stopnia, że nigdy nie miał wątpliwości, co będzie robił, gdy dorośnie - wstąpi na służbę do KGB. Spotkało go największe rozczarowanie młodości, kiedy wyjawił swe marzenia Ichnowskiemu, a ten wyjaśnił mu, zmuszony, że tylko rodowici Rosjanie byli przyjmowani do tej organizacji. Ale służba wywiadowcza Wschodnich Niemiec na pewno go przyjmie, tego Ichnowski miał dopilnować osobiście.

Życie Karla zaczęło się od momentu spotkania Aleksandra Ichnowskiego w szpitalu. O czasach wcześniejszych nigdy nie zamienili ani słowa. Posłany do szkoły podstawowej, przybrał nazwisko od imienia swojego dobroczyńcy. Został Karlem Alexandrem. Na zawsze...

Wspomnienia te ogrzewały starego Rosjanina na równi z promieniami słońca i ukołysały go do snu. Śniła mu się cerkiew z cebulastymi kopułami, wiwatujące tłumy i niezdarne drewniane zabawki, rzeźbione przez mężczyznę z krzaczastymi brwiami i gęstą brunatną brodą. Tym mężczyzną był jego ojciec. To było tak bardzo dawno temu, a wyglądał tak młodo, tak bardzo młodo, tak bardzo dawno temu...

Rozdział 6

Karl Alexander wyjął drobne monety z kieszeni i ułożył je w równe stosiki na komodzie. Pochodziły ze Wschodnich Niemiec, wybite z aluminium, były większe i lżejsze niż ich zachodnioniemieckie odpowiedniki. Karl ułożył je zgodnie z wymiarem, od największych do najmniejszych, aż stopniowo uformowały stożek. Było to przyzwyczajenie jeszcze z dzieciństwa, kiedy pojedynczy pfennig oznaczał różnicę między skórką chleba a głodem. Dotyk monet uspokoił go. Pieniądze oznaczały bezpieczeństwo. Oznaczały, że nigdy już nie będzie więziony, jak mu się to zdarzyło w dzieciństwie. Tak jak to było u ciotki Ingi.

Karl odszedł od komody i wyjął płaszcz z szafy. Wynajął największy i najdroższy apartament w hotelu „Nordsee”: dwie sypialnie i pokój gościnny z małą kuchenną wnęką. Przez otwarte drzwi widział Magdę i dzieci siedzące przed telewizorem. Willy spał na kolanach matki, a dziewczynki leżały na podłodze, podparwszy głowy rękami. Jego rodzina dawała mu to samo poczucie bezpieczeństwa, co stos monet na komodzie.

Karl nie był zbyt bogaty, ale należał do tych z przywilejami. Istniało wiele dróg, którymi wyżsi oficerowie Stasi mogli uzupełniać swoje, skromne pod innymi względami, dochody. Zapora przeciw imperialistom, znana na Zachodzie jako mur berliński, była dla Karla niewidoczna. Mignawszy jedynie swoją legitymacją, mógł przejeżdżać dowolnie z jednego sektora do drugiego. Nie dotyczyły go restrykcje walutowe obowiązujące w jego kraju, a jego samochód nigdy nie był sprawdzany na granicy. Człowiek z rozległymi koneksjami w podziemnym światku na Zachodzie i o uprzywilejowanej pozycji na Wschodzie byłby głupcem, gdyby tego nie wykorzystał do robienia pieniędzy.

Magda odezwała się do dzieci i obie dziewczynki roześmiały się. Karl przekrzywił głowę na bok, słuchał, podobny do wilka czującego zbliżające się dzikie ptactwo. Na początku bardzo go to martwiło, że świat dzieci jest niezrozumiały dla niego. Ich swobodny, beztroski sposób bycia i łatwość, z jaką się śmiały były mu obce. Kiedy próbował dołączyć do nich, jego starania były nienaturalne, wymuszone. Nie mając dzieciństwa, nie mógł sobie wyobrazić świata, w którym one żyją. Jego świat został stworzony przez ciotkę Inge.

Karl sprawdził wygląd w lustrze, powiedział „dobranoc” dzieciom i żonie, otrzymując w zamian obowiązkowo uprzejmą odpowiedź. Kiedy wszedł do windy i nacisnął guzik na trzecie piętro, zdał sobie sprawę, że czuje się mocniej związany z wujem Alekssem, niż ze swoją własną rodziną.

Obserwował skonsternowany, co się stało ze starym Rosjaninem. Przez telefon głos Ichnowskiego ciągle brzmiał mocno i gburowato - ciągle ten sam ton, który zapamiętał będąc dzieckiem. Głos należący do tego samego człowieka, którego po raz pierwszy zobaczył jako olbrzyma ubranego w zimowy płaszcz koloru khaki i futrzaną czapkę z emblematem

niezwyciężonej siły militarnej - Armii Czerwonej. Ale tego popołudnia, bawiąc się z dziećmi, wuj Aleksander stał niepewnie na nogach, a kiedy zapadł w drzemkę siedząc w fotelu, jego podbródek znikną w fałdach skóry.

Drzwi od windy otworzyły się. Kiedy Karl wychodził, jego miejsce w windzie zajął mężczyzna w średnim wieku w towarzystwie chichoczącej kobiety. Miała ufarbowane na czerwono włosy i ubrana była w obcisłą sukienkę. Wchodząc, zderzyła się z Karlem i powiedziała: Przepraszam. - Zlustrowała go mimochodem i nie ukrywała, że jej się spodobał. Karl nie zwrócił na to uwagi, ale idąc korytarzem przyłapał się na tym, że w myśli zamienia pełne wyuzdania spojrzenie dziewczyny na wyraz bólu i strachu, tak jak to zrobił w przypadku algierskiej prostytutki, Fassi. Z wysiłkiem odsunął myśli od siebie, skupiając uwagę na tym, co go otacza -. ściany pomalowane na zdecydowanie pogodny żółty kolor, głośnicę wiszącą na końcu korytarza, przytłumiony dźwięk telewizora.

Odnalazł pokój Ichnowskiego i zapukał do drzwi. Wygląd Rosjanina świadczył, że właśnie wyszedł z wanny; miał wilgotne włosy, ubrany był w nakrochmalone spodnie i jasną jedwabną koszulę. Tym razem, na powitanie, padli sobie w objęcia, podkreślając w ten sposób zdawkowość| wcześniejszego, publicznego, powitania.

- Oj, Drajski, Drajski - powiedział Rosjanin, używając przydomka, które nosił Karl będąc dzieckiem. Trzymał młodszego mężczyznę na długość ramienia. Zaskoczony Karl spostrzegł, że na dnie rozradowanych oczu czai się smutek. - Masz jakieś kłopoty, wujku Aleksandrze?

- Ciepło, bardzo ciepło. Która godzina? Masz zegarek?

Ichnowski chwycił Karla za nadgarstek i obrócił go tak, że mógł rzucić okiem na zegarek. Był to nowoczesny, cyfrowy zegarek, ale dla Karla było jasne, że nie chodziło mu o godzinę. Zegarek był skonstruowany przez Stasi, migotanie cyferek oznaczało, że w pokoju znajduje się nadajnik. Czy naprawdę wuj Aleksander myślał, że jego pokój w „Nord-see” może być na podsłuchu? Poczul, jak jego zmysły wyostają się. Rosjanin nie należał do ludzi bojących się byle czego.

Ichnowski chrząknął uspokojony. Obrócił się i niecierpliwie wskazał na telewizor.

- Poszukaj jakiegoś dobrego programu, coś, co oderwie nasze myśli od codziennych kłopotów.

Karl przedsięwziął rutynowe środki ostrożności i nastawił głośno sprawozdanie sportowe z regat żaglowych.

- Tak. Bardzo dobrze - zawołał Ichnowski. Właśnie odkręcał mikrofon od słuchawki telefonicznej. Dopiero po tym, jak umieścił go bezpiecznie na blacie stołu, usadowił Karla.

- Siadaj. Siadaj - zaprosił go, mówiąc po rosyjsku. - Teraz możemy pogadać.

Usiedli przy okrągłym stole z blatem ze sztucznego marmuru, stojącym przy oknie z pięknym widokiem na morze. Poniżej widać było oświetloną reflektorami plażę. Tam, gdzie stapiała się ona z wodą, panowały ciemności i widać było tylko blade węże piany płynące na niewidocznych falach wzdłuż brzegu.

- Karl - rozpoczął posępnie Ichnowski - to, co muszę ci powiedzieć będzie zagrożeniem dla twojej dalszej kariery, rodziny a może nawet i życia. Jeśli byłaby inna droga... jeśli byłbym w wystarczająco młodym wieku, jeśli mógłbym cofnąć zegar wewnątrz tego starego ciała i stać się takim jak ty, człowiekiem w kwiecie wieku...

Westchnął. Karl obserwował go i czekał. Znał usposobienie starca wystarczająco dobrze, aby nie próbować go ponaglać. Ichnowski położył ręce na stole i potrząsnął głową.

- To, czego chce umysł - powiedział - ciało nie jest w stanie wykonać; to, co widzą oczy, ręce nie są w stanie złapać.

Karl przesunął swoje dłonie po stole. - Użyj tych, wujku Aleksandrze.

Ichnowski uśmiechnął się. - Wiem, że nie obchodzą cię ideologiczne sprawy, Karl, ale czyż nie zdajesz sobie sprawy, że socjalizm znalazł się na niebezpiecznym rozdrożu? Zasady nie są już przestrzegane, słabnie nasze oddanie sprawie, a wielkie marzenie Rewolucji obumiera. Ty jesteś młody, ale ja pamiętam wielką wizję nowego świata, wizję która spowodowała, że byliśmy silni, tak silni, że byliśmy w stanie odnieść zwycięstwo nawet wtedy, kiedy popełniliśmy błąd. Teraz tracimy to dziedzictwo, a wraz z nim nadzieję na lepszą przyszłość. Karl słuchał, ale słowa wywierały na nim niewielkie wrażenie. Wiedział o korzyściach marksizmu i słabościach kapitalizmu oraz o zagrożeniu przez imperializm. Ale były to dla niego dogmaty, prawdy, których nauczono go w szkole. Nie należał do grona inteligencji. Polityczne koncepcje i abstrakcyjne dyskusje znaczyły dla niego niewiele, o ile nie prowadziły do działania. Czuł się zobowiązany tylko wobec Aleksandra Ichnowskiego, a dopiero poprzez niego wobec państwa i systemu, którym służył.

- Nie zniszczy nas bomba atomowa, Karl, ale kulturalna dywersja. Czy możesz to zrozumieć? Nie, nie, zanudzam cię. Bardzo dobrze. W takim razie pozwól, że ci coś pokażę. Coś, co wywrze odpowiednie wrażenie nawet na twojej pragmatycznej duszy.

Ichnowski przemierzył pokój i położył dyplomatkę na łóżku. Otworzył zamek i wyjął kasetę wideo.

- Na pewno słyszałeś o Projekcie Newskim, jak przypuszczam?

- Radziecka wersja amerykańskiego programu Gwiezdných Wojen. Rosjanin potrząsnął głową. Niosąc kasetę do odtwarzacza, wymachiwał nią w powietrzu:

- Błąd. Błąd. Błąd. Każdy myśli, że te dwa systemy są podobne. I nic dziwnego, ponieważ nasz znakomity Sekretarz Generalny zamierza wymienić owoce radzieckiej nauki na ten tak zwany program Gwiezdných Wojen.

Karl wiedział, co tamten ma na myśli. Sekretarz Generalny odlatywał do Waszyngtonu pod koniec miesiąca, aby podpisać Układ o Wzajemnym Bezpieczeństwie. Porozumienie zapewniało wymianę technologii obronnych pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim i współpracę naukowców z obu krajów, pracujących nad tymi dwoma systemami. System, uruchomiony jako pierwszy, miał być rozmieszczony z korzyścią dla obu supermocarstw. Traktat miał wielu oponentów wśród Amerykanów i Rosjan.

Wuj Aleksander kontynuował, wkładając kasetę do wideomagnetofonu.

- Ale pozwolę, abyś sam dokonał oceny. Patrz, do czego jest zdolny Projekt Newski. Amerykanie opowiadają o Gwiezdných Wojnach i systemach laserowych, których realizacja jest wciąż odległa o lata. Można to zobaczyć na filmach i w Disneylandzie, podczas gdy my... my mamy już system zdolny otoczyć elektroniczną tarczą każde ważniejsze miasto czy instalację militarną w naszym kraju.

Ekran telewizora zamigotał. Zdjęcia z regat zniknęły, zastąpione na moment przez śnieg, a następnie pojawił się tytuł: „Departament Badawczy Raketowych Sił Strategicznych, Projekt N-181: Klasyfikacja Ścisłe tajne.”

- Ciągłe masz swoje źródła informacji, wujku - powiedział Karl z podziwem.

- Nie jestem osamotniony, Karl. Jest nas więcej.

Pierwsza scena pokazywała coś, co wyglądało jak olbrzymi talerz anteny satelitarnej o średnicy ponad pięćdziesięciu stóp, z długim ostrym słupem sterczącym ze środka. Talerz umieszczony był w laboratorium. Na innych zdjęciach widać było potężne prądnice i wypchane aparaturą pomiarową pomieszczenia kontrolne. Pracownicy w białych fartuchach pracowali przy maszynerii, od czasu do czasu któryś z nich patrzył w stronę kamery i uśmiechał się z zażenowaniem.

- 'Bardzo krótkie fale elektromagnetyczne - wyjaśnił Ichnowski, tak jakby powtarzał wyuczone fakty. - Sześćdziesiąt gigahertzów. Armata przeciw układom scalonym. Tak ją nazwali nasi naukowcy. Potrafi zniszczyć elektronikę sterującą nadlatującej rakiety. Popatrz. Popatrz na to, co nastąpi teraz.

Kolosalne wrota z jednej strony budynku otworzyły się na szerokie pole. W oddali widać było jezioro. Instynktownie, Karl zarejestrował punkty topograficzne i starał się ustalić położenie geograficzne. Nie mógł powiedzieć z całą pewnością, ale mogło to być gdzieś w rejonie morza Aralskiego.

Obraz obejmował teraz wyrzutnię raket z pociskiem raketowym wycelowanym w niebo. W rogu ekranu ukazały się białe cyfry stopera, odliczającego od trzydziestu sekund w dół.

- Odlicza się czas do momentu wyzwolenia sygnału uruchamiającego nadajnik Newski - powiedział Ichnowski, - Rakieta jest odpalana najpierw.

Karl skinął głową bez słowa. Taśma przypominała mu testy pierwszych niemieckich raket, V-1 i V-2, jedynie jakość obrazu była lepsza. Przy pięciu sekundach raketa wystrzeliła łukiem w niebo. Jej lot nad jeziorem był rejestrowany kamerą do zdjęć przyspieszonych. W chwilę później licznik osiągnął zero i nadajnik został uaktywniony. Natychmiast raketa zeszła z kursu, zaczęła opadać i w końcu eksplodowała. Obiektyw kamery ukazał deszcz dymiących odłamków, spadających do jeziora.

- I to jest właśnie to, co Sekretarz Generalny zamierza wręczyć Amerykanom - powiedział Ichnowski z oburzeniem. - Projekt Newski. Co w zamian? Rysunki techniczne.

- To zrobiły fale radiowe?

- Rozumiesz, jakie to stwarza możliwości? Elektroniczny parasol nad każdym ważnym miastem i urządzeniem wojskowym Związku Radzieckiego. Nieprzenikliwy dla żadnych elektronicznie sterowanych, zaawansowanych systemów przenoszenia.

Karl był pod wrażeniem. Projekt trzymano w głębokim sekrecie i raporty różniły się znacznie w jego ocenie. Po raz pierwszy widział coś konkretnego.

- Czy to już działa?

- Jak widzisz.,

Próby były kontynuowane, każda dawała ten sam wynik.

- To nie rozumiem - powiedział Karl. - Dlaczego handlować z Amerykanami, jeśli macie gotowy nadajnik Newski? Starzec popatrzył na niego z wściekłością.

- Dlaczego mamy nadajnik Newski? Dlaczego mówisz o tym tak, jakbyśmy oddzielali się od was? Od NRD? Od innych krajów Układu Warszawskiego? Ta technologia należy do nas, wszystkich.

Karl przytaknął skinieniem głowy, myśląc o tym, że patriotyzm wuja Aleksa stał się z wiekiem bardziej skrajny.

- My, w takim razie. Dlaczego po prostu nie rozlokujemy tych nadajników i zapomnimy o całym traktacie?

- Koszty. Popatrz tutaj. - Ichnowski wskazał na ostatni test, na którym rakiecie udało się wyjść bez szwanku. - Potrzebne jest ogromne źródło mocy. Możesz zauważyć, że zasięg w

badaniach jest wciąż ograniczony. To, czego potrzebujemy, to nadprzewodniki - a tych mogą dostarczyć Amerykanie.

- Wujku Aleksie, proszę o wyrozumiałość - ale to wygląda na powód do podpisania traktatu. Jeśli nadajnik Newski wyposażyć w nadprzewodniki, obydwa kraje mogą go rozmieścić na swoich terenach, nie będąc narażonym na atak drugiej strony.

- Nie będąc narażonym na atak rakietowy - poprawił go Ichnowski.

- Masz na myśli samolot pilotowany przez człowieka?

- Mam na myśli zagrożenie przez nadajnik Newski innego rodzaju, popatrz na to.

Ekran pociemniał, ale wkrótce nowy tytuł zapowiedział następny cykl testów. Tym razem dotyczyły one czołgu typu T-54, postawionego na środku terenu. Na oczach Karła, dwóch ludzi wniosło psa do wnętrza czołgu, przypinając go pasami przed obiektywem kamery wideo. Ludzie opuścili czołg, zamykając za sobą właz. Obraz przeniósł się do wnętrza czołgu, a w rogu ekranu znowu ukazały się cyferki licznika. Pies czekał. Od czasu do czasu spoglądał w stronę włazu, którym wyszli ludzie, szarpiąc za rzemienie. Kiedy odliczanie doszło do zera, wydał cichy skowyt, wykręcił łeb do tyłu, konwulsyjnie gryząc na oślep krępującą go uprząż. Stracił przytomność i po krótkiej agonii jego ciało znieruchomiało. Nastąpiła zmiana sceny. Pokazano techników wydobywających martwego psa z czołgu. Podnieśli go do góry, szczerząc zęby w uśmiechu, jak myśliwi na grubego zwierza ze swoją zdobyczą.

Ichnowski zatrzymał taśmę.

- Sterylna destrukcja - powiedział cicho. - Tak to nazwali. Mając większą moc, można powstrzymać batalion czołgów. Dysponując wystarczającym źródłem zasilania, można zetrzeć całą populację Tokio czy Nowego Jorku nie naruszając nawet jednej cegły.

Karl nie tak łatwo poddający się urokom nowej technologii, zorientował się, że mówi szeptem.

- Czy to daje taki sam efekt na ludziach?

- Na całej populacji świata zwierząt - odpowiedział Rosjanin. - Elektrochemiczne impulsy mózgu są tak samo łatwo podatne na zakłócenia, jak mikroukłady.

Ichnowski usunął kasetę. Na ekranie pojawił się aktualny program, komedia o mężczyźnie, który uczył się jeździć na nartach.

- Teraz rozumiesz, dlaczego Projekt Newski nie może się dostać w ręce Amerykanów?

- Czy Sekretarz Generalny widział wyniki testów?

- Ależ oczywiście, że tak. To dlatego jego decyzja jest jeszcze większym przestępstwem. Oddać Amerykanom narzędzie własnej zagłady... - Ichnowski wstrząsnął

głową. - Możesz sobie wyobrazić przekaźnik krążący na orbicie? Zasilany energią słoneczną i wykorzystujący nadprzewodniki?

- Myślałem, że obchodzi cię tylko dywersja kulturalna, wujku?

- Fizyczna zagłada idzie z tym ręką w rękę. Pierwsze przygotowuje grunt pod drugie. Ja obawiam się obu. To dlatego zwracam się do ciebie. Chcę, żebyś ocalił moją ojczyznę, Karl. Naszą ojczyznę. Sekretarz Generalny zapomniał, jaką powierzono mu misję, czemu mają służyć wszystkie układy ze Stanami Zjednoczonymi. Został zwiedziony historycznym wołaniem o pokój, skorumpowany wizją kompromisu. Jest gotowy poświęcić dziedzictwo narodu w zamian za korzystne porozumienia ekonomiczne. Musi być powstrzymany.

- Nie jestem drugim Leninem, wuju.

- Ignacym Hryniewieckim.

Uśmiech Karla zamarł na ustach, kiedy uświadomił sobie w pełni znaczenie słów Ichnowskiego. Ignacy Hryniewiecki był człowiekiem, który zamordował cara Rosji, Aleksandra II. Każdy uczeń to wiedział.

- Tylko, że - dodał Ichnowski - nie chcę od ciebie, abyś poświęcił swoje życie, tak jak to zrobił biedny Hryniewiecki.

- Czego chcesz, wujku?

Rosjanin podniósł się z krzesła i sięgnął do leżącej na łóżku dyplomatki. Wydobył szarą kopertę, wyciągnął z niej złożony arkusz papieru i podał go Karlowi, a ten rozłożył go na stole bez zbędnych komentarzy. To była mapa stacji załadunkowej. Legenda i opis budynków były po angielsku. Karl czytał bez trudności. Jego trening obejmował naukę angielskiego i francuskiego: języki zachodnich okupantów Niemiec.

- Wojskowy Oceaniczny Terminal Bayonne?

Ichnowski przytaknął. - Bayonne, New Jersey, port Nowego Jorku. Chcę, abyś zwrócił uwagę na Magazyn E.

Karl przebiegł palcem po indeksie do miejsca, gdzie znalazł to, czego szukał. Ichnowski, stojąc za jego plecami, położył rękę na jego ramieniu.

- Zanim ci powiem, co jest w środku, musisz wiedzieć dwie rzeczy. Karl. Po pierwsze, to nie jest oficjalne zadanie. Jeśli się go podejmiesz, dostaniesz zwolnienie na dwa tygodnie, jako doradca naszego ośrodka treningowego w Jarosławiu. To nie będzie prawda. Znikniesz na trzynaście dni. Po powrocie, będziesz bohaterem, ale nie wolno ci nikomu nic mówić. Nikt nie może się kiedykolwiek dowiedzieć.

- A po drugie?

- Jeśli nie podołasz, to będzie oznaczało moją śmierć.

- W takim razie będziesz żył bardzo długo, wujku Aleksandrze - powiedział cicho Karl. - Co jest w tym magazynie?,

Ichnowski się nie uśmiechnął, ale Karl spostrzegł wyraz satysfakcji w jego oczach.

- To, co tam będzie za trzy tygodnie, to dostawa numer QL 4416 H5. Składa się ona z ręcznych przeciwlotniczych pocisków typu Redeye, przeznaczonych dla kontrewolucjonistów w Nikaragui. Jeden z nich nigdy tam nie dotrze. Musisz go ukraść i zestrzelić radziecki samolot Iliuszyn 62. - Przerwał na chwilę, a potem dodał: - Myślę, że wiesz, kto będzie na pokładzie samolotu.

- Sekretarz Generalny?

- Ichnowski skinął, przytakując. Karl wbił w twarz starca spojrzenie pełne determinacji. - Wyjaśnij szczegóły.

- Transport Redeye przybędzie pociągiem towarowym dwudziestego trzeciego. Statek Coralis, transportowiec cywilny wynajęty przez Wojskowe Dowództwo Transportu Morskiego na długoterminowy kontrakt, przybędzie dwudziestego piątego i zabierze rakiety do rebeliantów. Pomiędzy dostawą raket a ich załadowaniem na statek musisz ukraść jeden egzemplarz w taki sposób, aby nikt się o tym nie dowiedział.

- Ukraść amerykańską rakietę? Dlaczego nie użyć którejś z naszych?

- Ponieważ wszystko musi wyglądać na robotę amerykańskiego patrioty, fanatyka oddanego sprawie zniszczenia Związku Radzieckiego.

- Kto jest tym patriotą?

- Tę sprawę' zostawiam tobie, Karl. - Ichnowski poklepał go po ramieniu. - Bardzo wiele od ciebie wymagam. Wiem o tym.

- Poddajesz mnie próbie.

- Bo jest we mnie wiara. Oddaję moje życie w twoje ręce. - To był najważniejszy argument, jakim mógł przekonać Karla do misji. Skuteczniejszy niż całe gadanie wuja Aleksandra o chwale Związku Radzieckiego.

Karl przypomniał sobie coś, co usłyszał o raketach Redeye. - Myślałem, że Amerykanie wymienili Redeye na Stingery.

- Zrobili to. To dlatego wysyłają je do Nikaragui dla kontras. I dlatego ta dostawa jest taka niezwykła. Stacja Bayonne nie jest używana do przesyłania raket i co za tym idzie, ochrona nie będzie tak ścisła jak zazwyczaj.

Karl zaczął rozważać sposób przeprowadzenia ataku, jak i jego polityczne konsekwencje.

- Sekretarz Generalny... Czy jesteś tego pewny?

- Słuchaj mnie, słuchaj uważnie. - Ichnowski obszedł stół dookoła i usiadł naprzeciw Karla.

- Nie przychodzę samotnie. Za mną stoi wielu, którzy są tak samo jak ja zdecydowani pozbyć się aktualnego kierownictwa na Kremlu. Oni chcą to zrobić przed podpisaniem Traktatu. Nie uda im się to, o ile Sekretarz Generalny nie zostanie usunięty, a tak zwani reformiści zdyskredytowani. Zrobimy to za jednym zamachem, ty i ja. Kiedy samolot Sekretarza zostanie zestrzelony, świat ujrzy ułudę nawet próby dojścia do porozumienia z Amerykanami, a reformiści zostaną bez przywódcy.

- Ale zestrzelenie jego samolotu... przecież musi mieć zainstalowane systemy obronne. Systemy wykrywania, elektroniczne zakłócanie, i rakiety powietrze-powietrze...

Ichnowski machnął ręką.

- Tak, tak. Oczywiście. Iliuszyn jest całkowicie chroniony w bardzo wymyślny sposób. Coś tak prymitywnego jak rakietka typu Redeye nie może mu nic zrobić tak długo, jak systemy obronne podczerwieni działają poprawnie. Rzecz w tym, że one nie będą włączone. Panele terminali będą wyświetlać informację dla załogi, że system jest uzbrojony i wszystko działa poprawnie.

- Możesz to zrobić?

- Powiedziałem ci, Drajski. Nie jestem sam. Odszedł do swojej teczki i wrócił z dwoma przedmiotami. Tym razem jego ruchy były szybkie i energiczne, tak jakby był znowu młody. Karl nie widział go w tak dobrym humorze od lat.

- Mam tu wszystko, czego potrzebujesz. - Podał Karlowi radio Sony o wymiarach walkie-talkie.

- Wyprodukowane przez Sony, zmodyfikowane przez naszych specjalistów od elektroniki. Radio odbiera wszystkie częstotliwości lotnictwa, a także ma wmontowany dekryptor kodu Alfa, czyli radzieckiego kodu używanego w komunikacji w powietrzu. Pokażę ci, jak to działa. Będziesz także potrzebował tego.

Ichnowski podał mu manilową kopertę. Karl wyciągnął z niej fotokopię instrukcji U.S. Army. Dużą czcionką na stronie tytułowej można było przeczytać: Podręcznik użytkownika: REDEYE System Kierowanej Obrony Przeciwlotniczej XM41E2.

- Lepiej naucz się tego na pamięć - powiedział Rosjanin. - Amerykanie przywitaliby cię bardzo nieuprzejmie, jeśli to zostałyby znalezione w twoim bagażu.

Karl przytaknął z roztargnieniem, zamyślony nad politycznymi implikacjami spisku Redeye. Czym innym było prowadzenie wojny przeciw wrogom państwa, czym innym zaś jeszcze jedno zabójstwo szpiega czy zdrajcy. To była głowa państwa radzieckiego.

Powstrzymał się od zadawania pytań o nazwiska innych konspiratorów. Nigdy nie podważał do tej pory zdania wujka Aleksandra. Oprócz tego, informacje przyniesione przez Rosjanina były wystarczającym dowodem, że konspiracja objęła znaczną część hierarchii radzieckiej. Czując jego niepokój, Ichnowski zapytał:

- Czy coś nie w porządku?

Karl potrząsnął głową z uśmiechem: - Zrobiłem tylko głęboki wdech, wujku. Ichnowski popatrzył nie widzącym spojrzeniem.

- Ocalimy dziedzictwo socjalizmu, Karl. Ty, ja, i stęskniona miłości dziewczyna o imieniu Marina.

Rozdział 7

- Szkoda, że nie zadzwonił do mnie o północy - powiedział Maurice Singer do swojego partnera. - Oddzwoniłbym w dwie godziny później, tylko po to, aby zmienić miejsce spotkania.

- I pozwolić mu przejąć kontrolę? - zapytał Hugh z uśmiechem.

Obydwaj wiedzieli o doktrynie Firmy określającej, że oficer śledczy ponosi główną odpowiedzialność za zachowanie pełnej kontroli nad swoimi „aktywami”. Maurice chrząknął. Miał własne zdanie na temat doktryny oraz, jak kontrolować ludzi, takich jak Paul Stafford.

Dwaj mężczyźni czekali w „Trio”, znanej restauracji w pobliżu DuPont Circle. Siedzieli przy stoliku w ogródku, tuż obok metalowej barierki oddzielającej ich od chodnika. Po trzech miesiącach śledztwa - bardzo kosztownego śledztwa - w końcu coś się działo w sprawie Stafforda.

- Myślisz, że otrzymał instrukcje od lokalnego rezydenta, - zapytał Maurice, mając na myśli szefa KGB w ambasadzie.

- Równie dobrze mógłby otrzymać od nich kulę w łeb jako instrukcję.

- Dlatego, że spartaczył?

- Dlatego, że spartaczył zabójstwa.

- O to mu chodziło.

- Może.

- A z jakiego innego powodu?

Hugh podniósł ostrożnie filiżankę z kawą. Nic nie odpowiedział. Teoretycznie, to on był instruktorem młodszego mężczyzny, ale podejrzewał, że Maurice pracuje z nim, aby go obserwować. Od czasu katastrofy w Iranie należał do drugiego garnituru. Nikt mu tego nigdy

nie powiedział, bo nikt nie musiał. Jego kolejne przydziały najlepiej o tym świadczyły. Tylko dlatego, że Jack Lewis, nowy dyrektor wywiadu, był jego starym przyjacielem, została mu przydzielona sprawa Stafforda.

Hugh Roark miał pecha. Wstąpił do Firmy po drugiej wojnie i pracował jako oficer śledczy w powojennym Wiedniu, a później na Bliskim Wschodzie. Miał niezły instykt. Wiedział, jak werbować, a potem prowadzić nowych agentów. Na każdej placówce szybko zakładał pewną, wysokiej jakości siatkę wywiadowczą. W pewnym momencie wszystkim się wydawało, że zostanie pełnomocnikiem do spraw wywiadu. Ale po powrocie do Stanów stwierdził, że nie ma wystarczającej cierpliwości do uprawiania politycznych manewrów. Jego kariera stanęła w martwym punkcie i przez kilka lat pozostawał ciągle głównym kandydatem na wysokie stanowiska. Miał to nieszczęście, że został mianowany na naczelnego placówki w Teheranie na dwa miesiące przed obaleniem Szacha. Kiedy CIA znalazła się w ogniu krytyki za brak rozeznania i błędne prognozy sytuacji w Iranie, Hugh został kozłem ofiarnym. Od tamtej pory tylko spędzał czas w oczekiwaniu na emeryturę. Przypadek Paula Stafforda był intrygującym wyjątkiem w jego pełnej rutyny, codziennej robocie, w której był zagrzebany po uszy. Najciekawsze było to, że jego wytrenowany instykt podpowiadał mu, że Paul Stafford mówił prawdę. W tym tkwiła różnica między nim a Maurice, który będąc nieprawnym sędzią charakterów machinalnie posądzał każdego o nieczne zamiary.

- A więc co my wiemy? - zapytał Maurice retorycznie. - Wiemy, że zanim natknęliśmy się na opowiadania Stafforda, wszystkie wypadki śmierci były traktowane jak nieszczęśliwe wypadki. Wszystkie, oprócz Wilsona. A i wtedy śmierć wyglądała na lokalne porachunki, a nie na robotę Rosjan. Upozorowanie morderstwa tak, aby wyglądało na atak świnki, wymaga pierwszorzędnego talentu. Pytanie brzmi: dlaczego Moskwa to wszystko marnuje poprzez polecenie wyjawienia tajemnicy w publikacjach miesięcznika opowiadań sensacyjnych.?

Maurice spojrzał na Hugh'a z ukosa, zapraszając go do dyskusji. Kiedy starszy mężczyzna nie odezwał się, Maurice sam udzielił sobie odpowiedzi.

- A może oni testowali nas, aby sprawdzić precyzję działania naszego biura do spraw bezpieczeństwa?

- Może - powiedział Hugh. Skierował spojrzenie ponad ramionami Maurice'a, uważnie obserwując ulicę. Wpatrywał Paula.

- Ale ty jesteś odmiennego zdania.

Hugh westchnął. - Jeśliby mieli taki zamiar, użyliby czegoś, co wyrządza mniejsze szkody. Pamiętasz jak trop o mała nie zaprowadził do

Moskwy, kiedy Bułgarzy spaprali robotę przy próbie zabójstwa papieża? Jeśli udałoby się nam udowodnić, że to są morderstwa, a nie nieszczęśliwe wypadki i połączyć je z działalnością Moskwy, to smród byłby taki, przy którym katastrofa w Czarnobylu wyglądałaby jak piknik. Nie mogę zrozumieć, w żaden sposób, czego chce Moskwa, publikując te opowiadania.

- W takim razie skąd on ma te informacje, jeśli nie otrzymuje ich stamtąd?

- Może się tego dowiemy.

Hugh skinął głową w stronę ulicy. W ich kierunku właśnie nadchodził Paul Stafford. Był ubrany jak typowy dziennikarz - dżinsy, koszula z logo Oksfordu i kurtka w jodełkę. Kiedy ich zobaczył, zmienił kierunek i podszedł wprost do ich stolika, przechodząc przez metalową barierkę. Hugh ocenił jego wygląd i pomyślał, że mizernie wygląda. Prawdopodobnie był na nogach przez całą noc, próbując zdecydować, co uczynić, jak wiele im powiedzieć.

- Za każdym razem w innym kolorze? - powiedział Paul, wskazując gestem gumkę, którą Maurice obracał w palcach. Trwało chwilę, zanim ten zrozumiał, o czym on mówi. Potem wzruszył ramionami i powiedział.

- To zależy od tego, jaką są spięte gazety. Codziennie rano.

- Herald

- Post.

- No tak. Oni używają gumek.

Jako przykład pojedynku jeden na jednego, ta wymiana zdań miała podrzędne znaczenie, ale pozwoliła Hugh'owi uzupełnić wyłaniający się portret Paula o nowy szczegół. Spozregawczy facet, ten Stafford. Przyzwyczajenie Maurice'a nie uszło jego uwagi, kiedy się z nim spotkali poprzedniego dnia.

Uśmiechnięta kelnerka pojawiła się, niosąc kawę i menu. Paul zamówił kawałek placka; Hugh i Maurice, na rachunek śledztwa, zamówili cały lunch. Kiedy kelnerka odeszła, Hugh rozpoczął rozmowę, mówiąc Paulowi, jaką to przyjemną niespodziankę im sprawił, decydując się na współpracę.

- To droga w obu kierunkach - zignorował go Paul. - Ja powiem wam to, co wiem, a wy podzielicie się ze mną swoimi wiadomościami.

- Chciałbym to zrobić - odpowiedział mu Hugh - ale nie mogę się zgodzić na stawianie warunków, dopóki nie będę wiedział więcej na temat informacji, których ma pan zamiar nam udzielić oraz dodatkowo, jak bardzo jest pan w to zamieszany.

- To proste - powiedział Paul. - Ale odpowiedź nie przypadnie wam do gustu.

- Spróbuj - uśmiechnął się Hugh, ale jego oczy, normalnie niespokojne i żywe, tym razem zamarły. Wpatrywał się w Paula bardzo czujnie.

Paul zrobił głęboki wdech. Mówił głuchym głosem. - Męczą mnie koszmary nocne. Śnię o zabijaniu ludzi, a po zakończeniu piszę o tym opowiadania do miesięcznika. Nie oczekuję, abyście mi uwierzyli, ale taka jest prawda. I to wszystko.

Gumka wyskoczyła z palców Maurice'a i wylądowała na chodniku. - Śnił pan o tym? Ma pan na myśli, że to zmyślane? Nigdy nie miało miejsca?

- Wiem, że miało miejsce. Teraz to wiem. Ale dlaczego to mi się śniło? Tego to już nie wiem.

- Co to ma znaczyć? - zażądał Maurice. - Przyszedł pan tutaj stawiać nam nasze pytania?

- Chcieliście wiedzieć, co mam wspólnego z zabójstwami. Powiedziałem wam. Ja chcę poznać okoliczności, w jakich one zaszły. Szczególnie przypadki Kelso, Durninga i Schradera.

- Co w nich takiego szczególnego?

- Ponieważ wiem już coś niecoś o Manheimie i Wilsonie. Wiem, kiedy i gdzie umarli, ale nie wiem, czy byli waszymi - co to było? Agentami czy aktywami? Czy to nie są wasze dwie kategorie?

- A może wrogowie?

Hugh odezwał się: - Obaj należeli do aktywów.

- To na wypadek, gdyby pan nie wiedział - dodał Maurice.

- Nie wiedziałem. Zdobyłem moje informacje w kostnicy, w kartotekach z danymi i w dziale informacyjnym.

Kelnerka przyniosła szarlotkę. Na samym wierzchu za ozdobę służył skrawek żółtego sera. Paul nabił go na widelec i wyrzucił do popielniczki. Po odejściu kelnerki Paul wyjaśnił im, że sny nawiedzały go sporadycznie, ale za to wszystkie szczegóły były jak żywe, włącznie z nazwiskami. Maurice oczywiście nie uwierzył, podczas gdy Hugh cały czas przyglądał się milcząco, wtrącając od czasu do czasu pytanie, lub czyniąc uwagę, aby złagodzić szorstkie zachowanie Maurice'a. Po tym, jak wszystko im powtórzył z pół tuzina razy, Paul zadał pytanie o zgony, których jak dotąd nie udało mu się wytropić. Maurice uciął i rzucił spojrzeniem na Hugh'a, który z roztargnieniem mieszał zupę jarzynową w talerzu. Zimna już była od dawna.

- Przez pana czuję się jak człowiek stojący jedną nogą na brzegu, a drugą na łodzi - powiedział wolno Hugh. - Z drugiej strony wiemy, że nie był pan fizycznie obecny, kiedy

dokonano zabójstw - nie był pan nawet w żadnym z tych krajów. Tylko ta historia z sennymi marami jest czymś, czego po prostu nie mogę przyjąć do wiadomości. Jeśli mógłby pan nam dać coś więcej, nad czym moglibyśmy popracować...

Paul wstał od stolika. - Nie mam niczego więcej, nad czym można by było popracować. Powiedziałem wam wszystko, co wiem. W ten, czy w inny sposób dowiem się reszty. Kiedy to się stanie, będziecie ostatnimi, którzy się o tym dowiedzą.

Opuścił ich nie oglądając się za siebie. Obaj mężczyźni patrzyli jak odchodzi. Maurice powiedział: - Czy on naprawdę myśli, że mu uwierzymy?

Hugh spojrział na niego ostro, a potem podniósł się szybko. - Zajmij się rachunkiem - polecił.

Paul wsiadł już do swojego samochodu, kiedy Hugh go dogonił. Schyliwszy się, wsadził głowę do środka od strony pasażera.

- Proszę poczekać, panie Stafford. Mam dla pana propozycję. Czy byłby pan skłonny poddać się testowi na polygrafie?

- Wykrywacz kłamstwa?

- Jeśli potrafi pan udowodnić, że mówi pan prawdę, jestem z panem. Może będziemy w stanie pomóc sobie nawzajem. Ale muszę mieć coś więcej oprócz bajek i snów, zanim ustawię własny tyłek do kolejki.

Paul popatrzył na niego przez chwilę. - Jeśli poddam się testowi, powiesz mi to, co wiesz?

- Jeśli przejdiesz test.

Paul rozważał to przez moment i skinął głową. - Kiedy i gdzie?

- Zadzwoń do pana.

Kiedy samochód odjechał, Hugh zaczął się zastanawiać, co uczynią, jeśli przeczucie go nie myli. Co będzie, jeśli Paul Stafford mówi prawdę?

W domu czekała na Paula wiadomość. Dom został wysprzątny, dywan odkurzony, brudne ubranie wyprane, naczynia poukładane. Wiadomość leżała na stole w jadalni, pod solniczką.

Kochany Paulu,

Nie należymy do tego samego rodzaju ludzi. Muszę odejść - potrzebuję czasu, aby wszystko przemyśleć. Powiedziałabym, że jest mi przykro, ale ty byś odpowiedział, że to przeprosiny. Jeśli potrzeba ci koszul, \ rachunek do pralni jest w górnej szufladzie mojej komody. Zatelefonuję < do ciebie za kilka dni. Możesz wierzyć lub nie, ale ciągle ciebie kocham.

Jo.

Paul poczuł przyływ gniewu. Została rano w łóżku, kiedy wychodził do pracy i nie miał okazji powiedzieć jej o agentach CIA. Teraz, kiedy jej potrzebował jako świadka, jako alibi, odeszła.

Zmiał papier i cisnął nim po pokoju. Budowanie kariery zabrało mu dziesięć lat. Przez cały ten czas hołdował zasadzie szybko, bez balastu i samotnie. Dopiero, kiedy znalazł się prawie na samym szczycie pomyślał, że jest gotowy do małżeństwa wraz z jego obowiązkami, ale miał na to ochotę dopiero po spotkaniu z Joanną. Wielką ochotę. Miała wtedy dwadzieścia sześć lat, a on trzydzieści sześć i oboje momentalnie przypadli sobie do gustu. Byli inteligentni, dowcipni i szykowni. Oboje potrafili żyć, nie przejmując się zbytnio ziemskimi problemami, które dla wielu były takim ciężarem. Budzili się codziennie rano, zadowoleni z radości i śmiechu, które każdy dzień im przynosił, a w nocy padali sobie w objęcia, rozkołysani na falach namiętności, wyczerpani, syty i zadowoleni.

Kiedy pojawił się Jason, włączyli go do swojej wizji świata. Planowali dla niego podróże po obcych krajach, pokazanie mu innych narodów, ras i religii. Nauczyliby go języków obcych, uczyniliby z niego obywatela nowego, oświeconego społeczeństwa, obywatela świata. Stał się przedłużeniem ich marzeń. Po jego śmierci cały ich świat legł w gruzach...

Paul nalał sobie alkoholu i przeszedł się po całym domu, próbując domyśleć się zamiarów Joanny po rzeczach, które zabrała. Zajrzał do szaf, komody i łazienki. Brakowało ubrania, butów, przyborów toaletowych i do makijażu. Oraz środków antykoncepcyjnych. Jeden rzut oka do szafki z lekarstwami wystarczył. Poczuł ukłucie zazdrości na samą myśl o niej i Cuevo. A potem przypomniał sobie ich ostatnią noc; znaki na jej ciele, desperacką próbę miłości, wzajemne obwinianie się zakończone pustą ciszą, kiedy odwróceni plecami leżeli nie dotykając się ciałami. Zobaczył ją, jakby przez odwrotny koniec lunety, bardzo odległą, prawie nieznaną. Nieznaną uciekającą przed nim...

Następnego dnia Paul, zgodnie z instrukcjami Hugh'a, przybył do nie-wyróżniającego się z otoczenia budynku na Szesnastej Ulicy. Pojechał windą na szesnaste piętro, do biura oznaczonego wywieszką „Stowarzyszenie Barrington”. Za biurkiem w kształcie litery L siedziała i czytała gazetę recepcjonistka, kobieta w średnim wieku, ubrana w kaszmirowy sweter. Zaanonsowała jego przybycie przez intercom i w chwilę później ukazał się Hugh Roark. Paul zauważył jego niebieską plakietkę identyfikacyjną z zakodowanym nazwiskiem. Po krótkiej wymianie uprzejmości, Hugh wprowadził go do następnego pomieszczenia pomalowanego] na biało, z dywanem w kolorze łososiowym i prostym umeblowaniem z

popielatą tapicerką. Maurice już tam był z dwoma nieznanymi osobami. Wszyscy byli oznaczeni niebieskimi plakietkami. Hugh dokonał prezentacji.

- Bob Gonzales, nasz technik i doktor Annie Helms z biura obsługi medycznej.

Paul uściśnął na powitanie rękę Gonzalesa, mężczyzny w średnim wieku, z opadającym wąsikiem w stylu arabskim i uśmiechem na połyskliwych ustach, po czym zwrócił się do Annie Helms, wysokiej, smukłej, ubranej w beżowy kostium. Jasnozielone oczy patrzyły na niego spoza okularów w czarnej oprawie. Przywitała go rzeczowym uściskiem ręki. Jeśli nie liczyć jej zalotnie uczesanych blond włosów, wyglądała bardzo poważnie.

- Jakiego rodzaju specjalistką jest pani? - zapytał Paul.

- Mój dział jest odpowiedzialny za charakterystyki kandydatów, testy psychologiczne, analizy charakteru - obsługa kadr.

- Testy psychiatryczne.

W jej oczach za okularami Paul zobaczył przeblysłask zaskoczenia, który zamienił się w uśmiech.

- Mam nadzieję, że nie zgłasza pan sprzeciwu.?

- Nie, nie. Kilka moich najlepszych przyjaciółek to lekarze psychiatrii o blond włosach. Jej uśmiech stał się odrobinę szerszy.

- Poprosiłem doktor Helms, aby tutaj przyszła - powiedział Hugh - ponieważ muszę być przygotowany na to, że pan mówi prawdę. A jeśli tak jest, to... to będziemy musieli szukać odpowiedzi w... innym, bardzo niezwykłym kierunku.

- To znaczy w moim mózgu?

Hugh rozłożył ręce. - To tam przecież, zgodnie z pana słowami, znajdują się te morderstwa.

- Albo one mnie znajdują.

- Czy możemy to stwierdzić?

Sama procedura testu zajęła godzinę. Po tym jak Paul podpisał formularz zgody, Hugh przejrzał formę i treść pytań. Można było na nie odpowiedzieć tylko „tak” lub „nie”. Bob Gonzales zrzucił wierzchnie okrycie i zawinął rękawy przygotowując urządzenie. Wyjaśniał wszystko dokładnie podczas instalowania, uspokajająco i po przyjacielsku, lecz i tak nie był w stanie zmienić przeświadczenia Paula, któremu wydawało się, że go sadzają na krzesło elektryczne.

- Ten pasek jest nazywany pneumografem - wyjaśniał Gonzales. - Dokonuje pomiaru zmian w oddechu. To jest po prostu zwykły kar-diograf - czy miał pan kiedykolwiek robiony

elektrokardiogram? Nic szczególnego. A to są galwaniczne sensory, które mierzą zmianę oporu skóry na przepływ prądu.

- Sto dziesięć wolt czy dwieście dwadzieścia?

- Ha, ha. Nic takiego. Używamy napięcia pół wolta, prądu stałego. Nawet pan go nie poczuje.

Kiedy Paul został podłączony, pytania zadawał Hugh z Gonzalesem po jednej stronie, kontrolującym maszynę. Annie Helms i Maurice usiedli na kanapie pod ścianą. Zachowanie Maurice'a tego dnia było bardzo poprawne. Nic nie mówił do Paula, lecz siedział cicho, od czasu do czasu tylko wymieniając uwagi z Annie. Kiedy tylko próbował zadać jakieś pytanie, uciszała go gestem ręki i skupiała całą uwagę na Paulu.

Hugh rozpoczął od prostych, oczywistych pytań: - Czy znajdujemy się w stanie Washington? Czy mieszkasz w Arlington, Wirginia? Czy nazywasz się Paul Stafford? - Potem zadał serię pytań bardziej związanych ze sprawą: - Czy śniła ci się śmierć człowieka o nazwisku Dań Kelso? Czy wiedziałeś, że Dań Kelso to nazwisko pracownika Centralnej Agencji Wywiadowczej? Czy byłeś w posiadaniu jakichkolwiek informacji o Danie Kelso przed snem? Czy otrzymałeś jakiegokolwiek informacje na temat okoliczności śmierci Dana Kelso z innego źródła niż sen?

Hugh zadawał pytania spokojnym, pozbawionym emocji tonem, robiąc krótką przerwę przed każdym kolejnym pytaniem. Między pytania bezpośrednio dotyczące sprawy wplecione były pytania neutralne, po to, jak Paul przypuszczał, aby dostarczyć punktów odniesienia na wypadek, gdyby kłamał. Omówili każdą śmierć po kolei: Kelso, Manheim, Dur-ning, Wilson, Schrader, Beaumier. Chociaż mówił prawdę, poczuł ucisk w żołądku, który nasunął mu porównanie sytuacji' do odwiedzin u dentysty w dzieciństwie.

Po serii pytań, zrobili dziesięciominutową przerwę i powtórzyli te same pytania, ale w innej kolejności, aby zbadać reakcje Paula podwójnie. Badanie podwójnych reakcji zabrało drugie tyle czasu, ponieważ Paul na każde pytanie musiał odpowiadać dwa razy: najpierw „tak” a potem „nie”. Hugh zapewnił go, że to jest normalna procedura przy bardziej skomplikowanych przypadkach, dająca możliwość bezpośredniego porównania reakcji na wysoki i niski poziom stresu.

Po zakończeniu Bob Gonzales rozmontował polygraf i zabrał wszystkie wykresy i rysunki do drugiego pokoju, aby je przeanalizować. Razem z nim poszli Hugh i Maurice. Paul został w towarzystwie Annie, która podała mu formularze medyczne i poprosiła o wypełnienie.

- Nie ma pani nic przeciwko temu, że się najpierw napiję? - powiedział Paul.

- Wodotrysk jest na korytarzu. Pokażę panu.
- Sam sobie znajdę.
- Nie ma pan niebieskiej plakietki identyfikacyjnej - powiedziała. - Bezpieczeństwo.
- Czy w tym budynku kryje się tak wiele sekretów?
- No cóż, kilka. A przynajmniej chcielibyśmy tak myśleć.

Paula pociągał jej miękki, południowy rytm wymowy. Idąc za nią przez korytarz stwierdził, że jest w niej coś innego, równie pociągającego: pełne pośladki, zaskakujące przy szczupłości jej ciała. Po powrocie Annie usiadła w ciszy na kanapce, a on wypełniał otrzymane formularze. Pierwsza część dotyczyła stanu jego zdrowia; następnie były pytania o jego choroby umysłowe[^] Czy kiedykolwiek był poddany leczeniu psychiatrycznemu? Czy kiedykolwiek postawiono mu diagnozę taką to a taką? Czy kiedykolwiek przepisano mu, któreś z wymienionych leków? Czy kiedykolwiek cierpiał na zawroty głowy, halucynacje, uczucie gorąca lub uczucie zimna, utraty przytomności, natrętne myśli, złe przeczucia...?

Był prawie przy końcu, kiedy wszedł Maurice. - Doktor Helms, mamy gotowe wyniki.

Przytrzymał jej drzwi. Po tym jak opuściła pokój, Maurice stanął z rękami skrzyżowanymi na piersi, patrząc na Paula.

- Wyglądasz na uszczęśliwionego - powiedział Paul. - Co się stało, przeszedłem test?
- Zawsze jest pewien procent ludzi w populacji, którzy nie poczuwają się do winy, bez względu na to, co zrobili.
- I myślisz, że ja do nich należę?
- To bardziej logiczne wyjaśnienie niż sny.

Wróciwszy w towarzystwie Annie, Hugh powiedział: - Masz świadectwo zdrowia od Boba, tak więc zamiast rozwiązania zagadki, dostaliśmy do rozwikłania jeszcze trudniejszą. Spróbujmy połączyć nasze siły i może coś z tego wyniknie.

Hugh trzymał teczkę, płaską jak pudełko papierosów, zamkniętą na zamek szyfrowy. Podniósł ją do góry, położył na stole, otworzył i wyjął ze środka manilową kopertę. Teraz po tym, jak podjął decyzję, by zaufać Paulowi, opowiedział mu wszystko ze szczegółami, starannie jak busi-nessman.

- Przypadek pierwszy, Dań Kelso. Był jednym z nas, pracował na terenie Hagi. Oficjalnie utonął spadając z pokładu promu, przy przekraczaniu kanału La Manche. Śmierć określona jako nieszczęśliwy wypadek. W twoim opowiadaniu „Asy często przynoszą śmierć” morderca uderza go w żołądek i wyrzuca za burtę. Nieźle. Po pierwszym oddechu jego płuca wypełniły się wodą. Przypadek drugi, Jurgen Manheim, jeden z naszych „aktywów”, ale niepewny. Działał na czarnym rynku, przemycił towary między Wschodnim i

Zachodnim Berlinem. Nigdy nie zaakceptowaliśmy wersji o samobójstwie, ale i nigdy nie kwestionowaliśmy jej oficjalnie. Manheim był oportunistą, można było z niego zrezygnować. Przypadek trzeci, Max Durning, następny z „aktywów”. Był jednym z asystentów Bertila Lindstroma. Czy znasz to nazwisko?

- Szwedzki uczoney. Przypominam sobie, że był chyba mianowany do kilku nagród Nobla. Nigdy jej nie dostał.

- Jest fizykiem. Durning był jednym z jego asystentów. Rosjanie mieli na niego haka, dostarczał im wyniki badań Lindstroma. Został przez nas przyłapany i zrobiony podwójnym agentem. Dostał coś innego do przekazania Rosjanom. Pamiętasz, jak kilka lat temu utracili kilku wybitnych naukowców w wyniku przypadkowej eksplozji?

- Wypadek w instytucie Karpowa?

- Formuła była z błędem. W każdym razie, śmierć Durninga była odwetem. Zginął podróżując w górach autostopem. Wyglądało, jakby spadł do wąwozu, i skręcił sobie kark. Nikt nie kwestionował tego, ale w twoim opowiadaniu zabójca łamie kark ofiary ciosem w szczękę. Faktycznie, w ten sam sposób ginie Lisie Beaumier.

Paul skinął głową. W wyobraźni zobaczył twarz każdej ofiary, lecz tym razem to nie był wytwór fantazji, lecz twarz prawdziwej osoby, zabitej na jego oczach.

- Czwarty przypadek, Jim Wilson. Już znasz szczegóły. Wilson był szyfrantem, który udawał, że przechodzi na drugą stronę. Nie mogę mówić ze szczegółami, ale wiesz w tym wypadku prawie tyle co my. Oczywiście, nie zabił go żaden prawicowy Turek. Piąty przypadek, dokładnie rok temu: Frank Schrader, jeden z naszych, umarł na wakacjach na Jamajce. Autopsja wykazała atak serca. W twoim opowiadaniu Schrader został zaatakowany gazem z pojemnika - cyjanek wodoru. - Hugh potrząsnął głową. - Powinniśmy się byli zorientować. Cyjanek wodoru to stara sztuczka KGB. Nie zostawia śladów i wygląda na zawał serca. To wszystko, co wiemy. A co z tobą? Czy możesz nam powiedzieć coś więcej? Cokolwiek o snach, kiedy lub dlaczego one przychodzą?

Paul potrząsnął głową. - Wszystko opisałem w opowiadaniach. Tam, gdzie w grę wchodzi sny, trudno jest doszukać się sensu. Sporządziłem harmonogram, próbowałem przypomnieć sobie, co jadłem poprzedniej nocy - nic nie wymyśliłem.

- A morderca? Czy natknąłeś się na jego nazwisko?

- Morderca? Ja jestem mordercą. We śnie jestem nim zawsze.

- Ale nie masz nazwiska, tak jak wszystkie twoje ofiary?

- Nazwiska? A skąd? To nie jest, jak oglądanie zabójstwa żony J.R. Ewing na ekranie telewizora. - Paul zrobił głęboki wydech. - To jest tak, jakbym brał w tym udział osobiście, a nie przyglądał się temu. W czasie snu jestem mordercą.

- Poczekaj chwilę - wtrącił Maurice. - Zakładając, że mówi prawdę...

- Myślałem, że właśnie to zostało udowodnione.

- Dobra, dobra. - Maurice stał oparty o ścianę i przyglądał się sceptycznie. Teraz zrobił krok do przodu. - Właśnie sobie myślałem o tym, co on powiedział na temat telewizji. Gdzieś czytałem o pewnym mężczyźnie, który mieszkał w pobliżu nadajnika radiowego i naprawdę słyszał nadawane audycje. Następował rezonans częstotliwości, w zębie, czy w tej małej kosteczce w uchu. W każdym razie, czy to jest możliwe, że jego dom stoi na ścieżce nadawczej instalacji szpiegowskiej? To znaczy, że on odbiera morderstwa tak, jak tamten odbierał audycję?

Paul potrząsnął głową. - Nawet nie miałem własnego domu, kiedy śniło mi się o Danie Kelso. A kiedy umarł Durning, byłem w Salwadorze.

- Nie tylko to - dodał Hugh. - Musiałoby to być coś znacznie większego, niż zwykły nadajnik. Ktoś musiałby filmować i nadawać te morderstwa. Nie jest to zbyt prawdopodobne.

- Całkiem nieprawdopodobne - powiedział Maurice. - Ale i bardziej prawdopodobne, niż śnić, ot, tak sobie, z powietrza. Wszyscy wiemy, że te historie nie były tylko zwykłymi przypadkami. Nawet on o tym wie.

Maurice wskazał na Paula, który odpowiedział: - Nie jestem ani ślepy ani głuchy, Singer.

- A więc też nie uważasz, że nie są one przypadkiem?

- Nie, również nie uważam, że są przypadkiem.

- W porządku, o to mi chodziło.

Zapadła długa cisza, przerwana dopiero, kiedy Annie Helms odezwała się cichym głosem. Siedziała na kanapie i studiowała medyczny raport wypełniony przez Paula.

- Wspomniał pan, że czasami ma pan przeczucia, panie Stafford.

- To raczej instynkt. Kiedy pracuję nad nową historią i coś mi nie wychodzi.

- Czy może pan dać jakiś przykład?

- Tak, ale nie rozumiem... No dobrze, raz w Afganistanie, byłem z grupą rebeliantów, która właśnie wyruszała w drogę. Miałem iść razem z nimi. Wyruszyliśmy rano i akurat przekraczaliśmy strumień, kiedy opanowało mnie jakieś nieprzyjemne uczucie. Zdecydowałem się zawrócić i przeprowadzić wywiad z dowódcą konwoju, który co dopiero

przybył. Próbowałem dotrzeć do niego od dłuższego czasu. Tej nocy ci ludzie nie wrócili. Jak się okazało, wpadli w pułapkę i zostali zabici. Tak to się odbyło. Po spędzeniu wystarczającej ilości czasu w strefach wojennych, wytwarza się w Nas jakby siódmy zmysł. Czasami uczucie jest bardzo mocne, czasami nie tak bardzo. Czasami się mu ulega, a czasami nie.

- Ale czy te przecucia dotyczą tylko uczuć, czy są to takie same wyobrażenia, jak ma pan podczas snu?

- Absolutnie nie takie same. Nie wiem, jak to opisać dokładnie, ale całe doświadczenie jest inne. Przecucia są częścią mnie, są nieprzyjemne, natomiast koszmary... kiedy śpię, mam wrażenie... jakby mnie ktoś nachodził. Tak jakby ktoś przejmował kontrolę nad moim ciałem...

Maurice próbował zapalić papierosa. Podniósł wzrok. - Co to ma znaczyć? Jesteś ofiarą jakiegoś demona?

- Proszę... - powiedziała Annie i powróciła do Paula. - Panie Stafford, uważa pan te sny za nieprzyjemne, nieproszone zdarzenia, czy tak?,

- Naturalnie, że są nieprzyjemne.

- I wolałyby pan o nich zapomnieć tak szybko, jak to jest możliwe?

- To dlatego przenoszę je na papier. W momencie, kiedy stają się częścią nowej historii, mogę o nich zapomnieć.

- Zastanawiam się, czy mógłby pan spróbować zrobić coś wręcz przeciwnego. Zastanawiam się, czy mógłby pan wrócić do tych koszmarów raz jeszcze, przypominając sobie każdy szczegół za szczegółem. Może będziemy w stanie sprawdzić, czy czegoś pan nie przeoczył.

Była pochylona do przodu, ze skrzyżowanymi nogami, z rękami spoczywającymi na podniesionym kolanie. Jej oczy patrzyły żarliwie i z nadzieją.

- Bardzo mi przykro - powiedział. - Jeśli raz je napiszę, natychmiast o nich zapominam. Czytając powtórnie opowiadania, na przykład tak, jak teraz, wiele sytuacji jest dla mnie całkiem nieznanymi, zupełnie nowych. To świadczy, jak wiele ulatuje mi z pamięci.

- Tylko świadomie, panie Stafford. W podświadomości wszystko jest] zapamiętane. Wszystko, co kiedykolwiek pan słyszał, widział, czuł, smakował czy dotknął. Cokolwiek miało jakieś znaczenie. To, co wywarło największe emocjonalne wrażenie, jest najłatwiejsze do odczytania. Pana sny należą z pewnością do tej kategorii.

- Ma pani na myśli mój umysł, czy komputer? Maurice chrząknął i rzucił na Hugh'a niespokojny wzrok. - Co pani proponuje, pani doktor? - odezwał się Hugh.

- Jeśli pan Stafford przystanie na to, chciałabym go zahipnotyzować. Robiąc to, możemy powrócić do każdego snu, uwolnić go i być może uzyskać dostęp do brakujących szczegółów.

- Naprawdę pani myśli, że możemy to zrobić? - zapytał Maurice. Ton jego głosu zdradził, że z góry przewidywał odpowiedź.

- Możemy spróbować, jeśli pan Stafford będzie tego chciał. Wszyscy zwrócili wzrok na Paula, który nie spuszczał oczu z Annie Helms, - Czy to pani będzie tą, która to zrobi?

- Tak.

- Sama?

- Zaaranżujemy takie warunki, które będą najwygodniejsze dla pana. - Zdjęła okulary, jakby podkreślając uczciwe zamiary. - Jeśli chce pan, aby było tylko nas dwoje, to tak będzie.

Miała długą, owalną twarz. Paul zauważył, że w jej zielonkawych oczach odbijał się pokój, wypukły i zniekształcony. Jego odbicie było w samym środku.

- Zgoda, pani doktor. Dobiła pani targu.

Rozdział 8

Spotkali się następnego dnia w „Elite Diner”, kawiarni przerobionej w stylu lat pięćdziesiątych. Wspólne wyjście na lunch zaproponowała Annie, w ten sposób mieli się lepiej poznać i zbudować zaufanie, zanim spróbuje go zahipnotyzować.

- Hipnoza to wzajemne oddziaływanie - powiedziała mu. - Jeśli nie chcesz jej się poddać, nie mogę cię zmusić. Musisz tego chcieć.

Kelnerka w średnim wieku, ubrana w krótkie skarpetki i okrągły kapelusik-pastyłkę, odebrała od nich zamówienie.

Siedzieli na krzesłach grubo wyściełanych, z obiciem koloru turkusowego, przy stole, którego różowo-złoty blat ze sztucznego marmuru oprawiony był w chrom. W kącie lśniła olbrzymia szafa grająca Wurlit-zera, a menu miało kształt cadillaca rocznik pięćdziesiąty dziewięć.

W czasie lunchu Annie wyjaśniła, że hipnoza jest bardzo często nie rozumiana przez opinię publiczną. To nie jest metoda kontrolowania osób sprzecznie z ich wolą. Nikt nie był w stanie zahipnotyzować kogoś wbrew jego woli, czy zmusić pod jej wpływem do robienia rzeczy, niezgodnych z jego charakterem.

- To tylko świadomość ulega hipnozie - powiedziała Annie - a nie podświadomość. I uczestnik musi tego chcieć.

- Czy to uspokojenie, czy ostrzeżenie?

- Jedno i drugie. Czytając pana dane i obserwując w rozmowie z Singerem i Roarkiem, powiedziałabym, że lubi pan sprawować kontrolę. Hipnoza wymaga częściowego zrezygnowania z kontroli. Jeśli jest pan niezdolny, albo nie chce zrobić tego...

Wzmianka o danych obudziła czujność Paula.

- Jakie dane pani czytała?

Annie kruszyła krakersy, wrzucając je do talerza z zupą. Na dźwięk wrogiej nuty w jego głosie, podniosła oczy i powiedziała: - Kartoteka agencji. Był pan śledzony od trzech miesięcy.

- Nic nie wiem o tym. - Nie pomyślał o możliwości długoterminowego śledztwa. Ale to by się zgadzało. Zaczęli go śledzić, mając nadzieję odkryć powiązania, lecz gdy to się nie udało, postanowili bezpośrednio się z nim spotkać. Paul przebiegł w myślach wydarzenia ostatnich trzech miesięcy, widząc je teraz w innym świetle, od strony osoby trzeciej - podglądacza. Czy założyli podsłuch na telefonie? Podsłuch w domu? Czy podsłuchiwali każdą, nawet najbardziej intymną, rozmowę lub sprzeczkę?

- Może nie powinnam była o tym mówić?

- Nie lubię, jak ktoś mnie szpieguje.

- Normalnie to by się nie zdarzyło. Ale niewinni ludzie zostali zamordowani i dowody wskazywały, że wiedział pan, jak to się stało i dlaczego. Przy tych założeniach śledztwo nie wyglądało na niewłaściwe rozwiązanie.

- Oni nie byli niewinnymi ludźmi. On jest niewinnym człowiekiem - Paul wskazał na jakiegoś klienta, a potem na innego. - Ten, tamci... to są niewinni ludzie. Wasi byli agentami, „aktywami”, biorącymi udział w zabawie w duchy. Nie byli ludźmi zajętymi tylko stryżeniem ogródka.

Kiwnęła głową. - A pana sympatie są po stronie niewinnych ludzi, a nie tych, którzy ich chronią.

- „Niewinni ludzie” nie potrzebują ochrony, potrzebują prawdy - gdy to jest spełnione, sami potrafią zazwyczaj się chronić.

Zmieniła temat na rodzinę Paula. Wiedziała już coś niecoś: że ojciec był niemieckim żołnierzem i zginął przed jego urodzeniem; że jego matka, Greta, spotkała i wyszła za mąż za młodego amerykańskiego oficera, Ralfa Stafforda, który stacjonował w Berlinie po zakończeniu wojny; że Ralf przywiózł żonę i syna do Ameryki, gdzie następnie urodziły im się trzy dziewczynki i że Ralf rozwiódł się z Gretą pięć lat temu, aby ożenić się z młodszą kobietą.

- Dziewczynki i łódź - powiedział Paul. - Tego zawsze chciał, od kiedy wyszedł z armii.

- To brzmi tak, jakby pan nie lubił swojego ojca.

- Nie mam dla niego szacunku, to wszystko.

- Dlatego, że porzucił pana matkę?

- Dlatego, że dowodził kowbojską operacją w Wietnamie. Pojechał tam, aby awansować. Wiedział o tym, jeszcze zanim przybył na miejsce.

Oczywiście, on opowiedziałby inną historię. Powiedziała, że jeśli więcej dowódców byłoby tak agresywnych jak on, moglibyśmy wygrać tę wojnę. Myślę, że dzieliły nas „podstawowe różnice w poglądach”.

Annie szukała delikatnie w jego przeszłości, słuchając uważnie, gdy Paul opowiedział jej o swoich przeżyciach w Wietnamie. Przez trzy lata był pilotem helikoptera Huey, transportując żołnierzy piechoty na nie większe niż podwórko polany w dżungli, i z powrotem. Poszedł na wojnę, będąc naiwnym optymistą, a powrócił wściekły za rozbudzone przez polityków i generałów fałszywe nadzieje, za każdym razem, kiedy potrzebowali większej liczby żołnierzy, aby ich posłać w grzęzawisko. Jedyna dokładna informacja o wojnie zdawała się pochodzić od dziennikarzy, którzy byli na polu bitwy i relacjonowali to, co widzieli. Paul planował poświęcić się karierze wojskowej, jednak po swych doświadczeniach w Wietnamie postanowił wystąpić z wojska i zająć się dziennikarstwem.

- Moje pierwsze opowiadanie mówiło o żołnierzach, którzy zabijali nieudolnych oficerów. Wywołało ono wówczas wielki skandal. Ojciec nigdy mi tego nie zapomniał. Powiedział, że zdradziłem armię, z którą on się utożsamia. Powiedziałem mu, że jest mi przykro, ale sądzę, że on i jego kumple zdradzili swych podwładnych. To nie najgorzej ujęło naszą różnicę zdań. Wątpię, czy zamieniliśmy z tuzin słów.

- A pana matka? - spytała Annie.

- Miotła się między nami. Całym życiem ojca była armia, lecz ja byłem jej synem. Była Niemką i pamiętała, w jaki sposób Niemcy usprawnili swoją metodę prowadzenia wojny. Nie, nie stawiała znaku równości między armią Stanów Zjednoczonych i armią faszystowskich Niemiec. W końcu zachorowała na wrzody, próbując utrzymać pokój między nami.

Paul przechylił dozownik z cukrem nad swoją szklanką mrożonej herbaty, lecz nic się z niego nie wysypało. Dzióbek był zatkany.

- Gdzie jest teraz pana matka?

- Nie ma tego w kartotece?

- Chciałabym to usłyszeć od pana.

Paul czyścił dzióbek dozownika jednym zębem widelca, a potem posłodził herbatę.

- Mieszka w Fort Lauderdale - powiedział szorstko. - Prowadzi rachunkowość w miejscowym klubie i raz w tygodniu uczy języka niemieckiego w Broward Community College. A teraz niech mnie pani zapyta o coś, czego nie ma w aktach.

- Czy czuje się pan blisko z nią związany?

- Oczywiście. Jestem najstarszym dzieckiem i jedynym synem, to naturalne. A co z panią? Czy pani stosunki z matką są zażyłe?

Jeżeli sądził, że jego pytanie zniechęci ją, to się pomylił. Chęć Annie do opowiedzenia własnej historii dorównywała zaciekawieniu jego życiorysem. Dorastała w południowej Karolinie, zrobiła doktorat na Duke University, była rozwiedziona, miała jedno dziecko, dziewczynkę o imieniu Shelly. Na twarzy Paula musiał odbić się wyraz zaskoczenia, podniosła palec i powiedziała:

- Wiem, nie wyglądam dostatecznie dojrzałe, jak na matkę.

Nie chodziło o to, że nie wyglądała dostatecznie dojrzałe, ale o to, że widok jej płaskiego brzucha i pełnych piersi nie szedł w parze z ideą macierzyństwa. Paul wątpił, czy tego rodzaju ocena zostałaby przez nią doceniona, więc nie powiedział nic.

Annie przywołała kelnerkę i zamówiła koktajl waniliowy na deser. Kiedy go podano, usunęła wisienkę i przechyliła wysoką szklanę, chwytając słomkę ustami.

- Proszę mi pozwolić zadać pani pytanie, doktor Helms...

- Annie.

- Annie, w takim razie. Powiedziałaś, że dostałaś dyplom na Duke University, prawda? Przytaknęła, jej policzki były wciągnięte, gdy piła koktajl przez rurkę.

- Czy to nie tam wręczają dyplomy w takich dziedzinach, jak nadnaturalne postrzeganie?

- Oficjalne określenie brzmi: psychologia paranormalna.

- Czy ty też jesteś absolwentką tego wydziału?

- Tak, to jeden z moich dyplomów. Jestem także zarejestrowanym psychiatrą, jeśli te kwalifikacje działają na ciebie bardziej uspokajająco.

- W takim razie pozwolisz, że zadam ci pytanie, jako lekarzowi z podwójnym dyplomem. Co, twoim zdaniem, powoduje, że męczą mnie te przekłete koszmary?

- Chyba raczej poczekam, aż będziemy dysponowali większą liczbą danych, zanim odważę się wydać opinię.

Uśmiechnął się. - Bądź odważna i zdobądź się na szalony pomysł.

Annie pochyliła głowę nad szklanką, ale jej oczy wciąż skierowane były na niego.

- Nie bój się - powiedział Paul. - Nie wystraszysz mnie.

Z dna szklanki wydobył się odgłos siorbnięcia. Annie wytarła usta serwetką, odsunęła szklankę i pochyliła się w przód, aby odezwać się niskim, pełnym napięcia głosem.

- Zrobię to, na co mnie stać. Powiem to, co mam nadzieję, jest najbardziej prawdopodobne. - Zdjęła okulary i patrzyła wprost na niego. - Myślę, że możesz odbierać coś w rodzaju energii psychicznej; z jakiś przyczyn twój mózg staje się wyczulony na wrażenia odczuwane przez kogoś innego. Tego właśnie doświadczasz w swoich snach.

Patrzyła na niego, w jej oczach malowało się podniecenie.

Paul zaśmiał się skrzepowany. - Myślisz, że jestem jakimś głupkiem, nadwrażliwym na zjawiska paranormalne?

- W najszerszym rozumieniu tego terminu, tak.

- Daj spokój.

- A jakie jest twoje zdanie?

Pytanie zaskoczyło go. Od czasu kiedy odkrył, że morderstwa miały miejsce w rzeczywistości, Paul starał się znaleźć racjonalne, logiczne wyjaśnienie. Wszelkie, głęboko ukryte podejrzenia, zgodne mniej więcej z tym, co powiedziała Annie, zostały przez niego odrzucone. Był przede wszystkim dziennikarzem, człowiekiem, którego interesowały nagie fakty, a nie członkiem jakiegoś kalifornijskiego klubu Mantry Miesiąca. Wiedział z doświadczenia, że zawsze można znaleźć racjonalne rozwiązanie, nawet najbardziej niezwykłych wydarzeń, trzeba tylko szukać długo i dostatecznie starannie. Mógł wierzyć w instynkty, czy przecucia - tak, jak wtedy w Afganistanie. Koszmary o śmierci, to było co innego. Nie było innego wyjaśnienia poza tym podanym przez Annie, tym które odrzucał, jak do tej pory. Uśmiech zniknął mu z twarzy. - Myślisz, że to jest możliwe?

- Wiem, że to jest możliwe, Paul. To się zdarzało w przeszłości, ale w niezwykle osobliwych okolicznościach. Najczęstsze przypadki telepatycznej komunikacji mają związek ze śmiercią. Zwykle ze śmiercią osoby ukochanej. Najwięcej udowodnionych wydarzeń związanych jest z drugą wojną światową. Jeden z nich dotyczył śmierci marynarza, którego żonie śniły się płomienie dokładnie w momencie, kiedy statek został storpedowany. W innym, żołnierz został zabity, a jego matka została wyrwana ze snu przez piekący ból dokładnie w miejscu, jak się okazało, gdzie trafiła go kula. Takich przypadków jest mnóstwo, wszystkie dotyczyły śmierci i jednoczesnego snu kochającej osoby. Widzisz więc, że pasujesz do schematu, z jednym wyjątkiem: twoje sny powracają.

- Nie śni mi się po prostu śmierć, ja we śnie zabijam.

- I nie jesteś tą ukochaną osobą, blisko związaną ze stanem emocjonalnym kogoś innego.

Siedziała patrząc na niego. Kołysała okularami na palcu, tam i z powrotem, co było dla Paula w dziwny sposób pociągające.

- Wobec tego, jakie to dla nas ma znaczenie?

Annie wzruszyła ramionami. - Chodźmy się dowiedzieć.

Powrócili do budynku CIA na Szesnastej Ulicy, do pomieszczenia obitego materiałem dźwiękochłonnym, który wyglądał dla Paula jak gęsto tkany dywan. Pomieszczenie było bez okien, wyposażone w małe biurko, trzy krzesła i oczywiście kanapę. Annie poleciła mu zdjąć buty i położyć się na kanapie. Z szafki wyjęła dwie pastylki i podała mu je prosząc, aby czuł się swobodnie. Następnie przyniosła metalowy stojak z wiszącą na łańcuszku kulą, o średnicy około dwóch cali.

- Żartujesz - powiedział Paul. - Kryształowa kula?

- Masz ochotę koncentrować się na innym przedmiocie?

Potrząsnął głową, wykrzywiając twarz w grymasie. Annie umieściła kulę nad nim, wzięła magnetofon, usiadła na krześle i położyła magnetofon na biurku tak, aby go mogła łatwo dosięgnąć. Przekręciła kontakt. Światła zmieniły się z bezpośrednich, tuż nad jego głową, na pośrednie wzdłuż ścian.

- Mniej razi w oczy. Jesteś gotowy?

- Mam nadzieję.

Annie włączyła magnetofon i usadowiła się na krześle obok niego. W pokoju było cicho, jeśli nie liczyć cichego szumu klimatyzatora. Kiedy Annie odezwała się, jej głos był matowy, melodyjny i łagodny, ale zdecydowany.

- Chcę, abyś się skupił na szklanej kuli - rozpoczęła. - Skoncentruj się na kuli i wsłuchuj się w mój głos. Oczyść swój umysł z myśli, niech będzie jak ta szklana kula; oczyść swój umysł i skoncentruj się tylko na moim głosie. Niech twój umysł będzie czysty, a ciało stanie się ciężkie. Twoje ręce, ramiona, nogi, stopy, całe twoje ciało staje się ciężkie.

W miarę jak wsłuchiwał się w jej głos, stwierdził, że relaksuje się łatwiej niż przypuszczał. Annie kierowała jego uwagę na każdą część ciała, opisując, jak każdy mięsień rozluźnia się, jak każda kończyna staje się tak ciężka, że nie można nią poruszyć. Jej głos przypominał płynącą rzekę słów, przeciekających do podświadomości, wskazując drogę, przejmując subtelnie kontrolę. W miarę jak napięcie opuszczało jego ciało, zdał sobie sprawę, jak bardzo wypełniały go ostatnio obawy - o Joannę i jej nagłe zniknięcie, o koszmary i strach przed obcą świadomością przejmującą nad nim kontrolę w czasie snu.

Słowa Annie pieściły go w dalszym ciągu. - Teraz powieki opadają, tak jakby rzęsy były zrobione z ołowiu, stają się tak ciężkie, że nie ważne, jak bardzo się starasz, nie możesz utrzymać oczu otwartych; nie ważne, jak bardzo się starasz, twoje oczy się zamykają; nie możesz utrzymać ich otwartych; oczy się teraz zamykają...

Paul poczuł senność spowodowaną jej głosem, ale nawet po zamknięciu powiek czuł, że jego racjonalna część mózgu buntuje się. Jak nagle napięcie mięśni, poczucie oporu urosło wewnątrz niego i jego wola napięła się sprzeciwiając się jej sugestiom. Nagle przypomniał sobie słowa Annie na lunchu. Mógł się sprzeciwiać, mógł nawet się oprzeć, ale w jakim celu? Musiał zdobyć informacje zamknięte w jego podświadomości, a klucz do drzwi leżał w oddaniu się pod kontrolę. Zrobił głęboki wdech, wypuścił powoli powietrze i pozwolił się opanować przez słowa.

- Teraz twoje ramiona są ciężkie. Czujesz, jakby były zrobione z ołowiu. Chcesz je podnieść, ale nie jesteś w stanie. Ramiona są wykute w skale, są częścią ziemi. Nieruchome i tak ciężkie, że nie możesz nimi poruszyć.

Znowu poprowadziła go do każdej części ciała, obciążając je, czyniąc częścią ziemi, wyzwalając spod kontroli umysłu. Był pogrążony w ciemności. Granice pomieszczenia wyznaczał jej głos napływający bez ustanku, prowadzący go, kołyszący w górę i w dół, poruszający w łagodnym rytmie niewidoczną kołyską ze słów. Mocną, delikatną, bezpieczną, przyjmującą go do siebie, poza granicami świadomej myśli, do ukrytych, mrocznych regionów podświadomości.

- Masz oczy zamknięte, ale możesz nadal widzieć szklaną kulę unoszącą się w twoim mózgu, czystą, białą i przeźroczystą. Chcę, abys sobie wyobraził, że ta kula jest twoją pamięcią, która się w tej chwili otwiera, tak, że rozszerzając się pochłania całego ciebie. Jesteś wewnątrz własnej pamięci, która rozciąga się, jak długi biały korytarz z wieloma drzwiami, długi biały korytarz sięgający aż do czasów twojego dzieciństwa. Czy widzisz ten korytarz, Paul?

Wpatrując się uważnie w jego twarz wiedziała, że są w krytycznym punkcie. Paul Stafford miał mocną osobowość, taką, która mogła odzyskać kontrolę, jeśli została pobudzona do aktywnego działania. Trans mógł być przerwany, ale Annie nie miała wyboru. Miała dostęp do podświadomości, ale informacje musiały być wydobyte na zewnątrz, na otwartą przestrzeń, a tego dokonać mógł tylko Paul, przemawiając do niej.

- Długi biały korytarz, Paul. Stoisz na końcu korytarza, który jest twoją pamięcią. Czy widzisz korytarz? Powiedz mi, czy widzisz korytarz, Paul?

Jego wargi zadrżały, rozchyliły i odezwał się powolnym, letargicznym tonem.

- Tak.

Annie uśmiechnęła się i zacisnęła pięść, podniecona. Tym niemniej mówiła spokojnym głosem.

- Dobrze. Będziemy się cofać, Paul. Idziemy korytarzem do tyłu, cofamy się~w czasie. Cofamy się do ostatniego koszmaru, wtedy, kiedy ostatni raz śniłeś o śmierci. Idziesz korytarzem, cofasz się w czasie do ostatniego snu przypominającego jawę, ostatniego koszmaru, w którym ktoś umarł. Teraz zbliżasz się do tego snu, widzisz twarz ofiary.

Twarz Paula skurczyła się. Nie było to przyjemne wspomnienie.

- W porządku, Paul. Chcę się dowiedzieć, gdzie jesteś w tym śnie, Gdzie jesteś?

- Mieszkanie.

- A gdzie znajduje się to mieszkanie? Chwila przerwy, a potem: - W Paryżu.

- Czy znasz nazwisko ofiary?

- Tak.

- Jakie to jest nazwisko?

- Lisie Beaumiere.

Udzielał odpowiedzi powoli i czasami niechętnie. Ale stopniowo, raz za razem, powtórzyli treść wszystkich snów. Annie nie poruszała szczegółów, które wyraźnie sprawiały mu przykrość i tych, które mogły wyprowadzić go z transu. Zamiast tego skupiła się na osobie Paula jako mordercy. Na tym, kim on jest, dlaczego tam się znajduje, jakie jest jego nazwisko. Szukała wskazówek do ustalenia tożsamości, ale spotkało ją rozczarowanie. - Kim teraz jesteś? - zadawała pytanie. Jego odpowiedź była zawsze ta sama: - Paul Stafford. - A teraz? Kim jesteś w tym śnie? - Ja... ja jestem sobą. - Dlaczego przyszedłeś, aby zabić Jurgena Manheima? - Nie wiem...

Było to naprawdę frustrujące. Paul okazał się lepszym podmiotem niż tego oczekiwała, ale jedyne nowe szczegóły, które udało jej się uzyskać, dotyczyły scenerii morderstw. Nic nie było na temat osoby mordercy, z którym Paul identyfikował się do tego stopnia, że odpowiadał nieodmiennie: ja jestem mordercą.

Zastanawiała się, czy Maurice Singer nie ma racji i cała sprawa nie jest jakimś skomplikowanym fortem KGB. Jeśli tak, wyglądała na skomplikowaną ponad wszelką miarę i to bez wyraźnej przyczyny. O ile nie chodziło o ocenę, jak wielką wagę przykładają się w CIA do badań parapsychicznych. Maurice mógł tak myśleć, lecz Annie nie wierzyła w to. A raczej nie chciała w to wierzyć. Zdawała sobie również dobrze sprawę z tego, że przymioty Paula Stafforda sprawiały, że chciała mu

\wierzyć. Równocześnie była profesjonalistką i знаła różnicę pomiędzy emocjonalną reakcją a intelektualnym osądem. Jej wiara we własne zdolności pozostała niezachwiana.

Powrócili teraz do pierwszego snu, w którym Dań Kelso utopił się, wyrzucony za burtę promu, podczas przeprawy przez kanał La Manche. Tak jak i w przypadku pozostałych snów, nowe szczegóły zapamiętane przez Paula były bez znaczenia, choćby nazwa promu czy kolor kurtki Kelso. W sprawie tożsamości zabójcy odpowiedź brzmiała zawsze tak samo: on nim był. Annie kończyła już seans, gdy na rutynowe pytanie padła nieoczekiwana odpowiedź.

- Czy sen o Danie Kelso był pierwszym tego rodzaju?

- Nie.

Odpowiedź oszołomiła ją.

- Śniłeś o zabiciu kogoś innego?

- Nie... nie zabiciu.

- Ale to był ten rodzaj niezwykle wyraźnego snu, jaki zdarzał ci się wcześniej?

- Tak.

- Nie był to jednak sen o zabijaniu kogoś?

- Tak.

Skok adrenaliny we krwi zawrócił jej w głowie. Całą siłą woli skupiła się na tym, by zapanować nad głosem.

- W porządku, Paul. Chcę teraz cofnąć cię do czasu, gdy pojawiły się tego rodzaju sny. Wracasz, płyniesz wstecz i widzisz wynurzające się szczegóły. Ten czas zbliża się, obraz staje się coraz wyraźniejszy. A teraz już wróciłeś. Jesteś w swoim najwcześniejszym śnie, jeszcze przed tym o Danie Kelso, wróciłeś do tego najwcześniejszego snu, który jest tak samo wyrazisty jak pozostałe...

Twarz Paula stężała, a ramiona poruszyły się, ściągnęły, przybliżyły do klatki piersiowej, jakby w poszukiwaniu opieki. Zaczął się trząść.

- Paul, powiedz mi, co śnisz? Co to jest?

- Boli.

- Co boli, Paul?

- Noga. Postrzał w nogę.

- Postrzełeś kogoś w nogę?

- Nie, postrzelono mnie. Wartownicy... Biegłem, bo... och, moja noga...

- Jacy wartownicy? Kto cię postrzelił, Paul?

- Rosjanie... Rosyjscy wartownicy. - Zaczął ponownie drżeć. Myśli Annie biegły w przyspieszonym tempie. Postrzelony przez rosyjską straż? W jaki sposób, dlaczego, gdzie, kiedy? Cisnęło jej się tysiące pytań, lecz starała się zachować opanowanie.

- Gdzie jesteś, Paul? Czy we śnie wiesz, gdzie jesteś?

- Tak.

- Gdzie? Gdzie jesteś?

- W Berlinie.

- Ile masz lat?

- Osiem... Osiem lat.

Na moment Annie zaniemówiła. Cofnęli się do dzieciństwa Paula. Ma osiem lat. Przypomniała sobie coś innego: życiorys Paula. Dane, które mogła przeczytać w aktach. Paul miał pięć lat, gdy wraz z rodziną opuścił Niemcy. Gdy miał osiem lat, mieszkali w Fort Sheridan, w Teksasie.) Albo więc kłamał, albo...

Nasuwająca się, oczywista odpowiedź uderzyła ją niemal fizycznie! Telepatyczna więź nie była niczym nowym, mógł ją czuć od dzieciństwa, Był wrażliwy na myśli innych ludzi, na ich doświadczenia, przeżycia. Mając osiem lat odbierał wrażenia z życia kogoś w Niemczech, podczas gdy sam mieszkał w Teksasie.

Paul jęknął i Annie zaczęła szybko kontynuować.

- Co jeszcze się stało, Paul? Po tym, jak rosyjska straż postrzeliła cię, co się stało?

- Mężczyzna. Jakiś mężczyzna wyciągnął do mnie rękę. Potem kopnął...

Stęknął z bólu, a przez jego ciało przebiegł dreszcz. Przez chwilę Annie obawiała się, że straci z nim kontakt, lecz trans utrzymał się, a Paul przestał się trząść i rozluźnił się.

- Czy to był koniec snu, Paul? <

- Tak.

- I zbudziłeś się?

- Nie... nie wiem.

- Ale sen skończył się?

- Tak.

- I to był ten pierwszy raz, gdy pojawiły się owe specyficzne, wyraziste sny? - Nie odpowiedział. - Czy mnie słyszysz, Paul?

- Tak.

- Czy to wtedy po raz pierwszy miałeś sen tego rodzaju? Tak żywy, że wydawało się, jakby ktoś inny przejmował twoje życie? Lekki skurcz mięśni zniekształcił jego rysy.

- Paul?

- Nie... nie wiem.

- Posłuchaj mojego głosu, Paul. Jestem twoim przewodnikiem. Pozwól, by mój głos wypełnił twoje ciało, wypełnił twój umysł; mój głos jest jak bańka, delikatna bańka wokół ciebie, chroniąca cię, cofnij się, cofnij się do najwcześniejszego snu, do pierwszego koszmaru, w którym śniłeś o czymś dziejącym się poza tobą. Płyniemy wstecz, wstecz do najwcześniejszego, pierwszego snu... wstecz i wstecz i wstecz... Teraz widzisz ten pierwszy sen wyłaniający się z nieświadomości; szczegóły stają się wyraźniejsze i jesteś już w pierwszym śnie. Jesteś w swoim najwcześniejszym śnie. Powiedz mi, co widzisz, Paul. Co widzisz?

Przez moment Annie myślała, że jej nie słyszy. Potem wyciągnął ręce przed siebie, napiął mięśnie tak, jakby opierał się o ścianę i odwrócił w bok głowę. Zaczął krzyczeć.

- Nein! Nein, Tante Inge!

- Paul...?

- Bitte! Bitte!

Wyszedł z transu. Siadł wyprostowany i rozejrzał się dzikim wzrokiem.

- Wszystko w porządku - powiedziała szybko Annie. Wyciągnęła rękę, by dotknąć jego ramienia, lecz Paul cofnął się.

- Paul - odezwała się łagodnie - już się zbudziłeś. Nic się nie stało. Wróciłeś, jesteś z powrotem w Waszyngtonie. Wszystko w porządku.

Poprzez strach i nudności słyszał przytłumiony jej głos. Oddychał nierówno, a tętno waliło mu w uszach. Twarz miał wilgotną i lepka od potu. Annie wciąż mówiła, aż w końcu przypomniał sobie, gdzie jest i co się stało. Zrobił głęboki wydech i uśmiechnął się słabo.

- Co to wszystko było, do diabła?

- Czy pamiętasz, co się wydarzyło?

- Pamiętam ból i... - I co? W jaki sposób mógłby opisać jej ohydny, potworny horror, paralizującą bezsilność i uczucie... poniżenia. To było to. Silniejsze od bólu było poniżenie. Poruszył się niespokojnie, czując mdłości.

- Co się stało? - spytała Annie.

- Nic.

- Nic nie ukrywaj, Paul. Powiedz mi.

- Przez chwilę poczułem się niedobrze, w porządku? A teraz możemy zająć się czymś innym - na przykład, co się wydarzyło i dlaczego? Co odkryłaś?

Annie opowiedziała mu o jego najwcześniejszych snach; o tym z rosyjskimi wartownikami i tym ostatnim, na który zareagował tak gwałtownie, że zbudził się z transu.

- Powiedziałaś coś po niemiecku. Pamiętasz to?

- Nie.

- Posłuchaj.

Przewinęła taśmę i puściła mu ostatni nagrany fragment. Paula ogarnęło niesamowite wrażenie, że słucha kogoś innego mówiącego jego] głosem.

- Mówię, jak żywy trup.

- Sza, posłuchaj teraz.

Wsluchiwał się w swój krzyk. Histeria w jego głosie zawstydziła go, lecz słowa były dla niego zrozumiałe.

- Nie, ciociu Ingo - powtórzył po angielsku. - Proszę.

- Co wiesz o swojej ciotce Indze?

Paul popatrzył zakłopotany. - Nie mam ciotki o tym imieniu. Nic] w każdym razie o tym nie wiem.

- Musiałeś znać kogoś o tym imieniu. Gdzieś głęboko w jego pamięci pobrzmiewało to imię dość znajomo,| jednak Paul nie mógł tego umiejscowić.

- Nie wiem. Opuściłem Niemcy, kiedy miałem pięć lat.

- Skup się. - Siedziała na brzegu krzesła, wpatrując się w niego. Paul potrząsnął głową. - Widziałem drzewo genealogiczne naszej^ rodziny. Nie było nikogo o imieniu Inga.

- Powinniśmy więc wrócić do tego. Tym razem powinno być łatwiej, ponieważ wiemy, czego szukamy. Chcesz najpierw napić się czegoś?

Paul wytrzeszczył na nią oczy. - Wrócić do tego? Nie, dziękuję. - j Wstał. Koszula na jego plecach była wilgotna i lepka.

- Posłuchaj - odezwała się Annie. - Wiem, jak się czujesz, ale nie możemy teraz rezygnować. To popołudnie było przełomem. Teraz wiemy, że morderstwa nie były jedynymi przypadkami, gdy odbierałeś wrażenia kogoś innego. Byłeś nadwrażliwy już kiedy byłeś dzieckiem, nie widzisz tego? No więc, nie masz ciotki o imieniu Inga, ale ktoś ma i to jest ta osoba, której myśli odbierasz.

Paul potrząsnął głową

- O co chodzi? - zapytała Annie.

- Nie, nie, to brzmi jak wariactwo.

- To nie wariactwo. To się zdarzało wcześniej. Nie tak regularnie, ale zdarzało się. Mogę ci pokazać przypadki - ludzi, którzy ni stąd ni zowąd byli pewni, że coś się stało z ich ukochanymi. Przeżywali to osobiście.

- Ukochane osoby tak, ale nie zabójcy.

- To nie jest tylko morderca. Odbierasz...

Przerwała w pół zdania. Do tej pory myślała, że jego nadwrażliwość jest niewybiórcza, podobna do tafli wody w cichym stawie, która marszczy się na dźwięk odległego grzmotu eksplozji. Ale może jego wrażliwość ma związek tylko z jedną osobą? Osobą, której fale mózgowe i sposób myślenia są podobne do jego własnych? W takim przypadku, wspomnienia z dzieciństwa mogłyby należeć także do mordercy, z czasu, kiedy był dzieckiem.

- Możliwe, że masz rację - powiedziała Annie, w jej głosie pojawiła się nowa nuta podniecenia. - To jeszcze jeden powód, aby iść dalej w przeszłość. Wspomnienia z dzieciństwa mogą udzielić nam jakiejś wskazówki na temat osoby mordercy.

- Nie.

- Paul...

- Nie rozumiesz. To gorsze niż najgorszy nocny koszmar, łączy się z poczuciem poniżenia, przeklinania własnej osoby, mdłości spowodowanych strachem, jakiego nigdy nie przeżyłaś - jakiego ja nigdy nie przeżyłem, do tej pory. Za żadne skarby nie będę przez to jeszcze raz przechodził.

Odwrócił się do niej plecami, ale Annie złapała go za rękę.

- Nie możesz się teraz zatrzymać. Czy nie widzisz, jakie to jest ważne? Jesteś pierwszym przypadkiem telepatycznej komunikacji, który ma szansę zostać naukowo dowiedziony. Musimy odnaleźć osobę, której przeżycia najwyraźniej jesteś w stanie odebrać, nawet jeśli to bolesne.

- A jeśli, idąc wstecz, zostanę zmuszony do przejścia ponad krawędzią? Mam na myśli to, że coś mnie odmieni, zwariuję? Co wtedy, do diabła?

Annie obdarzyła go profesjonalnym uśmiechem. - To się nie zdarzy. (Czy była tego pewna?)

- Skąd możesz wiedzieć?

- Musisz mi zaufać.

- Dlaczego? Ponieważ jesteśmy tak bliskimi przyjaciółmi, czy dlatego, że nie naraziłabyś na niebezpieczeństwo pierwszy przypadek naukowo udowodnionej telepatii?

Uśmiechała się do niego konspiracyjnie.

- Powiedzmy, że każdego po trochu.

- Założę się, że masz już przygotowaną notatkę biograficzną do artykułu w New England Journal of Medicine.

- To bardzo ważne, Paul. Naprawdę.

Kiwnął głową, wiedząc że prędzej czy później to musi być zrobione. Musiał dowiedzieć się, echo czyich myśli, czyjego życia wypełniało go swoim brzmieniem.

- Powiadomię ciebie.

- Kiedy?

- Zadzwoń do mnie jutro.

Jadąc do Herolda, Paul czuł się wyizolowany, odcięty. Świat za szybą samochodu był znajomy, ale odległy. Był potworem. Wyglądało na to, że jest częścią kogoś innego. To, co przeżył w hipnozie zawiodło go do innej rzeczywistości, rzeczywistości należącej do kogoś innego. Małe ziarno tej obcej świadomości pozostało, rozdwarzając i umniejszając jego samego. Czuł się skompromitowany, splamiony, tak jakby miał coś do ukrycia. Było to cholernie nieprzyjemne uczucie.

Humor mu się nie poprawił nawet wtedy, kiedy Bemie Stern, naczelny redaktor, poprosił go do swojego biura, aby pochwalić go za artykuł na temat raportu Birdwella-Rocklanda, a potem poinformować, że publikacja będzie opóźniona o miesiąc.

- Opóźniona? Myślałem, że wydrukujecie ją za tydzień.

Bernie obrócił niedopałek cygara w ustach. Był niski, mocno zbudowany, o mleczno - białej skórze, a jego siwe włosy ciągle wymagały mycia. Chciał sprawiać wrażenie wychowanego w twardej szkole reportera na „pierwszą stronę”, ubierając się w kamizelkę, a nie marynarkę i zawijając do góry rękawy. „

- Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli wyjściowe dane zostaną sprawdzone przez niezależnego naukowca.

- Co to ma znaczyć? Nie wierzysz w źródła moich informacji?

- Jeśli się mylą, Birdwell-Rockland zaskarży nas, a nie twoje źródła. Bernie zuł koniuszek cygara odrobinę zbyt energicznie. Chodziło tutaj o coś innego.

- Co to znaczy? Gadałeś z Mayhuesem?

- Cyniczny bękart - powiedział Berni.

Gazeta należała do Mayhuesa. Wyglądało na to, że im bardziej rosła jej popularność, tym bardziej stawali się konserwatywni.

- To jest niezależny kontrakt, Bernie. Ty nie chcesz tego, zabieram to na drugą stronę ulicy.

- Hej, hej - Bernie wyglądał na urażonego. - Nie ma potrzeby, aby uderzać poniżej pasa. Puszczamy to. W przyszłym miesiącu, po podpisaniu Traktatu, to wszystko. Nie chcesz chyba osłabiać przetargowej pozycji Stanów Zjednoczonych artykułem, który może swobodnie czekać przez miesiąc.

- Pewnie - powiedział Paul. - Zapomnij o etyce, oszukaj Rosjan. Wspaniały sposób prowadzenia gazety.

Wymaszerował nie czekając na odpowiedź. Bywały dni, kiedy bawiły go udawane potyczki z Bernim, ale dzisiejszy do nich nie należał.

Przy biurku Paul przejrzał kopię wywiadu z inżynierem marynarki. Kiedy dotarł do końca strony, nic nie mógł sobie przypomnieć. Jego umysł był w dalszym ciągu zajęty seansem hipnozy i słowami, które zostały puszczone mu przez Annie z taśmy. Jego własny głos mówiący do niego z dzieciństwa.

Wyciągnął kalendarz z adresami i wykręcił numer do Umbrella Tree Country Club w Fort Lauderdale. Usłyszał radosny głos recepcjonistki i poprosił księgowość, tam gdzie pracowała jego matka. Może jego matka wiedziała, kim była Tante Inge. Na tym etapie był zdecydowany spróbować wszystkiego, byle tylko uniknąć ponownej męki, jakiej właśnie został poddany.

- Paul? Gdzie jesteś? Czy jesteś tutaj?

- Nie, mam. Ciągle w Waszyngtonie.

- Masz zamiar przyjechać?

— Nie wiem. Posłuchaj mnie, mam. Mam do ciebie pytanie. Rodzinne. Czy kiedykolwiek mieliśmy krewną o imieniu Tante Inge? Długie milczenie.

- Mam? Czy ciągle tam jesteś?

Jej głos, kiedy go ponownie usłyszał, był wypełniony takim cierpieniem, że Paul z ledwością mógł go rozpoznać.

- Ich bitte um Vergebung - jęknęła. - Ich bitte um Vergebung. Proszę o przebaczenie.

- Mam?

Wciąż powtarzała te słowa, coraz bardziej zrozpaczona. Paul próbował jej przerwać, ale nie zwracała uwagi; głos po drugiej stronie zamienił się w lament.

- Ich bitte um Vergebung.

- Matko... - Bez rezultatu. Nie słyszała go. Mówiła coraz głośniejszym głosem, słuchawka upadła ze stukotem na podłogę. Słyszał jej szloch, ale ona sama nie odpowiadała. Nacisnął widełki, mając nadzieję połączyć się z telefonistką w centrali. Zamiast tego zapadła głucha cisza.

Odwiesił słuchawkę i wybrał numer powtórnie. Kiedy ponownie odebrała recepcjonistka, wyjaśnił jej w zwięzłych słowach, co przydarzyło się jego matce i poprosił, aby wysłano do niej kogoś, by sprawdzić, czy nie potrzebuje pomocy. Okazało się, że asystent kierownika już tam pobiegł. Paul czekał przy telefonie przez dziesięć minut,

otrzymując od czasu do czasu sprawozdanie z tego, co się działo. W końcu do telefonu podszedł lekarz.

- Wpadła w histerię, panie Stafford, ale dałem jej środki uspokajające i wyjdzie z tego. Poleciliśmy, aby ktoś zabrał ją do domu.

- Nie chcę, aby była sama.

- Nie, oczywiście. Rozumiem, córka została zawiadomiona. Pani...

- Steinberg.

- Tak. Pani Steinberg będzie tam także, tak więc nie chciałbym, aby pan się niepokoił. Najważniejsze, by nie denerwować jej powtórnie. Jeśli potrafi pan tego dotrzymać...

- Nie miałem zamiaru jej denerwować.

- Tak, w takim razie, rozumie pan doskonale sytuację.

Paul zrozumiał, że matkę przeraził dźwięk imienia, Tanie Inge, który w równym stopniu przeraził i jego.

Pojechał do domu i porwał swój podróży worek, wykonany z włoskiej skóry, wypełniony wszystkim, czego potrzebował do natychmiastowej podróży. O godzinie piątej był na pokładzie lotu Piedmont 87 do Fortu Lauderdale.

Tak jak człowiek z CIA, który podążał za nim.

Rozdział 9

Everglades stało w płomieniach, kiedy samolot Paula lądował w Fort Lauderdale. Właśnie zmierzchało. Poprzez stalowoszarą mgielkę, otulającą zachodni horyzont, żarzyło się intensywnie pomarańczowe słońce. Paul wypożyczył samochód, zamknął okna i włączył klimatyzację. Owady rozbijały się o przednią szybę, w miarę jak jechał nieskończonymi autostradami, otoczonymi palmami i identycznymi centrami handlowymi.

Zanim opuścił Waszyngton, zadzwonił do swojej siostry, aby dowiedzieć się, jak czuje się matka. ‘

- Teraz odpoczywa - uspokoiła go Ceci. - Ale mnie nie powie ani słowa o tym, co się stało. Mówi, że ty wiesz.

- Dowiesz się, jak będę na miejscu.

Zaparkował na parkingu oznaczonym napisem „Goście”. Nie był pewny, co jej powie. Czy matka będzie w stanie uwierzyć, że miał koszmarny sen o śmierci. W to, że między nim a zabójcą jest pewnego rodzaju telepatyczna więź? Czy uwierzy, że poddany hipnozie przeżył

wstrząs, związany z imieniem Tante Inge, zupełnie dla niego obcym, ale, na dźwięk którego ona wpadła w histerię? Czy ktokolwiek uwierzyłby w to?

Jak się okazało, Ceci było tak spieszo do domu, że nie poruszała tematu.

- Bob dzwonił kilka minut temu - powiedziała, prowadząc go do mieszkania. - Dzieci doprowadzają go do szaleństwa. Musiał zwolnić się wcześniej z pracy, aby je odebrać. Obawialiśmy się, że mama miała atak serca, czy coś takiego. W każdym razie cieszę się, że jesteś.

Ceci była szczupła jak matka, ale rysy jej twarzy były bardziej zaokrąglone, charakterystyczne dla rodziny ze strony ojca.

- Jak ona się czuje? - zapytał Paul.

- Teraz śpi. Naprawdę myślę, że z nią wszystko w porządku, Paul. Powinieneś poczekać. Nie musiałeś przyjeżdżać z tak daleka.

Ceci zaczęła zbierać swoje rzeczy. Mieszkanie było małe, dwupokojowe. Matka przeprowadziła się do niego po rozwodzie. Pokój dzienny był oddzielony od kuchni wąską ladą. Rozsuwane szklane drzwi otwierały się na patio z widokiem na sztuczne jezioro. Oprócz białego klawesynu w rogu pokoju, reszta umeblowania wyglądała jakby żywcem wyjęta z katalogu Sears & Roebuck. Paul nigdy nie rozumiał zamiłowania matki do oszczędności, której wynikiem było kupowanie złej jakości rzeczy, zużywających się dwukrotnie szybciej od innych, tylko odrobinę droższych.

Wszedł do sypialni i patrzył. Mama leżała zwinięta na boku, z białymi włosami rozrzuconymi na poduszce, ustami lekko rozchylonymi; jej oddech ginął w szumie klimatyzacji. Na nocnym stoliku, obok łóżka, stała ślubna fotografia matki i ojca. Trzymała Ralfa za ręce patrząc na niego. Ubrany w mundur, wysoki, pewny siebie uśmiechał się do obiektywu. Ich zachowanie określało stosunki między nimi - mama była od niego uzależniona, on - niedbale pewny siebie.

- Dał mi nowe życie - powiedziała pewnego razu Paulowi, kiedy krytykował ojca.

Teraz dał jej nowe życie ponownie. Samotne i puste. Ale mama wciąż była mu wdzięczna i nie pozwalała krytykować mężczyzny, którego poślubiła. Paul wiedział, że jest mniej wspaniałomyślny. Miał skłonność do oceniania ludzi według bardziej surowych kryteriów i jego zdaniem, ojciec nie wypełnił swoich małżeńskich obowiązków. Jak na ironię, biorąc pod uwagę stan jego własnego małżeństwa. Czy ustanowił zbyt surowe reguły dla Joanny?

Zamknął drzwi i powrócił do pokoju gościnnego. Ceci była przy telefonie, obiecując mężowi, że przyjedzie natychmiast do domu i położy dzieci do łóżka. Kiedy odłożyła słuchawkę, zaprosiła Paula na barbeque.?’

- Jak tylko będziesz znał swój rozkład dnia - powiedziała. - Dzieci będą zachwycone, kiedy cię znów zobaczą. Wydobyła z torebki kluczyki do samochodu i dodała na końcu:

- A co słyhać u Joanny?

- Ciągłe pracuje w galerii.

Ceci zbyt się spieszyła, aby zauważyć napięcie w jego głosie, a także to, że odpowiedź była wymijająca. Po jej wyjściu Paul stał w pokoju gościnnym i myślał o Joannie. Nagle, bardzo zapragnął porozmawiać z nią, podzielić się obawami o swoją matkę i o to, że zapadając w sen, staje się bezbronny wobec obcowania z jakąś nieznaną osobą. W tej chwili najbardziej jej potrzebował nie jako żony, czy kochanki, ale jak przyjaciela.

Zatelefonował do domu licząc, że może wróciła. Usłyszał głos automatycznej sekretarki: „Tu Paul i Joanna Stafford. Nie można się z nami porozumieć w tej chwili, ale jeśli zostawisz swój numer telefonu i nazwisko, zatelefonujemy do ciebie tak szybko, jak to będzie możliwe”.

Paul już miał odwiesić słuchawkę, ale zmienił zamiar.

- Jo? Jesteś w domu? Posłuchaj, jeśli tam jesteś, podnieś słuchawkę. Jestem u mamy. Przyjechałem dzisiaj wieczorem i muszę z tobą porozmawiać. Tak więc, jeśli jesteś tam... albo jeśli usłyszysz tę wiadomość, zadzwoń do mnie. - Przestał mówić i słuchał. Po kilkunastu sekundach taśma wyzwolana głosem wyłączyła się.

Poczuł irracjonalną złość. Gdzie, do diabła, ona się podziewa? Napisała w liście, że zadzwoni za kilka dni, to dlaczego tego nie robi? Dlaczego jej nie ma w pobliżu, kiedy dzieje się naprawdę coś ważnego, kiedy to naprawdę się liczy?

Usiadł i włączył telewizor. Szukał czegoś na uspokojenie myśli, ale komedie denerwowały go swoimi natarczywymi ścieżkami z nagranyymi wybuchami śmiechu, a jedyny film, nadmiernie poważny dramat o samobójstwie nastolatka, znudził go. Wciąż wracał myślami do Joanny, do magicznej chwili pierwszego z nią spotkania...

Pracowała w agencji niosącej pomoc ofiarom głodu w Etiopii. Zobaczył ją po raz pierwszy przed sklepem Safeway, trzymającą transparent w intencji zbiórki żywności. Na transparencie była fotografia dziecka z Etiopii, które miało ręce i nogi cienkie jak wykałaczki, zebra sterczące jak pręty w ptasiej klatce i brzusek wzdęty z powodu niedożywienia. Napis głosił „Safeway nie nakarmi tego dziecka, a ty?” Zdjęcie było jednym z jego własnych fotografii.

- Czy ma pani pozwolenie na to? - zapytał Paul.

Nie był to wielki początek, ale w ciągu następnych pięciu minut Joannie udało się go przekonać, aby przekazał na cele dobroczynne następny tuzin fotografii. Dwa tygodnie później, kiedy wraz z pracownikami agencji niesienia pomocy poleciała z pierwszym transportem żywności do Etiopii, na pokładzie znajdował się Paul jako reporter. Ich romans rozkwitł na pustyni. W drodze powrotnej spędzili dwa dni w Paryżu.

Joanna wciąż go czymś zaskakiwała. Kiedy po raz pierwszy kochali się, stała się inną osobą, dziwnie nieśmiałą i małomówną. Leżała w jego ramionach wstrząsana dreszczami. Myśląc, że jej zimno, Paul naciągnął na nich okrycie, ale to niczego nie zmieniło. Obejmując ją czuł, jak pokryła się gęsią skórką.

- Przepraszam - powiedziała. - Im bardziej coś jest ważne, tym bardziej się tego boję.

- Boisz się? Czego?

- Ciebie. Przerazasz mnie. Mówiła śmiertelnie poważnie.

- Nie wyrządę ci krzywdy.

- Nie mam na myśli krzywdy fizycznej.

- W takim razie co?

- Że z tobą... jeśli z tobą pójdę, nigdy nie będę już taka sama.

- Będiesz. Zawsze będziesz sobą.

Dotknęła jego policzka, w jej jasnoniebieskich oczach pojawiły się łzy. - Ale ja nie chcę być taka sama; to mnie przeraża najbardziej.

Ostrożna w miłości i nieostrożna w życiu, Joanna była inna niż wszystkie kobiety, które spotkał dotąd. Zapadł w sen, myśląc o niej i w niespokojnym śnie zobaczył ją stojącą na trampolinie, nagą, gotową do skoku do basenu bez wody. Paul wrzasnął ostrzegawczo, ale Joanna tylko pomachała mu ręką z uśmiechem. Pędził w jej kierunku, ale ona nie zwracała uwagi. Wybiła się wysoko w powietrze i spadła do basenu, który teraz był wypełniony wodą. Widział jej rozplywające się kształty, migotające pod rozfalowaną wodą; potem wypłynęła na powierzchnię i odpłynęła z łatwością, śmiejąc się, a Paul stał zdumiony i rozdygotany, gapiąc się na jej ślady.

Zapach kawy wyrwał go ze snu. Usiadł i rzucił spojrzeniem wokoło. W kuchni matka poruszała się bezszelestnie, ostrożnie wyjmując nakrycia z maszyny do mycia i odkładając je do szuflady. Była ubrana w żółte, luźne spodnie i wzorzystą bluzkę. Kiedy zobaczyła Paula uśmiechnęła się.

- Staralam się ciebie nie zbudzić.

- Która godzina?

- Prawie dziewiąta. Zatelefonowałam do klubu i powiedziałam, że dzisiaj nie przyjdę. Nie co dzień odwiedza mnie mój syn. - Zachowywała się tak, jakby jego wizyta była czymś najnormalniejszym na świecie.

Paul wstał i przeciągnął dłonią po włosach. Szyja zeszywniała mu od nocy spędzonej na kanapie.

- Czyste ręczniki są w łazience. Robię brzoskwińowe naleśniki na śniadanie. Ciągle jeszcze lubisz naleśniki, nieprawdaż?

Pytała bez przerwy, nie zwracając uwagi na jego reakcje. Wszedł do kuchni i stanął przyglądając się jej.

- Mamo, wszystko w porządku?

- W porządku. Idź już. Musisz się umyć. Idź, idź.

Obróciła go i łagodnie popchnęła do łazienki. Czy miała zamiar zignorować wydarzenia wczorajszego dnia, czy chciała odwlec rozmowę na ich temat, nie mógł powiedzieć. Zostawił ją samą na kilka minut, w czasie gdy się mył. Po powrocie zastał ją na patio, przygotowującą miejsca do śniadania.

- Jest taki przyjemny ranek - powiedziała. - Pomyślałam sobie, że zjemy na zewnątrz. Siadaj, siadaj. Przyniosę kawę.

Weszła zwawo do kuchni, ale Paul wyczuł nerwowość pod tą jej całą aktywnością. Kiedy przyniosła kawę, ujął ją za nadgarstek i nalegał, aby usiadła.

- Musimy porozmawiać, mamo.

- Paul, ciasto już jest gotowe. - Ciągnęła go, jak złapany w pułapkę ptak, z oczami wpatrzonymi ponad jego plecami, tak jakby szukały ucieczki.

- Musimy porozmawiać o tej Tante Inge.

- Nie. - Wyrwała rękę z jego uchwytu i popatrzyła na niego, potem obróciła się i poszła po trawie w kierunku jeziora. Paul poszedł za nią. Usiadła na jednej z białych betonowych ławeczek, które stały na brzegu wody i utkwiała wzrok w oddali. Pół tuzina kaczek popłynęło w jej kierunku, coś do siebie gadając. Paul podszedł do niej i zaczął masować jej ramiona. Z początku napięła się cała pod jego dotknięciem, ale po chwili rozluźniła się. Kiedy się w końcu odezwała, mówiła głuchym głosem.

- W jaki sposób się dowiedziałeś?

- Nie dowiedziałem się. To dlatego muszę z tobą porozmawiać.

- Znasz jej imię.

- Miałem sen. Zły sen, w którym wystąpiło imię Tante Inge. Odwróciła się, aby mu się przyjrzeć.

- Byłeś taki mały. Jakże mógłbyś zapamiętać?,

- Kim ona była, mamó? Kto to była Tante Inge?

- Nie była twoją ciotką. Ona była tylko... - odwróciła wzrok. - Tak tylko do niej się zwracałeś. Chciała, aby wszystkie dzieci zwracały się do niej w ten sposób.

- Kim ona była?

- Nazywała się Inge Heusner. Była Szatanem, który zstąpił na ziemię, zdeprawowaną rzeczą, która... - zatrzęsła się. - Która zabiła twojego brata.

Ręce Paula zamarły.

- Mojego brata?

- Było was dwóch. Bliźniaków. Karl i Paul.

Szok, który przeżył Paul był całkowity. Świat wydawał się rozpadać, a jego zmysły zwróciły się do wewnątrz; drzewa, jezioro i trawa wyglądały jak płaskorzeźba, a wszystkie dźwięki stały się przytłumione, odległe, tak jakby płynął pod wodą. Brat bliźniak? Brat o imieniu Karl? Powróciły słowa Annie: ktoś o podobnej konstrukcji emocjonalnej. W jednej chwili Paul zrozumiał, że jego brat nie umarł. Gdzieś na świecie była część jego własnej osoby, z którą dzielił świadomość. Bliźniak. Brat...

Zorientował się, że matka do niego mówi.

- ...poświęciłam go. Oddałam życie Karla w zamian za twoje.

- Karl żyje - powiedział Paul.

Spojrzała na niego oczami pełnymi nadziei i przerażenia.

- Nie umarł? Co ty mówisz?

- Wiem o tym. Wiem, że nie umarł.

- Jak? Skąd możesz to wiedzieć?

- Ponieważ mam te sny, mamó. Sny, które nie są tylko snami. One dzieją się naprawdę, to są prawdziwe wydarzenia z życia. Nie mojego, ale jego.

- Sny? Nie, ty nie wiesz, co zaszło. Ty nie wiesz...

- Opowiedz mi w takim razie. Potrząsnęła głową. - Nie mogę.

- Czy ojciec wie?

- Nikt nie wie.

- Ale dlaczego? Dlaczego nic nikomu nie powiedziałaś?

- Nie byłam w stanie.

- Dlaczego?

- Ponieważ... ponieważ to ja dałam go jej - podniosła się. - To był mój błąd. Ja jej go dałam, a ona... ona wzięła go tam gdzie... oni...

Poruszała ustami, ale słów nie było słycać. Rysy twarzy były ściągnięte, tak jakby cierpiała na atak podobny do apopleksji.

Paul stanął obok niej i objął ją. - W porządku, w porządku - powiedział szybko. - Oddychaj głęboko. Teraz, głęboki wdech. O właśnie.

Kiedy oddychała, powiedział zwyczajnie, że jest głodny i pozwolił, aby temat Ingi Heusner nie pojawił się w trakcie śniadania. Potrzebowała czasu, aby odzyskać równowagę, a on musiał się zastanowić, w jaki sposób podejść, nie zadając jej bólu.

Powietrze rozgrzało się, a niebo zaciągnęło się południową mgiełką... Kiedy skończyli, pokruszyła pozostawiony tost i nakarmiła nim kaczkę.'

Nazywała każdą po imieniu, karcąc jedną z nich za zbyt egoizm, zachęcając inną do podejścia bliżej i wzięcia swojej uczciwej porcji.

Zaczekał, aż skończy i wróci, z zaczerwienioną twarzą, do stolika, a potem przemówił łagodnie: - Musimy o niej porozmawiać, mamó. Muszę wiedzieć.

Jej uśmiech zamarł. Odwróciła wzrok, ale tym razem w jej oczach odbijała się oprócz smutku rezygnacja. Po chwili odezwała się: - Obiecujesz, że mnie nie znienawidzisz?

- Wiesz przecież o tym doskonale.

Skinęła głową, przyjmując jego obietnicę z niewiarą. - Chodź zatem. Chodź do środka.

Czekał w pokoju gościnnym, a ona w tym czasie poszła do sypialni, by powrócić z pudełkiem od cygar, przewiązany szpagatem. Pudełko było zrobione z drewna, z nalepką po niemiecku.

- Tutaj jest cała moja hańba - powiedziała. - Ale najpierw musisz spróbować zrozumieć, jak do tego doszło.

Zamknęła oczy i nabrała w płuca powietrza. Nigdy nie słyszał jej mówiącej głosem tak cichym i pełnym gorczy.

- Nikt nie może sobie wyobrazić, jak to jest po wojnie, Paul. Berlin... nic po nim nie zostało. Tylko ruiny. Nie było tramwajów, chodników, tylko ścieżki między ruinami. Mój ojciec i matka zginęli w bombardowaniu, Erich - twój ojciec zaginął na wschodnim froncie. Nigdy się nie dowiedział o bliźniakach. Tak więc, byłam sama, młoda matka z dwojgiem dzieci. Żyliśmy w jednym pokoju, w kuchni nie było wody, ani elektryczności, ale byliśmy szczęśliwi. Mieliśmy dwa koce i okna nie były wybite.

- To był pierwszy rok okupacji i nie było wystarczającej ilości żywności. Zbiory były zniszczone najazdem. Ludzie głodowali. W październiku, zanim mróz ściał ziemię, przyglądaliśmy się żołnierzom kopiącym masowe groby dla tych, którzy mieli nie przeżyć

zimy. Codziennie owijałam ciebie i Karla kocykiem, a sama czekałam na zewnątrz garnizonu na wyrzucane przez nich śmieci. Odpadki były w specjalnych pojemnikach z napisem „Żywność dla rasy panów”. Rosyjscy żołnierze uważali to za dobry żart. Żywność dla rasy panów.

Oczy jej zwężyły się na wspomnienie przeszłości. Przerwała, zagubiona w myślach. Paul poczuł, jak silną musiała mieć wolę w czasach młodości.

- Pamiętam - powiedziała - biliśmy w pojemniki kijami, aby odpędzić szczury. Brałiśmy to, co pozostało.

- Kim ona była?

Odwróciła wzrok, oddychała głęboko. - Frau Heusner żyła w piwnicy naszego budynku. Utrzymywała się z żebraniny. Codziennie rano widzieliśmy, jak wychodzi, ubrana w łachmany, z laską w rękę. Co wieczór wracała niosąc jedzenie i pieniądze okupacyjne, a czasem parę butów na wymianę lub płaszcz do sprzedania. Czasami zdobyła amerykańskie papierosy, to zadziwiało nas najbardziej. W tamtych czasach jeden amerykański papieros stanowił równowartość miesięcznych zarobków, więc wszyscy zazdrościli Frau Heusner i zastanawiali się, jakim cudem to wszystko jej się udaje, gdy tak wielu żebraków umierało z głodu. Frau Heusner po prostu śmiała się i mówiła, że Bóg wysłuchał jej modlitw.

- Pewnego dnia odkryłam, na czym polegał jej sekret. Byłam w nowej okolicy w poszukiwaniu pracy, kiedy zobaczyłam Frau Heusner na ulicy. Ubrana była jak zwykle w łachmany, ale było coś nowego. Założyła ciemne okulary i szła powoli, stukając laską po drodze tak, jakby była niewidoma. A więc to był jej sekret, pomyślałam. Wzbudzała dodatkowo litość, udając niewidomą.

- Później powiedziałam jej, co widziałam. Jej reakcja zaskoczyła mnie. Pobladła i zapytała, czy komukolwiek o tym opowiadałam. Kiedy zaprzeczyłam, zmusiła mnie, abym przysięgła dotrzymać tajemnicy, mówiąc, że obawia się aresztowania. Pomyślałam, to śmieszne - policja miała tak wiele poważnych problemów, że nie zadawałaby sobie trudu zajmowaniem się kimś, kto wcielał się w osobę niewidomą. Ale Frau Heusner była bardzo przerażona, więc złożyłam obietnicę. Często myślałam, co by się stało, gdybym poszła wtedy na policję. Ile żywotów ludzkich udałooby się zaoszczędzić. Ilu ludzi... - Wpatrywała się, nie obecna, w ścianę, a potem powoli podniosła wzrok. - Kiedy patrzę i ciebie, widzę także jego. Zawsze tak było.

Paul przytaknął; chciał, żeby mówiła dalej, ale bał się nalegać, aby znów nie sprawić jej bólu. - Musiało być ci ciężko - powiedział ostrożnie.

- Pogorszyło się, gdy nadeszła zima - ciągnęła opowieść. - To wtedy zachorowałeś, bardzo zachorowałeś, miałeś gorączkę, dreszcze, a nawet kaszlałeś krwią. To był potworny widok. Byłeś taki mały, bezbronny. Nic, co robiłam, nie mogło ci pomóc. Poszłam do szpitala i doktor powiedział mi, że to zapalenie płuc, bez antybiotyków umrzesz. Nie było ich w rosyjskim sektorze, musiałam udać się do amerykańskiego, a na to potrzebna była specjalna przepustka. Stałam cały dzień w kolejce, a kiedy ją otrzymałam, była tylko na dwie osoby: ciebie i mnie. „Ten drugi nie jest chory” powiedzieli mi. Nie zależało im, czy Niemcy przeżyją czy nie, rozumiesz? Tak więc, tylko ty i ja mogliśmy iść i dlatego zwróciłam się do Frau Heusner. Byłam zmuszona, Paul. Nie mogłam pozwolić, abyś umarł.

- I Frau Heusner zaopiekowała się Karlem?

Przytaknęła. - Była dla nas miła. Przynosiła różne rzeczy, czasami żywność, czasami coś do ubrania - raz przyniosła włóczkę i zrobiłam na drutach czapki zimowe. Dla ciebie i Karla. Obydwie pasujące do siebie. Frau Heusner w żartach wspominała o zabranii jednego z was na żebry. Powiedziała, że Rosjanie mają miękkie serca dla niewidomych matek z dziećmi. To dlatego myślałam, że wszystko będzie w porządku, rozumiesz? Zostawić Karla...

- Naturalnie opuszczaliśmy go tylko na jeden dzień, tak wtedy myślałam. Myślałam, że dostaniemy lekarstwo i natychmiast wrócimy, ale kiedy lekarze ciebie zbadali, zostałeś umieszczony w szpitalu. Bali się, że umrzesz. Położyli cię w namiocie tlenowym, a ja zostałam przy tobie. Minęło sześć dni, zanim wróciliśmy do domu. Natychmiast poszłam do Frau Heusner, ale w jej mieszkaniu była policja. Czekali na nią. To oni powiedzieli mi, co się stało.

Matka pochyliła głowę jak w modlitwie, potem powoli rozwiązała sznurek na pudełku po cygarach. Jej palce drżały. Miał się dowiedzieć w końcu, co było tak straszne, że matka nie mogła wydobyć z siebie ani słowa.

Szpagat opadł. Wyjęła pozólkły od starości wycinek z gazety. Nie rozkładając, podała go Paulowi.

- To jest mój grzech - powiedziała.

Papier był wyblakły, kruszył się na brzegach, kiedy Paul go rozkładał. Nie było na nim daty, był napisany po niemiecku. Artykuł nosił tytuł „Służący pomocą obywatelom zarżnięci w Pankow”. Paul czytał.

„Policja w Pankow odkryła ludzkie szczątki w czarnorynkowym sklepie rzeźnickim na Uferallee 21. Sklep był własnością Hansa Furtza i jego kuzyna, Rolfa Jaspersa. Obaj zostali aresztowani. Współpracowniczka, Inge Heusner, jest wciąż na wolności.”

Potworne odkrycie wyszło na światło dzienne, po tym jak na policję zgłosiła się Marie Naumann, lat 28, z Weisensee. Naumann poinformowała, że starała się pomóc niewidomej kobiecie, później zidentyfikowanej jako Inge Heusner, która wyraźnie miała kłopoty w znalezieniu drogi do Pankow, gdzie miała dostarczyć list. Naumann zaofiarowała, że spełni rolę posłańca, ale stała się podejrzliwa, kiedy rzuciwszy spojrzeniem wstecz zobaczyła Heusner idącą ulicą, tak jakby zmysł wzroku w pełni jej dopisywał. Policja potwierdziła później, że Heusner nie była niewidoma i że od pewnego czasu zajmowała się zwabianiem ludzi z przyległych regionów do Pankow, gdzie następnie byli mordowani w sklepie.

Naumann poszła na policję, która towarzyszyła jej w drodze do sklepu. Jeden z właścicieli, Furtz, zdołał uciec tylnymi drzwiami, ale został później złapany we własnym domu. Jaspers został zatrzymany na miejscu. Przeszukanie piwnicy ujawniło częściowo poćwiartowane ciała. ‘

Policja poinformowała, że sklep działał przez wiele miesięcy i że prawdziwa liczba ofiar może nigdy nie wyjść na jaw. Oczywistym jest, że ofiary wywodziły się spoza rejonu Pankow, aby nie budzić podejrzeń. Mroźące krew posłowie wypadku stanowiła treść listu w kopercie, którą miała dostarczyć pani Naumann do Frutza i Jaspersa. Wiadomość napisana charakterem pisma Ingi Heusner, brzmiała: to jest ostatnia, którą wyślę dzisiaj.

Paul skończył czytać i podniósł wzrok znad wycinka. Matka była w stanie tylko wpatrywać się w niego, jakby oczekując na wyrok.

- Ktoś ją tam zobaczył - powiedziała szorstkim, ledwie dosłyszalnym, głosem. - Z Karlem... Ciągle miałam nadzieję. Ciągle szukałam... O mój Boże...

Zalała się łzami, Paul, oszołomiony, podszedł do niej. Skurczyła się pod jego dotknięciem. Usiadł obok niej, tuląc ją do siebie jak dziecko, chcąc uwolnić ją od bólu, nie mając jednak pojęcia, jak to uczynić.

- Już dobrze - wypowiedział słowa pustego zwrotu, który nie przynosił ukojenia.

Zaczęła mówić szeptem, powtarzając słowa jak litanię: „Ich bitte um Yergebung, Ich bitte um Yergebung.” Błagam o przebaczenie, błagam o przebaczenie.

Ale to nie ich matka powinna prosić o przebaczenie, myślał Paul. To Karl, jego brat bliźniak... To Karl, który zabił sześcioro ludzi, czyniąc go mimowolnym współnikiem. Zaczeka, nim powie matce więcej. Trudno by było nazwać ukojeniem bólu nowe potworne odkrycie, że Karl ocalał tylko po to, aby stać się sadystycznym mordercą.

Wspomnienie własnych snów przyprawiło go znów o mdłości... możliwość ich ponownego pojawienia się powodowała, że sama myśl o śnie stawała się okropną groźbą. To

nie może się więcej zdarzyć. W ten, czy w inny sposób musiał powstrzymać swego brata przed popełnieniem nowych morderstw.

Ale najpierw musiał go odnaleźć.

Rozdział 10

Lokalny agent CIA nazywał się Tanzer. Czekał w kafejce na lotnisku we Frankfurcie, pijąc kawę i przeglądając włoskie czasopismo. Nagie kobiety ze zdjęć, o błyszczących od wody piersiach, opalały się leżąc na plażach nadmorskiego kurortu. W kieszeni miał, przysłaną FAX-em, kopię zdjęcia mężczyzny; mężczyzny, którego miał śledzić. Nazwisko jego brzmiało: Paul Stafford.

Zadanie nadeszło w ostatniej chwili. Jego amerykański zwierzchnik porozumiał się z nim tuż przed świtem, budząc go z niespokojnego snu i Tanzer miał wrażenie, że nie jest pierwszym, którego wybrano do tej roboty. Po raz pierwszy pracował dla Amerykanów w operacji, która doprowadziła do odkrycia siatki zajmującej się przemytem sprzętu high-tech do Związku Radzieckiego, kanałem przez Szwecję. Od tego czasu był wyznaczany tylko do rutynowych czynności, tak jak ta na przykład, kiedy wymagano od niego tylko złożenia raportu, lecz nie informowano go o szczegółach.

System publicznych ogłoszeń oznajmił przylot samolotu Lufthansa 465 z Miami. Tanzer dopił, letnią już w tej chwili, kawę, zwinął magazyn i wepchnął go do kieszeni płaszcza. Przeszedł do komory celnej i stanął koło filaru, oddalony nieco od tłumu, który zebrał się przy barierze w pobliżu przeźroczystych drzwi. Ilu z nich, zastanawiał się Tanzer, spotykało się z przyjaciółmi z Miami? Czy dziewczęta z Florydy miały tak samo ciemną, opaloną skórę i rozjaśnione słońcem włosy, jak oblepione piaskiem dziewczyny ze zdjęć?

Nie było mu dane tego sprawdzić; Stafford był jednym z pierwszych, którzy weszli do terminalu. Po tym jak rozglądał się wokoło, Tanzer wywnioskował, że jego obiekt nigdy jeszcze tutaj nie był. Stafford miał z sobą jedną torbę, a jego ubranie było wymięte po długiej podróży. Kiedy odszedł, Tanzer spojrzął na zegarek i zapisał dokładny czas w notatniku z oślimi uszami, a potem podążył w ślad za nim do stanowisk PanAm, gdzie jego Stafford stanął w kolejce. Tak szybko wyjeżdża? zastanawiał się.

Sytuacja stawała się coraz bardziej interesująca. Gdzieś wyjeżdżali Tanzer ucieszył się. Był na tyle przewidujący, że zabrał ze sobą paszport. [Od razu zaczął rozważać sposoby zwiększenia rachunków za wydatki.] Podróż poza granice Niemiec podlegała zatwierdzeniu, ale nie przejmował się tym. Wiedział, że może tłumaczyć się brakiem czasu i Amerykanie

zapłacą rachunek. Zawsze płacili. Przede wszystkim niezadowoleni agenci stanowili zagrożenie dla bezpieczeństwa.

Tanzer miał nadzieję, że Stafford kupi bilet do Włoch. Miał przyjaciół w Rzymie i był w nastroju do ścigania, w wynajętym samochodzie Włoszek w krótkich spódniczkach, jeżdżących na skuterach. Zamiast tego, jego obiekt ustawił się do okienka połączenia wahadłowego z Berlinem. Samoloty odlatywały co godzinę, ale wszystkie miejsca na najbliższy lot, o godzinie jedenastej trzydzieści, były już wysprzedane. Stał w kolejce obok, dostatecznie blisko, aby słyszeć agenta wyjaśniającego sytuację i widzieć, jak Stafford kupuje bilet na lot o godzinie dwunastej) trzydzieści.

Ustawił się w kolejce, ale zanim kupił bilet dla siebie, jego obiekt zniknął. Obawiał się, że był to fortel, aby się uwolnić od niego, ale odnalazł Stafforda przy drzwiach wejściowych na pokład. Środki bezpieczeństwa w przypadku komunikacji z Berlinem, były szczególnie surowe. Tylko pasażerowie z biletami byli upoważnieni do przebywania w poczekalni, oddzielonej od reszty terminalu kuloodporną szybą. Cały bagaż był prześwietlany promieniami X oraz przeglądany. Wejście do poczekalni było starannie kontrolowane. Pracownik służby bezpieczeństwa sprawdził całe jego ciało elektromagnetycznym czujnikiem, zanim przepuścił go do poczekalni. Stafford już tam był, patrzył przez okno na samolot.

Pasażerowie lotu o godzinie jedenastej trzydzieści właśnie wchodzili na pokład. Większość z nich była businessmenami w błyszczących butach i kosztownych krawatach. Tanzer usiadł po drugiej stronie pomieszczenia, wyciągnął magazyn i przygotował się na godzinne oczekiwanie. Szkoda, że nie lecieli do Włoch. Pewnego razu, w basenie na wyspie, Capri uprawiał miłość z Włoszką, która wśliznęła się pod wodę, aby ssać jego członek. Uwielbiał włoskie kobiety.

Pasażerowie weszli już na pokład i urzędnik za biurkiem zwrócił się przez megafon do pasażerów z listy rezerwowej. Tanzer słuchał tylko jednym uchem.

„...Pasażerowie Stafford i Fuchs.”

Zaniepokojony Tanzer podniósł wzrok. Stafford i pół tuzina innych byli wpuszczani na pokład samolotu. Natychmiast zorientował się w tym, co zaszło: Stafford umieścił swoje nazwisko na liście rezerwowej w momencie, kiedy stanął przy wejściu na pokład. Klnąc cicho pod nosem, Tanzer odłożył gazetę i podbiegł do urzędnika sprzedającego bilety.

- Chwileczkę, czy znajdzie się jeszcze jedno miejsce?

- Samolot jest pełny, sir.

Ostatnia pasażerka, kobieta w średnim wieku z olbrzymią plastikową torbą na zakupy, stała u wejścia na pochylnię.

- Przepraszam panią, madame - krzyknął w jej kierunku. - Zapłacę dwa razy więcej za pani bilet.

Potrząsnęła głową, zaledwie obdarzywszy go spojrzeniem i szła dalej. Urzędnik zatrzasnął drzwi za jej plecami. Tanzer zgubił Stafforda.

Nie chciał jednak rezygnować z wyznaczonego zadania. Próba znalezienia miejsca na pokładzie innego samolotu zajęła mu kwadrans. Nawet zatelefonował do dwóch przedsiębiorstw czarterowych, wiedząc doskonale, że jego amerykański pracodawca nigdy nie zaaprobuje takiego wydatku, ale zebrał informacje mimo wszystko, aby zareprezentować swoją operatywność. Następnie zatelefonował pod wyznaczony numer i zostawił wiadomość. Przez następne dziesięć minut oczekiwał przy publicznym aparacie telefonicznym, zanim jego kontakt odtelefonował. Tak jak się spodziewał, zadanie zostało skreślone. Użyją kogoś z Berlina. Tanzer poszedł do baru, zamówił piwo i przez resztę dnia rozpamiętywał o swoim pechu.

Paul nie zdawał sobie sprawy, że jest obserwowany. Nie zauważył tego w Miami, ani na lotnisku we Frankfurcie. Zapisał się na listę rezerwową, korzystając z rady urzędnika linii lotniczych i to, że udało mu się dostać na lot o godzinie jedenastej trzydzieści, było sprawą czystego przypadku. Był zbyt zajęty analizowaniem różnic między Stanami Zjednoczonymi a Niemcami, aby zaprzętać sobie głowę tym, czy jest śledzony.

Stereotypowe wyobrażenia mają często źródło w faktach. Niemiecką skłonność do porządku i wydajność widać było zarówno we Frankfurcie, jak i na lotnisku Tegel w Berlinie. Nigdy nie było wątpliwości, co zrobić, czy dokąd się udać. Wszystko było dobrze rozplanowane i oznakowane. Piktogramy i strzałki kierowały do taksówek, toalet, posterunków policji, kantorów wymiany walut, autobusów, przechowalni bagażu. Wskazywały wszystko to, czego podróżny mógłby potrzebować i zawsze umieszczone były w najbardziej odpowiednim miejscu. Niemcy nie mogli się obyć bez dobrej organizacji. Właśnie na tę organizację liczył Paul, mając nadzieję, że pomoże mu odnaleźć Inge Heusner i jego nowo odkrytego brata. Szczególne nadzieje wiązał z Anmeldung.

Anmeldung jest niemieckim słowem określającym rejestrację na policji. Obywatele Wschodnich Niemiec byli zobowiązani meldować się w przeciągu trzydziestu dni po zmianie adresu, podając nazwisko, adres, datę podjęcia pracy i liczbę osób w miejscu zamieszkania. Anmeldung było punktem startowym w jego poszukiwaniach brata.

Pojechał taksówką do hotelu InterContinental, tuż obok Kurfiirsten-damm na Budapesterstrasse. Jak większość nowo wzniesionych budowli w Berlinie, reprezentacyjność hotelu została ograniczona do wystroju wnętrza. W hallu marmurowa posadzka była wyłożona wschodnimi dywanami, a ściany stanowiły ekran, na który padały, pod różnymi kątami, rozgwieżdżone promienie światła ze świetlików. Duży napis witał serdecznie uczestników Piątego Dorocznego Kongresu Technologii Medycznej. Na trawniku, na zewnątrz, ustawiono namiot cyrkowy, który służył jako miejsce ekspozycji.

Paul podszedł do stojącego przy wejściu biurka.

- Kiedy nadejdą tu słońce?

Posępny, łysiejący urzędnik, którego resztkę włosów była rozdzielona przedziałkiem tuż nad lewym uchem, patrzył na niego z pustym uśmiechem.

- Bitte?

- Namiot cyrkowy - Paul skinieniem głowy wskazał na zewnątrz - Kiedy nadejdą tu słońce? - Urzędnik obrócił się powoli, aby rzucić okiem.

- Dobra, zapomnij o tym - powiedział Paul. Mężczyzna gapił się na namiot. Zamrugał i wydał z siebie rechot] który urwał się tak nagle, jak i rozpoczął.

- Tak, dobrze, dobrze - pokiwał głową do Paula.

Kiedy wypełniał formularz, urzędnik spoglądał na namiot, nadymając wargi i kiwając głową z aprobatą. Paul zastanawiał się, jak wiedzie się w Berlinie komikom z nocnych klubów.

Wprowadziwszy się do pokoju, rozpakował swoją torbę podróżną mieszczącą różnorodny zestaw przedmiotów, których potrzebował do natychmiastowych wyjazdów: dwie koszule, jeden wełniany bezrękawnik, bluza od dresu z długimi rękawami, krawat, spodnie od dresu, krótkie spodenki, trzy komplety bielizny, tenisówki i puchowa kamizelka. Na sprzęt składało się: magnetofon miniaturowy Sony z tuzinem kaset, Ricoh FF-90 z sześcioma rolkami Kodaka o czułości 1000 ASA, trzy komplety baterii, dwa długopisy Parkera i kołnotatnik. Dodatkowo skórzana kosmetyczka, prezent od Joanny przywieziony z Etiopii. Nie wiedziała, że był zrobiony ze słoniowej skóry. Wciąż pamiętał widok łez w jej oczach, kiedy się o tym dowiedziała. Wrażliwość na abstrakcyjne nieszczęście była jedną z jej cech, którymi był oczarowany.

Odsunął od siebie myśli o przeszłości, zrzucił buty, ścisnął poduszki i usiadł na łóżku z książką telefoniczną w ręce. Krótka rozmowa z urzędem miejskim poinformowała go, że nie ma w Berlinie centralnej kartoteki; każdy posterunek policyjny prowadził własną ewidencję. Zbiory były dostępne tylko osobom upoważnionym, do których zaliczali się akredytowani

dziennikarze. Nie powinien mieć kłopotów ze sprawdzeniem wszystkich dwunastu dzielnic Zachodniego Berlina.

- A Pankow? - Paul zadał pytanie. W tej dzielnicy mieszkała jego matka w czasie, kiedy oddała Karla Indze Heusner pod opiekę.

- Pankow jest po wschodniej stronie - poinformowała go kobieta. - Będzie pan musiał uzgodnić z nimi ich procedury.

Omawianie sprawy ze Wschodnim Berlinem nie było takie proste. Musiał wykonać z pół tuzina telefonów, aby odkryć, że tylko zaufany personel ma dostęp do policyjnych kartotek. Było, co prawda, Biuro Osób Zaginionych, które mogłoby odszukać Frau Heusner, jeśli jeszcze żyła i jeśli Paul mógłby sobie pozwolić na czekanie przez parę lat, aż ją znajdą. A jeśli Paul chciałby pogrzebać w kartotekach osobiście? Tak... to niemożliwe. Mógł złożyć oficjalne podanie. Pewne formularze muszą być wypełnione, policja musi dokonać kontroli, zgoda odpowiednich czynników... to może zająć trochę czasu. To mogłoby zająć bardzo dużo czasu. Czy istnieje adres, na który Paul chciałby, aby formularze zostały przesłane?

To była gra w „tak, ale...”, którą każdy biurokrata był w stanie prowadzić. Paul był do niej przyzwyczajony. To dlatego przybył tutaj osobiście, a nie zadzwonił, czy napisał ze Stanów. Telefony i listy przychodzą frontowymi drzwiami, on szukał wejść tylnymi. Wydobył arkusz Heralda z kontaktami. Zatelefonował do Ray'a Tregerdemaina.

Ray był pismakiem pracującym poza Berlinem. Paul spotkał się z nim kilka lat wcześniej na uroczystości wręczenia nagród Washington Press Association. Matka Tregerdemaina umarła i on przyjechał do Stanów na pogrzeb. W powrotnej drodze zatrzymał się w Waszyngtonie, aby zobaczyć się ze starym przyjacielem. W jakiś sposób udało mu się zdobyć zaproszenie na uroczystość. Przeprowadził z Paulem długą rozmowę, biorąc go omyłkowo za redaktora działu zagranicznego, o nazwisku Stanford. Później Paul zobaczył go w biurze Herolda. Jego korespondencje zaczęły ukazywać się w części poświęconej Berlinowi - te, które nie były otrzymane wprost od AP, UPI czy Reutera.

Automatyczna sekretarka powitała go wprowadzeniem Johna Filipa Sous'y, a po nim nagrany głos Ray'a Tregerdemaina zaczął informować, że właśnie wyruszył w teren, ale że natychmiast, po powrocie, porozumie się z dzwoniącym. W połowie ogłoszenia zgłosił się inny głos.

- Tu Tregerdemain. Jestem przy telefonie. Proszę poczekać, a ja... Taśma wydała jęk i na linii zapadła cisza.

- Tak, tak? Halo?

- Ray Tregerdemain?

- Przy telefonie.

Paul przedstawił się, przypominając ich wcześniejsze spotkanie. Zabrało to Tregerdemainowi chwilę, ale kiedy sobie przypomniał, w jego głosie pojawił się entuzjazm i zaczął mówić po angielsku.

- Uroczystość wręczenia WPA - powtórzył. - Prawda, prawda. A ja myślałem, że jesteś... jakie jest jego nazwisko, tego drugiego faceta...

- Jerry Stanford.

- Stanford, no jasne. Hej, dobrze jest usłyszeć twój głos, Paul. Co się dzieje? Pracujesz nad historią o obwarowanym mieście, czy co?

Paul wyjaśnił krótko, że próbuje odnaleźć swojego brata, urodzonego pod nazwiskiem Karl Weiss, który zniknął w 1946 roku. Ray zdawał się być rozczarowany, że Herolda nie interesują sprawy Berlina, ale jego zainteresowanie wzrosło momentalnie, kiedy usłyszał, że Paul szuka brata bliźniaka.

- Szukam dojścia do archiwów policji we Wschodnim Berlinie - zakończył Paul. - Masz jakiś pomysł?

- Jasne. Mnóstwo zachodnioniemieckich marek.

- Ile i komu?

Nastąpiła chwila ciszy, a potem powolne: - Mówisz poważnie?

- Mówię poważnie o możliwym wyborze. Jeśli łapówki są jedyną drogą, powiedz mi coś na temat kwot. To nie znaczy, że mam takie pieniądze, aby to zorganizować - dodał czując, że Ray może być w równym stopniu dziennikarzem, jak i oportunistą.

- Dobra, Paul, co powiesz na to... robię akurat szesnaście rzeczy na raz. Pozwól, że cisnę tym wszystkim i spotkajmy się za godzinę w Journalisten-Club. Jak ci się to podoba? Daj mi szansę sprawdzenia, z czym mogę przyjść, dobra?

Umówili się na spotkanie. Ray podał Paulowi adres i wytłumaczył jak trafić do klubu. Paul wykonał dwa zagraniczne telefony: do redakcji, że będzie nieobecny do poniedziałku i do kompanii telefonicznej, do telefonicznej skrzynki informacyjnej, czy przypadkiem nie zatelefonowała Joanna. Nie zatelefonowała. Jedyne telefon był od Annie Helms. Chciała ustalić termin następnego seansu. Rozważył, czy się z nią porozumieć, ale zrezygnował z tego. Doszedł do wniosku, że lepiej nie mieszać do tego CIA. A przynajmniej do czasu odnalezienia Karla.

Hugh Roark miał nadzieję wypić kubek kawy i porozmawiać przez telefon, zanim przyjdzie mu spotkać się z Mauricem, ale młodszy mężczyzna zobaczył go na korytarzu i pobiął za nim w podskokach.

- Co słyszeć?

- Nic wielkiego.

- Wyśliznął się, prawda?

Przeszli obok urzędnika z archiwum. Hugh poczekał, aż znajdą się poza zasięgiem słuchu, zanim odpowiedział: - Agent tego nie wiedział. To mógł być przypadek.

- Przypadek? Jak to?

Obaj weszli do biura Hugh'a. Wciąż w powietrzu unosił się zapach niedawno położonych wykładzin. Hugh był wrażliwy na zapachy i denerwowało go, że w nowym budynku nie można otwierać okien.

- Chcesz kawy?

- Nie, dziękuję. Co się stało?

Udzielając wyjaśnień, Hugh otworzył szufladę, wyjął ręcznie robioną filiżankę w kształcie twarzy chińskiego diabła i nalał sobie kawy ze srebrnego termosu.

- Stafford wylądował we Frankfurcie i odleciał wahadłowym połączeniem PanAm do Berlina. Lot na jedenastą trzydzieści był wysprzedany, a więc kupił bilet na dwunastą trzydzieści. Agent zrobił to samo, ale najwyraźniej Stafford wpisał się równocześnie na listę rezerwową.

- Najwyraźniej?

- Nasz człowiek nie widział, jak to robił. Był z tyłu, w kolejce do kontroli bezpieczeństwa, podczas gdy Stafford do okienka z rezerwacjami.

- A co w Berlinie?

- Znasz Berlin. Frankfurt powiadomił ich, ale oni nie zaakceptują od ręki. W czasie, kiedy dostałem kanał od Langley'a, było za późno. Samolot wylądował. Maurice machnął ręką z dezaprobatą. - Uciekł nam, uciekł.

- Nie jestem pewny.

- Daj spokój, Hugh. Teraz, to on gra w „chińczyka” na Kremlu.

Hugh zdjął płaszcz i powiesił go na wieszaku. Uspokój się, miał ochotę powiedzieć. Nie rób z tego prywatnej sprawy. - Nie mamy dowodów - przypomniał partnerowi. - Jeśli chce przejść na drugą stronę, nie możemy go powstrzymać.

- To dlaczego w ogóle siedzieć mu na ogonie?

- Ponieważ nie sądzę, że on przejdzie na drugą stronę. Myślę, że szuka tej krewnej, o której opowiedział Helms. Ciotki, którą zapamiętał.

- To musi być zaraźliwe - powiedział Maurice. Hugh nie zwrócił uwagi na niego i pochylił się nad intercomem. - Gayle? Muszę się zobaczyć z Annie Helms z medycznego.

- Oboje jesteście chorzy na tę samą dolegliwość - nie ustępował Maurice.

- Co masz na myśli? - zapytał Hugh, wiedząc co nastąpi.

- Łatwowierność.

- A co ty byś uczynił?

- Aresztował go, zmęczył go, skaptowałbym go na naszą stronę. A jeśli to by nic nie dało...

Maurice wzruszył ramionami. - Nie byłby wielkim zagrożeniem z wózka inwalidzkiego.

- Może powinieneś wstąpić do zielonych beretów.

- Albo KGB, jak nasz chłoptaş Stafford.

- To nie on mordował - powiedział Hugh.

- W takim razie wie kto to jest.

- Jeszcze nie.

- To dlaczego...

- Aby znaleźć mordercę - przerwał mu Hugh. - To dlatego pojechał do Niemiec. I dlatego idziemy za nim.

- Aby ostrzec mordercę.

- Myślę, że nie.

Maurice otworzył usta, aby i ten punkt przedyskutować, ale wyraz twarzy Hugh'a spowodował, że zmienił zamiar. Wzruszył ramionami. - Dobra. To twoja sprawa.

O to właśnie chodzi, myślał Hugh czekając na Annie Helms. To moja sprawa. I ja ryzykuję tyłkiem, jeśli popełniłem błąd.

Rozdział 11

Paul miał nieco wolnego czasu przed spotkaniem z Ray'em Tregerde-mainem. Zamiast siedzieć w pokoju hotelowym, wyszedł na'przechadzkę. Opuścił zatłoczoną Budapesterstrasse i spacerował sąsiednimi, mniejszymi uliczkami, gdzie zachowało się więcej przykładów przedwojennej zabudowy, szerokich kamienic czynszowych, wyłożonych piaskowcem i chodników wybrukowanych kocimi łbami. Tutaj, po raz pierwszy, uderzyło go nieuchwytnie uczucie rodzimości.

Po piętnastu minutach bezcelowej wędrówki zawrócił. W drodze powrotnej przeszedł dzielnicę drogich restauracji, modnych nocnych klubów i jaskrawo oświetlonych kasyn. Nazwa jednego z nocnych klubów, stojącego z boku kasyna, brzmiała „Wyoming”. Neonowy

szylid przyciągnął jego uwagę. Neon był w kolorze purpury. Przedstawiał rozbrykanego mustanga, w dwóch pozach, podświetlanych na zmianę. Gdy przyglądał się szyldowi, Paula znów uderzyło uczucie czegoś znajomego. Widział przedtem ten znak, albo bardzo do niego podobny. Kusilo go, aby zajrzeć do środka, ale robiło się późno, więc zapamiętał sobie to miejsce, aby ewentualnie do niego w przyszłości powrócić.

Uczucie czegoś znajomego oddaliło się, gdy ponownie znalazł się na tłumnym Breitscheidplatz, gdzie niczym niewyróżniające się betonowe budynki usadowiły się, jak pokątni handlarze, na ulicach, których historia sięgała pięćset lat wstecz. Nieliczne, ocalałe przedwojenne budynki wyrastały obok otynkowanych ścian, które zajęły miejsce ich sąsiadów, zburzonych podczas wojny. To było miasto architektonicznych absurdów. Nie było więc niespodzianką, że Jourjialisten-Club został zlokalizowany ponad Burger King.

Paul wpisał się do rejestru gości i usiadł, oczekując na Ray'a. Miejsce przypominało prywatny klub dla mężczyzn. Było podzielone na dwie części. Jedna część służyła za salę klubową, a w drugiej umieszczono restaurację, w której obsługa składała się z młodych kelnerów. W przyszłości chcieli oni prawdopodobnie zostać dziennikarzami. Dwa małżeństwa zasiadły do wczesnej kolacji. Większy ruch panował jednak w sali klubowej, gdzie grupki mężczyzn i kobiet prowadziły konwersację, pochylając się do siebie nawzajem, wywijając papierosami w powietrzu i dziobiąc nerwowo orzeszki ziemne albo ziemniaczane chipsy.

Ray Tregerdemain ukazał się dziesięć minut później. Był cięższy, niż go Paul pamiętał. Wyglądał tak, jakby przybrał na wadze dopiero ostatnio. Jego płaszcz i koszula były ciasne, sprawiały wrażenie, jakby mu zostały z czasów, kiedy ważył mniej. Oddychał ciężko i rozglądał się z troską na twarzy. Kiedy zobaczył Paula, rozluźnił się.

- Hej, tutaj jesteś - zawołał głosem, który rozległ się w całym pomieszczeniu. - Dawno nie widzieliśmy się.

Ray przeciskał się przez tłum z gracją, o którą Paul nigdy by go nie podejrzewał, zważywszy na wagę tamtego.

- Nie chciałem, abyś na mnie czekał - powiedział, kiedy wymienili uścisk dłoni - ale zadzwonił telefon, potem musiałem załatwić jedną sprawę, potem następną...

Usiadł ociężale. Wysilek, jaki włożył w pokonanie jednego piętra po schodach, spowodował, że czoło lśniło mu kropelkami potu. Głośno przywołał kelnera i, rzuciwszy okiem na to, co Paul miał w szklance, zamówił szkocką whisky z wodą.

- Zrób podwójną - zawołał w ślad za kelnerem i obdarzył Paula konspiracyjnym uśmiechem. - Potrzebujesz dostać kopniaka w tyłek, żebyś traktował to miejsce poważnie.

Wszyscy prawdziwi opoje wyłazą wieczorem. Tam siedzi Alex Sandor, ale nie jego żona. „Współpracowniczka w interesach.” - Ray komentował na bieżąco do czasu, aż nadszedł jego alkohol. Wtedy całą uwagę poświęcił Paulowi i podniósł szklankę. - Jak mówią amerykańscy chłopcy z piechoty, Gut Kopf.

Wlał w siebie drinka i postawił pustą szklankę. Przebiegł go dreszcz, westchnął z zadowolenia. Ciepły uśmiech Ray'a ginął przy przekrwionych oczach, otoczonych fałdami skóry, pomarszczonej jak u obiecującego bloodhonda. Moczymorda, pomyślał Paul. Zastanawiał się, na ile Ray może okazać się pomocny.

Zdając sobie sprawę z oceny Paula, Ray uśmiechnął się nieśmiało. - Dziennikarski lunch - powiedział, wskazując drinka.

Paul skinął głową.

- Co z Anmeldung! Masz jakiś pomysł?

- Jeden czy dwa. - Ray wyjął poplamioną chusteczkę do nosa i wytarł nią czoło, zgarbił się wypychając ją z powrotem do kieszeni. - Na wstępie pozwól, że się upewnię, czy wszystko dobrze zrozumiałem. Szukasz swojego brata, to znaczy bliźniaka, który zaginął w lutym czterdziestego szóstego roku wraz z jakąś opiekującą się nim kobietą. Nazywał się Karl, Karl... nie, nie mów mi. Mam swój system. - Zmrużył oczy z wysiłkiem. - Weiss! Karl Weiss. Spójrzmy dalej, zaginiony w czterdziestym szóstym razem z opiekunką w podeszłym wieku, nazwiskiem Inge Heusner! Nazwa dzielnicy, w której zniknęli to Pankow! Czy tak?

- Jak znajdzie dojdzie, Ray?

Uwaga Ray'a skupiła się na wchodzącym, szpakowatym mężczyźnie, kierującym się do sali restauracyjnej. Ray zerwał się na równe nogi.

- Herr Fricke - zawołał - Griiss Gon. To jest Paul Stafford z waszyngtońskiego Herolda. Ten, który parę lat temu dostał nagrodę Pulitzera.

- Ach - Herr Fricke obrócił się z uprzejmym uśmiechem.

- Paul, Herman Fricke, wydawca Berliner Zeitschrifte. Paul wstał i uścisnął rękę. Było oczywistym, że Herr Fricke był mało zainteresowany poznaniem go, podobnie jak i jemu na tym nie zależało.

- Paul pracuje nad pewnym Kriegserleidnis o powojennych uchodźcach, a ja robię, co mogę, by pomóc mu trafić do źródeł.

- Obecnie - powiedział Paul - piszę o odradzaniu się ruchu nazistowskiego w Berlinie. Uśmiech Fricka zamarł.

- To nie są bynajmniej grupy, które mogą być traktowane na serio przez poważnych ludzi. Pan wybaczy... - Ruszył do sali restauracyjnej. Ray zrobił pół kroku za nim. - On

żartował - zawołał. Herr Fricke zdawał się nie słyszeć. Ray obrócił się do Paula. - Zwariowałeś? Zrujnujesz moją reputację u tych ludzi.

- A została ci jakaś jeszcze, Ray?

Ray sapnął. Zamrugał, jakby ktoś chlustnął mu lodowatą wodą w twarz. Przez chwilę Paul myślał, że to go rozłości. Potem popatrzył się z wahaniem i odwrócił wzrok. - W porządku - wymruczał. - Nic się nie stało.

Ray siadł i sięgnął po swojego drinka. Szklanka była pusta, lecz podniósł ją odruchowo do ust. Po chwili odezwał się: - Czy to się rzuca w oczy?

- To, co się rzuca w oczy to to, że wykorzystujesz moją reputację. Być i być widzianym w Journalisten-Club, w tym rzecz?

- Nikomu nie oszczędzasz ciosów, prawda?

- Co to jest, Ray? Praca czy alkohol?

Ray skrzywił się. - Nie jestem śmieciem, Paul. Jeszcze nie teraz, w każdym razie.

- A więc, w czym problem?

- Nie ma problemów, w tym kłopot. Nikt nie jest zainteresowany Berlinem, nikt nie zajmuje się Murem, sprawa jest martwa. Oh, oczywiście, czasami jakiś tam demonstrant podejdzie do Muru i go obsika, a Grenzpolizei skopie go za „Bóg zapłać”, lecz zawsze potem jest to tylko warte jednej kolumny w Berlinie. Reszta świata ma własne problemy. W tym samym czasie Wschód zajęty jest przekształcaniem siebie w komunistyczny Disneyland, dający się wymienić na dolary turystów. Ostatniego lata sprawa wyglądała rzeczywiście kiepsko, pracowałem dla Theissen Tourist Agency, zabierając wyładowane turystami autobusy pod Mur i recytując dane ze statystyki, ilu ludzi zginęło. Szybko znudziłem się i zacząłem zmyślać. Dziesięciu ludzi zginęło przy przekraczaniu w tym miejscu Muru. Dwudziestu ludzi zginęło. Rodzina z trójką dzieci. Następnym razem było sześcioro dzieci i pies. Najmłodsza dziewczynka wróciła po psa i ją zastrzelili. Mała dziewczynka o imieniu Heidi. To był przebój! Na następny dzień, w tym samym miejscu spotkałem małżeństwo-z poprzedniego dnia. Składali kwiaty czcząc pamięć Heidi. - Ray potrząsnął głową. - Dzień później zwolniłem się z pracy. Nie mogłem tego znieść.

Pojawił się nagle kelner, zebrał ich szklanki i zapytał, czy nie chcą jeszcze po jednym. Gdy Paul odmówił, Ray obrzucił go zatroskanym spojrzeniem.

- Jesteś pewny, że to nie idzie na rachunek kosztów?

- To osobista sprawa.

Ray odwrócił się do kelnera: - Zrób pojedynczego. - Kiedy kelner odszedł, Paul powiedział: - Czy możesz coś dla mnie zrobić, Ray? Bo jeśli nie...

- Okay, okay, jest kilka sposobów. Po pierwsze, jako akredytowany dziennikarz możesz pracować nad Kriegserleidnis.

To tutaj jest bardzo powszechne. Jakiś poważany Niemiec uratował czyjegoś żydowskiego ojca czy matkę, a teraz oni próbują odnaleźć swojego wybawcę, by mu podziękować. Nawet Wschodni Niemcy zawsze będą współpracować w sprawach takich, jak ta - dopóki nie będzie to miało zabarwienia antykomunistycznego. Tak więc, w twoim przypadku uczynimy z Inge Heusner bohaterską antyfaszystkę, która uratowała jakiegoś biednego komunistę przed nazistami; jakiegoś dużego chłopca w workowatym ubraniu, powiedzmy Waltera Ulbrichta, pierwszego lidera Niemiec Wschodnich i bohatera Berlińskiego Muru i tak dalej...

Paul potrząsnął głową. - Podobna historia nie przejdzie, jeśli przeprowadzą dochodzenie. Poza tym, zakładam, że zmieniła nazwisko, gdy się przeniosła.

- Zmieniła nazwisko? Dlaczego?

Paul wyjął swój portfel i rozprostował złożony skrawek gazety, który dała mu matka.

- Była wplątana w morderstwo. To był powód jej zniknięcia. Podał wycinek Rayowi, który czytał z rosnącym zainteresowaniem.

- Nawet lepsze to niż Kriegserleidnis. Z wyjątkiem tego, że nie ma tu mowy o twoim bracie. Skąd wiesz, że był z nią?

- Moja matka zostawiła go z nią.

- Wspaniale, skąd wiesz więc, że nie był jednym z tych ludzkich hamburgerów? Wybacz moją dosadność.

Paul nie chciał rozmawiać o sennych koszmarach czy morderstwach, a zwłaszcza z Ray'em Tregerdemainem.

- Nie wiem - odpowiedział. - Jednak rejestry Anmeldung powinny nam to powiedzieć.

- Nie, jeśli Inge Heusner stała się Kathy Nicekraut. Nie było to wtedy takie trudne. Jedyne co musiałyby zrobić to pójść do obozu dla uchodźców i powiedzieć: „Cześć, jestem Kathy Nicekraut, jedna z zaprzyjaźnionego Deutschvolk, dostałam kopa od Polaków. Szłam przez parę miesięcy i zgubiłam moje dokumenty, tak mi przykro...”

- Inge Nicekraut - poprawił Paul.

- Dlaczego Inge!

- Zakładam, że zatrzymała swoje imię, a zmieniła wszystko pozostałe.

- Skąd to wiesz?

Paul wzruszył ramionami. - Ktoś kiedyś mi powiedział, że ludziom łatwiej jest nie zapomnieć, kto do nich mówi, gdy zatrzymają swoje imię. - Istotnie, powiedział mu to pewien podrzędny gangster, który był jego źródłem informacji do jednego z jego artykułów.

Przyniesiono drinka i Ray zatroszczył się o niego, zakładając, że być może będzie to już ostatni, wypity na rachunek Paula. Za ich plecami niektóre grupki przesuwały się do części restauracyjnej klubu, a na zewnątrz zaczęły mrugać z ożywieniem lampy uliczne.

- Pytanie - odezwał się Ray. - Jak, do diabła, chcesz wytropić małą miss Inge, jeżeli zmieniła imię?

- No cóż, wiem, kiedy zniknęła - Paul dotknął wycinka. - Pomijając sprawę imienia, trzeba przeglądać wszystkie rejestry, obejmujące tydzień z dziewiątym lutego, w poszukiwaniu kobiety trzydziestopięcio - czterdziestoletniej z dzieckiem w wieku od roku do dwóch lat.

- Od roku do dwóch lat? Chłopak urodził się tego samego dnia, co ty, nieprawdaż? Powiedziałeś, że jesteście bliźniakami.

- Mogła zmienić datę urodzin.

- Mogła zmienić wiele rzeczy. Skąd wiesz, że nie wyniosła się do Drezna czy Lipska? Co powoduje tą pewność, że została w Berlinie?

- Logicznie rzecz biorąc, od tego miejsca trzeba zacząć.

Ray smutno pokiwał głową. - Powinienem zamówić podwójnego. Nie masz nic, wiesz o tym? Mogła czy nie mogła opuścić Berlin, mogła czy nie mogła wziąć twojego brata z sobą; prawdopodobnie zmieniła tylko nazwisko lub też i imię i nazwisko, a także imię twojego brata; mogła wprowadzić się do przyjaciela lub latami spać na ulicy...

- Nie potrzebuję, byś przedstawiał mi różne możliwości. Potrzebuję pomocy. Zaczynamy więc z tym, co mamy... Tydzień obejmujący dziewiątego lutego, kobieta w wieku trzydziestu pięciu, czterdziestu lat, z dzieckiem pomiędzy pierwszym a drugim rokiem życia.

Ray skurczył się na chwilę, jak żółw chowający się do swojej skorupy. - Może jeszcze jedną rundkę?

- Czy mogę otrzymać od ciebie odpowiedź?

- Ray Tregerdemain zna więcej sztuczek niż ci kawiarniani politycy. Mam kogoś na Uniwersytecie Humboldta. Tyle że, tak trudno mówić, gdy w moich ustach tak sucho.

Paul kiwnął na kelnera i zamówił następną kolejkę. - W porządku, co z tym Uniwersytetem Humboldta? To we wschodniej części, tak?

- Jak mówił Adolf, „Przeznaczenie ojczyzny leży na Wschodzie”...

- Humboldt, Ray?

- Oczywiście, we wschodniej części. Uniwersytet ma świetną opinię. Nie jest już tak elitarną szkołą, jak w latach dwudziestych, ale wciąż stoi na wysokim poziomie. Ma znakomitych profesorów. Jeden z nich to mój kumpel Julius Schiller. Julius należy do tych ludzi, którzy wierzą, że kluczem do wielkiego, szczęśliwego świata jest porozumienie. Kiedyś przyjechał z wykładem „Dziennikarstwo na Zachodzie czyli jak etyka zajmuje tylne miejsca, za rozrywką”. Dałem im wszystkim się wykrzyścić, a później poszliśmy do miejscowej knajpy i spieraliśmy się nad piwem. To interesujące w krajach komunistycznych... słowo pisane odgrywa Bóg wie jaką rolę. Maszyna do pisania jest bronią, a słowa pociskami.

- No więc - przerwał Paul - w jaki sposób ten twój profesor pomoże nam dotrzeć do rejestrów meldunkowych?

- Nie nam, sobie. Pozwolimy mu to zrobić. Julius szczęśliwie ma brata w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. To jeden z tych prawdziwych komunistów, którzy pomagali wznieść Mur Berliński. Ciągłe jeszcze ma cement pod paznokciami. W każdym razie, jest grubą rybą i to ułatwia Juliusowi życie.

Jest przydatny w takich sprawach, jak ta - nie polityka, jedynie sprawdzenie faktów w dobrym, starym stylu, poszukiwanie i przecięcie czerwonej taśmy. Mr. Julius Schiller, brat towarzysza Rolfa Schillera, odznaczony Orderem Stalina i tak dalej. Tak, proszę pana, schodami na prawo; proszę wziąć, jaki pan chce rejestr meldunkowy; jeżeli tak panu wygodnie, proszę zabrać go do domu i proszę nie zapomnieć przekazać ode mnie „cześć” pańskiemu bratu. - Ray chichotał, krztusił się. - To leży w ludzkiej naturze. Można wznieść mur wokół całego miasta, ale nie można odseparować ludzkiej natury.

Paul gotów był zapłacić za wyświadczenie przysługi. Wiedział z doświadczenia, jak wiele można stracić czasu na poszukiwaniu rejestrów.

- W porządku - powiedział. - Jak go mogę spotkać?

- Ty? Spotkać się z nim? - Ray wyglądał na zaskoczonego.

- Nie chcę pośredników, Ray, ale zapłacę ci za poszukiwania, jeżeli on wykona zadanie. Będę potrzebował pomocy także po tej stronie Muru. Tutaj jest dwanaście dzielnic, a wydaje mi się, że mogła równie łatwo poruszać się także w części zachodniej. Mogę więc skorzystać z usług szperacza, jeżeli chcesz tą robotę-

- Nie wiem, pozwól, że zastanowię się nad moim harmonogramem. - Rozluźnił kołnierzyk koszuli i popatrzył w dół na swój brzuch. - Nie, nie jestem zbyt zajęty w przyszłym tygodniu.

Paul uśmiechnął się pod nosem. Ray Tregerdemain nie był może Wo-odwardem czy Bernsteinem, ale Paul nie mógł się oprzeć uczuciu sympatii do niego. Ustalili, że Ray

porozumie się z Julusem Schillerem i zadzwoni do Paula do hotelu następnego dnia po południu. W międzyczasie Paul chciał zrobić listę dzielnic Berlina Zachodniego, dzieląc je na te, którymi miał zająć się sam i te, z którymi mógł dać sobie radę Ray.

- Wiesz, z tego może powstać niezły Kriegserleidnis - mówił Ray, gdy opuszczali klub. - Bracia rozdzieleni przez wojnę, łączą się na nowo i tak dalej.

- Nie, Ray. Nie myśl nawet o tym.

- To zależy od ciebie, ale nie cierpię, gdy dobra historia się marnuje...

Noc zmieniła charakter Kurfiirstendamm, głównej ulicy, którą Berliń-czyicy zwyczajowo nazywali Ku 'damm. Szklane okna wystawowe, będące dominującym akcentem ulicy, przestały być centrum uwagi kupujących, lecz stały się oświetlonymi wyspami, na tle których widać było przechodniów.

- Dziwki - powiedział Ray. - Każda z nich ma tutaj własne miejsce, Kiedyś widziałem bójkę, gdy jakiś nowy kociak zajął drugiej miejsce. To lepsze od zawodowego wrestlingu, wierz mi.

W trakcie przechadzki Ray komentował na bieżąco to, co widzieli. Szedł na spotkanie z przyjacielem przy „Europa Center”, które leżało po drodze do hotelu InterContinental. Wypity alkohol zwiększył jego naturalną energię życiową, więc szedł zwawo, kiwając głową w przód i w tył, rzucając spojrzeniami tu i tam. Optyczny snajper strzelający na chybił - trafił.

Przed oświetlonym, łukowatym wejściem Ray zawahał się, a potem spytał, czy chce wejść.

- Nie, dziękuję - powiedział Paul. - Chcę wsadzić tam głowę. Ray skierował swój wzrok na „Wyoming”, gdzie neonowy koń wierzgał kopytami.

- Wsadzisz więcej niż głowę, jeżeli tam wejdiesz.

Piskliwy śmiech zagłuszył jego słowa. Z kasyna wynurzyły się dwie pary; żartując i potykając się jeden o drugiego, czekali na swój samochód. Mężczyźni wyglądali na businessmanów, a kobiety, co rzucało się w oczy, na zwykłe towarzystwo na wieczór.

- Oni nazywają go die Schlangel - powiedział młodszy z mężczyzn;

Dziewczęta zachichotały.

Paul zaczął zbliżać się do „Wyoming”, lecz Ray przytrzymał go za ramię.

- Jeszcze jedno - rzucił. - Co z małą zaliczką na poczet poszukiwań? Przysyłają mi parę czeków, ale nigdy nic nie wiadomo. Wiesz, poczta i nie tylko. Powiedzmy, pięćdziesiąt marek. Co ty na to?

Światła reflektorów przesunęły się po nich, gdy długa, biała limuzyna wjechała na podjazd. Paul i Ray odsunęli się na bok, by zrobić miejsce.

- Odliczę je od rachunku za poszukiwania - powiedział mu Paul.

- Świetnie, wspaniale. Jesteś wybawcą, stary.

Dając pieniądze, Paul zdał sobie niejasno sprawę, że odgłosy zabawy zamarły. Dopiero, gdy Ray odezwał się „Hello, kochanie”, odwrócił się i zobaczył jedną z kobiet, w jedwabnej mini spódniczce, zbliżającą się do nich. Patrzyła na Paula, zawzięta i skupiona.

- Hej, Kristy - zawołał starszy z mężczyzn.

Paul spostrzegł, że tylne drzwi limuzyny były otwarte, a druga para spogląda z lekkim zaskoczeniem. Z drugiej strony zobaczył starszego mężczyznę, którego surowe oblicze odbijało się w błyszczącej powierzchni dachu samochodu, iskrzącego się w świetle tuzinów lampionów, wiszących pod markizą. Dopiero w ostatnim momencie dostrzegł, że twarz dziewczyny zmieniła się w maskę furii.

A potem uderzyła go w twarz.

Rozdział 12

Paul Stafford zrobił krok w tył i podniósł rękę w samoobronie. Dziewczyna, Kristy, podążyła za nim machając rękami jak cepem z taką furją> że jeden z jej ciosów wytrącił pieniądze z jego ręki. Ray, który właśnie złapał za jej rękę, puścił ją i pobiegł za banknotami.

- Zboczony bękart - wrzeszczała Kristy. - Nie traktuje się ludzi w ten sposób. Przeklęty, brudny zboczeniec...

Była tak wściekła, że Paul przeżył ciężkie chwile, próbując ją uchwycić przynajmniej za jeden nadgarstek. W międzyczasie nadbiegł portier. Był ubrany we frak w kolorze kasztanowym, na głowie miał odpowiednią w kolorze czapkę, która spadła na ziemię, kiedy złapał dziewczynę od tyłu. Walczyła z jego uchwytem, odgiął się więc do tyłu i podniósł ją do góry. W tym momencie wola walki ją opuściła. Szlochając, zawisła bezwładnie.

Portier był zaniepokojony stanem Paula. - Czy dobrze się pan czuje, sir? _ Część twarzy była niewidoczna, ukryta pod czarnymi włosami dziewczyny.

Paul kiwnął głową. Dźwięczało mu w lewym uchu, szyja piekła w miejscu, gdzie dziewczyna go podrapała paznokciami, ale pod innymi względami wszystko było w porządku.

- Nic mi nie jest - powiedział, poprawiając kurtkę. Portier opuścił dziewczynę na chodnik i wziął ją za rękę. - Pozwólmy, aby policja zajęła się tobą, Miss Crazy. - Podniósł czapkę i zaprowadził dziewczynę z powrotem do kasyna. Biała limuzyna zniknęła. Jej

pasażerowie nie mieli ochoty być wmieszani w jakiegokolwiek kłopoty. Nawet towarzysz dziewczyny pozostawił ją na łasce losu.

- Poczekaj chwilę - powiedział Paul. - To nic poważnego. Dlaczego nie pozwolimy jej odejść?

- Na pana miejscu złożyłbym skargę. - Portier miał szeroką, płaską twarz chłopa. Mówił z moralnym przeświadczeniem pastora. - Nie był pan z tą kobietą. Mogę to poświadczyć.

- Nie. W porządku. Chcę tylko z nią porozmawiać.

- Gównu - powiedziała dziewczyna. Przestała płakać i piorunowała Paula spojrzeniem. Portier zwrócił się do niej, ujął ją za ramiona i mocno nią potrząsnął. - Chcesz się spotkać z policją?

- Mam to gdzieś.

- Pozwól jej odejść - powiedział Paul.

Puścił ją z ociąganiem, ale przestrzegł, by nigdy więcej tu nie wracała, wstęp był dla niej wzbroniony unerwünscht.

Gdy tylko poczuła się wolna, wygładziła sukienkę, obserwując uważnie Paula. Nadszedł Ray z garścią banknotów. - Ile tego było?

- Nie wiem. - Dziewczyna zaczęła się oddalać. Paul podążył za nią. - Poczekaj, do diabła, chcę z tobą porozmawiać...

- Odejdź, jestem legalną obywatelką Berlina, nie dotykaj mnie. Odwróciła się i poszła w kierunku Ku'damm. Paul i Ray dogonili ją.

- Myślisz, że mnie znasz? Prawda? - Nie zwracała na niego uwagi i przyśpieszyła kroku.

- Muszę z tobą porozmawiać.

Zwróciła do niego twarz. - Zostaw mnie w spokoju. Teraz jestem tutaj legalnie.

- Mylisz mnie z kimś innym - powiedział powoli Paul. - Chcę wiedzieć z kim. Chcę wiedzieć, gdzie i kiedy spotkałaś się z nim.

- To byłeś ty.

Ray zrobił krok naprzód. Odezwał się pojednawczym tonem: - Powiedz mi, złotko. Powiedz mi, co on takiego zrobił.

- Po co? - zapytała z rozgoryczeniem. - Też na pewno jesteś zboczony.

Paul pokazał jej pięć banknotów. - Pięćdziesiąt marek za to, że powiesz mnie - albo jemu - co się stało.

- Nie chcesz jej chyba dać moich pięćdziesięciu dolarów - odezwał się szeptem Ray.

Dziewczyna zmusiła ich, aby poszli z nią na Breitscheidplatz. Miejsce było jasno oświetlone przez ekipę filmową. Kręcili właśnie film reklamowy w ulicznej kawiarni. Grube czarne kable wiły się od stacji generatorów na ciężarówce, do miejsca otoczonego przez tłum gapiów, których sylwetki stopiły się ze sobą w jedną masę. Po drugiej stronie placu, błękitne witraże na wieży z kurantami cesarza Wilhelma jarzyły się na tle nocnego nieba. Na dachach otaczających domów umieszczone były, zrobione z wysokich neonowych liter, nazwy przedsiębiorstw gęsto przetykane ich błyszczącymi symbolami graficznymi.

Dziewczyna zatrzymała się przy fontannie, gdzie kaskady wody spadały z marmurowej kopuły ponad rzeźbami obejmujących się postaci. Przysiadła na niskim murku, który otaczał fontannę, zapaliła papierosa i wyrzuciła zapalniczkę do wody. Kiedy zaczęła mówić, zwracała się raczej do Ray'a niż do Paula. Słuchając jej, Paulem targały sprzeczne uczucia. Czuł podniecenie, że wreszcie udało mu się znaleźć konkretny dowód istnienia Karla i obrzydzenie do tego, co uczynił.

Dziewczyna została przywieziona dwa lata temu z Tajlandii do domu publicznego. Przyjechała wraz z piętnastoma innymi. Wszystkie były Azjatkami. Pracowały przez trzy miesiące i wracały do domu. Na dzień przed odjazdem powiedziano im, że przyjeżdża bardzo ważna osoba mężczyzna o specyficznych upodobaniach. Nie lubił makijażu, wysokich obcasów, czy podniecającej bielizny. Miały stanąć przed nim Czyste i świeże, jak uczennice.

Większość dziewcząt była zaciekawiona. Wszystkie miały nadzieję, że bardzo ważna osobistość, bogacz, upodoba sobie którąś z nich, robiąc z niej stałą kochankę. Nazywały to „stać się osobą prywatną”. Były nawet plotki, że pewnym kobietom z Azji to się udało. Dostały mieszkanie i pozwolenie na stały pobyt. Zapanowało więc ogólne podniecenie w dniu, w którym oczekiwana persona miała przyjechać. Oczywiście niektóre z nich czuły się nagie bez makijażu i próbowały przemycić odrobinę pudru czy błyszczek na ustach. Ale Madame Tran, kobieta odpowiedzialna za dom, miała bystre oczy i zmusiła je wszystkie do umycia się. Miało nie być makijażu.

- I wtedy przyszedł on - powiedziała dziewczyna, wskazując palcem na Paula. - Nikt nie wie jaką urazę ma w sercu. Wszystkie uśmiechamy się do niego. Przygląda się każdej z nas bardzo dokładnie aż wybiera mnie. „Ale masz szczęście”, powiedziała moja przyjaciółka Lani, kiedy pokazał na mnie. Ale nie mam takiego szczęścia, bo zranił mnie lewatywą. Powiedziałam „nie”, bo nie lubię takich preferencji. Powiedziałam mu, że niektóre dziewczyny się godzą, na takie rzeczy. Powinien je sobie wybrać, ale on nie słuchał. Zamiast tego związał moje ręce i nogi. Potem była gorąca woda. Ranił mnie. - Obróciła się pokazując na Paula. - On to zrobił. Ty wiesz, że to zrobiłeś...

Paul poczuł, jak się zamyka w sobie, próbując się odseparować tak jak to robił, kiedy był na polu walki. Tylko w ten sposób mógł słuchać tej historii, która wywoływała wspomnienia jego snów, czy cokolwiek to było.

- Gdzie to się stało? - zapytał spokojnie.

- Wiesz cholernie dobrze, gdzie to się stało.

- Proszę, powiedz mi mimo wszystko.

- W Vanilla Rosę Club, ty zbrojeńcu...

- Aha - powiedział Ray. - Vanilla Rosę.

- Znasz to miejsce?

- Specjalny burdel zaopatrywany przez paru byłych wojskowych. Kierowany przez faceta imieniem Otto Wenzler. Bardzo dekadentki i bardzo kosztowny. Twój brat musi mieszkać na Zachodzie. Przybysze ze Wschodu mogą wywieźć tylko piętnaście marek wschodnioniemieckich. Nie wystarczyłoby nawet na zakup chrzczonej Coca Coli w miejscu takim, jak Vanilla Rosę.

W czasie ich rozmowy dziewczyna była zajęta swoją fryzurą, szczotkując ją szybkimi, wprawnymi ruchami za pomocą połączanej, różowej szczotki. Na koniec wpakowała szczotkę do torebki i zażądała obiecanych jej pięćdziesięciu marek. Jej oczy zaczęły już badać plac, w poszukiwaniu następnego klienta. Paul zadał jej więcej pytań na temat Karla - na temat siebie z punktu widzenia dziewczyny - ale nic więcej nie wiedziała. Wręczył jej pieniądze i niespodziewanie zrobił jej zdjęcie swoim Ricohem - zaskoczyło ją to i ściągnęło na jego głowę potok obscenicznych, rzuconych na odchodnym przez ramię, obelg.

Paul wpatrywał się w ślad za nią. - Nigdy by nie uwierzyła, że to nie byłem ja - powiedział.

- Jesteś pewny, że nigdy nie byłeś w Berlinie? - zapytał Ray tonem żartobliwego powątpiewania. Paul spojrzał na niego ponuro.

- Żartuję, żartuję - Ray szybko naprawił błąd.

Paul zawrócił tą samą drogą, którą przyszli. Ray pośpieszył za nim. Szli w milczeniu. Pierwszy odezwał się Paul: - Vanilla Rosę. Powiedz coś na jej temat.

- Coś w rodzaju międzynarodowego konsorcjum - wyjaśnił Ray, j zadowolony, że może rozmawiać na neutralny temat. - Byli wojskowi załatwiają kobiety w Azji; głównie Tajlandia, Wietnam, Filipiny i przywożą je tutaj samolotami, Interflugu, oszczędzając sześćdziesiąt procent na transporcie w stosunku do ceny Pan Am.

- Interflug? Przyjeżdżają przez Wschód?

- Zgadza się. To tam przybywa Otto Wenzler. Ma kontakty na Wschodzie i na Zachodzie. Prawdziwy berliński bóg - wie wszystko, słyszy wszystko, widzi wszystko. Prawdziwy ulicznik, wychowany w bandach z ruin, ale nigdy byś tego nie powiedział. Bardzo pretensjonalny, zaangażowany w pracę społeczną - teatr, opera, filharmonia. Taki Jasiu we fraku, ale jeśli się mu bliżej przyjrzeć, wyłazi z niego majordomus domów publicznych. W tym wypadku z młodzietkami dziewczętami. Dzieci, wyglądające jak małe, kochane córeczki tatusia - żadna nie jest wyższa niż pięć stóp, prawie bez piersi, wyglądające na nie więcej niż trzynaście lat. Ale według paszportów mają lat szesnaście. A ich oczy zdradzają trzydzieści. Czego by nie powiedzieć, wszystkie są profesjonalistkami i podobno ochotniczkami. W trzy miesiące robią więcej pieniędzy tutaj, niż przez trzy lata we własnym kraju. Nikt się więc nie skarży. Dzieci są szczęśliwe, ojcowie są szczęśliwi, a Otto Wenzler jest bardzo bogaty.

Wrócili pod kasyno. Paul wręczył Ray'owi obiecany zadatek, poleciwszy mu zadzwonić rano do hotelu.

Ray upchał banknoty do kieszeni spodni i klepnął Paula po ramieniu. - Nie obawiaj się - powiedział. - Teraz kiedy wiemy, że naprawdę istnieje, znajdziemy go.

Gdy Ray zniknął, Paul polecił portierowi sprowadzić taksówkę. W czasie oczekiwania na jej przyjazd, portier wyraził swoje ubolewanie, z powodu wcześniejszego zajścia.

- Był pan wspaniałomyślny, nie nalegając na złożenie skargi na policji, sir.

Paul wzruszył ramionami.

Portier zrobił krok bliżej. Odezwał się cichym głosem. Koronka popękanych żyłek zabarwiła jego zapadnięte policzki, a wodniste, niebieskie oczy zapraszały do poufałości. - Ona oczywiście była cudzoziemką. Nie mają żadnego szacunku. Ci nowi. Za dawnych dobrych czasów coś takiego nie mogłoby się nigdy zdarzyć. Ale teraz? Za dużo Auslender, ja?

- Prawda - zgodził się Paul. - Poleć mi któregoś dnia dobrą niemiecką kurwę.

Pełen zadowolenia uśmiech ulotnił się z ust portiera. Taksówka właśnie podjechała i Paul wskoczył do środka.

- Vanilla Rosę - rzucił kierowcy. - Wie pan gdzie to jest?

- To tak, jakby pan pytał, gdzie mieszka moja matka.

Samochód wystrzelił do przodu, wymuszając pierwszeństwo na fiacie, który przykleił się im do ogona i przez następne trzy przecznice mrugał za nimi światłami.

„Vanilla Rosę” znajdował się w Neukoln, dzielnicy dla robotników, tuż obok Muru. Po jednej stronie ulicy wyrastały małe sklepiki, z których większość była zamknięta, po drugiej stronie biegł kanał z ciemną, błyszczącą powierzchnią wody, płynącej pod

zwieszającymi się gałęziami drzew. Na pierwszy rzut oka „Vanilla Rose” wydawał się kiepskim kandydatem do miana wylęgarni grzechu. Z powybijanych okien nie padał nawet promyk światła. Jedynie nad wejściowym gankiem, na zewnątrz, jasno świeciło się światło i przez witraż róży, wprawiony w drzwi wejściowe przedostawała się poświata z wewnątrz.

Paul poszukał dzwonka, ale go nie znalazł. Otworzył drzwi i wszedł do małego przedpokoju, tonącego w półmroku. Na wprost był korytarz zakończony schodami wyściełanymi dywanem. Z prawej strony, spoza sklepionego wejścia dochodziły odgłosy muzyki, śmiech oraz odrobina światła. W drugich drzwiach, z lewej strony, ukazała się Wietnamka, ubrana w Bao Dai. Była w typie kobiet, jakie Paul zapamiętał z czasów wojny. Miała delikatną skórę, silnie napiętą na policzkach, wąskie wargi powiększone czerwoną szminką; brwi zarysowane czarną kredką odcinały się od jej karnacji jak rozpostarte skrzydła kruka w locie.

- Madame Tran? - zapytał Paul.

Spodziewał się, że to ją zaskoczy. Zamiast tego to ona sprawiła mu niespodziankę.

- Dobry wieczór, Herr Alexander. Czy przybył pan dla przyjemności, czy może chce się pan widzieć z Herr Wenzlerem?

- Co?

- Jest pan tu dla przyjemności czy w interesach?

Jego zaskoczenie musiało być widoczne na twarzy. Madame Tran przekrzywiła głowę w jedną stronę. - Czy coś nie w porządku, Herr Alexander?

- Nic, nic... ja tylko. Wszystko w porządku.

- Tak. Przybył pan zatem, aby widzieć się z Herr Wenzlerem?

- Czy on jest tutaj?

I znowu pytające spojrzenie.

- Czy on nie wie, że pan przychodzi?

- Jestem prawie pewny, że nie.

- Proszę pozwolić mi sprawdzić. - Wskazała mu sofę pod schodami. - Proszę.

Paul podszedł do sofy, ale zamiast usiąść wszedł do salonu, gdzie powietrze było ciężkie od dymu tytoniowego i perfum. Onieśmielił go widok dziewcząt. Były zebrane razem jak w przedszkolu. Poubierane w fartuszki, koszulki, skąpe bezrękawniczki, podkolanówki i chałatki.

Siedząca na kanapie nie mogła mieć więcej jak dziesięć lat. Była blondynką o bursztynowej skórze, miała na sobie koronkowe rajtki i jedwabny różowy kaftanik. Miała budowę dziecka - szczupłe biodra i nogi, delikatne łopatki i ręce. Pod przeźroczystymi

fałdami kaftanika widać było załazek piersi. Mężczyzna siedzący obok niej zdjął marynarkę i rozluźnił krawat. Jego koszula była już częściowo rozpięta, widać było górę podkoszulka. Miał rumianą twarz i był łysawy, na oczach Paula podniósł dziewczynkę i posadził ją na swoich kolanach. Wywinęła się, jakby chciała się uwolnić. Pochylił się do przodu, objął ją jak wielki niedźwiedź.

Bez namysłu Paul zrobił krok w ich kierunku. Wiedział, gdzie jest. Wiedział, że to jest „Vanilla Rose”, ale obrzydliwa różnica między męskim sflaczałym ciałem i dziewczęcą niczym niezmaconą delikatnością napawała go wstrętem. Dziewczynka była za młoda; po prostu nie mogła wiedzieć, co robi...

W momencie, gdy przechodził przez pokój, druga powitała go swoim orientalnym szeleszczącym głosem. Paul nie zwrócił na nią uwagi. Całą uwagę skupił na małej blondynce. W chwili gdy doszedł do kanapy, miał dłonie zaciśnięte w pięści.

Wykręcając się na kolanach mężczyzny, zdała sobie sprawę z obecności Paula i podniosła na niego wzrok. Momentalnie wrażenie niewinności zniknęło. Dziewczyna miała lubieżną, zarozumiałą twarz. Makijaż ust i oczu utrzymany był w kolorach purpury o dopasowanych odcieniach; miała doklejone sztuczne srebrne rzęsy. Z bliskiej odległości Paul zobaczył, że włosy były ufarbowane, a jej skóra nie miała tej dziecięcej nieskazitelności, którą sobie wyobraził.

- Cześć, kochanie - powitała go. - Życzysz sobie na mnie poczekać?

- Hej - zaprotestował mężczyzna - tylko nie mojego małego ptaszka. Jesteś moja tej nocy, moja ptaszyno. - Przeciągnął nosem po jej szyi. Dziewczyna zachichotała.

Paul poczuł się głupio. Zrobiło mu się nieswojo.

Wróciła Madame Tran. - Herr Wenzler jest w domu - poinformowała go. - Urządza jakieś przyjęcie. Mam nadzieję, że pan to zrozumie.

Poprowadziła go wzdłuż korytarza i wyprowadziła tylnymi drzwiami. Kiedy przechodził obok niej, Madame Tran wciągnęła powietrze nosem. - Pachnie pan dzisiaj wieczorem jak Amerykanin, Herr Alexander. - Popatrzył się na nią zaskoczony. Miała, to rozpoznał, czysty berliński akcent. - Płyn po goleniu Mennen. Nie pomyślał pan, że go poczuję?

Zamknęła drzwi, zostawiając go samego na skraju nieregularnego placu, wybrukowanego kostką granitową, otoczonego tyłami domów i kamienic czynszowych. Na środku, samotne drzewo rzucało podwójny cień w świetle ulicznej lampy. Z otwartych okien dobiegały typowe podmiejskie odgłosy; ludzi siedzących przy kolacji, płacz dziecka, kogoś grającego na pianinie, odgłosy radia i telewizji. Dziwne kontrasty, „Vanilla Rose” w pobliżu

tych zwykłych, codziennych domów. Paul zastanawiał się skąd miał wiedzieć, który z nich jest domem Wenzlera.

Jego problem sam się rozwiązał, kiedy w kilka sekund później zamigotały światła na werandzie w pobliżu atrium, po drugiej stronie placu. Ukazała się męska sylwetka. Mężczyzna zawołał w ciemnościach.

- Herr Alexander?

- Idę - odpowiedział Paul.

Teraz przynajmniej wiedział na pewno, jak jego brat się nazywa. Alexander. Karl Alexander. Madame i alfons upewnili go w tym całkowicie.

W miarę jak się zbliżał, mógł zobaczyć więcej szczegółów. Ostre światło werandy odbijało się od czarnych jak smoła włosów, rzucając cień na rysy twarzy jak u manekina. Mężczyzna odsunął się na bok i przepuścił go przodem, przytrzymując drzwi. Był dobrze zbudowany, w wieku powyżej dwudziestu pięciu lat, ubrany w wieczorowe ubranie. Przechodząc obok niego Paul spostrzegł, że w jednym uchu miał kolczyk z szafirem.

- Przyjęcie dla Ernesto Guianni - powiedział mężczyzna z lekkim tonem nagany w głosie. - Jeśli panu to nie przeszkadza, Otto prosił, abyśmy weszli schodami dla służby.

A więc to nie był Herr Wenzler. Kto to był? Portier? Prawa ręka? Przyjaciel?

Z końca korytarza dobiegły głosy, brzęk szkła i śmiechy; przyjęcie w pełnym toku. Ktoś grał na fortepianie, Paul usłyszał męski głos śpiewający piosenkę. Był to niewątpliwie Guianni. Sytuacja jak z doktora Jekyll'a i mister Hyde'a... Wenzler gospodarzem na przyjęciu na cześć słynnego śpiewaka operowego w czasie, kiedy nieletnie prostytutki wiły się w parodii namiętności nie dalej jak pół przecznicy stąd.

- Tędy, Herr Alexander.

Został poprowadzony przez wąskie drzwi po kręconych schodach, do szerokiego, wyłożonego grubym dywanem korytarza na drugim piętrze. Lampy kierunkowe rzucały plamy światła na coś, co wyglądało jak prawdziwe dzieła sztuki. Oczywiście było, że Otto Wenzler miał udziały w czymś więcej, a nie tylko „Vanilla Rosę”,

Wskazując drogę gestem, młody mężczyzna podszedł do dębowych rzeźbionych drzwi, zapukał dwa razy i wszedł. Otto Wenzler siedział na biurku układając pasemko kokainy na położonym na płask lusterku. Był w ubraniu wieczorowym, przepasany srebrną szarfą. Blond włosy wisiały, jasne i wilgotne naokoło szyi. Wszystko, czym się otaczał, od pierścienia z kamieniem, który nosił na małym palcu, aż do statuetki z brązu na jego biurku, obliczone było na efekt.

Wenzler rzucił tylko okiem i skinął głową: - Dziękuję, Helmut.

Nie wiedząc, jak dobrze powinien znać Helmuta, Paul po prostu skinął mu na pożegnanie. Kiedy tylko zostali sami, Wenzler odezwał się uprzejmym tonem: - Nie cierpię niespodzianek, Karl. Szczególnie, kiedy dobrze się bawię.

- Przepraszam - powiedział Paul, zastanawiając się, jak długo będzie w stanie wcielić się w postać swojego brata.

Wenzler zamrużył ze zdziwienia, potrząsając głową w nerwowym staccato.

- Muszę to sobie podkreślić w kalendarzu! - powiedział. - Po raz pierwszy usłyszałem ciebie przepraszającego za cokolwiek. Starzejesz się, Karl. Przychodzisz tutaj, ot tak sobie, ryzykując tak wiele...

Wyciągnął dużą szarą kopertę z szuflady i rzucił ją na blat biurka. - Zakładam, że chodzi ci o to.

- Dałbym ci działkę - powiedział - ale wiem, że ograniczasz swoje nałogi do innych dziedzin.

Umieściwszy jeden koniec szklanej rurki w nosie, Wenzler wdychał kokainę. Najpierw przez jedną dziurkę, a potem przez drugą. Do Paula z ledwością to docierało. Odwinął czerwony szpagat, którym była obwiązana koperta. Włożył rękę do środka i wyjął dwa paszporty. Pierwszy był w znajomym, amerykańskim, niebieskim kolorze, drugi - ciemnozielony, zachodnioniemiecki. Otwierając każdy po kolei znalazł w nich dwa prawa jazdy, amerykańskie i zachodnioniemieckie. Na każdym były inne nazwiska, ale to nie one przyciągnęły jego wzrok. To twarz - jego własna twarz - widoczna na fotografiach, o których wiedział, że nigdy nie były zrobione. Nie jemu.

To było tak, jakby patrzeć w małe, wielkości portfela, lustro. Włosy były krócej przystrzyżone, inaczej uczesane, ale innych różnic nie było. Przyglądając się fotografiom bardziej dokładnie, wydało mu się, że dostrzega coś odmiennego w oczach. Nie w wielkości czy kształcie, ale w wyrazie. Obcy, nie jego.

Miał w ręku dowód istnienia swojego brata. Bardzo niewyraźnie zdawał sobie sprawę, że Otto opowiada mu o przedstawieniu, które odbyło się tej nocy; że przyjęcie powitalne dla Ernesto Guianni zwabiło nawet tych, którzy normalnie go ignorują. Po chwili, Otto przerwał.

- Co się stało? Coś nie jest w porządku?

Paul powiedział: - To jest mój brat. - Podszywanie się nie mogło trwać w nieskończoność, nie był w stanie tego znieść. Musiał zaryzykować i powiedzieć prawdę.

- Kto?

- Mężczyzna na zdjęciu w paszporcie. To nie ja, to mój brat.

Otto powstrzymał go ostrzegawczym ruchem ręki. - Nic mi nie mów. Chcę znać tylko te sekrety, które niepokoją innych ludzi. A twoje sekrety, Karl, niepokoją mnie.

- Panie Wenzler, niech mnie pan posłucha. Nie jestem tym mężczyzną, za którego mnie pan bierze. Nie jestem Karlem. Jestem Paul Stafford, jego brat bliźniak.

- Oczywiście - odpowiedział Otto z sardonycznym uśmiechem. - A ja jestem królową Elżbietą z żabą w tyłku.

Parsknął krótkim śmiechem i zsunął przybory do szuflady. Paul postąpił krok do przodu i podetknął mu zdjęcie paszportowe przed oczy.

- Mówię poważnie. Nie jestem tym facetem. Nazywam się Paul Stafford - ten mężczyzna jest moim bratem. Przyjechałem do Berlina, żeby go odnaleźć i potrzebuję pana pomocy. Rozumie mnie pan?

Otto lustrował go badawczo z góry na dół. - Nie jest pan Karlem Alexandrem?

- Nazywam się. Paul Stafford. Jestem Amerykaninem. Proszę. - Paul wyciągnął swój portfel i rozłożył go, pokazując prawo jazdy i legitymację służbową Herolda.

- Karl jest moim bratem. Jesteśmy bliźniakami, zostaliśmy jednak rozdzieleni, gdy byliśmy dziećmi. Nie wiedziałem, że mam brata. Wiem to dopiero od paru dni. Teraz muszę go znaleźć. Muszę wiedzieć...

W oczach Otto pojawił się chytry błysk.

- Czy mogę je dostać z powrotem?

Wyciągnął rękę po paszporty, lecz Paul cofnął się.

- W zamian za informację, jak mogę skontaktować się z bratem.

- Wierzę panu. Pan nie jest Karlem. Gdyby pan nim był, wiedziałby pan, że lepiej nie próbować mnie powstrzymywać.

- To tylko transakcja handlowa. Moje paszporty za pana informację.

- Pana paszporty? One należą do mnie.

- Już nie...

Otto sięgnął do biurka i wyciągnął pistolet. Damska broń, 25-tka, Beretta w chromowanej okładzinie, która jednak mogła podziurawić człowieka. - A teraz, kimkolwiek pan jest - powiedział Wenzler - myślę, że odda mi pan dokumenty. - W momencie, gdy Paul miał wręczyć mu paszporty, otworzyły się drzwi i do pokoju weszła kobieta w kosztownej sukni wieczorowej.

- Ma pan sześćdziesiąt sekund na zejście na dół - oznajmiła beztrąsko. - Ernesto będzie śpiewał arie z Traviaty. Kobieta miała około sześćdziesięciu lat, zachowywała się

władczo i była lekko pijana. Miała ciemne włosy ściągnięte ciasno do tyłu i upięte pod diademem. Otto pospiesznie ukrył broń w marynarce.

- Zaraz tam będę, moja droga Heleno.

- Pan wie, że on nie chce śpiewać, póki pan jest tutaj. Wo ist Liebe Otto? dopytuje się. On sądzi, że czyni mu pan afront. Wytłumaczyłam mu jednak, że to tylko pana sposób wymykania się do swoich małych rozwiązłych przyjemności.

W tym miejscu odwróciła się w stronę Paula, lustrując go z góry na dół. - Jest pan rozpustną przyjemnością, czyż nie? Czy też służącym?

- Hrabino, jeśli pani pozwoli... - zaczął Wenzler.

- Gościem - powiedział Paul - i uwielbiam słuchać signore Guianni śpiewającego arie.

Ruszył za nią. Za jego plecami Wenzler zawołał: - Mr. Stafford, mamy interes do omówienia...

Paul odwrócił się od drzwi. - Myślę, że hrabina ma rację. Sztuka przede wszystkim, a potem interesy. - I podając jej ramię, dodał: - Sir Cedric Stafford. Możemy iść?

Kobieta dotknęła podbródkiem ramienia i przyjrzała mu się z rozbawieniem.

- Przekonamy się - powiedziała. - Zejdz sam, Otto. Hrabina dotknęła przedramienia Paula upierścionymi palcami i pozwoliła mu sprowadzić się do hallu.

- Czy pan jest naprawdę Brytyjczykiem? - spytała.

- W tej chwili jestem.

- Ach, wiedziałam. Pana zęby nie są w wystarczająco złym stanie, jak na Brytyjczyka. Oni hodują piękne psy i konie, lecz za dentystów mają górników.

Paul stwierdził, że hrabina nie była ani tak głupia, ani pijana, jak na to wyglądała.

Wenzler dogonił ich w połowie korytarza i przytrzymał Paula za ramię.

- Chwileczkę, proszę. Proszę mi wybaczyć, hrabino, ale ten mężczyzna ma coś, co należy do mnie.

Hrabina podniosła brew. - Naprawdę? Jakie to podniecające. Cóż to takiego?

- To - powiedział Paul.

Wyciągnął paszport, otworzył go i trzymał przed hrabiną tak, by mogła zobaczyć zdjęcie, a nie mogła przeczytać nazwiska. Równocześnie przysunął się do Wenzlera.

- Pani jest sędzią - zwrócił się do kobiety. - Czy to jestem ja czy Herr Wenzler?

Wenzler rzucił się na paszport, lecz Paul go odsunął. - Pozwólmy damie osądzić.

- Nie bądź grubiański, Otto. To zdjęcie naszego Sir Cedrica, bez wątpienia. A teraz, chodźmy, Ernesto czeka. - Wcisnęła się między nich, wzięła każdego pod ramię i skierowała ku stopniom schodów, opadających koliście dwoma lustrzanymi skrzydłami, jedno w lewo,

drugie w prawo. Na dole, w bogato urządzonej foyer, stało z tuzin ludzi w strojach wieczorowych, sącząc szampana i wymachując dłońmi obwieszonymi kosztownościami. Kelner w różowej marynarce z czarnym goździkiem w klapie oferował drinki na srebrnej tacy.

Gdy schodzili, Wenzler zerkał do salonu, szukając - jak domyślał się Paul - swojego partnera, Helmuta. Nie czekając na spotkanie się tej dwójki i podejrzewając, jak go potraktują, Paul nagle runął w dół schodów.

- Zostawiłem samochód na nie strzeżonym parkingu - krzyknął. - Zaraz wracam.

Wśród protestów hrabiny, odprowadzany morderczym spojrzeniem Wenzlera, zanurkował w tłumie, kierując się do drzwi. W chwili gdy przemykał obok zaskoczonego portiera, zobaczył w przelocie Wenzlera wskazującego go Helmutowi. Kiedy znalazł się na ulicy, zaczął biec. Za rogiem skręcił w prawo, szedł truchtem i tak długo kluczył, póki nie upewnił się, że nikt za nim nie podąża. Natknąwszy się na budkę telefoniczną, zadzwonił do Wenzlera.

- Jak tam przyjęcie? - zapytał.

- Musicie być braćmi - stwierdził Wenzler lodowatym głosem. - Obydwaj ryzykujecie swoim życiem.

- Nie martw się o to. Jeżeli Karl będzie chciał swoje paszporty, powiedz mu, by się ze mną skontaktował. Mieszkam w pokoju 317 w InterContinental.

Paul słyszał w tle arię.

Dalej sprawy potoczyły się z niemiecką sprawnością. Gdy wrócił do hotelu, czekała już na niego wiadomość: „Twój brat spotka się z tobą jutro po południu w Spodku nad Szprewą, w Pałacu Republiki, NRD.

Paul przeczytał notatkę dwa razy. Podszedł do okna swojego pokoju i wyjrzał na zewnątrz. Namiot cyrkowy migotał w dole jak Mleczna Droga. Za nim, ciemności Tiergarten a za Tiergarten, Berlin Wschodni, ciemny i mroczny, za wyjątkiem nowoczesnej wieży telewizyjnej, zakończonej srebrną kulą, która wisiała jak księżyc ponad podzielonym miastem. NRD. Berlin Wschodni. Tam, gdzie chce znaleźć Karla. Mordercę. Swojego brata. Swoją krew.

Rozdział 13

Pałac Republiki był pięciopiętrowym budynkiem ze szkła i betonu, usytuowanym w miejscu, gdzie kiedyś znajdował się barokowy pałac Hohenzollernów. Sprawował głównie

funkcję siedziby parlamentu, ale z niewiadomych przyczyn na parterze umieszczono dyskotekę, klub nocny i kręgielnię. Okna wszystkich tych pomieszczeń wyglądały na skaliste brzegi Szprewy a wejście było widoczne z drugiego jej brzegu rzeki. To dlatego Karl Alexander wyznaczył tutaj spotkanie. Siedział w samochodzie, obserwując przez lornetkę wejście do Spodka.

Przez duże okno widokowe Karl widział grających w kręgle, poruszających się wolno przy rzucie kulą oraz widzów siedzących po jednej stronie, zjadających pizzę i pijących piwo. Przechodząca grupa turystów zasłoniła mu widok. Karl opuścił lornetkę, czekając aż skończą robienie zdjęć przepływającej barce i nagiemu do pasa sternikowi na jej dziobie. Była prawie dwunasta...

Karl był wstrząśnięty telefonem od Otto Wenzlera. Zdenerwowanie tamtego niepokoiło go w równym stopniu, jak i sama wiadomość. Otto nie łatwo wpadał w panikę...

- Myślałem, że' to byłeś ty - wciąż powtarzał. - Byłem tego pewny.

- Uspokój się, Otto.

- Mam ochotę się denerwować. Nie zajmuję się więcej brudnymi dokumentami, Karl. To śmieszne dla człowieka z moją pozycją. Robię to tylko dla ciebie, w ramach przysługi.

- Możesz je zastąpić innymi?

- Nie masz zamiaru się z nim spotkać?

- Jeśli to zrobię, to tylko po to, aby odzyskać fotografie. Nazwiska są spalone. Potrzebuję nowych na wymianę, w porządku?

- W środę? To są oryginały, wiesz o tym, a to nie jest takie łatwe.

To nigdy nie było takie łatwe z Otto. Ponieważ rzeczy trudne kosztują więcej, wszystko co robił Otto było trudne. Znali się od dzieciństwa, jeszcze z czasów kiedy razem należeli do tej samej bandy. Potem Karl zamieszkał razem z wujkiem Aleksandrem i stracił z Otto kontakt. Piętnaście lat później imię Otto pojawiło się w aktach Stasi; został złapany próbując przeprowadzić nielegalnie profesora z jego żoną do Berlina Zachodniego. Karl zaofiarował mu zwolnienie. Wszystko, co miał Otto zrobić w zamian, to przeniknąć do innych grup pomagających w ucieczkach i donieść o nich Stasi.

To był początek długotrwałych związków, których ciężar gatunkowy z biegiem lat przesunął się z płaszczyzny służbowej na prywatną. Pomoc Karla, ułatwiająca przerzut dziewcząt przez Wschód, była przykładem prowadzonych interesów. To było mniej ryzykowne, niż Otto przypuszczał. Rząd Wschodnich Niemiec przejawiał niewielkie zainteresowanie w zatrzymaniu procederu, który był jeszcze jednym dowodem na to, że kapitalizm i degeneracja idą w parze.

Ponieważ termin był tak krótki, Karl zgodził się zapłacić za nowy komplet dokumentów podwójnie. Tak szybka zgoda obudziła ciekawość Otto.

- Właściwie, co to za operacja?

- Sam dobrze wiesz.

- Masz na myśli, że lepiej wiem, aby nie zadawać ci pytań?

Karl mówił cicho i wyraźnie: - Otto, jeśli dowiesz się za dużo, ktoś urządzi ci pogrzeb w Szprewie... a teraz powiedz coś o tym człowieku. Czy on może być oszustem?

- Nie mam pojęcia w jaki sposób. - Urywany ton głosu Otto zdradzał, że czuł się urażony. Nie lubił, kiedy mu grożono. Ale tym razem pogodził się.

- Chirurgia plastyczna?

- Nie, nie. Wszystkich wyprowadził w pole. Madame Tran, Helmuta, mnie. Nawet, kiedy powiedział mi prawdę, to nie uwierzyłem. Jeśli on nie jest twoim bratem, ucałuję krzyż i zostanę pastorem...

Jego brat. Karl nie spał tej nocy, był głęboko poruszony. Jeśli Paul Stafford był podstawiony, to znalazł się w tarapatkach. Tylko jedna organizacja miała środki i była zdolna przeprowadzić operację zmiany twarzy tak dokładnie, że mogła zmylić Otto - CIA. Czy to oznaczało, że odkryli, kto jest odpowiedzialny za morderstwa i wysłali kogoś, aby go zabić? Jeśli tak, to dlaczego robią to w tak wyszukany sposób? Dlaczego robią to w tak okrężny sposób?

Chyba, że to KGB.

Ta myśl naprawdę go zmroziła. A jeśli spisek Redeye został odkryty? Wujek Aleks zdradził? Powiedział, że byli wmieszani w to inni. Plan terminalu Bayonne, zawiadomienie o ładunku, ukryte w Sony CIKOP-34P, wszystko pochodziło ze źródeł wewnątrz KGB. Co z tą dziewczyną o imieniu Marina? Tą, która miała unieszkodliwić urządzenie wczesnego ostrzegania w podczerwieni na pokładzie samolotu Sekretarza Generalnego. Czy została aresztowana? Złamana na przesłuchaniu?

Nie, pomyślał Karl, jeśli KGB o tym wiedziało, już byłbym martwy.

To doprowadziło go do konkluzji, że być może Paul Stafford był naprawdę jego bratem bliźniakiem. Na samą myśl o tym, przeszedł go dreszcz. Musiał być bardzo ostrożny. Musiał to wiedzieć z całą pewnością. Jeśli Paul Stafford był jego bratem, jego wizyta była niegroźna, czas jej był przypadkowy.

Ale jeśli był oszustem... jeśli był podstawiony, w takim razie wkrótce będzie martwy. A jeśli on jest jego bratem... No cóż, jedna rzecz była absolutnie pewna... kimkolwiek by nie

był, Paul Stafford nie mógł w żaden sposób przeszkodzić w wykonaniu zadania o kryptonimie Redeye.

Karl rzucił okiem na zegarek. Pięć po dwunastej. Przybysz się spóźniał. Miał zamiar dać mu jeszcze pięć minut czasu, a potem zatelefonować do Otto.

Paul wstał rzeczywiście wcześniej rano. Zjadł ciężkie niemieckie śniadanie, podumał nad mapą miasta i zdążył złapać S-Bahn do stacji Friedrichstrasse. Przystanek znajdował się we Wschodnim sektorze, ale skoro pociągi odjeżdżały stąd tylko na Zachód, nie przykładano wielkiej wagi do remontów. Atmosfera była ponura i nie polepszał jej widok ubranych w wymięte mundury wartowników, z kwaśną miną wałęsających się tam i z powrotem po peronie, albo siedzących w przejściach ponad torami, zadaszonych profilami ze szkła, piastując na rękach broń. Robotniczy raj, pomyślał Paul. Dla wartowników.

Formalności paszportowe zabrały więcej czasu, niż przypuszczał. Był zmuszony do ustawienia się w kolejce przed wąskim przejściem do okienka. Urzędnik o smutnych oczach sprzedał mu jednodniową wizę Kopciuszka; musiał opuścić Wschodni Berlin przed północą, w przeciwnym razie groził mu areszt. Następnie dołączył do drugiej, do kantoru walutowego, aby wymienić dwadzieścia pięć marek zachodniemieckich na równą ilość, obrzydliwie przecenionych marek wschodnich. Kiedy wyszedł na ulicę, był spóźniony.

Pojechał taksówką na Unter den Linden, zaskoczony widokiem wielu, niegdyś eleganckich budynków, ciągle noszących ślady pocisków z ostatniej wojny. Słynny, wysadzony drzewami bulwar wypełniał nastrój melancholii wywołany przez zastępy figur na dachach, zawieszonych w powietrzu, patrzących w dół na ulicę i szukających wzrokiem utraconego dla nich miasta.

Podniecenie Paula wzrastało w miarę, jak był coraz bliżej Pałacu Republiki. Miał nadzieję, że Karl już tam będzie na niego czekał, ale nie był zaskoczony, że tak się nie stało. Był prawdopodobnie bardzo ostrożny i niechętnie się ujawniał, o ile nie czuł się całkowicie bezpieczny. Czekając, zastanawiał się, czy groźba zdemaskowania go przed CIA powstrzyma Karla od dalszych morderstw. Nie mógł znieść myśli, że jego brat jest mordercą. Fałszywe paszporty i prawa jazdy dowiodły niezbitcie udziału Karla w tajnych operacjach. Wszelkie wątpliwości związane z odpowiedzialnością Karla za morderstwa agentów CIA zostały rozwiane. Było tylko jedno wyjaśnienie jego snów - to, które proponowała Annie Helms. Mógł sobie wyobrazić jej podniecenie, jeśliby się dowiedziała, że ma brata bliźniaka. To, czy jej o tym powie, zależało od samego Karla...

Grzmot toczących się kul i stukot przewracanych kręgli wydawał się być dziwną przeciwwagą do tego, co go tutaj sprowadziło. Paul sączył kawę i próbował opanować

zniecierpliwienie. Było prawdopodobne, że Karl w obawie przed pułapką zdecydował się z nim nie spotkać. W końcu nadszedł kelner z informacją, że jest proszony do telefonu. Paul wstał i podszedł do baru, gdzie dziewczyna o rudych włosach podała mu aparat telefoniczny.

- Halo?

- Paul Stafford?

To było tak, jakby słyszał echo własnego głosu.

- To ja. Czy to ty Karl?

- Tak. Wolę spotkać się z tobą na zewnątrz. Masz coś przeciwko temu?

- Gdzie tylko chcesz...

- W takim razie w porządku. Wyjdź ze Spodka, skręć w prawo, a kiedy dojdiesz do ratusza skręć w lewo. Idź lewą stroną ulicy. Tam cię odnajdę.

Paul zapłacił w kasie dwie marki i wyszedł. Była prawie dwunasta trzydzieści, chodniki zaczęły się zapełniać urzędnikami i sekretarkami wychodzącymi na przerwę obiadową. Jakaś para siadła na trawiastym brzegu rzeki i jadła kanapki wyjęte z papierowych torebek. Grupa nastolatków wykonywała na parkingu ewolucje na skatebordzie. Nie było śladu Karla. Paul postępował zgodnie z instrukcją, przekroczył Szprewę i szedł w kierunku starej siedziby rady miejskiej, Rotes Rathaus. Zdażył przejść półtorej przecznicy, kiedy biały mercedes 280 odłączył się od strumienia pojazdów i szybko zaparkował obok niego. Kierowca pochylił się i otworzył drzwi.

Jest starannie uczesany, to była pierwsza myśl Paula.

W pierwszym momencie rozpoznania spotkały się ich spojrzenia, Paul zobaczył na twarzy Karla zaskoczenie, podejrzliwość, zadowolenie, nieufność i... strach? A może to były jego własne uczucia? Przez chwilę rysy twarzy Karla były zniekształcone przez emocje, a kiedy to minęło, Paul patrzył się na kogoś wyglądającego dokładnie jak on sam, absolutnie nie jak morderca.

- Wsiadaj - powiedział Karl.

Paul wsunął się do środka i zamknął drzwi. Samochód natychmiast odjechał.

- Skąd tyle ostrożności?

- Na wypadek gdybyś był śledzony.

- Przez kogo?

Nie było odpowiedzi. Karl zakręcił gwałtownie do środka jezdni, a potem w lewo. Dwie przecznice dalej znowu wykonał skręt w lewo, w boczną uliczkę zablokowaną na samym końcu przez budowę. Wysoki dźwig zwieszał się nad betonowymi fundamentami,

otoczonymi przez stalowe rusztowania i ograniczonymi łańcuchem, zdjętym w jednym miejscu, aby umożliwić dojazd ciężarówek.

Zwolniwszy odrobinę, Karl wjechał na plac budowy. Samochód podskoczył na krawężniku i pędził do bramy znajdującej się po drugiej stronie, zostawiając za sobą tumany kurzu. Robotnicy przystanęli, a mężczyzna w kasku na głowie wyszedł z zardzewiałej przyczepy i coś krzyknął w ich kierunku. Karl nie zwrócił na to uwagi. W chwilę później wrócili na ulicę po drugiej stronie budowy.

- Jeszcze więcej ostrożności? - zapytał Paul.

- Moja praca w rządzie czyni tego rodzaju ostrożność niezbędną. Teraz jest wszystko w porządku.

- Na czym polega właściwie twoja praca?

- Jestem instruktorem w szkole samoobrony w Eichwalde. Trening komandosów, jak byś to nazwał. - Karl rzucił na niego spojrzenie spod oka. - Otto powiedział, że jesteś Amerykaninem.

- Bo jestem. - Mówisz po niemiecku jak Berlińczyk.

- Mieszkałem tutaj do piątego roku życia. Matka i ja ciągle rozmawiamy po niemiecku.

- Twoja matka żyje...?

- Nasza matka żyje. Karl popatrzył wstrząśnięty.

- Nie wiedziałeś?

- Nie.

- Ona mi powiedziała.

- Powiedziano mi, że nie żyje... że zginęła w czasie amerykańskiego bombardowania.

- Kto ci to powiedział? Tante Inge?

Reakcja Karla nie mogłaby być gwałtowniejsza, gdyby Paul rzucił odbezpieczonym granatem o podłogę. Odwrócił się w jego stronę, samochód wykonał gwałtowny zygzak w poprzek ulicy, a potem wyrównał, gdy kierowca odzyskał nad nim kontrolę. Karl podjechał do krawężnika i zatrzymał się. Ścisnął kurczowo kierownicę, aż mięśnie przedramienia napięły się mu jak struny. Gdy odwrócił się do Paula, jego twarz była śmiertelnie blada.

- Kim jesteś?

- Czy twarz ci tego nie mówi?

- Skąd możesz o niej wiedzieć?

- O ciotce Indze?

Karl drgnął, a Paul pomyślał, mój Boże on jest bardziej zatrwożony niż była mama. Opowiedział mu historię ich rozdzielenia, pomijając wszelkie wzmianki o CIA czy o snach. W jednym miejscu poruszony Karl przerwał mu:

- Jesteś tego pewny? - zapytał. - Jesteś pewny, że nie była moją ciotką?

- Zgodnie z tym, co mówi matka, była sąsiadką z dołu. Wszystkie dzieci nazywały ją ciotką.

- Nie była moją ciotką - wymamrotał Karl.

- Myślałeś, że nią była w istocie?

- Byłem dzieckiem. Co mogłem wiedzieć?

- Gdzie ona teraz jest?

- Nie żyje.

Paul uprzytomnił sobie, że musi spróbować w jakiś sposób pogodzić sprawę morderstw agentów CIA z mężczyzną siedzącym obok niego, człowiekiem stworzonym na jego podobieństwo, człowiekiem tak blisko z nim związanym, bez względu na to, czy mu się to podoba, czy nie.

Zanim wspomniał o Indze Heusner wydawało się to być niemożliwe. Teraz, obserwując zmianę w reakcji brata, nie mógł mieć więcej wątpliwości. Oczy Karla zwęziły się, wargi zacisnęły, zęby zwarły uwydatniając szczękę. To była nienawiść - nienawiść i bezwzględność, które zdawały się mrozić powietrze wokół nich. Tak, pomyślał Paul, on jest do tego zdolny, w porządku. Jest zdolny do popełnienia morderstwa. Jego brat bliźniak, z tych samych genów - wyrzucił to z myśli.

Karl skierował rozmowę na szczegóły związane z ich rozdzielaniem. Najbardziej ze wszystkiego dręczyło go chyba pytanie, dlaczego matka nie próbowała go znaleźć.

- Próbowwała. Szukała miesiącami. Chodziła nieustannie na policję...

- Policja - przerwał drwiąco Karl. - Co mogła zrobić? Ukrywaliśmy się przed policją...

- Sądziła, że nie żyjesz, Karl. Ktoś widział Frau Heusner prowadzącą cię do tego sklepu. Mama myślała, że oni...

- Zarznęli mnie?

Paul przytaknął.

Karl odwrócił wzrok, jego wzburzenie zdawało się mijać. - W każdym razie jednak - odezwał się - powinna była coś powiedzieć później. Tobie. Swojemu mężowi i rodzinie.

- Wstydziła się.

- Mnie?

- Tego, co zrobiła. Tego, co się, jak sądziła, z tobą stało. Karl skinął głową, lecz Paul wyczuł, że jego odpowiedź nie w pełni go usatysfakcjonowała.

- I gdzie jest moja... moja matka?

- Mieszka na Florydzie. W małym domu nad sztucznym jeziorem. Ona i ojciec - mój ojczym - są w separacji.

- Przez wszystkie te lata myślałem, że zginęła w czasie bombardowania - powiedział Karl zimno. - Śniłem o niej. Nie pamiętałem jej twarzy, ale śniłem, że zasłania mnie swym ciałem i ratuje mi życie. - Popatrzył z ukosa na Paula. - A ona uratowała ciebie.

- Co?

- Wzięła cię do szpitala. Zostawiła mnie.

Paul poczuł się oszołomiony. Sądził, że Karla ucieszą wieści o matce. A on przeciwnie, obwinił ją. Uświadomił sobie, że sam czuje się winny, że matka uratowała jednego z nich. Jego reakcja była obroną zarówno samego siebie, jak i matki.

- Miała dziewiętnaście lat. Nie możesz winić ją za to, co się stało...

- A ja miałem czternaście miesięcy.

I jakby zamknął sprawę, uruchomił samochód i wrócił na autostradę. Paul miał właśnie zacząć dowodzić tego, że nikt nie może ochronić całkowicie drugiej osoby, gdy przypomniał sobie, że już wcześniej słyszał te same słowa. Nie ze swoich ust, lecz Joanny, w odpowiedzi na to, co powiedział. I co jej wówczas odpowiedział? Że nie ma usprawiedliwień tam, gdzie chodzi o wychowywanie dzieci. Arogancja tych słów wywołała w nim teraz uczucie żalu.

Karl zapytał się o coś, lecz Paul nie usłyszał go. - Co? Karl popatrzył na niego zdziwiony. Wracal do równowagi. - Jak znalazłeś Otto Wenzlera?

- Z pomocą dziewczyny, prostytutki - odpowiedział Paul.

- Jakiej dziewczyny?

- Nazywała się Kristy. Z Tajlandii. Próbowala mnie pobić zeszłej nocy. Pracowała chyba kiedyś w „Vanilla Rose” i kiedy mnie zobaczyła na ulicy, wzięła mnie za ciebie. Zdaje się, że obchodzisz się zbyt brutalnie z dziewczętami. - Dzięki snom wiedział jak dalece to mijalo się z prawdą.

- I od tej dziewczyny dowiedziałeś się o Otto?

- Nie, o Otto dowiedziałem się od niego samego. Kiedy uświadomił sobie swój błąd - że ja nie jestem tobą - stał się niemiły i wyciągnął broń.

- Którą ty zignorowałeś?

- Przerwano nam. Na szczęście.

- Tak, wydaje się, że jesteś szczęściarzem.,

- Nie zawsze - stwierdził Paul.

- A kiedy nie?

Gorliwość z jaką zostało zadane pytanie, zaniepokoiła Paula.

- Przypuszczam, że sam przyczyniłem się do moich rozczarowań,

- Och, rozczarowania.

Znów to zimne uczucie. - Sądzę, że wyjazd z Niemiec był szczęściem - powiedział. - Armia zapewniała spokojne życie, mieliśmy niezłe mieszkanie, ubrania, pod dostatkiem jedzenia - wszystkie dobre strony porządku po amerykańsku.

- Gdy byłeś dzieckiem, miałeś własną sypialnię?

- Przez większość czasu.

- A gdy zamykałeś za sobą drzwi, pozostawiano cię w spokoju?

- Kto?

- Twoja matka, twój ojciec, ktokolwiek.

- Przypuszczam... - Dziwne pytanie. - Ale co z tobą? Gdzie mieszkałeś?

- W Berlinie - odpowiedział i szybko zmienił temat rozmowy na Amerykę, którą wydawał się być niezwykle zainteresowany. Paul chciał dowiedzieć się więcej o Karlu, lecz zorientował się, że lepiej nie ponaglać. Był ciągle zszokowany spotkaniem z Karlem, a przede wszystkim jego wybuchową osobowością.

W czasie dalszej jazdy głównie Paul odpowiadał na pytania dotyczące jego dzieciństwa i dziennikarskiej kariery. Jego zażenowanie wzbudziły pytania Karla o Joannę, o ich pierwsze spotkanie, o to, dlaczego wcześniej się nie ożenił. Karl przyglądał mu się teraz baczniej i Paul przypuszczał z jakiego powodu... Odkrył niepewność, sferę, w której Paul czuł się bezbronny. Skupił się dokładnie na tym. Paul robił to samo podczas przeprowadzania wywiadów, szukając jakiegoś pęknięcia w rozmówcy, przez które mógł przeniknąć do jego osobowości.

Paul próbował przejąć kontrolę nad tym dziwnym spotkaniem. - Wiesz, przyjechałem tutaj, by dowiedzieć się czegoś o tobie, o twoim życiu. Przebadałeś dokładnie mnie i moją przeszłość...

- Bo jestem do ciebie tak podobny.

Niezupełnie, pomyślał. Nie jestem mordercą. Zapytał Karla, czy jest żonaty.

- Mam żonę i troje dzieci - dwie dziewczynki i jednego chłopca. Żonę i troje dzieci. Jakby to były przedmioty, a nie ludzie.

- Czy twoja żona pracuje?

- Czasami udziela lekcji pływania młodszym pionierom - Podane to było sucho, jakby Karl relacjonował fakty przed ankierem sporządzającym spis ludności. Paul próbował na różne sposoby przebić się przez maskę Karla. Ten jednak stawiał opór. Albo nie czuł zbyt silnych więzi z rodziną, albo dobrze ją strzegł. ‘

Zjechali z głównej drogi i wjechali do Treptow Park. Cętki światła słonecznego, sączącego się poprzez korony drzew, drgały na szybie samochodu. Droga łagodnie zakreśliła, wznosząc się na szczyt wzgórza, z którego roztaczał się widok na jezioro z niewielką przystanią pełną żaglówek i kajaków. Gdy się zbliżali, od mola odbijała łódź.

Zaparkowali samochód i skierowali się do kafejki na wolnym powietrzu, gdzie trójka młodych ludzi śpiewała kiepską angielszczyzną piosenki w stylu folk. Nad każdym stolikiem rozpostarty był pomarańczowy parasol, łopoczący na wiejącej od wody bryzie. Miejsce było pełne gwaru, rozmów, muzyki, głosów dzieci, bawiących się na wydzielonym placu zabaw.

- Masz jej zdjęcie? - zapytał nagle Karl, kiedy usiedli.

Przez chwilę Paul myślał, że chodzi mu o zdjęcie Joanny, a potem uświadomił sobie, że Karl chciałby zobaczyć zdjęcie matki. Wyjął zdjęcie matki, Joanny i swoje własne, zrobione parę lat wcześniej. Karl przyjrzał się im dokładnie.

- Możesz je zatrzymać, jeśli chcesz.

Lekko skinąwszy głową, Karl wsunął zdjęcia do kieszeni płaszcza. Pojawił się kelner z menu i przyjął podwójne zamówienie.

- Musicie być bliźniakami - oznajmił.

- Po czym pan to poznał? - zapytał Paul, utrzymując z trudem powagę.

- Hm, w przeciwnym bowiem razie... - mężczyzna w końcu połapał się, że Paul żartuje, podniósł brwi, nadał policzki i roześmiał się. - W przeciwnym razie, wypilem zbyt wiele zeszłej nocy.

Karl zamówił dla nich dwóch coś, co nazywało się Berliner Weisse mit Schuss, firmowy napój musujący na pszenicznym piwie z kroplą soku malinowego. Kiedy go podano, Karl podniósł swój kufel, by Paul go skontrolował.

- Syk szampana - powiedział i uśmiechnął się. Wypili. Później Paul przypominał sobie, że nie wzniesli toastu.

Rozdział 14

Piwo i ciepło słońca zrelaksowało Paula wystarczająco, by uświadomił sobie, w jakim był napięciu. Obcowanie z własną fizyczną kopią było bardziej wyczerpujące, niż mógł to

sobie wyobrazić. A szczególnie, gdy przyznał się przed samym sobą do myśli, że ta kopia, jego brat, był przecież mordercą. Rozpatrywał możliwość przełożenia sprawy morderstw agentów CIA na inny dzień, ale zmusił się do podjęcia tego tematu. Aby znać siebie, aby siebie zrozumieć, musiał przynajmniej rozumieć swojego brata.

Szansa nadarzyła się, kiedy uwaga Karla została rozproszona czymś, co działo się poza jego plecami. Paul odwrócił się, aby zobaczyć co' to było. Przy pobliskim stoliku usiadła właśnie rodzina, mąż z żoną i dwójką dzieci. Jeden z chłopczyków wskazywał w ich kierunku. Kiedy Paul się odwrócił, matka dała dziecku łagodnego klapsa i pochyliła się, aby coś mu powiedzieć do ucha szeptem.

- Ci ludzie patrzą na nas - powiedział Karl zaciskając wargi. Paul wzruszył ramionami.

- No to co?

- Nie zależy ci na tym?

- A niby dlaczego?

- Nie jestem zabawny.

Paul skorzystał z okazji: - Powinieneś powiedzieć im, jaki jest twój zawód. Na pewno nie powiedzieliby, że jest zabawny.

Karl bawił się w ustawianie monet w równe stożki na blacie stołu, suwając palcami w górę i w dół po ich krawędziach. Teraz jego ręka zamarła w bezruchu.

- Masz na myśli moje nauczanie?

- Mam na myśli Kelso, Manheima, Durninga, Wilsona, Schradera j Beaumier.

W miarę jak wymieniał nazwiska wydawało się, że osoba Karla zapada się opuszczając jego ciało, zostawiwszy jedynie pustą skorupę z dwójgiem wlepionych w niego oczu.

- Dla kogo pracujesz?

- Powiedziałem ci: waszyngtoński Herold.

- Wiesz, co mam na myśli.,

- Chodzi ci o to, czy jestem z CIA? W tym momencie nie. Jutro może. To może zależeć od ciebie. Wiem, co robisz, Karl. Wiem, że jesteś czymś w rodzaju mordercy do wynajęcia, prawdopodobnie dla KGB... Jesteś także moim bratem, a co ważniejsze - synem mojej matki. CIA nie ma o tobie, jeszcze, pojęcia. Mogę zostać przekonany, aby wszystko pozostało tak dalej. Jeden warunek - nie będzie więcej zabójstw.

Karl wydawał się nie oddychać. Paul nagle uświadomił sobie coś, czego wcześniej starał się pozbyć z myśli: ten człowiek mógłby go zabić.

- Powiedziałeś, że CIA nic o tym nie wie - powiedział w końcu Karl. - Ale ty wiesz. W jaki sposób?

Nadszedł czas powiedzenia całej prawdy. Paul zrobił głęboki wdech i powiedział mu o snach, o opowiadaniach w Black Cat, o ludziach z CIA, którzy przyszli się z nim zobaczyć. Karl tylko się mu przyglądał. Kiedy wyciągnął kilka poprzednich numerów magazynu, które przywiózł ze sobą i zwrócił uwagę na datę, Karl powiedział: - Wszystko można wydrukować, zwłaszcza z pomocą CIA. Z jakiego innego powodu ktoś publikowałby takie... sny?

- Koszmary. Nazwiska, wszystkie szczegóły. To nie jest przyjemne. Ale ty wiesz o tym - a może nie. Może lubisz zabijać. Sam zresztą nie wiem.

Karl potrząsnął głową, usiadł głębiej na krześle, bawił się monetami. Przynajmniej jest zdenerwowany, pomyślał Paul. Wstąpiła w niego odrobina nadziei, że jest w stanie przełamać obronę tamtego, zajrzeć mu do wnętrza. Musiał to zrobić, jeśli kiedykolwiek miał zrozumieć, jak to się stało, że człowiek o tych samych genach co on, wyglądający jak jego własne odbicie w lustrze, z którym mieli wspólnych rodziców, był zdolny do popełniania morderstw. Musiał się upewnić, że w nim samym coś takiego nie siedzi.

Karl podążył za spojrzaniem Paula i uświadomił sobie, co robi, przesuwając palcami wzdłuż stożków monet. Wrzucił je do kieszeni, niezadowolony z okazania swych uczuć. Nie był przygotowany na to, by sobie radzić z własnym bratem, który na dodatek wiedział o jego mokrej robocie dla KGB. Wszystko się w nim buntowało przeciw pogodzeniu się z myślą o koszmarach, mających wyjaśnić wiedzę tamtego.

- Jeśli to ci w czymś pomoże - mówił Paul - sam w to nie wierzyłem, dopóki matka mi o tobie nie powiedziała.

- Wolałbym mówić po angielsku - powiedział Karl.

- Jesteś człowiekiem utalentowanym.

Słyszac Karla mówiącego po angielsku, Paula przeszedł dreszcz. Niesamowite podobieństwo między nimi zostało dodatkowo wzmożone; ten człowiek, jego brat, który mówił jego głosem, teraz używał tych samych słów, dźwięków i znaczeń, których on używał.

Nie przestając mówić po angielsku, Karl pochylił się do przodu i powiedział: - Skąd mogę wiedzieć, że nie przysłała cię CIA?

To było dobrze postawione pytanie, na które Paul nie miał odpowiedzi. - Nie możesz stwierdzić, kiedy mówię prawdę?

- A ty możesz to zrobić?

Znowu dobre pytanie. Odpowiedź na nie nie była dobra, tyle tylko, że to była prawda: - Mam nadzieję.

Mam nadzieję, że nie, pomyślał Karl. Stawał się niespokojny, kiedy ten osobnik, jego replika, siedział, patrzył i analizował...

- CIA mogło dostarczyć ci wszystkich szczegółów na temat morderstw, zanim napisałeś te opowiadania.

- Nie zrobili tego.

- Jest to bardziej sensowne niż sen.

- Upozorowałeś większość z nich na nieszczęśliwe wypadki, pamiętasz?

- CIA to nie głupki. Mogli przypuszczać opierając się na poszlakach, nawet jeśli nie mogli ich udowodnić.

A więc w końcu przyznaje się? Paul pochylił się w jego kierunku. - Dań Kelso, zadałeś mu cios w żołądek przed wyrzuceniem go za burtę. Czy mogli to podejrzewać? Ta dziewczyna, Lisie Beaumier - co do niej powiedziałeś? „Chcę cię wylizać do sucha”!

Karl zerwał się na równe nogi. Niewiara, nawet strach odmalowały się na jego twarzy.

- Sny - wyszeptał Paul.

Karl kiwnął głową, zmuszony uwierzyć w to.

- To stąd wiem o Tante Inge.

Usiadł. - Powiedziałeś... myślałem, że to matka ci o niej opowiedziała.

- Opowiedziała. Ale to było po tym, jak zostałem zahipnotyzowany i przypomniałem sobie sny, które miałem jako dziecko. Sny o ciotce Indze.

- Wiesz co ona zrobiła?

- Nie w szczegółach. Wiem, że bałeś się jej śmiertelnie, mdliło cię ze strachu - przynajmniej ja się tak czułem, kiedy wyzwoliłem to z siebie.

Dziwne, wzmianka o Tante Inge spowodowała, że Karl odzyskał samokontrolę, przynajmniej powierzchownie. - Tante Inge - powiedział - masz ochotę dowiedzieć się, co się stało, kiedy ty i twoja matka - kiedy moja matka - opuściła mnie? Chcesz się dowiedzieć? Słuchaj zatem. Dowiedz się wszystkiego, bracie.

Wstał, podszedł do kasy i położył garść banknotów na ladzie. Wyszedł. Kiedy Paul go dogonił, Karl szedł szybkim krokiem, ze wzrokiem wbitym prosto przed siebie. Idąc opowiedział Paulowi historię swojego dzieciństwa. Mówił gorzko, coraz głośniejsze i szybciej, tak szybko, że Paul z ledwością był w stanie rozróżnić słowa.

- Sprzedała mnie, rozumiesz? Kiedy ty w Ameryce chodziłeś do szkoły, do kina, bawiłeś się z dziećmi, Tante Inge sprowadzała mężczyzn do mojego łóżka. Powiedziała, że jeden z nich mógł być moim ojcem, że sprawdzą, jak bardzo mnie kochają. Miała jedną płytę - piosenkę „Liii Marlene” - grała ją bez przerwy, a mężczyźni wchodzili mi do łóżka i

używali mnie dla swojej przyjemności. Bawili się moimi genitaliami. Smarowali olejem i masłem, wpychając palce, gwałcąc mnie. Czasami przychodziła kobieta, czasami Tante Inge, wszyscy razem. Kiedy ty oblizywałeś loda, ja musiałem to robić z nimi. To, co z tego wynikało,) było dowodem ich miłości. Tante Inge mawiała. „Masz połykać mleczko twojego partnera, albo nie będziesz jutro jadł.” To była miłość. Pieniądze) wydawała na wódkę i perfumy. Jeden z nich dał mi książkę, ilustrowaną wersję Odysei. Byłem zamknięty w mieszkaniu, ta książka ofiarowała mi wolność. Zabrała mi ją. Wyrzuciła. To było pogwałcenie reguł. Niczego nie mogłem mieć.

Jeszcze przyspieszył kroku, jakby zmusiła go do tego powódź” znieawidzonych wspomnień. Paul pozostawał pół kroku za nim. Było mu trudniej zrozumieć słowa, ale czuł, że w tym napadzie wylewności Karl nie chce - nie jest w stanie - spojrzeć mu w oczy. Nie wcześniej aż skończył swoją wypowiedź, Karl zatrzymał się i odwrócił, aby stanąć przodem do niego.

- Rozumiesz teraz? Świat wypiął się do mnie tyłem. Sam stworzyłem siebie! Nastąpiła krótka przerwa i dodał: - Nie masz prawa mnie osądzać.

Szli wzdłuż szerokich błoni z boiskiem piłkarskim w środku. Nagle, Karl zrzucił marynarkę na ziemię i zaczął biec. Biegł po trawie w kierunku boiska, skręcił w prawą stronę wzdłuż obwodu. Biegł szybko, mocno pracując rękami, z głową odrzuconą do tyłu.

Paul usiadł na ławeczce, wstrząśnięty tym, co właśnie usłyszał. Całkowite zdeprawowanie Karla w dzieciństwie brzydziło go, chociaż ofiarowało wyjaśnienie źródeł późniejszego okrucieństwa Karla. Zrozumienie, ale nie usprawiedliwienie. Nic nie mogło tego usprawiedliwić całkowicie, ale dzieciństwo Karla przyczyniło się do tego znacznie. Dziecko traktowane brutalnie przez Tante Inge i jej klientów wyrosło na mordercę. Przyszłość Karla została poświęcona za zdrowie Paula. Wiele lat później niewinnym ludziom przychodzi płacić za to wysoką cenę. Bardziej niż kiedykolwiek Paul czuł się zobowiązany do położenia kresu zabójstwu, dla dobra Karla i jego...

Karl biegał aż do wyczerpania. Stanął zgięty wpół, z rękami na kolanach, próbując odzyskać oddech. Paul przyniósł mu swój płaszcz, Karl wyprostował się i założył go na siebie.

- Chodź - powiedział Karl - zabiorę cię z powrotem do Berlina Zachodniego.

Wciąż jeszcze ciężko oddychał. Obydwaj zawrócili w kierunku restauracji.

- Nie musisz tego robić - powiedział Paul - wystarczy, że podrzucisz mnie do S-Bahn.

- Nie robię tego tylko dla ciebie. Moja żona robi zakupy w KaDeWe od popołudnia.

Wiesz gdzie to jest? Duży sklep departamentowy?

- Przechodziłem obok niego któregoś dnia.

- Magda wyjeżdża na zachód raz w miesiącu. Idziemy na kolację i do teatru. Jeśli jej nie opowiesz o naszej rozmowie, możesz się z nią spotkać.

Paul zawahał się. Po tym co usłyszał i dodając to, co wiedział, nie ufał swojemu bratu. Spostrzegłszy jego reakcję, Karl uśmiechnął się: - O ile tylko nie podejrzewasz, że chcę cię zastrzelić i wrzucić ciało do Szprewy.

- Prawdopodobnie wiedziałbym o tym, gdybyś miał na to ochotę.

Ale nie wierzył w to. Nie umiał czytać w myślach. Jedyne wrażenia, jakie udało mu się odebrać od, Karla, były te, które tamten naprawdę przeżywał. I nawet w tym przypadku działo się to tylko wtedy, kiedy Paul spał, a Karl był w stanie wysokiego pobudzenia emocjonalnego. Bardzo chciałby umieć odczytywać myśli Karla, czułby się o wiele bardziej bezpieczny.

Po powrocie do restauracji Paul wyjął Ricoh'a i poprosił kelnera o zrobienie im zdjęcia. Karl zaprotestował: - Nikomu na to nie pozwolę.

- To dla naszej matki. Chcę jej udowodnić, że żyjesz.

Spojrzenie Karla stwardniało, przez moment Paul był pewny, że odmówi. A potem nastąpiła delikatna zmiana wyrazu i zgodził się. Kelner ustawił ich przy wejściu do restauracji. Spowodował nawet, że przyjęli identyczne pozy i nalegał, aby Paul przyczesał włosy na sposób Karla.

Zanim wyszli, Karl zatrzymał się przy kiosku i kupił dwie paczki miętowych dropsów. Paul zastanawiał się, w jaki sposób odwieść Karla od popełniania dalszych morderstw, nie zwrócił uwagi na zdenerwowanego, uśmiechającego się mężczyznę za ladą. Idąc w kierunku samochodu Karl, podał Paulowi paczkę dropsów.

- Masz ochotę na jedną? - Paul włożył tabletkę do ust i więcej o tym nie myślał.

Po tym jak wyszli, człowiek za ladą zamknął sklepik i podszedł do telefonu. Wyjął karteczkę i wykręcił zapisany na niej numer. Połączenie było z Berlinem Zachodnim.

- Tak? - Nieznany głos odezwał się w słuchawce.

- Mam wiadomość od K.

- Mów.

- Kupił dwie paczki dropsów.

- Dwie?

- Tak.

- Wyjeżdża teraz?

Mały człowieczek wyjrzał z budki w kierunku parkingu.

- Tak, właśnie wyjechał.

Telefon zamilkł. Kioskarz pomacał dwadzieścia marek, które otrzymał od tajemniczego K. Dwadzieścia marek za zwykłą rozmowę telefoniczną. Pech, że nie może rozdzielić tych pieniędzy, tak jak K. wyraźnie był zdolny do rozdwojenia własnej osoby.

Uśmiechając się do własnych myśli, kioskarz wrócił do swojego sklepika.

Paul powrócił do sprawy zabójstw agentów CIA w drodze powrotnej. W pierwszej chwili, Karl wydawał się być zadowolony okazaną troską.

- Oni wszyscy są agentami, szpiegami, zdrajcami. Co cię oni obchodzą?

- Ponieważ ja wiem, kiedy ich zabijasz. Muszę żyć z tobą. Trzask łamanego kręgosłupa, wyraz ich twarzy, ostatnie westchnienie umierającego człowieka. Mam wrażenie, że sam tego dokonuję, rozumiesz?

- Co zrobisz, jeśli odmówię?

- Powiem im.

- CIA?

- Nie będę ci towarzyszył w morderstwach, Karl.

Karl sprawił mu niespodziankę. - To mogę zrozumieć... porozmawiam z moimi przełożonymi.

Paul powinien poczuć ulgę, ale pomimo oświadczenia Karla nie mógł zapomnieć jego wcześniejszej uwagi o wrzuceniu jego ciała do Szprewy. Był czujny na każdą zmianę kierunku i poczuł ulgę nie wcześniej, nim zbliżyli się do bariery, po wschodniej stronie przejścia granicznego Charli.

Kiedy jeden z żołnierzy wschodniej Grenzpolizei obserwował w lusterku podwozie ich samochodu, drugi zażądał dokumentów. Karl mignął legitymacją służbową i wartownik, jasnowłosy młodzieniec, który bardziej przypominał farmera niż policjanta, momentalnie się wyprostował.

- Tak jest, obywatelu - powiedział - a on?

Karl podał mu wizę Paula. Policjant poczuł się nieswojo. - Przepraszam, obywatelu, ale ten człowiek przekroczył granicę na stacji S-Bahn Friedrichstrasse. Musi wrócić tą samą drogą.

- Wraca ze mną.

Policjant chrząknął: - Ale przepisy mówią...

- Czy mam wysiąść z samochodu i wezwać dowódcę - przerwał mu Karl lodowato - stracisz pracę.

- Chwileczkę, obywatelu. - Obrzuciwszy stroskanym spojrzeniem innych członków Grenzpolizei, zniknął w budynku posterunku.

Karl wyraźnie się niecierpliwił opóźnieniem. Jego serdeczny palec nerwowo uderzał o kierownicę. Siedzieli pod daszkiem, po obu stronach były budki, każdy miał przed oczami biało-czerwony szlaban. Obok było przejście dla pieszych, oddzielone płotem. Dalej była ziemia niczyja. Szeroki pas ziemi, zaoranej i wybronowanej, który otaczał zygzakami zachodnią część miasta.

Młody wartownik pojawił się ponownie w towarzystwie starszego mężczyzny, uosobienia sprawności i kompromisu. Pochylił się i przemówił do Karla.

- Bez obawy, obywatelu. Zajmiemy się wszystkim. Biało-czerwony szlaban uniósł się do góry, czerwone światło zmieniło kolor na zielony i przejechali sto jardów do amerykańskiej części; tam żołnierze amerykańskiej piechoty morskiej, w pełnym umundurowaniu, nie zwrócili na nich uwagi.

- Nie zatrzymujesz się po tej stronie? - zapytał Paul.

- Twoje amerykańskie siły zbrojne nie uznają podziału Berlina i co za tym idzie nie traktują tego jak granicy. Wartownicy pełnią służbę tylko jako członkowie sił okupacyjnych.

Paul pokiwał głową. Teraz, kiedy znaleźli się w amerykańskiej strefie, czuł się znacznie lepiej. Uzgodnili, że Karl zatelefonuje następnego dnia, po rozmowie ze swoimi przełożonymi w sprawie nowych zadań.

Wjechali do piętrowego garażu w KaDeWe, na trzeci poziom, pomimo że na drugim było kilka wolnych pozycji. Paul nie zwrócił na to uwagi. Po co? Teraz czuł się na własnych śmieciach. Nie zauważył też, gdzie Karl zaparkował samochód. Było to miejsce ograniczone z jednej strony betonową ścianą, a z drugiej volkswagenem Camper.

- Zatem do jutra - powiedział Karl.

Wyciągnął dłoń. Kiedy Paul podał mu swoją, tylne drzwi otworzyły się i samochód zakołysał się, tak jakby ktoś wszedł.

- Przepraszam - powiedział Karl, zaciskając uścisk, pochylając się do przodu i przygważdżając Paula do siedzenia.

Paul poderwał się natychmiast do góry i w przód. Może byłby zdolny wyswobodzić się, gdyby nie pasy bezpieczeństwa, których zawczasu nie odpiął. Od tyłu, ręka owinęła się naokoło jego szyi, biały kawałek płótna zakneblował mu usta.

Próbował zawołać o pomoc, ale okrzyk został stłumiony i tak wiedział, że to bezcelowe. To byli zawodowcy, nikt by nie usłyszał jego wołania. Kopał i wykręcał się,

próbując uwolnić rękę. Kiedy wykonał wdech, poczuł że nie używają chloroformu, lecz czegoś mniej śmierdzącego, za to znacznie silniejszego.

Poczuł dziwny zawrót głowy, ostatnią rzeczą jaką usłyszał, jakby z oddali, był głos Karla, tym razem tuż-nad uchem. - Śpij spokojnie...

A potem tylko ciemność.

Rozdział 15

W żaden sposób nie można przewidzieć zachowań Amerykanów, za decydował urzędnik za biurkiem hotelu InterContinental. Niektórzy chcieli być traktowani jak królowie, podczas gdy inni czuli się obrażeni jeśli nie zachowywał się tak, jak wobec starych przyjaciół. Weźmy na przykład gościa z pokoju 317, Paula Stafforda. Kiedy się meldował, stroił sobie żarty na temat namiotu cyrkowego na trawniku. Człowiek o swobodnym obejściu, z poczuciem humoru. A dzisiaj, kiedy 317 wrócił aby się wymeldować, urzędnik odpowiedział dowcipem na temat słoń i co usłyszał w zamian? 317 popatrzył na niego zmarszczywszy brwi i zapytał: - Co pan ma na myśli?

- Nic, sir.

- Musiało panu przecież o coś chodzić.

- Tak, sir. Odniosłem się do dowcipnej uwagi o namiocie wystawowym, którą pan zrobił tamtego dnia. 317 wyjrzał na zewnątrz, potem uśmiechnął się pusto.

- Och, racja...

Nic złego się nie stało, pomyślał urzędnik. Oczywistym było, że 317 nie był w nastroju do poufaleści. Trudni do rozszyfrowania, niezadowoleni Amerykanie.

Nie było innego wyjścia, myślał w duchu Karl, czekając, naZbyt szybko, zbyt wiele się działo. Potrzebował czasu przynajmniej na sprawdzenie wszystkich faktów. Potrzebował czasu, którego nie miał Za trzy dni miał wyjechać do Ameryki. Za trzy tygodnie Sekretarz Generalny miał planowany przylot do bazy Andrews sił powietrznej

U.S.A. Musiał być gotowy i nie miał czasu na negocjacje ze swoim nowo odnalezionym bratem. Obecność Paula zagrażała misji Redeye. Nie miał innego wyjścia.

Kiedy nadszedła winda, wysiadła z niej grupa businessmenów oznaczonych plakietkami z nazwiskami. Karl wszedł do środka, nacisnął guzik na trzecie piętro. Sprawdził wygląd w lustrze. Kurtka, dżinsy, koszula i buty, wszystko leżało na nim doskonale. Umył i uczesał włosy w stylu bardziej swobodnym. Przebranie - jeśli to tak można nazwać - było

idealne. „Paul Stafford” zbierze teraz swoje rzeczy, wymelduje się z hotelu i rozplynie w powietrzu.

Pokój Paula wyglądał jak każdy luksusowy pokój hotelowy, łącznie z owiniętymi w folię czekoladkami na poduszkach i karteczkami z życzeniami dobrej nocy. Na zewnątrz szklanych drzwi balkonowych widać było dach cyrkowego namiotu. Karl zaciągnął zasłony, lecz przypomniał sobie: jest Paulem Staffordem, a nie intruzem. To był jego pokój. Nie było powodów do obaw, że ktoś go zobaczy.

Jego pierwszym zadaniem było odzyskanie dokumentów, które dostały się w ręce Paula. Zaczął szukać w szafce. W pierwszej szufladzie był przewodnik po mieście, hotelowe pocztówki, spis oferowanych przez hotel usług do pokoju. Druga była wypełniona koszulkami bawełnianymi i bielizną. W momencie, kiedy zaczął przesuwac rękę po dnie szuflady, dostrzegł jakiś ruch odbity w lustrze i zamarł.

W drzwiach do przyległego pokoju stał człowiek.

- Tego szukasz? - powiedział mężczyzna. W ręku trzymał obydwaj paszporty.

Karl odwrócił się. A więc jego wspianiały nowy brat go oszukał. Paul powiedział, że przybywa sam i Karl mu uwierzył. Człowiek w drzwiach wyglądał jak ci z CIA - krótko ostrzyżone włosy, źle skrojone amerykańskie ubranie - tak jak amerykańscy cywile, którzy zalali Berlin w latach pięćdziesiątych.

- Powiedziałem do Maurice'a, że jesteś niewinny - kontynuował mężczyzna. - Annie Helms też była tego zdania. Wygląda na to, że on miał rację, a nie my.

Spokojnie, tylko spokojnie, myślał Karl. Jeszcze nie jest spalony - jeszcze nie. Ten człowiek bierze go za Paula, teraz dopiero musi zagrać swoją rolę. Co Paul mu powiedział o CIA? Przyszli do niego, pełni podejrzeń. Spotkał się z nimi tylko kilka razy. Ten tutaj był jednym z nich. Żałował, że nie wyciągnął więcej informacji od swojego brata.

- To jest mój pokój - odezwał się zimno, starając się zyskać na czasie, szukając w pamięci czegoś, co mogłoby mu pomóc.

- Ale paszporty nie są twoje - powiedział Hugh Roark. - Ani prawo jazdy. Sprawdziliśmy, zostały skradzione. Zanim przyjedzie tu policja, chcę wiedzieć tylko jedno - do czego były ci one potrzebne?

Karl ocenił dzielącą ich odległość. Dwadzieścia stóp. Jeśli by mógł podejść trochę bliżej...

- To jakieś żarty - powiedział Karl spokojnie. - Spójrz, możesz to sprawdzić na odwrocie...

Posunął się do przodu, ale agent CIA wsunął rękę pod marynarkę i wyjął pistolet.

- Zatrzymaj się, Paul. Nie ufam ci już więcej.

Nie jestem Paulem, Karl miał ochotę wrzasnąć. Złapany w pułapkę zastawioną na jego brata... Zawiadomiono policję, tak powiedział ten człowiek. Jeśli go aresztują, znajdą jego prawdziwy dowód tożsamości. Cała misja Redeye będzie zagrożona, może nawet ujawniona. Zdecydował zachować się bezczelnie. Nadzieja w otwarciu... - To śmieszne. Idę po kierownika...

- Paul...

- To niepoważne, mogę to udowodnić.

Jak? Nie miał zielonego pojęcia. Zbliżał się do drzwi. W każdej chwili spodziewał się usłyszeć ostry huk eksplozji, poczuć kulę rozrywającą się w jego plecach. Jedyne jego wytrenowany instynkt podpowiadał mu, że ten człowiek, nie strzeliłby drugiemu w plecy. Był zawodowcem, przekonany na dodatek, że ma do czynienia z „cywilem,” nawet jeśli on był winny...

Nie przestawał mówić, trzymając ręce na widoku. Agent CIA nie poruszył się. Kiedy otworzył drzwi, zrozumiał dlaczego. Drugi mężczyzna, młodszy, z uśmiechem na ustach, zablokował mu drogę. Ten także trzymał pistolet w ręce.

- Z powrotem, Paul - powiedział, wpychając pistolet w spłot słoneczny Karla.

Karl zareagował odruchowo. Zakołysał się w jedną stronę, lufa broni minęła cel, ześlizgując się po jego klatce piersiowej. Jednocześnie, w ciągłym ruchu do przodu, zrobił jeden krok bliżej, unieruchomił rękę z pistoletem, a swoją rękę owinał dookoła szyi tamtego. Obracając się w pasie w kibunage, przewrócił przeciwnika do wnętrza pokoju.

Odbyło się to tak gładko i szybko, jak demonstracja na treningu w Szkole Samoobrony. Karl usłyszał odgłos zdziwienia w chwili, gdy agent uderzył o podłogę, a potem ostry trzask, gdy broń wypaliła. Ekran telewizora rozleciał się w drobny mak. Starszy człowiek upadł na kolana, gdy Karl wybiegał na korytarz zatrzaszczając drzwi za sobą.

Biegł szybko. Jakaś kobieta przyglądała się mu niespokojnie, prawdopodobnie słyszała odgłos wystrzału. Dwaj policjanci nadbiegli zza za-krętu korytarza. Policjant wydobyl broń.

Karl zatrzymał się, złapany między policją a pokojem, w którym byli agenci CIA. Drzwi do pokoju 315 uchyliły się, rumiany mężczyzna wyjrzał na korytarz.

- Co to za hałasy?

- Włącz do środka - Karl warknął na niego. - On ma pistolet. - Popchnął go do środka i wszedł za nim. Trzech innych siedziało naokoło łóżka i grało w pokera. Czerwone, niebieskie i białe żetony były rozrzucone na łóżku, podłoga zaślana pustymi butelkami po piwie. Dwaj

zdjęli marynarki i podwinęli rękawy koszuli; trzeci siedział ubrany tylko w podkoszulek, z brzuchem wylewającym się ponad paskiem.

- Pistolet? - powiedział jeden z nich. - Czy to...?

Drzwi na balkon były otwarte. Karl przebiegł po łóżku, rozrzucił karty i żetony, wylał piwo. Okrzyki gniewu towarzyszyły mu aż na balkon. Pod nim, w odległości dziesięciu stóp, rozciągał się spadzisty dach namiotu.

Karl wspiął się na barierkę, przykucnął na moment, a potem odbił się w powietrze. Namiot był podtrzymywany linami, Karl kierował się ku jednej z nich, mając nadzieję, że tkanina nie podrze się pod jego ciężarem. Ktoś na dole krzyknął i świat runął w jego kierunku.

Uderzenie nie było zbyt silne, ale prawa kostka zaplątała się w płótno. Namiot ugiął się pod jego ciężarem a on sam stoczył się w dół.

Spadł tuż obok ludzi wpatrzonych w zapadający się dach namiotu. Wyraźnie jakieś przyjęcie było w pełnym toku. Mężczyźni i kobiety stali ubrani w wieczorowe stroje, z kieliszkami w jednej ręce, z krakersami i kawałkami sera w drugiej. Stolik tuż obok niego był zastawiony pełnymi kieliszkami z białym winem. Karl ruszył do przodu, poczuł ostry ból i zatoczył się na stolik. Kieliszki z brzękiem przewróciły się. Barman popatrzył na Karla z przestraczeniem.

- Czy pan upadł, sir?

- Tam u góry jest człowiek z pistoletem - powiedział Karl. - Idę sprowadzić policję.

Nie zwracając uwagi na ból w kostce, wszedł do hallu. Za plecami słyszał wiadomość podawaną szeptem z ust do ust: Pistolet? Kto powiedział pistolet? Co się dzieje?

Karl szedł tak szybko, jak tylko potrafił. Z każdym krokiem ból w kostce wydawał się zwiększać. Ucieczka na piechotę była niemożliwa. Potrzebował samochodu, ale najpierw musiał przejść przez hall nie zwracając na siebie uwagi. Oczekiwał, że w każdej chwili otworzą się drzwi

Od windy i wysypie się grupa policjantów albo agentów CIA. Zmusił się, by zachowywać się nonszalancko. Z tyłu słyszał uczestników gry w pokera krzyczących do tłumu na dole.

Doszedł do wyjścia i opuścił hotel. Na podjeździe stały dwa samochody: taksówka i czarna limuzyna. Pasażer taksówki jeszcze odliczał należność. Limuzyna była pusta, tylko z otwartego bagażnika kierowca wyladowywał walizki.

Z hallu ktoś krzyknął: - Zatrzymać go...

Przeszedł do limuzyny. Drzwiczki od strony kierowcy były otwarte, kluczyki tkwiły w stacyjce. Wsunął się do środka i przekręcił kluczyk.

- Hej...

Kierowca pobiegł za nim, a kiedy zobaczył, że samochód odjeżdża, złapał za klamkę w tylnych drzwiczkach, biegł zajadle starając dotrzymać mu kroku, aż potknął się i upadł. Teraz Karl wjechał już na ulicę. Szarpnął kierownicą w lewo i skierował się na wschód na Budapester-strasse. Dwieście stóp przed nim droga skręcała i biegła wzdłuż Tiergar-den. Dalej był kanał Landwehrkan i boczne uliczki, doskonale miejsce, aby się zgubić...

Usłyszał trzy szybkie puknięcia. W lusterku wstecznym zobaczył młodszego agenta CIA, który stał na szeroko rozstawionych nogach i mierzył w jego kierunku z pistoletu. Zanim Karl zdążył wykonać skręt, mężczyzna upadł na jedno kolano i strzelił jeszcze dwa razy. Natychmiast w przedniej i tylnej szybie ukazały się otworki po kulach. Przejechał zakręt i zniknął im z oczu.

Karl uśmiechnął się, lecz w tej samej chwili uśmiech zamarł na jego ustach. Drogę przed nim zatarasowały trzy samochody. Kierowca mikrobusu, próbując wycofać pojazd na podjazd, zablokował przejazd. Na chodniku nie było dla limuzyny miejsca, było zbyt wąsko. Karl nacisnął hamulec, opony zapiszczały, gdy ciężki samochód wykonał w poślizgu kontrolowanym obrót o sto osiemdziesiąt stopni. W ułamku sekundy jechał już w przeciwnym kierunku, ponownie minął zakręt, do hotelu. Agent szedł ulicą, kiedy Karl znów się pojawił. Przestraszony, odwrócił się, przykląkł ponownie na jedno kolano i wycelował. Karl jechał wprost na niego, osunął się nisko na siedzenie. Chronił go blok silnika, ale nie mógł widzieć drogi przed sobą, więc skierował się na odległy budynek na linii, na której stał strzelec. Jeszcze dwa strzały, dwie dodatkowe dziury w szybach, jedna z nich w miejscu, gdzie przed momentem była jego głowa.

Kiedy koła uderzyły w krawężnik, Karl skręcił w lewo, na ulicę. Wyprostował się na siedzeniu. Tak jak to przewidział, agent uskoczył w bok i uniknął zderzenia z autem. Sylwetka zgiętego w pół mężczyzny, biegnącego przez trawnik, mignęła mu w lusterku. Na ulicę przed hotelem wyszedł policjant i stanął na środku jezdni, z jedną ręką wzniesioną do góry, jak żołnierz na warcie. Starał się go zatrzymać, jakby był policjantem z drogówki. Karl nacisnął klakson i przyśpieszył. Ruszaj się, do diabła. Ale ten człowiek nie zamierzał oddawać pola. Karl zakołysał samochodem w obie strony, aby go przerazić, trąbiąc cały czas. Żaden samochód nie nadjeżdżał z przeciwka, więc kiedy policjant się nie poruszył, Karl poczekał do ostatniej sekundy i zboczył na drugi pas. Miał zamiar ominąć go bardzo blisko, przestraszyć, ale kiedy w ostatniej chwili policjant próbował uskoczyć w bok, wybrał zły

kierunek. Prawy błotnik uderzył go i odrzucił na bok. Czapka potoczyła się po przedniej szybie. W lusterku Karl zobaczył go, jak pada ciężko na trawnik oddzielający chodnik.

Wreszcie przejechał obok hotelu, droga była wolna. Na Niirnberger-strasse skręcił w lewo i w następną przecznicę w prawo, znowu w lewo i w prawo. Skręcał tak, raz w prawo, a potem w lewo, dopóki nie pochłonął go olbrzymi labirynt miasta.

Zatrzymał się przy U-Bahn na Yorkstrasse, gdzie przecinały się trzy linie metra. Wylał odciski palców i wsiadł do pociągu numer 7, jadącego na południe. Siedząc w wagonie miał okazję rzucić okiem na kostkę. Już była spuchnięta, ale doszedł do wniosku, że nie wyglądało to zbyt poważnie. Dobry kompres i opaska z bandaża elastycznego powinna wystarczyć...

Teraz, kiedy wszystko się skończyło poczuł słabość i zmęczenie. Zbyt wiele nowości, za dużo się stało naraz. Przymknął powieki, oddychał głęboko, porządkując myśli. Przez chwilę rozważał, czy nie zatelefonować do wujka Aleksandra, ale nie zdecydował się na to. Misja Redeye pozostawała tajemnicą - ludzie z CIA brali go za Paula, a ten został bezpiecznie usunięty z drogi. Wszystko mogło iść zgodnie z planem. W rzeczy samej, mógł wykorzystać tożsamość Paula dla swoich celów. W międzyczasie Karl dotarł do stacji Neukoln-Rathaus, przynajmniej kontrolował już sytuację.

Wróciwszy do swojego samochodu rozważał, czy ominąć czy też nie Checkpoint Charlie i wrócić przez jedną z trzech granicznych stacji na zachodnim krańcu miasta. Od tych przejść biegły autostrady wiodące wprost do Niemiec Zachodnich, ale do najbliższego było jakieś pół godziny drogi. Checkpoint Charlie oddalony był tylko o minutę. Nie mieli czasu rozesłać zdjęć Paula, a jeżeli wszczęli alarm, to policja będzie raczej szukać ukradzionej limuzyny a nie mercedesa.

Checkpoint Charlie był ułatwieniem dla armii amerykańskiej i tylko pojazdy wojskowe były tu zatrzymywane. Nie było tu zapór drogowych, a kiedy amerykański wartownik w pełnym umundurowaniu zobaczył tablicę rejestracyjną NRD, zignorował go. W chwilę później Karl był z powrotem na terenie Wschodnich Niemiec.

Nie był pewny, czy jego brat próbował go oszukać, czy też sam został oszukany przez CIA. Nie było to ważne w tej chwili. Nauczył się bardzo dawno temu, że to czy misja zakończy się sukcesem, czy porażką zależy od umiejętności przystosowania się do nieoczekiwanych okoliczności i wykorzystywania gróźb dla własnej korzyści. Dotknął paszportu Paula, spoczywającego bezpiecznie w kieszeni. Nieoczekiwane pojawienie się jego brata Paula, już przyniosło korzyści.

W Stanach Zjednoczonych wiadomości, że Paul Stafford został zamieszany w kradzież samochodu i potrącenie człowieka nadano mniejszą rangę, ponieważ w tym dniu między-innymi było porwanie i atak na amerykański okręt wojenny w Kanale Sueskim. Napisano o tym tylko jednokolumnową notatkę na ostatnich stronach w większych gazetach. W telewizji nie poruszano tego tematu wcale. Wyjątkiem był waszyngtoński Post, który umieścił artykuł na tytułowej stronie; „Reporter Heralda oskarżony o kradzież samochodu.”

U Herolda Bernie Stern musiał odpowiadać na pytania dotyczące Paula, lecz sam nie znał na nie odpowiedzi. Wszyscy chcieli wiedzieć, co Paul robił w Niemczech, dlaczego ukradł limuzynę i czy powrócił już do Stanów.

- Nie pracuje nad żadnym artykułem dla nas - powiedział im Bernie. - Nie odwołał swoich spotkań w tym tygodniu. Nie mam pojęcia, co on teraz robi. Nic nie wiem.

To nie był ten rodzaj informacji, które zadowolilyby Joyce i Tony'ego Mayhue, właścicieli Herolda, z którymi Bernie rozmawiał natychmiast po otrzymaniu depeszy. Joyce powiedziała głosem, któremu udało jej się nadać jednocześnie wesołe i ostre brzmienie:

- Czy pracuje nad czymś, czy nie, reprezentuje Herolda.

Bernie powstrzymał się od przypominania jej, że był przeciwny podpisywaniu umowy dającej Paulowi wolną rękę. Przewidywał, że to zachęci go do jeszcze bardziej niefrasobliwego zachowania. Nikt nie zaprzeczał, że Paul należał do ścisłej czołówki dziennikarzy - inteligentny, pomysłowy, wytrwały - ale był jednocześnie egoistą, niezależnym i bardzo drażliwym. Bernie uważał, że te cechy tylko zostaną uwydatnione przez podpisanie niezależnego kontraktu. Ale Mayhue przegłosowali go i to był tego rezultat. Wszystko, co mógł zrobić to zatelefonować do mieszkania Paula i zostawić wiadomość z prośbą o porozumienie się z nim tak szybko, jak to tylko możliwe. Nie łudził się zbytnio, że wiadomość odniesie jakikolwiek efekt.

Osobą, która najdotkliwiej odczuwa rezultaty zajścia w hotelu Inter-Continental był Ray Tregerdemain. Po rozstaniu się z Paulem przed kasynem, Ray przyłączył się do grupki przyjaciół, wśród których znajdowała się Holenderka Nanci Van Zandt. Od czasu do czasu spędzali razem noc, umilając ją sobie twórczością seksualną o takim natężeniu, że Ray za każdym razem, przez kilka dni rozpamiętywał z zachwytem, jakież to go szczęście spotkało. To z jej powodu powrócił do domu dopiero rankiem następnego dnia. Wiadomość od Paula czekała na niego w automatycznej sekretarce:

- Ray, tu Paul Stafford. Ostatniej nocy poszedłem do „Vanilla Rose”. Rozmawiałem z twoim przyjacielem Wenzlerem. Skontaktował mnie z moim bratem. Mam spotkanie po

wschodniej stronie, dziś rano. Wstrzymaj dalsze poszukiwania Anmeldung do czasu, aż dam ci znać. Wpadnę do ciebie, kiedy wrócę.

Wiadomość wywołała w Rayu mieszane uczucia. Z jednej strony historia o braciach obudziła jego ciekawość i chciał znać jej zakończenie, z drugiej zaś wydał większość z pięćdziesięciu marek i bał się teraz, że Paul będzie chciał te pieniądze z powrotem. A więc czekał, co z tego wyniknie. Na następny dzień usłyszał przez radio, że Paul Stafford ukradł samochód i przejechał policjanta łamiąc mu biodro.

Ray zatelefonował do znajomego na posterunku i dowiedział się, że policja była w hotelu w sprawie fałszywych dokumentów, że akcja jest koordynowana przez kwaterę główną policji w Schoneberg i w jakiś sposób we wszystko jest zamieszany rząd amerykański. To ostatnie to były tylko pogłoski. Ray zatelefonował do Schoneberg i konsulatu. W obydwu otrzymał tę samą odpowiedź „brak komentarzy”.

„Źle się dzieje w państwie duńskim”, powiedział miękko do siebie. Usiadł w swoim mieszkaniu urządzonym w piwnicy. Z wolna myśli nabierały rozpędu. Jeśli Paul Stafford był w posiadaniu fałszywych dokumentów, to dlaczego? Albo był zamieszany w jakąś nielegalną działalność - narkotyki, przemyt broni, pranie brudnych pieniędzy - albo chciał ich użyć do przerzucenia brata przez granicę. Wydawało się to najbardziej logicznym wyjaśnieniem: fałszywe dokumenty były dla jego brata i coś się nie udało. Może na granicy znaleziono u niego paszporty, a jemu udało się uciec z powrotem do hotelu, gdzie już na niego czekała policja. To miało sens. Potem jeszcze pogorszył całą sprawę kradnąc limuzynę i potracając policjanta.

Ray potrząsnął głową. To nie miało sensu. Paul Stafford mógł nie dbać o przepisy prawne tam, gdzie w rachubę wchodził pościg za własnym bratem, ale nie był głupi. Posiadanie fałszywych paszportów to nie był tego rodzaju numer, co kradzież samochodu, czy potrącenie na ulicy policjanta. Szczególnie, jeśli działał powodowany humanitarnym posłannictwem wydobywania biednego, uciśnionego brata ze Wschodniego Berlina.

Poszedł do lodówki po butelkę jasnego piwa, produkowanego lokalnie pod nazwą Berliner Weisse. Lodówka była tak ciasna jak i reszta mieszkania; guma naokoło drzwiczek już od dawna przestała uszczelniać i po wewnętrznych ściankach ciągle spływała skroplona woda. Wszystko w jego życiu było ciasne, deprymujące. Potrzebował przełomowego artykułu, aby wyrwać się z kręgu marnego losu. Musiał odnaleźć brata Paula Stafforda.’

Inspirujący pomysł. Obiecał, co prawda, Paulowi, że nie napisze o Kriegserleidnis, ale to było zanim to całe gówno zaczęło tak śmierdzieć. Ponadto, obowiązujący ostatnio punkt widzenia odrzucał zainteresowanie człowiekiem; im więcej było mocnych wiadomości, tym

lepiej. Jeśli byłby w stanie odnaleźć brata Paula, zidentyfikować go, a może nawet przeprowadzić wywiad, miałby to, czego potrzebował - historię, która przyciągnie światową uwagę. „Dziennikarz - uciekinier próbuje ocalić swojego brata bliźniaka” - już mógł sobie wyobrazić nagłówki w gazetach.

Wyjął żółty notatnik i przyciągnął krzesło do kuchennego stołu z obłupanym blatem i metalowymi zardzewiałymi nogami. Chciał nowy stół, nowe mieszkanie. Chciał mieć wszystko nowe.

Spisał listę dzienników i magazynów, które mogły być najbardziej zainteresowane jego artykułem, potem nadał im kolejne numery wskazujące prawdopodobny stopień zainteresowania proponowanym tematem i w jakiej kolejności będzie go wysyłał. Pech, że Paul nie zabił gliniarza. Cała historia stałaby się od razu mocniejsza.

Za bardzo się śpieszył. Wszystko, czym teraz dysponował to opowiadanie Paula o bracie bliźniaku - nie poparte żadnym dowodem - i własne domysły. Kompletnie nic. Podniósł słuchawkę telefoniczną i wykręcił numer do Otto Wenzlera.

- Rezydencja pana Wenzlera - odpowiedział męski głos. Ray zażądał rozmowy z nim osobiście i usłyszał, że Herr Wenzler jest zajęty. Na wzmiankę Ray'a o Paulu Staffordzie Wenzler momentalnie przestał być zajęty i podszedł do telefonu.

Ray uśmiechnął się i rozpoczął swoją śpiewkę.

- Ray Tregerdemain, panie Wenzler. Jestem niezależnym reporterem piszącym właśnie artykuł o Paulu Staffordzie. To ten Amerykanin zamieszany w potrącenie policjanta przed hotelem InterContinental. Wie pan o kim mówię?

- Nie czytam gazet za wyjątkiem działu o sztuce.

- Jasne, doskonale, ja też. Sprawa jest taka. Tak się złożyło, że wiem o rozmowie, jaką przeprowadził pan z Paulem Staffordem na dzień przed wspomnianym wypadkiem. Dowiedziałem się także, że udzielił mu pan informacji, gdzie może znaleźć swojego brata bliźniaka. Chciałbym otrzymać od pana tę samą informację: gdzie znajduje jego brata?

- Nie wiem, o czym pan mówi, Mr. Treasuredome.

- Tregerdemain. Nie jest pan w stanie, obrażając mnie, odstraszyć od tej historii, panie Wenzler. Jestem znany jako Ray-Bulldog.

- Powtarzam, nie wiem, o czym pan mówi.

- Czy to jest pana oficjalne oświadczenie? Mogę przedstawić moją taśmę z nagraniem Paulem Staffordem, że spotkał się z panem, a także pańskie stwierdzenie. Cytuję: „Nie wiem, o czym pan mówi”, koniec cytatu. Zrozumiał pan?

- Tak.

Ray czuł jak ta kopalnia wiadomości, jego wielka szansa, wymyka mu się z rąk. Potrzebował czegoś, co wymusiłoby od Wenzlera odpowiedź. Człowiek zamieszany w tyle podejrzanych przedsięwzięć musiał mieć...

Przypomniał sobie nagle to, co mu powiedział jego informator na temat fałszywych paszportów. Czy to było możliwe, że Paul nie przywiózł ich ze Stanów, lecz otrzymał je na miejscu, w Berlinie? Od Wenzlera? Ray postanowił strzelić na ślepo.

- Pan Stafford powiedział coś jeszcze. Osobą, która dostarczyła paszporty był pan. Czy ma pan na to przygotowane jakieś oświadczenie?

Cisza. Ray poczuł przypływ podniecenia. Czy to możliwe? Czy jego domysły były słuszne? To, że Wenzler rzeczywiście dostarczył fałszywe dokumenty? Jeśli to była prawda, to trzymał tamtego w garści.

- Niech pan posłucha - kontynuował pośpiesznie - to albo zakończy się spotkaniem z bratem Paula, albo na podrabianych paszportach i panu. Osobiście preferuję spotkanie z jego bratem, ale jeśli nie skontaktuje mnie pan z nim, pana osoba znajdzie się na końcu łańcuszka; rozumie pan, jak to jest? Ty pomagasz mnie, ja pomagam tobie.

- Ilu ludzi wie - powiedział Wenzler powoli - o insynuacjach Stafforda?

- Nikt. I nikt się nie dowie, jeśli odeśle mnie pan do jego brata.

- Odnośnie nagrania, panie Tregerdemain, insynuacje są całkowicie fałszywe.

Tylko dla ciebie, chciał powiedzieć Ray, ja nie nagrywam rozmowy. Choć teraz żałował tego.

- Nikt o tym się nie dowie, panie Wenzler, gwarantuję to. Może pan pytać, kogo chce. Mieszkam w Berlinie od dawna, to mój teren i zawsze chronię moje źródła informacji.

- Mam zamiar to sprawdzić. Jeśli będę usatysfakcjonowany, zastanowię się, co mogę zrobić w sprawie człowieka, którego pan poszukuje. Zawsze współpracuję z prasą, o ile to możliwe. Gdzie pan będzie dziś po południu?

- Rano mam wywiad - kłamał Ray - ale powinienem wrócić do domu o trzeciej.,

- Proszę o numer telefonu, zatelefonuję do pana.

Ray podał numer, a Wenzler obiecał, że zatelefonuje między trzecią a trzecią trzydzieści.

Po położeniu słuchawki, Ray zataił ręce z radości. Jego szczęśliwy blef o fałszywych dokumentach bardzo się opłacił. Reakcja Wenzlera powiedziała mu, że sprytnie przypuszczenie tworzy fakty.

- Mr. Strzał-w-dziesiątkę - wykrzyknął Ray, najbardziej z siebie zadowolony od czasu, kiedy udało mu się przeprowadzić pięciominutowy wywiad z prezydentem Kennedy'm w

1963 roku. Nawet zachmurzone niebo, które spowodowało, że w mieszkaniu panował szczególnie ponury nastrój, nie mogło pogorszyć stanu jego ducha. Usiadł i zaczął pisać na żółtym blankiecie tytuł do swojej historii. W euforii nie uderzyło go, że jego błysk geniuszu zmienił stosunki między nim a Otto Wenzlerem - był czynnikiem zaledwie drażniącym, teraz stał się poważnym zagrożeniem.

Rozdział 16

Paul śnił, że płynie w powietrzu, spoglądając z nieba w dół na siebie samego. Był sam, leżał w łóżku ubrany tylko w szpitalny szlafrok. Znajdował się w pokoju o różowych ścianach, bez okien. Jedynym umeblowaniem było wiklinowe krzesło stojące obok łóżka. Próbował otworzyć oczy, ale powieki nie chciały podnieść się do góry; nagle zrozumiał, że jego oczy już są otwarte. Leżał płasko na plecach, patrząc jednocześnie na siebie z sufitu. Czuł przyływające zawroty głowy, dopóki nie zrozumiał, że sufit wyłożony jest lustrami, a to, co widzi, to jego własne odbicie.

Zebrał się w sobie, aby usiąść, ale coś przeszkadzało mu w ruchach. Poszukał wzrokiem krępujących go rzemieni myśląc, że go związali. Czas rozciągał się i zwalniał, uświadomił to sobie wtedy, gdy stwierdził, że gapi się na swoje ramię przez dłuższy czas. Rzemieni, których szukał wzrokiem nie było.

Usiadł z wysiłkiem. Był osłabiony, wirowało mu w głowie. Najmniejsze poruszenie wymagało ogromnego wysiłku. Przerzucił stopy ponad brzegiem łóżka i stanął na nogi. Cały pokój zakołysał się, ogarnęły go mdłości. Zrobił krok do przodu. Kolana ugięły się pod nim i runął. Długo leżał z twarzą na podłodze mając przed oczami tylko nogi łóżka. Kiedy poczuł się mocniejszy, ponowił próbę, z tym samym rezultatem. W końcu doszedł do wniosku, że podano mu narkotyk.

Dzięki temu, jego bezradność nabrała właściwych proporcji. Paul obszedł cały pokój na czworakach, szukając drogi ucieczki. Znalazł dwoje drzwi. Jedne z nich prowadziły do małej łazienki, drugie, żelazne, były zamknięte na głucho. Ponieważ nie było okien w żadnym z pomieszczeń, a wyłożona linoleum podłoga i ściany były chłodne pod dotykiem, Paul wywnioskował, że jest w piwnicy. Tylko gdzie? W domu Karla? Czy ktokolwiek usłyszy, jeśli zawoła o pomoc? Próbował krzyknąć. Dźwięk, który usłyszał wystraszył go. To był niezrozumiały bełkot. Głos umysłowo chorego.

Rozległ się zgrzyt, odgłos otwieranego kluczem zamka. Paul podniósł się, zachwiał i ciężko opadł na łóżko. Drzwi otworzyły się i weszła Madame Tran w towarzystwie Helmuta,

człowieka, który wprowadził go do gabinetu Otto Wenzlera. Madame Tran była ubrana w swoją elegancką wietnamską kreację, Bao Dai, tę samą, którą widział w „Vanilla Rose”. Kiedy zobaczyła go w pozycji siedzącej, z zadowoleniem kiwnęła głową.

- Już się zbudziłeś. To dobrze.

Tacę, którą przyniosła, położyła na wiklinowym krzeselku. Paul próbował coś powiedzieć, ale język miał jak z gliny. Przekręcone słowa wypowiadał tak wolno, że nawet sam nie był w stanie ich zrozumieć.

- Nie, nie próbuj nic mówić - Madame Tran odezwała się do niego. - Nie jesteś w stanie i tak nic powiedzieć. Po pierwsze, idź do łazienki i weź kąpiel. Potem coś zjedz.

Zwróciła się do stojącego w przejściu Helmuta. Był ubrany w marszczone w pasie spodnie i cienki sweter z zawiniętymi rękawami. Nie wyglądał na uszczęśliwionego. Korytarz za jego plecami był pusty i cichy.

- Dalej - powiedziała - podnieś go, zanim coś zje.

Helmut posunął się do przodu i sięgnął po ramię Paula. Kiedy to robił, Paul próbował wstać i przepchnąć się obok niego. Zanim jednak mięśnie usłuchały go, Helmut postawił go na nogi i wpół niosąc, wpół wlokąc prowadził przez pokój. Paul próbował niezgrabnie wbić Helmutowi łokieć w bok. Nie było siły w jego ciosie, ale udało mu się rozzłościć Helmuta.

- Scheisskopf. - Helmut obrócił nim w miejscu i popchnął z powrotem na łóżko.

- Nie chce mojej pomocy - powiedział do Madame Tran. - Sama się nim opiekuj. - I opuścił pokój.

Paul przetoczył się na bok. Zobaczył Madame Tran potrząsającą głową ze smutkiem.

- Widzisz, co się stało? - powiedziała. - Nie chcesz współpracować. Będziesz źle traktowany.

- Wynoś się - wykrzyczał, ale słowa rozległy się tylko echem w jego mózgu, a z ust wydobył się bełkot bez sensu. Madame Tran wstała i podniosła tacę.

- Teraz jesteś jak dziecko - powiedziała. - Lepiej żebyś to szybko zrozumiał.

Zamknęła za sobą drzwi na klucz, zostawiając Paula sam na sam z wściekłością i własną bezradnością.

Karl przybył do Waszyngtonu z nowym paszportem, nowym prawem jazdy i nowym nazwiskiem. Jako Roñ Tednick wynajął samochód i spędził dwa dni z agentem nieruchomości, oglądając domy do wynajęcia w obrębie dziesięciu minut od Bazy Andrews Sił Powietrznych USA. Odpowiadał mu farmerski dom na Toons Creek Road. Stał nieco na uboczu, oddzielony od drogi dwoma akrami ziemi, na szczycie wzgórza, z którego roztaczał

się widok na Patuxent River i jak zapewniał go agent, Rita Gaylord, „na rzut kamieniem od rzeki”.

Miss Gaylord była atrakcyjną kobietą po trzydziestce. Gdy spotkał się z nią pierwszego dnia, ubrana była w dopasowane spodnie, ukazujące jej doskonałą figurę. Następnego dnia włożyła lekką, obcisłą sukienkę. Była kobietą zadbaną, z odrzuconymi do tyłu, wspaniałymi, falującymi włosami w pasemka. Na jej twarzy malowała się pewność siebie. Czowała się uszczęśliwiona, mogąc służyć pomocą Ronowi Tednickowi, rozwiedzionemu ojcu, do którego przyjadą na miesiąc w odwiedziny dzieci.

- W jakim wieku są pana dzieci? - spytała Rita.

- Mają jedenaście i dziewięć lat - odpowiedział Karl, wybierając wiek, w którym dzieci są już za duże na pisanie po murach, a jeszcze za małe na urządzenie dzikich potańcówek. Jego żona, kontynuował, mieszka w Kalifornii a on sam pracuje dla Narodowej Agencji Bezpieczeństwa w Waszyngtonie. Jego rodzice przyjadą z Filadelfii, by spędzić z nimi miesiąc wakacji, dlatego szukał dostatecznie dużego domu.

Karlowi podobało się rozwijanie wątku zmyślonego życiorysu. Udawanie kogoś, kim nie był oferowało mu dziwne poczucie wolności. Przynajmniej raz mógł być członkiem normalnego społeczeństwa, szarym obywatelem, bezpiecznym, bez twarzy.

Dla Rity Gaylord nie był zwykłym człowiekiem. Jego atletyczne ciało i dobra prezencja pociągały ją; nie przywiązywała wagi do jego rozwodu. Sama też była rozwódką. Rita włożyła wiele wysiłku, w znalezienie dla Mr. Tednicka właśnie tego wymarzonego miejsca. Zaproponowała nawet spacer na plażę na południe od Annapolis.

- To miejsce leży na uboczu - powiedziała. - Cudowny piasek. To wspaniałe miejsce na wycieczkę z dziećmi.

Karl odmówił. Ostatnią rzeczą, jaką potrzebował, była bliskość drugiej osoby. To dlatego wybrał dom przy Toons Creek: zapewniał odosobnienie, był blisko Bazy Andrews i znajdowała się tam przybudówka, która służyła kiedyś za stajnię. Stajnia została odnowiona i teraz na parterze znajdował się warsztat z garażem, a na piętrze właściciele przechowywali przedmioty, których nie chcieli powierzyć lokatorom.

Podpisali umowę najmu w biurze Rity i Karl wręczył czek na dwa tysiące dolarów. Obracając go między palcem wskazującym i kciukiem, Rita powiedziała:

- Może powinien pan urządzić oblewanie domku, zanim dzieci przyjadą.

- Nie, dziękuję - odpowiedział Karl. - Lubię samotność. - Teraz, kiedy dom był jego, mógł sobie pozwolić na mówienie bez ogródek. Żałował, że jej powiedział o rozwodzie. Historia o żonie chorej na raka lub chorobę Alzheimera byłaby znacznie bezpieczniejsza.

Natychmiast po wprowadzeniu, Karl zaczął układać plan, potrzebny do wykonania misji Redeye. Podzielił go na trzy wstępne etapy: odnalezienie miejsca na odpalenie rakiety, kradzież Redeye i znalezienie trzeciej osoby, na którą rzucone by było podejrzenie.

Część pierwsza okazała się trudniejsza niż przypuszczał. Baza Sił Powietrznych Andrews była otoczona od północy i południa przez osiedla mieszkalne i centra handlowe, od wschodu zaś i od zachodu przez magazyny, farmy i zajezdnie ciągników transportowych. Na nieszczęście, ścieżka lądowania samolotu Sekretarza Generalnego znajdowała się tuż nad najgęściej zaludnionym obszarem. Ryzyko zauważenia go było zbyt duże, by mógł je zaakceptować. Nie mógł po prostu wysiąść z samochodu i stanąć na środku ulicy z wyrzutnią Redeye na plecach.

W pierwszej chwili rozważył możliwość ulokowania się na dachu domu lub stajni. Iliuszyn byłby doskonale widoczny, ale czy byłby w stanie wejść na dach bez zwrócenia uwagi właścicieli, czy innych lokatorów? Próbował wynająć cały dom, ale w obrębie podchodzenia samolotów do lądowania nie było domów do wynajęcia. Im więcej o tym myślał, tym więcej widział wad w tym pomysłe. Jeśli nawet znajdzie taki budynek, skąd miałby pewność, że policja nie sprawdza rutynowo wszystkich nowo wynajętych domów w bezpośredniej odległości od podejścia do lądowania? Jak wpłatać kozła ofiarnego, który miał być obwiniony za śmierć Sekretarza, w wynajęcie tego domu? Co z helikopterami? Na dachu widziałby je wyraźnie, lecz oni jego też. Jeśli nawet uda mu się wszystko to przewyciężyć, skąd miałby wiedzieć, który dom wynająć, skoro aż do dnia przylotu nie będzie wiedział, na którym pasie będzie lądował samolot Sekretarza Generalnego.

W końcu myśl, że przecież numer pasa będzie zależał od kierunku wiejącego wiatru w dniu przylotu, podsunął mu rozwiązanie. To czego potrzebował, to kamuflażu i możliwości szybkiego przemieszczania się. Niewinnie wyglądającego pojazdu, który byłby jego kryjówką w momencie pociągnięcia za cyngiel. Coś z otwieranymi drzwiami, przez które można odpalić raketę. Na szczęście amerykańska mania podróżowania z własnym domem dostarczyła odpowiedniego pojazdu: Winnebago.

Karl był zadowolony z siebie. Zamiast martwić się wyborem jednego czy dwóch dogodnych miejsc, dom na kółkach otworzył przed nim mnóstwo możliwości. Mógł zaparkować na ulicy, albo pójść do pasażu handlowego, albo do szkoły, do kościoła, a nawet zatrzymać się na autostradzie, pozorując przebitą oponę czy kłopoty z silnikiem. Przez okienko w dachu mógł wystrzelić raketę, eliminując możliwość przypadkowego świadka.

Jedyną trudnością było znalezienie samochodu z włazem ratunkowym na dachu. To był luksus, który był niedostępny w standardowych modelach oferowanych do wynajęcia, a

nie miał na tyle pieniędzy, aby po prostu kupić Winnebago. Wujek Aleks i jego grupa nie dysponowała nieograniczonymi środkami. Byli patriotami nie cieszącymi się poparciem Kremla i jego hojnością. Znalazł to, czego potrzebował u Sunshine w Fairfax, Wirginia. Puciołowaty sprzedawca pojechał z nim na próbną jazdę, wznosząc hymn pochwalny na cześć wakacji spędzonych z rodziną w domu na-kółkach. Był to rozklekotany, ciężki pojazd, ale innego Karl nie potrzebował.

Drugi etap, kradzież rakiet Redeye, wymagał najpierw osobistej kontroli na miejscu, w terminalu Bayonne. Do tego potrzebował przysługi, jaką mógł mu oddać jego brat. Przeprowadził próbę generalną, a potem zadzwonił do Wojskowego Terminalu Morskiego prosząc o połączenie z rzecznikiem prasowym. Jego telefon został przekazany do majora Irene Fellows.

- Majorze Fellows... nazywam się Paul Stafford. Jestem dziennikarzem z waszyngtońskiego Herald. Właśnie pracuję nad artykułem o Wojskowej Komendzie Transportu Morskiego. Chciałbym umówić się na przeprowadzenie wywiadu.

- Zobaczę, co mogę dla pana zrobić, panie Stafford. Proszę podać ponownie szczegóły. To jest artykuł do Herald?

Karl zaczął się rozwodzić na własny temat. Znajdował dziwną przyjemność w udawaniu Paula Stafforda, nagradzanego dziennikarza. Okazało się, że major Fellows czytała opowiadanie Paula - jakąś historyjkę o wojnie w Afganistanie. Karl zanotował to w pamięci i później, siedząc w bibliotece, poszukał wszystkich artykułów Paula i je przeczytał. Były nieźle napisane, stwierdził Karl, ale w końcu nie prowadziły do niczego. Świat reagował na działanie, nie na słowa.

Życie jego brata fascynowało go. Przejechał obok domu w Arlington i był zaskoczony jego rozmiarami. Był to dwupiętrowy, ceglany dom z wieżyczką w jednym narożniku. Z jednej strony domu znajdowała się osłonięta weranda, a z drugiej garaż w przybudówce. Na placu przed domem, równie wielkim jak dom, rósł, dominując nad otoczeniem, ogromny klon.

To był dla Karla pierwszy dowód sukcesu, jaki odniósł jego brat później, gdy był w D.C. zatrzymał się przy Farragut Square, stał w księgarni Crown, po przeciwnej stronie budynku, w którym znajdował się Herold. Wyobraził sobie Paula, chodzącego codziennie do pracy, próbował domyślić się, w której restauracji był najczęstszym bywalcem.

Wycieczki do miejsc, w których bywał Paul były krótkie. Większość czasu spędzał w bibliotekach w poszukiwaniu skrajnych amerykańskich grup i ruchów radykalnych. Szukał brutalnych grup nacjonalistycznych na gwałt potrzebujących pieniędzy.

Znalazł je w „Rank”, grupie supremacji białych z siedzibą w Houston, Texas. Ich przywódca, Grant Harkness, został skazany za zabicie bombą w pocztowej przesyłce redaktora prowadzącego na gorąco radiową audycję. Wszyscy trzej właśnie składali apelację od wyroku. Jeden z artykułów opisywał kampanię zbierania funduszy polegającą na sprzedawaniu map z zaznaczonymi, nowymi granicami, narysowanymi wzdłuż linii oddzielających ludzi różnych ras. To byli ludzie, których Karl poszukiwał, zeloci, wyznawcy dziwacznych przesądów. Musiało być więcej takich jak Grant Harkness. Czuł, że „Rank” pomoże mu znaleźć człowieka łatwowiernego i wystarczająco chciwego, aby wynająć Winnebago.

Ray Tregerdemain spotkał się z Otto Wenzlerem w berlińskim ZOO. Była godzina piąta. Niebo było zachmurzone, przenikliwa mgła zwilżyła trotuary i spowodowała, że Ray’owi ciekło z nosa. Obtarł go w chusteczkę idąc do Zellerbach Hali, gdzie właśnie dobiegało końca przyjęcie dla Przyjaciół Berlińskiego ZOO. Wenzler był obecny na tymże przyjęciu. Byli umówieni z Ray’em na zewnątrz Hallu na kwadrans po piątej.

Śpiesząc na spotkanie, Ray czuł znajome mrowienie, podniecała go nadzieja na ważny artykuł. Zgodnie z tym, co mówił Wenzler, brat Paula był członkiem Komunistycznej Partii NRD i przejawiał dziwne odchylenia w zachowaniu seksualnym. W zamian za zachowanie anonimowości, Wenzler miał mu przekazać nazwisko brata i jeszcze trzech innych grubych ryb ze Wschodnich Niemiec, którzy odwiedzali „Vanilla Rosę”. To było więcej, niż Ray sobie obiecywał. Wiadomość mogła uchylić rąbka tajemnicy o politykach z NRD, odwiedzających burdele w Berlinie Zachodnim. Prasa światowa zachłysnęłaby się tą wiadomością. Przede wszystkim działały plotek towarzyskich.

Ray czuł, jak historia się rozwija i rozbudowuje. Było tego więcej niż na jeden raz. Spowodowało to, że poczuł się bardziej bezpieczny. Paul był prawdopodobnie z powrotem w Stanach, pisząc z pewnością o swoim bracie. Doskonale, teraz była kolej na Ray’a. Mógł nadać swój własny wyraz całej historii, rozkręcić ją na swój własny sposób. Jeśli Paul opowie historię swojego brata, czy nawet wpadki w hotelu InterContinental, Ray mógł rozwinąć temat powiązań seksu z polityką w coś, co będzie całkowicie jego. Specjalnie dla Tribune przez Ray’a Tregerdemai-na. Miałby temat na całą depeszę na koniec miesiąca.

Ponieważ padał deszcz, większość zwiedzających opuszczała Zoo. Jedyne dla zwierząt pogoda wydawała się być obojętna. Ray postawił kołnierz płaszcza, nasunął czapkę bardziej na głowę i wbił dłonie do kieszeni. Kiedy doszedł do Zellerbach Hali, stanął w kularach i czekał na pojawienie się Wenzlera. Wewnątrz muzyka klasyczna, grana przez kwartet smyczkowy, stanowiła tło dla głośnej pogawędki obecnych na zebraniu ludzi, którym

się powiodło, ofiarujących pieniądze na nowe akwarium. Za każdym razem, kiedy uchylały się drzwi, Ray mógł rzucić na nich okiem. Nie wyglądali na ludzi chodzących często do ZOO; nie wyglądali, aby dokądkolwiek chodzili bez co najmniej wygrawerowanego zaproszenia.

Wenzler ukazał się w towarzystwie pary starszych ludzi. Byli pochłonięci ożywioną dyskusją. Wenzler był ubrany w ciemne, dobrze skrojone ubranie, jedwabną koszulę i krawat, ale jego długie proste włosy i chude ciało przypominały starzejącą się gwiazdę rocka. Kiedy zauważył Ray'a, zrobił swobodny gest za plecami swoich przyjaciół, dając mu do zrozumienia, że go widzi i ostrzegając, aby trzymał się z dala.

Ray wysłiznął się na zewnątrz i czekał. Parę chwil później wyszedł Wenzler. Był sam. Teraz miał na sobie płaszcz, w jednej ręce trzymał teczkę, a w drugiej parasol.

- To pan jest Tregerdemain?

- To ja.

- Proszę trzymać się za mną w pewnej odległości.

Ray zaczął pytać dokąd idą, lecz Wenzler ruszył natychmiast szerokim, brukowanym kocimi łbami chodnikiem obok Wybiegu lwów morskich. Niebo pokryło się tak gęsto chmurami, że zapaliły się kute w żelazie latarnie. Ich żółte, przymglone światło migotało na wymytych deszczem kamieniach.

Ray szedł jakieś dwadzieścia stóp za Wenzlerem. Kilkoro ludzi, spotkanych na drodze, szło w przeciwnym kierunku, w stronę głównej bramy. Szczekanie lwów morskich wzmogło się, gdy przechodzili obok. Wenzler wszedł do niskiego, betonowego budynku toalet publicznych, a Ray za nim.

Toalety były puste. Wzdłuż poplamionej urną ściany z pisuarami biegł ściek zakończony zatkaną niedopałkami rurą. Naprzeciw szeregu pustych boksów znajdowało się sześć umywalek, oświetlonych migocącą neonówką. Sprawdziwszy, że nikogo nie ma w boksach, Wenzler położył teczkę na umywalce i wyjął z niej wykrywacz, którym przeszukał Ray'a, tak jak czynią to urzędnicy służby bezpieczeństwa na lotnisku.

- Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko - powiedział.

- Podejrzewa pan, że mam broń?

- Lub nadajnik albo magnetofon. Proszę.

Obrócił niedbale Ray'a, przesuwając wykrywaczem wzdłuż jego nóg, pasa, rąk i piersi. Sygnał włączył się dwukrotnie; raz natknąwszy się na masywny pęk kluczy ze szwajcarskim scyzorykiem, ponownie przy małym magnetofonie, „schowanym w kieszeni kamizelki. Wenzler chciał skontrolować obie rzeczy. Gdy Ray pokazał mu magnetofon, poprosił go o wyjęcie taśmy.

- Po co? Nie jest włączony.

- W ten sposób będziemy mieli pewność.

Ray zawahał się. Nie podobał się mu zapach w toalecie i sposób sprawdzania przez Wenzlera. Musiał jednak zaryzykować, jeżeli miał zdobyć temat, który przywróciłby mu reputację.

Wyjął kasetę z magnetofonu, próbował udawać nonszalanckiego zucha, aby dodać sobie pewności. - To nie jest podobne do wymiany Gary Powersa na pułkownika Abla, no nie?

- Bardziej, niż pan myśli. Czy zna pan nazwisko Erich Loerke?

- Oczywiście, deputowany, przewodniczący Volkskammer. Czy chce pan przez to powiedzieć, że on bywa w „Vanilla Rosę”?

- Właśnie tak.

Ray gwizdnął cicho. Volkskammer było wschodnioniemieckim ciałem ustawodawczym, a Erich Loerke jednym z jego liderów. Loerke należał do tego nowego pokolenia polityków, którzy szybko zdobywali uprzywilejowaną pozycję.

Wenzler powiedział: - Teraz zna pan powody mojej ostrożności. Człowiek staje się bardziej zdesperowany i niebezpieczny, im więcej ma do stracenia, a przewodniczący Loerke wiele straci, gdy ta informacja dojdzie do opinii publicznej.

- Jeżeli jest na to dowód - przypomniał mu Ray, lecz krew zaczęła szybciej krążyć mu w żyłach. Wenzler uchylił przed nim teczkę: - Tutaj.

- Mogę zobaczyć?

- Czy może mnie pan zapewnić, że moje nazwisko nigdy nie zostanie wymienione?

- Powiedziałem to panu już wcześniej. Skontrolował mnie pan, więc wie pan, że można mi zaufać.

- Och, skontrolowałem pana - powiedział Wenzler. - Lubię jednak patrzeć ludziom w oczy, gdy z nimi rozmawiam. Telefon jest wielkim oszustwem - pan może mówić mi, że jest miłośnikiem zwierząt, a równocześnie szarpać za skrzydła wróbla.

Jesteś diabelskim nasieniem, pomyślał Ray... - No tak, a teraz kiedy pan wie, że nie jestem szpiclem, wyjdźmy stąd. Nie podoba mi się zapach tego miejsca. - Z różnych przyczyn, dodał w duchu.

Nie czekając, ruszył do drzwi, lecz rozluźnił się dopiero, gdy znalazł się na zewnątrz, pod markizą, otoczony zapachem wilgotnych liści i mokrego betonu. Wenzler podążył za nim. Obok przeszła jakaś para młodych ludzi, ramię w ramię, śmiejąc się, nie zwracając uwagi na drobny deszcz.

- Aaa... - westchnął Wenzler głęboko - o wiele lepiej na zewnątrz.

- Co z bratem Paula Stafforda? - zapytał Ray. - Miał pan powiedzieć mi jego nazwisko.

- Rolf Schmidt, bankier. Bywał w „Vanilla Rosę” wielokrotnie. Jego upodobania seksualne zbaczały ku podporządkowywaniu, do sadomasochizmu. Nie odróżniał fantazji od rzeczywistości. Rezultatem były niesmaczne epizody, w których zostały uszkodzone dziewczęta.

- Taak, wiem. Spotkałem jedną z nich w sobotę wieczorem. Krysty...

Wenzler wzruszył lekceważąco ramionami: - Wiele dziewcząt, wiele imion; kto to zapamięta?

Uwaga Ray'a skupiła się na osobie Ericha Loerke, o wiele bardziej interesującej od Rolfa Schmidta.

- A co z innymi? - zapytał. - Mówił pan, że było tam sześciu innych uczestników zabawy, splukujących się z pieniędzy po tej stronie Muru.

Ray rozmyślnie podał większą liczbę, lecz Wenzler poprawił go.

- Czterech.

- Czy któryś z nich jest prominentem, tak jak Loerke?

- Jestem przekonany, że nimi będą po pana sensacjach na temat ich wyczynów.

Minął ich sprzedawca balonów, pchając przed sobą butlę z gazem. Deszcz skapywał mu z runda filcowego kapelusza, a szarpane wiatrem balony zbiły się za nim w jedną kupę. Szedł zgięty jak staruszek. Wenzler wysunął się spod markizy i ruszył dalej spacerkiem.

- Chwileczkę - zawołał Ray, podążając za nim. - A co z dowodami?

- Wszystko w swoim czasie. Najpierw chcę sprawdzić, czy mój płaszcz jest już martwy.

- Pana, co..?

- Nie wie pan o tym, że można kupić w ZOO martwe zwierzęta? Być może byłaby to jeszcze jedna historyjka dla pana. Jestem zainteresowany chorym niedźwiedziem polarnym. Jestem gotów zapłacić, by dać zrobić sobie z niego futro. Dwa tysiące marek - być może to drogo, ale ilu ludzi na świecie może ubrać się w futro z białego niedźwiedzia polarnego?

Podeszli do wybiegu niedźwiedzi polarnych, gdzie jakiś samotny mężczyzna w nieprzemakalnej, żółtej kurtce robił zdjęcia zwierzętom. Wybieg otaczał mur wysokości trzech stóp; po drugiej stronie, dwadzieścia stóp poniżej, szeroka fosa opasywała skalistą wysepkę, na której niedźwiedzie zajmowały się swoimi sprawami, nie zwracając uwagi na

obydwu oglądających i deszcz. Wenzler podszedł do porośniętego bluszczem muru i zaczął liczyć niedźwiedzie.

- Jeżeli jest tu trzynaście niedźwiedzi, to jeden z nich jest mój - powiedział. - Do ilu potrafi pan liczyć?

Ray nie był zainteresowany niedźwiedziami, lecz odwrócił się i liczył, zastanawiając się, który z nich trafi następnej zimy na stronę kroniki towarzyskiej okrywając Otto Wenzlera.

Niedźwiedzie podobne były do olbrzymich bałwanów stojących na brązowych skałach. Jeden z nich usiadł na zadzie, drapiąc się jak pies, drugi poderwał się na krótko do nieco koślawego, lecz pełnego dziwnej gracji biegu, za oddalającą się susami swoją samicą. Jeszcze inny był w wodzie, trzymając wysoko głowę i prychając przez nos, jakby pływał. Ray doliczył się tylko dziewięciu, lecz nie można było dojrzeć, co działo się po drugiej stronie skał.

Wenzler zwrócił się do niego: - Ile?

- Naliczyłem dziewięć.

- Przepraszam pana - odezwał się jakiś głos za nim.

Ray odwróciwszy się, zobaczył stojącego obok siebie mężczyznę, który robił zdjęcia. Trzymając w wyciągniętej ręce aparat, mężczyzna zapytał: - Czy nie sprawiłoby panu kłopotu zrobienie mi zdjęcia?

Ray był zły, ale co mógł zrobić? Powiedzieć „nie, nie mam ochoty na robienie panu głupich zdjęć”? Rozejrzał się, ale wokół nie było nikogo, kto mógłby go wyręczyć, więc niechętnie wyciągnął rękę po aparat. W chwili gdy to robił, coś ukuło go w tył szyi; elektryczny wstrząs wprawił jego mięśnie w drgawki i otworzył mu usta.

Ray skurczył się i upadł. Ciało miał zdrętwiałe, płonące, jak po ukłuciu tysiącem szpilek. Brzęczało mu w uszach, a w ustach miał dławiący smak metalu. Zamglonymi z bólu oczyma dostrzegł stojącego nad nim Otto Wenzlera. W ręce trzymał przyrząd z czarnego plastiku, z wysuniętymi dwiema spiczastymi, metalowymi końcówkami. Elektrody, niejasno uzmysłowił sobie Ray.

To było tak, jakby patrzeć na świat z dna studni. Spostrzegł Wenzlera wsuwającego przyrząd do kieszeni płaszcza i klękającego przy nim. Ray chciał powiedzieć Wenzlerowi, że nie jest odważnym człowiekiem, że jest tchórzem, że strach zmusi go do milczenia. Nie miał nic do udowodnienia, mógł się obejść bez historii o paszportach czy Erichu Loerke i „Vanilla Rose”. Nie miały dla niego znaczenia. Nic mnie to nie obchodzi, chcę skończyć... Próbował mówić, lecz uszy miał zatkane i nie słyszał własnych słów. Uświadomił sobie, że nie artykułuje normalnie, szum w uszach był jedynie zgrzytem jego zębów.

Obserwował, jak Wenzler przeszukuje mu kieszenie, wręcza jego magnetofon mężczyźnie w żółtej kurtce, potem wyciąga wszystkie skrawki papieru, kwity i notes z portfela, pozostawiając jedynie karty kredytowe, pieniądze, karty identyfikacyjne i fotografie. Ray chciał powiedzieć Wenzlerowi, że karty kredytowe są przedawnione; może gdyby wiedział, jak bliski był ubóstwa, darowałby mu życie. Głupia myśl zrozpaczonego człowieka.

Podnieśli go obydwaj i Ray uświadomił sobie, co zamierzają z nim zrobić. Wierzgnął gwałtownie; jakby kolczasty drut opinał mu mięśnie. Rozkołysali go ponad zarostłym bluszczem murem i rozejrzeli się, by się upewnić, czy nikogo nie ma w zasięgu wzroku i słuchu.

Proszę... lecz słowa prośby odbiły się jedynie echem w jego mózgu.

Napłynęły mu łzy do oczu. Nagle, na koniec, wszystko w jego życiu nabrało wartości: jego ponure mieszkanie stało się bardzo swojskie i bezpieczne; jego ostatnie zlecenie, durny tekst na temat żon wojskowych w Berlinie, wydawał się teraz cudowny; zakończenie banalnej historii zabawne; jego noce z Nanci Van Zandt czarowne; jej spragnione ciało darem bez miary...

Cement otarł mu szyję, spadł. Woda go pochłonęła. Wypłynął na powierzchnię, kaszłając i próbując płynąć. Woda zalała mu usta, próbował ją wypluć. Nie panował nad swoim oddechem, tak samo jak nad rękami i nogami. Kaszłał odruchowo, lecz nie mógł nabrać oddechu, nie mógł wypluć wody. Woda bulgotała mu w ustach i wypełniała nos.

Po raz ostatni spróbował płynąć i przez moment wydawało się, że jego ramiona i nogi lekko poruszyły się. Może minął szok. Kątem oka dostrzegł błysk bieli i usłyszał daleki plusk. Dosięgła go rozproszona fala, w jednej chwili zalewając mu twarz. Znow miał usta pełne wody. Bił rękoma w wodę, krztusząc się i łapiąc rozpaczliwie oddech, szeroko otwierając oczy.

Jego wysiłki przyniosły pewien efekt; przesunął się od muru w stronę skalistej wyspy, gdzie stały polarne niedźwiedzie przyglądając się mu ze spuszczonej głowami. Coś w wodzie, z boku, prychnęło. Ray podwoił wysiłki, zmuszając swoje ramiona do wyrzucenia w przód, a nogi do kopnięcia. Gdyby tylko mógł odetchnąć. Ponownie zdławiła go fala i zanurzył się pod wodą. Pierś falowała mu, a bąbelki łaskotały w nosie, gdy powietrze opuszczało jego płuca.

Łomotało mu w głowie z braku tlenu, lecz teraz czuł, że ręce i nogi go słuchają. Wyteżał siły, by wydobyć się na powierzchnię. Wynurzył głowę i nabrał jeden łyk powietrza. Kiedy mu się to udało, coś uderzyło go po nogach, jakaś siła wciągnęła go pod wodę, nie

zdążył nawet wykonać jednego wdechu. Gruby strumień zimnej wody zalał krtań i wdarł się do płuc.

Ręce i nogi zareagowały instynktownie. Wypchnęło go jak korek na powierzchnię. Jego klatka piersiowa poruszała się konwulsyjnie. Nie była więcej zdolna do kaszlu: brak w niej było powietrza, aby pozbyć się wody. A potem siły opuściły go, ręce i nogi zamarły w bezruchu. Świat pociemniał, a przed oczami zobaczył małe kraterki deszczu na powierzchni wody. Jego ostatnią myślą było, że wdepnął w coś znacznie poważniejszego niż historia o dwóch rozdzielonych wojną bliźniakach, czy kradzież samochodu połączona z potrąceniem policjanta, czy nawet odwiedziny wysokiej rangi dostojników komunistycznych w poszukiwaniu seksu - nigdy nie będzie wiedział, o co naprawdę chodziło...

Och, mamo, proszę...

Ray stracił przytomność, zanim niedźwiedź za drugim próbnym kłapięciem zębami rozerwał jego ciało.

Rozdział 17

Karl czekał na wartowni, przy głównej bramie Wojskowego Terminalu Morskiego w Bayonne, New Jersey. Na zewnątrz okienka, umundurowany żandarm przepuszczał samochody: sprężyście salutował oficerom, szybki ruch nadgarstkiem dla nowo zaciągniętych na służbę, gest w kierunku oficera służbowego w przypadku każdego bez identyfikatora.

Biały golfowy wózek wyjechał zza zakrętu i pędził w jego kierunku. Kierowcą była oficer, kobieta, tuż po trzydziestce. Karl czekał na nią. Major Irene Fellows, rzecznik prasowy, jego eskorta na ten dzień. Zatrzymawszy swój wózek w odległości zaledwie kilku cali od okna, major Fellows wysiadła i weszła do środka.

- To pan jest Paul Stafford? - zapytała.

- Tak jest.

- Redaktor chce się z panem porozumieć telefonicznie - powiedziała mu, kiedy podpisywał księgę odwiedzających, w rubryce tuż obok swojego nazwiska.

- Mój redaktor?

- Facet o imieniu Bernie Stern. Wydaje się myśleć, że JUŻ PO TOBIE. Wymówiła to tak, że Karl nie zrozumiał, o co jej chodzi. Była to dla niego chwila pełna napięcia.

- Rozmawiała pani z... Bernim?

- Musiałam sprawdzić uprawnienia. Nie jesteśmy otwarci dla publiczności, za wyjątkiem Dni Sił Zbrojnych.

Byłoby lepiej, dla Karla, aby jego edytor Bernie Stern nie wiedział o „Paulu”, który powrócił. Wiedział, jaka będzie jego odpowiedź. Od pewnego czasu rozważał wykonanie telefonu do redakcji Herolda i jakieś wytłumaczenie nieobecności Paula; teraz był do tego zmuszony. Nie miał ochoty, aby przełożony Paula naprawdę zaczął przejmować się jego nieobecnością i podjął próbę odnalezienia go.

Wózek zawył, kiedy pędzili drogą pociętą torami kolejowymi. Major Fellows miała podłużną, kościstą twarz, ale to, czego brakowało urodzie, nadrabiała z nawiązką pogodnym, wesołym usposobieniem. Była agresywnym kierownicą, wymijając robotników trąbiła głośno na każdego, kto wszedł jej w drogę.

Karl zapytał, jak długo już tu pracuje i ledwie słuchał, kiedy udzieliła mu odpowiedzi. Całą uwagę poświęcił otoczeniu: rzędom szarych magazynów, wysokim dźwigom, które wyglądały jak stalowe pająki, poruszające się po torach w takt ostrzegawczych dźwięków dzwonków.

Mapa wujka Aleksa była przestarzała. Karl zaczął dokonywać poprawek w myśli: lokalizacja i rodzaj budynków, ich wiek i sposób konstrukcji, linie telefoniczne i elektryczne, system zabezpieczeń. Zannotował także zachowanie się pracowników, ogólny nastrój panujący w tym miejscu - kto wtapiał się w tło, kto nie; jaki był stosunek ludzi do sprawy bezpieczeństwa. Panował raczej nastrój pracy, niż czujności. Amerykanie nie byli podejrzliwi. Byli dokładnie tacy, jak mu ich przedstawiano. Był zadowolony, że nie był po drugiej stronie, wędrując po Związku Radzieckim, próbując wyłudzić wycieczkę po załadowniczym terminalu w Murmańsku.

Major Fellows naopowiadała mu o historii terminalu; jak to było w czasie drugiej wojny światowej; jaką rolę odgrywa teraz, a także podała krótką informację o Wojskowej Komendzie Transportu Morskiego, który, jej zdaniem, znajdował zbyt mało uznania za robotę, którą odwał.

Zbliżyli się do statku, który przyjmował na pokład olbrzymie kraty na paletach.[^] Karl wyraził zdziwienie, że nie używano wyłącznie kontenerów.

- Jesteśmy tak wyposażeni, aby obsłużyć każdego rodzaju transport - powiedziała major Fellows. - Ciągłe jeszcze ładujemy sporo na paletach, tak samo jak prowadzimy załadunek i rozładunek kołowy - samochody, sprzęt gospodarstwa domowego oficerów wyjeżdżających za granicę. Ale ma pan rację, gazo - i wodoszczelne kontenery są najłatwiejszym i najszybszym środkiem przesyłania towarów. Można je umieścić na zewnątrz, jeśli zachodzi taka potrzeba. Nie trzeba nawet magazynów.

- Czy mogą bezpiecznie być tu składowane?

- Każdy kontener jest zamknięty na zamek i zaplombowany. Jeśli to jest transport wymagający specjalnej ochrony, idzie do magazynu E.

Karl podtrzymywał rozmowę, nie koncentrując się na zagadnieniu ochrony. Potrzebne informacje zdobywał mimochodem, zbierając poszczególne ich strzępy. Dowiedział się, że magazyn E jest zamknięty i chroniony systemem alarmowym, i że jest dokładnie sprawdzany przez patrol wartowników. Chciał wejść do środka i rzucić na niego okiem, ale nie można było tego zrobić bez prośby wprost. Wszystko, co udało mu się uzyskać, to szybki rzut oka z zewnątrz, gdy mijali budynek.

Major Fellows zabrała go na nabrzeże, aby dokonać inspekcji stojących w rzędzie kontenerów. Wyglądały jak ogromne pudełka od butów o wymiarach ośmiu stóp na dwadzieścia, z drzwiami zajmującymi całą szerokość z jednej strony. Karl zwrócił szczególną uwagę na sposób, w jaki były zamykane.

- Czy to jest z brązu? - zapytał, próbując podnieść zasuwę.

- Musi być. Kontenery są zabezpieczane na pokładzie. Jeśli byłoby to ze stali, niektóre zardzewiałyby na dobre w momencie, przyplłynięcia do portu.

Zapamiętawszy nazwę producenta - Zakład Kas Pancernych i Zamków Eagle - Karl całą uwagę poświęcił samemu kontenerowi.

- Skąd wiecie, co jest w środku?

- Nie wiem. Przynajmniej, jeśli nie sprawdzę listu przewozowego albo NS.

- Czego? *

- Numer statystyczny ładunku.

Wskazała kod literowo-cyfrowy napisany na ścianie kontenera. Był taki sam, jak ten wręczony mu przez wujka Aleksa. Określał ładunek rakiet Redeye, ale wujek Aleks nie wspomniał, że numer jest także wybity na plombie, metalowej taśmie, która była przewleczone przez skobel i zasuwę. Końce taśmy były skręcone razem w miejscu, w którym przechodziły przez metalową kulę. Otworzenie drzwi bez złamania plomby było niemożliwe.

Ostatnim przystankiem na ich drodze było biuro Komendy Załadunku, zlokalizowane na najwyższym piętrze szarego budynku zabarwionego pasmami rdzy, skąd widać było cały terminal. Pracowało tutaj z pół tuzina ludzi. Ekrany komputerów świeciły na zielono, teleks od czasu do czasu budził się do życia z klekotem, ale nikt nie wyglądał na bardzo zapracowanego. Na jednej ścianie pokazana była mapa całego terminalu; na drugiej wisiała tablica z pleksiglasu z harmonogramem, z wywieszonymi nazwami statków, datami i numerami magazynów, wszystko napisane grubym pisakiem. Karl zauważył z satysfakcją, że przybycie transportowca Coralis było wciąż przewidziane na dwudziestego piątego.

W czasie kiedy major Fellows żartowała z porucznikiem, Karl przysunął się do okna, skąd bardzo dobrze było widać magazyn E. Z zadowoleniem zauważył trzy metalowe wentylatory, które wyglądały na wystarczająco duże, aby wczłgać się przez nie do środka. Jedyne co mu pozostało, to znalezienie sposobu usunięcia ich i wyłączenia systemu alarmowego.

- Na co pan patrzy? - odezwała się zza jego pleców major Fellows.

- Wspaniały widok Nowego Jorku - skłamał gładko, odwracając się do niej.

- Najlepszy w całej bazie - zgodziła się. - Na Manhattanie ludzie płacą za to dwa tysiące pięćset dolarów. Ci ludzie mają go za darmo.

Pogawędka trwała dalej, ale myśli Karla skierowane były na znalezienie sposobu złamania systemu alarmowego, włamania się do kontenera i kradzieży rakiety.

Major Fellows podrzuciła go do głównej bramy. Karl jechał drogą przylegającą do terminalu, zatrzymując się od czasu do czasu, kiedy nic nie przesłaniało widoku portu, aby poczynić notatki na mapie. Przekroczył most Bayonne i wjechał na Staten Island. Wyspa zakreślała łukiem i zaprowadziła go dokładnie na drugą stronę terminalu, od strony morza. Wzdłuż linii brzegowej Bayonne usadowił się przemysł, lecz tutaj przeważała zabudowa mieszkalna.

Skończywszy rozpoznanie, Karl wstąpił do restauracji i zamówił lunch. Czekać na jedzenie, poszedł do budki telefonicznej w pobliżu toalety i wykręcił numer Herolda. Od czasu przyjazdu dostroił swój akcent i sposób mówienia do amerykańskiego angielskiego. Przygotowując się do rozmowy z Bernim Sternem, Karl przypomniał sobie sposób mówienia i myślenia swojego brata. Był tak bardzo podobny do jego własnych. Próbował sobie wyobrazić, jakiego rodzaju stosunki łączyły Paula ze swoim szefem. Nie był to zwykły układ między pracownikiem a jego przełożonym. Paul był obsypany nagrodami dziennikarzem i pracował niezależnie. Zdecydował się mówić ostrożnym tonem; resztę, jak mawiali Anglicy, musiała mu podpowiedzieć intuicja.

Na centrali przełączyli go z sekretariatem redaktora.

- Tu Paul Stafford. Chciałbym rozmawiać z panem Sternem.

- Cześć, Paul. - przywitała go sekretarka, wytrącając go z równowagi nieoczekiwaną poufałością. - Jesteś tutaj człowiekiem miesiąca. Poczekaj chwilę.

Czekając na połączenie, zdał sobie sprawę z nieświadomego przyzwyczajenia, które zauważył już jego brat w Treptow Park. Wyjął drobne i ułożył je w zgrabny stożek, ćwiartki na dole, potem dziesiątki, a na końcu piątki. Teraz wodził palcami w górę i w dół stosika.

Poirytowany, zgarnął monety z wąskiej półki do kieszeni. Nerwowość była oznaką słabości. Na linii usłyszał Bernie Sterna, bez wstępów i powitań.

- Stafford, co do diabła się z tobą dzieje? Gdzie jesteś?

- Jestem w Bayonne, znalazłem coś ważnego...

- Dobrze. Coś takiego jak wyjazd do Berlina, kradzież samochodu, potrącenie niemieckiego policjanta. Posłuchaj, chcesz wyjeżdżać z miasta, daj przynajmniej ludziom znać, że opuścisz cotygodniowe spotkanie. Może nawet mnie mógłbyś o tym poinformować, zważywszy, że jestem twoim redaktorem. Nie wygląda to za dobrze, jeśli jedyną drogą zdobycia informacji o tym, co robią właśnie reporterzy jest czytanie artykułów w Post. Mam Mayhuesów na głowie, pytają co się z tobą dzieje, a ja, co ja mogę im powiedzieć? Nic. Zupełnie jak „Ja nie wiem nic” - czego nie wiem.

Karl nie zdawał sobie sprawy, że wypadek przy InterContinental został tak dokładnie opisany.

- Jest mi przykro...

- Poczekaj, pozwól, że sam zgadnę: jesteś wściekły opóźnieniem publikacji o raporcie Rocklanda-Birdwella, a więc odgrywasz taniec primadonny, czy coś w tym rodzaju, a ja mam ci wtórować do rytmu kastanietami? Masz zamiar coś tu udowodnić, czy tylko dać do zrozumienia, że jesteś numerem jeden, pośród wszystkich na świecie, w gorącej wodzie kąpanych, cierni w dupie...

Karl czuł stopniowo ogarniającą go panikę. Popełnił błąd dzwoniąc do Bernie Sterna. Trzeba było więcej niż głosu osoby, za którą się podawał. W grę wchodziły wszystkie subtelności związków łączących tych dwóch ludzi. Wszystkie niuanse historii ich znajomości. Nie miał nawet pojęcia, o czym Bernie mówi - Rockland-Birdwell? Mayhues? Cotygodniówki? Stracił głowę. W każdej chwili redaktor mógł sobie z tego zdać sprawę.

- Posłuchaj - powiedział szybko - nie mogę tego wyjaśnić w tej chwili, ale muszę się utajnić...

- Utajnić?

Karl skrzywił się. Użył złego terminu, użył złego terminu. Brnął dalej.

- Pracuję nad historią o nielegalnej sprzedaży broni przez byłych oficerów CIA. To może być coś naprawdę wielkiego.

- Bardzo wielkiego, mam to w tyłku. O czym ty mówisz? Skądś to wytrzasnął? Nie ma żadnej sprawy o CIA i handlu bronią. Irancontras to już przeszłość, na miłość boską.

Był w kłopotach, nie było co do tego żadnych wątpliwości. Im więcej mówił, tym było gorzej. Jedynym sposobem było zakończyć tę rozmowę, zanim redaktor się zorientuje. Ale ostatnie słowa Berniego były jak odroczenie wyroku.

- A może nie?

Mówił innym tonem, ciszej, nawet niepewnie. Teraz Karl zaczął rozumieć lepiej stosunki brata z redaktorem. Były oparte na łajaniu i udawanej wojnie - gderliwym respektie redaktora. Wybuchy wściekłości i niewiara służyły, na to wyglądało, za dobrą monetę między nimi, a nie za dowód przegranej Karla. Przerwa - milczenie Karla przez moment - wydawało się zmienić charakter całej wymiany słów, przechyliły, jak to mówią, szalę, na jego korzyść.

Karl skorzystał z okazji.

- Bernie, afera Irancontras wygląda przy tym jak stopka redakcyjna. To dlatego muszę zniknąć. Moje życie nie będzie warte... - przypomniał sobie jeszcze jeden kolokwializm, który w niego wpojono - złamanego szeląga, jeśli ci faceci dowiedzą się, że siedzę im na głowie.

- Kto, na miły Bóg? Możesz podać nazwiska?

- Nie teraz. Nie byłoby to bezpieczne.

- CIA - łańcuch handlu bronią? Naprawdę, przeżegnaj się, czy chcesz pracować dla Ruperta Murdocha? Żargon był mylący, ale Karl nie zwrócił na niego uwagi.

- Naprawdę, ale muszę zniknąć na jeszcze jeden miesiąc. Jeśli na dłużej, dam ci znać.

- Poczekaj jeszcze sekundkę. Daj mi jakiś kontakt, jakiś numer.

Pragnienie redaktora dostania tej historii było prawdziwe, tak samo jak jego wiara, że rozmawiał z Paulem. Wcześniejsza desperacja Karla przeszła w euforię. Mogło mu się udać. Mógł wcielić się w osobę Paula, nawet przed kimś, kto znał go osobiście.

- Żadnych kontaktów, żadnych numerów - powiedział Karl. - Muszę to zrobić sam.

- Co z tym gliną w Berlinie? Co mam powiedzieć Mayhuesom?

- Powiedz, że CIA wrobiła mnie w tę historię, aby mnie obciążyć. Tak naprawdę, to nic się nie stało.

- To koszerne czy kupa kitu?

- Oj... słuchaj, Bernie. Muszę już iść. Ktoś się zbliża. - Koszerne? Następna luka w jego treningu językowym.

- Do cholery, bądź z nami w kontakcie.

- Kiedy będę mógł.

Karl uśmiechnął się, wieszając słuchawkę. Zanim odprowadził samochód na lotnisko, zrobił sobie przejażdżkę po Manhattanie. Na planie miasta odnalazł drogę na Broadway i Czterdziestą drugą ulicę, tam gdzie ruch uliczny zwalniał, pełznąć hałaśliwie, gdzie bandy

wyrostków wybiegały, aby czyścić przednie szyby, nieproszone, niechciane, a potem, żądały zapłaty. Przypomniawszy sobie lata spędzone w bandzie z ruin, Karl dał im dolara.

Zaparkował samochód i powędrował przez zatłoczone ulice i zaśmiecone chodniki Nowego Jorku. Panująca tu atmosfera chaosu, nasunęła mu wspomnienie Berlina z czasów młodości. Mężczyzna w obszarpanym stroju arlekina stanął pośrodku ulicy i dyrygował wyimaginowaną orkiestrą, podczas gdy uliczny ruch falował wokół niego. Inny mężczyzna siedział po turecku pod murem i mamrotał sam do siebie. Przed nim leżał plastikowy kubek na datki, a odarty ze skóry, z nie naruszoną głową, królik leżał w poprzek chodnika. Nikt nie zwracał na to uwagi. Karl zatrzymał się i spojrzał na królika.

- To twój królik?

Mężczyzna spojrzał szklanymi oczyma: - To Bugs Bunny, człowieku. Daj dolara a wskrzeszę go.

Karl odwrócił się i wtopił w opieszwały tłum, pośród ludzi, z których każdy poruszał się z oczyma skierowanymi w głąb siebie, zajęty swoimi sprawami, swoimi problemami. Nawet policja ignorowała włóczęgów, żebraków i podobnych im ludzi, żyjących na ulicy. Nie działała tu pomoc społeczna. To było miasto dla twardych, silnych i sprytnych. W pobliżu Central Park bogate kobiety w futrach wsadzane były przez portiera do taksówki, podobne lśniącym łaniom pośród wilków. To było miasto ofiar i drapieżników. Karl zrozumiał to instynktownie. Wypełniało go uczucie radości. Z miejsca stwierdził, że Nowy Jork podoba mu się bardziej niż Moskwa. Bardziej niż jakiegokolwiek miasto, za wyjątkiem Berlina.

Do głowy przyszło mu coś, co powiedział wuj Aleks na temat Nowego Jorku, coś w związku z nadajnikiem Newskim: że mając wystarczające zasilanie, można wyczyścić miasto z całego życia. Sterylna destrukcja, tym terminem posłużył się wuj Aleks. Karlowi trudno było wyobrazić sobie, że cokolwiek mogłoby zniszczyć energię i żywotność tego miasta. Próbował stworzyć sobie obraz pustych i pełnych ciszy ulic; jaskrawych markiz teraz ciemnych i połamanych; rdzewiejących taksówek, stojących w wybitych przez siebie oknach wystawowych; psującego się jedzenia w opuszczonych sklepach; opustoszałych domów przepchniętych powietrzem gęstym od odorów rozkładających się ciał. To był koszmar, w który trudno by mu było uwierzyć, gdyby nie widział przeprowadzanych eksperymentów z psem i czołgiem T-54..]

Chętnie zostałby dłużej w Nowym Jorku, lecz miał już rezerwację na wieczorny lot do Houston. Nadszedł czas, by przyjrzeć się z bliska Grantowi Harknessowi i jego radykalnej organizacji „Rank”. Nadszedł czas, by znaleźć Amerykanina, którego można by w sposób

wiarygodny obciążyć winą za misję Redeye... za zniszczenie samolotu Sekretarza Generalnego i zabicie wszystkich znajdujących się na jego pokładzie.

Dla Paula najgorszą stroną uwięzienia było poniżenie.

Jego mięśnie nie były silniejsze od mięśni dziecka, mógł wykonywać niemal jedynie podstawowe ruchy. Zawroty głowy i mdłości ogarniały go za każdym razem, kiedy próbował wstać. Tak więc, jak dla niemowlęcia, jego świat ograniczony był podłogą, przestrzenią między rękoma i kolanami.

Nie niepokoił go ciągłym pilnowaniem, nie było to potrzebne. Madame Tran przychodziła trzy razy dziennie, by go nakarmić, a Helmut dwa razy, by zaprowadzić do łazienki. Zastrzyki robiono mu przy wieczornym posiłku. Madame Tran przewracała go na bok, podciągała szpitalną koszulę i wbijała igłę w jego pośladek. Nie potrzebowała do pomocy Helmuta. Teraz już nie. Za pierwszym razem Paul mocował się z nią, aż wbita w jego ciało igła złamała się.

Madame Tran wpadła w furję. - Niech cię szlag trafi, śmierdzielu! - Sprowadziła Helmuta, który przyszedł z parą szczypiec, przysiadł na boku Paula i wyciągnął igłę, sprawiając mu tyle bólu, na ile było to możliwe.

- Chcesz sprawiać nam kłopoty - powiedział. - Nie chcesz przyjmować swoich lekarstw?

Igła została już wyciągnięta, ale Helmut nie schodził z niego. Pochylił się i przyłożył koniec igły do jąder Paula.

- Może powinniśmy zrobić ci zastrzyk tutaj. Jak ci się to podoba? Paul zacisnął zęby, milczał. - Będiesz teraz grzecznym chłopcem, ja?

Przesunął igłą w bok, kalecząc delikatną skórę. Paul drgnął.

- Wystarczy - odezwała się Madame Tran.

- Nie, jemu się to podoba, nieprawdaż? - Znow draśnięcie igłą.

- On jest pod moją opieką. Nie możesz go ciężko zranić, zanim nie dostaniesz pozwolenia Herr Wenzlera.

Helmut zszedł z Paula. - Następnym razem, gdy będzie sprawiał kłopoty, pozwól mnie zrobić zastrzyk. Będzie z tego zadowolony. Bardzo zadowolony.

Paul przetoczył się po łóżku, słaby i drżący. Chciał wyrznąć Helmuta w twarz, pogruchotać ją.

Obydwoje ruszyli do drzwi, nie zwracając uwagi na Paula.

- Nie będę cię już więcej potrzebować - zwróciła się Madame Tran do Helmuta. - Jeżeli będzie próbował stwarzać problemy, mogę po prostu zwiększyć dawkę.

Złość dodała Paulowi sił, spróbował wstać z łóżka. Zachwiał się na nogach i stanął w pół kroku, kurczowo przytrzymując się materaca.

Helmut wyszczerzył zęby w uśmiechu: - Ooo, on chce walczyć.

Paul próbował powiedzieć mu, gdzie sobie może wsadzić, lecz język skołowaciał mu i tylko bełkotał.

Helmut stanął przed nim. - Co to? Chcesz coś powiedzieć?

Zniekształcona, drwiąca twarz tamtego tańczyła mu przed oczyma. Paul walnął pięścią, lecz mięśnie miał skurczone i w efekcie straciwszy tylko równowagę, upadł bezradnie na podłogę. Helmut trącił go nogą, obelżywie zmuszając do wstania, z łatwością uchylając się przed niezgrabną próbą Paula uchwycenia go za nogę...

Później, kiedy odeszli, a złość minęła, Paul uświadomił sobie, że jedynie ryzykuje zwiększeniem dawki narkotyku, który przemienia go w żywego trupa niezdolnego nawet przeczołgać się przez pokój. Zastanawiał się przez chwilę, jakiego używają środka? Fenobarbitalu? Coś z barbituratów... Cokolwiek by to było, narkotyki więziły go bardziej niż zamknięty pokój.

Zdecydował, że najlepszym, jedynym wyjściem, będzie współpraca. Będzie jadł, to co mu dadzą, ignorował obelgi i przytyki Helmuta, nawet obracał się obowiązkowo na bok, gdy Madame Tran będzie robić mu zastrzyk. Chciał zyskać na czasie, zanim zbierze siły i znajdzie drogę ucieczki. Tymczasem dni i noce mijały jedna za drugą, tworząc białą mgłę, w której płynął, płynął, płynął...

Rozdział 18

W Houston, stanie Teksas, było gorąco i wilgotno. Karl był zaskoczony: Jego obraz amerykańskiego Zachodu ukształtowały filmy i telewizja - kraj płaskowyży, malowniczych pustyń i cylindrycznych kaktusów wyrastających pod szerokim niebem. Ale, przynajmniej wielu mężczyzn ubranych było w kowbojskie wysokie buty i kapelusze Stetsony.

Kupił plan miasta, wypożyczył thunderbirda z klimatyzacją, którego zachowanie i zwrotność rozczarowały go i pojechał do Biura Sądu Federalnego przy Rusk Street. Houston, ze swoim śródmieściem, gdzie skupiły się pokryte srebrzystymi taflami okien budynki, było dla niego bardziej obce niż Waszyngton, w którym szczyty pomników i iglice kościołów dominowały nad pełnym spokoju horyzontem.

Karl pojechał windą na piąte piętro, gdzie młoda Murzynka, obwieszona ręcznie robioną indiańską biżuterią, pomogła mu odnaleźć numer sprawy „Stany Zjednoczone

przeciwko Harknessowi”, a następnie wręczyła mu dwa tomy sprawozdań z procesu. Karl zauważył przy długim stole dwóch studentów prawa, zgarbionych nad swoimi badaniami. Znalezienie nazwisk, o które mu chodziło, było dość łatwe: z tyłu sprawozdań znajdował się spis świadków, z zaznaczeniem stron, na których pojawiały się ich nazwiska. Karl czytał zeznania każdego ze świadków i spisywał nazwiska tych, którzy kojarzyli się mu z organizacją „Rank”.

Dwie godziny później miał listę złożoną z siedmiu ewentualnych nazwisk i z kolei przystąpił do przejrzenia książki telefonicznej Houston w ich poszukiwaniu. Jednego nazwiska nie było, drugie skreślił, zobaczywszy jak wiele osób nosi nazwisko „Johnson”. Na koniec zdobył pięć adresów, które zlokalizował i zaznaczył na mapie. Po lunchu pojechał pod każdy z nich. Usunął z listy tych, którzy mieszkali w dobrze utrzymanych domach podmiejskich z drugim samochodem, czy dziecięcymi zabawkami porzucanymi w ogrodzie; objawami, które były dyskwalifikujące. Starannie natomiast zanotował adresy tych, którzy mieszkali w biednych okolicach lub tych, których domy nadawały się do remontu.

Jeden mężczyzna, George Lish, mieszkał na peryferiach Houston, w okolicy starych farm i budów nowych osiedli mieszkaniowych. Jego dom i przedsiębiorstwo znajdowały się na tej samej posiadłości, pół akra ziemi ograniczały sterty obrobionych pni drzew i brzęczące linie wysokiego napięcia. Wisząca na drucie ogrodzeniowym tabliczka głosiła: „Lone Star Dog-O-Rama: Boarding and obedience Training”. Poniżej liter nieudolnie wykonany niemiecki owczarek warczał na świat. Ten sam znak wymalowany był na drzwiach półciężarówki, stojącej na drodze dojazdowej do domu. Oczywistym było, że interes George Lisha nie prosperował najlepiej.

Karl wynajął pokój w Holiday Inn i dalej prowadził swoją selekcję, dzwoniąc do każdego i pytając o żonę. Odpowiedź George Lisha ucieszyła go najbardziej. - Nie ma tutaj pani Lish - mruknął i odwiesił słuchawkę.

Karl postawił „1” obok nazwiska mężczyzny. Pamiętał z tego, co przeczytał w jakimś zeznaniu, że Georg Lish był jednym z założycieli organizacji, lecz teraz zasiadał tylko w Komitecie doradczym. Człowiek nieruchliwy, ze źle prosperującym interesem, nieżonaty ->- facet bliski ideałowi.

Następnego ranka Karl pojechał do DogORamy. Pokój przyjęć był równie niegustowny jak wejście. Wyposażenie wnętrza składało się z plastikowej kanapki, której jedna noga podparta była cegłą i pomarańczowego stolika kawowego, zarzuconego starymi magazynami „Bre-eder’s World”. Bładozielone ściany obklejone były reklamami artykułów

dla zwierząt domowych. Pokój był pusty, kiedy do niego wszedł. Karl skierował się więc w stronę otwartych tylnych drzwi, idąc za odgłosem rozmowy.

Dwóch mężczyzn, biały i Meksykanin, stało przed jednym z wybiegów dla zwierząt, dyskutując w mieszanym języku hiszpańskim i angielskim. Karl przypuszczał, że starszy mężczyzna jest Lishem. Niemiecki owczarek u stóp Lisha zjeżył sierść i wyszczerzył zęby, gdy Karl ukazał się w drzwiach. Obydwaj mężczyźni odwrócili się.

- King - wydał polecenie Lish - spokój.

Pies przestał szczekać.

- Siad, King.

Pies usiadł i” Lish skinął na Karla: - Niech pan wejdzie. Nie ugryzie pana wcale...

Karl zrobił krok do przodu, nie spuszczając wzroku z psa, na wypadek gdyby nie rozumiał on po angielsku.

- Jest dobrze wytresowany - powiedział Lish. - Niech się pan nie denerwuje. Nic nie zje, dopóki nie powiem mu, żeby jadł.

Georg Lish był niskim, krępyim mężczyzną około trzydziestki. Miał posturę sztangisty i chłopięcą twarz, która przypominała Karlowi pastora, oglądanego zeszłego wieczoru w telewizji. Ubrany był w poplamione szorty koloru khaki i czarny, obcisły podkoszulek.

- Nie widziałem jak pan wchodził. Czym mogę panu służyć?

- Jestem Karl Miiller, panie Lish. Czy moglibyśmy gdzieś porozmawiać prywatnie?

- O czym?

- Sprawa Harknessa, to po pierwsze. Oczy Lisha zwężyły się.

- Jest pan z władz?

- Nie. Reprezentuję organizację o podobnych celach jak pańska.

- Co za organizacją?

Karl wskazał na młodego Meksykanina, który teraz sprawdzał dziurę w ogrodzeniu wokół wybiegu. - To sprawa poufna. Czy możemy wejść do pana biura?

- Berto - zawołał Lish - kiedy skończysz, przytnij pazurki Kay-Ray’owi i sprawdź ten ropień w jego uchu. Będę w środku.

Lish poprowadził go przez pokój przyjęć do prywatnego biura, pomieszczenia tylko trochę mniej przygnębiającego od poprzedniego. Była tu para krzeseł, biurko i przekrzywiona biblioteczka, pod którą kłęby kurzu i psiej sierści przybrały rozmiary piłeczek tenisowych. Szereg fotografii na ścianie przedstawiał doroczne spotkania organizacji, na których Lish stał ramię w ramię ze swoimi towarzyszami, a każdy z nich ubrany był w wojskową bluzę i trzymał strzelbę. Maszynka Coffe do kawy, w brązowe plamy stała na małym stoliku.

- Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz, panie Müller, kimkolwiek pan jest, jeżeli chce pan rozmawiać na temat sprawy Harknessa, nie powiem nic, dopóki nie zostaną wezwany do stawienia się w sądzie.

Karl zrozumiał, że pułapka nie obędzie się bez przynęty, którą miało być zaufanie, a przynajmniej wiarygodność, zanim zaofiaruje jakiegokolwiek pieniądze. Wciąż na stojąco, Karl rozłożył ręce. Pies, który wszedł tuż za nimi, warknął. - Dlaczego mnie pan nie przeszuka? - powiedział Karl. - Nie jestem wysłannikiem rządu. Nie mam przy sobie broni i nie nagrywam pana. Proszę, niech pan sam sprawdzi.

Lish popatrzył na niego. Spojrzenie pełne podejrzliwości stopniowo zamieniło się w uśmiech.

- Do diabła, wiem, że nie masz przy sobie broni, inaczej byś tego nie zaproponował.

Odsunął egzemplarz „Żołnierza Fortuny” z krzesła i usadowił Karla, po czym sam zajął miejsce za biurkiem. Pies ułożył się u jego stóp. Karl położył teczkę na podłodze i zaczął swoją śpiewkę.

- Panie Lish, jestem pewny, że wie pan, że „Rank” nie jest jedyną organizacją, której leży na sercu czystość rasowa.

- Jasne, że wiem. Jesteśmy jak kolejne rozdziały tej samej książki - uśmiechnął się, zadowolony z tak udanego zdania, które przeczytał w jednej z ulotek „Ranka”.

- Próba oczyszczenia Ameryki - mówił Karl - datuje się od czasów wojny secesyjnej, kiedy wyzwoleni niewolnicy byli przesiedlani z powrotem do Liberii.

- Gdzie? Do Nowej Iberii?

- Nie, Liberii. W Afryce.

- Acha, no tak.

- Niedawno, Niemcy podjęli próbę oczyszczenia narodu. Rysy twarzy Lisha stężyły. - Kim jesteś? Jakimś przeklętym dziennikarzem?

- Wcale nie, jestem załedwie...

- Doskonale, nie jesteśmy nazistami, a więc możesz o tym zapomnieć. Jesteśmy białymi separatystami - Amerykanami, w stu procentach. Nie twierdzimy, że jakakolwiek rasa jest lepsza od innej, tylko, że Bóg chciał, abyśmy mieszkali oddzielnie. Nie jesteśmy nazistami, bo nie mamy zamiaru zabijać nikogo należącego do innej rasy, włączając w to Żydów. Jest powiedziane w Biblii, że Żydzi odziedziczą ziemię Kanaan, to znaczy Izrael. Niemcy przegrali wojnę, bo szli przeciw Biblii.

- Ma pan rację - powiedział Karl. - Teraz to rozumieci.

- Kto to zrozumiał?

- Ludzie, którzy kiedyś byli nazistami i uciekli do Południowej Afryki. Na pewno pan o nich słyszał - Organisation der Ehemaligen SS Angehörigenl

Wyglądało na to, że Lish jest zbity z tropu.

- Szeroko znana jako „Odessa”.

- Aa, „Odessa”. Taak, słyszałem o nich.

- A oni słyszeli o was.

- O mnie?

- Waszej organizacji - był pan, mam nadzieję, jednym z członków założycieli „Ranka”.

- I jestem dumny z tego. To nie przestępstwo.

Nagle zmiany nastroju Lisha, od wojowniczości do podejrzliwej pasywności spowodowały, że Karl zaczął się zastanawiać, czy jego wybór nie padł na kogoś zbyt niestalego psychicznie, aby mógł przeprowadzić to, co planował. Ale w parze z niestałością szła łatwowierność i jeśli tylko to, co zamierzał opowiedzieć, pasowało do wcześniejszych koncepcji Lisha, to było prawdopodobne, że tamten pójdzie na to.

Lish chwycił ręczny ekspander z wyszczerbionego blatu biurka. Wyciskał go najpierw prawą, a potem lewą dłońią.

- W każdym razie - powiedział - nie jesteśmy częścią żadnej zagranicznej paczki. Ludzie wciąż odmalowują nas jako nie-Amerykanów, ale jedynym naszym celem jest ocalenie rasowego dziedzictwa naszego kraju.

- Rozumiem. Niemcy wybrały złą drogę, teraz kolej na Amerykę.

- Może tak, może nie - odezwał się Lish podejrzliwie. - Po co właściwie pan tutaj przyjechał?

Karl zaczął kłaść podwaliny pod swoje kłamstwo, które miało zwabić Lisha w pułapkę. Zaczął od tego, że „Odessa” czuje powinowactwo duchowe ze wszystkimi „organizacjami, które podzielają jej ideały”, i że jest mu wiadomym, w jakich kłopotach znajduje się Harkness, przywódca organizacji „Rank”. Członkowie „Odessy” współczują w ciężkim położeniu i podziwiają zdecydowane środki jakie podjęto, aby uciszyć wrogów czystości rasowej.

- To jest pewne - zgodził się Lish. - Powinien pan usłyszeć, co ten facet z radia wygadywał - wszystkie kłamstwa jakie można wymyśleć. Grant zaczął dostawać listy pełne nienawiści. Ludzie dzwonili do niego w nocy, straszili jego dzieci, wszystko przez tego faceta w radio. Kiedykolwiek Grant próbował dzwonić i wyjaśnić wszystko, ten człowiek

mówił jakąś obelgę i przerywał jego wypowiedź w pół zdania. Mam nagrania na taśmach - chce pan usłyszeć na własne uszy, coś z tych bzdur, które nadawał?

- Może później.

- Dobrze, w każdym razie, to było nie w porządku, nie po amerykańsku, używać radia, aby atakować kogoś, kto nie miał możliwości obrony. Wie pan, co mam na myśli?

Oczywiście, że wiedział, powiedział Karl. Tak samo jak jego towarzysze z „Odessy”. To naprowadziło Karla na właściwą przyczynę jego przyjazdu. Jego ludzie pragnęli uczestniczyć finansowo, w obronie Granta Harknessa i zastanawiali się, czy Lish mógł zaopiekować się otrzymanymi od nich pieniędzmi. Nagle Lish zrobił się czujny.

- Jakie pieniądze?

- Pięć tysięcy dolarów...

Karl położył teczkę na stole, otworzył ją i obrócił tak, aby Lish mógł widzieć pieniądze. Jego jabłko Adama podskoczyło na widok pieniędzy.

- To jest dla Granta?

- Na jego fundusz obrony. Czy będzie pan naszym pieniężnym posłańcem i dopilnuje, aby pieniądze dotarły do pana Harknessa?

- No cóż, jasne jeśli... - zrobił przerwę w środku zdania, zmarszczył brew. - Taak, doskonale, jesteśmy Amerykanami, a nie nazistami. Mój staruszek walczył z nimi na wojnie. Jeśli to ma nas związać ze starymi faszystami, to nie wiem...

- Coś wręcz przeciwnego. Zależy nam tak samo jak panu na utrzymaniu w tajemnicy pochodzenia pieniędzy. Powiedzmy, że zebrał je pan z poufnych źródeł, wymyśli pan cokolwiek. Nie koniecznie trzeba wspominać „Odessę”, aczkolwiek mogę pana zapewnić, że wszyscy jesteśmy całym sercem z wami.

Lish zuł dolną wargę i spoglądał na teczkę. Karl szybko podniósł plik banknotów dwudziestopięciodolarowych, zsunął z niego gumkę i podsunął mu je pod oczy.

- Nie widzę żadnej niemieckiej litery na nich, a pan? Pojawił się krótki uśmiech.

- No cóż, jak mój staruszek zwykł był mawiać, zielone to zielone...

- A więc ma pan zamiar kierować transakcją?

- No myślę, tak długo, jak będzie o niej cicho. Ale dlaczego przyszedł pan z tym do mnie! Dlaczego nie dał pan ich po prostu Grantowi.

- Możemy rozmawiać w zaufaniu?

Lish potoczył wzrokiem wokoło, pochylił się do przodu.

- Jasne, dlaczego?

- Nie chcę rzucać nawet cienia podejrzeń na pana Harknessa, ale nie możemy się w żaden sposób dowiedzieć, jakiego rodzaju naciskowi rząd go poddał. Uważamy, że lepiej jest, na tym etapie, jeśli nie będzie wiedział, skąd pochodzą pieniądze. To czego on nie wie...

Lish pokiwał głową z namysłem.

- Oczywiście, oczywiście, mogę to zrozumieć.

Założę się, że możesz, pomyślał Karl, widząc, jak nie może oderwać wzroku od pieniędzy. Był czas na zakończenie. Jeśli wszystko przygotował właściwie, Lish uwierzy w mieszaninę prawdy i kłamstwa, którą teraz miał mu powiedzieć nie tylko dlatego, że zgadzała się z jego poglądami, ale dlatego, że miał zamiar na tym zarobić.

- Sprawa Harknessa nie jest jedyną przyczyną, dla której tu jestem... czy jest panu znane nazwisko doktora Mengele?

- Nazistowski lekarz? Jasne.

- To dobrze... Doktor Mengele, jak pan wie, uciekł po wojnie do Paragwaju. Przywiózł ze sobą znaczną ilość złota i drogich kamieni. Część z tego zainwestował, część istnieje w dalszym ciągu. Kiedy Mengele umarł, cały majątek został powierzony jego konkubinie Marii, z zastrzeżeniem, że jej zadaniem jest rozprowadzanie funduszy w celu wspomagania czystości rasowej. W pierwszej chwili nie chciała tego robić. Maria jest pół krwi Indianką, piękną kobietą wychowaną przez ulicę, żebraczką, dlatego pieniądze mają większe znaczenie dla niej, niż dla pana czy dla mnie.

Lish pokiwał głową, Karl łął dalej.

- Maria była w stanie rozdać tysiąc dolarów tu czy tam, ale całość majątku pozostała nie naruszona. Faktycznie, wartość wzrastała, teraz jest wyceniana na jeden przecinek trzy miliona dolarów...

Lish zagwizdał z szacunkiem i pies podniósł łeb.

- Mówiąc w skrócie - Karl nieco przyspieszył. - U Marii stwierdzono ostatnio leukemię. Lekarze ocenili, że pozostało jej niewiele lat życia i teraz chce uhonorować ostatnią wolę dr Mengele. Jest przesadną kobietą, przede wszystkim Indianką i wierzy, że zaraziła się chorobą, bo nie wykonała ostatniej woli doktora.

Umysł Lisha wirował naokoło iluś tam zer po przecinku - było tego jeden przecinek trzy miliony.

- Moje zadanie - zakończył Karl - polega na znalezieniu w organizacji „Ranka” kogoś, kto będzie chciał spotkać się z Marią i przedyskutować rozprowadzenie stu tysięcy dolarów w Stanach Zjednoczonych. W celu promocji czystości rasowej.

- Sto tysięcy dolarów...

- Jest tylko jeden warunek: w żadnym przypadku pieniądze nie mogą być powiązane z Paragwajem, z Marią Mengele czy „Odessą”.

- Chcecie, aby to było trzymane w tajemnicy, to wszystko?

- Musimy trzymać to w tajemnicy. Większa część majątku doktora Mengele pochodzi od Żydów - jest własnością Żydów - i po wojnie została przeznaczona na Fundusz Pomocy Żydom. Część stanowią w dalszym ciągu klejnoty, kolekcje monet i tak dalej. Izrael uważa je za swoją własność, nie zwróconą, za którą nie otrzymano rekompensaty. Jeśli jakakolwiek suma byłaby połączona z nazwiskiem Marii, rząd Izraela | może podjąć próbę zajęcia jej, rabunku...

- Och, w takim razie są to żydowskie pieniądze.

Karl podniósł raz jeszcze banknot dwudziestodolarowy. - Nie widzę na nim żadnej hebrajskiej litery,-a pan?

Lish uśmiechnął się: - Z miejsca, gdzie siedzę ciągle wyglądają na zielone.

- W takim razie, w porządku. Wszystko, co ma pan zrobić, panie | Lish, to spotkać się z Marią i wziąć jej błogosławieństwo.

- Wziąć jej błogosławieństwo? Co pan ma na myśli?

- Zawsze spotyka się osobiście z obdarowywanymi. Indianie, pan rozumie, zanim zaufają, patrzą się panu najpierw w oczy.

Lish wyglądał na zaniepokojonego. Czy ta Indianka zaufa mu, po tym, co zobaczy? Karl zarejestrował jego reakcję, zapewniając go, że nie] będzie żadnych problemów; że z tego, co wie o Marii, będzie im się świetnie współpracować. Dodał, że Maria właśnie przyjechała do Stanów Zjednoczonych. Przyjechała na konsultacje do specjalistów ze słynnych szpitali. - Teraz jest w Miami - powiedział Karl - lecz wkrótce uda się na leczenie na północ.

Lish zmarszczył brwi. - Chyba nie jest zamieszana w handel narkotykami, co? Nie jesteśmy zwolennikami narkotyków. Zatruwają umysł,] tak jak zakażenie zatruwa krew.

Niemożliwe do przewidzenia, prawie przypadkowe opinie Lisha przestraszyły i zmartwiły Karla. Miał nadzieję, że mężczyzna nie był zbyt] wielkim dziwakiem na to, by stać się wiarygodnym mordercą Sekretarza Generalnego.

- Maria jest kobietą zamożną - przypomniał Lishowi - nie musi \ zajmować się handlem narkotykami.

- Hm, znam Miami. Pełno tam teraz Kubańczyków. Wszyscy związani są z narkotykami.

- Nie, nie - powiedział Karl, zmyślając dalej. - Maria jest w i Miami tylko dlatego, że statek pasażerski nie płynie do Waszyngtonu,; a ona boi się latać. Nie ma zaufania do samolotów. Podróżuje tylko] statkami lub pociągami.

I Winnebago, dodał w duchu. Nie powiedział Lishowi jednak nic o samochodzie. Wy tłumaczył mu natomiast, że musi pojechać do Waszyngtonu w następny czwartek, by spotkać się z Marią. Maria będzie już po testach przeprowadzanych na Johns Hopkins University - wyszukiwał nazwy sławnych amerykańskich szpitali, zajmujących się leczeniem chorób nowotworowych - a przed udaniem się do Mayo Clinic. Będzie to również na cztery dni przed poniedziałkowym przybyciem Sekretarza Generalnego, co dawało Karlowi czas na poczynienie ostatnich przygotowań.

Karl był sobą zachwycony. Czuł się jak mistrz szachowy; poruszając się to tu, to tam, obmyślał niewinny podstęp, który zaprowadziłby jego przeciwnika wprost do nieuniknionej pułapki. Przynętą w tym osobliwym gambicie było sto tysięcy dolarów, wypłacanych gotówką, natychmiast po tym, jak Maria zaaprobuje Lisha.

Oczy Lisha zabłyśły na myśl o perspektywach, lecz zmusił się, by zmarszczyć brwi: - Kto zapłaci za podróż?

- Oczywiście, my. Zatrzyma się pan z nami w Marriott-Arlington.

- Będzie pan tam?

- Odbiorę pana z lotniska.

Lish ciągle wyglądał na zatroskanego.

- Jakiś problem?

- Tylko jeden, muszę opłacić Berto, by karmił psy podczas mojej nieobecności...

Ty chciwy bękarcie, pomyślał Karl. Wyciągnął portfel: - Ile to będzie kosztować?

- Dawałem mu stówę dziennie, w przeciwnym razie najmie się za pomocnika hydraulika w Lenmore.

Karl oddzielił dwa banknoty studolarowe i upewnił się, że Lish dobrze przypatrzył się reszcie pieniędzy.

Lish sięgnął po pieniądze, lecz Karl zawahał się. - Jest pan pewien, że może pan wyjechać?

- Jestem pańskim człowiekiem, Karl. Jesteś moim martwym człowiekiem, pomyślał Karl. Wyciągnął rękę z pieniędzmi i odwzajemnił uśmiech Lisha, fałszywy jak jego własny.

W Berlinie, Paul ledwo był w stanie skoncentrować się wystarczająco długo na jednej myśli, by dojść do jakiegokolwiek wniosku. Ciągle był słaby i kręciło mu się w głowie. Miał uczucie, jakby narkotyki roztopiały mu mięśnie i zamieniały kości w gumę. By zachować siły,

zaczął coraz więcej sypiać. Drzemał niemal ustawicznie aż do czasu, gdy uświadomił sobie, że to narkotyki pozbawiają go energii, a nie brak snu. Stawał się coraz słabszy, a nie silniejszy.

Pobudzony tą myślą do czynu, ześlizgnął się z łóżka i spróbował gimnastykować się na podłodze. Jedna pompka była dla niego już wyczynem. Krew uderzyła mu do głowy. Odpoczął i zrobił następną. Doszedł do trzech, zanim Madame Tran przyniosła tacę z jedzeniem i wyśmiała jego wysiłki.

- Myślisz, że gdzieś pójdziesz? Hm? A może jesteś robakiem, co? Chcesz przeczołgać się pod drzwiami? No, ruszaj się, czas jeść.

Pomogła mu się podnieść na łóżko. W tym momencie jego ręka trąciła stolik, rozbijając szklankę z sokiem pomarańczowym. Madame Tran odskoczyła.

- Psiakrew! - krzyknęła, przyglądając się swojemu jedwabnemu Bao Dai i kroplom soku na skraju spódnicy. Wyszła do łazienki klnąc cicho, mieszając słowa wietnamskie, francuskie i niemieckie. Minęła chwila, zanim Paul uzmysłowił sobie w pełni, że nie zamknęła drzwi. Gdyby mógł wyjść z pokoju, wyjść z budynku... *

Podniósł się o własnych siłach, zebrał w sobie wbrew zawrotom głowy, które zamieniły pokój w karuzelę. Drzwi znajdowały się w odległości dwudziestu stóp, ale równie dobrze mogła to być mila. Miał nogi jak z waty, a w żołądku czuł mdłości. Osunął się na ręce i kolana, nudności minęły. Słyszał szum wody w łazience. Skupił swoją uwagę na otwartym wejściu i zaczął się czołgać. Wydawało się, że przejście przez pokój zabierze wieczność - a kiedy dosięgnął drzwi, zamknęły się mu przed nosem.

Odwrócił się, spoglądając ponad ramionami, jak zwierzę. Madame Tran patrzyła na niego, z rękoma wspartymi na biodrach, mokra plama na jej Bao Dai jaśniała ponuro.

- Rozlałeś swoje jedzenie, robaczku - powiedziała. - Może raczej jedz z podłogi.

Wzięła tacę ze stolika i ostrożnie opróżniła ją na podłogę. Kiedy odchodziła, Paul słabo chwycił ją za kostkę u nogi, lecz kopnęła jego rękę i wymknęła się za drzwi, zabierając ze sobą tacę i przybory. Chwyciwszy się gałki u drzwi, Paul stanął na nogach i w rozpacz zaczął walić w drzwi. Wszystko to sprawiło, że zawirowało mu w głowie. Ześlizgnął się na podłogę, szpitalna koszula owinęła mu się wokół piersi.

Paul drapał w drzwi. - Wypuście mnie - krzyczał, lecz dziwne dźwięki, jakie wydobywały się z jego ust, były tak samo żalodne, jak jego wysiłki. Tracił szybko zdolność poruszania się, jego ciało osłabiało się coraz bardziej. Musiał znaleźć sposób - i to szybko.

Wyczerpany walką z drzwiami, Paul wziął plastikowy kubek z wiklinowego fotela, stojącego obok łóżka i doczołgał się do łazienki. Nie był zwierzęciem. Dzisiaj jego śniadaniem miała być woda. Nie będzie jadł z podłogi...

Później, położył się na łóżku i patrzył na odbijające się w lustrach na suficie jedzenie. Po białej kopulce ugotowanego na miękko jajka łąziła mucha, tost był zabarwiony rozlanym sokiem. Resztki, które miały być jego posiłkiem szydziły z jego słabości. Próbował zebrać myśli, skoncentrować się, ale poranny wysiłek wykończył go. Nagle kiedy zapadł w drzemkę, przyszedł mu do głowy pomysł. Usiadł, myśli pędziły jak oszalałe, wbił tępe spojrzenie w bałagan na podłodze. Widok żywności na ustach. Uśmiech ten pozostał o planie ucieczki. Zapomniał go.

Rozdział 19

Karl sprawdził każdą część ekwipunku, zanim umieścił go w nylonowej torbie. Znajdował się w hotelu w Hoboken, New Jersey; całe wyposażenie było rozłożone przed nim na łóżku. Metalowa taśma, taśma ochronna, rękawiczki chirurgiczne, lusterko dentystyczne, kłódka, środek uszczelniający - lista była długa, za długa jak na jego gust. Wolał proste metody, ale tym razem nie było wyboru. Musiał dostać się na teren terminalu, włamać się do magazynu E, ukraść raketę Redeye i uciec. Wszystko to bez zostawienia najmniejszego śladu. Na dodatek musiał wszystko przeprowadzić tej nocy - jutro przypląwał Coralis.

Karl pojechał taksówką na przystań na Staten Island, tam gdzie przygotował gumowy ponton z silnikiem. Kupił go z ogłoszenia w gazecie. Burty pontonu były połatanne, a motor przemalowany na okropny niebieski kolor, ale ich wygląd wprowadzał w błąd. Sprawdził wszystko dokładnie i nawet przepłynął na próbę dwa razy; zatoką Newark w górę aż do parku Bayonne i po zatoce Upper, naokoło Statui Wolności i z powrotem. Ta droga wiodła wzdłuż wojskowego terminalu.

Łódź pozwalała na pokonanie zatoki, ale nie odważyłby się na zostawienie jej na widoku na brzegu, czy zakotwiczenie na wodach. W celu bezpiecznej ucieczki kupił podwodny pojazd odrzutowy „Nereida”, który leżał przykryty plastikiem na dnie pontonu. Miał kształt torpedy, na końcu której wystawały uchwyty. Kiedy ją kupił, była w jasno żółtym kolorze. Karl przemalował ją na czarno. Pojazd, zasilany przez akumulatory, był bezgłośny i mógł pływać przez około trzy godziny z prędkością półtora węzła. Holowanie pontonu skróci zasięg i prędkość, ale Karl wyliczył wszystko tak, aby odpływ i prąd w rzece mu sprzyjały.

Była pogodna noc weekendowa. Nikt nie zwrócił uwagi, kiedy opuścił przystań. Właśnie zaczął się przyptyw i powietrze było przesycone zapachem soli, wodorostów i mułu. Na większych łodziach zapalono światła, których pofalowane odbicia migotały na czarnych wodach portu. Motorowy jacht właśnie spływał po pochylni, z pokładu dochodziły odgłosy ożywionej rozmowy.

Karl nacisnął przepustnicę i ryk silnika za burtą przerwał nocną ciszę. W miarę, jak wypływał poza ograniczenia Van Kuli Kill w kierunku górnej zatoki, morze kołysało coraz bardziej. Wojskowy Terminal Morski ukazał się w pełnej krasie, jego światła przy wejściu do basenów ślizgały się po ciemnych falach, rzucając głębokie cienie na magazyny i przejścia na brzegu. Statek był w trakcie załadunku. Karl zmienił kurs, aby ominąć ruchliwe miejsca i skierował się w stronę tej części nabrzeża, gdzie znajdował się magazyn E. Przed wpływieniem w jasny krąg światła, zatrzymał silnik, rozebrał się z ubrania i zrzucił buty, włożył je do wodoszczelnej torby, a następnie do plecaczka. Pod ubraniem miał na sobie kombinezon chroniący jego tors.

Dociągnął taśmy od plecaczka, założył płetwy i ześliznął się do wody. Wstrząs spowodowany zetknięciem z lodowatą, pokrytą plamami oleju cieczą szybko minął, kiedy woda ogrzała go wewnątrz kombinezonu. Rozciął nożem komory pontonu i pozwolił mu zatonać. „Nereida”, która ważyła na lądzie ponad trzydzieści funtów, po zanurzeniu się w wodzie posiadała niewielką ujemną wyporność. Karl włączył silnik i pozwolił się ciągnąć jak ogon za latawcem. Woda bulgotała wirując naokoło jego ramion, kiedy „Nereida” holowała go w kierunku nabrzeża.

Nie trzymano stałej warty wzdłuż nadmorskich granic terminalu. Kiedy stopy Karla dotknęły dna, zdjął pas balastowy, włożył go do sieci rybackiej i przytwierdził ją do „Nereidy”, przywiązał do pasa linę, po czym pozwolił im zatonać razem z pojazdem. Zapamiętawszy pozycję, wyszedł na brzeg, ciągnąc linę za sobą. Ukrył ją pod kamieniami, zdjął płetwy i wdrapał się po oślizłych palach i połamanych betonowych blokach na suchy ład. Trzymając się w cieniu, przeszedł przez opustoszały terminal do magazynu E. Wiedział, że patrol chodzi co godzinę, ale nie wiedział dokładnie kiedy.

Opustoszałe drogi wokół magazynów tonęły w powodzi światła. Na końcu magazynu E znajdowały się drzwi załadunkowe wysokości dwudziestu stóp, a obok nich następne, metalowe, normalnych rozmiarów, z kwadratowymi szybkami z matowego szkła. Karl bezszelestnie stanął w cieniu, nasłuchując i obserwując. Gdy się upewnił, że nikogo nie ma w pobliżu, podszedł do drzwi i wykorzystując światło na zewnątrz, zbadał szkło. Tak jak

mówiła major Fellows[^] po wewnętrznej stronie szyb umieszczono metalowe zabezpieczenia, których kontur rysował się niewyraźnie.

Cofnął się w cień i przeszedł na tyły budynku, gdzie wyjął z plecaka hak przywiązany do dakronowej liny. Używając liny jak procy, zarzucił go na dach. Hak upadł na rynnę. Słyszac ten dźwięk, Karl drgnął. Gdy szarpnął za linę, hak odskoczył i spadł na ziemię. Jakiś kot wypadł z cię-nia i znikł. Karl zatrzymał się na chwilę nasłuchując, a potem znowu zarzucił hak. Próbował cztery razy, zanim mu się udało.

Gdy hak był już mocno zaczepiony, Karl przywiązał plecak do luźnego końca liny i zaczął się po niej wspinać. Rynna lekko się naderwała, gdy ją uchwycił i Karl modlił się w duchu, by okazało się, że budowniczowie - kimkolwiek by byli - nie oszczędzali na materiale. Przez chwilę zawisł w powietrzu na wysokości trzydziestu stóp, rynna przekrzywiła się pod jego ciężarem. Rozkołysał się, przerzucił piętę ponad krawędzią rynny, przetoczył się i znalazł się na dachu.

Zatrzymał się na chwilę, by złapać oddech, po czym wciągnął na górę plecak. Wzdłuż szczytu dachu umieszczone były trzy metalowe wentylatory przykryte daszkami. Karl zbliżył się do środkowego, wyjął mały palnik acetylenowy i azbestowy mankiet. Całe wyposażenie kupił w sklepie z towarami żelaznymi; azbestowy mankiet zaprojektował tak, aby płomień palnika nie był widoczny podczas pracy.

Umocował mankiet i zapalił palnik. Wyregulowawszy płomień, zaczął ciąć wentylator jakieś sześć cali ponad podstawą. Mokry kombinezon przyłgnął do jego ciała i wiejący lekki wiatr przejął go dreszczem. Był zadowolony z podmuchu ciepłego powietrza idącego od palnika. Miał dogodne miejsce, skąd mógł widzieć rozciągający się terminal, port i w oddali centrum Nowego Jorku, którego miliony świateł rzucały poświatę na nisko wiszące chmury.

Ponad dziesięć minut zajęło mu cięcie wokół wentylatora. W końcu Karl odłożył go na bok i zajrzał do środka magazynu. Otwór był zablokowany żelazną kratą. Za pomocą latarki i dentystycznego lusterka, obejrzał spód kraty. Wzdłuż prętów biegła błyszcząca metalowa listwa, a każdy jej koniec przymocowany był do czujników umieszczonych na suficie.

Karl własną listwą metalową stworzył pomiędzy czujnikami alternatywny obieg, wyłączając z niego dwa pręty krat. Następnie przeciął kraty palnikiem, układając każdy z kawałków na dachu. Otwór był teraz wystarczająco duży, by mógł się przez niego precyzyjnie. Opuścił plecak na podłogę, umocował drugi koniec liny na dachu i spuścił się na dół.

Wnętrze magazynu pogrążone było w kompletnych ciemnościach, jedyne światło przebijało przez matowe okna w metalowych drzwiach. Kontenery ułożone były jeden na

drugim po dwa i po trzy, każda przesyłka na osobnym, wydzielonym miejscu. Przyświecając sobie latarką, Karl sprawdzał numery identyfikacyjne ładunków. Znalazł QL4416 H5. Odetchnął głęboko. Ładunek Redeye przybył na czas. Poruszając się szybko, przeciął palnikiem kłódkę, przerwał metalową taśmę zabezpieczającą i otworzył drzwi.

W wąskim snopie światła latarki ukazał się rząd ciemnozielonych metalowych skrzyń, oddzielonych drewnianymi ramami. Karl usunął drewniane wiązanie, wyciągnął jedną ze skrzyń i położył na podłodze. Miała pięć stóp długości, osiemnaście cali szerokości i jedną stopę wysokości. Rogi skrzyni były zaokrąglone, a na każdej z krótszych ścian znajdowały się metalowe rączki. Ważyła około pięciu funtów, lecz ponad połowa z tego przypadała na akumulator i samą obudowę.

Karl nacisnął zatrzaski i podniósł wieko. Zapach świeżej farby i przewodów elektrycznych przypomniał mu nowe stereo. Spoglądał na metalową tubę, długości około czterech stóp, z rączką i okularom umieszczonym w jednej trzeciej długości od strony zapalnika. To była lufa wyrzutni, pocisk znajdował się w środku. Karl wyjął wyrzutnię i obejrzał ją: rączka, składany okular, kable zaciskowe, komora na baterie. Usunął pokrywę przy końcu lufy i zajrzał do środka. Termiczna głowica Redeye błysnęła jak gadzie oko...

Usłyszał warkot samochodu. Zgasił latarkę i czekał. Światła reflektorów prześlizgnęły się po oknie i znieruchomiały. Patrol. Karl spojrzał na zegarek: dwudziesta czwarta. Instynktownie cofnął się za kontener, wiedząc, że to i tak nic nie pomoże... Jeśli ktoś wejdzie teraz do środka, operacja będzie spalona.

Majająca za szkłem sylwetka zогromniała, a gdy mężczyzna zbliżył się do drzwi skurczyła się. Odgłos silnika chodzącego na wolnych obrotach odbijał się słabym echem od ścian magazynu. Jeden z mężczyzn zawołał coś do drugiego i zaśmiał się. Gałka w drzwiach obróciła się raz, a potem cień znikł. Chwilę później zawarczał silnik. Gdy odjeżdżali okno rozbliżyło czerwonym światłem.

Karl wypuścił powoli powietrze. Teraz, kiedy odjechali, podskoczyła mu adrenalina we krwi; serce mu galopowało i kłujący dreszcz przebiegł przez jego ręce.

Zmienił ułożenie broni i sprawdził cztery baterie wraz z akumulatorem. Potrzebował tylko jednej baterii, ale pozostałe były rezerwą. Skończywszy przegląd Redeye, przepakował go i odłożył na bok. Następnym krokiem było zamknięcie kontenera i takie zabezpieczenie, by nikt nie mógł stwierdzić, że był kiedykolwiek otwierany.

Karl wyjął z plecaka kłódkę typu Eagle, odpowiadającą wzorom wojskowym i ją zatrzaskał. Aby znaleźć identyczny zamek, obdzwonił wiele sklepów z towarami żelaznymi. Plomba zabezpieczająca wymagała więcej zabiegów, chociaż ostatecznie pokonał i tę

trudność. Miał nową plombę z uprzednio już wyrytym dokładnym kodem identyfikacyjnym: QL 4416 H5. Czyste taśmy zabezpieczające były łatwe do nabycia, jak i pojedyncze matryce, którymi posłużył się, by odbić właściwy kod. Teraz przewlekł taśmę przez zasuwę, wsunął jeden jej koniec w szczelinę metalowej kulki i ścisnął je razem wyciętym stemplem. Nikt nie odkryje zmiany wcześniej aż ładunek przybędzie do Kostaryki i pełnomocnik spróbuje otworzyć zamek.

Gdy kontener był już zaplombowany, wyjął preparat uszczelniający i zaczął izolować metalową skrzynkę z Redeye. Rozmazał kleistą substancję wokół spoin, przyłożył pasek metalowej siatki i powtórzył czynność. Uszczelniacz miał charakterystyczny zapach, co zaniepokoiło Karla; miał wrażenie, że przepełnia on cały budynek i alarmuje wartowników. Po skończonej pracy podszedł do frontowych drzwi i wyłączył system alarmowy w taki sam sposób, jak to zrobił wcześniej, tworząc między czujnikami alternatywny obieg.

Otworzył drzwi i wyrztał na zewnątrz. Było pusto. Szybko się poruszając, przeniósł Redeye na bok budynku, do pojemnika, gdzie składowano złom. Mimo że powietrze było zimne, spociał się w kombinezonie. Zardzewiałe zawiasy zazgrzytały, gdy zamykał pokrywę. Zapomniał o oleju. Wydawało się, że ciągle było coś nie tak, w tym wypadku nic poważnego, tym nie mniej zirytował się.

Schował Redeye w pojemniku, zamknął pokrywę szybko i stanowczo, unikając w ten sposób nadmiernego hałasu. Następnie, wróciwszy do magazynu, prześledził każdy swój krok, usuwając napotykaną resztki taśmy. Wdrapał się po linie na dach i osadził kraty zabezpieczające, używając taśmy ochronnej do przymocowania odciętych prętów w ich pierwotnym położeniu. Taśma miała ciemnoszary kolor, podobny do koloru krat. Wątpił w to, by ktokolwiek spojrzawszy do góry na ciemne wgłębienia na suficie, dostrzegł różnicę.

Gdy kraty były już na swoim miejscu, przeciągnął metalową taśmę od ich spodu, przywracając pierwotny obieg. Na koniec ustawił odcięty kawałek wentylatora, ponownie używając taśmy ochronnej. Jedyne słońce i deszcz mogły ją zniszczyć, a silny wiatr przewrócić wentylator, ale wtedy jego misja powinna już być zakończona.

Zsunął się w dół po linie i szarpnął za linkę uwalniającą, by oswobodzić hak. Schował narzędzia do plecaka, wrócił do składu i wyciągnął Redeye. To był najslabszy punkt planu. Redeye wraz z obudową i bateriami ważył niemal sześć funtów. Pochylony do przodu, tak aby chociaż część ciężaru przejął plecak, ruszył w stronę wody. W pewnej chwili, gdy przechodził przez drogę, wyjechał samochód i Karl tylko swojemu szczęściu zawdzięczał, że samochód skręcił w drugą stronę, a nie w jego kierunku. Karl zaklął cicho i znowu pożałował,

że nie wymyślił lepszego sposobu transportowania pocisku. Czegoś nie rzucającego się w oczy, czegoś na kółkach.

Ciężko dyszał, gdy dotarł wreszcie do wody. Odpływ odsłonił śliskie, oplecione wodorostami skały. Dwukrotnie przysiadł poślizgnąwszy się, próbując swoim ciałem zamortyzować uderzenie skrzynki z Redeye. Za drugim razem skrzynka ześlizgnęła się sama i uderzyła o skały. Dla Karła odgłos ten był głośny, jak huk wystrzału, ale nie było żadnej reakcji od strony terminalu. Jedynym dźwiękiem zakłócającym ciszę nocną było dalekie dudnienie dźwigu, poruszającego się wzdłuż nabrzeża i niewyraźne brzęczenie dzwonka ostrzegawczego.

Zimna woda była szokiem dla jego zgrzanego ciała, ale Karl poczuł ulgę. Woda była bezpieczna. Podążył za linką od sieci do „Nereidy”, nałożył pas balastowy i przywiązał do niego linę z przymocowaną z drugiego końca rączką skrzynki Redeye. Ze skrzynką płynącą za nim głęboko w wodzie, skierował „Nereidę” w poprzek wąskiego kanału w stronę Staten Island.

Zaparkował samochód w willowej dzielnicy wzdłuż Richmond Terra-ce, niedaleko miejsca lądowania, w małym parku na brzegu morza. Prąd był silniejszy, niż przewidywał i Karl musiał sterować bardziej na zachód. Pomimo tego minął swoje miejsce lądowania o ćwierć mili i wypłynął przy restauracji stojącej na palach wbitych w wodzie. Była druga trzydzieści nad ranem.

Ukrył Redeye, zdjął kombinezon, wytarł się jak mógł najlepiej cienkim białym ręcznikiem, który wziął z hotelu i zapakował wraz ze swoim ubraniem do wodoszczelnego worka. Resztę wilgoci wchłonęła bielizna. Z mokrą koszulą na plecach szedł pustymi ulicami. Gdy doszedł w końcu do samochodu, miał dreszcze. Włączył ogrzewanie, wrócił do restauracji i wyciągnął z ukrycia Redeye.

Uradowany odniesionym sukcesem Karl jechał przez całą noc z powrotem do Waszyngtonu. Spał sześć godzin, zjadł śniadanie w południe, a potem usiadł na podłodze w pokoju, rozłożywszy wokół siebie części Redeye i samą raketę. Podczas urlopu w Zinnowitz z wujkiem Alekssem nauczył się na pamięć instrukcji obsługi. Kolejność ruchów była następująca: ustawienie żyroskopu, wymierzenie w cel, zwolnienie żyroskopu, nastrojenie w podczerwieni i odpalenie. Karl powtarzał to tak długo, przez cały dzień, że był tak dobrze obznajomiony z wyrzutnią jak z kierownicą mercedesa.

Następnym krokiem było wynalezienie sposobu odpalenia rakiety z wewnątrz domu na kółkach; coś, co okazało się bardziej skomplikowane niż przypuszczał. Wynajawszy Winnebago pojechał nim w nocy, wioząc raketę, w okolice lotniska Dullesa i zaparkował pod

zbliżającymi się do lądowania odrzutowcami. Samoloty cywilne pojawiały się w otwartym na dachu okienku w oprawie czarnego rozgwieźdzonego nieba, ale Karl stwierdził, że nie ma czasu na śledzenie ich lotu. W momencie, kiedy widział je w kółku celownika, przednia krawędź włazu zasłaniała mu widok. Mógł mieć wystarczającą ilość czasu na wycelowanie, sprzężenie z celem i odpalenie jedynie wtedy, kiedy stał na dachu, a tego nie miał ochoty robić. Spośród czterech miejsc przewidzianych do odpalenia rakiety, dwa znajdowały się w mieszkalnych dzielnicach podmiejskich, jedno było na parkingu na poboczu szosy i ostatnie na parkingu w centrum handlowym. Karl chciał pozostać w ukryciu, nawet w momencie wysłania rakiet, a to znaczyło strzelanie przez otwór w dachu.

Jednym z rozwiązań było powiększenie otworu w dachu, ale tego nie można było zrobić, dopóki nie namówi Lisha do wypożyczenia tego domu na kółkach. Kiedy to mu się uda, może sam dokonać modyfikacji, lub komuś zlecić. Jeśliby kogoś wynajął, nie było możliwości określenia, jak dużo czasu to zajmie, a także czy ta osoba nie zorientuje się, że samochód został wypożyczony. Najlepiej było zrobić wszystko samemu, ale on nie znośił robić czegoś, co zwracałoby uwagę na Winnebago i czuł wrodzoną niechęć do półśrodków. Co się stanie, jeśli zrobi dziurę za dużą i osłabi konstrukcję? Wyobraził sobie sytuację, w której najeżdża samochodem na dziurę i Winnebago załamuje się jak zaminowany most.

Koniec końców Karl zdecydował się na rozwiązanie prostsze, za to bardziej twórcze, które obejmowało lustro i mnóstwo ćwiczeń. Wypukłe lustro przypiął do przedniej krawędzi włazu; widać w nim było wszystko, co działo się za samochodem. Obraz był zniekształcony. Malutkie sylwetki samolotów, w momencie gdy przelatywały nad jego głową, olbrzymiały w nim błyskawicznie jak nadmuchiwane balony, ale po na|braniu wystarczającej praktyki, Karl był w stanie oceniać odległości z taką samą łatwością, jak to robił gołym okiem.

Używając lustra, trenował tę samą kolejność czynności, którą doprowadził do perfekcji w domu. Stał w Winnebago z wyrzutnią na plecach, wpatrzony jednym okiem w pierścień celownika, a drugim w nadlatujący samolot. Zwolnił żyroskop i zaczął prowadzić samolot, zanim ten ukazał się w otworze w dachu.

Kiedy pojawiał się w polu widzenia, sygnał nastrojenia, nikły czerwony wskaźnik, wskazywał, że Redeye jest sprzężony z celem i można odpalać raketę w każdej chwili. Po odpaleniu rakiety, gorące gazy wylotowe odrzutowca będą prowadziły jej uczuloną na ciepło głowicę, jak gorący chodnik, aż do celu. Po odpaleniu, samolot bez urządzeń zakłócających w podczerwieni był skazany na zagładę.

Karl spędził trzy noce, celując w jeden za drugim nadlatujące cywilne samoloty. W każdym przypadku, gdyby nacisnął spust, zniszczenie nastąpiłoby w ciągu trzech sekund.

Zastanawiał się, ile ludzkich istnień przeszło przez jego ręce? Tysiąc? Dwa tysiące? To nie miało znaczenia. Ważne było życie tylko jednej osoby. Tylko ona była wystawiona na cel.

Z doświadczeń przeprowadzonych z Winnebago wyniósł przekonanie, że był on doskonały jako platforma do odpalenia pocisku, lecz zbyt wolny i niezdatny jako pojazd do ucieczki. Kupił egzemplarz miejscowej gazety Prince George's Journal i zaczął szukać używanego motocykla. W okolicy przyczep mieszkalnych znalazł ponurego młodzieńca, który oferował do sprzedaży Kawasaki KE-100.

- Nie sprzedawałbym go - wymamrotał - ale zaciągnąłem się do wojska..

Miał bladą cerę, lepkie włosy i nadęte wargi. Karl z ledwością mógł uwierzyć, że amerykańska armia ma ochotę go przyjąć w swoje szeregi.

Kawasaki był w kolorze czarnym, na baku miał wymalowane czerwone pomarańczowe płomienie; można było jeździć na nim zarówno po drogach, jak i tam, gdzie dróg nie było. Mając tylko sto centymetrów sześciennych pojemności nie był specjalnie szybki, czy mocny, ale nie był ciężki, z łatwością można go było załadować i rozładować z Winnebago. Zresztą, motocykl miał go przewieźć jedynie z Bazy Lotniczej Andrews na lotnisko narodowe, które było po drugiej stronie rzeki Potomac od strony śródmieścia Waszyngtonu.

- Naprawdę jest w dobrym stanie - chłopak mamrotał.

Przejażdżka po okolicy przekonała Karla i szybko ubili interes, ustalając cenę jak na pchlim targu.

Kiedy Karl odprowadził Winnebago do Sunshine S.V., zabrał ze sobą motocykl i wrócił na nim do domu nad Toons Creek. Jasnym było, że nie był przystosowany do jazdy po autostradzie, dlatego trzymał się dróg drugorzędnych, tak samo jak w czasie przyszłej ucieczki z okolic Andrews na Lotnisko Narodowe.

Kupił hełm zintegrowany, zasłaniający całą twarz i spędził godziny jeżdżąc po drogach podmiejskich, które biegły leśnymi pagórkami stanu Maryland. Dwa razy przejechał od Bazy Andrews na lotnisko, aby zapoznać się z trasą ucieczki.

Za drugim razem zobaczył żonę swojego brata.

To była środa po południu i tylko dlatego, że był zafascynowany życiem swojego brata, a nie z żadnych innych przyczyn, Karl przejechał obok domu Paula w Arlington, Wirginia. Ubrany w skórzaną kurtkę i hełm zasłaniający mu twarz nie obawiał się, że ktokolwiek z sąsiadów weźmie go za Paula.

Zobaczył kobietę wychodzącą z domu. Czy to możliwe, aby to była ona? Szybko zawrócił, skręcił za róg i powrócił do miejsca, skąd mógł wszystko obserwować, samemu nie

będąc widzianym. Kobieta miała czarne włosy, podtrzymywane opaską z czerwonej, jedwabnej chustki. Była ubrana w szarą bluzkę i czarne luźne spodnie. Szła energicznie w kierunku zaparkowanego przy krawężniku alfa romeo. Kiedy alfa romeo zbliżało się w jego kierunku, Karl pozostał na miejscu z opuszczonym wizjerem hełmu i udawał, że jest zajęty szukaniem drogi na mapie. Podniósł wzrok tylko w ostatnim momencie, aby dobrze się przypatrzeć kobiecie. To była Joanna, z całą pewnością. Rozpoznał ją ze zdjęcia, które dał mu Paul.

Wyglądało na to, że myślała o czymś bardzo intensywnie. Karl był pewny, że nie zwróciła na niego uwagi. Podniecony pozwolił sobie śledzić ją przez most Key aż do galerii w Georgetown. Na motorze łatwo było przeciskać się przez ruch uliczny, a jednocześnie pozostać ukrytym pośród samochodów. Kiedy zatrzymali się przed galerią, Gallerie, J-/Enfant, przypomniał sobie, że zgodnie z tym, co powiedział Paul, tutaj pracuje jego żona. Żona Paula, Joanna...

Uśmiechał się podczas drogi powrotnej do domu nad Toons Creek, spekulując na temat prywatnego życia swojego brata. Coś mu mówiło, z nerwowości Paula, kiedy o niej wspominał, że jego brat i Joanna pozostają w separacji. Jeśli miał rację, to znaczy, że Joanna wróciła podczas nieobecności Paula. Czy niepokoiła się o niego? Czy wiedziała, że wyjechał do Niemiec? Jeśli telefonowała do Bernie Sterna, redaktor powiedziałby jej to samo, co usłyszał od Karla, historię jego tajnego śledztwa w sprawie nielegalnego handlu bronią przez CIA. Im więcej o tym myślał, tym bardziej zależało mu na bliskim poznaniu szczegółów życia

Paula. Mógł wśliznąć się do domu Paula, w czasie, gdy Joanna była w pracy...

Nie musiał się wślizgiwać, miał przecież klucze Paula. Realizacja niosła w sobie swój własny ładunek podniecenia i obietnicę. Mógłby, po prostu, podejść do drzwi, ale to było zbyt niebezpieczne. Misja Redeye była zbyt ważna, aby narażać ją na niebezpieczeństwo z powodu kaprysu. Prywatne życie Paula, było jego prywatnym życiem i nic co mógłby odkryć, nie zmieniłoby przeznaczenia, różnego dla nich obu. Karl zmusił się do porzucenia myśli o odwiedzeniu domu Paula, ale nie pozbył się jej całkowicie... zapuściła korzenie w jego podświadomości. Zaczęła kiełkować w czasie, kiedy planował spotkanie z Georgem Lishem.

Pomysł ucieczki przyszedł na myśl Paulowi ponownie w jednej z rzadkich chwil jasnego umysłu, które poprzedzały codzienny zastrzyk. Przypomniał sobie... w ten dzień, kiedy upuścił jedzenie na podłogę Madame Tran była przede wszystkim zainteresowana stanem swojej garderoby. I to był klucz. Modląc się o to, aby zachowała się ponownie tak samo, Paul poczynił przygotowania.

Najpierw nalał do plastikowego kubeczka wodę. Ponieważ zawroty głowy uniemożliwiały stanie w wyprostowanej pozycji, przeczołgał się do łazienki i z powrotem, stawiając kubek na podłodze za każdym razem, gdy przesunął się w przód. Kiedy znalazł się w łóżku, postawił kubek koło ściany pod wiklinowym krzesłem. Następnie położył się i trenował każdy ruch, raz za razem. To, co miał zrobić nie było trudne, ale jego kończyny były pozbawione koordynacji, a mięśnie siły... Obawiał się, że nie będzie w stanie wykonać manewru dostatecznie szybko, bez potknięć.

Ale nie było wyboru - musiał, w jakiś sposób musiał nakazać ciału posłuszeństwo. To było tak dawno temu, kiedy czuł się w pełni sił, że nawet już nie pamiętał jak to jest. Czy naprawdę, były czasy, kiedy mógł się wyprostować, stać nie doznając zawrotów głowy, iść nie przewracając się, a nawet biegać? Kiedy jego mózg wydał polecenie „Zrób to”, jego ciało odpowiadało błyskawicznie, poświęcając nie więcej uwagi na szczegóły, niż kiedy oddychał.

Musiał odzyskać zdolność poruszania się, by móc uciec, ale wszystko zależało od Madame Tran i od tego, czy jej reakcja będzie taka sama jak poprzednio. Kiedy weszła, Paul zauważył z satysfakcją, że jej Bao Dai była uszyta z brokatu bogato dekorowanego złotem. Doskonale. Im bardziej wymyślna, kosztowna garderoba, tym bardziej będzie skłonna do chronienia jej. Miała wyraźnie obsesję na punkcie odzieży.

Podeszła do łóżka, tak jak zwykle, rzeczowa, o nadętych ustach, obserwując go tylko jednym okiem. Tak jak zwykle, strzykawka leżała na tacy obok śniadania. Paul podniósł się z wysiłkiem i udając, że jest bardzo głodny sięgnął po tackę akurat wtedy, kiedy Madame Tran położyła ją na krześle. Potrącona szklanka z mlekiem uderzyła o podłogę, plamiąc Bao Dai.

- Niech cię diabli!

Wymierzyła mu policzek tak silnie, jak tylko mogła. Paul upadł na łóżko, dzwoniło mu w uchu od uderzenia. Twarz miał zdrętwiałą, jedno oko łzawiło tak, że musiał nim mrugać, aby skupić wzrok. Zobaczył siebie w lustrze nad łóżkiem, najpierw rozmytą postać, a potem wyraźnie, potem znowu zamazaną...

Odgłos wody płynącej w łazience ocucił go. Jak długo leżał na wznak? Ile czasu mu pozostało? Musi działać. Teraz...

Przewrócił się na bok. Taca wciąż była na krześle, a na niej leżała strzykawka. Nadszedł czas wykonać to, co przećwiczył. Wyciągnął drżącą rękę. Strzykawka wydawała się być tak daleko... Podniósł się na łokciu. Łokieć nie wytrzymał i ugiął się. Upadł na materac, odzyskał kontrolę, spróbował jeszcze raz... Strzykawka. Opuszki dotknęły gładkiego, szkła, które usunęło się spod jego palców. Wychylił się dalej, poczuł jak mięśnie w ręce, na której był oparty, zaczynają drżeć - i nagle, nareszcie, dosięgnął jej.,

Przytulił strzykawkę do piersi. Madame Tran była częściowo widoczna przez drzwi do łazienki, obrócona plecami w jego kierunku, wciąż zajęta, zdenerwowana, czyściła Bao Dai nad umywalką. Paul skupił swoją uwagę na strzykawce. Niezdarnymi rękami wbił igłę w materac i nacisnął tłok. Napotkał opór. Wydawało się, że tłok nie poruszy się. Nacisnął silniej. Kciuk ześlizgnął się. Klnąc cicho, wytarł spoconą rękę o prześcieradło i spróbował raz jeszcze. Spokojnie, mówił do siebie, nie próbuj zbyt mocno, nie złam igły... Naciskał równomiernie i powoli, powoli strzykawka opróżniała się. Gdy Paul wycisnął cały płyn, obrócił się na brzuch, wysunawszy głowę i ręce poza materac, tak by dosięgnąć szklankę z wodą stojącą na podłodze. Wsadził igłę do szklanki i pociągnął tłok. Powoli, bardzo powoli strzykawka zaczęła się napełniać.

Zbyt długo, do cholery, pokrzykiwał na niego wewnętrzny głos. Trwało to zbyt długo, ona wyjdzie, na miłość Boską... Opanował panikę. Tłok poruszał się przerażająco powoli. Ręce mu drżały, palce ciągle ześlizgiwały się. Głowa, zwieszona z łóżka, boleśnie pulsowała. Chciał cofnąć tłok, ale zmusił się, by nie...

I wreszcie udało się.

I woda w łazience ucichła.

Wcisnął łokieć pod klatkę piersiową i dźwignął się. W łazience Madame Tran, wyglądając swoje mokre Bao Dai, zaczęła się odwracać. Chciał odłożyć strzykawkę z powrotem na tacę. W pośpiechu uderzył ręką w spód stolika, strzykawka wypadła mu z palców i potoczyła po podłodze.

- Ty cholerny... - mówiła Madame Tran, wchodząc do pokoju.

Strzykawka leżała pomiędzy kałużą rozlanego mleka a łazienką. Za chwilę zobaczy ją. Za chwilę zorientuje się. Chyba że...

Paul wychylił się do przodu i trącił tacę, wywracając kurczaka, kluski, sałatkę z buraków, wszystko na podłogę.

- Przestań - wrzasnęła Madame Tran. Podeszła, omijając odpadki na podłodze i popchnęła go na łóżko.

- Jestem głodny - wymamrotał Paul.

- Nic nie dostaniesz, nic dzisiaj nie dostaniesz, ty kłopotliwy wszarzu.

Ruszyła do drzwi, gdy spostrzegła strzykawkę i przypomniała sobie o zastrzyku.

- Jestem głodny - powiedział Paul.

- Zamknij się. Obróć się.

Przewróciła go na bok i Paul poczuł znajome ukłucie w pośladek. Uśmiech igrał mu na wargach, kiedy Madame Tran wyszła, trzaskając drzwiami i zamykając je za sobą. Ktoś

przyjdzie sprzątać odpadki, lecz Paul nie zbudzi się, by zobaczyć, kto to będzie. Wyciągnął się. Był śpiący, a śpiąc stawał się zagrożeniem dla swojego brata.

Rozdział 20

George Lish przyleciał na lotnisko Narodowe w Waszyngtonie w czwartek tuż po dwunastej, dokładnie na cztery dni przed planowanym przylotem Sekretarza Generalnego. W miarę, jak samolot obniżał lot nad srebrnobrązowymi wodami rzeki Potomac, zaczął rozróżniać znajome punkty: pomnik Waszyngtona, most Arlingtona, pomnik poświęcony ofierze, jaką złożyło jego pokolenie na ołtarzu walki o wolność. George był jednym ze zwolenników budowy pomnika wojny w Wietnamie. Spotkało go rozczarowanie, kiedy autorem zwycięskiego projektu okazała się dziewczyna, Amerykanka, ale najwyraźniej należąca do obcej rasy... Zrozumiałe, że nie była członkiem tego samego walecznego narodu, którego synowie padli w bitwie pod Bunker Hill.

George podzielał pogląd innych członków organizacji „Rank” na temat specyficznej geografii świata, według której każdy kontynent był przypisany ludziom z pewnej rasy; Murzyni w Afryce, żółci w Chinach, Meksykanie w Ameryce Południowej, Żydzi w Izraelu, Aryjczycy w Europie i Ameryce Północnej. To był naturalny porządek rzeczy i oczywiście George dążył do niego.

Inaczej niż pozostali z „Ranka”, George uważał siebie za umiarkowanego. Nie chciał zabić wszystkich Murzynów i Żydów - mimo wszystko ludzie byli ludźmi. On proponował „model izraelski”, to znaczy, że każdy naród powinien żyć w swojej ojczyźnie. Tak jak zawsze mówił do ludzi, on popiera Murzynów w Afryce Południowej. Chciał, aby wszyscy biali opuścili Afrykę, a w zamian wszyscy czarni Amerykę. „Biała Ameryka dla białych Amerykanów” było sloganem organizacji „Rank”.

George mówił z dumą, że to on wymyślił to powiedzenie dziesięć lat temu, kiedy z sześcioma innymi założył organizację. Był jej pierwszym wiceprezydentem. Ożenił się z kobietą, która urodziła mu troje dzieci i zrobiła z DogORamy intratne przedsięwzięcie, która odeszła z akwizytorem żywności dla zwierząt domowych. Od tamtego czasu farma chyliła się ku upadkowi. Przyczyniło się do tego także zwolnienie tempa rozwoju ekonomicznego Houston, spowodowane, o czym każdy wiedział, przez Arabów i ich tanią ropę.

Kariera Geoga w organizacji uległa podobnemu załamaniu. Gdy liczba członków rozrosła się, został przyćmiony przez takich ludzi jak Grant Harkness, którzy posiadali dynamiczną osobowość, byli bardziej energiczni, mieli skrajne poglądy i używali jeszcze

bardziej chwytnych sloganów. W kolejnych wyborach George doznał poniżających porażek, aczkolwiek starannie to ukrywał pod maską dobrodusznego towarzysza. Jego status obniżył się do uczestniczenia w pracach różnych komitetów i organizowania comiesięcznych ćwiczeń polowych. Nie należał do kręgu wewnętrznego, ani nie był członkiem Oddziału Bojowego, który wysłał bombę do siedziby rozgłośni. Wiadomość o aresztowaniu Granta Harknessa a przyjął więc z ukrytym, lecz zrozumiałym dreszczykiem.

George uśmiechnął się na wspomnienie wręczenia Grantowi Harknessowi pieniędzy „Odessy”, to znaczy ich połowy, z którą się rozstał. Trzymał dwa tysiące pięćset w rezerwie. Wymyślił, że zdumienie Granta będzie podwójne, jeśli otrzyma pieniądze w dwóch ratach. Na pytanie, skąd one pochodzą, George uśmiechnął się i odpowiedział:

- Mam swoje poufne źródła, których nie jestem upoważniony ujawniać.

Zdawał sobie niejasno sprawę, że oszukuje sam siebie, że dalszy los tych pieniędzy zależy od tego, czy zostanie wybrany jako zarządca pieniędzy doktora Mengele. Jeśli ta kobieta, Maria, nie zaakceptuje go, wtedy może zatrzyma jakąś sumę na pokrycie wydatków i za stracony czas. Faktycznie to już wydał osiemset dolarów na zapłacenie naglących rachunków. Uważał je za pożyczkę, którą spłaci natychmiast, kiedy w lecie interes trochę się rozkręci...

Pewność siebie Georga zaczęła się chwiać, kiedy samolot kołował na stanowisko. Ten Karl Miiller, tak pewny siebie, odważny, był reprezentantem większego, tajemniczego świata spraw międzynarodowych, o którym George tylko marzył. Dlaczego taki człowiek miałby mu ufać? Dlaczego miałaby to zrobić Maria Mengele? Po opuszczeniu samolotu był tak niespokojny, że kiedy zobaczył oczekującego Karla było to dla niego prawie niespodzianką.

Człowiek z „Odessy”, jak go nazywał, przywitał go ciepło i wątpliwości Georga zaczęły się ulatniać.

- Jaką miał pan podróż? - zapytał Karl.

- Zwykle dziadostwo - powiedział George. - Jazda taksówką na lotnisko zabrała więcej czasu niż przelot tutaj... czy pani Mengele już przyjechała?

Karl ostrzegł go spojrzeniem

- Porozmawiamy o tym w samochodzie.

- Jasne - powiedział George, wypowiadając słowa krótko, ucinając je, starając się sprawiać rzeczowe wrażenie i zrekompensować w ten sposób oczywistą gafę, którą popełnił wymieniając publicznie nazwisko Marii Mengele.

Na parkingu Karl zaprowadził Georga do połyskującego srebrem, ciemnoczerwonego lincolna Continental. George poczuł ukłucie zazdrości... To nie było sprawiedliwe, że naziści

mieli taką kupę forsy, podczas gdy jego organizacja borykała się z brakiem pieniędzy na opłacenie kosztów druku ich ulotki Banie Lines. Jeśliby tylko dostać w swoje ręce choć odrobinę tych pieniędzy... Jego rozmyślania wypełnione były marzeniami, co też by mógł osiągnąć mając prawdziwe pieniądze, w czasie kiedy Karl zapłacił za postój i skierował się na północ autostradą Washingtona. Ocknął się z zadumy i zauważył, że Karl z zainteresowaniem patrzy w tylne lusterko.

- Kłopoty?

- Ktoś w żółtym jaguarze. Wyjechał za nami, skręcił w tym samym kierunku. Zobaczmy, czy... - Karl urwał, a potem rozluźnił się.

- Nie, w porządku, jadą do centrum. - Kiedy to powiedział, skierowali się na autostradę 244.

- Nie jedziemy do centrum?

- Mamy małe kłopoty, George.

Moje szczęście nigdy nie przynosi mi nic dobrego. Znaleźli kogoś innego, aby mu przekazać pieniądze.

- Co się stało? - zapytał.

- Popatrz. - Karl podał mu kopię telegramu z Buenos Aires, zaadresowanego do Karla Miillera w hotelu Marriott, odbitą na ksero: IZRAELSKI M WIE O TWOJEJ MISJI. ZALECANA OSTROŻNOŚĆ POWIADOM GL. Nie było podpisu.

- Izraelski M? Co to jest - Mosad? - George był czytany w literaturze szpiegowskiej. Karl popatrzył na niego z podziwem.

- No właśnie.

George rozpromienił się.

- Kto to jest GL?

- Ty.

George skulił się. Nigdy nie przypuszczał, że jest na tyle ważny, aby jego nazwisko zostało wymienione w telegramie. W takim telegramie.

Karl mówił coś teraz o skradzionym portfelu i George zmusił się do skupienia.

- ...hotelowi detektywi nic nie znaleźli - opowiadał Karl. - No, ale jeśli Mossad się tobą, zajmuje, to nie można tego od nich wymagać. Problem w tym, że miałem wypożyczyć dom na kółkach, wie pan, jeden z tych Winnebago z sypialnią, kuchnią - „wszystko na kołach”, jak to o nich mówią. - Rzucił okiem na Georga.

- Wie pan o czym mówię, prawda?

- Myślę, że nie słyszałem początku, przepraszam... Powiedział pan, że pana portfel został skradziony?

- Z mojego pokoju hotelowego. W czasie, kiedy byłem na basenie. To mogła być służąca, zawodowy włamywacz albo Mossad. Kto to wie? Ale ktokolwiek to był, muszę wynająć ten zmotoryzowany dom, aby zabrać Marię do kliniki Mayo. Teraz, kiedy wiemy, że Mossad nas ściga, Maria nie chce podróżować pociągiem, a zwykły samochód nie byłby odpowiedni z uwagi na stan jej zdrowia... Powiedziałem jej, że zapytam, czy nie mógłby pan tego zrobić.

- Co zrobić?

- Wynająć ten samochód dla niej.

- Ja mam wynająć samochód?

- Nie musiałyby pan za niego płacić, oczywiście. Dam panu pieniądze: siedemset pięćdziesiąt dolarów.

- Ale... czy pan nie może tego zrobić osobiście?

- Nie. Prawo jazdy zostało skradzione razem z portfelem.

- Może będziecie w stanie polecieć samolotem?

- Maria boi się latać. Powiedziałem to panu.

- Ach, tak - powiedział George, a prawda była taka, że zapomniał niemal wszystko o Marii, za wyjątkiem jej stu tysięcy dolarów.

- Maria łatwo się męczy. Jest na specjalnej diecie. Bardzo często ma bóle. Wygodny samochód ma sens. Może być także pomocny w ucieczce. Jeśli zrobi to pan dla niej, z pewnością zaufa panu...

George był zaniepokojony nieoczekiwanym żądaniem i odpowiedzialnością, jaka się z nim wiązała.

- No cóż - powiedział ostrożnie - co się stanie, jeśli nie wrócicie na czas, albo będziecie mieli wypadek?

- Siedemset pięćdziesiąt dolarów obejmuje ubezpieczenie. Jeśli zaś chodzi o spóźnienie, może pan potrącić kwotę ze spadku, jeśli wrócimy zbyt późno.

George milczał. Próbował jakoś zrozumieć i ustosunkować się do rozwoju sytuacji. Jeśli podpisze wynajęcie samochodu, będzie za niego prawnie odpowiedzialny. Jeśli odmówi, Maria Mengele może znaleźć inną osobę do rozporządzania jej pieniędzmi. George już przyznał sobie pokątną marzę i nie miał zamiaru jej stracić.

Nagle naszły go czarne myśli. Ukradkiem spojrzął na Karla Miillera. Ten człowiek był obcy. Czy należał do tego rodzaju drani, aby ukraść samochód i rzucić podejrzenie na niego?

Ile kosztowało coś takiego jak Winnebago? Trzydzieści, czterdzieści tysięcy? Byłby zrujnowany, gdyby przyszło mu zapłacić taką sumę... Oczywiście, jeśli dałaby mu te pieniądze, za sto tysięcy dolarów można kupić ze dwa takie Winnebago.

- Czy ona... ma zamiar wręczyć mi te pieniądze dzisiaj?

- Jeśli uzna, że jest pan godny zaufania, będzie je pan miał, to tylko sprawa paru godzin.

- I ona nosi je przy sobie?

- Pięćdziesiąt tysięcy w gotówce, reszta w biżuterii i metalach szlachetnych. Ale oczywiście, jeśli nie chce pan wyświadczyć jej tej przysługi...

- Nie - powiedział szybko George - myślałem o Mossadzie. Czy wiąże się to z niebezpieczeństwem?

- Dla nich, może. Nieprawdaż?

- Co?

- Odnoszę wrażenie, że jest pan człowiekiem, który potrafi radzić sobie sam i z tymi, którzy sprawiają panu kłopoty.

Karl wyszczerzył do niego zęby, uśmiechając się jak najemnik. George poszedł w jego ślady. Bardzo chciał uważać siebie za osobę posiadającą władzę, jednak głęboko w środku George podejrzewał, że jest raczej ofiarą okoliczności, a nie ich twórcą. Zaczął odczuwać to w tej chwili. Wydarzenia rozwijały się zbyt szybko, wymykały się spod jego kontroli...

Ale myśl o pieniądzach umocniła jego wolę i George pozbył się obaw. Wynajmie Winnebago na dowód jego przydatności. Jeśli Maria Mengele nie wręczy mu pieniędzy, poprowadzi ten przeklęty wehikuł na parking i powie jej, żeby zapomniała o całej sprawie. Doskonale, to proste. Zrobi to.

Kiedy dojechali do Sunshine, Karl powiedział, że musi zatelefonować do Marii i zamknął się w budce telefonicznej za rogiem. Nie mógł oczywiście wejść do środka, aby nie być zapamiętanym przez sprzedawcę. Niezwykle istotne było w jego planie, aby George wynajął Winnebago osobiście, aby jego nazwisko figurowało w aktach.

Karl był zadowolony. Wszystko rozwijało się pomyślnie. Historia o Marii Mengele była najbardziej zawiła i nieprawdopodobna ze wszystkich kłamstw, jakie wymyślił w całej misji Redeye. Była też najsłabszym punktem. Ale George Lish poszedł na to. Przynęta stu tysięcy dolarów połączona ze starannym lechtaniem jego ambicji pochlebstwami przełamały jego wrodzoną ostrożność i tchórzostwo. Karl był dumny z telegramu, który wysłał sam do siebie w hotelu. Pociął go następnie i skleił z powrotem tak, że argentyński adres adresata, w oryginale część wiadomości, wyglądał jak adres nadawcy. Fotokopia uczyniła całe

falszerstwo niewidocznym, a Lish nie zapytał o oryginał. Karl uśmiechnął się, przypomniawszy sobie, jaki George był dumny z tego, że odkrył znaczenie „M” jako Mossad - tak jakby ktokolwiek używał tak otwartego kodu...

Karl mógł przez szybę Sunshine, widzieć Geoga wypełniającego formularze, rozmawiającego z urzędnikiem. Czuł się odrobinę jak kot zabawiający się myszą, pozwalając jej na wykonanie kilku kroków, a potem uderzeniem łapy posyłający ją na środek pokoju, aby zacząć wszystko od nowa. Nadchodził jednak czas zakończenia zabawy. Sięgnął pod siedzenie, wyciągnął szpikulec do wyciągania lodu o wypolerowanym zielonym uchwycie i schował go do kieszeni swojej sportowej kurtki.

Winnebago było długie na dwadzieścia siedem stóp, w kolorze beżowym w czerwono-niebieskie pasy. Karl prowadził jadąc wolno, tak aby Lish karawanem mógł nadążyć. Poinformował go, że z uwagi na zainteresowanie Mossadu podróżami Marii, musieli przenieść się z hotelu Marriott do bezpiecznego domu w pobliżu rzeki Patuxent. Karl ciągle sprawdzał, co się dzieje z Winnebago. Wyraźnie nie przeszkadzało to Georgowi. Za każdym razem, kiedy Karl rzucał spojrzenie do tyłu, podnosił zdecydowanym gestem kciuk do góry.

Kiedy dojechali do domu nad Toons Creek, Karl odsunął zasuwę drzwi i wjechał pierwszy. Zatrzymał samochód, a kiedy Winnebago niezdarnie nadjechało wysadzonym drzewami podjazdem, otworzył drzwi do szopy i machając ręką skierował go do środka. George znowu wyprostował kciuk. Kiedy samochód przejeżdżał obok niego, Karl otworzył boczne drzwiczki i wszedł do środka. Wewnątrz pachniało nowością, była to mieszanina zapachu farby, plastiku i tkaniny.

Karl przeszedł do przodu i stanął między przednimi siedzeniami. George wyłączył stacyjkę.

- To wspaniały punkt.

- Zaczekaj chwilę - powiedział Karl - zanim wysiądziesz, pokaż mi, jak się go obsługuje.

Wsunął rękę do kieszeni i zacisnął dłoń na uchwycie szpikulca, w chwili gdy George zaczął wskazywać na kontrolki na tablicy.

- Mówię ci, to jest dziecinnie łatwe, to prowadzi się jak najzwyklejszy samochód. Jest tylko kilka kontrolki więcej. To jest główny wyłącznik prądu, sprawdza się go, aby się przekonać...

George pochylił się do przodu, aby dotknąć przełącznika, Karl zobaczył małe wgłębienie u podstawy czaszki, tuż nad kręgosłupem. Podniósł szpikulec, jak torreador szpadę. W momencie, kiedy miał pchnąć, od strony podwórka zatrząbił klakson. George

odwrócił się tak szybko, że ostrze wycelowało w jego gardło. W tej samej chwili dostrzegł narzędzie.

- Co to...?

Zobaczył twarz Karla i pojął wszystko. W tym ułamku sekundy zrozumiał, że Karl wykonał pchnięcie, uderzając w przód do góry, mierząc w gardło. Ale ćwiczenia bojowe Ranka nie przeszły całkowicie bez echa. Instynktownie George odparował cios, szpikulec ześliznął się po kościach szczęki i rozorał jego policzek. Zawył z bólu.

Rozległ się odgłos zatraskiwanych drzwiczek samochodu i kobiecy głos zawołał:

- Hello?

To była Rita Gaylord. Karl musiał dokonać dzieła i musiał to zrobić szybko. Za późno na robienie sobie wyrzutów, że nie zamknął drzwi do szopy. W każdej chwili Rita mogła ich odnaleźć.

George złapał Karla dwiema rękami za nadgarstek, trzymając szpikulec na odległość ramienia. Wyglądało na to, że ten człowiek jest zadziwiająco silny. Jego zwarte ciało ciężarowca dawało mu przewagę w ciasnym wnętrzu Winnebago. Ale zarazem walczył źle, defensywnie, w szeroko rozwartych oczach malowało się przerażenie, widać było zaciśnięte zęby z pomiędzy rozszarpanych kawałków skóry na policzku.

Karl wyprostował palce wolnej ręki i wbił w oczy mężczyzny. George uwolnił jego rękę z uścisku, chcąc się zasłonić. Karl zbliżył się do niego i zatopił szpikulec w jego pierś. George wyprężył się, palce rąk zakrzywiły się w powietrzu, otwarte oczy zalśniły tępo i runął na kierownicę. Karl pochylił się, chwycił ciało i położył je na podłodze.

- Czy jest ktoś w domu?

Karl znieruchomiał. Widział Rite przez tylną szybę. Szła w jego stronę. Zrzucił kurtkę, której rękaw był pokrwawiony i włożył ją pod głowę Lisha. Kiedy się wyprostował, zaglądała do środka przez tylną szybę samochodu, starając się osłonić oczy ręką. Zobaczywszy go, zapukała w szybę i zamachała ręką. Karl pozdrowił ją gestem, ale się nie poruszył, zasłaniając sobą widok ciała Georga leżącego na podłodze pomiędzy siedzeniami. Kiedy zniknęła kierując się do bocznych drzwiczek, wyszedł z samochodu, zanim zdążyła wejść do środka.

- Cześć - przywitała go. - Czy to pana?

- Moich rodziców - powiedział Karl, zamykając drzwi za sobą.

- Przyjechali nim z Kalifornii.

Rita była ubrana w brązowe spodnie i zielony kaszmirowy sweter. W innej sytuacji, Karl chętnie poszedłby z nią do łóżka, ale teraz pragnął się tylko jej pozbyć.

- Nigdy jeszcze nie byłam w środku - powiedziała. Karl zmusił się do zachowania spokoju. To było niebezpieczne, ta kobieta była niebezpieczna.

- Nie jest mój, nie mogę nikogo wpuszczać do środka. Ale proszę pozwolić mi zapytać ich i dowiedzieć się, czy mogę zabrać panią na przejażdżkę.

Aby nie pozostawić żadnych wątpliwości, przeszedł obok niej w stronę drzwi. Rita poszła za nim.

- Niech pan wybierze dzień - powiedziała. - Płacę za benzynę. Wynoś się stąd, miał ochotę wrzasnąć, ale zmusił się do niezobowiązującej rozmowy. - Co panią tu sprowadziło?

- Dostałam karton brzoskwiń od jednego z tych klubów hodowców owoców i upiekłam placek. Myślałam, że będzie smakował panu i pana dzieciom. A gdzie są wszyscy?

Szlag by cię trafił, pomyślał Karl. Nerwy miał ciągle napięte do granic możliwości. Był pobudzony i trudno mu było się skoncentrować. Próbując przypomnieć sobie wszystko, co jej opowiedział do tej pory, zaczął wymyślać coś nowego.

- Moi rodzice żeglują z przyjaciółmi, a dzieci są w dalszym ciągu w Kalifornii. Powstał problem legalnych praw do wizyt poza stanem Kalifornia. Nie wiem, czy będą mogły tu przyjechać, czy nie.

- A więc mieszka pan teraz sam?

Karl popatrzył na nią. Oddała spojrzenie, kąciki jej szerokich ust uniosły się do góry. Nie miała zamiaru zrezygnować. Sprawiała kłopot teraz i miała sprawiać w przyszłości.

Musiał zabić. Nie Rite - to naraziłoby go na ryzyko śledztwa w sprawie morderstwa - ale siebie, Rona Tednicka i atrakcyjną postać, jaką stworzył. Musiał obrazić Rite, poniżyć ją w takim stopniu, że zostawiłaby go w spokoju, nie chcąc ani go więcej widzieć, ani o nim więcej słyszeć. Chciała mieć kochanka? Dobrze, będzie go miała.

- Nie jestem sam - odpowiedział w końcu - ty jesteś tutaj.

- Czy w takim razie mogę ciebie zaprosić na kawałek placka?

- Co najmniej.

- Ach, tak - powiedziała śpiwnie.

Rita wróciła do samochodu, niebieskiego peugeota. Kiedy oparła się na przednim siedzeniu, Karl mógł zobaczyć zarys jej bielizny, widoczny pod napiętym materiałem spodni. Miała ładnie zaokrąglone pośladki. Żałował, że okoliczności nie były inne.

Weszli do kuchni, Karl podał jej nóż, zaczęła kroić ciasto. Nie prowadzili rozmowy, ale Rita uśmiechała się, nawet nucila pod nosem, zajęta. Karl stanął za nią i ujął jej ręce w dłonie. Cofnęła się delikatnie, czuł jej jędrne i ciepłe ciało. Obejmując ją, podniósł jej rękę, odsuwając nóż od ciała.

- Połóż nóż - wyszeptał.

Próbowała popatrzeć na niego.

- Nie odwracaj się. Połóż nóż.

- Uhm, jesteś pełen niespodzianek.

Pozwoliła, aby nóż upadł na blat stołu. Karl skierował jej dłoń z powrotem i powoli wcisnął ją w placek. Rita zawahała się, gdy dotknęła skórki, ale rozluźniła się. Ciasto wypłynęło jej między palcami. Podniósł jej dłoń i zbliżył do twarzy.

- Zaczekaj - zachichotała, odwracając twarz.

Rozsmarował placek na jej ustach i pozwolił, aby rozgniecione nadzienie upadło na jej kaszmirowy sweter. Zamiast zaprotestować, była mu powolna. Pochyliła głowę i zaczęła oblizywać jego palce. Odwróciła się, objęła go za szyję i pocałowała. Lepkie nadzienie znalazło się i na jego ustach.

Nieoczekiwana wizyta Rity zakłóciła doskonale przeprowadzenie morderstwa i poirytowała Karla. Poczul falę wściekłości - na nią, na siebie samego, na całą sytuację. Wepchnął ręce pod sweter, złapał przód jej biustonosza i rozerwał go. Oderwała się od niego, ale jej oczy pozostały jasne.

- Zaczekaj...

Jednym płynnym ruchem pozbyła się swetra i zsunęła podarty biustonosz. Na jej pulchnych, białych piersiach widać było powiększone podnieceniem sutki. Zakołysała ramionami wprawiając w taneczny ruch miękkie ciało. Przyglądała się mu z filuternym uśmiechem. Była, w co wierzyła, świetna w łóżku i chciała, żeby o tym wiedział.

Karl złapał ją za piersi i gwałtownie przyciągnął do siebie. Tym razem zamrugła.

- Spokojnie kochanie, spokojnie...

Położył ręce na jej ramionach i nacisnął w dół.

- Weź go do ust.

- Daj dziewczynie okazję...

Karl zmusił ją, aby uklękła i rozpiął rozporek.

- Nie stanął mi - powiedział.

I to była prawda. To nie był stosunek płciowy, ale manewr obronny. Próbował ją odstraszyć; próbował być gruboskórnym bez zadawania fizycznego bólu, napastliwym unikając fizycznej napaści. Ale pozwalała mu na wszystko. Objęła go ustami i rozpoczęła łagodny masaż.

Karl odrzucił głowę w tył, poczuł ogarniające go uczucie ciepła. Połączone oczywiście ze znajomymi zaburzeniami w mózgu.

Nie, źle. Nie mógł dopuścić, aby to się stało. Jakikolwiek stosunek z Ritą mógł tylko zagrozić i przeszkodzić w wykonaniu misji. Musiał ją odstraszyć unikając niebezpiecznych następstw. Jak? Nie chciał jej uderzyć. To mogło zakończyć się skargą na policji. Oprócz tego na swój sposób lubił Rite Gaylord, o ile w ogóle można było mówić w jego przypadku o takim uczuciu. Kiedy indziej... musi być...

Gdy tylko pomysł wpadł mu do głowy, był pewny, że to odniesie skutek, jeśli zdoła to przeprowadzić...

Zrelaksował umysł i przypomniał sobie ten dzień, kiedy został postrzelony przez strażnika, dzień, w którym spotkał Aleksandra Ichnowskiego. Wujka Aleksa, który przysłał go tutaj. Przypomniał sobie ból wystawionych na mróz palców nóg, strach przed złapaniem. Pamięć o tym wszystkim pomogła mu znieczulić ciało na erotyczne zabiegi Rity.

- Zaczekaj - zrobił krok do tyłu. Będąc jeszcze w połowie wzwodu, obdarzył Rite czymś, czego nazwę usłyszał w burdelu: „złotym prysznicem”. Rita zerwała się na nogi.

- Hej, co się stało? - powiedział Karl.

Ale Rita zerwała obrus ze stołu i wysuszyła ramiona szybkimi, gniewnymi ruchami. Na jej piersiach wciąż widać było ślady jego palców.

- Myślałem, że chcesz się trochę zabawić.

Bez słowa sięgnęła po sweter i stanęła, oddychając ciężko, patrząc na niego wściekła.

- Zrobiłeś to specjalnie.

Zrobiła krok do przodu i podniosła drżącą rękę, ale nie posunęła się dalej. Nagle jej złość minęła i oczy wypełniły się łzami.

- Dlaczego? - wyszeptała cienkim, żalnym głosem i odeszła.

Patrząc przez okno, Karl widział, jak założyła sweter, zanim doszła do samochodu. Kamyki zakotłowały się pod tylnymi oponami jej samochodu. Samochód wystrzelił do przodu i zniknął, zjeżdżając w dół pagórka. Karl był pewny, że nie zobaczy jej tu więcej. Nikomu nie powie, co jej się właśnie przytrafiło. Osiągnął cel i, co dziwne, nie czuł z tego powodu zadowolenia.

Rozdział 21

Paul zbudził się z krzykiem. Obraz człowieka z rozoranym policzkiem, o szklanych, martwych oczach, powoli ustępował jego własnej postaci odbitej w lustrach na suficie. Leżał na łóżku z rękami szeroko rozpostartymi, tak aby złapać padające ciało.

George Lish.

Usiadł zmieszany. Zajął mu to chwilę, zanim przypomniał sobie, gdzie jest i co się stało. Pomyślał o dwóch rzeczach naraz. Umysł miał jasny, był znowu sobą. Jego brat ponownie popełnił zbrodnię, zabił człowieka o nazwisku George Lish. Ciągle jeszcze czuł ciężar martwego ciała na rękach, w uszach słyszał westchnienie, kiedy szpikulec przebił serce. Wspomnienie było żywe, identycznie takie samo, jak w przypadku poprzednich koszmarów.

George Lish? Nazwisko nic mu nie mówiło, ale wiedział z doświadczenia, że Lish albo był agentem CIA, albo należał do KGB i przestał być dla nich użyteczny. Kimkolwiek by był, jego brat znowu popełnił morderstwo.

Kiedy Paul usiadł, jego ciało zareagowało normalnie po raz pierwszy od... Jak długo to było? Nie znał nawet daty czy dnia. Przynajmniej miał poczucie, że jest jedną osobą. Zamglenie umysłu minęło. Słabe uczucie zawrotu w głowie oznaczało, że narkotyk jeszcze nie wyczerpał się całkowicie w jego organizmie. Był osłabiony, ale zdolny do jasnego formułowania myśli. Miał trochę czasu na regenerację; pozostało jakieś dwanaście godzin do następnego zastrzyku.

Drzwi zachrobotyły, szybko położył się z powrotem. Weszła Madame Tran, niosąc tacę z jedzeniem. Kiedy go zobaczyła, zmarszczyła brwi.

- Masz zamiar być grzeczny, dziś rano? Jeśli nie, to nie dostaniesz nic do jedzenia, zrozumiałeś? Zaczekasz, aż ja cię nakarmię.

- Tak - powiedział Paul powoli. Nie miał pojęcia, jak wymawiał słowa pod wpływem narkotyków, a więc zdecydował, że będzie się odzywał jak najrzadziej.

Po tym, jak go nakarmiła, przyszedł Helmut. Musiał pogodzić się z upokorzeniem, kiedy został odprowadzony do łazienki. Po raz pierwszy dowiedział się, z wyrazu twarzy Helmuta, jak bardzo tamten nie znosi obowiązków, które zostały mu przydzielone. Dlaczego Otto przydzielił właśnie jego do tej roboty, a nie jakiegoś innego pacholka? Jedyna odpowiedź brzmiała - Karl. To on chciał, aby to zorganizowano w ten sposób. Helmut, Madame Tran i Otto byli jedynymi osobami, które wiedziały, że Karl ma brata bliźniaka. Byli jedynymi, którym Karl ufał.

Ale ta odpowiedź rodziła więcej pytań, niż udzielała wyjaśnień. Dlaczego utrzymywano to w takiej tajemnicy? Dlaczego Karl porwał go? Gdzie teraz przebywał? I kto to jest George Lish?

Helmut odniósł go do łóżka i wyszedł z pokoju. Kiedy tylko został sam, Paul wstał i sprawdził drzwi. Były zamknięte. Poruszanie się na wyprostowanych nogach, po tak długim okresie czołgania się na czworakach, było prawdziwym przeżyciem. To, że stał mocno na

nogach i chodził, wyglądało na cud. Szybko jednak przekonał się, jak bardzo jest osłabiony. Zaledwie po kilku minutach aktywności poczuł, że cały drży ze zmęczenia, siła jego mięśni wyczerpała się. Zanim podejmie próbę ucieczki będzie musiał poczekać, aż jego ciało bardziej się wzmocni. Próbując opanować niecierpliwość, Paul spędził resztę dnia na odpoczynku, pijąc duże ilości wody, aby przyspieszyć wydalenie narkotyku. Godziny wydawały się dłużyc w nieskończoność, ale on cieszył się z każdego wyjścia do łazienki, które teraz odbywały się bez potknięć i upadków.

Kiedy nadeszła pora lunchu, powstrzymał się od rzucenia się do drzwi. Jeszcze nie. Skorzystał z okazji i rzucił okiem na zamek po zewnętrznej stronie: metalowa sztaba, prosta i efektywna - nie było klucza.

Madame Tran wyszła. Wiedział, że kiedy pojawi się ponownie, przyniesie kolację a wraz z nią zastrzyk. Rozejrzał się za czymś, co mogło posłużyć za broń, ale nic nie znalazł. Łóżko wykonano z brązu, ale części były skręcone zbyt mocno, aby udało mu się odłączyć metalowy pręt od ramy. Pleciony stolik nie oferował wiele; ponadto jego zniszczenie mogło ostrzec tego, kto wszedłby drzwiami. Zaskoczenie miało być jego główną bronią. Przygotowywał się do ucieczki następnym razem, kiedy jakaś osoba ukaże się w drzwiach. Paul miał nadzieję, że będzie to Madame Tran.

Ale w cztery godziny później, kiedy drzwi się otworzyły, ukazał się w nich Helmut. Paul udawał, że jest pogrążony we śnie.

- W porządku, wstawaj - Helmut potrząsnął nim brutalnie. - Chcesz się wysikać, czy nie?

Paul pozwolił się podnieść. Zauważył, że Helmut ubrany jest w ubranie wieczorowe i pachnie jak ogród z kwiatami. To było wyjaśnienie jego wcześniejszej wizyty. <Miał zamiar pójść gdzieś wieczorem i nie chciał odwalać tej ciężkiej roboty o północy.

Paul zaczekał, aż Helmut postawi go prawie na nogi i gwałtownie się wyprostował. Ręka mężczyzny została zablokowana za jego plecami, wykręcił ją. Helmut jęknął zaskoczony.

- Naprzód - powiedział cicho Paul. Dźwigając rękę do góry i pchając jednocześnie do przodu, zmusił Helmuta do pochylenia się. Helmut próbował złapać równowagę, wymachując wolną ręką w powietrzu jak cepem, szybciej coraz szybciej, aż zobaczył ścianę przed sobą. Krzyknął, ale Paul pamiętając upokorzące zastrzyki nie popuścił. Zgięty w pasie, Helmut rąbnął głową o ścianę i stracił przytomność. Kiedy Paul cofnął się, wyczerpany, usłyszał brzęk za plecami. Odwrócił się i zobaczył Madame Tran na korytarzu, z tacą leżącą u jej stóp.

Paul ruszył w jej kierunku, ale kobieta była szybsza niż Helmut. Skoczyła do drzwi, próbując je za sobą zatrzasnąć. W ostatniej chwili Paulowi udało się włożyć ramię i drzwi odbiły się od przedramienia. Paul, poczuł, jak ręka mu drętwieje. Madame Tran wołała o pomoc, całym ciężarem opierając się o drzwi. Chwyliła go za palec wskazujący i wygięła go do tyłu. Ból działał jak katalizator i dodał nowych sił osłabionym mięśniom. Pchnął je do przodu i wypadł przez otwarte drzwi na korytarz.

Impet jego uderzenia odrzucił Madame Tran na ścianę. Kobieta wyciągnęła nagle z fałdów Bao Dai nóż. Błyskawicznym ruchem nadgarstka obróciła połowę cienkiego uchwytu dookoła. Rączka zatrzasnęła się na gardzie i pojawiło się lśniące, długie ostrze. Pchnęła w kierunku jego twarzy, ale był to pozorowany atak. Patrzyła poza jego plecy, na korytarz, chciała jak najszybciej znaleźć się w bezpiecznym miejscu.

Paulowi udało się uniknąć ciosu. Umyślnie zrobił krok na bok, pozornie otwierając kobiecie drogę ucieczki. Kiedy skupiła uwagę na korytarzu poza jego plecami, kopnięciem posłał jej nóż w powietrze. Próbowwała przebiec obok niego, ale złapał ją i przez moment oboje mocowali się ze sobą. Madame Tran była silna i zwinna, zmagając się z nią Paul nie mógł uwierzyć we własną słabość. Chciała uderzyć go kolaniem w krocze i pewnie by jej się to udało, ale długie fałdy jej szaty pozbawiły ją równowagi. Paul zakręcił nią dookoła i jakoś wepchnął z powrotem do pokoju. Nawet udało mu się to zrobić z taką siłą, że znalazła się na podłodze. Zanim zdążyła się pozbierać, zatrzasnęła drzwi i opuścił za suwę. ‘

Zatrzymał się na moment, aby złapać oddech. Na lewo, krótki ciemny korytarz prowadził do starych, odlanych z żelaza, lekko uchylonych wrót. Ruszył ciężkim krokiem w ich kierunku. Odprowadzało go łomotanie o drzwi i wycie Madame Tran. Na szczęście, ściany były wystarczająco grube, by tłumić dźwięki.

Poza żelaznymi wrotami biegło przedłużenie tego samego korytarza, jaśniej oświetlone i wyłożone dywanem. Odgłosy muzyki i rozmowy dochodziły aż tutaj, do stóp schodów, gdzie umieszczono dwoje drzwi. Jedne oznaczone napisem Damen a drugie Herren. Znajdował się w piwnicy „Vanilla Rosé”.

Paul wspiał się po schodach. Podmuchi, który poczuł na nogach przypomniał mu, że wciąż ma na sobie ten przeklęty szpitalny szlafrok. Gdyby nie nadejście Madame Tran, mógłby zamienić się ubraniami z Helmutem. No cóż, teraz było już za późno...

Tak długo otępiano jego zmysły, że wkroczenie do pokoju przyjęć „Vanilla Rosé” było jak pojawienie się w innym świecie. Jaskrawe, ekstrawaganckie dekoracje i widok kobiet w kolorowej bieliźnie oszołomiły go. Muzyka tętniła za głośno i zbyt szybko, zapachy były

zbyt intensywne i drażniące. Kiedy przechodził przez pokój, zebrani zwrócili się w jego stronę. Niektórzy mężczyźni zawyli, śmiejąc się.

- Powiedz jej, niech odda ci twoje ubranie - wykrzyknął jeden z nich radośnie.

Spojrzenie Paula zamknęło mu usta, przynajmniej na chwilę. Miał wielką ochotę znaleźć Otto Wenzlera i z przyjemnością skrócić mu kark, ale jego mięśnie drżały ze zmęczenia, a krew pulsowała w skroniach. Ciało stopniowo wracało do równowagi po otrzymanej dawce narkotyków i po wydarzeniach ostatnich paru minut.

Zmierzchało, zapach świeżego powietrza był dla niego cudownym odkryciem. Wyglądał jak uciekinier ze szpitala. Ludzie omijali go szerokim łukiem i musiał pięć razy pytać, zanim ktoś wskazał mu drogę na posterunek policji. Idąc w tym kierunku, myślał o tym, co ma dalej zrobić... Po pierwsze, złożyć skargę na Otto Wenzlera, potem do hotelu umyć się i ogolić, a przede wszystkim wyspać. Czy będzie możliwe pożyczyć na posterunku pieniądze na taksówkę? Może Ray Tregerdemein mógłby mu pomóc. Rano zatelefonuje do Berniego i powie mu, dlaczego zniknął. Musiał także zatelefonować do Hugh'a Roarka, aby go powiadomić o Karlu. Wszystko skończone. Karl zdradził go.

Czy, aby na pewno? Karl mógł go zabić, ale zamiast tego zamknął go w piwnicy. Paul pamiętał także to, co Karl powiedział mu o CIA... że zabiją go, jeśli się dowiedzą, albo będą go tylko podejrzewać o zabicie swoich agentów. Czy dokonają na Karlu egzekucji, jeśli go wyda? Jeśli to zrobią, to czy będzie w stanie dalej żyć wiedząc, że spowodował śmierć własnego brata? Czy mógłby spojrzeć matce w oczy? Czy nie dowiedziała się o tym? Przez te wszystkie lata obwiniała się o pozostawienie go na pastwę losu... Może byłby w stanie umówić się z Roarkiem na spotkanie, wyczuć, czy nie dobiłby targu - życie Karla w zamian za wyjawienie jego tożsamości...

Doszedł do posterunku policyjnego - kamiennego budynku wyglądającego jak zbrojownia. Pomieszczenie hallu było bardzo wysokie, we wszystkich kierunkach odchodziły korytarze, wzdłuż których ustawione były wysłużone ławki. Z odległego pokoju dochodził odgłos policyjnej radiostacji. Za szerokim kontuarem siedziała policjantka w mundurze w nieokreślonym odcieniu koloru zielonego. Wyprostowała się, kiedy wszedł Paul. Wciągnęła głowę w ramiona, zobaczywszy, co Paul ma lub raczej czego nie ma na sobie.

- W porządku - powiedział do niej Paul. - Nie jestem wariatem. Ktoś mnie porwał i właśnie udało mi się uciec. Nazywa się Otto Wenzler i chcę, żeby go aresztowano...

- A kim pan jest?

- Nazywam się Paul Stafford. Jestem obywatelem amerykańskim. Wenzler jest winny porwania, napaści i pobicia...

Dźwięk jego nazwiska najwyraźniej ją zainteresował. ‘ - Pan jest Paulem Staffordem?

- Zgadza się, prawdopodobnie moje nazwisko figuruje w rejestrze osób zaginionych.

Stojąc, włożyła gwizdek do ust i wydała głośne, przejmujące gwizdnięcie. Paul myślał, że przywołuje patrol, aby wysłać go za Otto We-nzlerem, ale kiedy nadbiegli policjanci, cała ich chmara z tylnego pokoju, wskazała na niego.

- Paul Stafford. To ten - Offizier Dietrich.

Zanim zdążył cokolwiek wyjaśnić, zanim zdążył cokolwiek pomyśleć, ustawili go przy ścianie z rękami wykręconymi do tyłu. Udało mu się złapać urywki rozmowy.

- Kim on jest?

- Stafford, pamiętasz?

- Tak po prostu wszedł?

- Patrz, w co jest ubrany.

- Skąd się tu znalazł?

- To ten, który potrafił Dietricha. i

- To właśnie ten?

Dopiero, kiedy założyli mu kajdanki, Paul zrozumiał, co się dzieje. | A dopiero na następny dzień, naprawdę w to uwierzył.

Śmierć Lisha była ostatnią cegiełką położoną pod fundamenty planu Redeye. Zanim Karl pozbył się ciała, musiał pozostawić jego odciski palców na przedmiotach, które mogły posłużyć za dowody obciążające.! Karl nigdy dotąd nie musiał usuwać ciał zabitych przez siebie ofiar. | Teraz musiał się tym zająć sam i było to dla niego odrażające.

Owinął ciało Lisha w płachtę plastikową i przeniósł do łazienki. Położył je z głową przy otworze odpływowym. Odkręcił kran prysznica i przeciął tętnicę szyjną. Kiedy krew spłynęła, zaniósł trupa z powrotem do szopy i położył na stole warsztatowym.

Przygotował się psychicznie na to, co miało nastąpić. Aby rzucić na mężczyznę podejrzenie, potrzebował odcisków palców. Karl zacisnął jego ręce w imadle i przy użyciu piły mechanicznej odciął dłonie w nad-| garstkach. Zmusił się do beznamiętnego wykonywania czynności, podobny do rzeźnika oprawiającego ciało jak nieożywiony przedmiot.

Kiedy skończył, założył rękawiczki chirurgiczne i trzymając odcięte dłonie Lisha w rękach pozostawił odciski wszędzie tam, gdzie Lish nie zdążył dotknąć Winnebago: na oknach, szafkach, toalecie, po obu stronach otworu w dachu, na wypukłym lustrze, nawet na zapasowej oponie.

Powtórzył czynności z Redeye, przyciskając martwe dłonie do wszystkich części składowych wyrzutni, baterii zasilających, obudowy i włączników. Zwrócił szczególną uwagę na pojemnik na baterie, wewnątrz odbił odciski palca wskazującego. Planował dokonać nieudolnej próby zatarcia śladów, tak jakby Lish starał się ukryć swoją tożsamość, ale ten jeden odcisk musiał przetrwać bez względu na to, ile pozostałych zostanie zniszczonych.

Karl czekał do zapadnięcia nocy i zakopał trupa w miejscu odległym, gęsto porośniętym drzewami. Wiedział, że ciała ludzkie często są

224 odkrywane w tak zwanych „płytkich grobach”, ale były to zazwyczaj środki podjęte na ostatnią chwilę przez zbrodniarzy będących w stanie wzburzenia emocjonalnego. Te groby były zaledwie większymi zagłębieniami przykrytymi ziemią i igłami sosen. Ale ciało zakopane na głębokości czterech stóp pod ziemią nigdy nie będzie odnalezione. Grób zaś nie będzie przyciągał uwagi, jeśli ściółka leśna zostanie nie naruszona.

Karl przygotował się starannie. Zanim zaczął kopać, usunął wierzchnią warstwę przy pomocy szpadla i odsunął wycięte kwadraty ze ściółką na bok. Następnie położył folię i na nią sypał ziemię, w miarę jak dół się powiększał. Od czasu do czasu potrzebna była siekiera, aby przeciąć korzenie, ale większą część pracy wykonał przy pomocy łomu i szpadla. Praca rozgrzała go a zwabione moskity irytowały. Kiedy skończył, było po północy.

Złożył ciało do grobu i zasypał go, dodając jedną warstwę, aby zminimalizować nieuniknione opadanie gruntu. Następnie ułożył na powrót kwadraty z trawą i ściółką, polał je wodą. Nadmiar ziemi rozsypał po terenie całej posiadłości. W pokoju znalazł się o drugiej nad ranem. Plecy i ręce miał obolałe, był zgrzany i brudny.

Karl stał pod prysznicem z głową pochyloną pod strumieniem gorącej wody. Przygotowania zostały zakończone. Znał drogę lądowania dla pasów startowych 01 i 19 w Bazie Sił Lotniczych Andrews. Wybrał miejsca wystrzelenia rakiety, po dwa dla każdego pasa startowego, jeden główny i jeden zapasowy. Przygotował odbiornik Sony-CIKOP-34F, który mógł być dostrojony do trzech częstotliwości naraz, włączając w to radzieckie pasmo łączności w powietrzu. Podpis Georga Lisha figurował na dokumentach Winnebago, a odciski jego palców znajdowały się we wszystkich miejscach samochodu i wyrzutni pocisków Redeye. Powinien być zadowolony i pełen optymizmu; zamiast tego, był niespokojny i zdenerwowany.

Karl analizował swoje uczucia. To nie była reakcja zwrotna na pozbycie się trupa Lisha, ani na epizod z Ritą Gaylord. Te czynności były niezbędne i akceptował je jako takie. Chodziło o coś innego...

Chodziło, stwierdził to z lekkim zdziwieniem, o jego rolę w storpedowaniu Traktatu o Wzajemnym Bezpieczeństwie. Będąc Niemcem, Karl wiedział aż za dobrze, jak łatwo może zostać zniszczony kraj, zdawałoby się u szczytu zwycięstwa. Przydarzyło się to Niemcom w 1939. Cenę musiał zapłacić Karl wraz z całym pokoleniem w 1945 roku. Rzadko zaprzętał sobie głowę politycznymi rozważaniami, ale teraz, w miarę jak nadchodziło tak zwane „poniedziałkowe spotkanie” i gazety wypełniały się szczegółami na temat Traktatu, było mu trudno zignorować poważne implikacje tego, co miał zamiar zrobić. Próbował odgrodzić się od komentarzy sprzyjających Traktatowi, ale docierały one do niego zewsząd. Przypomniawszy sobie, że wujek Aleks był najlepszym człowiekiem jakiego w życiu spotkał. Najważniejszym było, że był dłużnikiem wujka Aleksa - zawdzięczał mu życie.

Był piątkowy poranek. Sekretarz Generalny przylatywał dopiero w poniedziałek. Karl wciąż był niespokojny. Wałęsając się po mieszkaniu, przypomniał sobie znowu pomysł odwiedzenia domu Paula. Inaczej niż krótkie wahania związane z misją, ta myśl nie dawała mu spokoju. Chociaż próbował siebie przekonać, że przede wszystkim to naraża go na ryzyko, pomysł zagnieździł się w jego głowie i zaczął wszystko dokładnie planować. Upewniwszy się, że Joanna opuściła mieszkanie, skrycie dostać się do środka i pozostanie tylko przez jedną godzinę. Jeśli zauważy cokolwiek niebezpiecznego, czy poczuje, że coś jest nie w porządku, zapomni o całej sprawie.

Z ostrożności zatelefonował do Gallerie UEnfant, aby się upewnić, że Joanna jest w pracy. Telefon podniosła jakaś kobieta. Przybierając wysoki, nosowy ton głosu, Karl poprosił do telefonu Joannę Stafford.

- Nie ma jej dzisiaj. W czym mogę pomóc?

- Prawdę mówiąc, przyjaciel z Chicago powiedział, że mogłaby udzielić mi porady w sprawie kilku obrazów. Czy wie pani, kiedy wróci?

- W piątek i w sobotę ma wolne, ale będzie w pracy w niedzielę. Czy mam jej przekazać jakąś wiadomość?

- Moje nazwisko Dań Julian, ale ona mnie nie zna. Wpadnę w niedzielę. Dziękuję.

Karl odwiesił słuchawkę, zanim kobieta zdążyła zapytać go o nazwisko przyjaciela w Chicago. Obracając w palcach klucze do domu Paula, rozważał krótko, czy nie pójść tam natychmiast. Mógł obserwować dom z zewnątrz i czekać, aż Joanna wyjdzie na spacer. Nie, zbyt niebezpieczne. Nawet jeśli wyjdzie, nie było sposobu aby dowiedzieć się, jak długo będzie nieobecna.

Poskromiwszy niecierpliwość, Karl wsiadł na Kawasaki, pojechał nad zatokę Chesapeake i spędził cały dzień na plaży. Niedzielny poranek będzie w sam raz, aby rzucić okiem na prywatne życie jego brata.

Rozdział 22

Wiść o aresztowaniu Paula rozeszła się jak wzbierająca fala. Kapitan w okręgu Neukoln zatelefonował do naczelnika policji w Schoneberg, który z kolei poinformował Amerykanów w ich misji na Tempelhof, a ci przekazali informację do sekcji CIA w Berlinie Zachodnim. Tą drogą trafiła ona do kwatery Langley, w Wirginii. Hugh Roark usłyszał o tym tuż po powrocie z lunchu. Najbardziej był zaskoczony wiadomością o tym, że Paul sam oddał się w ręce policji. Istotnie, ucieczka Paula z hotelu zmusiła go do przyznania, że jego zdolność oceny ludzi, przewidywanie ich zachowania, zawiodło. Fałszywe paszporty, ucieczka, skradziona limuzyna, wszystko potwierdzało wcześniejszą ocenę Maurice'a, coś o czym młodszy współpracownik nie pozwalał mu zapomnieć...

- Polubiłeś faceta i chciałeś mu wierzyć. Ja nie kierowałem się uczuciami i przejrzałem go na wylot.

- Mam wrażenie, że nie bardzo go lubiłeś.

- Nie podoba mi się, jeśli myśli, że wystrychnął mnie na dudka. We wszystkim innym jestem neutralny.

Neutralny czy nie, przewidywania Maurice'a były takie, że Paul wypłynie w Moskwie i Hugh robił uszczypliwe uwagi na ten temat, podczas ich przelotu do Berlina.

- Prawdopodobnie kolejny fortel, hm?

Maurice, siedzący obok niego i rozwiązujący krzyżówkę w magazynie PanAm Clipper, podniósł wzrok.

- Co znowu?

- Poddać się w taki sposób. Myślisz, że chce, abyśmy mu zaufali, jak myślisz?

- Nie jest niewinny, tyle wiem.

- W każdym razie, sprytnie. Wejść na posterunek policji w koszuli | nocnej. Cholernie sprytnie.

Maurice spojrział na niego ponuro i powrócił do swojej krzyżówki. W ten weekend obchodzono właśnie Dzień Pamięci i Maurice na wiadomość o aresztowaniu Paula odwołał plany wypoczynkowe, aby polecieć z Hugh'em.

Hugh odwrócił się do okna. Atlantyk był zasłonięty przez chmury, Pamiętał swój pierwszy przelot tą trasą w samolocie wojskowym C-47. Wtedy była wojna, wielka wojna, druga wojna światowa. Po zwycięstwie nadeszły następne: Wietnam, Korea a przede wszystkim cały czas trwała „zimna wojna”, wyścig zbrojeń i rewolucje we wszystkich miejscach na raz. Teraz jednak jest coś nowego, Traktat o Wzajemnym Bezpieczeń-j stwie z technologią zakończenia wszystkich technologii.

No cóż, może tak będzie. Przypomnił sobie opowiadanie science fiction, w którym łagodny pas promieniowania otoczył ziemię i zneutralizował wszelki prąd elektryczny. Wszystko, na co wpłynął, to była jedynie elektryczność. W rezultacie nie było radia, telewizji, samochodów, samolotów, wahadłowców, komputerów i przede wszystkim nie było raket samonaprowadzających. Tylko silniki parowe, światła gazowe, konie i bryczki. Wiek dziewiętnasty zachowany na zawsze.

Czyż to nie było mniej więcej to, co obiecywał Traktat? Bardziej! oświecona, mniej ograniczająca wersja tego samego scenariusza? Ra-j dziecka i, amerykańska technologia na orbicie, czekająca i gotowa uderzyć w każdy odpalony agresywny pocisk. Ale nawet Gwiezdne Wojny, czy Projekt Newski nie jest w stanie zmienić ludzkiej natury. To właśnie ludzie interesowali Hugh'a Roarka najbardziej, a nie nowe technologie. J Właśnie w tej chwili to zainteresowanie skupiało się na rozwiązaniu zagadki Paula Stafforda.

Larry Kincaid przywitał ich na lotnisku Tegel. Kincaid z sekcji berlińskiej miał wysokie czoło, mówił miękkim tonem głosu* ubierał się u Pierre Cardina i nosił lotnicze okulary przeciwsłoneczne. Hugh i Maurice spotkali się z nim podczas poprzedniej wizyty. Wtedy wyglądał na bardziej szczęśliwego niż dzisiaj.

- Nie mogliśmy dłużej trzymać tego pod kocem - powiedział Kincaid do nich, kiedy opuścili lotnisko.

- Policja chce wnieść oskarżenie i prasa już chodzi koło tego. Jutro rano, wiadomość rozejdzie się.

- Gdzie jest teraz Stafford?

- W areszcie tymczasowym w kwaterze głównej policji w Schone-berg.

- Schoneberg?

- To wszystko, co mogliśmy zrobić.

- Nie dało się go umieścić w bezpiecznym miejscu?

- To przestępstwo cywilne. Niemcy chcą go zatrzymać w areszcie. Gdybyś wiedział, ile sprawiliśmy im kłopotów do tej pory... Policja-nie znosi być pouczana przez ^sekretariat

pana prezydenta miasta, pan prezydent nienawidzi być poganiany przez USCAB, a ci z kolei są wściekli na nas, za to, że każemy im grać twardo.

Hugh kiwnął głową. Wiedział o delikatnych stosunkach panujących między lokalną biurokracją berlińską a Wojskowym Komendantem Stanów Zjednoczonych w Berlinie, zwanym USCAB. Sam USCAB był dwugwiazdkowym generałem, oficjalnie najwyższym prawnym autorytetem w Berlinie Zachodnim. Z biegiem lat różnorodne protokoły i regulaminy określiły uprawnienia i jurysdykcję policji, ale koniec końców każda niemiecka organizacja podlegała USCAB.

Offizier w Schoneberg zaprowadził trzech ludzi z CIA do pokoju przesłuchań. Stał tam stół, cztery krzesła i kontener z butelkami wody. Okrągła lampa jarzeniowa na suficie brzęczała cicho. W pokoju panował jasny, antyseptyczny nastrój sali operacyjnej.

Maurice rozejrzał się po pokoju.

- Jesteśmy podsłuchiwani?

Kincaid odpowiedział: - Mikrofon w ścianie podłączony jest do ciężarówki na parking. Czy to Stafford załatwił kilku naszych? Hugh popatrzył na niego ostro.

- Gdzie to usłyszałeś?

- Coś dasz, coś otrzymasz w zamian, wiecie jak to jest. Maurice i Hugh nic nie odpowiedzieli. Kincaid zmarszczył brwi.

- Co z tobą, Roark. Masz moje poparcie. Na co teraz pracuję?

- Chcesz numer?

- Już go mam. Chcę się dowiedzieć. Czy to ten?

- Jest bezpośrednią nicią - powiedział Hugh. - Jak i dlaczego, wciąż jeszcze nie wiemy.

Maurice zacisnął usta i Hugh wiedział, co tamten sobie myśli... Kincaid nie potrzebował nic wiedzieć. Ale Hugh pamiętał z własnego doświadczenia rozgoryczenie stacji terenowych tajnymi akcjami specjalnych chłopców śledczych, którzy przybywali z Waszyngtonu i prowadzili kowbojskie operacje nie koordynując ich z nikim na miejscu. Kincaid miał rację - w tym przypadku potrzebowali jego pomocy. Dasz coś niecoś, otrzymasz coś niecoś w zamian.

Wszedł Paul ubrany w szary więzienny drelich. Był blady i wymizrowany. Zobaczywszy ich, zdawał się być zaskoczony.

- To wy, chłopcy?

- Cześć, Stafford.

- Prosiłem o spotkanie z amerykańskim ambasadorem.

- Masz nas - powiedział Maurice.

- Przyjechaliście mnie stąd zabrać?

Hugh odezwał się: - Chcę poznać cię z Larry Kincaidem. Jest z naszej sekcji berlińskiej.

- Wszystko mi jedno, skąd on jest. Może nawet być z cyrku berlińskiego, byle tylko wyciągnął mnie stąd.

- Uspokój się.

- Ty się uspokój. Zostałem porwany, nafaszerowany narkotykami! a potem, wkrótce po mojej ucieczce, aresztowany. Chcę wyjść stąd natychmiast.

- Nie mamy takich uprawnień...

- Bzdury.

Wtrącił się Kincaid: - On ma rację. Został pan zatrzymany przez zachodniobrzeńską policję, a w tym przypadku nie mamy nad panem jurysdykcji.

- Nie wciskaj mi ciemnoty. To jest miasto pod okupacją i ostatecznym autorytetem tutaj jest generał armii amerykańskiej. Idziecie poszukać telefonu czy nie?

Zna układy polityczne, pomyślał Hugh. Czas spędzony w Waszyngtonie przynajmniej dobrze go wytrenował w odróżnianiu kitu.

- Najpierw porozmawiajmy - zaczął Hugh.

- Najpierw wyjdźmy stąd.

Hugh potrząsnął głową. - Nie da się tego zrobić, Paul. Dobrze o tym wiesz.

Ton głosu Hugh'a przekonał Paula, że jego żądania uwolnienia będą daremne, póki ci faceci nie przekonają się o jego niewinności... Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny spędzone w areszcie Paul odtwarzał z kawałków to, co się wydarzyło w InterContinentalu... Karl wrócił do hotelu, wcielając się w niego, został nakryty z fałszywymi dokumentami i w trakcie ucieczki zranił oficera policji.

Hugh wskazał na krzesło. - Dlaczego nie usiądziesz i nie opowiesz nam o wszystkim, co się wydarzyło.

- Jak wam się to podoba? George Lish nie żyje.

Paul oczekiwał jakiejś reakcji na dźwięk tego nazwiska, ale rozczarował się.

- Kto?

- George Lish. Nie żyje, a ja wiem, kto to zrobił. Mężczyźni spojrzeli na niego zaintrygowani.

- Kim jest George Lish? - zapytał Hugh.

- Prawdopodobnie jeden z waszych chłopców. Nie wiecie? Patrzyli wyczekująco na niego.

- Albo pracował dla was. Jeden z waszych „aktywów”. Hugh zwrócił się do Maurice’a: - Znasz to nazwisko?

- Nie.

Obrócił się w stronę Kincaida, który rozłożył ręce i potrząsnął głową.

- No dobra, nie żyje - nalegał Paul.

- Skąd o tym wiesz?

- Dwa dni temu miałem następny sen. Podobny do tych poprzednich. Tym razem nazywał się George Lish, facet o dziecięcej twarzy, a ja zabiłem go szpikulcem do lodów. Ale to nie był sen. Odbierałem czyjeś myśli, bezpośrednie wrażenia mordercy. - Stanąwszy twarzą w twarz z rzeczywistością, Paul nie miał możliwości manewru, nie mógł targować się o Karla, ani trzymać w tajemnicy - dla dobra matki - jego personaliów. By przeżyć musiał udowodnić im, że Karl istnieje. - Nazywa się Karl Alexander. Jest moim bratem bliźniakiem...
PROSZĘ to DOPISAC -

- Bratem bliźniakiem?

- To oto chodziło od samego początku - powiedział Paul, ciągnąc dalej mimo niewiary malującej się na twarzach agentów.

- To dlatego moje sny były takie realistyczne. Mam brata bliźniaka i czasami identyfikuję się z nim, gdy on zabija. Intensywne podniecenie emocjonalne powoduje...

Cyniczny uśmiech na twarzy Maurice’a spowodował, że złość i frustracja ostatnich miesięcy zagotowały się w nim. Ruszył w stronę agentów z zaciśniętymi pięściami.

- Nie potrzebuję tego - krzyknął Paul. - Wynoście się stąd...

- Trzymaj swoje cholerne ręce z daleka... - zaczął Maurice. Paul spróbował go chwycić ale Maurice odepchnął go. Przez chwilę mocowali się, zanim Hugh*nie rozdzielił ich.

- Wystarczy...

- Zabierz go stąd!

- ...nie możesz zagrozić komukolwiek.

- Powiedziałem, wystarczy.

Maurice cofnął się, wyglądając płaszcz. Paul wskazał na niego i powiedział: - On poczeka na parkingu.

- Pan Singer również prowadzi śledztwo...

- Pan Singer ma gówno zamiast mózgu.

Maurice spurpurowiał. - Tylko gównem mogłoby uwierzyć w twoją historyjkę z bratem bliźniakiem.

- Porozmawiaj z moją matką. Ona ci powie.

- Już to zrobiliśmy - powiedział Hugh. Złość opuściła go. - Zrobiliście to?

- Ani twoja matka, ani żona nie wspomniały nic o twoim bracie bliźniaku.

- Joanna? Rozmawialiście z nią?

- Rozmawialiśmy z każdym - odpowiedział Maurice. Hugh rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie i dodał: - Próbowaliśmy cię znaleźć.

- Czy Joanna jest w domu? Chcę do niej zadzwonić...

- Najpierw zatrzymajmy się przy tym.

- Chcę zadzwonić do mojej żony.

- I powiesz jej to, co nam?

- Możecie zabrać stąd tego drania? Hugh westchnął i zwrócił się do swojego partnera:

- Może będzie lepiej, jeżeli poczekaś na zewnątrz.

- Wierzysz w tę bzdurę o bliźniakach?

- Nie wiem, w co mam uwierzyć, dopóki nie będę miał możliwości usłyszenia jego historii. I ty też nie.

‘ - Przepraszam - wtrącił się Kincaid - nie chcę okazać się idiotą lub kimś takim, ale o czym teraz rozmawiamy - o snach czy o morderstwach?

- Wytlumaczę ci później - powiedział Hugh. - A teraz, chcę dowiedzieć się czegoś więcej o bracie bliźniaku pana Stafforda.

- Karl - powiedział Paul. - Nazywa się Karl Alexander, urodzony jako Karl Weiss. Możecie przejrzeć kartoteki Anmeldung począwszy od lutego czterdziestego szóstego roku. Będziecie mieli w wykazie nas obu.

- Co za kartoteki?

Paul wytłumaczył im policyjną procedurę rejestracji, ale gdy wspomniał, że kartoteki Anmeldung znajdują się w Pankow, Maurice parsknął z niedowierzaniem. Hugh spojrział na niego, a Maurice wyjaśnił: - Pankow jest po wschodniej stronie.

- Wiem o tym - powiedział gniewnie Hugh. - Byłem tam po wojnie. - I zanim Maurice zdążył się odezwać, zwrócił się do Kincaida: - Czy możemy sprawdzić te kartoteki?

Kincaid wsunął rękę do kieszeni swojego płaszcza i wydobyl oprawiony w skórę notatnik.

- Są na to sposoby - powiedział i zaczął robić notatki, podczas gdy Hugh skupił swoją uwagę ponownie na Paulu.

- W porządku, wracajmy do punktu wyjścia. Co wydarzyło się po twoim wyjeździe z Waszyngtonu?

Paul wziął głęboki oddech i rozpoczął swoją historię. Powiedział im, co wyjawiała mu matka i dlaczego nigdy nie przyznała się do posiadania Karla. Gdy doszedł do tej części opowiadania, w której pojawił się Ray Tregerdemain i prostytutka atakująca go przed wejściem do kasyna, zauważył zmianę w swoich słuchaczach. Kincaid spojrział sponad swoich notatek, a Hugh wymienił znaczące spojrzenia z Mauricem.

- Co się stało? - zapytał Paul.

- Powiedziałeś, że Ray Tregerdemain był z tobą?

- Zgadza się. Słyszał opowieść dziewczyny. Może poręczyć za mnie.

- Nie, nie może - powiedział Maurice. - Został zamordowany jakieś dziesięć dni temu.

- Zamordowany? - powtórzył oniemiały Paul.

- Upozorowany wypadek - wyjaśnił Kincaid. - W ZOO. Wpadł do klatki niedźwiedzi polarnych. Utopił się lub najpierw został rozszarpany na śmierć, koroner nie mógł się zdecydować, co nastąpiło wcześniej.

Paul czuł się oszołomiony. Ray zabity, w ZOO. Jedyne człowiek, który mógł potwierdzić jego historię.

Hugh zadał pytanie. Zmusił się do skoncentrowania.

- Kiedy po raz ostatni widziałeś Tregerdemaina?

- W sobotę wieczorem - powiedział wolno Paul. - Pierwszego dnia, gdy przyjechałem. On poszedł do kasyna, a ja do „Vanilla Rose”. Miałem zadzwonić do niego następnego dnia - zadzwoniłem do niego, ale nie było go w domu. Zostawiłem wiadomość i to był ostatni...

Przeciągał słowa. Skojarzenia były oczywiste: Karl dowiedział się o Ray'u i zamordował go. Ale jak? Skąd Karl się mógł dowiedzieć? Czy on mu o tym powiedział? Cofnął się myślami, próbując przypomnieć sobie, czy powiedział cokolwiek o Ray'u swojemu na nowo odnalezionemu bratu. Rozmawiali o tak wielu rzeczach. Nie mógł przypomnieć sobie, czy wspominał o Ray'u, ale mógł to zrobić. A jeżeli to zrobił, to był odpowiedzialny za jego śmierć. Myśl ta wywołała w nim uczucie mdłości.

- Kiedy zginął? - zapytał Paul. - Którego dnia?

Kincaid odpowiedział natychmiast: - W poniedziałek wieczorem.

- Jakies dwanaście godzin po twojej ucieczce z hotelu - dodał Maurice zjadliwie. Hugh podniósł rękę. - Spokojnie.

- Niezwykle dogodny przypadek...

- Nie byłem w to zamieszany - rzucił szybko Paul. - Byłem pod wpływem narkotyków. Na litość boską, byłem przecież więźniem przez cały ten czas.

- Dlaczego nam nie powiesz, co się wydarzyło? - zapytał cicho Hugh.

- Paul wziął wodę z kontenera i kontynuował swoją opowieść, opisując wizytę w „Vanilla Rose” i spotkanie z Otto Wenzlerem. Gdy im powiedział o fałszywych paszportach, Hugh sięgnął do swojej teczki, wyciągnął paszporty i otworzył je na stronie ze zdjęciem.

- Twierdzisz, że to nie jesteś ty?

- To Karl.

Maurice i Kincaid przysunęli się, porównując Paula z twarzą na zdjęciach.

- Włosy są inne.

- Inaczej zaczesane.

- Oświetlenie jest zbyt płaskie.

Spoglądali to na niego, to na zdjęcia. Paul czuł się tak samo, jak wówczas, gdy Annie Helms hipnotyzowała go. Jak wybryk natury, laboratoryjny egzemplarz.

- Możemy z tym skończyć? - powiedział. - Chcę stąd wyjść.

- W porządku - odezwał się Hugh. - Wróciłeś do hotelu, a tam czekała na ciebie wiadomość. Powiadomiono cię, że następnego dnia masz się udać w oznaczone miejsce...

- Do Spodkania nad Szprewą, w „południe.

- I twój brat czekał na ciebie?

- Nie, zadzwonił jakieś dziesięć minut po moim przyjściu. Poinstruował mnie...

Kiedy Paul opowiadał im o spotkaniu z Karlem, Kincaid notował szczegóły: markę samochodu, nazwisko Karla, Ośrodek Szkoleniowy w Eichwalde, Treptow Park. Szczególnie zainteresowany był nazwiskiem mężczyzny, który „wskrzesił” Karla.

- Nie chciał mi tego powiedzieć. Przypuszczam jednak, że nazywał się Aleksander.

- Aleksander - powtórzył Hugh. - Czy był Rosjaninem?

- Nie powiedział tego, ale mam wrażenie, że kimkolwiek by nie był, był dobrze ustosunkowany.

- Gdzie chodził Karl do szkoły?

- Nie powiedział mi tego.

- Nie pytałeś się?

- Nie, nie pytałem. Było tysiące innych rzeczy do omówienia. Nie mogliśmy wszystkiego załatwić w jedno popołudnie.

- Ale jest instruktorem w Ośrodku Szkoleniowym w Eichwalde?

- Tak.

- Jest żonaty i ma trójkę dzieci?

- Tak. Żona ma na imię Magda, a dzieci - Bridget, Katrina i Wilhelm. - Pomogła mu jego dziennikarska wprawa w zapamiętywaniu nazwisk.

Hugh zwrócił się do Kincaida: - Czy możesz załatwić dossier?

- Eichwalde? - wzruszył ramionami. - Jeżeli nie my, to może wywiad wojskowy.

- Zobacz, co możesz znaleźć na ten temat. Kincaid zrobił kwaśną minę: - Jest sobota.

- Wiem, ale chcę potwierdzić bądź wykluczyć istnienie tego brata, zanim rozejdą się wiadomości.

Kincaid złożył notatnik. - Wszystko, co mogę zrobić, to złożyć oficjalne podanie.

- To ma biały priorytet - powiedział Hugh.

- Zakodowane?

Hugh przytaknął i Kincaid uśmiechnął się smutnie. - To w takim razie trochę więcej niż prośba. Zaraz wracam.

Po wyjściu Kincaida Paul oświadczył, że chce wykonać parę telefonów. Hugh potrząsnął głową: - Najpierw skończ...

- Posłuchaj, Roark. Zniknąłem z powierzchni ziemi przed dwoma tygodniami i chcę teraz powiadomić ludzi, co się stało.

- Oni myślą, że ukrywasz się, by popracować nad nową historią.

- Kto tak myśli?

- Twoja żona, twój wydawca, twoja matka...

- Powiedziałeś im, że pracowałem nad nową historią?

- Ty to zrobiłeś. Przynajmniej myśleliśmy, że to ty, dopóki... Wtrącił się Maurice: - To ciągle mógł być on.

- Co? - zażądał Paul.

Hugh zrelacjonował, czego dowiedzieli się od Bernie Sterna: że Paul zadzwonił, aby powiedzieć, że się ukrywa z powodu ważnej sprawy, nad którą teraz pracuje. Wydawca nie podał im żadnych szczegółów. Być może powinien, ale Paul nie spodziewał się, że Karl wcieli się w niego, przywłaszczy jego nazwisko i użyje jego personaliów dla własnych celów. Jakkolwiek by one, do diabła, były...

Zaczął zadawać pytania: Co Karl powiedział Berniemu? Kiedy to było? Czy jego brat dzwonił jeszcze do kogoś innego? Czy dzwonił do Joanny? A do jego matki?

- Nie, w każdym razie nie wtedy, gdy ostatni raz z nimi rozmawialiśmy - powiedział Hugh.

- Kiedy to było?

- Dzwoniliśmy rutynowo, co było...
- Myślę, że jakieś trzy dni temu - wtrącił Maurice.
- Gdzie jest telefon? Chcę to sprawdzić.
- Nie mamy pewnego telefonu.
- Nie zależy mi na tym, czy jest pewny, czy nie, dopóki nie usłyszę ich, a oni mnie.
- No cóż, obawiam się, że nam na tym zależy. Czy możesz ograniczyć to, co powiesz

tym ludziom?

- Co masz na myśli?
- Mam na myśli wzmianki na temat pana Singera, mnie, Agencji i morderstw.
- Chcę jedynie sprawdzić, czy ktoś inny słyszał o Karlu.
- A ja będę kontrolować rozmowę.
- Co powiesz na test moczem?

Wezwali Offizier, który udawał, że nie rozumie szkolnej niemieczyny Hugh'a. Paul przerwał im i zażądał telefonu w energicznym Berlin\ risch. Offizier zeszywniał i wymaszerował, by wydać zarządzenie. Parę minut później poprowadził ich do pomieszczenia, które wyglądało jak biuro księgowości. Za szybami stały porządnie poukładane na półkach książki, a na dwóch nienagannie czystych biurkach stały dwa monitory komputerów.

Offizier zajął swoją pozycję tuż przy drzwiach. Paul poprosił Maurice^, by poczekał za drzwiami.

Maurice spojrzał na Hugh'a, który odezwał się: - Dlaczego nie sprawdzisz i nie upewnisz się, czy George Lish nie był jednym z naszych?

- Rzekomy George Lish - gderał Maurice opuszczając pokój. Po jego wyjściu Paul pokazał gestem ręki oficerowi, by zamknął drzwi, lecz zanim Hugh tego nie potwierdził, ten nawet nie poruszył się. Paul zaczął telefonować. Hugh podniósł słuchawkę aparatu na sąsiednim biurku i słuchał.

Sobota była wolnym dniem Joanny, ale w domu odezwała się jedynie automatyczna sekretarka. Wiadomość od Paula była krótka: „Jo, to ja. Jestem w Berlinie i mam ci mnóstwo do opowiedzenia. Nie mam numeru, pod który mogłabyś zadzwonić, więc zgłoszę się później.” Zatrzymał się, a potem dodał: „Tęsknię za tobą.”

Czekał w ciszy przez siedem sekund, mając nieśmiałą nadzieję, że go słuchała i podniesie słuchawkę telefonu. Usłyszał, jak wyłączyła się taśma.

Może Joanna zmieniła swój harmonogram i pracuje. Zadzwonił do galerii i zastał Denise, która powiedziała mu, że o ile wie, to Joanna ma właśnie wolny dzień.

- Nie spodziewam się jej przed jutrzejszym dniem - powiedziała Denise swoim rozmyślnie arystokratycznym tonem.

Następny telefon Paula był do matki. Była szczęśliwa i uspokojona słysząc go, lecz zmartwiona doniesieniami z Berlina o wypadku samochodowym. Powiedziała mu, że „pewni ludzie” dzwonili i pytali się o niego.

- Masz kłopoty? Jeżeli potrzebujesz pieniędzy...

Jasne było, że Karl nie dzwonił do niej. Paul zastanowił się, czy jej nie ostrzec, ale zdecydował się nic nie mówić. Gdyby Karl miał zamiar skontaktować się z nią, zrobiłby to do tej pory. Odłożył słuchawkę i nakręcił ponownie numer, podczas gdy Offizier żalił się do Hugh'a, a ten z kolei udawał, że nie rozumie po niemiecku.

Tym razem zadzwonił do Bernie, jak zwykle nastawionego sarkastycznie.

- Cholernie miło z twojej strony, że skontaktowałeś się z nami. Szczególnie dlatego, że CIA wie o twojej historii ze sprzedażą broni i jeżeli odzywałbyś się częściej dowiedziałbyś się, że zawzięcie kłusują za tobą.

- Właśnie mnie znaleźli. Jeden z nich stoi akurat przede mną. Hugh spojrział na niego ostrzegawczo.

- Akurat przed tobą? Gdzie?

- Jestem w Berlinie. W więzieniu. Posłuchaj mnie, Bernie, uważnie, ktokolwiek telefonował do ciebie ostatnio, to nie byłem ja. Rozumiesz? Nie rozmawialiśmy ze sobą od kiedy odłożyłeś na półkę mój artykuł o komisji Rocklanda-Birdwella. W tym dniu byłem u ciebie w redakcji, pamiętasz? Człowiek, który do ciebie telefonował był moim bratem.

- Nie masz brata.

- A właśnie, że mam. Bliźniaka. Nazywa się Karl Alexander i porwał mnie tutaj, po czym podszył się pod moją osobę w Stanach...

- No jasne... co ty do cholery próbujesz zmalować? Nie, pozwól, że sam na to wpadnę. Nie ma żadnego artykułu. Leżałeś w łóżku przez dwa tygodnie, albo grzałeś się na słońcu w Acapulco. Nie idziesz tropem CIA, handel bronią nie istnieje, żadnych informatorów, żadnych nici łączących. Czyż nie jestem niebezpiecznie blisko prawdy?

- Bernie zamknij się i słuchaj.

- Niech to będzie naprawdę dobre, naprawdę dobre...

- Co powiesz na najemnika z KGB.

Hugh zamachał do niego, ale Paul brnął dalej nie przerywając.

- ...co powiesz na porwanie i sześć - policz sobie, sześć niewyjaśnionych morderstw? Co powiesz na kogoś, kto próbuje mnie zrobić? No i jak to ci się podoba?

- Tak jakbyś był naćpany.

- Nie jestem naćpany, Bernie. To jest prawdziwa historia na strony tytułowe.

Ton głosu Berniego zmieniał się, w miarę jak rozważał możliwości. - Morderca z KGB, którego jesteś w stanie naprawdę zidentyfikować?

Hugh wpatrywał się w Paula. - Nazwij go mordercą na trzy litery, ten telefon nie jest bezpieczny.

- To kim jest ten facet?

Paul podał mu skrócony, wyprany ze szczegółów opis wydarzeń, w zamian otrzymał szczegóły rozmowy telefonicznej Berniego z Karlem. Opowieść Karla o handlu bronią miała oczywiście wyjaśnić zniknięcie Paula, ale obecność Karla na Wojskowym Terminalu Morskim w Bay-onne była tajemnicą. Kiedy skończyli, Offizier wydawał z siebie dźwięki zniecierpliwienia i zerkał na zegarek.

Bernie zadał ostatnie pytanie: - Hallo, jeśli uwierzę tobie, skąd mam wiedzieć, że ty to ty, a nie Karl?

- A któż by inny powiedziałby ci, żebyś się odpierdolił?

- Przynajmniej to ma jakiś sens... Kiedy wracasz?

- Tak szybko, jak tylko dżentelmeni na trzy litery wybawią mnie. Zadzwoń do ciebie, kiedy wrócę, jeżeli wrócę.

Offizier odprowadził ich z powrotem do pokoju przesłuchań, gdzie zobaczyli Maurice'a i Kincaida pochylonych nad otwartymi aktami. Kiedy podnieśli głowy, w oczach Kincaida malowało się podniecenie, a Maurice wydawał się być w szoku.

Hugh zapytał: - No i co macie do powiedzenia?

- Bonanza - wykrzyknął Kincaid - właśnie przynieśli akta. W prawie szermierczym wypadzie podał mu dyplomowe zdjęcie osiem na dziesięć cali, czarno-białe. Studenci ustawieni byli przed ścianą ozdobioną wstążkami i płaskorzeźbami Lenina. Podzieleni byli według płci, po bokach mężczyźni w źle skrojonych ubraniach, a w środku kobiety we wzorzystych sukienkach wyglądających na uszyte z odciętych w czasach kryzysu zasłon. Paulowi nie trzeba było wypisanych na maszynie podpisów, aby rozpoznać Karla. Jego brat stał trzeci z lewej w tylnym rzędzie. Miał lekko pochyloną głowę, patrząc zmęczonym wzrokiem w stronę aparatu.

- Istnieją jeszcze trzy inne fotografie - powiedział Kincaid - żadna nie jest najlepszej jakości. Ludzie Stasi nie lubią być fotografowani.

- Stasi?

- Tak, wydaje się, że twój brat był członkiem wschodnioniemieckiego odpowiednika KGB. Nominalnie są niezależni, ale tańczą tak, jak im w Moskwie zagrają.

- I to jest magiczny łącznik z KGB - powiedział Hugh. - Zarazem to jest dowodem, że twoje sny...

- Są prawdziwe -> dokończył Maurice zdumionym głosem. Obydwaj patrzyli na Paula z mieszaniną strachu i podziwu zazwyczaj zarezerwowaną dla cyrkowych potworków.

- Powiedziałem wam to miesiąc temu - powiedział Paul.

- Czy naprawdę jesteś w stanie to robić? - zapytał Maurice. - Mam na myśli, czytać w ludzkich umysłach?

- Miałem sny - powiedział Paul poirytowany. - To nie jest czytanie w mózgu. Przecież rozmawialiście z doktor Helms.

- Ja też mam sny, ale całkiem inne. Nie takie, w których mogę zaglądać do głów innych ludzi. ‘

- Nie masz brata bliźniaka.

Teraz Kincaid poczuł się zmieszany. - Przepraszam, czy ja czegoś tutaj nie wiem?

Wyjaśnienia zaczęły się od nowa. Paul musiał sobie ciągle przypominać, że ci ludzie mieli teraz pogodzić się ze zjawiskiem, które on był zmuszony zaakceptować tygodnie temu. Hugh pozbierał się szybciej niż Maurice, który pozostał wstrząśnięty i podejrzliwy, nie tyle wobec Paula, ale świata, który nagle zmienił reguły i uczynił możliwym to, co do tej pory było niemożliwe. Kincaid traktował to początkowo jak dobry żart, a potem obudziła się w nim obawa.

Minęło pół godziny, zanim Paul mógł skierować rozmowę z powrotem na sprawę uwolnienia z więzienia. Chciał je opuścić natychmiast, ale ludzie z CIA poinformowali go, że nie mają takich uprawnień.

- Wyciągniemy cię - zapewnił go Hugh - zdobądź się na odrobinę cierpliwości...

- Sam się zdobądź, po tym jak byłeś odurzony narkotykami, porwany, wsadzony do więzienia, a przy tym nie popełniłeś żadnego przestępstwa.

- W Berlinie policja ciągle uważa, że to ty potrafiłeś jednego z ich ludzi.

- A więc pokażcie im jego zdjęcie. Udowodnijcie, że to Karl. Wyciągnijcie mnie, do diabła, z tej celi.

- Zrobimy to. Nawet jeśli przyjdzie nam zatelefonować do Waszyngtonu i pociągnąć za odpowiednie sznurki. Nie martw się.

Ale Paul martwił się. I miał powody. W czasie, kiedy agenci CIA ciągnęli za odpowiednie sznurki, on spędził jeszcze jedną przeklętą noc w celi.

Rozdział 23

Tej nocy Paulowi śnił się Ray Tregerdemain. Stali po przeciwnych stronach basenu i Paul wychylał się podając mu pięćdziesiąt marek. Rozdzielało ich dwadzieścia lub trzydzieści stóp, pomimo to pochyłali się w swoim kierunku, wyciągając ręce, dopóki Paul nie pośliznął się i nie wpadł do wody.

W oszalałym przesunięciu perspektywy stał się obserwatorem, stojąc za plecami Ray'a. Człowiekiem w basenie był wzywający pomocy Karl. Ray, myśląc, że to jest Paul w tarapatkach, wskoczył na pomoc do basenu.

Nie, krzyknął Paul, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jego ust. Mógł tylko patrzeć, jak Ray pod pływa do Karla, którego ciało zmiękło i unosiło się na wodzie, twarzą w dół i zanurzonymi do połowy łopatkami. Kiedy Ray znalazł się obok Karla, wsunął mu rękę pod ramiona i zaczął holować z powrotem. Paul obserwował, jak zbliżają się do niego. Ray walczący z wodą, oddychający krótko i płytko. Karl z odwróconą do góry i wspartą na jego barku głową.

Kiedy podплыnęli bliżej, nastąpiła potworna transformacja. Oczy Karla otworzyły się, na ustach pojawił się uśmiech, który poszerzał się coraz bardziej, nadymając twarz, rozciągając policzki, wydłużając usta i nos, aż powstał pysk olbrzymiego polarnego niedźwiedzia o roziskrzonych oczach i krwistoczerwonych wargach.

Uważaj, zawył Paul bezgłośnie.

Ray w wodzie zdał sobie sprawę z przemiany. Odwrócił się, zobaczył niedźwiedzia. Z okrzykiem przerażenia rozluźnił swój chwyt uwalniając się. Próbuąc uciec, płynął szaleńczo w stronę Paula. Niedźwiedź obrócił się powoli, zanurkował i stał się, płynąc pod wodą, ruchomą mozaiką

Zabójczego, ugiętego białego światła, które znalazło się pod uciekającym człowiekiem. Paul wyciągnął ręce, aby udzielić pomocy, Ray sięgnął do góry, ale zanim ich ręce się spotkały, wynurzyły się wielkie białe łapy i, chwyciwszy Ray'a, wciągnęły go w głąb.

Ręka Paula, wciąż wyciągnięta, trzymała teraz pięćdziesiąt marek, pieniądze, które sam zaproponował Ray'owi. Nieoczekiwanie zorientował się, że jedynym sposobem uratowania Ray'a było wrzucenie banknotów do basenu. Pod powierzchnią wody widać było dwa kształty, przewracające się jeden na drugim; biała sierść i białe ciało ukazywały się raz po raz na zmianę.

Paul rzucił pieniądze do wody z krzykiem: Zabierz je, zabierz... Jak na zawołanie niedźwiedź zniknął. W spokojnej wodzie widział wypływającego Ray'a, płynącego w jego kierunku, zagarniającego wodę zgiętymi palcami. Z ust wydobywały się mu bąbelki powietrza, oczy miał szeroko otwarte, ale co to: to nie był już Ray, to był...

Ray zniknął jak biały błysk i z wody wynurzył się niedźwiedź polarny trzymający w paszczy martwe ciało Jasona...

Paul zbudził się i spadł z pryczy, kiedy wyrzucił ramiona do góry. Był przesiąknięty potem. Obraz ciała synka zdawał się powoli zanikać i zabrało mu kilka minut, zanim zorientował się, gdzie jest. Zjawił się strażnik, mrugając w żółtym świetle na zewnątrz celi.

- Was ist denn los?

Paul podniósł* się z ziemi i odesłał go machnięciem ręki. Samotny, usiadł na pryczy, owinąwszy się jasnyniebieskim kocem. Obraz Jasona o śmiertelnym, niebieskim kolorze skóry był widokiem, który zapamiętał z kostnicy. Nalegał na zobaczenie ciała syna niezwłocznie, natychmiast, jeszcze nie zabalsamowanego i upudrowanego. Tylko w ten sposób mógł uwierzyć w to, co się wydarzyło. Paul wymazał to z pamięci. Nie myślał o tym aż do teraz, do snu, w którym wszystko było pomieszane ze straszną śmiercią Ray'a Tregerdemaina.

Pozwoliłeś mu utonąć... Słowa zabrzmiały szokująco znajomo. Tak samo zwrócił się do Joanny. Pozwoliłaś mu utonąć, powiedział Joannie w tę noc, kiedy przyszła porozmawiać o urodzeniu jeszcze jednego dziecka. A teraz on pozwolił, aby utonął Ray Tregerdemain.

Ale to nie to samo, zaprotestował w ciszy. Nie mógł wiedzieć, że Karl zabije Ray'a. Tym nie mniej nie ostrzegł go, że Karl jest zabójcą. Nie wspomniał o snach, nie ochronił Ray'a mówiąc mu, jak sytuacja wygląda naprawdę. Popenił pomyłkę i Ray zapłacił wysoką cenę. Tak samo jak Joanna. Aż do tej pory nie rozumiał w pełni jej nieszczęścia. Nie tylko spowodowanego śmiercią Jasona, ale również jego odwróceniem się od niej, jego milczącym potępieniem. Ile razy przychodziła do niego szukając pocieszenia a on dawał jej w subtelny sposób do zrozumienia, że nie jest możliwe, aby je otrzymała od niego? Kiedy winiła sama siebie, nie okazywała tego. Kiedy milczała, jego poprawne, ale oziębłe zachowanie oskarżało ją. Przez wszystkie te miesiące karał ją za to, że uczyniła ich życie niepotrzebnie bolesnym. Żadne z nich tego nie potrzebowało, ani na to nie zasłużyło. Gdyby pojechał do Charlottes ville... gdyby powiedział Ray'owi o Karlu...

Nagle poczuł, że musi porozmawiać z Joanną. Wstał, podszedł do drzwi celi i zawołał strażnika. Kiedy ten się pojawił, zażądał rozmowy telefonicznej. Strażnik, młody chłopak o

małych oczach i krzaczastych brwiach, potrząsnął głową. - Nie mam prawa tego zrobić, lepiej wracaj do łóżka. - Podciągnął spodnie i zawrócił do biura.

Ale Paul nie mógł zmrużyć oka. Spędził resztę nocy chodząc tam i z powrotem po celi. Jego myśli krążyły między Jasonem, Joanną i Ray'em Tregerdemainem. Miał nadzieję, że ludzie z CIA przyjdą wcześniej rano i spełnią obietnicę uwolnienia go, ale pora śniadania nadeszła, a ich dalej nie było widać. Dopiero około dziewiątej został zaprowadzony do pokoju przyjęć i zwolnień, gdzie czekali na niego Hugh, Maurice i Kincaid.

- Już była najwyższa pora - powiedział Paul.

- Mamy weekend - przypomniał mu Hugh - musieliśmy dzwonić do Waszyngtonu i wyciągać ludzi z łóżek...

- Taak, żyje się ciężko w wielkim mieście. Chodźmy.

Kincaid powiedział: - Musimy poczekać na człowieka z konsulatu.

- Na kogo?

- Jego nazwisko brzmi Walsh, jest jedyną osobą, która może być twoim kuratorem.

- I ma twój tymczasowy paszport - dodał Hugh - tak, że możemy zabrać cię do Stanów.

- Chcę porozmawiać przez telefon.

Hugh popatrzył na niego poważnie. Paul widząc wyraz jego twarzy dodał: - Zasady te same, co wczoraj.

- Czy to nie może poczekać?

- To może, ale ja nie mogę. Jestem na nogach od czwartej rano. Chodźmy. Zróbmy coś.

Hugh westchnął i zwrócił się do pozostałych: - Powiadomcie nas, kiedy nadejdzie Walsh.

Znaleźli się w tym samym pokoju, do którego weszli poprzedniego dnia. Paul zajął jedno biurko a Hugh drugie. W Waszyngtonie było po północy. Joanna odezwała się sennym głosem.

- Halo?

- Jo? Tu Paul.

- Paul?

- Przepraszam, że dzwonię tak późno. Czy dotarła do ciebie moja wiadomość?

- uhm. Czy w dalszym ciągu jesteś w Berlinie?

- Wyjeżdżam tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. Posłuchaj, jest coś, o czym bardzo chciałbym wiedzieć. Bez względu, jakie to może wydać się dziwne, powiedz mi, kiedy po raz ostatni rozmawialiśmy ze sobą?

- Wiesz kiedy.

- Proszę... czy telefonowałem do ciebie, od kiedy zostawiłaś dla mnie wiadomość?

- To nie ma znaczenia, Paul, mam własne mieszkanie. Wyprowadzam się... Potrzebujemy odpocząć od siebie... Znalazłam coś dla siebie, w pobliżu Du Pont Circle.

- Z kimś?

- Nie, Paul. Jestem sama.

- Rozumiem... no cóż, cokolwiek poprawi twoje samopoczucie mówił chaotycznie - jakoś sobie poradzimy...

- Nie podejmuję żadnych zdecydowanych i pochopnych decyzji dodała - ale muszę poradzić sobie z tym potwornym uczuciem do siebie samej, a nie mogę tego zrobić w sposób, w jaki to robiliśmy do tej pory. Nie obwiniam ciebie ani siebie - nie jestem w stanie obwiniać samej i siebie - ale ty to robisz. Wiem, że to robisz, Paul i może nawet masz rację, ale ja nie mogę sobie z tym poradzić. Czy możesz to zrozumieć?

- Na pewno...

- Tak mi przykro, nie miałam zamiaru mówić ci tego w ten sposób, \ ale spędziłam tydzień w samotności, żałując, że nie umarłam, myśląc o tym wszystkim i...

Poznał po jej głosie, że jest bliska płaczu.

- W porządku, Jo.

Złapała oddech i powiedziała matowym głosem: - Chciałabym, aby tak było.

Pragnął być przy niej, przytulić ją, poczuć uścisk jej ramion i powiedzieć jej, że zrozumiał, albo przynajmniej, że zaczyna rozumieć. Chciał jej powiedzieć, że jest mu przykro, lecz z Hugh'em, udającym, że nie słucha i niemieckim policjantem przy drzwiach, wszystko, co mógł powiedzieć, to było: - Zrobimy wszystko, aby było dobrze. Porozmawiamy, kiedy wrócę, dobrze? Będziesz czekać?

- Kiedy wrócisz?

- Dzisiaj wieczorem lub jutro, to zależy.

- Nie musisz wracać z mojego powodu - powiedziała zimno. A potem, świadoma tonu wrogości w swojej odpowiedzi, dodała bardziej miękko: - Przepraszam.

- Jo, posłuchaj, jest coś, o czym powinnaś wiedzieć. Możliwe, że to będzie za wiele jak na jeden raz, ale nie mam wyboru. Parę tygodni temu odkryłem, że mam brata bliźniaka. Nazywa się Karl Alexander i mieszka tu w Berlinie. To dlatego tutaj przyjechałem.

- Ale przecież nigdy...

- Wiem. To znaczy, nie wiedziałem o tym. Mama myślała, że on zmarł wkrótce po wojnie, więc trzymała to w sekrecie. Pamiętasz te moje nocne koszmary?

- W których śniłeś, że kogoś zabijasz?

- Właśnie. No, wygląda na to, że to nie były tylko senne koszmary. Tuż przed twoim odejściem para facetów z... - Hugh zerknął na niego - z pewnej organizacji przekonała mnie, że te koszmary naprawdę się zdarzyły w rzeczywistości. Nie uwierzyłem im, Jo, ale to prawda. Nekrologi tych ludzi - ich nazwiska, w każdym razie są „w gazetach. Możesz je przejrzeć. Zobacz je dla siebie samej.

- Co ty mówisz?

- Karl pracuje dla obcego rządu, jest mordercą. A teraz jest w Stanach. Przynajmniej był dziesięć dni temu. Zadzwoił nawet do Berniego i podszył się pode mnie...

- To nie byłeś ty?

- Byłem w Berlinie już w dzień po twoim odejściu.

Tak wiele się zdarzyło, uświadomił sobie Paul. Ostatni raz rozmawiali ze sobą tej nocy, kiedy powiedziała mu o Luisie de Cuevo - w tym samym dniu przyszli do niego faceci z CIA, a on odkrył, że wyśnione przez niego wypadki śmierci zdarzyły się naprawdę. A on jej o tym nigdy nie powiedział. Odsunął się od niej, jakby nie zasługiwała na to, by wiedzieć, co wydarzyło się w jego życiu. Gdy rozmawiał z nią teraz, było tak jakby ponownie byli nieznajomymi albo ponownie nawiązywali znajomość. Było tak wiele rzeczy dotyczących każdego z nich, o których ledwo wiedzieli. Najpierw, tak jak pozostali, nie dowierzała mu. Potem, gdy poznała szczegóły sytuacji, zrozumiała znaczenie tego, o czym mówił. - To dlatego pytałeś się mnie, kiedy ostatni raz rozmawialiśmy ze sobą? Myślałeś, że on mógłby do mnie zadzwonić?

- Nie wiem, co mógłby zrobić. Wiem jedynie, że jest niebezpieczny i udaje, że jest mną.

- Straszysz mnie teraz, Paul. To nie jest zabawne.

- Wiem. Posłuchaj, jak myślisz, czy mogłabyś znaleźć jakieś miejsce, gdzie zatrzymałabyś się na parę dni? Może poproś Denise albo pojedź do rodziców.

- Czy on rzeczywiście wygląda dokładnie tak jak ty?

- Jest tutaj ktoś ze mną, kto może ci to powiedzieć. Hugh spojrział zaskoczony, gdy Paul podsunął mu słuchawkę telefonu, a potem odprawił go machnięciem ręki.

- To ktoś, kto pomoże mi odnaleźć Karla. Dopóki...

- No cóż, mam nowe mieszkanie.

- Dobrze. - Chciał jej zasugerować, by wzięła rewolwer, który trzymał w szafce z archiwum, lecz zrezygnował z tego. Ostatecznie, Karl' zjawił się w Nowym Jorku niemal dwa tygodnie temu i bez względu na to, jakie miał sprawy do załatwienia, nie miały one nic wspólnego z Joanną. A jeżeli nawet, to chciałby raczej uniknąć spotkania z Joanną j lub z kimkolwiek innym, kto mógłby rozpoznać go jako oszusta.

- Prawdopodobnie jestem przeczulony - powiedział Paul, próbując uspokoić ich obydwój - ale lepiej się zabezpieczyć niż...

Do pokoju wszedł Kincaid i zawiadomił ich, że przyjechał przedstawiciel konsula. Paul zanotował adres nowego mieszkania Joanny i powiedział jej, że kiedy wróci, to zostawi wiadomość w galerii.

Na moment przed odłożeniem słuchawki zdobył się na powiedzenie czegoś, czego Joanna już od bardzo dawna nie słyszała z jego ust: - Kocham cię, Jo.

Chwila wahania, a potem: - Jesteś zabawnym facetem - powiedziała poważnie.

Po odłożeniu słuchawki Joanna siadła ze skrzyżowanymi nogami na łóżku. To, co Paul powiedział o Karlu Alexandrze niepokoiło ją w równym stopniu, jak również wprowadziła ją w zakłopotanie jego niespodziewana serdeczność. Dwa tygodnie temu jego reakcja na jej romans z Luisem de Cuevo... była całkowicie - i przygnębiająco - pozbawiona gniewu czy zazdrości. Jego chłodne i beznamienne zaloty powiedziały jej - tak myślała - jak mało dla niego znaczy. Jej przelotna zdrada wydawała się być dowodem na to, czego najbardziej się obawiała, że nie było już kogo zdradzać. Jednakże parę chwil wcześniej powiedział jej, że ją kocha z takim przekonaniem, że było niemożliwością mu nie uwierzyć.

Znajomy trzask gałęzi drzewa na dachu przestraszył ją. Nasunęła płaszcz kąpielowy i zeszła na dół, aby sprawdzić wszystkie drzwi, upewniając się, że są zamknięte na klucz. Teraz pusty dom napawał ją lękiem... Wyobraziła sobie tego na nowo odnalezonego brata, Karla, gdzieś na podwórku i zagląającego do środka. Zatrzasnęła okiennice, zasunęła zasłony i włączyła radio. Była wzburzona, zaparzyła kawę, usiadła przy stole kuchennym i po raz pierwszy od czasu powrotu z Maine zaczęła się poważnie zastanawiać czy słusznie postępuje...

Joannie wydawało się, że umarła w Maine - a przynajmniej tak to określała w myślach. Wyjechała do rodzinnego domku letniskowego, aby uciec, zapomnieć, ulżyć zmartwialemu sercu i małżeństwu, które też zamierało. Domek stał na samym koniuszku wąskiego półwyspu wysuwającego się w zatokę Penobscot. Była to jednopiętrowa, chaotyczna budowla z wysokim spadzistym dachem i gankiem osłoniętym siatką, usytuowana na nadbrzeżnym urwisku, z którego widać było wzburzone wody oceanu. Miejscowy

człowiek do wszystkiego zwykle otwierał dom, ale tym razem Joanna go o to nie poprosiła. Kiedy tam przyjechała, okna były zamknięte, siatki na ganku były zabezpieczone deskami i światło było wyłączone. Otworzyła go własnoręcznie, mając nadzieję, że wysiłek fizyczny przyniesie jej jakąś ulgę. Odblokowała okiennice, zdjęła zasuwę, usunęła płyty sklejkę z siatek na ganku, wbijając sobie mnóstwo drzazg w dłoń. Domyśliła się, jak włączyć wodę i prąd, potem wysprzątała domek, zamiotła martwe owady, wymyła lodówkę, wywietrzyła pościel i łóżko.

Zmęczenie spowodowane pracą przyniosło jej ulgę i pierwszą noc przespała zupełnie dobrze. Jednakże, kiedy się obudziła, wspomnienie tego, co zaszło między Paulem a nią, stanowiło zbyt duży dla niej ciężar. Wyciągnęła stare kufry i zaczęła przeglądać ich zawartość w poszukiwaniu pamiątek z dzieciństwa, chcąc odnaleźć małą dziewczynkę, jaką była, a która zgubiła się gdzieś po drodze. Jeden kufer nie należał do niej - należał do Jasona. Znajdowały się w nim jego letnie zabawki - książka o Tick Tocku, Hę Mań, wypchany piesek Loomis z zacerowanym uchem. Zapomniała o nich. W Waszyngtonie oddali rzeczy Jasona do sklepów dla biednych i ponownie zrobili z jego pokoju, pokój gościnny. Widok zabawek przyniósł ze sobą wspomnienia, które były zbyt bolesne. Pamiętała każdą zabawkę. Pamiętała nawet wzorki na papierze ozdobnym, w jaki były(owinięte te, które otrzymał na Mikołaja.

Łzy napłynęły jej do oczu, przynosząc ze sobą niewielką ulgę. Była wyczerpana. Pojechała samochodem do Camden, tam gdzie nikt jej nie znał, po czym zakupiła kilka puszek „Serdecznej Kolacji Campbella” oraz skrzynkę szkockiej whisky. Szukała zapomnienia w alkoholu, pijąc nieprzerwanie. Gdzieś w głębi duszy zdawała sobie sprawę, że prosi siebie samą o to, czego, jak czuła, nie uzyskała od Paula - uwagi. Czy zależało jej? Czy zależało jej na sobie samej, na czymkolwiek?

Fotografie na gzymsie ponad kominkiem ukazywały członków czterech pokoleń rodziny w wieku dziecięcym; każdy siedział na bloku skalnym w dziwnym kształcie, nazwanym przez nich Bochenkiem Chleba: babcia, dziadek, jej ojciec, Joanna i Jason. Każde dziecko było w wieku od dwóch do czterech lat, kiedy robiono zdjęcie. To była tradycja rodzinna, teraz ich widok przeszywał jej serce. Uśmiech na twarzy Jasona, ufny i pewny siebie, był jej oskarżeniem. Oczy Paula ją oskarżały. Oskarżało ją jej własne serce.

Wlewała w siebie alkohol, dopóki nie zrobiło jej się niedobrze. Upadła na podłogę i przeleżała tak dwanaście godzin.

Kiedy się obudziła, dzień był pochmurny, dżdżysty, chłodny i wietrzny. Postanowiła z sobą skończyć. Decyzja rozweseliła ją w dziwny sposób. Wyrzuciła zawartość ojcowskiego kufra i znalazła rewolwer ojca kalibru 22. Broń nie była nabita, ale znalazła również dwa

pudełka nabojów, jedno było pełne, w drugim było zaledwie ich kilka. Wybierając najczystsze z nie otwartego pudełka, załadowała trzy, w co drugą komorę. Zmodyfikowana rosyjska ruletka. Pozostawi w rękach losu decyzję, czy nadaje się do życia, czy nie. Ona nie była w stanie sama jej podjąć.

Zatrzymała się na chwilę. Uświadomiła sobie następstwa. Jeśli umrze w domku, kto ją odnajdzie? Po jakim okresie czasu? Myśl, że miałyby zostawić ten cały bałagan, była dla niej nie do przyjęcia. Założyła żółty płaszcz przeciwdeszczowy, wyszła na zewnątrz, stanęła na nadmorskim urywisku i wpatrzyła się w wodę. Czterdzieści stóp w dole fale pienią się gniewnie rozbijając się na poszarpanych skałach. Skończył się właśnie przyływ. To dobrze. Jeśli spadnie, woda zabierze ją ze sobą na otwarte morze.

Zimny deszcz i strach spowodowały, że zaczęła szczekać zębami. Wyjęła rewolwer spod fałdów nieprzemakalnego płaszcza. Czy spłonka odpali, skoro łuski są mokre? Nie wiedziała, ale zdecydowała się szybko z tym skończyć. Mocno trzymając broń, obróciła bębenek, dwa, trzy, cztery razy. Szansę były pół na pół, że trafi na naładowaną komorę. Albo na pustą.

Podnosząc rewolwer i wkładając lufę do ust... zaczęła płakać. To był niemądry, histeryczny płacz. Poczula się głupio, stojąc tutaj, z zimną lufą w zębach, a więc zmieniła pozycję i przyłożyła sobie wylot do skroni. Łzy nie przestały płynąć ciepłym strumyczkiem po zimnych policzkach. Wyobrażała sobie siebie stojącą, wychyloną nad klifem, tak melodrama-tycznie i jakże absurdalnie. Uświadomiła sobie, że nie chce umierać.

Odsunęła broń od skroni, wycelowała ją w dół na morskie fale i nagle, mając już nacisnąć spust, zmieniła zamiar. Objęła dłonią lufę i wyrzuciła rewolwer tak daleko, na ile tylko mogła.

- To nie jest moja wina - krzyknęła w ślad za nią - to nie jest moja wina, szlag by to trafił.

Trzęsąc się nie tylko z zimna, powróciła do domku i zebrała wszystkie zabawki i ubranka Jasona. Pełne naręcze zaniósła na urwisko i wyrzuciła do morza, po jednej rzeczy, jedna za drugą. Pracowała w gorączkowym pośpiechu, ale miała umysł jasny i dokładnie wiedziała, co robi. Po tym przyszła kolej na szkocką whisky. Złapała za wszystkie butelki, pełne czy puste i wszystkie także wyrzuciła.

Po powrocie, trzęsła się tak bardzo, że miała trudności z rozpaleniem ognia w kominku. Jej zgrabiące palce z ledwością mogły utrzymać zapalki. W końcu, gazety zajęły się ogniem i po chwili po pomieszczeniu zaczęło rozchodzić się ciepło. Zrzuciła mokre ubranie,

wytarła się do sucha ręcznikiem i ściągnęła koce z łóżka. Owinęła się nimi szczelnie, usiadła przy ogniu wpatrzona w płomienie. Stopniowo dreszcze ustąpiły.

Tę noc przespała na podłodze wśród poduszek jak zwierzę w swoim legowisku. Kiedy obudziła się, osiemnaście godzin później, była inną osobą. Przestała być młodą kobietą z etiopskich wycinków, z pełnym pewnością siebie uśmiechem pozującą do fotografii w obecności Afrykańczyków o posępnych oczach, ani narzeczoną, której małżeństwo było przygodą wziętą z prawdziwego życia, osadzoną na tle wartkiego tempa egzotycznego światowego dziennikarstwa. Joanna obudziła się będąc kobietą, która nie była w stanie zapewnić opieki własnemu dziecku, która została opuszczona przez męża, a przede wszystkim, z której uczucie opuszczenia nie uczyniło osoby nieczulej na zwykłe życiowe katastrofy.

Wróciła do Waszyngtonu, zdecydowanie smutniejsza, ale zarazem bardziej pewna siebie dzięki nowej wiedzy o sobie. Mogła, o czym była przekonana, odtąd radzić sobie sama. Nie była pewna jak przyjmie Paul decyzję wynajęcia przez nią samodzielnego mieszkania, ale była pewna, że była ona właściwa. Jego dwutygodniowa nieobecność tylko podkreślała jego brak uczuć w stosunku do niej...

Joanna siedząc przy kuchennym stole, trzymając w dłoniach kubek kawy, poważnie się zastanawiała, czy nie postąpiła pochopnie. Przez telefon Paul wydawał się być pełen tak niekłamanej serdeczności i troski, tak bardzo inny od tego, co pamiętała. Kocham cię, powiedział. Pierwszy raz od... nie mogła sobie tego przypomnieć. Od wypadku, prawdopodobnie. Zakrawało na ironię, że po tym wszystkim co uczyniła, aby go zadowolić, jej decyzja o odejściu od niego zrobiła tyle, ile nie zdołały uczynić miesiące cierpieli w milczeniu. Szmer za kuchennym oknem przestraszył ją. Podskoczyła oblewając sobie gorącą kawą palce. Odłożyła kubek i potrząsnęła dłonią, by ją ochłodzić. To był odgłos ocierającej się o zewnętrzną ścianę gałęzi drzewa. Znajomy dźwięk stał się teraz, po ostrzeżeniu Paula, złowieszczy. Pragnęła wiedzieć więcej o tym jego bracie. Czy był pewnego rodzaju szaleńcem? Wariatem? Wizja kogoś ukrytego na zewnątrz popchnęła ją do pójścia na górę, do gabinetu Paula i wyciągnięcia broni z zamkniętej szafki z archiwum.

To wariactwo, pomyślała wchodząc do łóżka i kładąc broń do szuflady nocnego stolika. Rozległ się głuchy brzęk, gdy metal dotknął szkła. Joanna sięgnęła pod jedwabną serwetkę i znalazła ćwiartkę „Chivas Regal”, w połowie pustą... Przywołała w pamięci moment włożenia tutaj butelki w jakiejś zamierzchłej przeszłości, ale wspomnienie było niewyraźne, bardziej jak wspomnienie słów wypowiedzianych przez kogoś innego.

Spała niespokojnie, zbudziła się nad ranem, a potem, uspokojona światłem nowego dnia, zasnęła znów głęboko na trzy godziny. Kiedy wstała, zadzwoniła do właściciela nowego mieszkania i umówiła się na przeprowadzkę tego dnia. Następnie zadzwoniła do galerii do Denise i wyprosiła dzień wolny.

O dziesiątej wyszła, by załatwić jakieś pudełka. Nie zwróciła uwagi na srebrno-czerwonego lincolna Continental, parkującego przy końcu przecznicy, ani na mężczyznę w środku, który odwrócił twarz, gdy koło niego przechodziła, a potem obserwował ją w tylnym lusterku, póki nie zniknęła za rogiem.

Rozdział 24

Po wyjściu Joanny, Karl podjechał do automatu telefonicznego i zadzwonił, „by się upewnić, czy nie ma nikogo innego w domu. Kiedy usłyszał zgłaszającą się sekretarkę automatyczną, odwiesił słuchawkę. To, co zamierzał zrobić było niebezpieczne. Wiedział o tym. Jego przeszłość, trening, instynkt, wszystko przestrzegało go przed tym, lecz życie jego brata pociągało go tak silnie, jak gdyby było częścią jego własnego... To był przymus. Musiał zobaczyć, jak żył Paul, jak on mógłby żyć, gdyby znalazł się na miejscu brata i byłby tym, który zachorował, a Paul zostałby z Tante Inge. Mikroskopijny wirus zmienił bieg ich życia; chciał teraz porównać rezultaty. Ta wiedza była mu potrzebna. Zasłużył sobie na to, żeby wiedzieć.

Nie zaparkował samochodu na ulicy, przy której stał dom. Zostawił lincolna przecznicę dalej, za domem Paula. Było mało prawdopodobne, by ktoś tutaj skojarzył go z samochodem, a jeżeli musiałby opuścić szybko dom, mógł wyślizgnąć się tylnymi drzwiami i przejść przez podwórko sąsiadów. Postanowił się nie kryć. Obcy mógł wzbudzić podejrzenie, lecz co mogłoby być bardziej naturalne od widoku Paula Stafforda wchodzącego do własnego domu? W najgorszym wypadku mógł wymienić zdawkowe pozdrowienia i czuł, że byłby w stanie to zrobić. Wystrychnął na dudka ludzi z CIA.

Było ciepło i wilgotnie, kiedy szedł w kierunku domu Paula. Banda dzieciaków grała na jednym końcu ulicy, a dwa domy dalej jakiś mężczyzna odwrócony do niego plecami pielął trawnik, Karl otworzył niedbale niską bramę z kutego żelaza i zbliżał się do domu. Doszedł do frontowych drzwi nie zauważony przez nikogo. Pierwszy klucz nie pasował. Mógł to być klucz od tylnych drzwi lub od biura Paula. Drugi jednak wślizgnął się łatwo do dziurki. Będąc już w środku, Karl zatrzymał się, by posłuchać, powąchać powietrze, wczuć się w to miejsce.

Dom wydawał się być mniejszy, niż można było sądzić po jego wyglądzie zewnętrznym, ale w porównaniu ze wschodniemieckimi standardami był prawie pałacem. Po obu stronach znajdowały się pokoje, a dokładnie na wprost wejścia umieszczone były schody. Kiedy przechodził przez pomieszczenia parteru, uderzyło go, że dom był nie tyle ozdobny, co świetnie urządzone. Krzesła, stoły, lampy, dzieła sztuki - każda rzecz z osobna wydawała się być wybierana raczej dla niej samej, niż dopasowywana do projektu, jednak w efekcie osiągnięto harmonię.

W kuchni skontrolował swoją drogę ucieczki. Było tutaj troje drzwi: jedno do piwnicy, drugie na tylne podwórko i trzecie do garażu. W garażu natknął się na audi. Wiedział, że to samochód Paula. Kluczyki miał na tym samym kółku, co pozostałe klucze. Audi było białe, tak jak jego mercedes, ale to nie był mercedes. Sprawilo to Karlowi pewną satysfakcję...

Zaczął już zazdrościć bratu jego życia, a teraz był zadowolony, że jego własny samochód jest lepszej klasy.

Na górze znajdowała się duża łazienka i cztery pozostałe pokoje: sypialnia gospodarzy, pokój gościnny, gabinet i studio, które wyglądało, jakby właśnie zamieniało się w magazyn. Wszedł najpierw do sypialni. Łóżko było w nieładzie, na nocnym stoliku stał kubek z resztką kawy, a obok do połowy pełna butelka szkockiej „Chivas Regal”. Polizał palec, włożył go do kawy i spróbował. Nie było śladu alkoholu. Czy ta kobieta piła w łóżku? By pomóc sobie zasnąć? By utopić smutki w alkoholu?

Ogłoszeniowa część gazety leżała na podłodze obok żółtego bloku papieru. Były wciśnięte między łóżko i stolik nocny. W gazecie była wydrukowana lista mieszkań do wynajęcia. Niektóre pozycje były zakreślone na czerwono; na żółtym papierze napisano krótkie opisy i numery telefonów. Karl uśmiechnął się. Wrażenie, jakie odebrał podczas rozmowy z Paulem było właściwe; jego żona, Joanna, odchodziła od niego. Upiła się przed snem. Życie prywatne jego brata nie było tak idealne, jak na to wyglądało.

Odłożył na swoje miejsce gazetę i blok papieru, otworzył szufladę nocnego stolika i znalazł w niej rewolwer. Nabity rewolwer po jej stronie łóżka, tam gdzie znajdowała się także butelka szkockiej whisky. O czym to świadczyło? Czy Joanna obawiała się włamywaczy, kiedy Paul był poza domem? Czy to było możliwe, że bała się Paula?

Karl był zaintrygowany. Opis Joanny dokonany przez Paula nie wskazywał na to. Szkocka z kawą w łóżku, poszukiwania nowego miejsca zamieszkania i naładowana broń w zasięgu ręki. Karl próbował przypomnieć sobie, co też Paul mu powiedział... Joanna była zaangażowana w niesienie pomocy głodującym - humanitarny cel - ale teraz zatrudniła się w

galerii sztuki, w otoczeniu pełnym egoistów i kulturalnego snobizmu. Jeszcze więcej sprzeczności. A to oznaczało... kobietę, która siebie nie знаła. Poszukiwała samej siebie? Coś w rodzaju psychozaba-wy, których pełne były magazyny...

Na komodzie stała fotografia Paula i Joanny na pokładzie łodzi spacerowej na Sekwanie. Stali przy relingu mając katedrę Notre Dame w tle. Karl podniósł fotografię i przyglądał się Joannie. Była drobniejsza od Magdy, z kruczoczarnymi włosami i oczami w kolorze błękitu nieba. Patrzyła przed siebie z uśmiechem pełnym entuzjazmu. Uśmiechała się do marzeń? Jakich? Nie mógł oczywiście tego wiedzieć. Ale znał ludzi tego rodzaju, można ich było wyprowadzić w pole, proponując im spełnienie owych marzeń.

Zadowolony, że udało mu się odkryć ważną wskazówkę do rozgryzienia Joanny, Karl kontynuował swoje poszukiwania. Buszując w komodzie odkrył, że Joanna lubiła swobodniejszą garderobę niż Paul, a jej bielizna była bardziej delikatna i stylowa niż Magdy. Z szafy wyjął brązową tweedową marynarkę i przymierzył ją. Rozmiar był idealny. Znalazł czarną sukienkę, trzymał ją w wyciągniętych rękach, próbując sobie w niej wyobrazić Joannę. Wyobrażał sobie ich dwoje razem, jak na fotografii. Jeśliby tego chciał, wśliznięcie się w życie swojego brata byłoby dla niego tak łatwe, jak włożenie jego marynarki...

Zadzwonił dzwonek u drzwi, złudzenie legło w gruzach.

Karl bezszelestnie odłożył sukienkę i zamknął szafę. Przeszedł korytarzem do gabinetu, z którego widać było podjazd. Ustawivszy się z jednej strony okna, rzucił okiem na zewnątrz. Ktokolwiek był u drzwi, stał tam, niewidoczny, ale na ścieżce znajdowała się mechaniczna kosiarka do trawy, której nie było, kiedy tu przyszedł. Teraz ukazał się chłopiec, w wieku około dwunastu lat, ubrany w wytarte dżinsy z dziurami na kolanach i w za dużą baseballową bluzę. Na oczach Karla pochylił się, wyregulował przepustnicę, szarpnął za cięgło startowe. Silnik obudził się do życia z warkotem, przerywając ciszę niedzielnego poranka.

Karl zmarszczył brwi. Obecność chłopca wykluczała opuszczenie budynku frontowym wejściem, bez zwracania na siebie uwagi. Tym niemniej, wciąż miał szczęście... To mogła być pomoc domowa, albo ktokolwiek inny z kluczami od domu. Ponadto, koszenie trawnika nie zajmie chłopcu wiele czasu, dziesięć lub piętnaście minut. Nie powinno go już tam być, kiedy on będzie gotowy do wyjścia.

Karl skierował swoją uwagę na gabinet, pokój, dzięki któremu mógł stworzyć sobie najwyraźniejszy obraz życia Paula. Na ścianach wisiały plakietki, dyplomy, oprawione artykuły i fotografie Paula z podróży po całym świecie, od dżungli filipińskiej do Antarktyki,

gdzie zrobiono mu zdjęcie, jak stał obok innego mężczyzny, ubrany w kurtkę lamowaną futrem, obaj w otoczeniu pingwinów.

Biurko z lękowego drzewa służyło za podstawę komputera Zenith. Obok niego leżał stos rachunków. Ktoś, prawdopodobnie Joanna, napisała odręcznie imię Paula, a pod nim listę telefonów od ludzi, którzy dzwoniли i zostawiali wiadomości w automatycznej sekretarce. Trudno mu było uwierzyć, że ktokolwiek znał tylu ludzi, lub raczej, że jego bratu dopisywało dobre samopoczucie będąc znanym przez tak wielu ludzi. Kiedy Karl był dzieckiem, jego największym marzeniem było być niewidzialnym. Przypomnił sobie chwile, gdy słyszał Tante Inge - Frau Heusner, skorygował się - powracając do domu. Zaciskał wtedy powieki, mając nadzieję, że stanie się niewidoczny, łudząc się, że skoro on jej nie widzi, to i ona jego nie zobaczy.

Przeszukując szuflady biurka, Karl znalazł paczkę niewypełnionych czeków i wpadł na szalony pomysł. Im więcej o nim myślał, tym bardziej był dla niego pociągający. Wyjął portfel, który zabrał Paulowi i zaczął studiować podpis brata na prawie jazdy. Charakter pisma był uderzająco podobny do jego własnego. Przećwiczył podpis Paula na czystym kawałku papieru, a kiedy był już poprawny, zaczął wypisywać чеки: elektryczność i gaz, Visa, American Express, Woodward & Lothrop - uśmiechnął się na myśl o zmieszeniu Paula, kiedy odkryje, że rachunki zostały zapłacone. Paul może się domyślić, kto to uczynił, ale nigdy nie będzie w stanie tego udowodnić. Komu mogłoby na tym zależeć? Jakie prawo zostało złamane? Jakie szkody były wyrządzane...?

Karl był tak pochłonięty tą czynnością, że nie usłyszał, jak nierówny jęk kosiarki przeszedł w jednostajny jałowy pomruk i został całkowicie zaskoczony, kiedy drzwi frontowe otworzyły się.

Usłyszał dwa głosy, kobiecy i chłopięcy.

- Po prostu ustaw je tam, tak jest dobrze.

- Co zrobimy z tą gałęzią? Mogę ją odciąć z łatwością.

- Myślę, że lepiej zostawimy to specjalistom, Danny.

- Łatwo sobie z tym poradzę. Ojciec ma piłę mechaniczną Black & Decker.

- W takim razie zapytaj ojca i zobacz, co na to powie.

- O kay.

W trakcie ich rozmowy Karl przemieścił się szybko i bezszelestnie.

Nie było czasu zastanawiać się, dlaczego Joanna wróciła wcześniej, czy może nie poszła wcale do pracy. Musiał opuścić ten dom niezauważony. Jeśli tylko byłby w stanie

dostać się do jednego z pokoi na tyłach domu, mógłby wysliznąć się przez okno, opuścić się na ziemię i wyjść przez podwórko.

Schował książeczkę czekową z rachunkami do szuflady, wyszedł na korytarz w momencie, kiedy drzwi się zatrzasnęły. Za późno. Rozległy się kroki na schodach i głuchoe odgłosy obijających się kartonowych pudeł. Jeśli przejdzie górą schodów, Joanna go zobaczy. Wsunął się z powrotem do gabinetu i stanął za drzwiami. Mógł stąd obserwować korytarz aż do sypialni.

Wtedy ukazała się Joanna, niosąc jedno pudło i ciągnąc za sobą drugie. Zabrała je do sypialni i przystanęła na chwilę, łapiąc oddech. Była ubrana w szorty koloru khaki i czerwony sweter z rękawami zawiniętymi do łokci. Karl patrzył, jak rozpoczęła pakowanie ubrań, od czasu do czasu zanurzając się w szafie.

Próbował dokonać wyboru. Schody zaczynały się między dwoma tylnymi pokojami i były ograniczone poręczą. Aby uciec musiał obejść poręcz i zejść do połowy schodów, zanim znalazłby się poza zasięgiem wzroku osoby znajdującej się w sypialni. Nie miał pewności, że zdąży. Był zmuszony zaczekać, aż Joanna zejdzie na parter. Nagle pojawiła się inna możliwość. Kosiarka dostała zadyszki i stanęła. Chłopiec najwyraźniej zakończył koszenie frontowego trawnika. Karl czekał na dzwonek do drzwi. Kiedy nic się nie stało, przysunął się do okna. W pewnej chwili drewno zaskrzypiało pod jego stopą, zamarł w bezruchu. Joanna nie przerywała pakowania swoich rzeczy. Dotarł do okna i wyjrzał. Chłopiec zniknął - spróbuje więc wydostać się tędy, od frontu.

Okno było starego typu, otwierane od dołu. Kiedy zwalniał skobelek, zgrzyt metalu o metal spowodował, że aż się skrzywił, ale przynajmniej to, co dochodziło do niego z sypialni upewniło go, że Joanna wciąż jest zajęta pakowaniem. Oparł dłoń o ramę i nacisnął do góry. Nic się nie stało. Dlaczego jego brat nie mógł mieszkać w nowoczesnym domu o oknach z aluminiowymi ramami? Czy to nie jest Ameryka, gdzie wszystko jest nowe i błyszczące? Nagle usłyszał Joannę idącą w jego kierunku. Zdążył zaledwie wrócić na poprzednie miejsce pod ścianę - a ona już była w pokoju. Nie było żadnego miejsca, gdzie mógłby się ukryć.

Joanna podeszła prosto do biurka, otworzyła szufladę i wyjęła rolkę taśmy. Była odwrócona do niego plecami, ale wystarczyłby jeden pobieżny rzut oka i musiałaby go zauważyć. Zwalczył nagłą chęć przykucnięcia, skurczenia się, rozplaszczenia się na biblioteczkę, o którą był oparty. Zastygł, ledwie oddychając, pragnąc stać się niewidocznym tak, jak to już nieraz mu się przytrafiało w dzieciństwie.

Joanna zabrała taśmę i wyszła nie rzuciwszy nawet okiem w jego stronę.

Natychmiast po jej wyjściu, drzenie wstrząsnęło jego ciałem. Adrenalina oszołomiła go. Kiedy usłyszał, że Joanna jest z powrotem w sypialni, ukrył się ponownie za drzwiami i wyrzwał.

Zobaczył, jak klęczy na podłodze zaklejając taśmą pudełko. Na zewnątrz budynku, tym razem z podwórka, zabręczała kosiarka. Doskonale. Hałas przytłumi każdy dźwięk, który może spowodować próbując otworzyć to przeklęte okno. Zrobił już pierwszy krok w jego kierunku i uzmysłowił sobie, że kosiarka zagłuszy także i jej kroki, jeśli zdecyduje się odnieść taśmę do gabinetu. Nie, pomyślał, cofając się, lepiej poczekać na to, co następnie zrobi.

Obserwował ją przez wąską szczelinę w drzwiach. Okleiwszy pudło, Joanna wypchnęła je na korytarz. Oczekiwał, że zapakuje następne, ale zamiast tego podeszła do bielizniarki i próbowała wydostać coś z górnej szuflady. Nie mogąc dosięgnąć, ostrożnie stanęła na dolnej półce. Udało jej się złapać mały nylonowy worek, ale ciągnąc go w dół, poruszyła kilka pudeł, które powypadały jej na głowę.

- Cholera - zaklęła, zeskakując na podłogę.

Przetarła oko, wyraźnie próbując wyjąć coś z niego. Mrugając i potrząsając głową, wyszła do łazienki. W porządku, to była jego szansa. Kiedy usłyszał płynącą wodę, ruszył szybko w kierunku szczytu schodów. Potrzeba mu było tylko chwili, aby zejść na dół. To wszystko.

Mijając uchylone drzwi do łazienki, widział pochyloną nad umywalką Joannę.

Nie podnoś wzroku, pomyślał. W przeciwnym razie...

Podłoga zaskrzypiała, lecz szum płynącej wody zagłuszył odgłos jego kroków. Był już za drzwiami, poza zasięgiem wzroku. Miał już właśnie ominąć pudło, które Joanna pozostawiła na stopniu schodów, gdy rozległ się dzwonek telefonu.

Zrobił dwa szybkie kroki w dół schodów. Woda przestała szumieć. Zamarł. Chciał wybiec przez drzwi, lecz pamiętał, jak potwornie skrzypiały schody. Każdy gwałtowny ruch mógł zwrócić jej uwagę. Łazienka znajdowała się bliżej gabinetu, więc Joanna mogła tam odebrać telefon. Jeżeli zachowa się cicho, mogła go nie zauważyć, o ile nie wróci do sypialni.

Zrobiła dokładnie to, czego się obawiał.

Wycierając twarz, mijała właśnie drzwi do sypialni, gdy opuściła ręcznik i zobaczyła go. Podniósł głowę do góry, tak że z jej perspektywy wyglądało to tak, jakby właśnie przyjechał i wchodził na górę. Rzuciwszy na niego spojrzenie, podskoczyła, a potem wyraźnie rozluźniła się.

- Paul! Mój Boże, ty...

Ona nic nie wie, uświadomił sobie. Ona nic nie wie...

- Nie chciałem cię przestraszyć - powiedział tak cicho, jak potrafił. Graj dalej, nic nie można zrobić z wyjątkiem...

- W tym całym hałasie nie słyszałam...

I nagle zmienił się jej głos, oczy zognomniały i Karl domyślił się, że ona jednak wie. I nie tylko to, że nie jest Paulem. Wyraz jej twarzy zmienił się ponownie, jakby zmieszanie spowodowała obawa. Wiedziała, kim on jest; wiedziała, że jest Karlem.

Telefon wciąż dzwonił, gdy stali twarzą w twarz na schodach, żadne z nich nie chciało się przyznać przed drugim do tego, o czym wiedzieli. Niezdarnie, zaczęła się oszukańcza gra.

- Nie mogę zostać - powiedział Karl, wiedząc najprawdopodobniej, że to się nie uda. /

- Właśnie wróciłem po notatki...

Joanna walczyła z sobą, by się opanować. Machnęła ręką w stronę gabinetu. - Idź.

- Nie odbierzesz telefonu? >

- Możesz to zrobić.

Cofnęła się, by zrobić mu miejsce, przyciskając ramiona do ściany. Karl wchodził wolno schodami. Rozległ się wówczas cichy trzask i automatycznie włączyła się taśma: „Tu Paul i Joanna Stafford. Nie można się porozumieć z nami w tej chwili, ale jeśli zostawisz swój numer telefonu i nazwisko, zatelefonujemy do ciebie tak szybko, jak to będzie możliwe.”

Karl ledwo słyszał taśmę. Utkwił spojrzenie w oczach Joanny i starając się zachować miły wyraz twarzy, myślał: Skąd ona wie? Skąd dowiedziała się, kim on jest? Chyba, że Paul go okłamał i powiedział jej o wszystkim przed wyjazdem. A może rozmawiała z jego matką i to ona powiedziała jej o nim? A może... A może Paul właśnie uciekł i ona z nim rozmawiała?

I to mogła być przyczyna strachu w jej oczach.

Zatrzymał się na szczycie schodów. Taśma się skończyła i po sygnale dźwiękowym odezwał się głos osoby dzwoniącej...

- Mówi Shiela Burney do Joanny Stafford. Może pani wziąć klucz od naszego biura dzisiaj po południu, to znaczy w niedzielę. Dziękuję.

Joanna powiedziała głucho: - To do mnie.

Ruszyła do drzwi sypialni, ale Karl rozłożył ramiona blokując jej wejście.

- Dlaczego jesteś zdenerwowana?

- Paul... - Zabrzmiało to nienaturalnie.

- Nie. - Uśmiechnął się. - Wiesz to, prawda?

- Telefon...

Próbowała zanurkować pod jego ramieniem, lecz wysunął nogę do przodu, blokując drzwi do sypialni. Zrobiła krok w tył, patrząc na niego.

- Niech automat zarejestruje.

- Dobrze. - Uśmiechnęła się, lecz Karl uchwycił w jej oczach szybki błysk decyzji. W sekundę później pobiegła przez półpiętro do gabinetu. Ruszył za nią i złapał w chwili, gdy właśnie kładła rękę na telefonie. Przytrzymał ją za rękę, zanim wzięła słuchawkę.

- Jak na to wpadłaś? - spytał szybko. Automatyczna sekretarka wyłączyła się.

- Na co wpadłam? - wyszeptała.

Ale Karl wpatrywał się w automat... Nie przesłuchał taśmy. Teraz sięgnął i włączył przewijanie. W tym momencie Joanna wybiegła z pokoju, zatrzaskując drzwi za sobą. Karl przypuszczając, że pobiegnie na dół, podążył szybko za nią, gotów przeskoczyć balustradę i odciąć jej drogę. W istocie popędziła do sypialni i zatrasnęła drzwi, a on natychmiast zorientował się, czego tam szukała.

Wszedłszy do pokoju, zobaczył Joannę grzebiącą w nocnym stoliku w poszukiwaniu broni. W dwóch szybkich krokach dopadł ją, gdy się odwracała, trzymając rewolwer w ręce. Zarejestrował zaskoczony, że odbezpieczyła broń. Gdy chwycił rewolwer, upewnił się, że jego kciuk znalazł się między kurkiem a cylindrem. Kurek zatrasnął się na paznokciu sprawiając mu ból. Naprawdę strzeliłaby do mnie, pomyślał.

Joanna była silna, strach pompował jej adrenalinę do krwi, kiedy zmagali się po całym pokoju. Stoliczek nocny przewrócił się, kubek od kawy, butelka szkockiej i lampa rozbiły się na podłodze. Wypuściła rewolwer, wyrwała się i pobiegła do okna. Złapał ją wpół. Uderzyła go łokciem w klatkę piersiową, gdy ją podnosił do góry. W chwili, gdy ją obracał w powietrzu, jej stopa uderzyła w okno rozbijając szybę. Do pokoju wtargnęło gniewne wycie kosiarki.

Wepchnął ją do łóżka i przyłożył rewolwer do skroni.

- Natychmiast przestań. Nie zmuszaj mnie, abym cię zabił.

Zamarła. Na zewnątrz silnik kosiarki zakrzuszył się i ucichł.

- Pani Stafford? - zawołał chłopiec. - Co się stało? Wzrok Joanny przeniósł się z broni na okno. Karl pojął, o co jej chodzi.

- Jeśli powiesz cokolwiek, obydwójce umrzecie. Zawahała się.

- Popatrz na mnie - rozkazał jej Karl - zabiję najpierw ciebie, a potem jego. Nie ucieknie z tego podjazdu. Jej opór załamał się. Zagryzła wargę i skinęła głową. Chłopiec odezwał się znowu.

- Pani Stafford? Czy dobrze się pani czuje? Karl odsunął się od łóżka, stale trzymając ją na muszce. Zbliżył się do okna.

- Powiedz mu, że to był przypadek, że nic ci się nie stało. Pozbądź się go. No już, zrób to.

Wpatrując się w niego, Joanna wstała z łóżka. Odłamki szkła zazgrzytały jej pod stopami, kiedy zbliżała się do okna. Karl ustawił się tuż pod ścianą. Mógł obserwować jej twarz nie będąc widzianym z zewnątrz. Joanna obrzuciła go spojrzeniem, a potem wyjrzała z uśmiechem przez okno.

Danny podniósł głowę do góry, mrużąc oczy w świetle słońca na tle jasnego nieba.

- Co się stało?

Nabrała powietrza w płuca.

- Potknęłam się, kiedy przesuwałam pudła, Danny. Wszystko w porządku. Czy już skończyłeś?

- Czy skaleczyła się pani?

- Nie... uderzyłam w okno jednym z pudeł. Trawnik wygląda naprawdę ładnie, Danny.

- Taak, prawie skończyłem. Chce pani, aby wyrzucić rozbite szkło do kubła na śmieci?

- To byłoby doskonale.

Kiedy Karl odprowadził ją z powrotem do łóżka, szkody zostały wyrządzone. Zaczęło do niego docierać, do jakiego stopnia misja Redeye została spalona. Nie niepokoił się bardzo tym, ile Joanna wiedziała, lecz tym, jak się dowiedziała...

Ona natomiast, po pokonaniu pierwszego szoku, zaczęła przychodzić do siebie i odzyskiwać pewność siebie.

- Czego tu chcesz?

- Pozwól, że ja będę zadawał pytania. Kto powiedział ci o mnie?

Popatrzyła na broń. - Co masz zamiar zrobić?

- Mam zamiar spróbować ocalić twoje życie, tak samo jak ocaliłem życie twojego męża. Nie będę w stanie tego zrobić, jeśli odmówisz współpracy. Pytam jeszcze raz, jak dowiedziałaś się o mnie?

- Nie ocaliłeś jego życia, zrobiłeś z niego więźnia, ty...

Stężałe rysy twarzy Karla powstrzymały ją. Poczul poryw wściekłości na Otto. Nie tylko zapłacił pięć tysięcy dolarów, dostarczył także haloparimine, bardzo mocny środek uspokajający, wystarczający, aby utrzymać Paula w stanie dezorientacji i osłabiać go miesiącami. Jak to możliwe, że jego bratu udało się uciec? Niech cię diabli, Otto...

- Kiedy rozmawiałaś z nim?

Joanna spojrzała na rewolwer, potem ponownie w jego twarz, studiując ją uważnie.

- Jesteś bratem Paula. Czy naprawdę mnie zabijesz?

- Jeśli będę musiał.

Wpatrywała się w niego odrobinę dłużej, złożyła ręce i po prostu usiadła, jakby prowokując go do zrobienia najgorszego. Zdecydowała, że współpracą niczego nie osiągnie, a tylko pomnoży szansę. Oczywiście nie miała takich snów jak Paul.

Karl wiedział, że może wydobyć z niej informacje. Mógł złapać ją za szyję i wtłoczyć jej lufę do ust, sterroryzować ją, aby zaczęła mówić. Ale jako specjalista wiedział, że to niesie ze sobą ryzyko, że wyzwolą się ukryte zapasy energii, które mogą przynieść niepożądane rezultaty. Mogła wpaść w histerię, zaalarmować chłopca, albo dostać napadu szału zmuszając go do zastrzelenia jej. Mniej ryzykował w swoim domu, bezpiecznym miejscu nad Toons Creek. Czy będzie mówiła, czy nie, w żadnym wypadku nie mógł jej tutaj zostawić.

Stanął przy komodzie, otworzył szufladę i wyciągnął parę pończoch i garść rajstop. Joanna chciała zaprotestować, lecz nagle wyraz jej twarzy zmienił się, kiedy zrozumiała, że wiedział dokładnie, w której były szufladzie. Kiedy się zbliżył, odsunęła się, machnął rewolwerem.

- Twarzą na łóżko.

- Czekaj. Jeśli sobie teraz odejdziesz... Karl uśmiechnął się.

- Jeśli teraz pójde obiecujesz, że będziesz grzeczna i nie powiesz ani słowa? Proszę... - Wiedział, że było bardzo ryzykowne zabierać ją ze sobą, ale dużo bardziej niebezpiecznie było ją zostawić. Najprościej byłoby ją zabić, ale jak długo nie wiedział, jakim zagrożeniem dla niego stał się jego brat, Joanna bardziej mogła się przydać jako zakładniczka.

Na tyłach domu kosiarka obudziła się z hałasem do życia. Chłopiec musiał właśnie zakończyć zbieranie szkła. Uwolniony od konieczności zachowania ciszy, Karl wrzucił rewolwer do kieszeni, złapał Joannę za ramiona i wcisnął jej twarz w łóżko, tłumiąc jej krzyk. Usiadłszy na niej okrakiem, zrobił kłęb z pończochy i wepchnął jej do ust. Parą rajstop zakneblował dodatkowo usta. Związał ręce i stopy, po czym skrępował jej ciało w pozycji embrionu, zawiązując jej pętlę z innej pary naokoło szyi i pod kolanami aż do kostek u nóg. Kiedy zakończył, owinął ją w koc i zaniósł do garażu. Położył tobolek na podłodze, otworzył bagażnik audi i po wyłożeniu go kocem włożył ją do środka. Zamknął go i powrócił do kuchni...

Pukanie do drzwi... Chłopiec, Danny, stał na progu, zaglądając do środka, Karl wycofał się, ale było już za późno. Danny go spostrzegł. Nie pozostawało mu nic innego, jak dalszy udział w szaradzie. Wrócił do kuchni i podszedł do drzwi, w których czekał Danny.

- Hej, panie Stafford. Nie wiedziałem, że jest pan w domu.

- Przyjechałem ostatniej nocy, spałem.

- Skończyłem, nawet posprzątałem szkło...

- Doskonale - Karl zmusił się do zbadania podwórka - wygląda bardzo ładnie.

Chłopiec nie ruszył się. W końcu Karl zrozumiał, że czekał na pieniądze. Ile? Może mógłby dowiedzieć się od Danny'ego.

Karl odezwał się - Masz rozmiąć dychę?

- Nie przy sobie, ale w domu tak. Mogę... Podał mu banknot dziesięciodolarowy i zamknął drzwi. Odwróciwszy się od drzwi, dobiegł go głos Danny'ego.

- Proszę poczekać, panie Stafford. Co tam znowu?

Danny stał w progu trzymając banknot, patrząc na niego zaniepokojony.

- To jest tylko dziesięć dolarów, panie Stafford...

- Tylko dziesięć?

- Skosiłem oba trawniki.

Do diabła, ile dostają te zepsute amerykańskie dzieciaki za skoszenie trawnika? Dodał drugie dziesięć dolarów i Danny w końcu wydawał się zadowolony.

- Powiedziałem pani Stafford, że mogę ściąć tę gałąź u góry. Tylko za pięć dolców. Czy chce pan, żebym to zrobił?

- Nie, dziękuję - powiedział i zamknął drzwi, zanim Danny mógł wpaść na jakiś nowy świetny pomysł. Uważnie przeszedł przez dom, ścierając swoje odciski palców wszędzie tam, gdzie mógł je zostawić. W sypialni poprawił stolik, postawił na nim z powrotem lampę i pozostałe przedmioty, które spadły na podłogę. Idąc do studia, spostrzegł, że automatyczna sekretarka ciągle jest włączona. Cofnął taśmę do początku i przesłuchał, ale jedyna wiadomość pozostawiona była przez kobietę, która co dopiero dzwoniła. Jeżeli chce zdobyć więcej informacji na temat Paula, musi je wydobyć od Joanny.

Wrócił do garażu i otworzył bagażnik. Joanna starała się, co rzucano się w oczy, oswobodzić. Twarz miała czerwoną z wysiłku, szyję otartą od skręconych rajstop, oddychała ciężko.

- Wyjeżdżamy teraz - powiedział do niej. - Nie szarp się, proszę. Tylko się zmęczysz, a tutaj nie dociera zbyt wiele powietrza. Jazda będzie trwała czterdzieści minut, potem cię uwolnię.

Zamknął bagażnik i wsiadł do samochodu. Fotel kierowcy, tylne i boczne lusterka ustawione były doskonale. No tak, samochód Paula. W schowku znalazł elektroniczne urządzenie otwierające drzwi garażu. Kiedy skręcił w ulicę, zobaczył pół przecznicy dalej Danny'ego, minął go.

Jak tylko Danny zobaczył samochód, zamachał ręką i coś krzyknął. Nerwy Karla napięte były do ostateczności. Zamiast zatrzymać się i dowiedzieć, czego on chce, Karl uśmiechnął się po prostu, zamachał ręką i pojechał dalej. Mijając Danny'ego, zobaczył w jego dłoni banknot pięć-ciodolarowy. A więc za oba trawniki należało się piętnaście dolarów. Chłopak był uczciwy, chciał zwrócić pięć nadpłaconych dolarów. Był uczciwy i stanowił potencjalne zagrożenie.

Gdy audi nie zatrzymało się, Danny poszedł do domu Staffordów i nacisnął dzwonek. Miał zamiar zwrócić pieniądze pani Stafford, ale ta nie odzywała się. Wiedział, że jest w domu, bo jej samochód stał nadal przy krawężniku, a nie widział jej z mężem. Może właśnie rozmawia przez telefon i nie może podejść do drzwi. A może bierze kąpiel. A może - pojawiła się nagle, skryta myśl - może ma okres. Mogła się źle czuć czy coś takiego.

Zakłopotany, Danny przeszedł szybko na chodnik, głośno pogwizdując, by pokazać, że powód, dla którego stanął pod drzwiami, to nie było nic ważnego. Przyjdzie jutro zwrócić pieniądze. Pani Stafford powinna wtedy czuć się lepiej.

Rozdział 25

Na pokładzie samolotu lecącego do Waszyngtonu siedziało obok siebie trzech mężczyzn: Hugh pośrodku, Paul obok okna a Maurice od strony przejścia. Z powodu nalegań Paula usiedli w przedziale dla niepalących. W związku z tym Maurice od czasu do czasu podnosił się z fotela i szedł do tyłu samolotu, by zapalić papierosa. Nie był zadowolony. Miał wrażenie, jakby to oni byli pod opieką Paula, a nie odwrotnie. Na lotnisku odciągnął Hugh'a na stronę i zasugerował mu, że traktuje Paula jak członka zespołu, a nie jak źródło informacji, bardzo wątpliwych na dodatek.

Zamiarem Hugh'a było zbyć Maurice'a wzruszeniem ramion. Teraz był prawie przekonany, że Paul był w równym stopniu ofiarą, jak i ludzie, którzy zostali zamordowani. Podjął decyzję traktowania go jak członka grupy, czując intuicyjnie, że to jest najbardziej efektywny sposób zdobycia jego zaufania i co za tym idzie, współpracy.

- Ale nie masz nad nim kontroli - protestował Maurice - to on nas kontroluje.

- Jest bystry, ma doskonale pomysły.

- Ale nie jest jednym z nas.

Ani ja też nie jestem, miał ochotę odpowiedzieć mu Hugh. Uważał tak od czasu teherańskiego fiaska. Może dlatego czuł sympatię do Paula Stafforda. Urodzony outsider, Stafford nie czuł potrzeby należenia do jakiegokolwiek ścisłej grupy. Zachowywał się bardzo niecierpliwie w obecności urzędnika konsularnego, łysego mężczyzny z podwójnym podbródkiem o nazwisku Walsh, który dał im jasno do zrozumienia, jakimi byli natrętami, zmuszając go do zrezygnowania z wolnego niedzielnego poranka po to, aby wyciągać z więzienia jakiegoś obywatela amerykańskiego.

- Naprawdę mu ciężko bez tego drugiego kubka kawy - powiedział szeptem Paul, ale wystarczająco głośno, aby go Walsh usłyszał.

W obecności naczelnika policji w Berlinie, Walsh wymamrotał krótkie oświadczenie o tym, kto współpracuje z kim, w sprawie Paula Stafforda, o przeniesieniu prawa nadzoru, o jurysdykcji wyznaczonych instytucji i zapewnienie jego stawienia się w ciągu siedmiu dni od daty zawiadomienia... Kiedy formalności dobiegły końca, Walsh podpisał się z pół tuzina razy i zniknął. Naczelnik policji o smutnych oczach i cofniętym podbródku wręczył Paulowi srebrną plastikową torbę z wizerunkiem stojącego na tylnych łapach niedźwiedzia, symbolem Berlina. W środku była szpitalna koszula, w której pojawił się na posterunku.

- Może pan skorzystać z łazienki - powiedział policjant - aby się przebrać.

- Wypchaj się - usłyszał w odpowiedzi od Paula.

Ruszył w kierunku drzwi, ale policjant krzyknął w ślad za nim.

- Przepraszam pana, ale jeśli nie zwraca pan ubrania, które pan otrzymał przychodząc tutaj, musi pan za nie zapłacić. Paul popatrzył w dół.

- Zapłacić za to? Pan żartuje.

- Osiemdziesiąt pięć marek. Takie są przepisy.

- Masz - powiedział Hugh i wręczył Paulowi sto marek.

Kincaid poszedł po samochód. Czekając na niego na zewnątrz policyjnego budynku, Paul odwrócił twarz do słońca i zamknąwszy oczy, grzał się w jego promieniach. Po ulicach wirowały strzępki gazet gnane porywistymi podmuchami rzeńskiego wiatru, który przypinał fasadom domów łatki cienia rzucanego przez pojedyncze chmury, popychane przez niego po niebie. Patrząc na niego, Hugh mógł sobie wyobrazić wzmożoną reakcję jego skóry na słońce i wiatr, które tak długo były dla niego niedostępne.

- Czego, chłopcy, dowiedzieliście się o Lishu? - zapytał Paul nie otwierając powiek.

- Nie był jednym z naszych - powiedział Maurice. - Nie, chyba, że jest jednym z tych nowych, których jeszcze nie wciągnęli do komputera.

- Sprawdziliście armię?

- Ich kartoteki wskazują na dwie osoby o nazwisku Lish, jeden jest za granicą, drugi stacjonuje w Camp Pendleton w Kalifornii. Żaden nie ma na imię George i nie ma nikogo o tym nazwisku na Wojskowym Terminalu Morskim. Najbardziej zbliżone nazwisko osoby personelu brzmi Litz - LIT Z. Może wyglądało ono podobnie w twoim śnie?

Paul otworzył oczy i odwrócił twarz od słońca.

- Nic nie wygląda w moich snach. Ja to wszystko po prostu wiem.

- Sprawdzamy Mr. Litza - powiedział Hugh - chcemy się upewnić.

- Myślicie, że chodziło mu o ładunek.

- O coś mu chodziło.

To był dobry pomysł, zdecydował Hugh. Odwrócił się do Maurice'a.

- Zażądałeś transportu z Dulles?

- Zatelefonuję z lotniska. Jeśli dojedziemy na czas.

- Robiąc to, poproś o Audrey'a, każ mu znaleźć listy przewozowe armii. Wszystkiego, co tam było w dniu odwiedzin Karla.

- I wszystkiego, co przeszło tamtędy od tego czasu - dodał Paul.

- Doskonale - zgodził się Hugh. - Wszystko pracuje...

Tak spędzili cały dzień. Paul działał jako członek zespołu, Hugh całkowicie go w tym popierał a Maurice bez sukcesu próbował utrzymać - jakieś granice między nimi. Teraz, lecąc na wysokości trzydziestu sześciu tysięcy stóp nad północnym Atlantykiem, gdy Maurice poszedł do tyłu wypalić papierosa, Hugh opuścił stoliczek na tackę i wyciągnął notes z ołówkiem.

- Powtórzmy to, co wiemy - powiedział do Paula. - Karl Alexander jest agentem Stasi. Oficjalnie jest instruktorem samoobrony, jednak głównym jego zadaniem jest mordowanie na zlecenie. Znalazłeś i spaliłeś go. A co on uczynił? Nie zabił ciebie, pomimo, że dzięki tobie wszystkie okoliczności mu sprzyjały. Zamiast tego, uwięził cię. Wiemy, że nie rozczuła się nad zabitą przez siebie ofiarą, więc, albo nie stanowisz dla niego zagrożenia - w co wątpię - albo nie chciał zabić własnego brata. A ty, co myślisz?

- Myślę, że czuł związek... ze mną, z moim życiem...

- Mógłbyś to sprecyzować?

- To zależy - powiedział Paul - założmy, że będę z wami współpracował i pomogę wam go znaleźć. Co wtedy?

- No cóż, jeśli masz rację w sprawie Lisha i on go zabił w Ameryce, możemy postawić go w stan oskarżenia za morderstwo.

- Albo wpakować kulę w łeb.

- Ach - powiedział Hugh - ty też czujesz więzy. Myślisz, że mamy zamiar zabić twojego brata?

Paul patrzył wprost przed siebie. - A macie?

Hugh, zanim udzielił odpowiedzi, rzucił okiem do tyłu, chcąc się upewnić czy Maurice ciągle jest w ogonie samolotu.

Następnie odezwał się tonem bardziej poufałym.

- Nie będę ci mówił, że nigdy nie rozważaliśmy możliwości zabicia Karla Alexandra, ale to nie należy do mnie. Moim zadaniem jest zidentyfikowanie i odszukanie go. Mogę spróbować go złapać. Nie jestem upoważniony do wykonania egzekucji. - Nie powiedział, że nie nadawał się do zabijania ludzi... - Ale chcę go złapać żywego i chcę, abyś mi w tym pomógł.

- A jeśli nie będziesz w stanie go złapać?

- Wtedy należy do Maurice'a - powiedział cicho Hugh.

Paul oczekiwał czegoś takiego. Popatrzył się do tyłu samolotu. Maurice stał oparty plecami o klapę wyjścia awaryjnego. Tuż przy jego twarzy żarzył się papieros a oczy skierowane były na stewardesę, zajętą przygotowywaniem wózek obsługoego z żywnością. Paul z łatwością mógł sobie wyobrazić, że Maurice jest zdolny do popełnienia zabójstwa i nie czuć z tego powodu wyrzutów sumienia. Należało to do zakresu jego obowiązków. Teraz rozumiał, dlaczego tych dwóch pracowało razem. Maurice był zbyt zimny, odstręczający, chcąc zdobyć zaufanie, czy uzyskać informację od kogokolwiek. Nie miałby za to problemów z przystawieniem broni do głowy człowieka i pociągnięciem za cyngiel.

Hugh powiedział, że specjalnie wybrał sektor dla niepalących. Maurice nie mógł się obejść bez papierosa, tak więc mieli szansę porozmawiać na osobności.

- Chcę pochwycić Karla, twojego brata, żywego. Tego samego chce doktor Helms. Jeśli wyrazisz chęć współpracy z nami...

- Rozmawiałeś z nią? Z Annie?

- Ostatniej nocy. Jest całkiem podniecona. Chciała poddać cię hipnozie zaraz po wylądowaniu, ale powiedziałem jej, żeby zostawiła cię samego do jutra. W każdym razie, jeśli będziesz współpracował, troje nas da radę czwartemu i uratujemy życie twojego brata...

Paul popatrzył na niego. - Dlaczego ty? Wiem, że Annie wzdycha do tego, aby być nową Madame Curie, ale dlaczego tobie miałyby zależeć na uratowaniu jego życia?

Hugh zawahał się. - No dobra. Powiem ci wszystko. To jest moje ostatnie zadanie w terenie. Chcę się nim zająć aż do końca. Oprócz tego, przyznaję się, ta cała telepatia diabelnie mnie intryguje i chcę zobaczyć, jak robisz te sztuczki - no wiesz, z przewidywaniem, jak wiele bananów trzyma twój brat za plecami.

Paul się skrzywił.

- Mówię poważnie, naprawdę - powiedział Hugh - ten twój brat to śliska ryba, ale za to jaki połów. Chciałbym złapać go żywego. Co powiesz na to?

Paul z reguły nie mylił się w ocenie ludzi, tym razem jego instynkt podpowiadał mu, że może zaufać Hugh'owi. Ale nawet w przypadku pomyłki w ocenie, czy miał jakiś inny wybór? Wszystko, co mógł zyskać nie współpracując, to jednego więcej, wrogo do siebie nastawionego agenta CIA... Tak więc przeszedł do wyjaśniania Roarkowi życiorysu Karla, jego wychowania u Tante Inge, obwiniania Paula za wyjazd do Ameryki.

- Był bardzo ciekawy szczegółów z mojego życia - powiedział Paul - gapił się na mnie i zadawał pytania. W pewnym momencie miałem wrażenie, że patrzy na mnie i widzi osobę, którą on miał być. Może to zabrzmiało idiotycznie, ale myślę, że on uważa, jakoby ukradł mu jego życie. Wciąż powtarzał, co by się stało, gdyby wszystko potoczyło się na odwrót. Myślę, że ponieważ to właśnie ja byłem tym, który wylądował w szpitalu, on obwinia mnie o to, co się stało.

- To jak obarczać winą piec za to, że przypalił się rosół.

Powrót Maurice'a przerwał ich rozmowę i Paul poświęcił swoją uwagę nowojorskiemu Timesowi. W ramce, u dołu strony podano informację, że ojciec prezydenta miał atak serca. Prezydent powracał tego wieczora, po złożeniu ojcu wizyty. Paul dowiadywał się o tym po raz pierwszy. Czytając notatkę zorientował się, jak bardzo stracił kontakt ze światem w ciągu tych zaledwie paru tygodni.

Druk zaczął być niewyraźny, poczuł się senny. Napięcie ostatnich dni wreszcie dało o sobie znać, a szum powietrza na zewnątrz kadłuba przytępił jego zmysły. Nie zwracając uwagi na agentów CIA, oparł poduszkę o okienko i zapadł w drzemkę...

Śniła mu się Joanna. Była zamknięta w pokoju, do którego on miał klucz, ale pomimo jego wysiłków, drzwi nie chciały ustąpić. Poczuł, jak bardzo jest rozgorączkowany w przekonaniu, że ona znajduje się w niebezpieczeństwie. Dziwna logika snu podpowiadała mu, że posiada właściwy klucz. Ale drzwi nie dały się otworzyć. W końcu uświadomił sobie, że ciągnie drzwi do siebie, podczas gdy one otwierają się do wewnątrz. Pchnął do przodu. Całe drzwi wypadły, razem z zawiasami i resztą, znalazł się pod niebem z chmurami. Olbrzymi

odrzutowiec pasażerski nurkował w jego kierunku, wyrwawszy się spod kontroli. Jedno skrzydło było przechylone do ziemi, kadłub płonął...

Zbudził się z przestrawieniem. W przyćmionym świetle nie mógł sobie przypomnieć przez chwilę, gdzie jest. Cień, rzucony przez światło w kabinie, budził zabobonny lęk. Właśnie trwała projekcja filmu pokładowego. Niemal wszystkie okienka zostały zasłonięte. Roark odwrócił się do niego, zsuwając słuchawki na szyję.

- Wszystko w porządku?

Paul pokiwał głową z roztargnieniem, wyciągnął rękę i nacisnął przycisk sygnalizacyjny.

- Miałeś następny koszmar?

- Nie w tym samym rodzaju. Ten nie dotyczył śmierci.

Opisał go pokrótce, w trakcie drzemki Maurice'a. Dzięki temu wstrząs spowodowany przez sen stał się mniej przerażający. Teraz wyglądał bardziej normalnie. Tak jakby bieżąca sytuacja, kłopoty, obawy, wszystko pomieszało się razem w surrealistyczny galimatias faktów i fikcji. Myślał o Joannie będąc na pokładzie samolotu... Te dwa elementy połączyły się w sen, normalny sen, należący do niego, a nie będący refleksem tego, co działo się z Karlem.

Hugh zgodził się. - Wiele czynników powoduje sny. Stres, obawy, napięcie nerwowe. Moja żona ma sny za każdym razem, kiedy wyjeżdżam. Nic dziwnego. W połowie przypadków nie mogę jej powiedzieć gdzie jestem, co robię, kiedy wrócę.

Pojawiła się stewardesa. Paul zapytał, czy na pokładzie znajduje się telefon. Tak, ale byli poza zasięgiem. Paul rzucił okiem na zegarek. W Waszyngtonie była prawie pora na lunch.

Obok niego Hugh otworzył swój portfel, wyjął wizytówkę i podał ją Paulowi, tak że ten mógł ją obejrzeć. - Byłeś kiedyś w tym miejscu?

Na wizytówce było zdjęcie imponującej kamiennej budowli nad jeziorem. Można było zobaczyć kort tenisowy i fragment terenów golfowych. Odnosiło się wrażenie, jakby zamek średniowieczny został otoczony terenami klubu towarzyskiego. Linijka u dołu informowała „Marquand Manor House”. To tak, jakby nazwać Taj Mahal przytulnym domkiem letniskowym, pomyślał Paul.

- To jest jezioro Champlain - powiedział do niego Hugh. - Cudowny widok, zwłaszcza pokoje, które kończą się na „14” - 214, 314, 414 i w górę. Jeździmy tam razem z żoną co roku i spędzamy razem trzy dni. Kierownik, Dave Pellston, jest naszym starym przyjacielem. Jego nazwisko jest na odwrocie.

Hugh odwrócił kartkę, tak że Paul mógł przeczytać nazwisko. Paul kiwnął głową uprzejmie i opadł z powrotem na fotel. Po śnie pozostało w nim szczątkowe uczucie, z którego nie był w stanie się całkowicie otrząsnąć. Stopniowo jego uwagę przykuwały słowa wypowiedane przez Hugh'a...

- Nikt nie studiował, jaki jest procent rozwiedzionych małżeństw w Firmie - ciągnął Hugh - ale podejrzewam, że jest sporo ponad przeciętny. To dlatego Helen i ja zaczęliśmy robić sobie coroczny miesiąc miodowy. To była szansa na odnowienie związków małżeńskich, no tego wszystkiego. Nawet przestrzegamy pewnego prawa, będąc tam. Mówimy sobie tylko prawdę.

Słuchawki w dalszym ciągu wisały na jego szyi. Paul mógł słyszeć ścieżkę dźwiękową filmu, piszczącą i słabą, jak gadanie karzełek.

- Mamy pewien ustalony porządek. Śniadanie w łóżku, obsługa do pokoju, jajka gotowane bez skorupki i szampan na rozpoczęcie dnia. Miła tradycja. Mógłbyś może spróbować. Ty i twoja żona...

Paul popatrzył na niego ostro, przypominając sobie, w jaki sposób Hugh stał się uczestnikiem rozmów z Joanną.

- To tylko propozycja - wyszeptał Hugh.

Po raz pierwszy Paul zobaczył w nim ludzką istotę, a nie tylko agenta CIA. Dostrzegł drobnutki, popękane naczynie krwionośne, skupione na skrzydełkach nosa, zmianę koloru skóry w miejscu, skąd zniknęły mu włosy, rozpoznał głęboki cynizm odbity w bladobrazowych oczach.

Paul wziął wizytówkę i wsunął ją do kieszeni.

- Jak, do diabła - powiedział - trafiłeś do CIA?

- Swego czasu to była najlepsza robota pod słońcem.

- Tak, w czasie drugiej wojny.

- I po niej.

- A co potem?

Hugh przypatrzył się mu uważnie, czy jest naprawdę zainteresowany i zdecydował się powiedzieć. Pozostało im jeszcze trzy godziny do Waszyngtonu. Czas minął im szybko.

Skrepowana w bagażniku, Joanna próbowała opanować lęk i pojąć to, co się stało. Knebel wrzynał się w kąciki jej ust, była odrętwiała od leżenia z kolanami przywiązanymi do klatki piersiowej, policzek leżał na zwiniętym kocu. Gorące powietrze było gęste, stęchłe. Leżenie w bezruchu, ciemność i klaustrofobia były dla niej gorsze, niż wycelowany rewolwer.

Bojąc się, że ucierpi jeszcze bardziej, próbując się opierać, leżała spokojnie, starając się zebrać myśli.

Dlaczego to zrobił? Szukała w pamięci wszystkiego, co usłyszała od Paula o jego bracie. Powiedział, że Karl jest zabójcą na usługach obcego rządu. Czy nie oznaczało to, że zabijał tylko wtedy, kiedy miał wyznaczone zadanie? Nie miał powodów, aby ją krzywdzić. Przypomniała sobie jednakże wyraz jego oczu, kiedy groził, że zabije ją i Danny'ego oraz sposób, w jaki ją potraktował natychmiast po tym, jak w warkocie kosiarki utonęły wszystkie inne dźwięki.

Zobaczyła ponownie, jak bez wahania skierował się w stronę szuflady z jej bielizną. Wiedział, która to była. Wniosek był oczywisty - był już w jej sypialni. Był tam dzisiaj, czy już wcześniej? Miał klucze Paula, a więc mógł przyjść, kiedy tylko chciał, nawet w czasie gdy spała, gdy była w domu. Na myśl o Karlu wchodzącym w nocy i stojącym w jej pokoju w czasie jej snu, zrobiło jej się niedobrze. W myśli przeszukała wydarzenia ostatnich kilku tygodni próbując sobie przypomnieć, czy zaginął jej jakiś biustonosz czy majteczki. Nic specjalnego nie przyszło jej do głowy.

Wiedziała, że wjechali na autostradę, ponieważ samochód przyspieszył i nie zatrzymywali się więcej na światłach. Próbowwała zapamiętać czas jazdy w każdym kierunku, w jakim jechali oraz w którą stronę skręcali, ale szybko wszystko jej się pomieszało. Teraz, kiedy opuścili miasto, Joanna odczuła tobół, leżący na podłodze, który przylegał do jej bioder. Próbowwała przesunąć ciężar, ale za każdym ruchem więzy zaciskały się mocniej.

Nagle, bez ostrzeżenia, audi przyhamowało i pochyliło się w lewą stronę. Joanna została wyrzucona do przodu na metalowe ramy z tylnego siedzenia. Pisk opon pojazdu zbliżającego się od tyłu stawał się coraz głośniejszy, tuż za nią rozległ się dźwięk syreny powietrznej. Był już tak blisko, że cały bagażnik wpadł w rezonans. Joanna przygotowała się na zderzenie, przekonana, że nieuchronnie nadchodzi. Zamiast tego, samochód zakręcił z powrotem na prawe pasmo i dodał gazu, zostawiając z tyłu dźwięk rozgniewanego klaksonu ciężarówki.

Serce waliło jej jak młotem, czoło bolało w miejscu, gdzie uderzyła nim o przednią ściankę bagażnika. Dwa tygodnie temu chciała skończyć z sobą, lecz znalazła w sobie wolę, aby żyć dalej. Teraz, na to wygląda, miała zostać zabita w idiotycznym wypadku na autostradzie, zmiażdżona w bagażniku swojego własnego samochodu. Stanie się to tak, albo Karl ją zabije i porzuci trupa na poboczu autostrady, lub też gdzieś na jakimś pustym polu.

Jej głowa wciąż była przyciśnięta do tylnego siedzenia. Zmieniła pozycję, coś uszczypnęło ją w mały palec u lewej ręki. W chwilę później rozpoznała przedmiot, to był

kapsel od butelki, pozostałość po pikniku lub wakacjach, na które pojechali razem z Pauliem w dawnych, bezpieczniejszych czasach. Zaciśnęła ją w dłoni jak starego, dobrego przyjaciela.

Zjechali z głównej drogi. Im dalej jechali, tym bardziej była przekonana, że Karl ma zamiar ją zabić. Stłumiony odgłos przejeżdżającego pociągu udzielił jej wskazówki, że posuwają się wzdłuż torów linii kolejowej Amtrak, ale Joanna była zbyt załamana, aby dalej spekulować na temat kierunku ich podróży.

Gdyby tylko miała nóż, kawałek szkła albo...

Kapsel od butelki. Czuła w palcach ostre krawędzie. To mogło wystarczyć, aby przeciąć rajstopy, jeśli tylko uda jej się odpowiednio ułożyć. Obróciła go w palcach i zaczęła naciągać więzy. Miała ograniczony zakres ruchów palców prawej ręki i nie była w stanie powiedzieć czy to odnosi jakikolwiek skutek.

Nagle samochód zwolnił i zatrzymał się, po czym Karl wysiadł. Joanna próbowała z wysiłkiem wsunąć kapsel do tylnej kieszeni, zanim otworzy się bagażnik. Kapsel stał się czarodziejskim zaklęciem. Tak długo, jak go będzie mieć, jest bezpieczna. Wciąż próbowała dosięgnąć kieszeni, kiedy Karl wsiadł z powrotem do samochodu, podjechał i zatrzymał się.

W chwili, gdy udało jej się umieścić kapsel w kieszeni, usłyszała, jak ponownie opuszcza samochód. Z zewnątrz samochodu doszedł ją tępy metalowy odgłos. Chwilę później samochód przetoczył się powoli na kołach i Karl wyłączył stacyjkę. Miała się dowiedzieć, czy zamierza ją zabić.

Dźwięk wsuwanego w zamek kluczyka był wzmocniony przez ograniczone rozmiary pomieszczenia. Stężała. Kłapa bagażnika uniosła się do góry, musiała zmrużyć oczy w świetle dnia. Karl stał nad nią z nożem w ręce. Zrobiła szybki wdech i zeszywniała, gdy pochylił się nad nią.

- Nie bój się - powiedział - mam zamiar przeciąć więzy.

Jego głos brzmiał przyjaźnie. Nóż wsunął się jej za szyję, wzdrygnęła się. Nastąpiło ostre szarpnięcie i knebel rozluźnił się. Pchając językiem, Joanna wypuła z ust przesiąkniętą śliną pończochę. Usta miała otarte i zeszywniałe szczęki; poruszała nimi przez moment. Karl poprzecinał pozostałe więzy i pomógł jej wyjść z bagażnika.

- Przykro mi, że musiałaś podróżować w ten sposób - powiedział - ale nie było czasu na wyjaśnienia. Nie mogłem sobie pozwolić na to, abyś stawiała opór.

Mówił tak przyjaźnie, tak bardzo przypominał Paula...

Stali przed dużym odosobnionym domem wiejskim, który usytuowany był na zboczu niewysokiego pagórka otoczonego lasem. Po jednej stronie była stajnia, a za nią zagroda porośnięta chwastami. Nie widać było innych domów, odgłosy ludzi nie zakłócały

jednostajnego brzęczenia cykad czy, od czasu do czasu, nawoływań drozda. Zrobiła głęboki wdech. Ciepłe powietrze chłodziło jej wilgotną skórę. To było wiejskie powietrze, znajome z dzieciństwa, oszołomiło ją słodyczą i świeżością. Pozwoliła sobie na odrobinę nowej nadziei. Może Karl nie zamierzał wyrządzić jej żadnej krzywdy...

Wtedy zobaczyła rewolwer. Karl wyjął go z kieszeni kurtki i zrobił krok do tyłu.

- Zaczekaj... - Joanna straciła oddech.

Uśmiechnął się. Ten pociągający uśmiech, zupełnie jak Paula.

- Nie obawiaj się. - Lufa broni zatoczyła koło i wycelowwała w niebo. Karl pociągnął za cyngiel, ostry trzask rozległ się echem po okolicznych pagórkach.

Mówiąc wciąż przyjemnym tonem, powiedział: - Teraz wiesz, że jesteśmy sami, a ja wiem, że rewolwer działa. Nikt nie przyjdzie ci z pomocą, jeśli spróbujesz uciec.

Wrzucił rewolwer do kieszeni kurtki i ruszył w kierunku domu, skinąwszy przy tym głową. Jeszcze jeden gest, który upodabniał go do Paula.

- Proszę - powiedział - powinnaś być moim gościem raczej niż więźniem.

Zaprowadził ją do kuchni. Było to przyjemne miejsce urządzone w wiejskim stylu, z wykończonymi w kolorze żółtym oknami, z zasłonami w niebieską kratę. Wzór był powtórzony na serwecie leżącej na stole. Kuchnia wyposażona była w głęboki, podwójny zlew, wyłożony laminatem kontuar i żelazny piec. Nad piecem wisiał rząd rondli o miedzianych spodach.

- Masz ochotę się napić? Mam ginger ale, root bier.

- Wystarczy woda.

- Może wino?

- Tylko woda.

Wyjął dwie szklanki z kredensu i napełnił je wodą z kranu. Był odwrócony do niej plecami. Rzuciła ukradkiem spojrzenie w kierunku drzwi, zastanawiając się, czy są zamknięte, próbując ocenić, czy jest w stanie prześcignąć go w biegu do miejsca, gdzie zaczynały się drzewa.

- Proszę cię, nie próbuj uciekać - powiedział Karl nie odwracając się.

Gapiała się na niego z podziwem. Wrócił do stołu niosąc szklanki z wodą, śmiejąc się z jej zmieszania.

- Twoje odbicie jest bardzo wyraźne w czajniku - powiedział wskazując błyszczące, chromowane naczynie obok zlewu.

Znowu jego zachowanie przywodziło na myśl osobę Paula, niedoskonałą, jakby zniekształconą przez wadliwą płytę szkła. Paul także był niezwykle czujny i wiedział o

wszystkim, co się naokoło niego działo, ale tam gdzie Paul okazywał swoje zainteresowanie otwarcie, Karl starał się je ukryć, tak jak rewolwer, który nosił w kieszeni.

Karl przyglądał się jej z zainteresowaniem. - Naprawdę nie miałem ochoty się z tobą spotkać dziś rano. Jeśli wiedziałbym, że nie pójdziesz do pracy, nigdy bym nie przyszedł.

- Dlaczego przyszedłeś?

- Do domu?

Joanna skinęła głową. Pytanie spowodowało ledwo dostrzegalną zmianę w zachowaniu Karla. Uśmiech na twarzy stwardniał nieco. Rozpoznała sposób zachowania Paula, obronę przed pytaniami, na które musiał udzielać niewygodnych dla niego odpowiedzi.

- Przypuszczam - powiedział powoli - że w grę wchodzi tutaj ciekawość. Byłem ciekawy, jak mogłoby wyglądać moje życie, gdyby to Paul miał silniejszy organizm, a ja słabszy.

- Mocniejszy organizm? Co masz na myśli?

- Nie powiedział ci?

Joanna potrząsnęła głową. - Nie było czasu.

- W takim razie nie widziałaś się z nim?

- Nie, ja...

Wpatrywał się w nią intensywnie, czekając na odpowiedź. Kiedy przerwała w połowie zdania, uśmiechnął się.

- Rozmawiał z nim przez telefon - wywnioskował Karl - to znaczy, że w dalszym ciągu jest w Berlinie.

Okazane przez niego samozadowolenie rozzłościło ją. - Jest w więzieniu - powiedziała - wszystko przez ciebie.

- W więzieniu?

- Za przejechanie policjanta.

- Oczywiście - powiedział - oskarżają jego...

- Za coś, co ty zrobiłeś.

- Sprawiedliwość losu, tak można by chyba to określić. Paul kłamał, mówiąc, że przybywa do Berlina sam. Powiedział, że Centralna Agencja Wywiadowcza nic nie wie o moim istnieniu. Jednakże, kiedy zjawiłem się w hotelu, ludzie z CIA czekali na mnie, próbowali mnie ująć.

- Masz na wszystko odpowiedź, zupełnie tak jak on.

Brwi Karla powędrowały do góry ze zdziwienia. Tym razem jego uśmiech był szczery. - Myślisz, że jesteśmy tacy sami? Nawet pomijając wygląd zewnętrzny? Pozwól, że

zadam ci pytanie: czy poznałabyś, że to ja stałem na schodach, gdybyś nie rozmawiała wcześniej z Paulem?

- Oczywiście.

- Po czym? W jaki sposób rozpoznałabyś, że to nie on? Pochylił się do przodu wpatrzony w nią uważnie.

- Paul nie jest potworem.

- Potworem? Co masz na myśli?

- Nigdy by czegoś takiego mi nie zrobił, jak ty, na łóżku. Nigdy nie wrzuciłby mnie do bagażnika samochodu.

Karl zbył to wzruszeniem ramion. - Ale na schodach, czy siedząc przy stole, tak jak teraz, na przeciw siebie, czy rozpoznałabyś?

Przyjrzała mu się uważnie. Kim był ten człowiek i do czego zmierzał?

- Może nie w pierwszych kilku minutach - powiedziała wolno - ale po chwili...

- Co w takim razie?

- Paul potrafi być delikatny - odpowiedziała. Patrzył na nią z wyrazem, który dla Joanny był mieszaniną zdumienia i goryczy.

- W takim razie świat nie jest miejscem dla delikatnych - powiedział sztywno. - Gdybyś to wiedziała, nie byłoby ciebie tutaj, a Paul nie byłby tam, gdzie jest. Delikatność? Jest tam, gdzie jest chroniona przez siłę i odwagę. Jesteś szczęśliwa, ludzie czują do ciebie sympatię, bo jesteś chroniona przez innych, ale kiedy ochrona znika, wtedy dostajesz lekcję.

Przerwał nagle, zerwał się na nogi. - Nie jadłem śniadania - zakomunikował. - Mam tutaj ser i jajka ugotowane na twardo. Masz ochotę na coś?

- Nie, dziękuję - powiedziała Joanna.

Wciąż myślała o jego wybuchu. Jedno było pewne: czekał na jej reakcję na jego widok i na porównanie jego osoby z Paulem. Joanna zadała pytanie: - Dlaczego przywiozłeś mnie tutaj?

- Abyś nie zgłosiła się na policję. Moja obecność w Waszyngtonie jest tajemnicą.

- Dlaczego?

- Jeśli bym ci to powiedział, twoje życie byłoby w niebezpieczeństwie.

- Przez ciebie?

- Może.

Zaczął kroić ser. Zdecydowała się rzucić mu wyzwanie.

- Paul powiedział, że jesteś mordercą na usługach obcego rządu. Czy to prawda?

Przerwał. Skierował na nią spojrzenie swoich szarych oczu, oceniał ją w milczeniu.

- Czasami - rzadko - zabijanie należy do moich obowiązków.

- Tak jak teraz...?

- Nie - powiedział z zadowolonym uśmiechem - to dlatego przywiozłem cię tutaj.

Ale ona rozpoznała w jego uśmiechu Paula. Ukrywał kłamstwo. Teraz była przekonana, że o ile nie wydostanie się stąd samodzielnie, umrze w tym domu.

Zaskakujące - uświadomienie sobie tego miało zimny, uspokajający efekt. Nie była już tak przerażona, jak w bagażniku samochodu. Ujawnił coś na temat własnej osoby - nie było to wystarczające, nic, co mogłaby wykorzystać, ale przestał już być tak bardzo nieznanym zjawiskiem jak uprzednio. Czuła, że ma pewną przewagę: mogła czytać w jego twarzy lepiej, niż on w jej. Żyjąc z Paulem, nauczyła się subtelnej sztuki oddzielania prawdy od ochronnych pół prawd i umyślnych podstępów, które narastały jak bluszcz na niewidocznych ścianach ich małżeństwa. Znam cię lepiej, aniżeli ty znasz mnie, myślała, patrząc na Karla, który właśnie kroił ser na kontuarze. Wiedziała, kiedy jej zachowanie wywierało największy skutek w stosunkach z Paulem, a kiedy nie. Zastanawiała się, czy Karl miał te same słabości. Jeśli tak...

Wstała i podeszła do niego. - Zaczekaj. Pozwól, że ci pomogę.

Odwrócił się, z nożem w ręce, wpatrzył się w nią. Powoli uśmiech rozluźnił rysy jego twarzy. Podał jej trzonek noża. - Czy mogłabyś pokroić szynkę?

Joanna zawahała się. Nagle zrozumiała, że oczekiwał od niej, że weźmie go od niego.

- Wiesz co - powiedziała swobodnie. -: Może zrobię świeżej kawy? Masz trochę?

- Jest tam - wskazał na kredens.

Joanna czuła na sobie jego oczy, kiedy przeszła przez kuchnię. W porządku, pomyślała. To jest początek. Zabawa w kotka i myszkę. Zabawa w myszkę i kotka. Jej ocalenie zależało od tego, kto odgrywał jaką rolę.

Rozdział 26

CIA wysłało po nich samochód na międzynarodowe lotnisko Dullesa. Kierowca podał Hugh'owi walizeczkę, zabezpieczoną zamkiem szyfrowym.

- Audrey mówi, że to są najświeższe dane - powiedział. - Nie musisz się meldować aż do jutra.

- To diablo uprzejmie z jego strony - powiedział Maurice. - Musiał awansować od czasu naszego wyjazdu.

Hugh zaproponował Paulowi, że go podwiezie. Walizkę otworzył dopiero wtedy, kiedy wsiedli do samochodu. Zawierała wydruk komputerowy listów przewozowych wszystkiego, co przewinęło się przez Morski Terminal Załadunkowy w Bayonne. Cała trójka, nie wyłączając Paula, studiowała informacje, przeglądając wydruk tam i z powrotem. Większość towarów przekazana w ciągu ostatnich dziesięciu dni to były artykuły gospodarstwa domowego należące do oficerów jadących za granicę. Był jeden transport pasów wojskowych i getrów oraz mnóstwo zapasów żywności dla marynarki: makaron w puszkach o pojemności jednego galona, pięcioletnie kartony z płatkami śniadaniowymi, konserwy z jajkami w proszku...

- Tylko się na to popatrz - powiedział Maurice z niesmakiem w głosie. - Mleko w proszku, jajka w proszku, lody w proszku...

- Co powiecie na to? - odezwał się Paul, wskazując na dwa transporty określone jako „Ładunek zastrzeżony”.

- Co masz na myśli?

- Czy możemy dowiedzieć się, co w nich było? Hugh kiwnął głową. - Zażądamy tego w poniedziałek.

- Dlaczego nie dzisiaj?

- To nie jest informacja pierwszorzędnej wagi, a mamy przecież niedzielę - przypomniał mu Hugh. - Wszyscy, którzy mogliby być uchwytani, pracują w ochronie spotkania przedstawicieli mocarstw na szczycie. /

Uwaga na temat spotkania na szczycie przypomniawszy Paulowi, jak długo był nieobecny. Narkotyki całkowicie pozbawiły go poczucia czasu. Spotkanie na szczycie, wciąż odległe o kilka tygodni, kiedy odlatywał do Berlina, miało się rozpocząć już jutro. Nie wiedział nawet, że ojciec Prezydenta był w szpitalu, dopóki nie przeczytał gazety na pokładzie samolotu.

W miarę jak zbliżali się do autostrady 124, Paul przygotowywał się do udzielenia kierowcy instrukcji skrętu w prawo, kiedy Maurice pochylił się do przodu i wydał odpowiednie dyspozycje.

Paul uśmiechnął się ponuro. - Rozumiem, że znacie najkrótszą drogę do miejsca, gdzie mieszkam.

- Wiemy, gdzie mieszkasz - powiedział Maurice.

- A także, bez wątpienia, jakie jest moje konto w banku.

- Oficjalnie, nie.

Paul powstrzymał się od dalszych uwag na temat działalności Mauri-ce'a, trudnej do zaakceptowania. Po tym, co usłyszał od Hugh'a, było mu trudno być uprzejmym wobec Maurice'a, ale nie chciał zdradzić zaufania, jakim obdarzył go Hugh.

Kiedy zatrzymali się przed domem, zobaczyli, że drzwi do garażu są otwarte, a alfa romeo Joanny stoi przy krawężniku. Paul pomyślał w pierwszej chwili, że rozrusznik w alfie znowu ma swoje humory. Potem przypomniał sobie, że Jo się wyprowadza i prawdopodobnie potrzebny jej był większy samochód do transportu.

Zanim Paul wysiadł z samochodu, Hugh wręczył mu własny numer telefonu. - Na wypadek, gdyby coś się stało - powiedział.

Rozważając wszystko, co usłyszał od niego, Paul podejrzewał, że miał on na myśli zarówno pogodzenie się z Joanną, jak i odnalezienie Karla.

Idąc w kierunku domu, zauważył, że dopiero co został skoszony trawnik. Była niedziela. Danny McYey był tutaj, Joanna przestrzegала codziennych, rutynowych czynności. W przeszłości irytowało go przywiązanie sąsiadów do wypielęgowanych trawników i nawoskowanych BMW. Dzisiaj działało to na niego uspokajająco. Dobrze było być znowu w domu.

Sięgnął po lampę na ganku, szukając zapasowych kluczy. Nie było ich tam. Sprawdził na ziemi, pod lampą. Czy Jo zapomniała ich zostawić? Obawa, którą poczuł po raz pierwszy w samolocie, odezwała się na nowo. Wtedy pomyślał: to dlatego Jo zostawiła drzwi garażu otwarte, tamtędy mógł dostać się do kuchni. Może nie mogła odnaleźć kluczy?

Wszedł do domu od strony garażu, podświadomie oczekiwał notatki pozostawionej na stole. Nic nie znalazł. Zawołał Joannę po imieniu. Nie było odpowiedzi, zresztą jej nie oczekiwał. Dom był pusty.

Widok pustych pudeł w korytarzu po raz pierwszy uświadomił mu, że Joanna opuszcza go. Poszedł na pierwsze piętro. Znalazł jedno puste pudło na korytarzu i drugie, wypełnione do połowy w sypialni. Było wgniecione z boku, tak jakby ktoś na nie nadepnął. Wtedy zobaczył rozbitą szybę w oknie. Zbliżył się do niego powoli. Z odłamków szkła, które wciąż tkwiły w ramie okiennej, wywnioskował, że okno zostało stłuczone od wewnątrz. Cóż u diabła...?

Kiedy zbliżał się do okna, aby wyjrzeć na zewnątrz, rozbite szkło zachrząściło pod jego stopami. Ukłękł i znalazł dwa kawałki szyby leżące pod ścianą, ale kiedy wyjrzał przed dom, nie było na podjeździe żadnych śladów. Odwrócił się od okna. Narzuta na łóżku była pognieciona, tak samo chiński dywanik. Bielizna zwisała z otwartej szuflady komody.

Szybko sprawdził pozostałe pokoje. Czerwone światło świeciło się w< automatycznej sekretarce. Nagrane były dwie informacje, jedna od agentki handlu nieruchomościami, która chciała umówić się na przekazanie kluczy do nowego mieszkania, a druga od Denise, z prośbą, aby Jo zatelefonowała. Paul zadzwonił najpierw do agentki. Jego obawy zostały potwierdzone: Joanna nie pojawiła się na spotkaniu. Potem połączył się z galerią, aby usłyszeć głos wściekłej Denise, skarżącej się, że Joanna poprosiła o wolne przedpołudnie, po czym nie zjawiała się wcale.

- Mam tylko nadzieję, że to było naprawdę coś pilnego - powiedziała. - Musiałam odwołać wszystkie plany na dziś po południu.

- Taak - powiedział Paul - może miała wypadek samochodowy, czy coś takiego.

- Nie miałam na myśli czegoś takiego - odpowiedź Denise brzmiała wyniośle.

Odwiesił słuchawkę i połączył się z domem Danny'ego. Odpowiedziała jego matka, Cassie McYey. Paul poprosił o rozmowę z Dannym.

- Spaprał strzyżenie trawnika? - Cassie chciała się dowiedzieć.

- Z trawnikiem wszystko w porządku, Cass. Chcę po prostu zapytać o coś Danny'ego.

- Nie ma problemu, ale posłuchaj, kazałam mu odnieść ci resztę. Nie chcę, aby wydawał pieniądze, których nie zarobił - przynajmniej do czasu, kiedy będzie miał kartę kredytową, wiesz, co mam na myśli? - Jaką resztę?

- Za strzyżenie trawnika. Dałeś mu dwie dychy, prawda? No cóż, nie jesteś kasą zapomogową - to właśnie ode mnie usłyszał. Powiedziałam mu, jeśli nie płacisz procentów, nie pożyczaj od ludzi pieniędzy.

- Ja dałem mu dwie dychy? Czy tak ci powiedział?

- A co, nie dałeś mu ich?

- Cassie, poprosisz go do telefonu? To jakaś pomyłka. Wyjaśnię ją.

- Jeśli znowu kłamał...

- Czy nie możesz po prostu go zawołać?

Cisza po drugiej stronie świadczyła o tym, że została urażona jego szorstkim tonem.

- Proszę - dodał pojednawczym tonem.

Udzieliła mu ostrożnej odpowiedzi: - Jeśli zdobędziesz się na odrobinę cierpliwości, chociaż na moment.

Paul słyszał jej głos. Dochodził z drugiego pokoju, przebijając się przez komentarz telewizyjny z meczu futbolu. Zwykle niedzielne popołudnie w podmiejskiej dzielnicy, tylko, że tym razem, wszystko było dalekie od normalności, od momentu, w którym dowiedział się o obecności Karla...

Głos Danny'ego pojawił się na linii. - Mam te pięć dolców, panie Stafford. Miałem zamiar je przynieść w trakcie następnej reklamy...

- Danny, słuchaj uważnie. Mam do ciebie kilka pytań. Być może wydadzą ci się bez sensu. Być może powinienem znać odpowiedzi, ale chcę żebyś udzielił mi ich mimo wszystko. Jasne?

- Jasne.

- Kosileś trawnik dzisiaj rano, prawda?

- Jasne.

- Jak dawno temu?

- Jak dawno?

- O której godzinie.

- Nie miałem zegarka. Myślę, że była jakaś dziesiąta trzydzieści.

- Kto był tutaj?

- Co jest, panie Stafford, przecież pan wie.

- Byłem tutaj, prawda?

- Jasne. Wszystko mi pan zapłacił.

Paul zacisnął palce na słuchawce telefonu. - Dobrze, a teraz posłuchaj. Udawajmy, że mam zanik pamięci i nic nie mogę sobie przypomnieć. Czy pani Stafford też była obecna?

- Jasne.

- Szyba w oknie w sypialni jest wybita. Czy widziałeś, jak to się stało?

- No cóż, to było tak. Ni stąd ni zowąd szkło spadło z góry tuż przede mną. Gdybym był tylko troszeczkę bliżej, mogłoby odciąć mi ucho. Pani Stafford powiedziała, że czymś uderzyła w okno. Myślę, że nie zrobiła tego ręką, lecz chyba jakimś pudłem.

- Ona tak powiedziała?

- Jasne. Zapytałem, czy się skaleczyła, ale odpowiedziała że nie.

- Posłuchaj Danny, to bardzo ważne. Czy był tutaj ktoś jeszcze, wtedy kiedy okno zostało rozbite?

- Oprócz pana i pani Stafford nie widziałem nikogo innego... Co jest grane, panie Stafford?

Paul odwiesił słuchawkę i natychmiast wykręcił numer na policję. Dyżurny oficer skierował go do detektywa Perlmuttera, ten zaczął zadawać pytania silnym południowym akcentem.

- Ile lat ma pańska żona?

- Dwadzieścia dziewięć.

- Jakieś fizyczne lub umysłowe zaburzenia?

- Nie.

- Dlaczego myśli pan, że zaginęła?

- Powiedziałem panu, szyba okienna w sypialni jest rozbita. Widać także ślady walki. Pościel na łóżku jest w nieładzie, pudło zgniecione z jednej strony a dywan zwichrzony na podłodze.

- Jakiegolwiek ślady obrażeń fizycznych?

- Nie.

- Plamy krwi, włosy, tkanka ludzka, czy cokolwiek w tym rodzaju.

- Nie, nie ma niczego w tym rodzaju. - Uważaj, powiedział do siebie. Potrzebujesz go...

- W porządku, proszę pana. Wyślemy policjanta, aby napisał raport.

Natychmiast po tym, jak się rozłączył, zawahał się. Czy może powiedzieć z całą pewnością, że Joanna jest z Karlem? A jeśli szuka kogoś, kto wstawiłby nową szybę? Może zabrała pudło z rzeczami do nowego mieszkania? Czy mogła odejść z Karlem z własnej woli? Nie, nie mógłby uwierzyć, że zrobiła to. Nie; po tym co jej powiedział na jego temat... Nie można udawać, że nic się nie stało. Karl porwał Joannę. Tylko, że to nie miało sensu, chyba, że... Chyba, że Karl dowiedział się o jego ucieczce. Mógł rozmawiać z Otto, lub przeczytać w gazecie i zdecydował zająć się Joanną, zrobić z niej zakładnika.

I znów pytanie: po co?

A co bardziej istotne: jakie miał wobec niej zamiary.

Wybrał numer do Hugh'a Roarka i rozmawiał z jego-żoną. Roark jeszcze nie dojechał do domu.

- Proszę powiedzieć, że Karl się pojawił. Tylko tyle. Niech zatelefonuje do mnie do domu.

Czuł potrzebę zrobienia czegoś. Przeszukał cały dom ponownie. Szukał jakiegolwiek śladów, modląc się w duchu, żeby nie znaleźć żadnych wymienionych przez detektywa Perlmuttera. Nieokreślony niepokój zacisnął się w twardą kulę w jego żołądku. Im więcej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że Jo jest w poważnym niebezpieczeństwie. Gdyby tylko wiedział, dlaczego Karl przyszedł tutaj, dlaczego, do diabła, był w Bayonne i co robił w Waszyngtonie.

Musiał znaleźć odpowiedź. Doskonale, to było jego miasto, jego teren, można było się spodziewać, że wie, gdzie szukać odpowiedzi. Niech sobie CIA pracuje w godzinach

urzędowych, on wytropi tego Lisha i dowie się, co było w tym transporcie. Co więcej, zrobi to natychmiast, jeszcze dzisiaj i nie będzie czekał do poniedziałku.

Wydobył spis telefonów redakcji Herolda. Znalazł domowe telefony archiwistów. Kathy Craven była oczywiście pierwsza na liście, ale nie było jej w domu. Następnie spróbował z Pam Markowitz, która była w domu i miała ochotę pracować dodatkowo w niedzielę.

- Dobrze - powiedział Paul - czy komputery działają?

- Działały, kiedy je opuściłam.

- Oto co chcę, abyś zrobiła. Połącz się z Narodowym Spisem Telefonów i znajdź każdego o nazwisku George Lish, który mieszka w Ameryce. Następnie zatelefonuj i dowiedz się, którzy z nich nie żyją.

- Którzy co?

- Nie żyją. Otrzymałem cynk, że człowiek o tym nazwisku został zabity trzy dni temu. Chcę, żebyś go znalazła: kto, gdzie, kiedy i dlaczego.

- Mówisz poważnie?

- Czyjeś życie od tego zależy. Czy możesz pojechać do biura natychmiast? Spotkam się z tobą tak szybko, jak to będzie możliwe. Jeśli dowiesz się czegoś pierwsza, dzwoń do mnie do domu.

Po skończonej rozmowie, Paul poczuł się trochę lepiej... Przynajmniej coś robił. Miał poczucie, że ma większą kontrolę.

Następny telefon przedstawiał nieco większe trudności. Vic Daniloff był jego przyjacielem z wojska. Latali razem w Wietnamie. Vic wybrał karierę wojskową i został przeniesiony do wywiadu. Był teraz podpułkownikiem w Pentagonie. Paul korzystał z usług Vica, aby potwierdzać informacje uzyskane z pierwotnych źródeł, lecz nigdy nie próbował otrzymać od niego tych informacji wprost. Nie miał teraz innego wyjścia.

- Cześć, kapitanie - powitał go Vic ciepło - co to o tobie słyszę, jakiś wypadek potrącenia w Berlinie?

- To nie byłem ja.

- Dobrze wiedzieć. Próbowałem się dodzwonić, ale nikogo nie było w domu...

- Vic, posłuchaj, jest coś naprawdę poważnego i potrzebuję twojej pomocy. Jeśli byłby inny sposób, nie zwracałbym się z tym do ciebie, ale Joanna jest w samym środku tego. Myślę, że ma kłopoty.

- Co się stało?

- Ktoś trzyma ją jako zakładnika - jestem tego pewny, ale nie mogę tego udowodnić, dopóki nie otrzymam pewnych informacji. To dlatego dzwonię do ciebie.

- Mów dalej.

- Dwa ładunki zostały wysłane z Wojskowego Terminalu w Bayonne, ich zawartość była zastrzeżona. Mam numery listów przewozowych, daty wysyłek, wszystko. Tego czego nie mam, to opisu, co w nich było. Tego muszę się dowiedzieć dzięki tobie.

Vic mówił powoli: - Chcesz, abym dotarł do tajnych informacji?

- Nigdy bym o to nie poprosił, ale nie miałem innego wyjścia.

Vic milczał przez chwilę. Kiedy się odezwał, jego głos miał ostre brzmienie. - Wiedziałem, że zrobisz to któregoś dnia, że przyjdiesz do mnie z historią tego rodzaju...

- To nie jest żadna historia, Vic. Tu chodzi o Joannę. Jej życiu zagraża niebezpieczeństwo, na miłość boską.

- Jak wielkie?

- Chcesz dłuższą wersję, czy skróconą?

To było ich stare powiedzonko; skrócona wersja brzmiała zaufaj mi a dłuższa, proszę, zaufaj mi.

- Ślepe zaufanie, co?

- To wystarczało na LZ Bird - powiedział Paul, przypominając Vicowi ich pierwszy wspólny lot. Vic właśnie przyjechał i został wyznaczony jako drugi pilot Paula, aby oswoić się z terenem. Odlecieli do strefy lądowania Bird, gdzie Paul nauczył go jak utrzymywać pozycję, lecąc tak blisko poprzedzającego ich helikoptera, że widać było lampki na tablicy z instrumentami. Przypominanie Wietnamu było brudnym chwytem. Paul wiedział o tym. Vic wiedział o tym także.

- Nie musisz mi tego mówić - powiedział.

- Parę razy ocaliłem twój tyłek.

- Ja także ocaliłem twój.

- Byliśmy dobranym zespołem, Vic.

- Nie jesteśmy nim więcej, Paul. To nie chodzi tylko o nas dwóch, siedzących w kokpicie. Mam żonę, karierę. Mam na głowie dzieci i dom obciążony hipoteką. Nie jesteśmy już latającymi zawadiakami. Przekazywanie tajnych informacji nie jest tym samym, co latanie po piwo do Khe Sahn pod pozorem poznawania terenu. Nie przychodź do mnie z czymś takim.

- Nie mam wyboru, Vic.

Zapadła długa cisza. Paul pozwolił, aby trwała, wielka pusta cisza, dostatecznie długo, aby wypełniła się wspomnieniami z LZ Bird.

- Paul - głos był ściśnięty i kontrolowany - twoja kariera polega na publicznym praniu brudów systemu, moja na popieraniu go. Bez niego nie mogę istnieć.

- Nie proszę cię o to.

- Jeśli to się wyda...

- Nigdy nie spaliłem swojego źródła informacji, Vic. Westchnął. - No dobrze, nie jestem w stanie ci niczego przyrzec, ale zobaczę, co da się zrobić.

- To wszystko, o co proszę.

- Będziesz jutro w redakcji?

- Nie jutro. Dzisiaj.

- Muszę udać się do biura. Nie mam bezpiecznej linii telefonicznej...

- Przepraszam cię.

- O mało nie pojechaliśmy na przylądek May - powiedział Vic - no dobrze... Jakie były te cholerne numery? Paul podyktował mu je. Vic powtórzył i zapytał: - Jesteś w Herold?

- Nie, ale tam wkrótce pojadę. Zostaw wiadomość telefonistce, jeśli mnie nie będzie.

W tle Paul słyszał dźwięk z telewizora - mecz futbolowy.

- Vic? - dodał - To musi być załatwione tak szybko, jak to możliwe.

- Dotarło to do mnie.

* * *

W kilka minut po tym, jak Paul skończył rozmawiać przez telefon, nadjechała policja. Było ich dwóch. Murzyn, krępy o melancholijnych oczach i biały, z wysuniętą, jak dziób okrętu, szczęką. Murzyn był starszy stopniem. Zanim się odezwał, zajrzał do grubego notesu, trzymanego w ręce, sprawdzając nazwisko Paula.

- - Pan Stafford? Pan zgłosił zaginięcie osoby?

- Mojej żony. Była tu rano z mężczyzną, który podszył się pod moją osobę. Mogę to udowodnić. Teraz jej nie ma, a w domu są ślady walki.

Policjanci wymienili spojrzenia, Paul zrozumiał, że to nie będzie takie łatwe.

Jeden z nich się odezwał: - Gdzie nastąpiło włamanie?

- Jakie włamanie?

Ponownie sprawdził w notatniku. - Rozbite okno. Ślady włamania.

- Na górze - powiedział Paul. - Ale ja nie mówiłem, że to były ślady włamania.

- Czy te pudła należą do pana?

- Do mojej żony.

- Czy ona wybiera się dokądś?

- Właśnie wynajęła mieszkanie w D.C.

Policjanci nie odezwali się ani słowem, ale Paul wyczuł ich wzrastający sceptycyzm. Kiedy pokazał im wybite okno i udzielił wyjaśnień na temat Joanny, notesy znalazły się z powrotem w tylnych kieszeniach spodni. Okno wyglądało na wybite przez przypadek, nic nie zginęło, Joanna miała kluczyki do audi, Paul przyznał, że nie najlepiej się układało między nimi...

- To nic nie znaczy, do diabła. Chodzi o to, że ktoś był razem z nią w domu, dzisiaj rano. Nigdy by nie poszła razem z nim z własnej woli. Wiem o tym. Rozmawiałem z nią ostatniej nocy i ostrzegłem ją przed nim.

- Przed kim?

- Mężczyzną o nazwisku Karl Alexander, moim bliźniaczym bratem. Brzmiało to głupio, a więc dodał: - On jest mordercą - to zabrzmiało jeszcze bardziej głupio.

- Mordercą - Murzyn powtórzył poważnie. - No tak, proszę pana, to brzmi jak zadanie dla wydziału zabójstw.

Jego partner o kościstej twarzy zacisnął szczęki, aby powstrzymać uśmiech.

To było beznadziejne, zdał sobie sprawę Paul. Im więcej mówił, tym bardziej wydawało się to nieprawdopodobne. Mając czas, znalazłby świadków, udowodniłby, że Danny widział człowieka, który podawał się za niego, w momencie gdy on osobiście był na pokładzie lotu 491 z Niemiec. Mając czas, mógłby udowodnić, że ma brata bliźniaka, a nawet, że tamten jest podejrzanym zabójcą. Ale potrzebowałby na to tygodnia. A do tego czasu Bóg wie, gdzie byłby Karl i co mogłoby się stać z Joanną...

Policjanci zaczęli udzielać wyjaśnień na temat prawa do swobodnego poruszania się wszystkich obywateli stanu Wirginia, o których wiadomo, że nie cierpią na ciężką sklerozę czy zaburzenia umysłowe. Paul przerwał im i wypchnął ich za drzwi. Na chodniku zebrało się kilkoro sąsiadów, zaciekawionych policyjnym samochodem. Paul zapewnił ich, że wszystko jest w porządku i gawędził z nimi dostatecznie długo, aby się przekonać, że nikt z nich, nie widział ani Karla, ani wyjeżdżającego audi. Wrócił do domu i patrzył na puste pudła na korytarzu, wszystkie zaadresowane do lokalnej przechowalni. Danny powiedział, że przyjechała z nimi dziś rano. I co potem? Karl zaskoczył ją? Zmusił, aby wpuściła go do środka?

Nie, oczywiście nie. Miał moje klucze.

Zawrzał w nim gniew. Co, do diabła, robi Karl? Zabrał jego portfel, samochód, klucze do domu, a teraz, ten skurwysyn, zabrał mu żonę. Podszły się pod niego w Bayonne, a nawet

prowadził rozmowę z Ber-nim. Jego brat przywłaszczał sobie jego życie. Okradał go z tożsamości. Wysysał kropla po kropli, jakby był jakimś rodzajem pijawki, jego egzystencję.

Im więcej o tym myślał, tym bardziej kipiał gniewem. Tak, z początku próbował rozumieć Karla, nawet współczuł mu: za przerażające dzieciństwo, za okrutny los, którego stał się bezwolną igraszką. Teraz wyzbył się tych uczuć. To było bardziej złowieszcze niż zwykle porwanie i trzymanie go w zamknięciu. W jakiś przewrotny sposób, Karl zaczął przejmować i prowadzić życie Paula. Włączając w to jego żonę.

Wiedział, że pozostała mu ograniczona ilość czasu, aby odnaleźć Karla i powstrzymać go. Wyglądało to tak, jakby Karl kradł fragmenty jego życiorysu, aż do chwili, gdy pewna zebrana masa krytyczna przekroczy pewien punkt i Karl naprawdę stanie się nim.

Nie, ty tego nie zrobisz...

To była gra dla dwóch. Zawsze, to on był bardziej wyczulony na to, co robił Karl a nie odwrotnie. Doskonale, użyje swoich uzdolnień, aby go powstrzymać. Powrócił do gabinetu i zatelefonował do Annie Helms. Wizytówka przepadła razem z portfelem, który mu zabrał Karl, ale numer do niej, napisany ręką Jo, znajdował się na liście odebranych wiadomości telefonicznych. Usiadł ciężko, otworzył dolną szufladę, oparł na niej stopę i słuchał sygnału w słuchawce.

Podnieś słuchawkę, podnieś słuchawkę...

W chwilę później usłyszał niski głos: - Annie Helms.

- Halo, tu Paul Stafford. Muszę...

Przerwał w połowie zdania, jego uwagę zwrócił widok czeku w szufladzie. Nie jednego, ale mnóstwa czeków, jego czeków, wypisanych i już podpisanych.

- Paul - powiedziała Annie ochoczo. - Cieszę się, że zadzwoniłeś. Rozmawiałam z Hugh'em, opowiedział mi, co się stało. Spotkałeś się z własnym bratem, tak? Bratem bliźniakiem, który nazywa się Karl Alexander?

Paul prawie jej nie słyszał. Pochylił się, wziął do ręki plik czeków oraz rachunków i położył je na biurku. Pierwszy wypisany był dla American Express za dwa bilety, z Waszyngtonu do Miami i z Miami przez Frankfurt do Berlina. Pismo wyglądało jak jego pismo, podpis wyglądał jak jego podpis, ale on nigdy nie widział tych rachunków, nigdy nie wypisywał tych czeków. Wszystkie nosiły dzisiejszą datę.

Annie wołała go po imieniu: - Paul, czy wszystko w porządku?

Paul wstał powoli. Czuł oszołomienie. Zgrzytał zębami.

- Bądź przeklęty - mówił przez zaciśnięte zęby - Bądź przeklęty.

- Proszę? Co to znaczy?

- To on. Wypisał moje чеки. Płaci moje rachunki...

- Kto? Karl?

- Tak. Wziął moją książeczkę czekową... Mam ją właśnie przed sobą... American Express, gaz, światło... podpisał się moim nazwiskiem. Próbuje...

Ton podniecenia ponownie pojawił się w głosie Annie. - Karl podpisał się twoim nazwiskiem na twoich czekach?

- yy Niech to diabli porwą, chcę go dostać. Chcę się dostać do jego mózgu. Jak szybko możesz tu przyjechać?

- Do twojego domu?

- Poczekaj, mieszkasz w Silver Spring. Spotkajmy się u Herolda. Zahipnotyzujesz mnie. Ile czasu zajmie ci przyjazd do centrum?

Nastąpiła niedostrzegalna przerwa, a potem powiedziała: - Daj mi dwadzieścia minut.

- Jadę.

- Poczekaj - powiedziała spieszenie. - Co się stało?

- Porwał Joannę. On... próbuje przywłaszczyć sobie moje życie. Próbuje jak diabli. Dąży do tego. Spotkamy się w redakcji.

- Zabierz ze sobą чеки.

Odwiesił słuchawkę. A kiedy, szukając broni, otworzył kluczem szafę z kartotekami nie zaskoczyło go to, że jej tam nie znalazł. Ten skurwysyn miał jego żonę, samochód, ubranie a teraz rewolwer.

Rozdział 27

To była zabawa w kotka i myszkę. Wiedzieli o tym. Oboje chcieli się czegoś dowiedzieć, nie wiedząc, o czym wie druga strona.

Karl był pewny, że Joanna próbuje rozbudzić w nim fałszywe poczucie bezpieczeństwa, ale za każdym razem, kiedy myślał, że potrafi przewidzieć jej odpowiedź, był przez nią zaskakiwany. Stwarzał jej nawet okazje do ucieczki - przynajmniej pozornie - odwracając się do niej plecami, zostawiając nóż w zasięgu jej ręki, raz nawet wyszedł z pokoju. Nic nie uczyniła. Przeważnie zachowywała się uprzejmie, nawet przyjaźnie. Podejrzewał, że to jest podstęp, jednak był zaintrygowany. Tak samo jak odpowiedziami na pytania o Paulu. Im więcej zdobywał informacji, tym bardziej życie brata było dla niego pociągające...

Joanna postanowiła natomiast zachowywać się tak naturalnie, jak to tylko było możliwe. Wysiłek wyczerpywał ją, niesamowite podobieństwo Karla do Paula bardziej wprawiało ją w zakłopotanie niż tego oczekiwała. Kiedy pochylał się w jej kierunku, siedząc po drugiej stronie stołu, wydawało jej się, że zarys jego postaci rozmywa się i z powrotem nabiera ostrości, jakby granica między nim a Paulem była płynna do tego stopnia, że momentami Karl przestawał sprawiać na niej wrażenie obcej osoby. I to jego niezwykle podobieństwo w zachowaniu do Paula. Łatwiej można byłoby w nie uwierzyć, jeśliby przyjął, że to jakaś pozaziemska inteligencja nawiedziła i przejęła kontrolę nad ciałem Paula...

Głód informacji Karla na temat Paula przerodził się, co nie było niespodzianką, w zaciekawienie Joanną i zaczęły się pytania o jej życiorys. Wydawało się, że było mu szczególnie przyjemnie usłyszeć, że jest jedynaczką.

- Czy czułaś się wyjątkowo, kiedy oboje rodzice poświęcali uwagę tylko tobie, czy miałaś poczucie samotności, pozbawiona sióstr i braci?

Pytanie zapędziło ją w kozi róg, mogła mówić tylko o własnych doświadczeniach i nie miała ich do czego przyrównać. Był także bardzo zainteresowany pilotażem samolotów. Chciał się dowiedzieć, co spowodowało jej chęć zostania pilotem. To poszło łatwiej.

- Mój ojciec był właścicielem samolotu - powiedziała do niego.

- Kiedy byłam dzieckiem, siadywałam mu na kolanach i pozwalał mi przejmować kontrolę nad sterami. Później zrobiłam kurs i dostałam licencję.

- W takim razie urodziłaś się w zamożnej rodzinie.

- Wcale nie. Sprzedali ziemię, kiedy miałam sześć lat. Większość pieniędzy pochodziła z tego źródła.

- Myślisz, że pomogło w waszym zbliżeniu to, że Paul także interesował się lataniem?

- Wcale tak nie uważam. - Poczula, że staje się drażliwa. Reagowała nerwowo, kiedy wkraczał pytaniami w ich życie prywatne.

- Powiedział, że chciał z tobą polecieć do Etiopii, a ty odmówiłaś.

Joanna próbowała ukryć zaskoczenie. Jednym z jej problemów, było to, że nie wiedziała, co Paul mu powiedział. Niejednokrotnie odwoływał się do rzeczy, których, jak zakładała, dowiedział się od Paula.

- Zabranie ze sobą Paula oznaczało zmniejszenie ładunku żywności

- odpowiedziała. - Oprócz tego Herold płacił za jego przelot.

- Wciąż uważam, że Paula pociągała kobieta, która podzielała jego zainteresowania.

- Czy on ci to powiedział?

- On nie, ale wiem, że mnie pociągałby ktoś, z kim mógłbym dzielić moje zainteresowania.

- A czym się interesujesz?

Uśmiechnął się. - To jest coś, czego szukam.

Powrócił do Paula i jego życiorysu. Chciał wiedzieć, jak żył z rodzicami, dlaczego zdecydował się być dziennikarzem, jak długo znał Joannę, zanim postanowili się pobrać, dokąd pojechali w podróż poślubną, dlaczego teraz wyprowadza się od niego. Zupełnie jak Paul, pomyślała, miał obsesję na punkcie szczegółów. Joanna zmusiła się, aby go zadowolić; na zmianę budząc w nim zainteresowanie i zaspokajając jego ciekawość, grając na zwłokę i szukając prawdziwej okazji do ucieczki. Miała wrażenie, jakby Karl był na tropie, ona była jego przewodniczką, nie mając zielonego pojęcia, dokąd idzie i czego on, w końcu, od niej chce, do czego zmierza.

Kiedy przenieśli się do salonu, Karl zaprosił ją, aby usiadła na kanapie. Wybrała jednak nadmiernie wyściełane krzesło. Tym razem nie przedzielał ich stół. Świadomość, że ma gołe nogi spowodowała, że czuła się onieśmielona. Żałowała, że nie miała na sobie szortów. Próbowwała ukryć niepokój, zmieniając znowu temat ich rozmowy.

- A co z tobą? Jesteś żonaty?

- Oczywiście. Mam żonę i troje dzieci, jednak z nimi nigdy nie rozmawiałem tak, jak z tobą teraz.

Joanna nigdy by nie pomyślała, że prowadzą rozmowę. Dla niej był to co najwyżej wywiad i to bardzo długi.

Karl przyciągnął fotel na biegunach i usiadł na nim. - Powiedz mi, co uderzyło cię, kiedy po raz pierwszy zobaczyłaś Paula? Po raz pierwszy zobaczyliście się... gdzie to było? Na parkingu przed sklepem o dziwnej nazwie.

- Sklep Safeway.

- Tak, Safeway. Kiedy go tam zobaczyłaś, co spowodowało, że był dla ciebie pociągający.

Miała wrażenie, że jest Szeherezadą, snującą swoją opowieść, aby ocalić życie. Lepiej niech jej opowieść będzie tak interesująca, jak to tylko możliwe.

- Kontrast między jego uśmiechem i wyrazem oczu. Podobały mi się jego oczy, nie podobał mi się jego uśmiech.

- Mów dalej. Podaj przykład.

- No dobrze. Patrzył, jak awanturuję się z kierownikiem sklepu i jego oczy patrzyły ciepło, widać w nich było zaciekawienie, ale usta wykrzywił w dół w uśmiechu, który

wydawał się mieć cyniczny wyraz. Oczy i uśmiech wydawały się toczyć walkę ze sobą. Nie miałam pojęcia, jaki jest Paul naprawdę... A co powiesz o sobie? Co zauważyłeś w pierwszym rzędzie u swojej żony?

- Podobało mi się, jak wyglądała - powiedział głucho. - Wracając do Paula, kiedy poczułaś, że jesteś w nim zakochana? Skąd o tym wiedziałaś?

O Boże, to była ta sama zawzięta pogoń za umykającym tematem, która była tak charakterystyczna dla przeprowadzającego wywiad z kimkolwiek Paula. Zadaj dziesięć pytań i udziel pojedynczej odpowiedzi, następne dziesięć pytań...

- Myślę, że zakochałam się od pierwszej z nim rozmowy - powiedziała. - Zapytał, co robię, co mam zamiar robić, a kiedy odpowiadałam, uwaga, z jaką słuchał sprawiała takie wrażenie, jakby to, co powiedziałam było najważniejszą rzeczą pod słońcem. Słuchał tak, jakby naprawdę bardzo mu zależało na tym, co myślę. Niewielu mężczyzn to robi...

- Mnie zależy na tym, co myślisz.

- Dlaczego? - próbowała zadać pytanie jakby mimochodem. Wcale nie była pewna, czy chce usłyszeć odpowiedź.

- Ponieważ, jeśli to ja byłbym słabszy a Paul silniejszy, wtedy jego życie z tobą byłoby moim życiem.

Patrzyła na niego. A więc to był powód tych wszystkich pytań? Dowiedzieć się jakie mogłoby być to inne życie?

Karl źle ocenił wyraz jej twarzy. - Nie opowiedział ci o tym, nieprawdaż? W jaki sposób moje życie zostało złożone w ofierze w zamian za niego? Jestem pewny, że przemilczał to.

- Co?

Jego słowa ciągle brzmiały echem w jej mózgu: „Jego życie z tobą byłoby moim życiem.”

- Opowiedział ci, jak dorobił się swojego cudownego życia?

- Jakiego cudownego życia?

- Sławnego dziennikarza. Obsypanego nagrodami i plakietkami, które wiszą na wszystkich ścianach. Czy opowiedział ci, dlaczego to się przytrafiło jemu a nie mnie?

- Zasłużył na wszystkie nagrody - powiedziała Joanna, próbując utrzymać w ryzach irytację. - Nie nazwałabym tego cudownym życiem.

- To zależy od punktu widzenia. Paul nie był tym silniejszym. Rozchorował się. Umarłby, ale moja matka zabrała go do amerykańskiego szpitala, a mnie pozostawiła ze starą kobietą, która wykorzystywała mnie w sposób, którego ci nie zdradzę, aby nie budzić w tobie

obrzydzenia. Życie Paula jest zbudowane na moim cierpieniu. Silny zawsze niesie na swoich barkach słabszego. Uratowałem jego życie dwa razy: raz w dzieciństwie i powtórnie, zaledwie dwa tygodnie temu. Mógłbym go zabić dwa tygodnie temu, ale ocalałem go. Teraz muszę za to płacić. Tak samo, jak poprzednio.

Była oszołomiona. Wybuch uzmysłowił jej, jak bardzo nie rozumiała celu, do którego zmierzał. Próbowwała wszystko wygładzać, aby uczynić ją i życie, które dzielili z Paulem bardziej atrakcyjne. Odmalowała obraz ich stosunków tak, aby wzbudzić w nim sympatię. Strategia okazała się obosieczna. Dla Karła, każda cenna chwila była kolejnym przeklętym dowodem życia, które ukradł Paul. Próbując bronić Paula i siebie, w gruncie rzeczy układała przeciwko nim akt oskarżenia.

- Dlaczego mi się tak przyglądasz? - zażądał odpowiedzi Karl.

- Co?

- Patrzysz na mnie tak, jakbym był jakimś potworem. Myśl. Udaj, że dokonujesz oceny z jego punktu widzenia. Zrób coś... - Przykro mi, oczywiście wiem, że nie jesteś potworem...

- - Skąd to wiesz?

Teraz była zabawką w jego rękach. To ona była myszką w tej grze. Mówił lekkim tonem, uśmiechał się, ale spod przykrywki słów wyczuła, że odpowiedź wiele dla niego znaczy. Walczyła, aby go uspokoić.

- Nie wierzę, aby ktokolwiek był zły od urodzenia...

- A w co wierzysz?

- Ja... wierzę w ludzi... w ich wrodzoną dobroć. Zła odpowiedź. Usta Karła złożyły się w pełnym politowania uśmiechu. - To nie prawda, że tak naprawdę myślisz.

- Tak, tak właśnie myślę. Naprawdę.

- A co ze mną? Wierzysz w moją wrodzoną dobroć?

- Tak, ale uważam, że próbujesz ją zwalczyć... Jego uśmiech stał się twardy. Błyskawicznie zorientowała się, że popełniła pomyłkę. Współczuj, nie krytykuj.

- Nie mówię, że zawsze mam rację...

- Nie, nie wycofuj się. To właśnie pociąga Paula w tobie najbardziej. Twoja siła, to że potrafisz bronić własnych poglądów. Mnie to także pociąga. Mów dalej. Dokonaj mojej analizy. Powiedz, dlaczego myślisz, że próbuję pokonać moją... wrodzoną dobroć. - Tym razem nie było uśmiechu.

- Nie znam... nie znam ciebie dostatecznie dobrze.

- Oczywiście, że znasz. Jestem Paulem, tylko silniejszym.

O Boże, pomyślała. On naprawdę w to wierzy.

Co robić? Nie była w stanie kontynuować, z drugiej strony nie odważyłaby się przerwać. Musiała odpocząć od tego potwornie natężonego badania. Musiała pozwolić sobie na wyładowanie prawdziwych uczuć, przynajmniej przez krótką chwilę. ^

- W porządku - powiedziała - spróbuję... ale najpierw musisz wypuścić mnie do łazienki.

Przez ułamek sekundy myślała, że na to nie pozwoli. Nagle rozluźnił się, usiadł głębiej na fotelu i machnął ręką w kierunku korytarza. - Skorzystaj z tej, która jest na tym poziomie, pod schodami.

Wstała, mając nadzieję, że zauważy, jak bardzo niepewnie stoi na nogach. Czowała jego oczy na sobie, kiedy przechodziła przez pokój. Kierując się na korytarz, pochwyciła jego wzrok. Patrzył z zainteresowaniem na jej nogi. Po latach spędzonych z Paulem, Joanna rozpoznała i zrozumiała to spojrzenie... i Natychmiast, kiedy drzwi zamknęły się za jej plecami, strach ukryty do tej pory przyprawił ją o mdłości. Kawa paliła jej żołądek. Zaciśnęła palce na umywalce aż do bólu palców. Wstrząsnęły nią nudności, starczyło jej przytomności umysłu na odkręcenie wody, aby Karl nie usłyszał, a wtedy nudności wzięły górę.

Splukała umywalkę, wypłukała usta i zmusiła się do głębokiego oddechu. Dość, musi się uwolnić. W łazience znajdowało się wąskie okno. Odsunęła zasłonę i przyjrzała się mu. To było nowe aluminiowe okno, małe, ale po otworzeniu obu skrzydeł szerokość była wystarczająca. Lasek był oddalony o sto stóp.

Jej palce wyciągnęły się w kierunku skobelka, zanim zauważyła stojącego w oknie salonu Karla, wpatzonego w przestrzeń. Rozplanowanie budynku dawało dobry widok na zewnętrzną ścianę łazienki. Odsunęła się, mając nadzieję, że nie zauważył jej. Walczyła z ogarniającą ją paniką, wiedząc, że znalazła się w pułapce. Karl nie był głupi. Wiedział o okienku. Nie miał zamiaru jej nigdzie wypuścić.

Zmusiła się do spokoju. Instynkt nakazywał jej działać, rzucić się do ucieczki w kierunku lasu, dopóki starczy sił i nie będzie w stanie już zrobić kroku. Albo do audi. Pamiętała o zapasowych kluczykach, które Paul trzymał przytwierdzone pod chłodnicą na wypadek, gdyby je zgubił. Kluczyki znajdowały się w metalowym pojemniczku, wielkości pudełka od zapalek, z dwoma magnesami po jednej stronie. Jo przypomniała sobie, że raz skorzystali z nich, kiedy Paul zatrzasnął samochód z kluczykami w środku. Zdarzyło się to dwa lata temu. Teraz wyobraziła sobie je, jak czekają w tym magnetycznym pojemniczku, aby je stamtąd wydostała... Jeśli by tylko mogła wyrwać się na tyle, aby je odnaleźć... Ale, aby tego dokonać musi w jakiś sposób unieszkodliwić Karla...

Tylko jak? Nigdy w życiu nikogo nie uderzyła. Ile siły potrzeba, aby pozbawić człowieka przytomności? Czy będzie do tego zdolna, jeśli nadarzy się sposobność? Karl powiedział, że zamierza puścić ją wolno. Ale słowa znaczyły jedno, ton jego głosu, wyraz twarzy, postawa ciała znaczyły drugie. Nigdy nie zamierzał puścić jej wolno. Żywej...

Przebywała w łazience wystarczająco długo. Nie wzbudzał jego podejrzeń teraz, nie po tej ciężkiej pracy, aby je uspić; odrzucając nadarzające się do ucieczki okazje, odnosząc się do niego ciepło i po przyjacielsku. Zareagował na to. Niezależnie od tego, czy wiedział o tym, czy nie. Nie można było pomylić požądania w jego wzroku, jakim ją obdarzył, kiedy go opuściła.

Jego życie z tobą byłoby moim życiem.

Nic dziwnego, że pociągała Karla... Przez cały dzień prowadził życie

Paula. Co się stanie, jeśli będzie mógł żyć naprawdę jak Paul? Co będzie... jeśli pójdzie z nim do łóżka?

Na samą myśl przebiegły ją ciarki. Nigdy nie będzie w stanie tego zrobić.

Czy jednak to będzie konieczne? A jeśli sprowokuje jego nadzieje, że jest skłonna to zrobić i nagle zaskoczyć go... Może wystarczy tylko trochę gry wstępną. Czy jest w stanie to zrobić? Będzie musiała. Będzie musiała wybrać odpowiednie miejsce, gdzie znajdzie coś twardego, nadającego się na broń.

Jeśli popełni błąd, będzie gorzej niż kiedykolwiek. Jeśli zrani go, lecz nie uda jej się uciec... Ale nie mogła czekać dłużej. Musiała spróbować.

Sprawdziła w lustrze, jak wygląda, zrobiła głęboki wdech, otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Karla, wciąż stojącego przy oknie, nie zobaczyła od razu.

- Karl? - nazwała go po imieniu po raz pierwszy. - Czy mogę cię naciągnąć na ten kieliszek wina?

Idąc w jej kierunku wyglądał na przyjemnie zaskoczonego. W porządku, pomyślała Joanna. Bądź zaskoczony.

- Przyłączę się do ciebie - powiedział.

Poszła za nim do kuchni, lekko opuszczając ramię z jednej strony w geście, który zawsze wywierał wrażenie na Paulu. Teraz potrzebowała jedynie jakiejś broni.

Rozdział 28

Jadąc do redakcji Heralda, Paul musiał ominąć Siedemnastą ulicę, która została zablokowana i obsadzona posterunkami policji w związku z przyjazdem, następnego ranka,

przywódcy Związku Radzieckiego. Ambasada radziecka, pięciopiętrowy budynek z piaskowca, znajdowała się w połowie przecznicy. Żelazna, kuta brama wjazdowa otwierała się od czasu do czasu, by wpuścić do środka limuzynę z radzieckimi notablami, którzy będą witać Sekretarza Generalnego w Bazie Andrew Sił Powietrznych. Na dachu budynku stał agent bezpieczeństwa, obserwując ulicę.

Zazwyczaj Paul lubił ten nastrój podniecenia, jaki przenikał Waszyngton podczas wizyt przywódców obcych państw, lecz dzisiaj, pochłonięty swoimi sprawami, zirytował się objazdem. Gdy zdezorientowany motocyklista przystanął pośrodku jezdni, by zapytać policjanta o kierunek jazdy, wściekły nacisnął klakson. Policjant popatrzył na niego kwaśno. Kiedy w końcu dotarł do Heralda, Annie Helms jeszcze się nie pokazała. Paul powiedział recepcjonistce, że będzie w archiwum i poszedł sprawdzić, czy Pam coś zdobyła. Znalazł ją siedzącą przy terminalu komputera. Resztki Big Maca leżały w plastikowych kontenerach pomiędzy telefonem a klawiaturą. Siedziała z podwiniętą jedną nogą, jakby dając do zrozumienia, że jej dzień pracy się skończył. Miała na sobie błękitne dżinsy i bawełnianą bluzkę z podwiniętymi rękawami. Jej oczy zaiskrzyły się, kiedy zobaczyła Paula.

- Dobrze, że nie interesuje cię facet o nazwisku Jones - powiedziała. - Siedziałabym tu do Bożego Narodzenia.

- Co z Lishem?

Pokazała mu listę z nazwiskami.

- Jest osiemdziesięciu siedmiu Lishów w Stanach Zjednoczonych, ponad jedna trzecia z nich w rejonie Seattle. Musieli, chyba, przypłynąć na tej samej łodzi - to poławiacze łososi lub konstruktorzy samolotów.

- Ilu z nich ma na imię George?

- Pięciu. Dwóch zgłosiło się przy telefonie - w Savannah i Detroit. - Zniżyła znacząco głos. - Głos George'a z Savannah brzmiał bardzo miło. Myślę, że zadzwonię do niego ponownie i sprawdzę, czy nie przyjeżdża czasem do Waszyngtonu.

- A co z tymi, którzy nie żyją?

- Trzy możliwości: George z Seattle, którego współlokator powiedział, że myśli, że jest na polowaniu, ale pracują na dwóch różnych zmianach i nie widzieli się od pewnego czasu. To jeden. Następnie, George z Nashville, u którego w domu nikt nie odpowiada. I w końcu mamy George'a z Houston, który wyjechał w interesach i nie wrócił. Prowadzi psiarnię i jego psy teraz głodują.

- Brzmi to nieźle.

- Nie dla zwierząt. Psy, koty i jedna biedna papuga. Kiedy zadzwoniłam, byli tam już ludzie z Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Gdy George z Houston nie wrócił i nie miał kto nakarmić zwierząt, ktoś zadzwonił do Towarzystwa.

- Kiedy wyjechał? Co to była za podróż w interesach?

- Nie wiedzą. Właśnie przyjechali, by ustalić, co zrobić z małymi boskimi ulubieńcami - tak nazwała je ta kobieta: mali boscy ulubieńcy.

- A co z policją? Czy znaleziono jakieś ciało?

- Kto to wie? Nie miałam czasu, by zadzwonić. Paul sięgnął po telefon. - Jaki jest numer kierunkowy do okręgu Houston?

- Siedem-jeden-trzy.

Pam wstała i przeciągnęła się, gdy Paul dzwonił. Policja nie miała wiadomości o George'u Lishu, zmarłym czy zaginionym. Wkrótce po odłożeniu słuchawki, telefon zadzwonił. Recepcjonistka zawiadamiała, że przyjechała Annie Helms. Zanim wyszedł, Paul zostawił Pam nowe instrukcje.

- Połącz się z policją w Nashville i Seattle. Jeżeli żaden z tych Lishów nie umarł, ani nie zaginął, zdobądź informacje na temat George'a z Houston. Chcę znać stan cywilny, pracodawcę, chcę wiedzieć, czy był powiązany z agencjami rządowymi lub podwykonawcami kontraktów Departamentu Obrony, czy są zadłużeni - znasz postępowanie rutynowe.

- Och, oczywiście - powiedziała Pam - podam tylko im twoje nazwisko, a oni przekażą, mi wszystko, co chcę wiedzieć.

- Udawaj, że jesteś jego przyszyłym pracodawcą, udawaj, że jesteś X, mów, że jesteś z izby rozrachunkowej wydawców i chcesz przekazać Lishowi milion dolarów. Co tylko ci wpadnie do głowy. Popuść wodze fantazji.

Idąc po schodach na górę, Paul natknął się na Dicka Lazarusa, fotografa, który znajdował się w jego biurze w dniu, kiedy pojawili się po raz pierwszy ludzie z CIA. Dicki obwieszony dwoma Nikonami, przetarł oczy na widok Paula.

- Hej - zawołał. - A co ty tutaj robisz?

- Pracuję w tym budynku, pamiętasz?

- Dziś rano ktoś powiedział, że siedzisz w więzieniu w Berlinie.

- To musiał być mój brat bliźniak - powiedział Paul. - Dokąd idziesz?

Dick zmarszczył nos z niesmakiem. - Prezydent ląduje na lotnisku w Andrews. Tradycyjny uśmiech i uścisk ręki. Hej, a co z tym policjantem? Naprawdę go przejechałeś samochodem?

- Powiem ci jutro - powiedział mu Paul.

Annie powitała go mocnym uściskiem ręki i zarzuciła tysiącem pytań. Od kiedy Hugh Roark zatelefonował do niej z Berlina i powiedział o bracie Karlu Alexandrze, robiła sobie wyrzuty, że od razu nie wpadło jej to do głowy. Bliźniacy. Wydawało się to tak oczywiste. Jeszcze na studiach pisała pracę na temat badań nad bliźniakami przeprowadzonych na Uniwersytecie Stanu Minnesota. Pamiętała niezwykle przypadki dzielenia tych samych cech osobowych i emocjonalnej symbiozy, które były charakterystyczne dla grup bliźniaków. Była poirytowana, że natychmiast nie wzięła tej możliwości pod uwagę w przypadku Paula.

Prowadząc ją na górę, Paul opowiedział jej, co zastał po powrocie do domu, po czym zaspokoił jej ciekawość szczegółami nieszczęść, jakie przydarzyły mu się w Berlinie. Annie stwierdziła, że przeżycia odbiły się niekorzystnie na jego wyglądzie. Był blady, miał ściągniętą twarz, włosy były w nieładzie, ubranie wymięte. Był nie ogolony. Napięcie i obawę widać było wyraźnie w ułożeniu ust i zwężonych oczach. O porwaniu Joanny mówił głucho, głosem, w którym słyhać było kontrolowaną wściekłość.

- Wciąż udaje, że jest mną - zakończył ponuro Paul. - Na dodatek, jest z nim Joanna.

- Ale nie jesteś tego pewny.

- Wiem o tym. Nie mogę tego udowodnić, ale ja wiem o tym, tak samo jak to, że człowiek o nazwisku George Lish nie żyje, ale tego nie mogę dowieść także.

- Z jakiego powodu miałyby ją porwać?

Kiedy weszli do działu miejskiego, ich uszy zaatakowało brzęczenie i stukot drukarek. Annie była zaskoczona liczbą pracujących w niedzielę. Jakiś młody mężczyzna pozdrowił Paula, kiedy przechodzili obok niego. Paul kiwnął głową, ale nie przerywał rozmowy z Annie.

- Nie wiem i dlatego chcę, abyś mnie poddała hipnozie. Potrzebuję jakiejś wskazówki - gdzie on jest, czego on chce, cokolwiek. Wiemy, że jest w pobliżu, a więc powinno być łatwiej.

- Nie koniecznie - odpowiedziała. - Energia mózgu nie została naukowo zmierzona, ale dostępne dowody wskazywałyby na to, że fizyczne pokrewieństwo nie jest tak krytyczne, jak doświadczenie emocyjne i harmonia receptorów.

- Emocyjne?

- Nie zwracaj uwagi na żargon. Wystarczy emocjonalne.

- Cokolwiek by to było, wiem jedynie, że muszę się dostać do jego mózgu. Chcę odzyskać Joannę.

Dotarli do biura Paula, które było mniejsze, niż oczekiwała tego Annie. Miejsca wystarczało na dwa krzesła, biurko i szafkę z kartoteką. Na jednej ścianie wisiała tablica ogłoszeń z poprzypinanymi wiadomościami. Na biurku znajdował się druczany koszyk z różowymi karteczkami do notowania. Obok stała fotografia, zrobiona na karuzeli, Paul i młoda kobieta stali obok siedzącego na jednorożcu chłopca.

- Nie ma kanapy - powiedział Paul - ale podłoga wystarczy. Annie popatrzyła w dół. To nie było idealne miejsce, ale Paul był oswojony z otoczeniem, co mogło być pomocne w zrelaksowaniu go. Paul powiedział: - Mam rozluźnić pasek i tak dalej?

- Cokolwiek, abyś czuł się wygodnie. Paul zrzucił buty i położył się.

- Nie gwarantuję, że to zadziała - ostrzegła go Annie.

- Dlaczego nie? Przedtem działało.

- Nie całkiem. Robiliśmy coś innego. Szukaliśmy w twojej pamięci. Wszystko, co odkryliśmy pasowało do jednego wzoru - twój brat był w stanie wysokiego podniecenia emocjonalnego, a ty byłeś we śnie.

- Po prostu zrobmy to, dobrze?

Annie obrzuciła spojrzeniem pokój. - Potrzebujemy czegoś, na czym byś się skoncentrował.

- Skoncentruję się na Karlu.

Miała na myśli coś konkretnego, aby na tym skupić uwagę. W pokoju znajdowała się lampa Luxor, była przytwierdzona do biurka. Przechyliła ją i rozciągnęła wysięgnik, tak, że klosz znalazł się nad Paulem. Następnie usadowiła się na podłodze obok niego.

- W porządku Paul. Chcę, abyś się odprężył. Oczyść mózg z niepotrzebnych myśli, lęków i zmartwień. Skup swoją uwagę na żarówce, wsłuchuj się tylko w mój głos, zrelaksuj się, zrelaksuj się...

Prowadziła go przez procedurę relaksacyjną, zwracając uwagę na kolejne części ciała, posuwając się od zewnątrz, poprzez tułów, aż do twarzy.

- Powieki stają się ciężkie - mówiła niskim głosem, rytmicznie i monotonicznie. - Stajesz się śpiący, powieki stają się tak ciężkie, że nie możesz ich utrzymać...

Paul zamknął oczy, ale to nie odniosło skutku. Nie był ośpały. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach, jakby pisał na ostatnią chwilę. Fakty wyłaniały się, jakby wydobyte strumieniem światła z mroku. Nie mógł go ani przytłumić, ani rozproszyć, wydarzenia powracały wskazując drogę w różnych kierunkach.

- Twoje ręce stają się ciężkie, ciężar rozchodzi się od barków i dociera do końców palców, jak ołów, tak ciężki, że nie możesz poruszyć rękami. Twoja prawa ręka jest gruba i

ciężka i nie możesz poruszyć nią, nawet jeśli byś bardzo się starał. Nie możesz podnieść ręki, taka jest ciężka. Twoja ręka, całe ciało jest jak bryła ołowiu. Nawet gdybyś bardzo się starał, nie możesz jej podnieść. Możesz spróbować teraz, Paul. Spróbuj podnieść ramię i poczuj, jakie jest ciężkie, poczuj jak bezwładne zrobiło się twoje ramię...

Paul podniósł rękę i otworzył oczy. - To nie działa na mnie.

- Opierasz się sugestii. *

- Staram się.

Annie potrząsnęła głową.- Widzę to po tobie. Kiedy ręka rozluźnia się, marszczysz twarz; kiedy twarz jest rozluźniona barki się napinają; kiedy one relaksują się, dłonie są naprężone. Nie pozwalasz, aby to się stało. Za dużo myślisz.

Paul usiadł. - Nic nie poradzę. Wciąż układam fragmenty łamigłówek. George Lish, terminal Bayonne, Joanna - oni są w jakiś sposób połączeni.

- Przestań myśleć. Opróżnij mózg.

- Próbuję.

- Nie nie próbujesz, nie jesteś skoncentrowany.

- No dobrze, zrób to jeszcze raz.

Paul położył się i zamknął oczy. Tym razem Annie pomyślała, że udało jej się wprowadzić go w lekki trans. Powiedziała Paulowi, żeby wyobraził sobie sygnał nadchodzący od Karla, strumień światła wychodzący z oczu Karla, jakby projektor rzucał przezroczy obraz na wewnętrzny ekran w jego mózgu. ‘

- Obraz, który widzisz jest tym, co widzi Karl. Patrzysz jego oczami, patrzysz oczami Karla i widzisz to, co on widzi. Na ekranie twojego umysłu odzwierciedla się to, co widzi Karl. Powiedz mi, co to jest? Powiedz mi, co widzisz na ekranie swojego umysłu.

Annie zobaczyła gałki poruszające się pod zamkniętymi powiekami.

- Pozwól, aby umysł pozostawał pusty, pusty jak ekran. Pozwól, aby sceny widziane oczami twojego brata rozgrywały się na tym ekranie. Na cokolwiek Karl teraz patrzy, w tej chwili, jest tym, na co ty teraz patrzysz. Światło i cień, kształty i kolory, wszystko staje się wyraźne. Świat Karla wyłania się przed twoimi oczami. Widzisz to, co on widzi, obydwaj stajecie się jednym, obydwaj patrzycie na to samo. Powiedz mi, co jest na ekranie, Paul. Jakie widzisz obrazy?

Zmarszczył brwi.

- Nie rób nic na siłę - powiedziała - tylko rozluźnij się, Paul. Rozluźnij się i pozwól, aby to przyszło zupełnie naturalnie...

Paul poczuł jak walczy z jej sugestią. Zdarzało się, że głos Annie doprowadzał go do czegoś podobnego do transu, ale przez cały czas zdawał sobie sprawę, że jego mózg stawia opór. Nie chciał relaksu, nie chciał pozbawić się kontroli. Chciał i zarazem nie chciał wejrzeć do mózgu swojego brata.

To nie miało sensu. Otworzył 'oczy. Twarz Annie, odsunięta zaledwie o kilka stóp, oświetlona światłem rozproszonym na zasłonach okiennych skierowana była w stronę działu miejskiego.

- Nie działa - powiedział i podniósł się z podłogi. Annie siedziała wciąż na podłodze, patrząc na niego. - Moglibyśmy zastosować środek na uspokojenie.

- Nie, żadnych środków na uspokojenie.

- Chcesz ją odnaleźć, czy nie?

- Ale żywą.

Słowa wypowiedziane bezwiednie zaskoczyły ich obojga. Na twarzy Annie pojawił się wyraz zrozumienia. Wstała.

- To o to chodzi. To dlatego nie chcesz wprowadzić się w trans. Boisz się, że będziesz świadkiem jej śmierci. To dlatego nie możesz się zrelaksować.,

Gdy tylko to powiedziała, Paul zrozumiał, że miała rację.

- Mam rację, nieprawdaż? - Annie nalegała.

Paul skinął głową. - To jest tak, jak gdybym posiadał władzę nad jej życiem. Czuję, że jeśli zasnę, albo wpadnę w trans, on zabije ją. Tak jakby moja świadoma wola była tarczą. To szalone, ale tak właśnie to odczuwam.

- Może to nie jest takie szalone.

Paul popatrzył na nią ostro. W oczach Annie malowało się podniecenie. - Może trzymasz ją przy życiu - powiedziała - może twoje pragnienie ocalenia swojej żony - znaczenie jakie ma dla ciebie jako istota ludzka - może te uczucia są odczuwalne dla Karla. Nie w świadomości, ale pod postacią uczuć?

- W takim razie nie powinienem poddawać się transowi.

- Wszystko to tylko spekulacje - mówiła z powątpiewaniem - ale jeśli to prawda? Jeśli naprawdę utrzymujesz ją przy życiu?

Paul był dezorientowany. Aby ocalić Joannę musiał odnaleźć Karla, aby jego odnaleźć musiał nawiązać z nim łączność telepatyczną, ale po to musiał zostać zahipnotyzowany, co z kolei mogło być niebezpieczne dla Joanny. To było błędne koło bez wyjścia.

Podniósł słuchawkę i wykręcił 4478. Była tylko jedna droga, najtrudniejsza, uparte posuwanie się naprzód, krok za krokiem, zbierając dane, dopóki nie zacznie wyłaniać się rozwiązanie.

- Archiwum. To ja.

- Pam, znalazłaś coś?

- Niewiele o Lishach z Naslville i Seattle, ale ten z Houston to wygląda na niezły numer.

- Co masz na myśli?

- Przyjdź tutaj, to ci pokażę.

- Powiedz teraz, Pam. Co znalazłaś?

- No dobrze, dobrze. Pan Lish z Houston okazuje się być członkiem „Ranka” - znasz to, gromada półgłówków, którzy zabili prezentera radiowego w Teksasie.

- Przysłali mu bombę pocztą?

- Anonimowe groźby sędziemu, który ich skazał. Jeśli piszesz o tych pomyłkach, lepiej zacznij otwierać pocztę przy pomocy kombinerek.

- Co z tym Lishem?

- Był jednym z założycieli „Ranka” w latach siedemdziesiątych. Nie był oskarżony w procesie o podłożenie bomby, ale dwukrotnie usunięto go z sali sądowej za urządzenie demonstracji.

Paul zanotował. Po odłożeniu słuchawki powiedział Annie to, czego się właśnie dowiedział od Pam.

- Wyjechał w czwartek rano - Paul ciągnął - a ja śniłem jego śmierć w czwartek w nocy. Wziąwszy pod uwagę różnicę czasu, było to w czwartek po południu w Houston.

- Myślisz, że Karl zabił go w Houston?

- Nie wiem. Pam próbuje dowiedzieć się, dokąd wyjechał Lish. Ale jeżeli został zabity w Houston, to wiemy o trzech miejscach pobytu Karla: dwa tygodnie temu w Bayonne, trzy dni temu w Teksasie i dzisiaj rano w moim domu. Nowy Jork, Houston, Waszyngton. To musi mieć jakiś związek ze sobą.

- Pomińmy to - powiedziała Annie. - Skoncentrujmy się teraz na tym, gdzie on jest w tej chwili. Powinniśmy go znaleźć i nawiązać kontakt umysłowy, jaki istnieje między wami. To jest ważne.

Twarz Paula spochmurniała i Annie dodała szybko: - I odnaleźć twoją żonę, Paul. Wiem, że to jest najważniejsze.

Paul wątpił, aby to było dla niej najważniejsze. Zanim zdążył odpowiedzieć, zadzwonił telefon. To był Vic. Chciał wiedzieć, czy Joanna jeszcze się nie odnalazła.

- Sytuacja nie uległa zmianie - odpowiedział Paul.

- A więc mam dla ciebie informację - kontynuował Vic - ale nie podoba mi się to, co mam.

- Co?

- DE 3186 SF to przesyłka, po dziesięć sztuk, urządzenie zakłócające łącza komunikacyjne i przysyłowe danych, typ AŃ łamane przez MLQ pauza T sześć.

- Urządzenie zakłócające łącza, a cóż to takiego?

- System zabezpieczenia transmisji radiowych. A ta twoja druga przesyłka... «

- Zaczekaj chwilę - Paul chwycił pióro i kartkę papieru. - Podaj mi jeszcze raz numer.

Alfa Mikę...

- Alfa, Nina, łamane przez Mikę, Lima, Quebec, pauza, tango, sześć.

- W porządku. Co dalej?

- QL4416 HS to dwieście pięćdziesiąt sześć sztuk Redeye - broni taktycznej typu XM41E2.

W chwili, gdy usłyszał słowo Redeye, przed oczyma stanął mu obraz otwartych drzwi, za którymi widać było chmury.

- Redeye - powtórzył.

- Iks, Mikę, cztery, jeden, echo, dwa. Masz to? Paul szybko zanotował. - Tak, w porządku.

- Pamiętaj, nadstawiłem przez to własny tyłek. Nie wystaw mnie Charliemu, hm?

- Nie zrobię tego. Dzięki, Vic.

Gdy odkładał słuchawkę telefonu, Annie przyglądała mu się bacznie. - Co się stało?

- Pocisk Redeye - powiedział wolno Paul. - Sen, jaki miałem w samolocie. To wraca teraz do mnie.

- Jaki sen?

Paul opowiedział swój sen i w jaki sposób przypomniał go sobie, w chwili gdy Vic wymienił pocisk Redeye: pokój z Joanną w środku i drzwi otwierające się w niebo, po którym leci odrzutowiec...

Przerwał, myśli kłębiły mu się w głowie.

Annie stwierdziła: - To brzmi jak normalny sen, a nie odbicie wrażeń Karla.

Paul nie słuchał. Wraz z informacjami o ładunku Redeye fakty zaczęły nabierać innego znaczenia, tworząc nić, wyraźny wzór, który stopniowo wyłaniał się jak statek z mgły.

- Zaczekaj chwilę, zaczekaj... - powiedział. Zaczął nerwowo chodzić po pokoju. - Zapomnij na chwilę o Lishu i pomyśl o Redeye. Może z tego powodu Karl był w Bayonne, nie w poszukiwaniu ofiary, a broni. A jeżeli przybył do Bayonne, by ukraść Redeye?

- A co to właściwie jest, to Redeye?

- Pocisk samonaprowadzający używany do zestrzeliwania samolotów. A jeśli jest tutaj, aby zestrzelić samolot...

Myśli układały się jedna za drugą, kolejna modyfikowała poprzednią, zmieniała kontekst, przekształcała znaczenie jego doznań. Czy Karl przybył do Ameryki, aby ukraść Redeye i zestrzelić samolot? Jeżeli tak, to dlaczego? Dlaczego nie użyje bomby? Dlaczego nie wysadzić samolotu tak, aby wyglądało na wypadek? Nie było powodów, by użyć Redeye, chyba że...

Chyba że nie było innego sposobu zniszczenia samolotu. Nie... chyba że ofiara nie mogła być usunięta w inny sposób. Człowiek tak dobrze strzeżony...

Paul zatrzymał się. Była tylko jedna odpowiedź.

- Boże! Prezydent...

- Co?!

Odwrócił się w stronę Annie. - Jego celem nie jest Lish, a prezydent Stanów Zjednoczonych. To dlatego potrzebuje pocisku Redeye! Annie popatrzyła na niego. Chwyił ją za łokieć.

- Sen - głos mu się załamał. - Spadający samolot. To nie był mój sen, a Karla. Planuje zestrzelenie Air Force One.

Paul puścił ją i obrócił się do telefonu, wyciągając z kieszeni koszuli numer do Hugh'a Roarka.

- Zaczekaj chwilę - powiedziała Annie. - To wielki skok...

- To są przygotowania, to wszystko - to przygotowania...

- Ale czy pocisk został skradziony?

- Tak.

- To ci powiedział ten mężczyzna?

- Nie.

- Więc, skąd wiesz...

Paul wykręcił właśnie numer telefonu. Annie przysunęła się i położyła rękę na słuchawce.

- Paul, możesz poczekać? Zaczekaj tylko chwilę.

- Dzwonię do Hugh'a. Prezydent jest w niebezpieczeństwie...

- Nie wiesz tego.

- Dowiem się. Nie mogę tego udowodnić, ale wiem to. Jestem pewny, że Karl w jakiś sposób zdobył Redeye i użyje go do zestrzelenia samolotu prezydenta. Kogoś innego zabiłby w inny sposób, tak albo siak, tak jak pozostałych. Ale prezydenta - w jaki sposób zabiłabyś najlepiej strzeżonego człowieka na świecie? Nie zrobiłabyś tego. Zniszczyłabyś samolot, na którego pokładzie by się znajdował.

Paul odwrócił się do telefonu, ale Annie przytrzymała go za łokieć.

- Paul, dlaczego? Powiedziałeś, że Karl pracuje dla Rosjan. Dlaczego Rosjanie mieliby chcieć zamordować prezydenta, skoro jutro ich przywódca przylatuje, by podpisać traktat?

Paul patrzył na nią. Czuł się tak, jakby właśnie przechodził przez ceglany mur. Był pewien, że ma rację, ale wiedział też z całą pewnością, że to, o czym mówi Annie, to prawda. Dlaczego sowietci chcieliby zastrzelić prezydenta teraz?

- Nie wiem... Może by nie dopuścić do podpisania traktatu, doprowadzić do innego z nowym prezydentem...

- Widzisz? - przemówiła łagodnie Annie. ^- Dochodzisz do pochopnych wniosków. Wiem, śniłeś o spadającym samolocie, ale to nie jest niezwykle. Byłeś na pokładzie samolotu. Zważywszy że o tym myślałeś, byłoby dziwne, gdybyś nie śnił. A teraz pomyśl o pocisku. W jaki sposób jeden człowiek mógłby ukraść coś tak dużego? Potrzebowałby pomocy.

- Nie, nie - Paul potrząsnął głową. Lista lektur Annie z pewnością nie obejmowała Jane's Weapons Systems. - To jest pocisk wystrzeliwany z miotacza ręcznego. Przenośny. Możesz podnieść go jedną ręką.

- Nie doniesiono jednak o kradzieży, prawda?

- Nie wiem.

Jej oczy patrzyły z typową zawodową uwagą. Paul odsunął się.

Annie powiedziała szybko: - Dlaczego nie usiądziesz, Paul? Uspokój się...

- Nie traktuj mnie protekcyjnie, Annie.

- Nie robię tego.

- Robisz to, do diabła.

- W porządku, ale zanim podejmiesz jakąś decyzję, przynajmniej przemyśl wszystko.

Paul spojrział na zegarek. - Prezydent ląduje za niecałą godzinę. Myślę, że istnieje szansa, że Karl jest gdzieś tam z pociskiem Redeye i czeka, by go zestrzelić. I wiem, że ma Joannę. Co proponujesz? Masz ochotę wziąć na siebie odpowiedzialność za śmierć prezydenta? Czy Joanny?

Annie zaczęła tracić pewność siebie. - A co z Georgem Lishem?

Paul zapomniał o Lishu. Przez chwilę scenariusz, który zbudował groził zawaleniem się. Potem przypomniał sobie coś o jednej z ofiar współpracującej z CIA.

- Jim Wilson. Pamiętasz, jak został znaleziony? W bagażniku własnego samochodu z podejrzanym gardłem i znakiem, który wzięto za symbol jakiejś antyamerykańskiej grupy tureckiej. Tyle że znak był fałszywy, pamiętasz? By rzucić podejrzenie na kogoś innego.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Że George Lish...

- Może być kozłem ofiarnym - dokończył Paul. - Być może nigdy nie, był właściwą ofiarą.

Po raz pierwszy dotarło do nich straszne znaczenie tego, co powiedział Paul. Annie tym razem nie protestowała, gdy wykręcał numer do Hugh'a Roarka. Agent CIA otrzymał poprzednią wiadomość od Paula i dzwonił do niego do domu przed pół godziną.

- Nie jestem w domu - powiedział Paul. - Jestem w redakcji. Razem ze mną jest Annie.

- Co ona tam robi?

Paul pośpiesznie opowiedział mu o tym, co się wydarzyło od czasu, gdy się rozstali. Streścił wszystko, co tylko było możliwe. Hugh nie mógł za nim nadążyć. Powtarzał: - Yhm, yhm - i prosił Paula o powtórzenie lub wytłumaczenie czegoś. Gdy Paul oświadczył, że sądzi, iż Karl zamyśla zastrzelić prezydenta, Hugh zamarł zmrożony.

- Mówisz poważnie? Naprawdę myślisz, że on ma Redeye?

- Hugh, tak myślę. Nie mogę tego udowodnić a Annie uważa, że zwariowałem...

- Nie powiedziałam tego - zawołała Annie.

- Twój informator - powiedział Hugh - nie może ci powiedzieć, czy jeden pocisk został ukradziony?

- Nie teraz. Prezydent ląduje za czterdzieści pięć minut. Chcesz ryzykować?

- Nie. Zostań na miejscu. Zaraz do ciebie wrócę.

- Nie chcę tu zostawać. Chce być tam, gdzie on będzie. Tam, gdzie samolot prezydenta schodzi do lądowania. W Bazie Andrews Sił Powietrznych.

- Nie, nie możesz nic zrobić poza tym...

- Jeżeli go znajdę, znajdę i Joannę.

- Służba Bezpieczeństwa chce z tobą porozmawiać. Lepiej zostań.

- W żadnym razie.

- Paul...

- Idę szukać Joanny, ty zajmij się resztą.

- Zaczekaj. Pozwól mi porozmawiać z Annie.

Paul odsunął słuchawkę. - Chce z tobą porozmawiać.

W czasie gdy rozmawiała z Hugh'em, Paul wyszedł do drugiego aparatu. Wykręcił numer Instytutu Meteorologii. Wysłuchał nagranej na taśmie prognozy pogody i informacji o aktualnych warunkach meteorologicznych. Interesowała go tylko jedna informacja: kierunek wiatru. Przez lata pisywał reportaże z wizyt prezydenta i był zaznajomiony z powietrznymi korytarzami nad Andrews. Gdy usłyszał, że wiatr wieje z południa, wiedział, że użyty zostanie pas 19. Jeżeli Karl ukrył się po przeciwnej stronie toru, to znaczy, że powinien się znajdować na północ od lotniska.

Odłożył słuchawkę telefonu, zawołał Annie i ruszył do windy. Według jego obliczeń mieli mniej niż godzinę czasu na znalezienie Joanny i uratowanie życia prezydenta.

Rozdział 29

Karl pragnął żony brata, zanim ją zabije. Pragnął ją posiadać w każdy sposób, również duchowo. Decyzję o tym, że Joanna umrze, podjął jadąc do domu przy Toons Creek. Zrezygnowanie z zabicia Paula naraziło na niebezpieczeństwo jego własne życie, a teraz zagrażało bezpieczeństwu misji. Nie chciał popełnić jeszcze raz tego samego błędu.

A teraz podczas tego wlokącego się popołudnia jego uczucia uległy subtelnej zmianie. Na początku był zainteresowany rozmową z Joanną, która umożliwiła mu podglądnięcie natury Paula. Ale w chwili, kiedy przenieśli się z kuchni do pokoju gościnnego, jego uwaga skupiła się w przeważającym stopniu na Joannie. To był pojedynek na inteligencję, między nim a Joanną. Czy naprawdę? Jej odpowiedzi wydawały się nieskończenie zmienne; raz była uczciwa i szcera, w chwilę później kapryśna i ironiczna, by z kolei stać się lękliwą i pełną obaw. Każda uwaga, która świadczyła, że absolutnie nic nie rozumie, była równoważona tak zdumiewającą trafnością niektórych wypowiedzi, że Karl podejrzewał ją o umiejętność czytania w jego myślach. Jej nastroje były jak żywe srebro; próba uchwycenia jej myśli przypominała łowienie ryby w bystrym potoku.

To właśnie w salonie jej wygląd zaczął wywierać na nim seksualne wrażenie; sposób w jaki usiadła, jak ułożyła nogi pod sobą, jak wysunęła głowę do przodu, ładnie zarysowane, rozchylone wargi, czasami płaskie, czasami lekko skrzywione, zmieniające kształt w rytmie uczuć. Zwrócił uwagę, w jaki sposób sweter układa się na jej ramionach, na obły kształt uda tam, gdzie chowało się ono pod szerokim mankietem szortów. Spojrzenie podążało w ślad za długimi rękami, które były w ciągłym ruchu, nerwowo poprawiając rękawy swetra. Na palcu

znajdował się pierścionek ślubny, wąska obrączka wysadzana malutkimi diamentkami. Taką samą nosił Paul. Żałował, że nie zabrał go Paulowi razem z portfelem.

Stojąc w salonie, przy oknie, kiedy ona wyszła do łazienki, wyobraził sobie stosunek z nią. Fantazja podsunęła mu obraz Joanny stojącej tuż przed nim, z roziskrzonymi oczami, pożądamy go tak samo, jak on ją. Położyłyby ręce na jej biodrach, następnie wolno, wsunawszy je pod sweter, przesunęłyby do góry wzdłuż jej ciała, czując krzywiznę jej talii i leciutko wyczuwalne pod skórą żebra, płynnie przechodzące w miękkie, nabrzmiałe piersi. Objęłyby go, opierając swe ciało o niego, rozłożyłyby ręce i założyła na szyję, twarzą zwrócona w jego kierunku. Ich wargi złączyłyby się, aż do spotkania zębów. Poczuliby miękkie ciepło jej policzka na twarzy.

Zagubiony w swoich fantazjach nie zwracał uwagi na alarm, który podniosły cieniutkie dzwonki, gdzieś w głębi jego duszy. Dopiero wtedy, kiedy wróciła i odezwała się wyraźnie uwodzicielskim tonem „Karl, czy mogę cię naciągnąć na ten kieliszek wina” zakłęcie prysnęło.

Ona będzie próbowała go uwieść.

Zrozumiał z przerażeniem, jak bardzo uległ złudzeniu, że on i Paul stali się w jakiś sposób jedną osobą, Joanna jest jego żoną w takim samym stopniu jak Paula, a to, że Paul był dla niej pociągający spowoduje, że i on będzie porównywalnie dla niej atrakcyjny. Zdawał sobie sprawę, że tworzy iluzję, ale pogodził się z tym i pozwalał się im ponieść. Proponowała coś najbardziej podniecającego: że po raz pierwszy w życiu ktoś zrozumie go. Stojąc w obliczu tego, uległ.

Dopóki nie przeszarżowała.

- Chcesz wina? - zawołał, szybko odzyskując równowagę. Pojawiła się Joanna, sugestywnie opuszczając ramię.

- Proszę.

Nie, pomyślał Karl, posuwasz się za daleko. Ten głos, ramiona, to za wiele.

,- Napiję się razem z tobą - powiedział.

Szybko przeszedł obok niej, tak aby nie zauważyła wyrazu zadowolenia w jego oczach. A może podziwu? O czym to mówił Paul? Joanna jest najbardziej wnikliwie analizującą uczucia kobietą, jaką kiedykolwiek poznał. Teraz Karl wiedział, co on miał na myśli. Joanna wyszperała słabość tam, gdzie, jak uważał, jej nie było. Odkryła pogrążoną przez lata potrzebę zrozumienia, może nawet akceptacji.

Widząc jasno, do czego ona zmierza, był zdumiony, że udało jej się zaprowadzić go tak daleko. Przed sekundą wyobrażał sobie miłość z nią. Znowu nawiedziła go wizja ich

dwojga razem, ale tym razem to ona była agresorem. Całowała go, rozbierała, przesuwała usta wzdłuż ciała, zachęcała... swoimi długimi palcami, podniecała go. Co dalej? Spróbuje złapać rewolwer? Zgnieść mu kolanem genitalia? Jak daleko się posunie?

Podszedł do komody, wyjął kieliszki do wina i postawił na blacie stołu. Joanna stała obok stołu, patrzyła na niego.

- To zabawne przebywać tutaj razem z tobą - powiedziała - ciągle myślę, że jesteś Pauliem.

Wbrew sobie, Karl poczuł, że znowu wciela się po trosze w osobę Paula, tym razem jednak rozpoznał i zrozumiał, co się z nim dzieje. Uważnie, pilnując się, odezwał się lekkim tonem.

- Tylko Paul jest miłszy i bardziej delikatny?

- Może, ale nie byliśmy razem w najlepszej z sytuacji...

Tym razem słowa nie były poparte grą ciała, sugestie w tonie mniej rzucały się w oczy. Czy zorientowała się, że zaczęła za mocno? Karl zastanawiał się. Czy czyta w nim aż tak dobrze, że zmieniła zachowanie?

- Może można to naprawić? - odezwał się.

Karl otworzył lodówkę i wyjął ochłodzoną butelkę białego wina. Już zdecydował, jak z nią postąpi. Najpierw będzie ją zachęcał do picia. Jeśli ma zamiar grać taką rolę, o jaką ją podejrzewał, będzie potrzebowała odwagi, w nabraniu której pomoże jej alkohol. Pamiętał butelkę szkockiej na stole, obok jej łóżka i domyślił się, że, kiedy jest przygnębiona, często sięga po alkohol. Miał nadzieję, że ponieważ to uwiarygodni jej śmierć. Będzie wyglądało na to, że skrzyła kark, kiedy nie trafi w zakręt i samochód stoczy się do rzeki Patuxent. Jeśli zawartość alkoholu w jej krwi będzie znaczna, tym lepiej. Tymczasem, zabawnie będzie obserwować ją, jak próbuje go usidlić, a przy okazji dowie się, jak daleko może się posunąć. Nie będzie go łatwo sprowokować do stanu seksualnego zapamiętania - Joanna będzie musiała bardzo się napracować.

- Mam nadzieję, że lubisz białe wino - powiedział, stawiając butelkę na stole obok kieliszków. Kiedy Joanna zobaczyła butelkę uśmiechnęła się. - Nie wierzę w to.

- Proszę?

- Paul powiedział ci, że lubi Orbietto Classico?

- Czy powiedział mi?

- To jedno z jego ulubionych win, nie powiedział ci tego? Karl potrząsnął głową, uważnie jej się przyglądając. Wyglądało na to, że tym razem jest z nim szczerza.

- No cóż - powiedziała lekko - może podzielacie te same zamiłowania w życiu.

- Tak, na to wygląda.

Odwrócił się, aby sięgnąć po korkociąg. Joanna mogła rozpocząć próbę uwiedzenia, ale do niego będzie należało zakończenie. Pragnął widzieć wyraz jej twarzy, kiedy będzie głęboko w niej...

Właśnie znalazł w szufladzie korkociąg, gdy coś - odbicie ruchu na powierzchni odległego czajnika, szelest tkaniny, ciche stęknęcie wywołane wysiłkiem fizycznym - zaalarmowało go. Odwrócił się w ostatniej chwili, zginając kolana, aby zobaczyć butelkę trzymaną w podniesionej ręce. Butelka spadła jak zielona błyskawica...

Udało mu się, podnosząc rękę do bloku, zobaczyć jej twarz, o jakże teraz odmiennym wyrazie niż przed chwilą. Miała zaciśnięte szczęki, w oczach czaił się strach i nienawiść. To był widok prawdziwej Joanny, a przynajmniej - Joanny, która była jego wrogiem.

Ręka częściowo odparowała uderzenie, blokując jej nadgarstek, ale butelka siłą bezwładu rozbiła się na jego skroni. Feeria białych gwiazd wyprysnęła przed jego oczami. Łapiąc ją, kolana ugięły się pod nim i runął na podłogę.

Coś się poruszyło, coś szarpało go za marynarkę. Zamrugał oczami i zobaczył ją na kolanach, obok niego, z wyciągniętą ręką. Próbowala wydobyć rewolwer z jego kieszeni. Kiedy zobaczyła, że ma oczy otwarte, odskoczyła szybko. Udało mu się złapać ją za kostkę u nogi, lecz wyrwała się i wybiegła z pokoju, a on został z butem w garści.

Staął chwiejnie i ruszył za nią. Na korytarzu zawrót głowy odrzucił go na ścianę. Stracił reprodukcję obrazu „Homer” Winslowa. Nie zwrócił na to uwagi. Wydobył rewolwer, zanim dotarł do drzwi.

Biegła w kierunku lasu omijając stajnię, oddalona o dwadzieścia stóp od Karla.

- Stój, stój natychmiast - zażądał Karl.

Zmieniła kierunek, zmierzając do stajni. Strzelił szybko w chwili, kiedy stanęła przy drzwiach. Odległość wynosiła trzydzieści stóp. Przysiadł celując starannie, ale ciągle przed oczami wirowały mu światełka, jak na diabelskim kole w lunaparku. W momencie, gdy szarpnięciem otworzyła drzwi, nacisnął spust jeszcze raz i zobaczył sypiące się drzazgi u góry i na lewo.

Wtedy zniknęła w stajni.

Doskonale, pomyślał prostując się. Teraz była w potrzasku. Jedyne drzwi do stajni były po jego stronie. Stawiał kroki ostrożnie. Głowa mu pulsowała, ale dotykając palcami skroni nie poczuł krwi. Oddychał głęboko. Odzyskał ostrość wzroku. Udał jej się szczęśliwie pierwszy cios. Nie będzie miała okazji, aby zadać jeszcze jeden.

Natychmiast po przybyciu razem z Annie do Bazy Andrews, Paul zrozumiał jak nieprawdopodobnie trudne wyznaczył sobie zadanie. Baza była zlokalizowana w odległości mniejszej niż piętnaście mil od Waszyngtonu, w rejonie gdzie osiedla mieszkaniowe, centra handlowe, magazyny fabryczne przemieszane były z małymi gospodarstwami rolnymi, zaoranymi polami i gęstymi lasami. Każde z nich doskonale nadawało się na kryjówkę. Był przynajmniej na tyle przewidujący, że zabrał ze sobą mapę hrabstwa Prince George. Chociaż to zawężało teren poszukiwań, to jednak pozostawało wciąż zbyt wiele miejsc, gdzie Karl mógłby się znajdować.

Przyjechali na miejsce w rekordowym czasie, slalomem wyprzedzając samochody. Przez całą drogę, Paul głośno myślał, próbując odtworzyć sposób rozumowania swojego brata i przeklinając samochody, które zajeżdżały mu drogę. Przez większość czasu Annie siedziała kurczowo uczepiona swojego siedzenia. Nie lubiła sportowych samochodów a pasy bezpieczeństwa w alfie romeo nie miały nawet części barkowej.

Paul wjechał na parking przy sklepie sieci 7-11 i porwał mapę z kolan Annie. Po przeciwnej stronie ulicy wysokie ogrodzenie zaznaczało granice Bazy. Widać stąd było główne wejście i żandarmów w białych rękawiczkach kierujących potokiem pojazdów wjeżdżających i wyjeżdżających.

- Myślisz, że to szaleństwo, prawda? - powiedział, ślęcząc nad mapą.

- Nie wiem. Jeśli myślisz, że on jest gdzieś tutaj...

- Nie - powiedział wolno Paul - to więcej niż on. Jo jest w niebezpieczeństwie i ten skurwysyn jest w posiadaniu rakiety Redeye. Jestem tego pewny...

Tylko że zdanie rozpoczęte z takim przekonaniem, teraz straciło nieco na pewności. - Nie wiem, czy on jest tutaj. Nie działa ona na mnie...

- Masz na myśli bazę?

- Wszystko. Mam to przecucie, że prezydent jest w potwornym niebezpieczeństwie...

- zamilkł, marszcząc czoło. - Albo to Jo. To może być ona, a nie on. Tylko na co, u diabła, potrzebna byłaby Karlowi rakieta, jeśli nie chodzi mu o prezydenta? - Przyłożył dłonie do swoich skroni, potrząsnął głową i uderzył pięścią o kierownicę.

- Uspokój się, Paul. Pozwól jedynie, aby twój umysł się zrelaksował - powiedziała cicho Annie.

- Nie mogę, nie jestem w stanie. Coś się dzieje, to musi mieć związek z Joanną, Redeye i Air Force One...

Winnebago ofiarowało Joannie przelotną nadzieję.

Zasłaniało widok na tyły stajni i nie zorientowała się, zanim nie obiegała go dookoła, że ze stajni nie ma tylnego wyjścia.

Dokonała błędnego wyboru, chroniąc się w stajni, ale strzał wyprowadził ją z równowagi. Ostry dźwięk wystrzału wciąż brzmiał jej w uszach, czuła mrowienie w ręce od momentu, kiedy drzwi odskoczyły po uderzeniu kuli. Stajnia wydawała się być jej jedyną szansą. Teraz, szaleństwo tej decyzji było aż nadto widoczne. Oprócz Winnebago stał tam stół warsztatowy otoczony przez półki i trzy zbiorniki z propanem pod jedną ze ścian. Nie było żadnej kryjówki prócz Winnebago, ale czyż to nie była tylko jeszcze jedna pułapka wewnątrz pułapki?

Chcąc coś zrobić, otworzyła drzwiczki Winnebago. I wpadła na pomysł. Nagle schyliła się i wsunęła pod samochód. Podłóże było chropowate i przesiąknięte zapachem wilgotnego brudu. Czuła gniotące ją podwozie. Z twarzą zwróconą w jedną stronę mogła widzieć dolną część, ścian stajni pomiędzy spodem Winnebago a podłogą. Wąski pas światła padający z otwartych drzwi przygasł, gdy wszedł Karl.

Zamarła.

Karl widoczny był tylko od kolan w dół. Przez chwilę myślała, że zatrzyma się, jego kolana się ugną, a potem pojawi się jego głowa, gdy zajrzy pod samochód i znajdzie ją.

Przeszedł jednak wzdłuż prawej strony Winnebago, w kierunku drzwiczek, które pozostawiła otwarte.

Myśli, że jestem w środku, przemknęło jej przez głowę.

Kiedy ją minął, zaczęła wycofywać się na tyły samochodu, skąd było bliżej do wyjścia. Włosy zaplątały się w coś i omal nie krzyknęła. Macała dookoła, próbując je oswobodzić. Nie mogła. Karl wsiadł do samochodu i jego buty zniknęły z pola widzenia. Musiała ruszyć się - teraz. Szarpnęła się do przodu, słysząc i czując, jak kępka włosów odrywa się z jej głowy. Schyliwszy się nisko, przedreptała w kucki przez drzwi na zewnątrz i przed frontem domu do miejsca, gdzie było zaparkowane audi.

Kiedy się odwróciła była prawie pewna, że zobaczy Karla idącego za nią. Jeszcze nie teraz. Słońce stało nisko, długie cienie kładły się na podwórzu. Spokój niezgodny z rzeczywistością.

Poruszając się szybko, umiejscowiła magnetyczny pojemnik z kluczykami pod przednim zderzakiem. Niezdarnie gmerała, by otworzyć pudełko. Kiedy się to jej udało, kluczyki wypadły na ziemię. Wyrzuciła pudełko, podniosła kluczyki i wsiadła do samochodu. Z przyzwyczajenia zatrzasnęła drzwiczki i natychmiast tego pożałowała. Karl z pewnością skończył już przeszukiwać Winnebago i prawdopodobnie był teraz na zewnątrz.

Fotel był zbyt odsunięty do tyłu, ale nie mogła tracić czasu na poprawianie go. Przysiadłszy na krawędzi, wsadziła kluczyki do stacyjki i włączyła silnik. Jeżeli nie usłyszał jej do tej pory, to teraz na pewno. Puściła sprzęgło, samochód szarpnął do przodu i silnik zgasł. Nie zwolniła hamulca ręcznego.

Zwolniła go teraz i zapaliła ponownie silnik. Tym razem gdy puściła sprzęgło, audi wystrzeliło jak z procy, musiała złapać kurczowo kierownicę. W tylnym lusterku, gdy zakręcała nadal nie było widać Karla i dom zniknął pośród drzew.

Odetchnęła głęboko, nacisnęła guzik i opuściła okna. Okienko w dachu było również otwarte, lecz zanim zdążyła je zamknąć, w polu widzenia ukazało się żelazne ogrodzenie. Przez chwilę kusilo ją, by je rozwalić, lecz w ten sposób mogła przebić oponę lub zniszczyć chłodnicę czy wbić błotnik w felgę. Rzut oka do tyłu upewnił ją, że droga jest pusta. Zahamowała gwałtownie, pozostawiła silnik na biegu, wysiadła z samochodu i pchnęła bramę. Siedząc ponownie w samochodzie uświadomiła sobie, jak bezbronna czuła się poza nim.

Droga za nią ciągle była pusta. Miała trochę czasu, by zatrzasnąć drzwi i poprawić fotel. Gdy wyciągała rękę, by zamknąć okno w dachu, uchwyciła kątem oka jakiś ruch, nie na pustej drodze, lecz pomiędzy drzewami z prawej strony.

Biegł za nią, z rozwianą marynarką, tnąc dłońmi powietrze.

Włączyła bieg i wyjechała przez bramę. Gdy zakręcała na drogę, zarzuciło tyłem samochodu a spod kół wyprysnęły kawałki błota. Audi wyrównało i Karl uderzył ramieniem o samochód. Chwycił kurczowo klamkę u drzwi, wpół biegnąc, wpół będąc wleczonym, jakby próbując wskoczyć do środka. Ale drzwi były zablokowane, a okna zakręcone.

Było jednak otwarte okienko w dachu.

Gdy samochód poderwał się do przodu, stracił oparcie, lecz w tym samym momencie złapał się za ramę otwieranego dachu. Uderzył nogami o samochód, ale nie rozluźnił uchwytu. Kiedy Joanna obejrzała się, Karl z przyciśniętą do szyby twarzą, spłaszczonymi i zniekształconymi rysami, starał się utrzymać.

Szarpnęła kierownicą raz i drugi, próbując go odrzucić. Teraz jednak trzymał się obiema rękami za dach i kiedy skręciła w jego stronę, wykorzystał ruch samochodu, by wspiąć się na maskę. Sekundę później wydawało się, że nie uda mu się utrzymać. Teraz rozciągnął się wzdłuż dachu, widać było jego nogi przez tylną szybę i zakrzywione palce, uczipione wewnętrznej krawędzi otwieranego dachu.

Przyspieszyła i równocześnie sięgnęła do wyłącznika, by zamknąć dach. Ukazała się półciężarówka, jadąca wprost na nią. Rozległ się donośny dźwięk klaksonu. Ścisnąwszy

mocno obiema rękami kierownicę, skręciła w bok na swoją stronę drogi. Potem zwolniła, pomyślawszy, że może ludzie siedzący w ciężarówce mogliby jej jakoś pomóc, lecz auto właśnie ją minęło, obrzucając bok audi piaskiem. Jedyne w przelocie zobaczyła twarz kierowcy, łypiącego na nią spode łba. I to było wszystko.

Uważa, że wałęsamy się bez celu, pomyślała.

Ręka Karła wsunęła się przez pięciocalową szczelinę w daszku i próbowała chwycić jej twarz. Zrobiła unik, ale dłoń wczepiła się. Palce wpiły się w policzek, potem ścisnęły czoło i posuwały się w stronę oczu.

Nacisnęła hamulec, samochodem gwałtownie zarzuciło. Głuche uderzenie. Karl pojawił się w polu widzenia i znikł za maską. Samochód ślizgał się na boki w wolnym skreście. Usiłowała nad nim zapanować i prawie jej się to udało, gdy tył audi uderzył w słup telefoniczny.

Wstrząs był duży, ale nie bolesny, jak upadek z krzesłem w tył. Silnik zgasł i w powstałej ciszy słyhać było gwizd przejeżdżającego pociągu. Z lewej strony, w kierunku, w którym jechała, droga wznosiła się, spotykając się z szynami kolejowymi, za szynami biegła uczęszczana autostrada. Za plecami zobaczyła Karła, który podniósł się z kurzu i ruszył w jej kierunku.

Zapaliła silnik i próbowała ruszyć. Audi szarpnęło do przodu i stanęło, buksując tylnymi kołami. Silnik zawył, ale koła jedynie się głębiej zakopały. Zaczęła huścić samochodem przełączając bieg na zmianę do przodu i do tyłu. Za każdym razem bagażnik podnosił się wyżej. Teraz Karl był blisko, widziała nawet wyraz jego oczu. Nie były szalone, dzikie, lecz niesamowicie spokojne, oczy zawodowca. Samochód skierował się z powrotem na drogę. Joanna obróciła kierownicę i tył samochodu zarzucił.

Karl znajdował się w odległości mniejszej niż pięć stóp od tylnego błotnika, kiedy audi ruszyło. Zobaczyła w tylnym lusterku, jak wykonał ostatnią próbę, aby ją dosięgnąć, a następnie upadł na jezdnię. Nie, nie upadł tylko uklęknął, oparłszy łokieć na kolanie, wycelował rewolwer, trzymając go obydwoma rękami. Zgarbiła się, szarpnęła kierownicą w prawo i w lewo, chcąc utrudnić mu celowanie. W każdej chwili oczekiwała, że usłyszy strzał, zastanawiała się, czy jeśli trafi ją w głowę, to usłyszy najpierw odgłos uderzenia pocisku?

Nie oddał strzału. Zamiast tego wyprostował się, włożył broń do kieszeni i zaczął iść za nią. To było czyste wariactwo, była tym bardziej przerażona niż widokiem rewolweru. Nie mógł mieć jakiegokolwiek nadziei, że ją doścignie, a więc dlaczego...?

Wtedy właśnie usłyszała wycie dieslowskiego silnika i zobaczyła pociąg zbliżający się do przejazdu. Długi skład odciąłby ją od bezpiecznej autostrady. Było po wszystkim. O ile...

Wrzuciłaby czwórkę i nadepnęła pedał gazu do podłogi. Jeśli stanie, to on ją zabije. Teraz jeśli umrze, to przynajmniej podczas próby ucieczki a nie bezradna, jak zwierzę złapane w sidła. Pochyliła się w przód, naciskając kierownicę, poganiając pojazd, nie mając odwagi spuścić wzroku z drogi, która dzieliła ją od znaku przejazdu kolejowego, przerażona zbliżającym się w jej kierunku pociągiem.

Przeraźliwy gwizd lokomotywy rozlegał się teraz nieprzerwanie, towarzyszył mu inny dźwięk - pisk metalu blokowanych kół pociągu, próbującego po raz ostatni zahamować. Droga wznosiła się na podkładach kolejowych i Joanna poczuła słabość w żołądku, gdy audi wyskoczyło w powietrze. Do jej świadomości dotarła ciemna, grzmiąca masa, pojedynczy błysk reflektora z lewej strony i potworny hałas. Poniżej mignęły tory. W chwilę później samochód został uderzony silnym podmuchem rozdieranego powietrza. Gwizd pociągu zmienił się, gdy audi z hukiem opadło po drugiej stronie torów. Pociąg przewalił się obok i zamienił w plamę szybko zmieniających się kolorów w tylnym lusterku.

Joanna nie otrząsnęła się jeszcze z szoku, gdy zobaczyła pięćdziesiąt stóp przed sobą sygnał stopu, a za nim ruchliwą autostradę. Jechała z prędkością ponad siedemdziesięciu mil na godzinę.

Nacisnęła gwałtownie hamulec, wiedząc, że to, co robi jest bezcelowe. Jedyne, co mogła zrobić, to próbować nie uderzyć w kogoś i z tą myślą zboczyła celowo z drogi, wjeżdżając na nasyp. Uderzyła prawym błotnikiem, samochód wyskoczył w powietrze i powoli obrócił się na bok. Kiedy uderzył o nawierzchnię, obrócił się raz jeszcze i jeszcze raz i jeszcze raz.

Rozdział 30

Restauracja „Le Sorbet” oddalona była o pół przecznicy od terenowego biura Służb Wywiadowczych przy Ulicy G. To tutaj agent Eliot In-german, zastępca dyrektora Wydziału Tajnych Służb Ochrony, otrzymał informacje o groźbie zestrzelenia Air Force One rakietą Redeye. Przez sześć tygodni pracował dwadzieścia godzin na dobę, koordynując przygotowania różnych agencji, odpowiedzialnych za bezpieczeństwo podczas wizyty Sekretarza Generalnego Związku Radzieckiego. Poprzedniej nocy spał tylko pięć godzin, a potem tkwił w biurze cały dzień. O piątej trzydziści wyślizgnął się cichcem i poszedł do „Le Sorbet”, gdzie zamówił pasztecik nadziewany frutti di marę i filiżankę kawy. Pager zapisał, zanim nadeszło danie. Teraz, gdy stał przy aparacie telefonicznym i słuchał potwornej informacji; o pocisku Redeye, prawdopodobnie skradzionym w celu zestrzelenia

Air Force One, nie mógł pozbyć się uczucia, że gdyby pozostał w biurze i wysłał po jedzenie sekretarkę, to groźba ta nigdy by się nie zmaterializowała.

- Jaka jest jakość tej informacji? - zapytał zrzędlawie.

- Pojedyncze źródło, ale nie potwierdzone. Agent, który go prowadzi uważa go za wiarygodnego, ale to raczej przecucie niż długoterminowa współpraca.

- Kto to jest ten oficer?

- Hugh Roark. Jeden ze starej gwardii. Wyznaczany do zadań specjalnych przez Służbę Bezpieczeństwa. Wydaje się być solidny.

Mężczyzną po drugiej stronie aparatu był Tommy Lecrazny, łącznikowy oficer CIA. Na linii była również asystentka Ingermana, Barbara Ziegler, która jako pierwsza odebrała telefon i skierowała go do niego.

Zapach jedzenia wywołał burczenie w brzuchu Ingermana. Popatrzył w stronę stołu, na którym kelnerka stawiała jego pasztecik. Ingerman uśmiechnął się, skinął głową w jej kierunku i dalej zadawał pytania Lecrazny'emu.

- Kto był pierwotnym źródłem?

- Paul Stafford, reporter Herolda.

Uwaga Ingermana wyostrzyła się. Paul Stafford nie był jednym z najbardziej lubianych reporterów w Waszyngtonie - a szczególnie przez producentów uzbrojenia i niektórych kumpli polityków - lecz nikt nie wątpił w jego wiarygodność i ścisłość jego źródeł informacji.

- Informacja pochodzi ze źródła Stafforda?

- Niecałkiem. To brat Stafforda.,

- Informację podał jego brat?

- Nie, jego brat jest mordercą.

- Brat Stafforda?

- To jest to, czego się dowiedziałem.

- I Stafford go przywołał?

- Tak.

- Wiesz co, odieprz się - powiedział Ingerman miękko.

W całej swej działalności Służby Wywiadowcze kładły nacisk na to, by wykluczyć nagłe wypadki; hasłem pod którym działały było „planowanie z góry”. Porządek każdego dnia był ściśle ustalony. Prezydent z rodziną nigdy i nigdzie nie przyjeżdżał bez uprzedniego uzgodnienia. Nagłe wypadki były przewidywane, tak że przestawały być nagłymi stając się ewentualnymi. Istniały awaryjne plany na wszystko, włącznie z zastąpieniem Bazy Sił

Powietrznych Andrews lotniskiem cywilnym im. Dullesa. W tej chwili problemem było, który z nich uruchomić. Zależało to od indywidualnego osądu. Możliwość popełnienia błędu zwiększał zarówno brak informacji, jak i konieczność podjęcia szybkiej decyzji.

Ingerman popatrzył na zegarek. Prezydent będzie lądował za dwadzieścia osiem minut.

- Dobra, wracam do siebie. Zostaw numer Barbarze i bądź blisko telefonu.

- Powiedziałem ci, że ta informacja jest lewa.

- Barbara?

- Słucham.

- Doskonale. Posłuchaj. Połącz się z terminalem Bayonne i sprawdź, czy transport Redeye odpłynął nie naruszony. Sprawdź ponownie APZ w poszukiwaniu brakujących rakiet Redeye lub jakiegokolwiek innego rodzaju pocisku ziemia-powietrze.,

Miał na myśli Analizę Potencjalnych Zagrożeń. Raport przygotowywany przez Biuro Wywiadu Prewencyjnego, które wymieniało wszystkie osoby, organizacje, czy aktywność, która mogła stać się groźna. Skradziony Redeye musiałby znaleźć się pod jurysdykcją BWP.

- Następnie - mówił Ingerman - dowiedz się, gdzie jest Paul Stafford. Niech będzie do naszej dyspozycji. Zaalarmuj Kenniego - on jest odpowiedzialny za przylot do Andrews - zдай mu raport i powiedz, że czekamy na jego wnioski. Dowiedz się o przypuszczalny czas lądowania. Potem odszukaj pułkownika Coswella, albo Budy Hollingswortha - kogoś, kto zna możliwości Redeye i wie jakie grozi z jego strony niebezpieczeństwo dla Air Force One. Numer do Hollingswortha jest na liście alarmowej. Ja jestem w „Le Sorbet” i właśnie wychodzę.

Odwiesiwszy słuchawkę Ingerman podszedł do stolika, położył na blacie pięć dolarów i złapał swój posiłek. Wyszedłszy na ulicę ruszył przed siebie pożerając pasztecik w marszu.

Decyzja Joanny, aby prześcignąć pociąg, zaskoczyła Karla.

Kiedy jej samochód zamiast zwolnić, przeleciał przez przejazd kolejowy, oczekiwał, że pojazd zostanie zmiażdżony jak aluminiowa puszka. Zamiast tego, pojazd zniknął m u z oczu. Został sam gapiąc się z niedowierzaniem, nie mogąc uwierzyć w to, że Joannie udało się uciec. A jednak, stał tam, na środku drogi, zakurzony i posiniaczony, ciężko oddychając, kiedy ona, bez wątplenia, była już w drodze na policję. W jaki sposób udało jej się uruchomić samochód, wciąż nie mógł się tego domyśleć... kluczyki do audi leżały w jego kieszeni.

W miarę jak cichł zgrzyt metalu i wycie syreny, zawrzał z gniewu i samooskarżania się. Częściowo polegał na wyszukiwaniu i wykorzystywaniu słabości swoich ofiar, w czym był prawdziwym specjalistą. Jednakże tym razem został oszukany przez własną słabość...

iluzję, że prowadzi życie swego brata, która pochłonęła całkowicie jego wyobraźnię. Joanna to odkryła i udało jej się to wykorzystać. Wiedział, że jej zaloty są fałszywe; dlatego zatem nie pomyślał, że ona może przystąpić do działania zanim jeszcze gra się naprawdę rozpoczęła?

Dlatego, że tak bardzo chciał, aby uwiedzenie doszło do skutku.

Rzucił rewolwerem o ziemię. Wszystko było w niebezpieczeństwie. Joanna pójdzie na policję i powie im wszystko o domu nad Toons Creek i Winnebago. Będzie poszukiwany; mogą nawet odkryć ciało Lisha. Przypomniawszy sobie, ile trudu włożył w porwanie swojego brata, kradzież Redeye, umieszczenie wszędzie odcisków palców Lisha. No a co z Ichnowskim? Starzec powiedział, że jego życie jest w rękach Karla. Czy przehandlował życie swojego nauczyciela w zamian za życie swojego brata?

Karl Wciąż bił się z myślami, pełen gniewu, kiedy pociąg przejechał. Wtedy zobaczył kilkanaście stojących samochodów na autostradzie. Pomyślał przez moment, że to Joanna zatrzymała kierowców, aby pomogli go pochwycić. Nagle ktoś zapalił purpurowe światło i pobiegł, aby umieścić je na autostradzie. Karl zrozumiał w mgnieniu oka: Joannie mimo wszystko, nie udało się uciec. Uciekła spod kół pociągu, ale uderzyła w coś innego, najprawdopodobniej w drugi samochód.

Wściekłość wyparowała. Poczł ulgę. Zaczł biec w kierunku miejsca wypadku. Teraz biegł rozluźniony. Odzyskiwał równowagę. Był zdolny do zaplanowania następnego posunięcia. Miał nadzieję, że Joanna nie żyje. Jeśli tak było naprawdę, jedynym jego problemem był powrót do bezpiecznego domu.

Zwolnił krok do marszu, kiedy dobiegł do nasypu kolejowego. Jedna szosa była zablokowana, ktoś podjął się zadania kierowania ruchem. Odczytał, ze śladów, długich płytkich bruzd, które przecinały drogę i kończyły się na poboczu, jak do tego doszło. Rozszczepiony słupek znaku stop sterczał pod kątem czterdziestu pięciu stopni; za nim droga była pokryta rozbitym szkłem, naznaczona plamami białego lakieru i srebrzystego metalu.

. Oczywistym było, że straciła panowanie nad kierownicą. Samochód zjechał na pobocze, wywrócił się do góry kołami na szosę i zderzył z drugim pojazdem, fordem Escortem. Lewy, przedni błotnik forda był rozwalony, metal rozdarty, silnik przesunięty w jedną stronę. Dymiąca chłodnica dyndała jak złamany ząb. Dwaj ludzie odprowadzali rozhisteryzowaną kobietę. W pobliżu inny mężczyzna leżał na asfalcie, trzymając się kurczowo za rękę.

Więcej ludzi zebrało się naokoło audi, które wylądowało na kołach w dużo gorszym stanie niż ford. Koła sterczały nieomalże równolegle do jezdni, wszystkie szyby były wybite,

a otwory po nich z ledwością przypominały okna. Dach wgięty i skręcony, wyglądał na samochodzie jak metalowy koc, wszystkie naroża i boki były wgięte do środka, tak jakby olbrzym bawił się nim jak kawałkiem plasteliny. Było nieprawdopodobne, aby ktoś mógł wyjść żywy z wypadku.

Kiedy się zbliżał, dwóch mężczyzn i młoda kobieta wyjmowali ciało Joanny przez rozdziawiony otwór po przedniej szybie. Czwarta osoba, mężczyzna, stojący na poboczu drogi udzielał nerwowo porad... - Trzymajcie ją, tak doskonale, teraz idzie, teraz idzie... - Ktoś zawołał: -

Czy ona żyje? - Nikt nie odpowiedział na pytanie, ale, w miarę jak tłum się powiększał, słychać było coraz więcej komentarzy. - Dobrze, teraz ostrożnie... Czy nie powinniśmy jej odnieść dalej od samochodu?... Nie powinniśmy jej ruszać. Jeśli ma złamane żebra, płuca mogą zostać przebite... Ale ten samochód... czuję zapach benzyny... Proszę nie palić papierosów.

Mężczyzna w krótkich spodenkach odwrócił się i zaczął krzyczeć rozkazująco: - Nikomu nie wolno palić, pełno tutaj rozlanej benzyny. Proszę nie palić.

Karl przesunął się do przodu. Joanna leżała na poboczu drogi. Miała przeciętą twarz, krwawiła z rany na głowie. Była śmiertelnie blada i tródnemu było stwierdzić, czy jeszcze oddycha. Jedno jej ramię było wykręcone pod nieprawdopodobnym kątem, biały, poszarpany koniuszek kości wystawał z rękawa jej swetra. Nadbiegła kobieta z kocem. Karl złapał za jeden koniec i pomógł ją przykryć.

- Czy ona żyje? - zapytał.

- Ledwie, ledwie - powiedział mężczyzna siedzący na jezdni obok niej. - Czy ktoś ma bandaż, cokolwiek, aby zatrzymać krwawienie?

Młody chłopak ściągnął koszulkę bawełnianą z wizerunkiem Bruca Springsteena. Karl położył swój wskazujący i środkowy palec na szyi Joanny i poszukał pulsu. Znalazł go, ale był bardzo słaby. Chłopak, który zaoferował swoją koszulkę, próbował zatamować przy jej pomocy płynącą krew. Popatrzył na Karla i potrząsnął głową.

- Myślę, że nie wyjdzie z tego.

Karl przytaknął i wycofał się, pozwalając innym przejąć rolę samarytan. Joanna zagrażała mu. Musiała umrzeć. Sytuacja była niezła. Wyglądało na wypadek drogowy nie mający z nim nic wspólnego.

Opuścił miejsce zderzenia i ruszył w kierunku domu. Kiedy usłyszał w oddali syrenę karetki, pomyślał jaka to szkoda, że przybywają tak szybko. Miał nadzieję, że nieznajomy z koszulką miał rację i Joanna nie wyżyje. Najlepiej, gdyby umarła w drodze do szpitala.

Kiedy telefon zadzwonił, Air Force One znajdował się nad Wheeling, zachodnia Wirginia. Prezydent był właśnie w saloniku Pierwszej Rodziny, siedząc obok swojej żony, która nie zwracała uwagi na to, co on mówi. Miała ku temu powody: prezydent mówił po rosyjsku. Siedział z nogami do góry, z założonymi na uszy małutkimi słuchawkami i mikrofonem. Słuchał taśm ze zwrotami, których miał zamiar użyć w czasie spotkania z radzieckim przywódcą. Atak serca, który przeszedł jego ojciec, jakkolwiek był łagodny, wyczulił go na sprawy śmierci i dodał nowego znaczenia Układowi o Wzajemnym Bezpieczeństwie. Jeśli byłby w stanie uczynić ten świat bardziej bezpiecznym, niż ten w jakim się urodził, uważałby, że spędził dobrze swoje życie i kadencję prezydencką. Ktoś zapukał do drzwi. Prezydent, który lubił podróżować w luźnym ubraniu, przypuszczał, że to jego osobisty służący z czystą koszulą, garniturem i krawatem. Zamiast niego w drzwiach pojawił się Lee Knudson, jego szef personelu.

- Eliot Ingerman ma coś dla pana.

Lee nie dodał, że to pilne, nie musiał tego robić. Rozplanowanie na pokładzie Air Force One było takie, że pomieszczenia prezydenckie wraz z pokojami Pierwszej Rodziny znajdowały się z przodu kadłuba, następnie znajdowały się przedziały dla personelu Białego Domu, oddział Tajnych Służb i na końcu przedział dla prasy. Zgodnie z tradycją, pasażerowie mieli wolną rękę w poruszaniu się do tyłu, ale nie wchodzili do przednich pomieszczeń nie zapraszani. O ile sytuacja tego rzeczywiście nie wymagała.

Obydwaj przenieśli się do pomieszczenia prezydenckiego, pokoju, który wyglądał jak nowoczesny gabinet biurowy połączony z centrum komunikacyjnym. Z jednego aparatu telefonicznego można się było połączyć z każdą siecią telekomunikacyjną, zamkniętą czy otwartą, cywilną, wojskową, cyfrową, kodowaną czy nie kodowaną, w zachodnim świecie. W tym przypadku człowiekiem po drugiej stronie linii był Eliot Ingerman. Prezydent nie znał go zbyt dobrze, ale miał o nim zdanie jako o człowieku godnym zaufania, tym bardziej więc był zdziwiony, że uważał on za stosowne poinformować go o sytuacji, która w najlepszym wypadku wyglądała na naciągniętą.

Po wyjaśnieniu, Ingerman powiedział: - Pułkownik Coswell mówi, że samolot jest chroniony przez ekran obronny, który strąci raketę Redeye, ale lotnisko Dullesa wie o wszystkich szczegółach, na wypadek, gdybyśmy chcieli zastosować prewencyjny unik.

- Co ty mówisz Eliot?

- Mówię, sir, że jeśli miałby pan zamiar wybrać Dullesa, możemy wykonać to od razu.

Nie, pomyślał prezydent, to jest dokładnie to, czego nie chcę uczynić. Na pokładzie znajdowało się czterech członków personelu informacyjnego Białego Domu, nie wspominając

o fotoreporterach i innych dziennikarzach czekających na lotnisku Andrews; jakakolwiek zmiana planu znalazłaby się na czołowych stronach gazet i w dziennikach telewizyjnych w ciągu zaledwie godzin. Oczami wyobraźni widział nagłówki gazet: „GROŹBY ZMUSZAJĄ DO LĄDOWANIA AIR FORCE ONE NA LOTNISKU DULLESA.” Można było sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywarłoby to na Rosjanach, szczególnie na grupie z KGB przydzielonej do ochrony Sekretarza Generalnego.

- Nie pytałby mnie pan o zdanie, gdyby groźba została potwierdzona, nieprawdaż?

- Nie, panie prezydencie.

- Czy jest pan zdecydowany wykonać plan lądowania na lotnisku Dullesa opierając się na wiadomościach posiadanych w tej chwili?

- Bez potwierdzenia z niezależnego źródła informacji uzyskanych od Paula Stafforda i bazując na tym, co wiem o naszej obronie przeciwrakietowej, moja odpowiedź brzmi: nie.

- Zajmuje się pan tym dłużej niż ja - powiedział prezydent - postąpimy tak, jak pan uważa.

- Tak jest, sir - Ingerman nie wyglądał na uszczęśliwionego. Prezydent uśmiechnął się

- Miał pan nadzieję, że ułatwię to panu?

- Ma pan rację, sir. Do diabła.

- Wszystko w porządku, Eliot. Dziękuję za wiadomości. Powiesz mi, jak to się wszystko zaczęło.

Prezydent odwiesił słuchawkę i wymienił przewidujące spojrzenie z Lee Knudsonem.

Szef personelu powiedział: - Ten skurczybyk prawdopodobnie nagrał całą rozmowę na taśmie, na wypadek, gdybyśmy spadli z nieba w płomieniach.

Prezydent wzruszył ramionami. - Zawsze tak było. My po prostu udajemy, że tego nie słyszymy.

- Masz na myśli korupcję, służalczość, wymigiwanie się od swoich obowiązków?

Prezydent uśmiechnął się ponownie. Przesadny sarkazm Lee obrażał niektórych ludzi, ale prezydent był zadowolony.

- Groźby. Radzą sobie z nimi. Nigdy nie wiadomo...

- Tym razem dowiemy się, jeśli sobie z nią nie poradzą.

Uśmiech zniknął z twarzy prezydenta. Odwrócił się, aby spojrzeć przez okienko. Jakieś trzydzieści tysięcy stóp poniżej, kraj uciekał pod nimi na zachód, kiedy samolot zaczął podchodzić do lądowania w Waszyngtonie.

Dwa helikoptery lotnictwa zaczęły krążyć leniwie nad obszarem podejścia do lądowania, kiedy Paulowi i Annie udało się znaleźć punkt, ich zdaniem, najlepiej nadający się

na miejsce ataku: baza przedsiębiorstwa znajdująca się w zalesionej okolicy tuż za bazą wojskową. Stało tutaj kilka starych budynków drewnianych, które kiedyś mogły być domami farmerów, ale większość budynków była zrobiona z betonu. Jeden, czy dwa były wysokie na trzy piętra: drukarnia, zakład blacharski, biuro projektów, budynek magazynowy i pół tuzina anonimowych budowli.

Paul był pewny, że Karl nie będzie włączyć się niosąc Redeye jak wędkę. Opisał Annie pocisk, by wiedziała jakie są rozmiary i kształt tego, czego szukają. Przejechali wolno tam i z powrotem wymarłymi ulicami i obejrzeni z tuzin takich miejsc, w których mógł być Karl, jednak nie znaleźli ani śladu jego czy Joanny. W pewnym miejscu zatrzymali się przy urządzeniu samozaładowniczym i spytali, czy nie widziano kogoś wyglądającego tak jak Paul, uświadamiając sobie równocześnie, że brzmi to szczególnie. Młody mężczyzna mówiący jamajskim akcentem nie mógł im pomóc, ale pozwolił im wejść na dach.

Paul potrząsnął głową, gdy obejrzał najbliższą okolicę. - Może być na tym dachu albo na tamtym lub nadal czekać wewnątrz budynku, aż samolot pokaże się w polu widzenia. Albo może być gdzie indziej, w lasku.

- Dowiemy się za minutę - powiedziała Annie.

Paul podążył za jej spojrzeniem i zobaczył Boeinga 707, nisko na niebie, schodzącego w ich kierunku. Wyciągnął zegarek. Nie było jeszcze szóstej.

- To nie on - powiedział. - To samolot towarzyszący. Air Force One pojawi się za mniej więcej dziesięć minut.

Annie obdarzyła go spojrzeniem pełnym uznania. Paul zdecydował się nie mówić jej, że obsługiwał przez sześć miesięcy Biały Dom.

Wrócili do samochodu i postanowili wybrać drogi biegnące poniżej ścieżki podejścia do lądowania: stanową 95, autostradę 337, rogatki Marlboro i aleję Suitland. Był to falisty teren i drogi zazwyczaj otoczone były lasem. Minęli zaparkowany na poboczu samochód z otwartym dachem i zatrzymali się, by go skontrolować. Paul zajrzał przez okno i obszedł samochód dookoła. Annie szła za nim. Za każdym razem, kiedy przejeżdżała obok nich ciężarówka, uderzał w nich strumień powietrza i szarpał spódnicą Annie.

Paul rzucił zamyślane spojrzenie na tył samochodu. - Bagażnik byłby prawdopodobnie wystarczająco duży na pomieszczenie pocisku - powiedział. - Kto wie, czy rzeczywiście jest coś nie w porządku z silnikiem?

- Lecz dokąd mogłby pójść?

Paul obrócił się i spojrzął na drzewa oddalone o jakieś dziesięć stóp. Zaczął iść w ich kierunku. Annie dogoniła go i zaproponowała, by się rozdzielili. Lasek nie był szczególnie gęsty, ale oddzielnie mogli przeszukać większą przestrzeń. A nie mieli zbyt wiele czasu.

Wydawało się, że jest bardziej zainteresowana poszukiwaniami niż on sam. Po raz pierwszy Paul rozważał, co mogłoby się zdarzyć, gdyby natknęła się na niosącego pocisk Karla i uzbrojonego w Smith & Wesson kaliber 0.38.

- Wiem, że nie masz ochoty tego usłyszeć - powiedział - ale czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że on może ciebie zabić, jeżeli spróbujesz go powstrzymać?

- Nie chcę próbować go powstrzymać. Chcę tylko go znaleźć.

Zanim mógł wyobrazić sobie, co miała na myśli, zobaczył ponad jej ramionami, w oddali, samolot prezydenta, Air Force One. Było widać jedynie jego sylwetkę, schodzącą wolno do lądowania, ale Paul rozpoznał go. Jego twarz stężała i Annie obróciła się, by spojrzeć w górę.

- To on?

Paul nie odpowiedział. Przedzierał się przez lasek, wołając Karla po imieniu. Robił wszystko, aby wytrącić go z równowagi, wykurzyć go z kryjówki. Annie oddzieliła się i szła w odległości jakichś trzydziestu stóp od niego. Przyłączyła się do nawoływań. Im więcej, tym lepiej, pomyślał Paul, może to zmusi Karla do ucieczki, kiedy zorientuje się, że jest poszukiwany przez wielu ludzi.

Teren wznosił się łagodnie w górę, po czym zaczął opadać. Na wprost zobaczyli barwne mignięcie, poprzez kępę drzew i w chwilę później Paul stanął na otwartym terenie, stojąc na poboczu następnej szosy. Tym razem to nie była autostrada, ale droga Allentown, która biegła naokoło bazy lotniczej.

Kolorowe miganie było światłem koguta na dachu policyjnego samochodu, który zaparkował na środku drogi. Dwóch policjantów stało na zewnątrz samochodu, prowadząc dyskusję. Paul zobaczył, że w pewnej odległości na drodze stoi drugi samochód patrolowy, blokując ruch pojazdów, które musiały przy nim zawracać.

Został zauważony przez jednego z patrolujących policjantów i uśmiech zniknął z jego twarzy. - Proszę pana, tędy przejazd jest zamknięty.

Jego kolega odwrócił się w tym samym momencie, kiedy wyłoniła się z lasu Annie.

- Karl? - zawołała i zamilkła. Zobaczyła policjantów i Paula, na jej twarzy widać było zmieszanie. Policjanci stali się podejrzliwi.

- W czym możemy pomóc?

Annie ocknęła się, zanim Paul zdążył coś powiedzieć i udzieliła krótkiej, niewinnej odpowiedzi.

- Ktoś ma jakieś kłopoty na autostradzie - powiedziała pogodnie.

- Stoi tam samochód i nikogo nie ma w pobliżu. Pomyśleliśmy, że poszli w tym kierunku.

Starszy policjant o potężnych szczękach był najwyraźniej wychowankiem starej szkoły, dotknął kapelusza i powiedział: - Jeśli to zrobili to nie ma ich tutaj teraz, proszę pani. Ta droga jest zamknięta na czas przylotu prezydenta.

- Może w takim razie ktoś ich podrzucił samochodem - powiedziała Annie - w każdym razie dziękujemy.

Wsunęła rękę pod ramię Paula i poprowadziła go z powrotem drogą, którą przyszli. Wycie silników zbliżającego się samolotu zmusiło ich do popatrzenia w górę. Drzewa wyciągnięte były jak długie palce w kierunku lekko zamglonego, niebieskiego nieba. Hałas ogromniał. Air Force One przeleciał im nad głową. Mogli rozróżnić niebieskobiałe oznaczenia oraz pieczęć prezydencką. Annie wstrzymała oddech i nieświadomie zacisnęła dłoń na ramieniu Paula.

Widok samolotu wyzwolił coś w Paulu, przesunięcie wspomnień, poczucie, że coś jest nie w porządku. Musiało to być związane z kształtem samolotu, z silnikami wysuniętymi do przodu w pylonach pod skośnymi skrzydłami. To nie był ten samolot...

Maszyna zniknęła im z oczu.

- To nie ten... - powiedział Paul.

Annie odwróciła się do niego, zdała sobie sprawę, że kurczowo trzyma go za ramię i zwolniła uścisk. Paul wciąż patrzył na drzewa.

- To nie ten samolot.

- Jeszcze jeden samolot towarzyszący? Mówił teraz do niej.

- Nie, to nie jest ten, który widziałem. Wiesz, w moim śnie, czy jakkolwiek ty to nazywasz. Pamiętam dokładnie, jedno skrzydło było złamane i leciał wprost na mnie, ale nie miał silników. Nie miał silników pod skrzydłami. Znajdowały się na ogonie, zamontowane na kadłubie. Silniki montowane z tyłu samolotu, tuż przed tylnymi statecznikami.

- Masz na myśli tak jak 727?

Paul potrząsnął głową. -" Cztery silniki, po dwa z każdej strony, zamontowane w...

Odczuł to niemal jak fizyczne uderzenie. Wiedział teraz, o jaki samolot chodzi: podwójne silniki, dwa z każdej strony. Ukośny statecznik pionowy zakończony u góry

statecznikiem poziomym, tak jak 727, tylko, że to nie był 727. To był radziecki samolot, Iliuszyn 62. Samolot Aeroflotu...

- Mój Boże.

Annie zrobiła krok do tyłu.

- Co?

Twarz Paula była maską pełną zdziwienia i niewiary.

- To nie chodzi o prezydenta. To Rosjanie. Karl ma zamiar zabić...

- Kogo?

- To dlatego tu przyjechał. On ma zamiar zabić Sekretarza Generalnego.

Annie była w stanie tylko patrzeć na niego w milczeniu. Usłyszała jego słowa, ale to było bez sensu. Po raz pierwszy poddawała w wątpliwość swoją własną ocenę i pomyślała, czy przypadkiem Paul rzeczywiście nie jest szalony. Czuła się jak Alicja w pogoni za Białym Królikiem, w krainie, gdzie dynia zamienia się w pomarańczę a pieczarka okazuje się tortem urodzinowym.

- On ma zamiar zabić Rosjan - zawyrokował Paul - teraz jestem tego pewny.

Ruszył w kierunku samochodu. Annie biegła za nim. - Ale powiedziałaś przecież... myślałam, że Karl pracuje dla Rosjan.

- Pracuje.

- To dlaczego...?

Paul otworzył drzwiczki do samochodu i zwrócił się do niej.

- Nie wiem. Ale widziałem cztery silniki zamontowane bliźniaczo po obu stronach kadłuba, a to oznacza Aeroflot, co jest równoznaczne z przywódcą Związku Radzieckiego. Pozwól, że zatelefonujemy do twoich szefów.

- Zaczekaj - Annie położyła rękę na jego ramieniu. - Paul zatrzymaj się i pomyśl przez chwilę. Jeśli on pracuje dla Rosjan, nie będzie przecież chciał zestrzelić samolotu z ich przywódcą. A jeśli on nie pracuje dla Rosjan...

Jej rozumowanie stanęło w martwym punkcie. Paul patrzył się na nią bardzo intensywnie.

- Co ty mówisz, że pracuje dla waszych chłopców? Dla CIA?

- Nie, nie - powiedziała szybko, lecz dodała już z mniejszą pewnością siebie - przynajmniej mam taką nadzieję.

Przez chwilę, zastanawiali się nad możliwością, że Karl pracuje dla CIA. Paul czuł, jak myśli o mało nie rozsada jego mózgu, kiedy próbował zonglować faktami, aby podać ich nową interpretację. Jeśli Karl naprawdę pracował dla CIA, w takim razie kim były jego

ofiary? Agentami KGB? Dlaczego Hugh i Maurice zwrócili się do niego po pomoc w jego wytropieniu? Czy oni także byli agentami KGB?

- Nie - powiedział zdecydowanie - nie ma innego wytłumaczenia, nie mam pojęcia dlaczego bierze na cel własnego szefa, ale wiem, że takie są jego zamiary... Idziemy.

Wskoczył do samochodu. Annie poszła w jego ślady.

- Nie mów o tym nikomu, tylko Hugh'owi - ostrzegła go Annie. - Jeśli Rosjanie usłyszą o tym, nawet jeśli to nie jest prawda, mogą próbować go zabić.

Spojrzał na nią. - O ile tylko nie wyrządzą krzywdy Joannie.

- Jest twoim bratem - powiedziała.

Paul nie odpowiedział. Annie patrzyła na niego przez chwilę, następnie odwróciła spojrzenie w kierunku okna. Kiedy odezwała się ponownie, ton jej głosu był nieomalże refleksyjny. To dziwne, pomyślał, w takiej chwili.

- Nie masz pojęcia, jakie to rzadkie. Ta więź między tobą i Karlem. Możliwe, że jest to wyjątek. Obydwaj jesteście niezwykle cennymi ludźmi.

Paul potrząsnął głową.

- To prawda, do diabła. Wiem, że to brzmi skrajnie, ale wasze życie jest jedynym w swoim rodzaju, jest więcej warte niż...

- Życie mojej żony lub prezydenta?

Nie odpowiedziała, ale kiedy popatrzył na nią, zrozumiał, że dokładnie to miała na myśli.

Rozdział 31

Z powodu swoich przedwcześnie posiwiałych włosów, a także z uwagi na szczególne zdolności do poruszania się po zdradliwych wodach rządowej biurokracji, jego koledzy, nadali mu przezwisko „Szary Lis”. In-german wykorzystywał to wyobrażenie o nim, poprzez zachowanie się w sposób autorytatywny, lecz uprzejmy. Czasami było to sprzeczne z burzą uczuć, jaką odczuwał w tych rzadkich przypadkach, kiedy musiał ryzykować zajęcie własnego stanowiska. To właśnie był jeden z takich przypadków.

Powrócił do biura na ulicy G i z pomocą Barbary przeprowadził rozmowę z tuzinem ludzi. Zajęło to, mniej więcej, tyle samo minut. Nie był tylko w stanie połączyć się z Paulem Staffordem. Winą za ten stan rzeczy obarczył CIA. Paul Stafford należał, było nie było, do ich źródeł informacji. Tym niemniej, po rozmowie z Hugh'em Roarkiem utwierdził się w przekonaniu, że Redeye jest zagrożeniem pozornym. Brat Stafforda, bliźniak jak się okazało,

był człowiekiem, którego Paul nie znał, a nawet nie widział się z nim jeszcze kilka tygodni temu. Karl Alexander miał pracować dla KGB za pośrednictwem wschodniemieckiej organizacji o nazwie Stasi.

- Jest wyszkolonym zabójcą - powiedział mu Roark - bardzo efektywnym zabójcą.

Może tak, a może nie, pomyślał Ingerman. CIA nie było nieomyślne, zbyt naciskało na zbieranie informacji, a nie na ich analizę. Stafford był dowodem na to: cóż to za bizantyjski spisek knuł rosyjski najemnik, aby zabić prezydenta teraz, w przededniu podpisania Traktatu o Wzajemnym Bezpieczeństwie? Hugh Roark nie potrafił udzielić odpowiedzi na to pytanie.

Nie, cała sprawa sprawiała wrażenie powstałej w wybujałej wyobraźni Stafforda. Meldunek z terminalu Bayonne był negatywny: nie było zgłoszenia jakiegokolwiek naruszenia systemu bezpieczeństwa, czy okradzenia transportu. Pułkownik Coswell zapewnił go, że Air Force One był zabezpieczony przeciw detektorom podczerwieni.

- Mamy system o nazwie Gorąca Cegła - wyjaśnił Coswell - który wysyła falę zmiennego promieniowania podczerwonego zdolną do kompletnego ogłuszenia rakiety typu Redeye, kierującej się na źródła promieniowania cieplnego. To, co powiedziałem, nie oznacza, że miałbym ochotę, aby wystrzelono taką rakietę w moim kierunku.

W kierunku naszego Prezydenta, poprawił go w myślach Ingerman. Pomimo zapewnień, Szary Lis zabezpieczył się na dwa sposoby: ostrzegł Prezydenta o zagrożeniu i zorganizował magnetowid, celem utrwalenia na taśmie całego lądowania. Jeśli cokolwiek się stanie, chciał mieć filmowy dokument, który mógł mu udzielić zarówno wskazówek, jak i dowodów.

Teraz, stojąc wpatrzony w ekran monitora, czuł znajome pieczenie w żołądku. Jego wrzód miał przed sobą ciężki tydzień. Scena na monitorze obejmowała cały obszar lądowania na lotnisku Andrews. Mała grupa ludzi stała oczekując przylotu Prezydenta. Operator kamery stał na dachu, był bez statywu i dlatego obraz na ekranie był lekko drżący.

- Powiedz mu, aby starał się stać spokojnie - rzucił do swojej asystentki Barbary - niech obraz będzie wyraźny.

Barbara usiadła przy biurku ze słuchawką telefoniczną. Była skromną kobietą w średnim wieku. Była tak kompetentna, jak na to wyglądała.

Z monitora dobiegł ich głos operatora.

- Dobra, właśnie go widać.

Obraz nagle przesunął się i skierował na odległy kraniec pasa, gdzie widać było Air Force One, jak schodził do lądowania w dół, po lekko zamglonym niebie. Ingerman

przywołał machnięciem ręki Barbarę i oboje wstrzymali oddech, wlepiwszy oczy w ekran. Samolot niedostrzegalnie przybliżał się do lotniska. Tuż przed tym, jak jego koła dotknęły betonu, zadzwonił telefon. Oboje podskoczyli do góry przestraszeni. Barbara powróciła na swoje miejsce przy biurku, aby podnieść słuchawkę.

Gdy samolot dotknął ziemi, Ingerman poczuł pełne ulgi burczenie w brzuchu. Ci przekłęci chłopcy z CIA nabrali go.

Operator kamery zapytał: - To wszystko?

- Kręć dalej - poinstruował go Ingerman. Na wszelki wypadek. Zawsze na wszelki wypadek.,

Otworzył szufladę biurka, znalazł tabletki na żołądek i wyszedł na korytarz, w poszukiwaniu wody do popicia. Kiedy powrócił do biura, żołnierze wytaczali właśnie schodki w kierunku Air Force One.

Ingerman powiedział: - Chłodziarka w dystrybutorze wody znowu mruga. Lepiej zadzwoń po kogoś.

Barbara popatrzyła na niego odłożywszy słuchawkę, jej twarz była popielata.

- Co się stało?

- To był telefon z Bayonne - powiedziała powoli - grupa bezpieczeństwa właśnie dokonała kontroli magazynu. Znaleźli jeden wentylator, na dachu, przez który ktoś włamał się do środka. Wygląda na to, że dokonano tego w ciągu ostatniego miesiąca.

Ingerman poczuł jak lodowate palce zaciskają się na jego kości ogonowej. Odwrócił się do telewizyjnego monitora, na którym widać było Prezydenta, jak wymienia pozdrowienia z przyjaciółmi i reporterami, stojąc na szczycie schodków.

Ty szczęśliwy skurwysynu, pomyślał. A potem jeszcze raz, tym razem mając na myśli osobę Prezydenta.

Karl przebył drogę do domu nad Toons Creek na zmianę biegiem i szybkim marszem. Był w dobrym nastroju. Miał zamiar wszystko tak zorganizować, aby Joanna zginęła w pozorowanym wypadku samochodowym i tak się stało, na dodatek na oczach świadków. Jego jedyną troską było to, że mogła nie być śmiertelnie ranna. Nie miał pojęcia, czy rozpoznała pudło z rakieta Redeye leżące na tyłach Winnebago, ale też nie miał zamiaru ryzykować. Natychmiast po powrocie do domu wziął książkę telefoniczną i zaczął obdzwaniać wszystkie szpitale. Joanna została zabrana do Glenway Memorial Hospital w Upper Marlboro. Pielęgniarka na ostrym dyżurze poinformowała go, że Joanna jest na sali operacyjnej.

- Jak poważny jest jej stan?

- Nie wiem, panie Stafford. Musi pan porozmawiać z lekarzem dyżurnym, kiedy wyjdzie z sali operacyjnej.

- Czy była przytomna, kiedy została przyjęta do szpitala?

- Nie, proszę pana. Przywieziono ją nieprzytomną w stanie szoku.

- Ale powinna wyjść z tego, prawda?

- Musi pan porozmawiać z lekarzem, na ten temat, panie Stafford.

- Doskonale, natychmiast tam przyjadę.

Po odłożeniu słuchawki, Karl przemyślał sytuację. Jeśli Joanna przeżyje, po operacji zostaną jej podane środki nasenne. Sądząc po tym, w jakim widział ją stanie, zostanie umieszczona na oddziale intensywnej terapii, gdzie podłączą ją do mnóstwa aparatów i monitorów. Będzie dostawać kroplówkę, a oddychać przez respirator. Pielęgniarki będą ją obserwować bez chwili przerwy. Będzie musiał zachować szczególną ostrożność. Użycie siły było wykluczone.

Oczywistym wyborem była trucizna. Opary cyjanku wodoru mogłyby spowodować atak serca, ale nie było sposobu podania go poprzez respirator. Po za tym, nie posiadał cyjanku wodoru a tylko halopariminę, czyli ten sam środek, który został wręczony Otto, aby podał go bratu.

Karl uśmiechał się w miarę, jak pomysł krystalizował się w jego mózgu. Poszedł do łazienki i znalazł swój zestaw toaletowy, kupiony w Turcji skórzany neseser. Wyjął małą butelkę ze strzykawką zamiast zakrętki. Na nalepce było napisane, że jest to środek przeciw infekcji ucha. W istocie była to skoncentrowana haloparimina. Jedna strzykawka mogła wywołać sen tak głęboki, że w sypialni śpiącego można było strzelać z armat, a on i tak by się nie obudził. Dwie strzykawki mogły spowodować śpiączkę; większa ilość była dawką śmiertelną.

Musiał jedynie wlać zawartość butelki do kroplówki. Pierwszy objaw działania środka, płytki oddech, będzie zamaskowany przez respirator. W momencie, kiedy ciśnienie krwi Joanny zacznie opadać, jego już nie będzie w szpitalu, a jej nie będzie już można uratować.

Teraz poczuł się bardziej pewny siebie, niż rano, kiedy Joanna go zaskoczyła. Karl przebrał się i rozpoczął załadunek Winnebago. Założył rękawiczki, tak aby nie zostawić swoich odcisków palców obok Lisha. Dom nie miał znaczenia. Nie było sposobu, aby pozbyć się wszystkich odcisków palców „Rona Tednicka”, nawet, gdyby bardzo mu na tym zależało. To jednak nie było potrzebne. Joanna była jedyną osobą, która mogła wyjaśnić związek między nim a domem nad Toons Creek, ale Joanna nie miała prawa przeżyć.

To była mała grupa wyselekcjonowanych ludzi. Zostali wezwani do sali odpraw Terenowego Biura Tajnej Służby na ulicy G. Eliot Ingerman zwołał to zebranie po telefonicznej rozmowie ze Staffordem i stwierdzeniu, że ten człowiek jest przy zdrowych zmysłach. Niestety, wygląd Stafforda wzbudzał mniejszą wiarygodność niż rozmowa z nim. Kiedy się pojawił, Ingerman był rozczarowany, widząc jego zapadnięte oczy i bladą twarz. Ten człowiek najwyraźniej był na granicy. Ponadto, większości jego zapewnień nie można było sprawdzić, były one oparte na snach, przeczuciach i hipnozie, na czymś co brzmiało jak psychologiczne banialuki.

Kobieta, Annie Helms, robiła korzystniejsze wrażenie, aczkolwiek jej teoria fał mózgowych i podobieństwa genetycznego była w równym stopniu spoza dziedziny, którą on się interesował. Ingerman rozmawiał telefonicznie z obojgiem i zdecydował, że nie podejmie sam decyzji opartej na tak nieuchwytnych dowodach. W tym momencie zwołał zebranie Szczytu Jednostek Bezpieczeństwa.

Sześciu mężczyzn, którzy zasiedli za stołem reprezentowało różne agencje wywiadowcze i bezpieczeństwa: Służbę Bezpieczeństwa, FBI, CIA, Agencję Wywiadu Obrony i Stanowy Departament Badań i Rozwoju. Dodatkowo, Ingerman zaprosił do uczestnictwa pułkownika Buzz Coswella, eksperta od lotniczych systemów obronnych. Przybyli także Hugh Roark, Annie Helms i Paul Stafford. Rozmyślnie nie zawiadomiono specjalistów z KGB, którzy przylecieli z Moskwy tydzień wcześniej. Ingerman był zdania, że najpierw zespół amerykański powinien mieć szansę oceny historii Stafforda, zanim wystawi się na krytykę czy szyderstwo ze strony zaniepokojonych Rosjan.

Ingerman zrzucił marynarkę, rozpiął mankiety i zawinął je dwukrotnie, dla podkreślenia wagi spotkania. Natychmiast po przybyciu ostatniego uczestnika wstał z miejsca.

- Panowie, dziękuję za tak szybkie przybycie. Oczywiście jest, że nie zwołałbym tego zebrania, gdyby okoliczności nie były tak niezwykle. Wielu z was rozpozna człowieka, który siedzi po mojej prawej ręce: to jest Paul Stafford, dziennikarz waszyngtońskiego Herolda. Obok niego znajdują się dwaj współpracownicy CIA, Hugh Roark i dr. Annie Helms, oboje blisko związani z wypadkami, które doprowadziły do zwołania tego spotkania. W skrócie, pan Stafford jest w posiadaniu informacji, która prowadzi go do wniosku, że pewien mężczyzna - faktycznie jego brat - ukradł raketę Redeye i zamierza jej użyć do zestrzelenia, jutro rano, samolotu Sekretarza Generalnego Związku Radzieckiego

Do tej chwili zgłoszono już kilka skarg na to, że zebranie zostało zwołane w porze obiadowej, ale ta wiadomość, niczym wybuch małej bomby, skutecznie je uciszyła.

D.L. McNally z Departamentu Stanu zabrał głos jako pierwszy, jego głos rozległ się ponad głosami innych.

- Chwileczkę, Eliot. Gdzie są Wroński i Diekanazow? Dlaczego ich tutaj nie ma?

- Przypuszczam, że zrozumiecie to nieco lepiej, po wysłuchaniu tego, co ma do powiedzenia pan Stafford.

- Aby wszystko było jasne, zgodnie z wymaganiami protokołu, sekcja bezpieczeństwa KGB ma prawo głosu w podejmowaniu wszystkich decyzji dotyczących bezpieczeństwa Sekretarza Generalnego.

Ingerman był poirytowany. Wiedział, tak samo dobrze jak McNally, o wszystkich punktach protokołu.

- To wszystko prawda - powiedział - ale zgodnie z tym, co wie pan Stafford, to właśnie Rosjanie spiskują przeciwko własnemu Sekretarzowi.

Nastąpiła chwila ciszy wypełniona zdumieniem zebranych. Ingerman pozwolił, aby przedłużyła się nieco dłużej niż to było potrzebne.

- Doskonale, panie Stafford, scena należy do pana.

Paul wstał, rozejrzał się naokoło stołu. - Trzy tygodnie temu - zaczął - nie uwierzyłbym w ani jedno słowo z tego, co mam zamiar wam tu powiedzieć. - Następnie, tak krótko, jak to było możliwe, opowiedział im o koszmarnych snach, pojawieniu się Hugh'a i Singera u niego w redakcji, odkryciu istnienia własnego brata. Powiedział im, jak wytropił Karla, jak został przez niego porwany, jak Karl następnie podszył się pod jego osobę, najpierw w hotelu, potem w Bayonne i na końcu w jego własnym domu. Opisał sen o śmierci Georga Lisha oraz, ten ostatni, o drzwiach otwierających się w niebo, skąd spadał w płomieniach Iliuszyn 62.

Reakcje zebranych były mieszane. Niektórzy skryli je za nieprzeniknioną, pozbawioną jakichkolwiek uczuć maską na twarzy, inni nie ukrywali wprost niedowierzania. Jeden sączył kawę bawiąc się kubkiem, inny zapadł się głęboko w fotelu, z założonymi na piersi rękami i opuszczoną głową. W pewnym momencie Doug Weems z FBI, przerwał pytaniem, ale Ingerman odłożył odpowiedź do czasu, kiedy Paul zakończy swoją wypowiedź. *

- Ja wiem, że George Lish nie żyje - powiedział Paul - wiem, że Karl Alexander ma raketę Redeye, wiem, że porwał moją żonę Joannę i to, że ma zamiar zestrzelić samolot Sekretarza Generalnego jutro rano.

- To wszystko? - zapytał Doug Weems. - Czy to wszystko, czym pan dysponuje na poparcie swoich teorii?

- Tak, to wszystko. Nie mogę tego udowodnić, ale...

- W takim razie chciałbym wiedzieć, co u diabła, pan tutaj robi?

- Chwileczkę - powiedział Tommy Lecrazny.

- Nie, to właśnie mam na myśli - powiedział Weems - mamy pełne kartoteki idiotycznych śmiertelnych pogrózek, są one wysokie na sześć stóp. Co nie znaczy, że...

Jego słowa pochłonął hałas, wywołany opóźnioną reakcją, gdy kilku z nich zaczęło mówić jednocześnie. Paul wymienił spojrzenia z Annie Helms, która przewróciła oczami, jakby chciała powiedzieć: a czego się spodziewałeś?

Ingerman pozwolił, aby zamieszanie trwało przez kilka minut i przystąpił do przywracania porządku.

- No dobrze, dobrze, zastanówmy się nad każdą kwestią po kolei, a nie nad wszystkim naraz. Doug, twoim zdaniem nie dysponujemy dostateczną liczbą dowodów, aby podjąć jakąkolwiek akcję? Czy to masz na myśli?

Kiedy przeminęło początkowe wzburzenie, człowiek z FBI stał się bardziej ostrożny.

- Przedsięwziąć akcję? Jaką? Dochodzenie? Oczywiście. Nie możemy puszczać pary w byle gwizdek. Mamy na liście każdego, kto groził śmiercią Rosjanom, i nie ma na niej nic, co wskazywałoby na użycie rakiety Redeye. Musiałaby być w to zamieszana konspiracja, która przecież nie tworzy się z dnia na dzień, bierze w niej zwykle udział wielu ludzi, których działalność nie może pozostać bez śladu. Mogę wam od razu powiedzieć, że w kartotekach Biura nie ma nic. Wiemy także, że niczego takiego nie ma w APZ. Tak więc, oczywiście, przeprowadzimy dochodzenie, ale po co od razu to wszystko? Po co zwoływać pilną odprawę? Jedyne konkretne dowody, to ślady włamania do magazynu w Bayonne.

- Magazynu E - przypomniał mu człowiek z Agencji Wywiadu Obrony - to magazyn o zaostrzonym bezpieczeństwie. To stamtąd właśnie odesłano transport rakiet Redeye.

- Transport był nie naruszony, czyż nie tak?

Ingerman przytaknął. - Zamknięty i zaplombowany, zanim przybył do terminalu w Bayonne. Zamek i płołby nie naruszone, kiedy dostarczono go do Bayonne; nie naruszone, kiedy kontener został załadowany.

McNally wyciągnął fajkę i rozpoczął jej napełnianie w mieszkaniu z tytoniem. - Czy sprawdziliśmy transport w Costa Rice?

- Jeszcze tam nie dopłynął. Coralis jest ciągle na morzu. Staramy się otrzymać zgodę na otwarcie kontenera i sprawdzenie ładunku.

Weems powiedział: - Wróćmy do początku. Jedyne konkretne dowody, to zniszczony wentylator w chronionym magazynie.

- I sześciu niezwykłych współpracowników CIA - dodał Hugh.

- To jest całkowicie inna sprawa...

- Nie, jeśli ta sama osoba jest odpowiedzialna.

- Proszę o wybaczenie - powiedział McNally - ale najważniejszą sprawą jest motyw.

Zgodnie z tym, co usłyszałem, ten Karl Alexander pracuje dla KGB, nieprawdaż?

- Nie - powiedział Hugh - on pracuje dla wschodniemieckiego Stasi.

- Wiem, ale rozkazy otrzymuje z KGB, zgadza się? Hugh kiwnął głową - Morderstwa musiały być autoryzowane przez Moskwę.

- Tak więc, w gruncie rzeczy mówimy o tym samym: on pracuje dla KGB i moje pytanie - to, czego chciałbym się dowiedzieć - brzmi, jak to się, waszym zdaniem, zgadza z planowanym zestrzeleniem radzieckiego przywódcy? - McNally usiadł z wyrazem zadowolenia na twarzy.

- Ja znam powód - odpowiedział Paul. - Karl powiedział mi, że najlepszy człowiek, jakiego spotkał, był Rosjaninem. Kiedy go nacisnąłem, nie powiedział mi, kim on był, ale zgodnie z jego kartoteką, Karl był protegowanym pracownika KGB, człowieka o nazwisku Aleksander Ichnowski.

- Co to za kartoteka?

Hugh odpowiedział: - Naszej komórki w Berlinie.

McNally podniósł brwi. - I przekazujesz ją wkoło?

- Przekazałem ją panu Staffordowi.

- Który został sprawdzony, mam nadzieję?

- Wróćmy do tematu - przerwał mu Ingerman. - Co wiemy o Ich-nowskim?

- Doszedł do rangi deputowanego dyrektora KGB - kontynuował Hugh. - Jeden ze starej gwardii, który został odsunięty, kiedy nasz nowy facet i jego reformiści doszli do władzy. To jest możliwe, że grupa reakcjonistów, twardogłowych chce się pozbyć Sekretarza Generalnego.

- I zrzucić winę - dodał Paul - na Georga Lisha i organizację „Rank”.

- ...zawsze znajdzie się wilk, który chce pożreć niemowlę - powiedział McNally. - To nic nowego w polityce rosyjskiej...

Weems potoczył spojrzeniem dookoła stołu. - Myślę, że zeszedliśmy na manowce i zgubiliśmy prawdziwy temat dyskusji, to znaczy, że wszystko to jest oparte na ludzkich snach, koszmarach sennych.

Kiwnął głową w stronę Paula, który znów miał wrażenie, że jest jak zwierzę w ZOO. Zanim zdążył odpowiedzieć, po raz pierwszy odezwała się Annie.

- To nie są sny, nie w potocznym tego słowa znaczeniu. To są intensywne odczucia, które Paul - pan Stafford - odbiera sporadycznie, bez udziału woli, jako wrażenia przeżyć doświadczanych przez jego brata, Karla.

- To pocieszające - powiedział Weems - przez chwilę myślałem, że będziemy musieli podejmować decyzję, opierając się na snach. Teraz możemy oprzeć się na telepatii.

- Albo spóźnić się na obiad - dodał Paul. Weems rzucił w jego stronę spojrzenie pełne zaskoczenia i Ingerman szybko interweniował.

- Myślę, że doktor Helms powinna podzielić się z nami swoimi poglądami na temat psychologicznych aspektów sytuacji. Panie Stafford, czy mógłby pan poczekać w moim biurze? Wydam Barbarze polecenie, aby zaopiekowała się panem. Panowie, proszę o chwilę cierpliwości.

Paul towarzyszył pracownikowi Tajnej Służby w drodze do drugiego pokoju. Było po godzinach pracy, ale bardzo wielu ludzi wciąż było na służbie. Cichy odgłos urządzeń telekomunikacyjnych i brzęk drukarek laserowych przypominał Paulowi redakcję Herolda. Panowała ta sama atmosfera pracy przez okrągłą dobę.

- Ufam, że nie czuje się pan dotknięty - powiedział Ingerman - ale rozumie pan, jaką kontrowersję budzi pańskie opowiadanie.

- Jasne, jestem takim ludzkim mini serialem.

Mówiąc prawdę, teraz, gdy opowiedział swoją historię, Paul niewiele więcej mógł zdziałać, poza próbą odnalezienia Joanny przed rankiem następnego dnia. W jakiś sposób losy dwóch istot ludzkich były tak powiązane... jeśli rosyjski przywódca przeżyje, Joanna umrze. I na odwrót.

Asystentka Ingermana, Barbara, przejęła nad nim opiekę. Była kobietą o miękkich rysach, z zawiązującym się podwójnym podbródkiem i macierzyńskich odruchach. Ale wyrażała się szybko i precyzyjnie, a w oczach odbijała się wrodzona inteligencja. Wskazała Paulowi kanapę w biurze Ingermana i zaproponowała napój orzeźwiający albo kawę.

- Poproszę kawę - powiedział Paul - i chciałbym skorzystać z telefonu.

- Proszę się nie krępować. Po naciśnięciu zielonego guzika wyjdzie pan bezpośrednio na miasto.

Zatelefonował do domu, z nadzieją, że Joanna telefonowała, jak również z obawą, że jeśli znajduje się w rękach Karla, to on telefonował grożąc jej śmiercią. Zamiast tego, usłyszał wiadomość nagraną przez policjanta:

- Panie Stafford, tu mówi Cruikshank ze służby patrolowej autostrad stanu Maryland... Miał miejsce wypadek, w którym uszkodzona została pańska żona, Joanna Stafford.

Została ona przewieziona do Glen-way Memorial Hospital, w Upper Marlboro. W razie, gdyby chciał pan otrzymać od nas więcej informacji podaję numer...

Paul trzasnął słuchawką o widełki i wykręcił informację, aby otrzymać numer telefonu do szpitala. Wypadek samochodowy? Gdzie? A co z Karlem? Czy on też brał w nim udział? A przede wszystkim, czy Joannie nic się nie stało?

Kiedy został połączony z izbą przyjęć, Paul wyjaśnił, kim jest i telefonistka kazała mu zaczekać, aż podejdzie do telefonu lekarz dyżurny. Paul zorientował się, że nerwowo zaciska i otwiera dłoń. Jeśli Karl zranił Joannę...

Barbara wróciła z kubkiem kawy i postawiła go na stole. Zobaczyła na jego twarzy wyraz zdenerwowania i spojrzała na niego pytająco. Paul odwrócił się w drugą stronę, ignorując ją i Barbara powróciła do swojego biurka.

- Panie Stafford, tu mówi doktor Halby.

- Chcę się dowiedzieć czegoś o mojej żonie. Jak ona się czuje? Czy wszystko jest w porządku?

- Pana żona powinna - wyjść z tego - odpowiedział doktor Halby - tomografia komputerowa nie wykazała pęknięcia czaszki, ani wylewów w mózgu. Miała pękniętą śledzionę, która wymagała natychmiastowej operacji, ale zabieg przebiegł normalnie. Pańska żona dochodzi teraz do siebie na oddziale intensywnej opieki.

Napięcie gwałtownie opuściło Paula. - Ale wszystko będzie z nią w porządku, czy pan ma to na myśli?

- Pod warunkiem, że nie wystąpią komplikacje, całkowicie wyzdrowieje.

- Co się stało, panie doktorze? Czy pan wie?

- Pańska żona miała wypadek samochodowy, dość poważny, sądząc z odniesionych obrażeń.

- Czy była sama?

- O ile wiem, tak. Musiałby pan porozmawiać z policją.

- Czy odniosła jeszcze jakieś obrażenia?

- Oprócz tego, że jest nieprzytomna, ma uszkodzoną śledzionę, złamaną lewą rękę, dwa pęknięte żebra, przeciętą skórę głowy i wargę, kilka pomniejszych ran i siniaków. Krwotok wewnętrzny był najpoważniejszym niebezpieczeństwem, ale wierzę, że udało się nam go teraz zatamować.

- A więc będzie dobrze?

- Tak, jak powiedziałem, pod warunkiem, że nie wystąpią komplikacje. Będziemy wiedzieli więcej, kiedy odzyska przytomność.

- Czy była przytomna, kiedy została przywieziona?
- Nie wierzę w to.
- W takim razie nie powiedziała, jak doszło do wypadku?
- Musi pan zrozumieć, że pańska żona była w stanie szoku.
- Chcę ją zobaczyć.
- Może pan to zrobić, ale tylko przez kilka minut.
- Proszę tylko się nią zaopiekować, zaraz tam się pojawię.
- Jeszcze jedna sprawa, panie Stafford. Czy pan jest tym samym Staffordem, który pisze dla Herolda!

- Tak.
- Doskonale. Ten artykuł o procesach lekarzy był strzałem w dziesiątkę. Chciałbym, aby był obowiązkową lekturą dla wszystkich moich pacjentów.
- Pogadamy, jak będę na miejscu - powiedział Paul.

Zanim wyszedł, zostawił u Barbary krótką wiadomość dla Annie, wyjaśniającą dokąd się udał. Jak długo Joanna była bezpieczna, eksperci mogli skupiać swoją uwagę na Rosjanach.

Rozdział 32

Marina Adiewa, sierżant wojsk lotniczych, nie odczuwała żadnych emocji choć powinna być zdenerwowana. Nie była kobietą, która byłaby przepełniona wątpliwościami. Za oknem Wydziału Konserwacji Urządzeń Elektronicznych mogła zobaczyć sylwetkę samolotu Aeroflot 86540, znanego pod zakodowaną nazwą Płomiennyj. To właśnie na pokładzie tego samolotu miał dokonać przelotu z Moskwy do Waszyngtonu D.C. Sekretarz Generalny. Brygada Mariny właśnie zakończyła kontrolę pokładowych systemów elektronicznych. Teraz siedzieli skupieni wokół przestarzałego telewizora czarno-białego oglądając mecz piłki nożnej.

Marina zbadła uważnie jasno oświetlony pokój pełen stalowo-szarych stołów warsztatowych, zapchanych skomplikowaną aparaturą pomiarową. Zobaczyła torbę z zestawem narzędzi, pozostawioną na jednym ze stojących w pobliżu drzwi stołów. Bobokow. Był on najbardziej nieostrożnym i niechlujnym pracownikiem jej brygady. Marina podeszła, niby to przypadkiem, do stołu. Kiedy nikt nie zwrócił uwagi, wyciągnęła z torby mały śrubokręt z jego przegródki i wsunęła go do kieszeni. Rozległ się jej ostry głos.

- Bobokow, czy to twój zestaw narzędzi?

Bobokow odwrócił się, na twarzy miał pełen zmieszania uśmiech.

- Pytałam, czy to należy do ciebie?

- Bardzo się śpieszyłem...

- Gdzie jest numer cztery?

- Co?

Marina podniosła zestaw i zaniósła go do niego. Niektórzy członkowie grupy odwrócili się od telewizora, a inni, jeszcze bardziej zgarbieni przysunęli się bliżej do niego.

- Twój śrubokręt numer cztery - powiedziała Marina. - Gdzie on jest?

Bobokow wziął od niej zestaw narzędzi i zmarszczył brwi. Wyciągnął kilka innych śrubokrętów z kieszonek.

- Jestem pewny, że był tutaj...

- Chyba go nie zostawiłeś w systemie Wildfire?

Bobokow zbladł. Najważniejszym punktem regulaminu dokonywania reperacji delikatnych układów elektronicznych był zakaz pozostawiania obcego przedmiotu w ich sąsiedztwie po dokonanej naprawie, czy przeprowadzonych pomiarach. Życie załogi samolotu zależało od takich drobiazgów, tudzież dalsza kariera zawodowa techników takich jak Bobokow.

- Nie, nie - protestował - wiem, że go miałem, kiedy schodziłem z pokładu samolotu. Musi być gdzieś tutaj w warsztacie.

- Mam nadzieję, ponieważ mam zamiar sprawdzić samolot.

Marina opuściła warsztat i przeszła po betonowej płycie lotniska w kierunku samolotu Aeroflot „Płomienny”. Żółta cysterna rozkraczyła się nisko, pod skrzydłem, to obsługa naziemna kończyła swoje przygotowania. Wartownik, kapral wojsk lotniczych, ubrany w wysokie do kolan buty, nie zwrócił uwagi na Marinę, kiedy wchodziła na pokład samolotu. Była oznaczona plaketką identyfikacyjną, chyba widział ją już uprzednio.

Marina skierowała się do kabiny pilota. Za plecami kapitana samolotu i drugiego pilota znajdowały się dwa stanowiska. Jedno było przeznaczone dla inżyniera pokładowego a drugie dla OOP, oficera obrony przeciwlotniczej. Pulpit OOP upstrzony był zdumiewającą ilością przełączników, wyświetlaczy cyfrowych, lampek kontrolnych, ekranów poprzecinanych siatkami podziałek, wzierników radarowych. Wszystko było Marinie tak dobrze znane, jak wzór narzuty na łóżku w jej sypialni.

Zwróciła uwagę na system Wildfire IRCM, obronę przed rakietami samonaprowadzającymi się na źródła promieniowania podczerwonego czy ciepłego. System składał się z dwóch oddzielnych części: DeTect i DeCoy. DeTect był wyposażony w czujniki

promieniowania podczerwonego zdolne do lokalizacji źródła promieniowania wysokiej temperatury, które poruszałyby się z szybkością większą niż sześćdziesiąt węzłów w kierunku samolotu. Miało za zadanie ostrzegać operatora o potencjalnej groźbie, podając mu odległość, kurs i prędkość. To był system pasywny, używany do wykrywania i identyfikacji, ale nie zdolny do obrony samolotu.

DeCoy był systemem aktywnym. Wykorzystywał ceramiczne elementy grzewcze, których energia promieniowania była mechanicznie modulowana, aby oszukać nadlatujący pocisk co do rzeczywistego położenia samolotu. Próbując podążać za pozornym, gwałtownym wirowaniem celu, rakietą byłaby zmuszana do dokonywania coraz większych poprawek kursu aż do czasu, kiedy zostałaby przekroczona jej zdolność manewrowa a system naprowadzania utraciłby kontrolę. DeCoy był tarczą samolotu Aeroflot „Płomienny”. To ten właśnie komponent miała zamiar unieszkodliwić Marina.

Trzeba było to jednak uczynić w sposób przemyślany. Stanowisko kontrolne, wyłącznik, światełko wskaźnika, selektor częstotliwości, wskaźnik kontrolny - wszystkie one muszą wyglądać i reagować normalnie. Operator musiał zostać wprowadzony w błąd, że system działa normalnie. DeTect dokładnie zarejestruje to, co się dzieje... O tak, będą widzieli przez cały czas jak nadlatuje. Za późno dowiedzą się, że są wystawieni na cios.

Marina zabrała się do pracy. Zaprojektowała i wykonała płytkę, która miała odłączyć ceramiczne elementy systemu DeCoy i nie zwrócić uwagi operatora. Musiała jedynie odkręcić płytę czołową, przeciąć pięć kabelków i poprowadzić je przez zaprojektowany przez siebie układ. Ćwiczyła całą procedurę na ławie pomiarowej; czas potrzebny na jej wykonanie wynosił trzy minuty i dwadzieścia sekund.

Odmienne niż wuj Karła wraz z jego koterią, Marina nie kierowała się motywami politycznymi. W tym wypadku powody były ściśle prywatne. Marinka zakochała się w pułkowniku Feliksie Grigorienko. Kochała go od czasu ukończenia zaawansowanego kursu elektronicznej techniki lotniczej wojsk powietrznych i rozpoczęła pracę jako członek brygady remontowej samolotu Aeroflot „Płomienny”. W momencie, kiedy się spotkali, przy władzy był inny Sekretarz Generalny a Grigorienko, wtedy w stopniu kapitana, był jego pilotem. Marina miała dwadzieścia dwa lata i nigdy jeszcze nie była zakochana; Grigorienko miał grubo powyżej czterdziestu lat, nieszczęśliwy w małżeństwie i, był zakochany wiele razy.

Marina nie była piękną kobietą. Odrobina krwi mongolskiej, płynąca w jej żyłach nadała rysom twarzy niecodzienny wygląd, którego jednak nie można było nazwać egzotycznym. Czuła się skrępowana w obecności ludzi, nie miała wielu zainteresowań, za to tym, co ją zainteresowało zajmowała się z poświęceniem i uwagą, które czasami onieśmiało

jej znajomych. Wydawała się bardziej zafascynowana układami scalonymi i płytkami drukowanymi niż życiem towarzyskim, co powodowało, że jej gorąca miłość do Grigorienki była jeszcze bardziej zaskakująca. Był on niedbale próżnym mężczyzną z lekką nadwagą, któremu uwiedzenie przychodziło z łatwością, tak jak pilotaż samolotu.

Romans rozwinął się bardzo szybko i mógłby zakończyć się w zwykły sposób, rozczarowaniem Mariny, gdyby nie śmierć Sekretarza Generalnego. Kiedy zmienił się Sekretarz, zmienił się także pilot samolotu „Płomienny”. Grigorienko został wysłany na półwysep Kamczatka, gdzie wyróżnił się jako pilot myśliwców przechwytyjących, który pomylił samolot Koreańskich Linii Lotniczych Lot 007 z samolotem zwiadowczym Marynarki U-2.

Błąd Grigorienki nigdy nie został oficjalnie uznany. Na dodatek, aby udowodnić, że nie popełniono żadnego błędu, został on awansowany do stopnia pułkownika, ale zabroniono mu lotów, a w lotnictwie radzieckim jego nazwisko stało się synonimem przysłowia „ślepy jak nietoperz.” Powróciwszy do Moskwy w krótkim czasie, zaczął obracać się w kręgach Aleksandra Ichnowskiego i innych, którzy chcieli obalić aktualny reżim.

Przez cały czas Marina dochowała mu wierności. Bez przygotowania, zrozumienia czy tłumaczenia sobie czegokolwiek umieściła Grigorienkę w swoim sercu. W przeszłości nie było tam nigdy innego mężczyzny i żaden nie miał tam znaleźć się w przyszłości. To było zaangażowanie, silniejsze niż przysięga małżeńska dokonana podczas ceremonii publicznej. Po jego wyjeździe poświęciła się pracy i listom, które pisała codziennie, ale nie mogła ich wysyłać. Nie miała bliskich przyjaciół; głęboki ból i ogrom zgorzknienia pozostały nieujawnione.

Marina przez trzy miesiące nie mogła zdobyć się na odwagę, aby porozumieć się z Grigorienką po jego powrocie do Moskwy. Spotkali się po raz pierwszy, po latach, pod kopułą stacji metra im. Marksa, a pod obłazącym z farby sufitem mieszkania Mariny stali się ponownie kochankami. Na następny dzień, kiedy Marina leżała wyczerpana na nim, Grigorienko zapytał czy zaryzykowałaby dla niego życie. Bez wahania odpowiedziała: tak...

Lekka wibracja zatrzęsała kadłubem, gdy ktoś dołączył zewnętrzne schodki. Po raz pierwszy poczuła ukłucie strachu, ale zachowała spokój i zaczęła przykręcać pokrywę na swoje miejsce. O ile to nie był operator tego systemu, nikt nie mógł się połapać, co ona tu robi. W chwili, kiedy kończyła usłyszała kroki w przedziale za plecami.

- Coś nie w porządku?

Marina właśnie dokręciła ostatnią śrubę. Krępy człowiek z KGB w cywilnym ubraniu patrzył się na nią. Zmarszczył czoło, kiedy zobaczył jej kombinezon roboczy i plakietkę.

- Otrzymaliśmy certyfikat sprawności urządzeń elektronicznych. Dlaczego się tutaj znajdujesz?

Marina popatrzyła na niego wzrokiem bez wyrazu i pokazała mu śrubokręt.

- Jeden z moich pracowników zostawił go tutaj. Nie chciałam, żeby walał się tutaj niepotrzebnie.

Agent mruknął coś pod nosem i skierował swoją uwagę na kabinę pilotów.

- Czy był tutaj kapitan?

- Nie widziałam go.

Po opuszczeniu samolotu, Marina przystanęła na szczycie schodów i pogłaskała ręką kadłub. Po tylu latach samolot był nieomalże jak dobry znajomy. Przez ten jeden, krótki moment poczuła smutek.

Wypowiedź Annie nie trwała długo. Zaledwie zaczęła dyskusję na temat telepatycznych podobieństw dzieci bliźniaczych, kiedy wślizgnęła się Barbara Ziegler i wyszeptała coś Ingermanowi do ucha. Annie przerwała. Uwaga zebranych była skierowana na nowoprzybyłą.

Ingerman wstał. - Przepraszam, doktor Helms. Muszę wyjść na moment. Proszę sobie nie przerywać.

Annie czekała z kontynuowaniem wypowiedzi w miejscu, w którym przerwała do czasu, kiedy wyszedł z sali.

- Badania na Uniwersytecie Minnesota wykazały wysoki stopień korelacji podobieństw obrazów w grupie doświadczeń z aktywnymi-pasywnymi stanami telepatycznymi - powiedziała. - To przypomina zjawisko opiłków żelaza ustawiających się wzdłuż linii sił pola magnetycznego w pobliżu magnesu trwałego. W przypadku bliźniaków, strona bierna telepatycznie odbiera obrazy strony czynnej.

Audytarium, do którego mówiła, nie należało do tych najbardziej pilnych. Wszyscy byli praktykami, których zadaniem była obrona przed konkretnymi zagrożeniami, takimi jak kule i bomby. Annie zorientowała się, że chcąc ich przekonać, mówi do nich coraz szybciej i szybciej. W momencie, kiedy wydawało jej się, że nareszcie są zainteresowani, powrócił Ingerman. Oczy zebranych zwróciły się w jego kierunku.

- Przepraszam - powiedział Ingerman - wciąż wam przeszkadzam. Właśnie otrzymaliśmy wiadomość, że żona Paula Stafforda znajduje się w szpitalu. Rozmawiałem z policją, która poinformowała mnie, że ta kobieta uczestniczyła w wypadku na autostradzie dzisiejszego wieczora. Przejechała na dużej prędkości przez znak stopu i straciła kontrolę nad samochodem. Aktualnie znajduje się w poważnym stanie w Glenway Memorial Hospital.

- Gdzie to jest? - ktoś zapytał.
- Upper Marlboro. To niedaleko Andrews.
- Niedaleko Andrews? A cóż ona tam robiła?
- Policja nie ma pojęcia.
- Gdzie jest Paul? - zapytała Annie.
- W drodze do szpitala.'

McNally wyjął fajkę z ust. - Czy pani Stafford była sama, czy w towarzystwie Karla Alexandra?

- Była sama.

Weems pokiwał głową. - To wszystko na temat teorii Stafforda o porwaniu.

- Nie możemy tego powiedzieć z całą pewnością.
- Niczego nie możemy powiedzieć z całą pewnością. Dlaczego zwołuje się naradę bez dostatecznych informacji. To właśnie chciałbym wiedzieć.

- Ponieważ - Ingerman wypowiadał słowa z większą cierpliwością niż czuł - chciałem, aby każdy ocenił sytuację oraz chciałem, aby każdy spotkał Paula Stafforda, którego wiarygodność jest kluczowym zagadnieniem dla naszych tutaj rozważań...

- Która to wiarygodność - wtrącił Weems - w tej chwili nie ma najwyższych notowań.

Frank Delgado, otyły reprezentant Agencji Wywiadu Obronnego, wiercił się nie mogąc sobie znaleźć miejsca.

- Czy nie możemy się skracać? Jeśli mamy zamiar rozważać problem zagrożenia, rozważajmy ten problem. Nie wiem jak reszta, ale ja nie mam czasu na spekulacje science-fiction - bez obrazu doktor Helms - ale czy nie możemy trzymać się tego, o czym wiemy?

- On ma rację - powiedział Tommy Lecrenzy. - Przyjmijmy najgorszy scenariusz: istnieje rakiet Redeye i jest ktoś, kto ma zamiar ją użyć. Nie ma znaczenia, czyim jest bratem, w jaki sposób wszedł w posiadanie pocisku, czy kogoś porwał, czy nie. Najważniejsze jest to, co nam zagraża ze strony Redeye i jak możemy temu zaradzić?

- Co masz na myśli, mówiąc, co nam zagraża z jej strony? Jeśli jest zdolny zestrzelić samolot Sekretarza Generalnego...

- A jest zdolny? Rozumiem, że ta Redeye jest sprzętem, który jest już nieźle przestarzały. Mam na myśli to, że mamy środki obronne przed czymś tak prymitywnym jak rakiet Redeye. Nieprawdaż pułkownik?

Pułkownik Coswell, siedzący z rękami złożonymi przed sobą na blacie stołu, przytaknął kiwnięciem głowy. - Potwierdzam to.

- A więc, Rosjanie też dysponują podobnymi środkami obronnymi.

- Jestem pewny, że tak - odpowiedział Coswell - czymś w rodzaju naszego systemu Gorącej Cegły. Agencja Wywiadu mogłaby mieć nieco więcej informacji na temat radzieckiego systemu obrony przeciwlotniczej.

- Mamy - zgodził się Delgado - ale nie wiemy dokładnie, jakiego rodzaju zestaw jest zamontowany na pokładzie tego właśnie samolotu.

- Mamy dobry sposób, aby się dowiedzieć - powiedział Ingerman - zapytajmy ich.

Karl zaparkował Winnebago na szpitalnym parkingu. Chmury zaciągnęły nocne niebo. W oddali, tam skąd przyszły, ciemność była rozświetlana jarzącymi się błyskawicami. Gęste i parne powietrze zapowiadało zmianę pogody. Zanim wszedł, obszedł dookoła budynek szpitalny zapoznając się z rozkładem i okolicznym terenem, na wypadek, gdyby niezbędna okazała się konieczność ucieczki. Oprócz głównego wejścia znajdowały się tam boczne drzwi, wejście do izby przyjęć i rampa załadunkowa na niższym poziomie.

Szpital był nowo wybudowany. Szklane drzwi otworzyły się przed Karlem automatycznie. Kiedy znalazł się w recepcji, otoczyło go zimne powietrze. Po lewej stronie znajdowała się poczekalnia udekorowana abstrakcyjnymi obrazami na ścianach. Stały tutaj, zgrupowane naokoło palmy, drewniane ławeczki. Pulpit recepcji znajdował się na wprost, siedziała za nim pielęgniarka z zawieszoną na piersi zieloną plakieta z nazwiskiem. Karl przedstawił się jej, jako Paul Stafford, którego żonę przywieziono do szpitala po wypadku samochodowym.

Pielęgniarka, chuda, czarnowłosa kobieta z plakieta z imieniem „Raylene,” wystukała szybko dane wejściowe do komputera i podniosła wzrok.

- Pańska żona dochodzi do siebie po operacji, panie Stafford. Jest na oddziale intensywnej terapii. Proszę podpisać tutaj, dam panu przepustkę i będzie pan mógł pójść na górę.

Podowała mu pióro i Karl wpisał nazwisko Paula w książce. Nie było to już dla niego niczym dziwnym, podpisywać się nazwiskiem swojego brata.

Raylene podała mu także plastikową kartę z napisem ODWIEDZINY, po obu stronach.

- Trzecie piętro, proszę pana. Proszę skorzystać z jednej z wind, które znajdują się w hallu po prawej stronie.

- Dziękuję.

Karl ruszył wzdłuż korytarza, ale zamiast zatrzymać się przy windzie, poszedł dalej, aż doszedł do podwójnych drzwi na klatkę schodową. Zszedł po schodach na dół i upewnił się, że drzwi są otwarte. Poprzez grube szkło zobaczył długi, jasno oświetlony korytarz,

pełen, zajętych własnymi sprawami, techników i konserwatorów. Rampa załadunkowa znajdowała się właśnie na tym poziomie. W razie potrzeby mógł uciec przez piwnice.

Po wjechaniu windą na trzecie piętro, musiał przystanąć przy pulpicie na zewnątrz oddziału intensywnej terapii. Po okazaniu przepustki i wyjaśnieniu kim jest, przeszedł przez parę podwójnych drzwi i znalazł się w cichym otoczeniu, w którym głośnym wydawał się nawet rytmiczny ton aparatury kontrolno-pomiarowej. Rozplanowanie oddziału przypominało koło, ze szklanymi pomieszczeniami rozchodzącymi się na zewnątrz, jak szprychy od środka ku obręczy. Z sufitu patrzyły w dół rzędy ekranów, każdy z nich był monitorem jakiegoś narządu pacjenta.

W pokoju znajdowały się trzy pielęgniarki, jedna siedziała za okrągłym pulpitem, pozostałe stały obok niego. Kiedy Karl wszedł prowadziły cichą rozmowę; jedna z nich, z twarzą o ostrych rysach, na jego widok uśmiechnęła się nieznacznie i podeszła do niego. Jej plakietka określała ją jako „Margaret.”

- Pan Stafford?

Karl przytaknął, nieprzyjemnie zaskoczony tym, że znają jego nazwisko. Widząc jego zmieszanie, Margaret pospieszyła z wyjaśnieniem. - Poinformowali nas, że przyjdzie pan do nas. Pańska żona znajduje się w pokoju tuż obok.

Na oddziale intensywnej terapii znajdował się tylko jeszcze jeden pacjent, stary człowiek, którego wymizerowane ciało zaledwie powodowało zmarszczkę na pościeli, którą był przykryty. Joanna znajdowała się w przyległym pomieszczeniu. Leżała na łóżku bez ruchu, blada. Przewody łączyły ją z instrumentami zamontowanymi na ruchomych stelażach, rozstawionych naokoło łóżka. Jedna cienka rurka biegła do dziurki od nosa, koniec drugiej był umieszczony w jej półotwartych ustach a trzecia, której Karl poświęcił szczególną uwagę, ginęła pod bandażami na jej przedramieniu.

- Wiem, to wygląda przerażająco - mówiła pielęgniarka - ale ona naprawdę świetnie sobie radzi. Karl odwrócił się i patrzył na nią.

- A więc ona nie umrze?

- Powiedziałabym, że nie - odpowiedziała Margaret, najwyraźniej obrażona pytaniem - wykluczysz komplikacje, pańska żona powinna wyzdrowieć całkiem szybko.

Po ostrzeżeniu, że może zostać tylko przez kilka minut, powróciła na stanowisko. Karl podszedł do łóżka. Joanna miała zabandażowaną głowę i jedna strona jej ust była spuchnięta i posiniaczona. Górna warga była lekko ściągnięta w miejscu, gdzie założono szwy.

Patrząc na nią, Karl zauważył kosmyk czarnych, jedwabistych włosów, który wymknął się spod bandażu. Oczy chronione delikatnymi, półprzezroczystymi powiekami,

były nieruchome. Przyłapał się na tym, że chciał dotknąć palcami jej policzka. Jeśli to teraz uczyni, może zmienić zamiar.

To było właśnie niebezpieczeństwo udawania, że jest Paulem; stawał się podatny na emocje charakterystyczne dla Paula, emocje, które dla niego były całkowicie obce. Co to powiedziała o nim Joanna? Że Paul jest delikatny? No cóż, Paula stać na to. Wszystko otrzymał od życia, opakowane i ozdobione wstążką jak prezent na gwiazdkę. On, Karl, nie mógł sobie pozwolić na taki luksus.

Cofnął dłoń i rzucił okiem w kierunku pielęgniarek. Widać je było przez otwarte drzwi i boczne okno. Prowadziły cichą rozmowę, nie zwracając na niego szczególnej uwagi, ale były świadome wszystkiego, co działo się wokół nich. Z pewnością zauważyłyby, gdyby wyciągnął nóż i próbował przeciąć worek kroplówki. Zauważył wiszącą przy ścianie jasnozieloną zasłonę, którą można było zaciągnąć wokół łóżka, zapewniając sobie pewną prywatność.

Wrócił do dyżurki pielęgniarek. - Przepraszam, Margaret. Chciałbym pomodlić się za moją żonę. Czy możnaby rozciągnąć tę zasłonę na parę minut?

Zawahała się.

- Proszę... - Karl poprosił cicho.

- No, dobrze, ale tylko na parę minut, panie Stafford. Margaret weszła do sali i rozciągnęła zasłonę wokół łóżka.

- Nie może pan jej dotykać.

- Rozumiem. I dziękuję.

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na swoją pacjentkę, Margaret zostawiła go samego.

Zasłona nie zakrywała całego łóżka, ale miejsce, w którym stała kroplówka było niewidoczne. Karl przysunął się do stojaka, uważając by nie potknąć się o coś. Za jego plecami pracował cicho respirator. Karl wyciągnął scyzoryk, otworzył małe ostrze i szybko zrobił nacięcie wzdłuż spoiny u góry worka z kroplówką. Następnie zamienił nóż na ampułkę z halopariminą.

Zawahał się na moment. Przed paroma godzinami jej zdanie miało dla niego znaczenie. Jednak, przypomniał sobie, że wszystko z jej strony było fałszem. Wszystko było tylko zaplanowaną grą, ułatwiającą jej ucieczkę. Zrób to. Ścisnął worek, by rozszerzyć nacięcie i wlał do środka halopariminę. Przy zetknięciu się dwóch płynów powstały niewyraźne smugi. Potrząsnął delikatnie workiem i mieszanina przejaśniała.

Karl popatrzył na Joannę po raz ostatni. To będzie bezbolesna śmierć. Na koniec mógł jej to ofiarować.

Arkadiusz Wroński nie lubił Waszyngtonu, D.C. Nie lubił Ameryki i w ogóle całego Zachodu, nie z przyczyn politycznych, lecz dlatego, że przez nich jego praca stawała się tak potwornie trudna. Wroński był szefem ochrony Generalnego Sekretarza. Praca była wystarczająco trudna w Związku Radzieckim a prawie niemożliwa w Ameryce, w społeczeństwie, które wydawało się być ciągle na krawędzi anarchii. Kiedykolwiek on i jego ekipa sugerowali podjęcie nawet najskromniejszych środków ostrożności, wówczas mówiono im, że nie mogą tego zrobić bez pogwałcenia czyichś praw konstytucyjnych. Amerykanie nie mogli nawet pójść do sklepu spożywczego bez powoływania się na ich prawa konstytucyjne do szastania pieniędzmi i dogadzania sobie. To dlatego Wroński, kiedy Eliot Ingerman powiedział mu o spisku Redeye, przypuszczał, że jest to robota jakiegoś Amerykanina. Był zszokowany słysząc, że podejrzany, Karl Alexander, był przypuszczalnie pracownikiem wschodnioniemieckiej Stasi.

- To bardzo poważny zarzut - powiedział Wroński. - NRD jest naszym sojusznikiem. Oskarżanie jej o planowanie zamachu na życie Sekretarza Generalnego jest tak nierozważne, jak absurdalne.

- Nie powiedziałem, że NRD planowało zamach - odpowiedział Ingerman.

- Więc, kto?

- Sądźmy, że jest prawdopodobne, że ktoś z waszego własnego rządu jest zamieszany w ten spisek.

Wroński patrzył na Ingermana i zastanawiał się, jakiego rodzaju grę on prowadzi? Widział coś podejrzanego w drogiej i nieskazitelnie uszytej marynarce i jego starannie utrzymanej grzywie popielatych włosów. Mężczyzna był zbyt pewny siebie i wrażenia, jakie sprawia. Wroński przyjrzał się przelotnie wypolerowanej fasadzie Ingermana. Czy mówił poważnie, sugerując, że Rosjanie kierują spiskiem przeciwko Sekretarzowi Generalnemu?

- Panie Ingerman - powiedział Wroński - gdyby istniał radziecki spisek obalenia naszego przywódcy, zapewniam pana, że bylibyście ostatnimi, którzy by się o tym dowiedzieli.

- Być może. Mamy jednak informację, że Karl Alexander jest protegowanym byłego deputowanego z kierownictwa KGB, nazwiskiem Aleksander Ichnowski.

Wroński znał to nazwisko. Nawet spotkał się z Ichnowskim parę lat wcześniej. Człowiek ten jednak przeszedł teraz na emeryturę i zbyt oddalił się od sceny politycznej, by wywołać jakiegokolwiek zmiany w rządzie. Byli inni ludzie, stara gwardia, reakcyoniści, członkowie Politbiura i pewni przywódcy wojskowi, bardziej krzykliwi w krytykowaniu obecnych liderów politycznych i stanowiący realne zagrożenie. KGB miała o nich informacje.

- Co pan sugeruje, panie Ingerman? Co mamy zrobić? Aresztować Aleksandra Ichnowskiego? A z jakich powodów? Czy może mi pan dostarczyć jakichś dowodów na istnienie tego spisku?

- Nie należy do mnie udowadnianie istnienia spisku. Jestem tylko zainteresowany w przetransportowaniu Sekretarza Generalnego do i z Waszyngtonu w jednym kawałku. Mieliśmy ładunek pocisków, sprawdzimy go i kiedy to zrobimy, będziemy wiedzieć, czy pocisk Redeye zginął czy nie. W międzyczasie być może mógłby pan sprawdzić, czy Karl Alexander jest w Berlinie.

- To znaczy, pan nie wie, czy on jest w Waszyngtonie?

- Mamy doniesienie z jednego źródła. Szukam potwierdzenia, w ten czy w inny sposób. A także, chciałbym dowiedzieć się, jak dalece zabezpieczony jest wasz samolot przed czymś takim jak Redeye?

- Tak dobrze, jak wasz jest zabezpieczony, jestem tego pewien.

- Mógłby pan to sprawdzić.

Po wyjściu Amerykanina pierwszą rzeczą, jaką zrobił Wroński było skontaktowanie się z generałem lotnictwa Lialinem, który zaśmiał się na wzmiankę o rakiecie Redeye.

- Redeye to era bryczki z zaprzężonym koniem - głos Lialina grzmiał w słuchawce. - Nie ma IFF, nie ma systemu wysokiej selekcji, ma nieduży zasięg i jest tylko zdolny do lotu za celem. Został zastąpiony trzy lata temu. Myślę, że Amerykanie pozbyli się wszystkich tych pocisków.

- Robią to właśnie, tyle że teraz mają jeden pocisk mniej niż przedtem.

- Zgubili jeden, tak?

Wydawało się, że LValin bierze to za świetny żart. Dobry humor generała lotnictwa działał Wrońskiemu na nerwy. W końcu LValin był zdolny uspokoić go, że samolot „Płomienny” był chroniony przed pociskami Redeye przez coś, co nazywało się system Wildfire.

- Ślepiec w pogoni za tłustą świnia - powiedział IValin. - Tak wygląda Redeye goniący za samolotem „Płomienny”. Pocisk prędzej wyląduje w czyimś” salonie, niż na kolanach Sekretarza Generalnego.

- Jednak mógłby pan zasięgnąć informacji w Moskwie - sucho zaproponował Wroński.

- Zrobię to, z pewnością to zrobię. Ale Wildfire będzie działać bez względu na to, czy Amerykanie zgubili Redeye, czy nie. To procedura standartowa.

Siły powietrzne miały swoje standartowe procedury a Wroński miał swoje. Poszedł do pokoju radiotelegrafistów i wysłał zakodowane polecenie przesłania kopii akt Stasi dotyczących Karla Alexandra i potwierdzenia jego obecnego miejsca przebywania. Wiedział, że to będzie długa noc.

Rozdział 33

Kiedy Paul przechodził przez parking, poczuł pierwsze krople deszczu. Spoza horyzontu dochodziły grzmoty odległej burzy. Gdy zbliżał się do budynku, w oczy wpadł mu podświetlony napis w zielonej ramce: „Glenway Memoriał Hospital”. Drgnął. Ogarnęło go uczucie czegoś znajomego. Czy był tutaj kiedyś? Gdy rozsuwane szklane drzwi otworzyły się przed nim automatycznie, uczucie wzmogło się, a wraz z nim przecucie jakiegoś nieokreślonego zagrożenia.

Paul podszedł wprost do recepcji i zameldował się.

- Przyszedłem zobaczyć moją żonę, Joannę Stafford. Jest na Oddziale Intensywnej Terapii.

Pielęgniarka, Raylene, rzuciła na niego okiem i lekki uśmiech pojawił się na jej twarzy.

- Jak pan to zrobił? - zapytała.

- Co zrobiłem?

- Zmienił ubranie tak szybko. Jak pan to zrobił? Minęła chwila, zanim do Paula dotarło znaczenie jej słów.

- JOANNA. Gdzie ona jest?

- Proszę minutkę poczekać, dostanie pan ponownie przepustkę.

- To nie ja. Nie byłem...

Zobaczył leżący na ladzie rejestr i przysunął go. Miał przed oczyma swój własny podpis. Karl był tutaj. Odsunął na bok rejestr i zwrócił się do pielęgniarki: - Gdzie jest Oddział Intensywnej Terapii?

- Niech się pan uspokoi, panie Stafford. Pan właśnie... Paul przeskoczył ladę i chwycił ją za ramiona.

- Gdzie ona jest, do diabła? Które piętro?

Raylene z szeroko otwartymi oczyma, próbowała się wyrwać. Z sąsiedniego pomieszczenia wyszedł umundurowany strażnik.

- Chwileczkę, sir.

Paul odwrócił się i pobiegł w głąb korytarza. Strażnik, mężczyzna około sześćdziesiątki próbował go zatrzymać, ale Paul odepchnął go na bok i pobiegł przez hall. Strażnik krzyknął i parę osób z personelu obejrzało się. Paul przyskoczył do windy i wślizgnął się do środka, w momencie gdy właśnie zamykały się drzwi. Sanitariuszka stała za pacjentem siedzącym w fotelu na kółkach.

- Oddział Intensywnej Terapii - zapytał Paul. - Na którym to piętrze?

Sanitariuszka wystraszona jego zachowaniem i wyglądem, oniemiała.

Paul rozejrzał się. Nad drzwiami wisiała plansza z planem budynku: „Intensywna Terapia” znajdowała się na trzecim piętrze. Nacisnął guzik i w chwilę później winda drgnęła zatrzymując się. Sprzątaczkę czyścił wąski pas linoleum pomiędzy dwoma przenośnymi znakami z napisem: „Uwaga. Mokra podłoga”. Na końcu korytarza znajdował się kontuar, a za nim podwójne drzwi prowadzące na Oddział Intensywnej Terapii.

Pielęgniarz popatrzył na niego, lecz Paul minął go. Mężczyzna zawołał za nim: - Przepraszam pana...

Trzy pielęgniarki za biurkiem popatrzyły na niego z lekkim zaskoczeniem, kiedy wszedł do dyżurki.

- Joanna Stafford? Gdzie ona jest?

Najstarsza z pielęgniarek zmarszczyła brwi. - Teraz, panie Stafford, mówiłam panu...

Pielęgniarz wszedł za nim. - Przepraszam pana. Nie może pan tak po prostu tutaj wchodzić.

Gdy najstarsza z pielęgniarek, Margaret, stanęła przed nim, Paul odwrócił się w stronę oszklonego pomieszczenia. Spostrzegł tam leżącą Joannę, z zamkniętymi oczyma, głową spowitą w bandaż, rurkami biegnącymi do jej nosa, ust i ramienia. Paul podbiegł do jej łóżka. Była tak blada i... wyglądała na nieżywą. Był pewny, że Karl właśnie ją zamordował. Po chwili jej pierś poruszyła się i uświadomił sobie, że ciągle oddycha, żyje. A może to respirator oddycha za nią? Co mógł powiedzieć, widząc ją podłączoną do tych wszystkich przeklętych urządzeń?

Margaret weszła za nim i wzięła go pod ramię. - Panie Stafford, musi pan teraz odejść. Mówiłam to już panu.

Paul uwolnił się i chwycił rękę Joanny. Szukał pulsu.

- Panie Stafford, proszę...

Paul obrócił się do niej. - On próbował ją zabić. Ten mężczyzna, który był tutaj parę minut temu, to nie byłem ja. On próbował ją zabić...

Margaret przyglądała mu się. Pod palcami wyczuł delikatne uderzenie serca Joanny. Zamiast ulgi poczuł ogarniający go coraz większy lęk. Coś było nie w porządku. Karl przyszedł tutaj z zamiarem...

- W porządku, panie Stafford - odezwała się łagodnie Margaret. - Dlaczego pan nie wyjdzie i nie usiądzie...

- Proszę ją zbadać. Znajdźcie, co jest nie w porządku.

Trzymał nadal palce na przegubie Joanny, czując uderzenia jej serca i czując także coś czającego się tuż poza granicami jego świadomości. Obraz zaczynał nabierać kształtu otwartej szczeliny...

- Wszystko będzie z nią w porządku, jeżeli tylko pan teraz wyjdzie....

Margaret położyła mu rękę na ramieniu i delikatnie, lecz stanowczo próbowała go wypchnąć.

- Nie. - Paul wyrwał ramię. Pielęgniarka zrobił krok do przodu, podniósł rękę.

- Niech się pan uspokoi, panie Stafford. Nie chce pan sprawić bólu swojej żonie, prawda?

Obraz zanikał, pozostawiając jedynie niepokój. Co, do diabła, zrobił Karl? Co?

- Coś jest nie tak z nią - upierał się Paul. - Nie wiem, co, ale mężczyzna, który był tutaj przedtem, coś zrobił. Sprawdźcie oznaki życia, jej krew, wszystko.

Margaret i pielęgniarka wymienili spojrzenia. Druga pielęgniarka spoglądała od strony drzwi. Wyraźnie nikt mu nie wierzył.

- Byłem w tym ubraniu? - domagał się odpowiedzi Paul. - Nie byłem, prawda?

Po raz pierwszy lekki błysk niepewności przebiegł przez twarz Margaret.

- Rozumiecie, co mówię? Wiem, że to brzmi jak szaleństwo, ale myślę, że on mógł otruć ją lub wstrzyknąć jej coś, albo...

Zauważył worek z kroplówką i teraz obraz eksplodował w jego mózgu: szczelina otworzyła się, nacięcie w plastiku, coś... trucizna... wciśnięta do worka, do żył Joanny...

Pielęgniarka zwrócił się do dwóch strażników, którzy właśnie weszli.

Margaret odezwała się miękko: - Z nią jest wszystko w porządku, panie Stafford. Aparatura nam to mówi.

- Nie, nie jest w porządku. - Podeszedł do kroplówki i wyrwał rurkę. Rozległ się dzwonek alarmowy, gdy rurka wyslizgnęła się na podłogę i glukoza wytrysnęła z worka. Wyrwał rurki i przewody przymocowane do innych urządzeń. Pokój wypełnił się popiskiwaniem, dzwonekami alarmów i błyskających lamp. »

Strażnicy pochwycili go i wywlekli z pokoju, podczas gdy pielęgniarki skupiły się wokół Joanny.

- Zróbcie test krwi - krzyczał Paul. - Zobaczcie, czy nie jest zatruta.

- Chodź pan teraz - powiedział jeden ze strażników. Trzymali go pod rękę, a sanitariusz stał z tyłu.

- Moja żona... powiedz im, żeby sprawdziły czwarty monitor...

- Proszę pana, jest pan zdenerwowany, ale zakłócił pan porządek w tym szpitalu.

Podczas gdy mocowali się z Paulem w drugim kącie pokoju, wszedł doktor Halby. Był młodszy niż to sobie wyobrażał Paul, niski, żylasty mężczyzna z krzaczastymi, czarnymi brwiami i zbyt wydatnymi wargami. Wszedł bezpośrednio do pokoju Joanny.

- Ktoś próbował ją zamordować - zawołał do niego Paul. - Sprawdźcie jej krew i zmieńcie kroplówkę.

Wreszcie zaczęło się coś dziać w pokoju Joanny. Wreszcie zwrócili uwagę na jej obecny stan.

- Wszystko w porządku - powiedział Paul do strażników, uwalniając rękę. Po paru minutach wyszedł doktor Halby.

- Czy jej nic się nie stało? - dopytywał się gwałtownie Paul. - Zbadaliście ją?

- Czy pan jest Paulem Staffordem?

- Zrobiliście test krwi?

- Chwileczkę. Proszę mi coś wytłumaczyć. Pan jest Paulem Staffordem, z którym rozmawiałem przez telefon? Tym, który napisał te artykuły o lekarskich procesach?

- Tak, co z moją żoną? Czy wszystko dobrze?

- Nie dzięki panu, obawiam się.

- Sprawdził pan jej krew i zmienił kroplówkę?

- Została skażona, więc ją zmieniliśmy. Nie trzeba badać jej krwi. A teraz proponuję, by wytłumaczył mi pan...

- Panie doktorze, wierzę, że ktoś usiłował zamordować moją żonę - przerwał mu Paul.

- Mężczyzna podający się za mnie był co dopiero tutaj. Był ubrany inaczej. Jest moim bratem bliźniakiem i używa narkotyków, by obezwładniać i zabijać ludzi.

Widać było, że Halby mu nie wierzy.

- Wiem, jak to brzmi - powiedział Paul szybko. - Ale mogę udowodnić to, co mówię. Niech pan zadzwoni do CIA i zapyta się o faceta nazwiskiem Hugh Roark. Potwierdzi to, o czym panu mówię.

Powiedział niewłaściwą rzecz. Sceptycyzm Halby'ego zamienił się w niedowierzenie na wzmiankę o CIA. Paul czuł narastające rozczarowanie.

- Czy sprawdzi pan, na litość boską, jej krew? Jeżeli została otruta, jak pan to odkryje? Gdzie to wyjdzie? Proszę tylko sprawdzić.

Halby podrapał się po nosie. - Panie Stafford, niech pan się wstrzyma na chwilę i zastanowi, co pan mówi. Proszę tylko przez chwilę się zastanowić...

- Wiem doskonale, co mówię.

- Pan oszalał, co jest naturalne w tych okolicznościach...

- A co będzie, jeżeli ona umrze? To naturalne w tych okolicznościach?

- Jeżeli pan mi pozwoli, zapiszę coś...

Margaret wyszła z oddziału niosąc pusty worek po kroplówce.

- Przepraszam, doktorze, mógłby pan na to spojrzeć. - Pokazała Halby'emu worek. - Albo spoina pękła, albo co innego, może...

Rozciągnęła słowa. Halby sprawdzał worek, a Margaret przyglądała się Paulowi.

- To jest właśnie to - powiedział Paul. - Zostawiła go pani samego z nią, prawda? Tego pierwszego mężczyznę, który tutaj był?

Margaret nie odpowiedziała. Halby podniósł wzrok. - Ktoś był sam z nią?

- On był. Poprosił o zasunięcie kotary, by się pomodlić - powiedziała, ciągle patrząc na Paula. - Nie widziałam w tym nic złego.

- To nie pani wina - warknął Halby, lecz jego twarz poczerwieniała mu z gniewu. - Bezwzględnie chcę mieć wynik testu krwi i przygotowaną transfuzję. Zawartość tego worka ma być poddana analizie.

Margaret wróciła do pokoju Joanny, a Halby zwrócił się do Paula: - Jeśli ma pan rację, to albo jestem winny panu przeprosiny, albo pan powinien złożyć wyjaśnienia policji.

- Niech pan po prostu uratuje Joannę, dobrze? Halby natychmiast zaczął działać. Strażnicy zaprowadzili Paula do biura, aby spisać raport. Gdy przyjechała Annie Helms był tam jeszcze.

Problem zcentralizowanej biurokracji KGB polegał na tym, że wszystkie informacje przechodziły przez Moskwę. W przypadku Wrońskiego, jego żądanie miało priorytet i szybka odpowiedź na temat pobytu Karla Alexandra nadeszła z sekcji berlińskiej Karlhorst: Karl Alexander przebywał czasowo na służbie w Jarosławiu, w ośrodku treningowym KGB. Ponieważ dyżurujący w Moskwie urzędnik otrzymał odpowiedź w momencie gdy schodził ze służby, zmienił nagłówek przesłanej informacji i przekazał ją do Waszyngtonu. W trakcie tej operacji pomylił kod i gdy Wroński otrzymał wiadomość, sądził, że nadeszła ona z

Jarosławia, a nie z Berlina. O północy był przy telefonie, by przekazać Eliotowi Ingermanowi dobre wieści: Karl Alexander był oddalony o sześć tysięcy mil.

To jeszcze jedna dobra wiadomość dla Ingermana. Amerykańscy i radzieccy specjaliści od obrony powietrznej właśnie obradowali i byli zgodni co do tego, że pocisk Redeye nie był wystarczająco doskonały, by stanowić zagrożenie dla ekranów radzieckiej obrony powietrznej.

- Nie chcieli wchodzić w szczegóły - powiedział mu Coswell - ale z tego, co powiedzieli i z tego, co już wiemy, dysponują czymś, podobnym do naszego systemu „Gorąca cegła”.

Ingerman nie zamierzał zgłębiać systemu „Gorąca cegła”, lecz gotów był zaakceptować zapewnienia Coswella. Jego praca polegała na ochronie radzieckiego przywódcy, od momentu kiedy ten postawi stopę na ziemi; zadaniem lotnictwa było, aby on na tej ziemi się znalazł. Chciał jeszcze, by upewnili się czy pocisk Redeye zniknął, czy też nie. Jednak „Coralis”, na pokładzie którego znajdowały się kontenery, walczył z tropikalnym sztormem na Karaibach. Minie co najmniej czterdzieści osiem godzin, zanim będzie można przeprowadzić inspekcję.

I Paul Stafford, którego wiarygodność była równa teraz zeru. Jeżeli Karl Alexander był w Jarosławiu, to w takim razie sam Stafford odwiedzał swoją żonę dwa razy w szpitalu. Przypomniał sobie, co Hugh Roark mówił mu o kłopotach małżeńskich Stafforda i o tym, że opuszcza go żona. Czy Stafford próbował podać narkotyk własnej żonie? A potem stracił nerwy, wrócił i uratował ją? Czy też planował od początku postąpić w ten sposób? Uratować swoją żonę i w efekcie pojednać się z nią, jako bohaterski mąż?

Do głowy przyszła mu możliwość mroząca krew w żyłach: a jeżeli Stafford jest jedną z tych złożonych osobowości? Typ doktora Jekylla i mister Hyde’a, w której z tych dwóch osobowości zdawał sobie sprawę z innej egzystencji? Czytał artykuły o takich ludziach i nawet studiował historie przypadków podczas studium psychologii kryminalnej. To miało więcej sensu, niż sny i telepatia.

Poza tym, jaki powód miałby ktoś inny, by zabić Joannę Stafford?

Gdy wyniki testu wykazały obecność śmiertelnej ilości środka uspokajającego w kroplówce Joanny, oświadczenie Annie i jej listy uwierzytelniające z CIA pomogły przekonać doktora Halby’ego i policję do historii opowiedzianej przez Paula. Gdy raport został spisany, Paul domagał się powrotu na trzecie piętro. Nie mógł zostać na Oddziale Intensywnej Terapii, lecz doktor Halby zezwolił, by czekał w sali przy końcu korytarza. Dla Paula nie miało znaczenia, jak długo będzie czekał, byle mógł kontrolować, kto wchodzi do Joanny. Udało

mu się przybyć, zanim dostatecznie dużo środka dostało się do jej krwi. Teraz, kiedy była bezpieczna, nie chciał ponownie zaufać przypadkowi. Chciał zostać tutaj, tak długo, póki Joanna nie odzyska przytomności, co mogło nastąpić - jak przewidywał doktor Halby - nie wcześniej niż rano. Annie chciała z nim zostać.

- Powinnaś iść do domu - powiedział jej.

- Będę w pobliżu.

- Dlaczego?

- Noo, prawdę mówiąc, chcę znaleźć twojego brata.

- Myślisz, że on tutaj wróci?

- Nie. Ale jeżelibyś przypadkowo zasnął dzisiaj w nocy, chciałabym być tutaj, na wypadek gdybyś miał jakieś sny.

- Nie będę spał - powiedział Paul. - W każdym razie tak długo, póki nie będę wiedział, że z Joanną jest wszystko w porządku.

Siedzieli na kanapce. Paul pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach i podparł podbródek dłońmi. Annie siedziała z nim w milczeniu. Potem powiedziała: - Oni nie sądzą, by on mógł zestrzelić samolot Sekretarza Generalnego przy pomocy Redeye.

- Kto tak nie sądzi?

- Rozmawiali o tym, kiedy wyszedłeś. Istnieje jakiś rodzaj ekranu ochronnego. Redeye nie może się przez niego przedrzeć.

Paul kiwnął głową, nieobecny. Myślał o Joannie. Annie zamilkła, zauważywszy, że nie był w nastroju do rozmów. Dwukrotnie szła do baru i przynosiła kawę. Około drugiej nad ranem zaczęła drzemać, za każdym razem zsuwając się na bok i opierając o Paula. Przeniósł się na krzesło, pozwalając jej zwinąć się na kanapce.^ Jedna z pielęgniarek przykryła ją później kocem.

Oczy Paula pozostały nieruchomo wlepione w wejście na Oddział Intensywnej Terapii. Momentami umysł miał zupełnie pusty i patrzył nie-widzącym spojrzeniem. Doktor Halby przychodził dwa razy, by zbadać Joannę i uspokoić go. Tuż przed świtem zmęczenie wzięło nad nim górę i Paul zaczął zapadać w sen, budząc się natychmiast, gdy jego ręka zsuwała się z oparcia krzesła lub głowa opadała na piersi. W ciągu ostatnich trzech dni nie spał dobrym snem.

Annie zbudziła się o szóstej trzydzieści. Nie mogąc przekonać Paula, by zszedł do barku na śniadanie, poszła sama i przyniosła kawę oraz kubek jogurtu borówkowego. O ósmej piętnaście Joanna zaczęła odzyskiwać przytomność, lecz Paul musiał zaczekać, aż doktor Halby ją zbada a pielęgniarki odłączą od respiratora, zanim mógł do niej wejść. Gdy Joanna

zobaczyła go, jej pierwszą reakcją był strach. Jej oczy poszerzyły się i wybuchnęła chrypliwym płaczem.

Doktor Halby położył rękę na ramieniu Paula. - Niech pan zaczeka.

- Jo... - odezwał się Paul - to ja. Paul...

- Paul?

- Tak, tak.

Zbliżył się do niej, ale odsunęła się.

- Ręka - powiedziała wskazując., * Paul wyciągnął swoją prawą rękę, lecz ona zignorowała ją i sięgnęła wolno po jego lewą. Dopiero, gdy obróciła jego palce i zobaczyła obrączkę, odprężyła się, a jej oczy wypełniły się łzami. Paul uklęknął przy łóżku i ścisnął jej dłoń.

- Już wszystko jest dobrze, wszystko dobrze, kochanie...

- On tutaj był - wyszeptwała, ciągle chrypiąc.

- Wiem.

- Związał mnie, musiałam uciec.

- Joanna, Joanna...

- Wyrwałam sobie włosy.

Podniosła rękę do głowy, a kiedy jej palce natknęły się na bandaż, wydawała się być zaskoczona. - Tak źle?

- Miałaś wypadek samochodowy, Jo.

- Wypadek? Nie, pamiętam moje włosy...

- Z twoimi włosami jest wszystko w porządku.

- Wydarłam je. Jeden z tych domów na kółkach. Czołgałam się pod nim, by uciec...

Pamiętała ucieczkę przed Karlem, lecz nie pamiętała nic z wypadku. Kiedy Paul opowiedział jej o tym, zmarszczyła brwi. - Uszkodziłam samochód? Było to tak bezsensowne, że się uśmiechnął. Jo popatrzyła zmieszana przez chwilę, a potem także się uśmiechnęła. Szwy na wargach sprawiły jej ból.

- Ouu.

- Nie uśmiechaj się.

- Nie rozśmieszaj mnie.

Wskazała na dzbanek z wodą. Paul nalał jej pełną szklankę i przyglądał się jak popijała małymi łykami, uważając na uszkodzoną wargę. Gdy się napiła, odstawił szklankę na bok, na nocny stolik. Wziął ją za rękę. - Czy wiesz, jak bardzo cię kocham?

- Powiedz mi.

Pochylił się nisko nad nią, uświadamiając sobie to, co było tak mocno spóźnione.

Sekretarz Generalny prosił, by powiadomiono go, gdy samolot Aerof-lotu „Płomienny” będzie przelatywał ponad kontynentem północnoamerykańskim. Steward przyniósł filiżankę czarnej kawy po turecku. Radziecki przywódca wrzucił do kawy kostkę cukru i zaczął powoli sączyć napój patrząc się przez okienko. Ostre promienie porannego światła odbijały się od białego kadłuba samolotu, ale nie dobiegły jeszcze do ziemi, którą widać było jako szarą, bezkształtną masę wylaniającą się z mroku.

Do kabiny weszła jego żona i usiadła naprzeciw niego.

- Przespałeś się trochę?

- Wystarczająco. A co z tobą?

- W porządku - ale widok tajemniczego uśmiechu udzielił mu innej odpowiedzi.

Obawiała się tej podróży, wiedział o tym. Jej instynkt nie zawodził, kiedy trzeba było określić nastrój, jaki panował w kraju. Po ukończeniu Uniwersytetu w Moskwie to ona właśnie poleciła mu zrezygnować z natychmiastowej kariery w stolicy i pozwolić, aby jego rówieśnicy zajmowali wysokie stanowiska. On powinien wrócić do Stawropola i zostać politykiem lokalnym. To było najbardziej przebiegłe posunięcie w jego karierze.

Oceniała także prawidłowo szybkość, z jaką przeprowadzał reformy. Kiedy podjął się być przywódcą Związku Radzieckiego, ostrzegła go, aby postępował ostrożnie. Ale on parł do przodu, być może za szybko. Wielkie nadzieje doprowadziły do rozczarowań i w ciągu ostatnich paru miesięcy do poczucia niepokoju. Tego właśnie najbardziej się obawiała.

- Nastroje są złe - powiedziała tydzień wcześniej - pamiętasz, jaka panowała atmosfera przed odsunięciem Chruszczowa od władzy?

- Nie jestem Chruszczowem - przypomniał jej - a to nie jest rok 1963.

- Mógłbyś zachorować, odłożyć spotkanie na szczycie.

To były tylko pobożne życzenia. W żaden sposób nie można było odłożyć spotkania na szczycie. Traktat o Wzajemnym Bezpieczeństwie był kluczowym układem, który miał umożliwić przesunięcie z ekonomii wojennej w kierunku pokojowej gospodarki rynkowej. Traktat o Wzajemnym Bezpieczeństwie, jak powiedział na zebraniu Biura Politycznego, był ostatnią okazją ludzkości do ocalenia siebie „od nieskończonego cyklu wojen, których zgiełk bitewny rozbrzmiewał przez cały okres dziejów ludzkości.” Traktat był dziedzictwem, które chciał przekazać narodowi, który go wydał na świat, wychował i, na końcu, podniósł do najwyższych godności.

Pamiętał cytat, usłyszany od dziadków, którego biblijne pochodzenie utkwilo w jego mózgu. Przypomniał sobie teraz słowa: „Kiedy byłem dzieckiem, mówiłem jak dziecko,

rozumiałem jak dziecko i myślałem jak dziecko: ale kiedy stałem się człowiekiem dorosłym, odłożyłem na bok dziecięce sprawy.” W ten sposób rozumiał Traktat o Wzajemnym Bezpieczeństwie. Nadszedł czas, aby odłożyć dziecinne rzeczy.

Pierwszy promień światła dosięgnął ziemi i zapalił białe ognie mgieł, które biegły jak żyły pomiędzy ciągnącymi się nie przerwanie lasami. Eskorta złożona z myśliwców Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych zastąpiła w nocy ich własne samoloty typu MIG. Znajdowali się w amerykańskich rękach.

Wyciągnęła rękę ponad stołem i ujęła go za dłoń.

- Będzie dobrze - powiedziała, żałowała, że sama w to nie wierzy.

Pokiwał głową. Musiało być dobrze. Nie było innego wyjścia.

Karl obudził się wypoczęty po dobrze przespanej nocy. Powietrze było przeźroczyste i chłodne, to był dobry omen. Poszedł na śniadanie do miejsca, o nazwie Dixie's Diner, przy parkingu dla ciężarówek i zamówił parówki z jajkami. Po raz ostatni rozkoszował się uczuciem wcielenia się w postać anonimowego Amerykanina. Co godzinę odlatywał samolot z krajowego lotniska w Waszyngtonie do Nowego Yorku, gdzie mógł się przesiąść na lot, o godzinie czwartej, do Brukseli. Następnie połączenie przez Rzym do Berlina. Jutro o tej samej porze będzie w domu.

Ta myśl sprawiła mu szczególną przyjemność. Jego kariera w Stasi była skończona. Do tej pory Paul na pewno porozumiał się z ambasadą amerykańską a prawdopodobnie nawet z CIA. Karl nie oszukiwał się. Paul, zdradzony, na pewno dotrzymał groźby doniesienia CIA, kto jest odpowiedzialny za zabójstwa jej agentów. CIA na pewno wyśle kogoś, może nawet grupę ludzi, dwóch, może trzech. Jego śmierć wyglądałaby na wypadek, ale dla każdego w szpiegowskim świecie powód byłby oczywisty: osądzenie i egzekucja.

Karl widział swoją przyszłość, tak jakby czytał w kryształowej kuli. Zabierze Magdę z dziećmi do Związku Radzieckiego, gdzie wujek Aleksander zapewni mu posadę w szkole KGB, albo w jakimś wojskowym obozie treningowym. Po śmierci Sekretarza Generalnego, będzie cichym bohaterem nowej frakcji, ale tylko tak długo, jak długo wujek Aleks będzie żył, oni będą bezpieczni. Potem będzie niepotrzebnym balastem dla spiskowców - jedyny człowiek, zdolny do skompromitowania ich prawa do sprawowania władzy.

Nie, myślał Karl, od tej chwili będzie człowiekiem skazanym na ciągłą ucieczkę. Będzie musiał zaplanować nowe życie teraz, kiedy wujek Aleks ciągle jeszcze jest zdolny go ochronić. Będzie musiał umieścić pieniądze na koncie w szwajcarskim banku, będzie potrzebował fałszywych dokumentów, a kiedy nadejdzie odpowiednia pora, będzie musiał

umrzeć w wiarygodny sposób. Otto mu pomoże; będzie musiał zrekompensować to, że pozwolił uciec Paulowi.

Karl zapłacił rachunek i ułożył drobne z reszty w równy stożek na blacie stołu. Po powrocie do domu nie będzie w posiadaniu monet amerykańskich, które mogłyby naprowadzić na ślad jego pobytu w Stanach Zjednoczonych. Opuścił restaurację, pojechał do centrum handlowego i ustawił Winnebago na wschodnim krańcu parkingu na wprost kierunku, z którego miał przylecieć „Płomienny”. Wiał lekki wiatr z południa, to oznaczało, że zostanie użyty pas numer 19. Iliuszyn zbliży się do lotniska od północy i wyląduje z azymutem 190 stopni, prawie dokładnie na południe.

Karl wyprowadził motocykl Kawasaki, odpalił go i pozwolił, aby silnik pracował przez moment. Droga ucieczki prowadziła z powrotem przez centrum handlowe, przez ogródek dla dzieci aż na ulicę Marlboro Pike. Dzieliło go trzydzieści pięć minut do krajowego lotniska.

Po rozgrzaniu silnika, Karl ustawił go tam, skąd najłatwiej mógł odjechać uciekając. Powróciwszy do Winnebago wyjął Redeye ze skrzyni, zamontował cylindryczną baterię i sprawdził napięcie. Rakieta była gotowa. Na końcu wydobył odbiornik CIKOP-34F w obudowie Sony. Radio posiadało mnóstwo zakresów częstotliwości, można było odbierać kilka kanałów jednocześnie. Dostroił się do częstotliwości kontroli podchodzenia do lądowania, wieży kontrolnej i jednostek zabezpieczenia naziemnego. Była godzina ósma trzydzieści. Sekretarzowi Generalnemu pozostała jeszcze godzina życia.

Rozdział 34

Eliot Ingerman przybył do sztabu sił bezpieczeństwa w bazie Andrews o godzinie siódmej trzydzieści. Sztab mieścił się w małym pokoju na szczycie terminalu. Roztaczał się stąd dobry widok na pasy startowe i miejsca, gdzie witano i żegnano przyjezdnych. Ingerman mógł dostrzec specjalny samochód rosyjskiego przywódcy. Limuzyna została przetransportowana tutaj z Moskwy samolotem. Stała obok całej flotylli rządowych samochodów. Dziennikarze i operatorzy stacji telewizyjnych ustawiali się w pobliżu strefy oddzielonej rozwieszonymi linami. Na, samych obrzeżach zaparkowane były furgonetki wszechobecnej telewizji, anteny na ich dachach były wycelowane w odległą stację przekaźnikową. Wszystko wyglądało normalnie, jak na tego rodzaju wydarzenie, spokojnie i pod kontrolą.

Wtedy właśnie Paul Stafford zatelefonował ze szpitala Glenway. Jego żona odzyskała przytomność i potwierdziła to, co wiedzieli już od Paula: Karl Alexander był w Waszyngtonie i to on właśnie porwał Joannę.

Ingerman zachował spokój.

- To bardzo interesujące, panie Stafford - powiedział - zwłaszcza, że otrzymaliśmy potwierdzenie z Moskwy, ostatniej nocy, że Karl Alexander przebywa na obozie treningowym w Związku Radzieckim.

- Potwierdzone? Jak? Czy ktoś go widział?

- Przypuszczam, że ktoś z nim rozmawiał.

- Nikt, o ile nie była to rozmowa przeprowadzona lokalnie... tutaj. On znajduje się tutaj, założę się, że ma raketę Rede'yee, której zamierza użyć przeciwko rosyjskiemu...

- Zostałem poinformowany, że rakietę tego typu nie ma szans przedarć się przez ekran obrony antyrakietowej.

- Zgodnie z czyim poglądem? Tej samej osoby, która rozmawiała z moim bratem poprzedniej nocy?

Stafford z pewnością bardziej przestraszył Ingermana, niż ten miał zamiar do tego się przyznać.

- Pańska żona - powiedział - czy można z nią porozmawiać? Nastąpiła przerwa - Czy to ma znaczyć, że pan mi nie wierzy?

- Nie twierdzę nic ponad to, co oczywiste: Karl Alexander nie może znajdować się w dwóch miejscach na raz. Byłoby lepiej, jeśli mógłbym porozmawiać z pańską żoną.

- W takim razie proszę zapytać o to jej lekarza.

Lekarz odmówił zgody na bezpośrednią rozmowę z Joanną Stafford, ale zgodził się przekazać jedno pytanie i odpowiedź. Ingerman chciał wiedzieć, czy Joanna jest pewna, że brat bliźniak jej męża jest w Waszyngtonie. Odpowiedź brzmiała: absolutnie tak. Ingerman zażądał ponownie rozmowy z Paulem.

- On wyszedł - poinformował go lekarz.

- Wyszedł, dokąd? - dopytywał się Ingerman.

- Nie mam pojęcia. On nie jest moim pacjentem, w przeciwieństwie do jego żony. Jeśli pan wybaczy...

To była materializacja najgorszego koszmaru, jaki Ingerman mógłby sobie wyobrazić: dwa fakty o absolutnie krytycznym znaczeniu były ze sobą sprzeczne. Pozostało mu trzydzieści minut na dokonanie wyboru, czy zmienić miejsce lądowania na lotnisko Dulles. Oczywistym było, że zamach na życie Sekretarza Generalnego ZSRR, nieważne jak łatwo

odparty, oznaczał najgorszą reklamę. Zaklął pod wąsem. Pułkownik Coswell popatrzył na niego.

- To był Stafford?

Ingerman wyjaśnił sytuację, wyglądało na to, że Coswell się tym nie przejmował.

- Rosjanie twierdzą, że Redeye jest bezsilna. Powinieneś słyszeć starego marszałka lotnictwa - zachowuje się tak, jakby powitał z zadowoleniem atak, tylko po to, aby wykazać, co mogą dokonać radzieckie systemy obrony.

Ingerman czuł ogień w żołądku. Nie miał zamiaru pozwalać, aby Rosjanie mogli udowodnić, że są zdolni do poradzenia sobie z atakiem, któremu Amerykanie nie byli w stanie przeszkodzić.

- Nie mamy wyboru - powiedział - będziemy musieli przenieść się na lotnisko Dullesa. Wyjaśnię to wszystkiemu Prezydentowi. Zbliżył się do telefonu.

- Mówisz poważnie? - zapytał Coswell.

- Cóż innego możemy zrobić? Rzucić monetą, aby sprawdzić czy Karl Alexander znajduje się w Rosji, czy siedzi gdzieś na międzystanowej 495? Wolę radzić sobie z reperkusjami zmiany miejsca lądowania niż ryzykować atak. Chyba, że ktoś podejmie inną decyzję.

Coswell zwrócił pytające spojrzenie na pas startowy. Ingerman podniósł słuchawkę i zażądał od telefonistki, aby połączyła go z Białym Domem.

- Wiesz - powiedział Coswell - ten pas startowy ma prawie dziesięć tysięcy stóp długości. Wiatr wieje z prędkością mniejszą niż siedem węzłów. To nie jest zbyt wielki czynnik dla Iluszyna 62.

Ingerman zmarszczył czoło i kazał telefonistce poczekać na linii. - Jaka jest twoja propozycja?

- Jeśli ktokolwiek znajduje się, gdzieś tam, z rakieta, to zajmuje pozycję na wypadek lądowania samolotu-na pasie 19. Dla mnie najprostszym rozwiązaniem byłoby zmienić kierunki. Niech wylądują na pasie 01.

Ingerman wyrztał przez okno.

- Gdzie to jest?

- Na wprost nas. To ten sam kawał betonu, tyle tylko, że każdy koniec ma inny numer.

- Masz na myśli zmianę kierunku lądowania?

- Właśnie.

Ingerman odłożył słuchawkę.

- Możemy to zrobić?

- To nie jest zalecane. Lądujesz z wiatrem w plecy, a to trwa dłużej i powoduje zużycie się hamulców. Ale mamy do dyspozycji dziewięć tysięcy siedemset stóp betonu i wiatr o prędkości mniejszej niż siedem węzłów. Iliuszyn nie powinien mieć żadnych problemów. Jeśli gdzieś tam w krzakach siedzi jakiś facet, zostanie z palcem na spuście i tyłkiem w odwrotną stronę.

Im więcej o tym myślał, tym bardziej mu się pomysł podobał. Wydawał się prosty, bezbłędny i pozwalał uniknąć nieprzyjemnych politycznych reperkusji.

- Dobrze - powiedział Ingerman - zobaczymy, czy dostaniemy po-zVolenie od Rosjan.

Plan był prosty, ale nie bezbłędny, jak to sobie Ingerman wyobrażał. Pojazdy ratunkowe lotniska były zwykle rozstawiane w jednej trzeciej długości pasa od strony przylotu. Kiedy został zmieniony numer pasa lądowania, kontrola naziemna powiadomiła o tym pojazdy ratunkowe, na częstotliwości jednego z kanałów kontrolowanych przez Karla. Ustawiał właśnie lustro na krawędzi dachu, gdy nadeszła wiadomość.

- Uwaga, wszystkie pojazdy naziemne, czynny pas lądowania został zmieniony na pas 01. Powtarzam: obecne oznaczenie pasa 01. Potwierdzić.

Gdy Karl uświadomił sobie, co powiedzieli, usiadł przy radiu i przyciszył głos na pozostałych dwóch kanałach. Jedna po drugiej, każda jednostka potwierdzała przyjęcie zmiany.

- Krach 3, ustawiam się na 01.

- Krach 4, w drodze na 01.

- Krach 5, nie wiem, jakie lubicie wiatry, chłopcy, lecz tu, gdzie jestem, ciągle wieje z południa.

- Wiatry z dwa jeden zero na pięć - potwierdził kontroler. - Powiadomiono nas, że „Szczyt Jeden” będzie lądował z wiatrem.

Jakiś niezidentyfikowany, niski głos wychrypiał: - Nie ma to jak Rosjanie.

Karl zeskoczył. Była niemal dziewiąta. Miał zaledwie pół godziny na zmianę pozycji i znalezienie się na południe od Andrews, w dzielnicy willowej zwanej Linwood Acres. Wprowadził z powrotem motocykl do Winnebago, przykrył Redeye kocem i ruszył.

Dlaczego? Pytanie to dręczyło go, w czasie gdy manewrował niezgrabnym samochodem po ulicach, które nagle wydawały się zatamowane jadącymi samochodami i czerwonymi światłami. Dlaczego zmienili pas? Samoloty zawsze lądowały pod wiatr. Zawsze. Ta zmiana procedury nie miała sensu, chyba że wiedzieli.

Myśl, że misja mogła być spalona była zbyt trudna do zaakceptowania. Ale jeżeli tak było, to znaczy, że coś złego stało się w Moskwie. Nie z jego powodu. Jedyłą nicią, którą

wypuścił z rąk, był jego brat, ale nawet jeśli Paul uciekł z berlińskiego więzienia, nie wiedział nic o misji Redeye.

Do głowy przyszła mu mniej złowieszcza możliwość. Może Amerykanie zrobili to na wszelki wypadek - zmiana planów w ostatniej chwili, by uniknąć takiej właśnie próby, jak ta, jakkolwiek nieprawdopodobna... Kiedy zbliżył się do celu swej jazdy, utknął w korku drogowym. Znalazł się nagle pomiędzy stłoczonymi, zderzak przy zderzaku, samochodami na wiejskiej drodze, wiodącej do małego podmiejskiego osiedla schowanego w lasach.

Potem zobaczył, co było przyczyną opóźnienia. Samochody z przodu zjeżdżały na pole golfowe Piscataway. Tablica nad wjazdem głosiła:

„Turniej z okazji obchodów Dni Pamięci Narodowej”. Cholerne święto. Zanotował w pamięci, by wracając obrać przeciwny kierunek.

Kiedy minął pole golfowe, droga opustoszała. Rzecz zastanawiająca - była pusta w obydwu kierunkach. Spozstrzegł jednakowe numery rejestracyjne na samochodach jadących z przeciwka. W chwilę później przekonał się, co było tego powodem. Drogę blokował wóz policyjny.

Karl namacał w kieszeni kurtki rewolwer. Pozostały mu dwa naboje i dwóch policjantów stało przy samochodzie. Kiedy się zatrzymał, jeden z funkcjonariuszy podszedł do Winnebago.

- Czy pan tutaj mieszka?

- O co chodzi?

- Jedyne mieszkańcy Millsford i Linwood Acres mogą tędy przejeżdżać. Chciałbym zobaczyć pana prawo jazdy lub jakiś dowód z adresem, by móc pana przepuścić.

Karl myślał szybko, usiłując sobie przypomnieć nazwę jakiejś ulicy ze swojego wcześniejszego pobytu tutaj.

- Jadę w odwiedziny do Wilsonów na Arrowhead Drive.

- W takim razie, musi pan zadzwonić do nich i powiedzieć, by przyjechali spotkać się z panem. Albo proszę pójść gdzieś na kawę. Odjedziemy stąd o dziewiątej trzydzieści.

- Co to wszystko znaczy?

- Kto to wie? Po prostu zamknięto drogę. Przypuszczam, że to z powodu Rosjan. Ich głowa państwa przybywa dzisiaj do Andrews.

Karl zawrócił Winnebago, próbując zachować spokój, próbując rozważyć możliwości, jakie mu pozostały. Teren przy końcu bazy Sił Powietrznych był pagórkowaty i zalesiony. Czy mógłby zaparkować samochód i iść przez wzgórza? Wątpił, czy starczyłoby mu na to czasu. Potem przypomniał sobie o Kawasaki. Przystosowano go do jazdy po bezdrożach.

Rzucałby się w oczy jak diabli z Redeye na ramieniu, lecz jeżeli odjedzie od dróg i domów i będzie już w lesie, może mu się udać. Chyba, że zostanie zauważony przez helikoptery, które właśnie zaczęły krążyć ponad okolicą.

Pobliskie pole golfowe oferowało mu lepsze rozwiązanie. Przypomniał sobie z wcześniej przestudiowanych map terenu, że pole wcina się trójkątnym klinem aż do ścieżki podejścia samolotów do lądowania. Nie zastanawiając się dłużej podjechał, zaparkował i pobiegł do biura klubu. Pięć minut później wrócił do samochodu z wózkiem golfowym i zestawem kijów.

Wyrzucił kije bezceremonialnie na podłogę, wyciągnął nóż i przeciął skórzane przegródki przy otworze worka golfowego. Najdłuższa część

Redeye, lufa, łatwo zmieściła się wzdłuż worka, lecz rękojeść i okular były zbyt duże i za długie, by schować je w całości. Ściągnął kurtkę i zarzucił ją wokół wystających części pocisku. Nie wyglądało to dokładnie jak kije golfowe, ale ostatecznie nie przypominało pocisku Redeye. W każdym razie dla helikopterów w górze.

Ułożył worek na wózku golfowym i ruszył w kierunku ósmego dołka, kolejny sportowiec o niewielkim doświadczeniu z dziwnym ekwipunkiem klubowym na torze.

Paul i Annie jechali po raz drugi w ciągu dwudziestu czterech godzin do Andrews. Paul był zdecydowany udowodnić, że Karl Alexander istnieje. Jego brat stanowił zbyt duże zagrożenie, by puścić go wolno - zarówno dla Joanny, jak i dla niego samego jako celów morderstw. Kto wie, kiedy Karl ponownie może wcielić się w niego i z jakich powodów? Jedynym sposobem było powstrzymanie go.

Annie siedziała obok niego, pochylona do przodu. - Wiesz - powiedziała - po drodze miałam nadzieję, że oni ci nie uwierzą. Myślałam, że uda mi się dotrzeć do Karla, przeciągnąć go na naszą stronę...

- Ja właśnie próbuję to zrobić.

- Groziłeś mu zdemaskowaniem. Nie zaoferowałeś mu nowego życia.

- I to dlatego, chcesz to zrobić?

- Chcę zaoferować mu amnestię, jeżeli przejdzie do nas.

- A co ze mną? Może powinienem przejść do Rosjan? Popatrzyła na niego szybko, uświadamiając sobie, że staje się sarkastyczny.

- Ciągle nie rozumiesz znaczenia daru, jaki posiadasz.

- To nie dar, wierz mi.

Przyjechali na Chevron Station, gdzie mieli się spotkać z Hugh'em Roarkiem. Agent CIA opierał się o forda taunusa, ubrany w luźne spodnie i jasnobezową kurtkę sportową

narzuconą na koszulę. Paul stanowił jego kontrast - nie golił się, nie spał i nie przebierał od dwóch dni. Annie nie wyglądała dużo lepiej. Miała mniej zapadnięte oczy, ale sukienka była okropnie wymięta a skórzane kozaczki opadały wokół łydek.

Hugh rozłożył na dachu samochodu mapę i pokazał im okolicę, którą jego zdaniem powinni przeszukać. Wydawało się, że jest jedynym oprócz Annie, który wierzył w istnienie Karla. W pewnej chwili popatrzył się na alfa romeo i spytał, czy mają radiotelefon. Paul potrząsnął głową.

- Był w audi.

- W takim razie biorę na siebie autostrady - 337, 4,1-95, West-phalia i Suitland oraz park przemysłowy. Wy przejedziecie przez te dwa osiedla i centrum handlowe.

Hugh chciał wiedzieć, czy Joanna wymieniła Winnebago, czy mówiła generalnie o jakimś samochodzie campingowym. Paul nie był tego pewny, więc zdecydowali, że będą sprawdzać wszystkie „domy na kółkach”.

Kiedy odchodzili, Annie zawołała do Hugh'a: - Jeżeli go znajdziesz, pamiętaj o naszej umowie.

Hugh ledwo skinął głową i odjechał swoim taunusem.

- Co to była za umowa? - zapytał Paul.

- Hugh zgodził się spróbować wziąć Karla żywego.

- Gorzej, że nie poprosiłaś Karla, by zachował Hugh'a przy życiu.

Annie otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, a potem pomyślała, że lepiej pominąć to milczeniem. Dziesięć minut przetrzasali centrum handlowe i znaleźli trzy samochody campingowe. Żaden z' nich nie nosił śladów obecności Karla czy pocisku Redeye. Następnie przejechali ulicami najbliższego osiedla. W pewnej chwili zatrzymali się przy zaparkowanym na ulicy Winnebago, lecz firanki były zaciągnięte i trudno było zajrzeć do środka. Jakiś mężczyzna ukazał się w drzwiach sąsiedniego domu i spytał, czego chcą. Poinformował ich, że to jego Winnebago i że nie widział dzisiejszego ranka żadnego innego wozu campingowego w okolicy.

Wrócili w końcu na tę samą drogę 7-11, przy której zatrzymali się dzień wcześniej. Było piętnaście po dziewiątej. Paul spoglądał na mapę, zastanawiając się nad okolicą, którą przeszukali i tą, którą zajął się Hugh. Annie badała wzrokiem niebo.

- Skąd nadleci samolot?

- Z tej strony - wskazał Paul. - Przeleci dokładnie tam. Spójrz przez ogrodzenie, to zobaczysz pas startowy.

Ogrodzenie znajdowało się po drugiej stronie drogi. Za nim, w oddali, widać było szereg odrzutowców lotnictwa wojskowego, stojących przed potężnym hangarem. Nisko na niebie dwa helikoptery krążyły ponad pasem startowym, tak samo, jak podczas lądowania Air Force One.

Ścieżka lądowania.

Paul obrócił się w kierunku, który wskazał Annie. Niebo było puste.

- Niech cię diabli! - zawołał.

- Co?

- Uwierzył mi. Skurwysyn, uwierzył mi, mimo wszystko.

- O czym ty mówisz?

- Popatrz tam, za bazę. Co widzisz na niebie?

- Tylko helikopter. To nie samolot.

- Dwa helikoptery. Latają, zawsze dla ochrony ścieżki lądowania. Pamiętasz wczoraj?

- Paul wrócił do samochodu. - Jedziemy.

- Ale to jest... - przerwała, jakby znaczenie jego słów stało się dla niej jasne. Usiadła obok niego. - Zmienili pasy?

- No właśnie. Będą lądować z wiatrem.

Paul z piskiem kół ruszył z parkingu. Annie przytrzymała się tablicy rozdzielczej. - Jeżeli rzeczywiście zmienili tor - krzyczała. - Dlaczego myślisz, że Karl wie?

- Jeśli nie wie, to Hugh się nim zajmie.

Annie walczyła z wiatrem, aby utrzymać mapę na kolanach. Zajął im dziesięć minut przejechanie na drugą stronę Andrews. Gdy mijali pole golfowe, Annie wykrzyknęła: - Jesteśmy już blisko.

Znaleźli się przy blokadzie drogowej. Kiedy oficer policji zobaczył Paula, spojrzał na niego dwa razy, potem zlustrował samochód i powoli uśmiech pojawił się na jego twarzy.

- No cóż, proszę pana - powiedział - jest o wiele mniejszy, ale nadal nie może pan przejechać.

Z błyskawicznych pytań dowiedzieli się, że Karl zawrócił Winnebago nie więcej niż dziesięć minut wcześniej.

- Tam przy polu golfowym stoi samochód campingowy - powiedziała Annie. - Widziałam parę takich.

Rzeczywiście, były cztery samochody campingowe, w tym dwa Winnebago. Zaczęli zaglądać do nich przez okna i w drugim znaleźli motocykl i leżący na podłodze stosik kijów golfowych.

Weszli do klubu, przestronnego budynku z drzewa sosnowego pokrytego pokostem. Sklepek klubowy sprzedawał kije, piłki golfowe, daszki przeciwsłoneczne i podstawki pod piłeczki. Turniej miał się rozpocząć dopiero w południe, ale miejsce było już wypełnione zawodnikami i ich rodzinami, które przyjechały tutaj na piknik.

Paul skierował się do wypożyczalni. - Czy widział pan mężczyznę, wyglądającego tak jak ja?

Chłopak za kontuarem ubrany był w zielony blezer ze znakiem klubu. Uśmiechnął się od ucha do ucha i powiedział: - Tak, albo poprzednio był pan, albo pana brat bliźniak.

- Mój brat - powiedział Paul. - Czy wypożyczył wózek?

- Przed chwilą.

- Jakiego koloru?

- Białe, tak jak wszystkie.

- Którędy poszedł?

- Tego nie wiem.

- Jest mi potrzebny wózek.

- Przepraszam - odezwał się mężczyzna ubrany w kraciaste spodnie - ale ja byłem pierwszy.

- To pilne...

- Z pewnością, ale proszę poczekać w kolejce.

- Proszę posłuchać, to sprawa życia i śmierci...

Annie wskoczyła pomiędzy nich. - Jego brat bierze lekarstwa. Wziął dzisiaj rano niewłaściwą ampulkę. Wziął digitalinę zamiast insuliny i jeżeli jej użyje, wywoła atak.

- Ach, tak, w porządku, proszę pani.

Mężczyzna odsunął się na bok, a w parę minut później Paul i Annie podążali kortem tak szybko, jak pozwalał im na to wózek. Wybrali skrót pomiędzy czwartym i ósmym dołkiem, wprost na wschodnią granicę pola. Gdy już się tam znaleźli, jakaś para właśnie, po uderzeniu piłki odchodziła. Obok stał pusty wózek.

- Czy widzieli państwo, kto go zostawił? - zawołał Paul.

- Myślę, że jest zepsuty - odpowiedziała kobieta. - Był już tutaj, kiedy przyszliśmy.

Byli przy wschodnim obrzeżu, na początku terenu poniżej ścieżki schodzenia na pas 01. Łagodne wzgórza za dziką częścią boiska zarośnięte były rzadkim lasem, stwarzając Karlowi dużo możliwości ukrycia się.

Paul sprawdził godzinę. Była 9:30. Kiedy weszli do lasu, Annie zaproponowała, by się rozdzielili. - Będziemy mieli podwójne szanse znalezienia go.

Paul potrząsnął głową. - To zbyt niebezpieczne. Ma mój rewolwer, pamiętasz?

- A ja mam to. - Annie wyciągnęła z torby pistolet automatyczny. Paul popatrzył na nią zaskoczony.

- Umiesz się nim posługiwać?

Spojrzała na niego zjadliwie i odpowiedziała: - Tylko zawołaj, kiedy go zobaczysz.

Rozdzielili się i zaczęli poszukiwania.

* * *

Worek golfowy, z naramiennymi pasami i ciężką konstrukcją metalową był dobrym środkiem transportowym dla pocisku Redeye. W pierwszym rzędzie Karl musiał znaleźć korzystne miejsce, z którego pocisk mógłby bez przeszkód polecieć za samolotem. Idealnym miejscem była wieża wodna dokładnie poniżej ścieżki schodzenia. Wznosiła się na wzgórzu i roztaczał się z niej widok na pole golfowe i bazę Andrews. Pamiętając o helikopterach patrolujących okolicę, Karl zdecydował, że byłoby zbyt ryzykownie tam się ustawić. Pomalowana w czerwono-białą kratę wieża zwracała na siebie uwagę.

W końcu znalazł polanę w pobliżu sąsiedniego wzgórza, miejsce, które umożliwiałoby mu schronienie się aż do ostatniego momentu pomiędzy drzewami. Z pociskiem spoczywającym w worku golfowym, użył słuchawek do kontrolowania zbliżającego się celu. Rosjanie mieli lekceważący stosunek do harmonogramu. Dopiero o 9:30 Iliuszyn połączył się z wieżą kontrolną.

Karl wyszedł spod drzew i zajął pozycję, zwrócony plecami do zbliżającego się samolotu. Redeye spoczywał na jego prawym ramieniu. Ustawił wysokość i czekał aż Iliuszyn pojawi się w jego polu widzenia. Ponieważ nie znajdował się na szczycie wzgórza, lotnisko nie było widoczne, jednak posługując się wieżą wodną jako punktem odniesienia 'Karl wiedział, że jest ustawiony dokładnie poniżej ścieżki schodzenia do lądowania.

Przez słuchawki słyszał głos radzieckiego pilota podającego pozycję w języku angielskim z silnym akcentem.

- „Szczyt Jeden” schodzi teraz z wiatrem do lądowania na pasie zero - jeden.

- Roger, „Szczyt Jeden”, wiatry dwa dwa zero do sześć, wysokościomierz trzy zero jeden cztery.

Karl odblokował bezpiecznik prawym kciukiem i pochylił głowę nad okularami. Rozległ się cichy dźwięk, gdy żyroskop Redeye zaczął wirować.

Z jego lewej strony kobiecy głos powiedział: - Karl Alexander.

Zamarł, a potem odsunął głowę od okularu i obrócił się. Zobaczył kobietę z rozczochranymi blond włosami mierzącą do niego z broni.

- Niech się pan nie obawia - powiedziała. - Nie chcę pana zranić. Potrzebuję pana pomocy, a pan mojej.

- Kim pani jest?

- Nazywam się Annie Helms. Jestem naukowcem z Centralnej Agencji Wywiadowczej i wiem wszystko o panu i Paulu.

- Paul!

- Niech mnie pan posłucha. Wszystko skończone. To, co zamierza pan zrobić, nie ma sensu. Jeżeli pan go zabije, inny przywódca zajmie jego miejsce, może liberalny, może konserwatywny, to nie ma znaczenia. Ostatecznie niczego pan nie osiągnie. Jedynie własną śmierć, dlatego że oni wiedzą - CIA, Rosjanie, wszyscy. Przegrał pan, Karl. Wszystko skończone, ale mogę panu pomóc. Mogę ofiarować panu nowe życie...

Zbliżała się do niego powoli, mówiąc cicho, ale sugestywnie. Broń ciągle wymierzona była w jego pierś. Oceniał czas, jaki potrzebowałby, by opuścić prawą rękę i wyciągnąć z kieszeni rewolwer. Trwałoby to zbyt długo.

W słuchawkach usłyszał radzieckiego pilota meldującego okrążenie bazy. Kobieta nadal mówiła...

- Karl, niech mnie pan posłucha, mogę zaproponować panu azyl. Niech pan przejdzie na naszą stronę i nikt pana nie skrzywdzi. Może pan zrobić coś większego i lepszego, od tEgO, o czym pan kiedykolwiek myślał. To, co istnieje pomiędzy panem i pańskim bratem jest bezcennym darem, jedność myśli tak ścisła...

- Skąd pani to wie?

- Wiem o snach. Wiem, że ten rodzaj pokrewieństwa jak wasze jest tak rzadki, że mogą upłynąć lata, zanim pojawi się następny przypadek, jeżeli w ogóle. Pan i Paul jesteście więcej wari niż jakiś polityczny przywódca, rozumie pan to? Macie dar a ja mogę go ochronić. Chcę was włączyć do mojego programu badawczego, pana i Paula...

- Czy to Paul panią przysłał?

- On jest tutaj, jest ze mną.

A więc Joanna kłamała. Paul był wolny albo uciekł. W słuchawkach usłyszał radzieckiego pilota: - „Szczyt Jeden” ostatnie okrążenie.

- Roger, „Szczyt Jeden”, ląduj na pasie zero jeden.

Kobieta nadal mówiła, teraz szybciej. - Próbuję ocalić pana życie, Karl. Nie zastrzelę pana. Jeżeli zrealizuje pan swój plan, nie będę mogła pana obronić. Jeżeli pan się powstrzyma, mogę pana uratować.

Oczy Karła spoczywały na broni w jej ręce, oceniając zagrożenie, oceniając odległość. Gdyby tylko nie był obciążony tym przeklętym pociskiem, gdyby miał wolne ręce...

- Karl, proszę, musisz mi zaufać. Tutaj. Mówiąc to, odrzuciła na bok broń.

Karl oceniał: włosy w nieładzie, pomięte ubranie, dziwny wygląd - kobieta była wariatką. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął rewolwer.

- Nie jestem tutaj, by cię powstrzymać - powiedziała Annie, wyciągając ręce. - Oferuję ci nowe życie.

Odgłos zbliżającego się odrzutowca przerwał im. Nadszedł czas. Karl podniósł broń i strzelił do niej raz, dokładnie w środek czoła.

Paul usłyszał strzał z drugiej strony wzgórza. Zawołał Annie po imieniu i zaczął biec. Niski jęk zbliżającego się odrzutowca nasilił się, gdy dopadł szczytu wzgórza i zatrzymał się. Karl musi być blisko, tylko gdzie? Dwadzieścia stóp poniżej stoku drzewa przerzedzały się. Karl będzie potrzebował otwartej przestrzeni do odpalenia pocisku. Paul biegł ku polanie, przeskakując przez leżące konary drzew i wdrapując się na wpół spróchniałe pnie. Na ziemię padł cień, gdy Iliuszyn grzmiąc przesunął się ponad jego głową i Paul wpadł na polanę. Karl stał nie dalej jak dziesięć stóp od niego, z Redeye spoczywającym na ramieniu, głową pochyloną nad okulem. U jego stóp leżało nieruchome ciało Annie Helms, z poplątanymi i zalanyymi krwią włosami...

Karl nie usłyszał brata. Gdy Iliuszyn pojawił się w polu widzenia, ustalił pozycję samolotu na obrotowym pierścieniu, a lewym kciukiem włączył żyroskop i uruchomił system naprowadzający. Wysoki sygnał dźwiękowy oznajmił, że czujnik podczerwieni ustawił się na dyszę samolotu. Podnosząc lekko lufę, tak by Iliuszyn znalazł się w celowniku, nacisnął spust...

Gdy Paul gnał na oślep w jego kierunku, każdy ruch Karla wydawał się mu doskonały. Zobaczył jak napinają się jego ramiona, zobaczył ostatnie naprowadzenie lufy na cel, zobaczył palec naciskający spust... Rzucił się w przód, chwytając Karla od tyłu. Obaj mężczyźni zwalili się na ziemię. W tym samym momencie pocisk wystrzelił z lufy wydając przytłumiony dźwięk.

Uderzenie Paula odchyliło wylot lufy i zmieniło tor pocisku. Ładunek detonujący wyrzucił Redeye w górę na dwadzieścia stóp. Wydawało się, że pocisk zawisł na moment w powietrzu, zanim włączył się główny silnik. Stateczniki rozłożyły się, lecz czujnik podczerwieni zgubił cel. Redeye wystrzelił na oślep ponad koronami drzew, żyroskop próbował odnaleźć zgubiony kurs. Przez chwilę zmieniał kierunki, a potem czujnik uchwycił cel, który był na granicy jego możliwości korygowania kursu. Cztery blisko siebie położone

silniki Iliuszyna były jak promieniujące centrum tarczy. Redeye ruszył za nim po szybko wznoszącej się trajektorii.

Na pokładzie samolotu „Płomienny” błyskające czerwone światło i przerywany sygnał ostrzegawczy poderwały z fotela oficera obrony lotniczej. System wykrywania Wildfire uchwycił źródło ciepła o wysokiej temperaturze. Oficer nienawidził tych alarmów. System wykrywania był tak czuły, że często nawet tak niewinne obiekty, jak fajerwerki czy flary były przyczyną fałszywych alarmów. Ale teraz byli w Stanach Zjednoczonych i prawdopodobieństwo pocisku....

Szybki rzut oka na pobłyskującą tablicę upewnił go, że system DeCoy jest włączony. Nieświadomy sabotażu Mariny, oficer skupił uwagę na monitorze systemu DeTect i spostrzegł, że względne położenie źródła ciepła wynosiło 176 stopni, niemal wprost za nimi.

- Gorący punkt - zawołał.

- Rozpoznanie? - zapytał drugi pilot. Ale oficer nie mógł mu odpowiedzieć. Źródło ciepła zniknęło.

Ingerencja Paula, spowodowała, że Redeye wszedł na błędną trajektorię, która zdradziła jego obecność. Czujnik namierzył silniki Iliuszyna dopiero, gdy zniżający się odrzutowiec zniknął za wieżą wodną. Pocisk reagował jedynie na ciepło, nie miał radaru, który ostrzegłby go przed pojawiającymi się przeszkodami. Ogon gazów zakreślił spiralę, gdy Redeye szukał na oślep celu, a potem uderzył w wieżę. Eksplozji towarzyszyły kaskady wody, szumiącej jak wodospad Niagara, rozpryskującej się w powietrzu. Szum opadającej wody zagłuszył na moment dźwięk odlatującego odrzutowca. Gdy już było po wszystkim, wieża stała rozdartą, a krople wody wolno opadały do jej stóp.

Dwaj bracia znieruchomieli na ziemi. Teraz, gdy jeden obrócił się do drugiego, Karl odezwał się pierwszy:

- Ty...

Sięgnął po rewolwer, lecz broń leżała na ziemi pomiędzy nimi i Paul wychylał się właśnie w jej stronę. W chwili gdy Karl rzucił się do przodu, Paul miał rewolwer w ręce. Karl zamarł. Paul wolno wstał i on zrobił to samo. Trzymając broń wycelowaną, w brata, Paul podszedł do zwiniętego ciała Annie i upewnił się w tym, co już wiedział.

- No, dalej - odezwał się zimno Karl - zastrzel mnie. Ręce Paula zadrżały, gdy próbował opanować swój gniew.

- Zrób to, Paul. Zabij mnie, tak jak ją zabiłem, jak zabiłem twoją żonę, jak zabiłbym ciebie, gdybym miał szansę. No, dalej. Zabij mnie, do cholery.

Jakaś część Paula mocno pragnęła nacisnąć spust, lecz druga była niezdecydowana...zabić człowieka z zimną krwią...a ten tutaj człowiek jest jego własnym odbiciem...

Karl wyczuł wahanie.

- Nie potrafisz tego zrobić, prawda? I wiesz, dlaczego? Bo jeżeli mnie zabijesz, staniesz się taki jak ja. „

- Nie jestem taki jak ty...

- Och, myślę, że jesteś. Głęboko w środku, Paul, jesteśmy tacy sami. Bracia. Zabijesz... - Zaczął iść w jego kierunku.

- Nie rób tego, Karl...

- Myślisz, że ci to ułatwię? Nie, zakreśliliśmy teraz pełne koło. Jesteś mordercą, a ja ofiarą.

- Nie jesteś ofiarą.

- Nie chcę być więźniem, rozumiesz? Więc dokonaj ostatecznego wyboru.

Paul rozumiał, co robił Karl - wymuszając na nim egzekucję... i zakładając, że tego nie zrobi. Karl ciągle posuwał się do przodu, nie spuszczać z niego wzroku. Paul zrobił krok do tyłu.

- Nie zbliżaj się. Karl wyciągnął rękę.

- Użyj broni, albo mi ją oddaj. Paul odciągnął bezpiecznik.

- Połóż ręce na głowie, Karl. Ty wybierasz, nie ja. Chwila niepewności. Karl patrzył na rewolwer. Zmarszczył brwi. - W takim razie bądź takim jak ja. Sięgnął po broń i Paul nie miał już wyboru. Nacisnął spust...

Epilog

Joanna przez dwa tygodnie wracała do sił po wypadku. Przez ten czas Paul był czuły i pełen troski, jak gdyby chcąc zatrzeć swój poprzedni chłód. Gdy poczuła się już wystarczająco dobrze, wziął dwa tygodnie urlopu i wyjechali do domku w Maine. Był to czas rekonwalescencji dla nich obojga. Nie było już wzajemnego obwiniania się z powodu śmierci Jasona czy jej romansu z Luisem de Cuevo.

W trzy tygodnie po powrocie do Waszyngtonu, Joannie opóźnił się okres. Tego wieczoru leżała w łóżku, czekając aż Paul się rozbierze, zastanawiając się, czy powinna powiedzieć mu to teraz, czy dopiero po stwierdzeniu przez lekarza tego, co podejrzewała - że była w ciąży. Paul stał przy garderobie, bez koszuli, patrząc w lustro. Wiedziała, że dręczy go myśl o bracie, że nie jest zdolny uwolnić się od poczucia, że ma krew brata na rękach. Były chwile, od kiedy wrócili do siebie, że oddalał się i stawał się roztargniony, nawet w środku

rozmowy, a niewyraźne odbicie w szybie wystawowej lub w lustrze wywoływało wstrząs. Kiedy przyjdzie do łóżka, zdecydowała Joanna, powie mu o przypuszczalnej ciąży. Może to oderwie jego myśli od przeszłości, skieruje je ku przyszłości.

- Hej - zawołała. - Robisz to znowu. Obrócił się i lekko uśmiechnął.

- Przepraszam.

- Rusz się, chodź do łóżka.

Podszedł do łóżka, usiadł i wziął ją za rękę.

- Ciągle o nim myślę...

- Wiem.

- Mógł uciec. Myślę, że nie mógłbym strzelić mu w plecy. Gdyby mi nie groził, wątpię, czy bym to zrobił. Ale on podszedł do mnie...

- Sądził, że nie naciśniesz spustu.

Paul potrząsnął głową. - Myślę, że on wiedział. Myślę, że zrobił to, by udowodnić, że jesteśmy tacy sami w każdym calu. Obydwaj jesteśmy mordercami...

- Nie jesteś mordercą, nawet tak nie myśl.,

- Myślę, że on próbował mnie zmienić w niego.

- Od tego cierpnie skóra.

- Gdyby wszystko potoczyło się inaczej - gdyby dorastał w tym kraju, z matką i ojcem, prowadząc normalne rodzinne życie - czy stałby się mną a ja zmieniałbym się w niego? Czy to wszystko było grą przypadku, błędem wychowania?

Joanna potrząsnęła głową. - Nie, nie, nie - powiedziała miękko, lecz energicznie.

- Jesteś tego pewna?

- Jestem o tym przekonana. KarLowi czegoś brakowało i nie można obciążać za to winą przypadku czy położenia geograficznego. Gdyby wyrastał w Ameryce, mógł nie zostać mordercą, ale nigdy nie byłby tobą. Zapomniałam psychologicznego terminu na to, ale myślę, że on nie był zdolny do odczuwania miłości czy chociażby sympatii do kogokolwiek. Lojalność, obowiązek, tak. Ale...

- Ale gdybym ja był wychowywany w taki sposób, jak Karl...

- Pozostałbyś sobą, bez wątplenia. Jedynie zakładam, że wybrałbyś inną drogę kompensacji. Może zostałbyś lekarzem lub księdzem... Paul przebiegł oczami po jej, rysującym się pod kocem, ciele.

- Mam nadzieję, że nie księdzem.

Joanna zarzuciła mu ręce na szyję i oparła o niego czoło.

- Nie ma znaczenia jak czy gdzie, czy co, zawsze ty to ty - mężczyzna, którego pragnę. Teraz.

Przytulił ją i pocałował. Ich wzajemne pragnienie zamieniło się w gwałtowną namiętność. Ostatnio ich miłość nabrała niezwyklej intensywności. Było jej z tym miło i zastanawiała się, czy nie dlatego, że otarli się tak blisko o śmierć, ta najbardziej podstawowa afirmacja życia nabrała nowego i większego znaczenia.

Paul zaczął całować jej piersi, lecz Joanna wstrzymała go, wciąż zawstydzona zaognioną, czerwoną blizną, zniekształcającą jej ciało.

- Zgaś światła - wyszeptała.

Paul wstał i przeszedł przez pokój. Zdjął spodnie i sięgnął w stronę lampy na garderobie. Zgrabny stosik monet przykuł jego uwagę: ćwierć-dolarówki na spodzie, potem pięciocentówki, pensy i grosze. Zmarszczywszy brwi, zrzucił stosik, a potem zgasił światło i przeszedł przez ciemny pokój do Joanny.